



Linda  
Holeman

Poruszająca opowieść o kobiecie,  
która szuka spełnienia w życiu.  
„Woman & Home”

W dalekim  
kraju

Świat Książki

# Holeman Linda

## *Ptaszyna 03*

### W dalekim kraju

Kobieta, która szukała spełnienia.

Priscilla, zwana Pree, wychowuje się w bardzo surowych warunkach. Jej rodzice, brytyjscy misjonarze prowadzący podupadającą misję w Pendżabie, karzą ją za najdrobniejsze przewinienia, zamykając w schowku z Biblią, której ma uczyć się na pamięć. Gdy dorasta, nie może nawet kontaktować się z Kaiem, swoim jedynym przyjacielem, synem służącej. Pree próbuje się buntować, nie wiedząc, że los szykuje jej znacznie okrutniejsze niespodzianki...

Czym naprawdę zajmuje się Kai? Do czego zmusi Pree jego matka? Kim jest tajemniczy Afgańczyk, pojawiający się w misji na złocistym koniu? Kim wreszcie jest sama Pree, nieprzystająca do świata swych rodziców Anglików i nietraktowana jak swoja przez Hindusów?

Wielka podróż, wstrząsająca tajemnica, upokorzenie i niegasnąca nadzieja na lepszą przyszłość w pełnej rozmachu powieści na egzotycznym tle kolonialnych Indii drugiej połowy XIX wieku.

## PROLOG

### *Bombaj, 1885*

Jest jedenasty dzień święta i Ganeśa niebawem zanurzy się w Morzu Arabskim.

Jestem w drodze do domu, ale przyszedłam na brzeg morza, by obejrzeć olbrzymie figury boga z głową słonia, które giną w ciemnej wodzie. Wiele figur Ganeśy najróżniejszych rozmiarów przeszło w parady ulicami miasta, a niosący je ludzie zgromadzili się teraz na szerokim piaszczystym brzegu. Brzeg ożył, gdy tłumy zebrały się, by wziąć udział w ostatnim rytuale święta Chaturthi.

Obserwuję morze. Nie rzucam się w oczy; włożyłam sari i namaściłam włosy olejem, splatając je w gruby warkocz, który spływa mi na ramię. Noszę taki strój do pracy, bo kobiety czują się swobodniej, gdy odwiedzam je ubrana jak jedna z nich. W przeszłości nosiłam wiele przebrań.

Morze tutaj jest płytkie, a łagodne fale powoli obmywają prażkowany piasek. Pierwszy młody człowiek powoli wchodzi do wody, tuląc w ramionach figurę Ganeśy. W wieczornym powietrzu unoszą się śpiewy: *Powróć wcześniej za rok, o zwycięski Ganeszo. O, Ojczy Ganeszo, wróć znowu za rok.*

W Bombaju Hindusi mają swoich licznych bogów, muzułmanie modlą się do Allaha, chrześcijanie czczą Ojca, Syna i Ducha Świętego, a zoroastrianie otaczają czią ogień.

Moim ołtarzem jest woda.

Podnoszę naszyjnik z czerwonych kwiatów lotosu, który spadł na ziemię z ozdobionej figury Ganeśy, i podchodzę do

wody. Zdejmuję sandały i zarzucam na ramię ciężką torbę. Małeńki przerażony gekon wybiega spomiędzy dwóch kamieni i przemyka między moimi bosymi stopami. Unosząc brzeg sari, dołączam do tłumu i wchodzę do chłodnej wody. Wrzucam naszyjnik z kwiatów, gdy inni wrzucają własne kwiaty, drobne słodycze lub orzechy kokosowe, składając w ofierze swoją *puja*.

Z pustymi rękami stoję nieruchomo i patrzę w górę. Na niebie rysują się wyblakłe różowe wstęgi.

Nagle czuję zmęczenie. Widzę małą dziewczynkę, siedmio- lub ośmioletnią, trzymającą mocno za rękę kobietę, która z pewnością jest jej matką. Kobieta uśmiecha się do małej, stojąc na krawędzi wody.

Dziewczynka zaczyna nagle podskakiwać, a jej starannie zaplecione warkoczyki fruwać w powietrzu, gdy pokazuje matce figurę Ganeśy. Jej jasnożółte sari jest czyste, a na nadgarstkach pobrzękują bransoletki.

Kobieta uśmiecha się szeroko, a jej wyraźna miłość do dziecka sprawia, że czuję ucisk w piersi. W wieku tej dziewczynki nosiłam poplamioną sukienkę z darów, a moje włosy były zmierzwione i zwisały smutno na plecach. Biegałam po misji jak szalona, niezauważona przez nikogo.

Wiedziałam, że moja matka nigdy nie patrzyła na mnie tak, jak ta kobieta na swoją córkę. Nigdy nie trzymała mnie za rękę z taką dumą, że do niej należę.

W tej chwili dziewczynka podnosi wzrok na matkę i widzę dokładnie jej małą buzię. Choć oczy lśnią z podniecenia, w rysach widać spokojną pewność siebie. Ona wie, kim jest i do kogo należy. I jak jest kochana. Odmawiam cichą modlitwę, by nigdy nie spotkała się z tym, co ja. Żeby nigdy nie zaznała bólu utraty wszystkich, którzy ją chronili, bólu porzucenia, smaku strachu. Żeby te czyste lśniące oczy nigdy nie zobaczyły tego, co ja widziałam, i żeby nigdy nie musiała upaść tak nisko jak ja, by znaleźć swoje miejsce w świecie. I na koniec, żeby nigdy nie patrzyła na ten świat z takim poczuciem samotności, jaka kiedyś mąciła mi wzrok.

Powtarzam sobie, że to tylko zmęczenie po długim dniu przywołuje stare smutki i urazy, stary wstyd. Biorę głęboki oddech i na chwilę odwracam wzrok od matki i dziecka, od moich sekretów.

Patrzę, jak Ganeśa ginie w ciemnej wodzie. Powoli fale zakrywają długi tułów, symbolizujący głęboką znajomość pisma. Zaraz potem nikną duże uszy, gotowe słuchać *katha* Pana - jego opowieści - z największym zapalem. Potem oczy, malutkie, by jak najlepiej widzieć najdrobniejsze szczegóły boskości. Woda zakrywa duże czoło, które kryje głęboki intelekt, by głosić słowo Pana. W końcu zanurza się czubek głowy. Gdybym nadal wierzyła w chrześcijańskie dogmaty, wyobraziłabym sobie, że hinduski Ganeśa został ochrzczony.

Choć rzadko wracam myślami do mojego chrztu, który odbył się połowę mojego życia temu, wspomnienia powracają i nagle znów jestem w misji na brzegu rzeki Rawi. Kiedy spoglądam wstecz na moje życie, zastanawiam się, czy właśnie wtedy zaczęła się moja historia: w sierpniowy dzień podobny do tego, kiedy woda zamknęła się nad moją głową, tak jak teraz zamyka się nad głową boga Ganeśy.

Jednak w przeciwieństwie do dzisiejszego dnia, nie był to czas świętowania. Nie było radosnych śpiewów, prezentów, modlitw. Mój chrzest był samotny i posepny, przeprowadzony z brutalną siłą i zrodzony z fałszywej nadziei. Miał zmyć moje grzechy.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### ***Misja Medyczna Kościoła Anglikańskiego Pendżab, Indie Roku Pańskiego 1871***

Podczas chrztu o mało nie utonęłam. Był to mój drugi chrzest; pierwszy który odbył się, gdy byłam malutką, najwyraźniej nie „zadziałał”. Moja matka nalegała, żeby ojciec, jako duchowny, przeprowadził go powtórnie pod koniec lata tuż po moich piętnastych urodzinach.

Był koniec sierpnia w Pendżabie, czas umęczonej obfitości. Monsuny spłaszczyły grube czerwono-zielone liście krotonów, które porastały dziko ziemię wokół werandy. Deszcze spływały krętymi strumyczkami po wewnętrznych ścianach domu i infirmerii, gdyż gruba strzecha nie była w stanie oprzeć się naporowi wody. Woda sprawiła, że rodzina borsuków workowatych żyjąca za stertą łajna zrobiła się jeszcze odważniejsza i biegała po podwórku, szukając schronienia. Długie szczurze ogony lśniły złowieszczo, a tłusta sierść zjeżyła się.

Zebrano już kukurydzę i teraz długie łodygi trzeszczały i chwiały się na wietrze, szeleszcząc w dłoni jak zgniatany papier. Albo szumiąc jak niszczący wszystko ogień. Stada szakali buszowały nocą wśród ich rzędów, polując na gnijące kolby, warcząc i bijąc się o resztki. Ostatnie niezebrane owoce: mango, morele, figi i cytrusy dawno już opadły, a kruki zawzięcie dziobały rozkładające się owoce, strzygąc pozbawionymi życia i wyrazu oczami.

Rzeka Rawi, która latem płynęła leniwie skurczona do

rozmiarów wąskiej strużki, teraz łakomie połykała złożoną przez monsuny ofiarę. Niekończące się deszcze zamieniły toczące się wody w rwącą rzekę z zaskakująco silnym prądem. Nadęta swoją ważnością rzeka rozlała się szeroko i odważnie, chwytając i wciągając wszystko, co odważyło się za bardzo zbliżyć do jej grzmiących brzegów.

W szarym monotonnym deszczu podupadająca misja wyglądała smutno i ponuro. Czyż nie była to odpowiednia pora, by moja matka oświadczyła, że ja też upadłam? Próbowała więc cofnąć czas, by stworzyć mnie na nowo i zamienić w przykładną córkę misjonarza.

Nie miałam pojęcia o planie rodziców do czasu, gdy nagle otworzyły się drzwi składziku. Usłyszałam, że nadchodzi moja matka; jej ciężkie kroki rozlegające się na werandzie zawsze dawały mi dość czasu, bym mogła schować nielegalną książkę, usiąść prosto z Biblią otwartą na kolanach i przywołać na twarz wyraz fałszywej pobożności i skruchy. Nauczyłam się, że bez tego wyrazu na twarzy nie będzie mi wolno wyjść z domu przez kolejną godzinę.

W to ciemne, wilgotne popołudnie niebo było ciężkie jak zawsze, zanim otwarły się nisko wiszące czarne chmury. Matka po raz kolejny zamknęła mnie w składziku na tyłach budynku misji. Jej instrukcje były zawsze takie same: miałam nauczyć się na pamięć trzech fragmentów Biblii. Tak karała mnie od czasu, gdy skończyłam sześć lat i nauczyłam się czytać. W składziku spędziłam wiele godzin z Biblią w rękach. Pewnie złożyłyby się na całe miesiące, gdyby zsumować kary, które w ostatnich dziewięciu latach odbywałam dwa lub trzy razy w tygodniu.

Matka nie potrafiła zaakceptować młodej kobiety, jaką się stałam. Nie mogła pojąć, że bez względu na to, ile fragmentów Biblii przeczytam oraz ilu fragmentów Ewangelii nauczę się na pamięć, nie zmieni to mojej natury. A im byłam starsza, tym bardziej obrażało mnie jej założenie, że

jeśli będę wystarczająco długo studiować Biblię, w końcu stanę się córką, z której misjonarz i jego żona mogą być dumni.

Miałam absolutną pewność, że to się nigdy nie stanie.

Kiedy matka ostatni raz przyłapała mnie, jak „goniłam jak szalona z pogańskimi przyjaciółmi” - to jej słowa - miara się przebrała. Należało podjąć bardziej drastyczne środki, by upewnić się, że nie będę płonąć w wiecznym ogniu piekielnym i nadal jej zawstydząć.

Monsun przybierał na sile, gdy ojciec ciągnął mnie za ramię przez ogród na tyłach misji, a potem dalej, przez resztki zebranej kukurydzy i pola trzciny cukrowej aż do kłębiących się wód Rawi, która płynęła zaraz za misją.

Matka podążała za nami; pomimo wiatru, słyszałam jej zniecierpliwienie, gdy potknęła się o twarde, połamane łodygi, i jej niepewne kroki, gdy próbowała nadążyć za idącym szybko ojcem - i za mną. Nie odwracałam się, bo nie chciałam zobaczyć malującego się z pewnością na jej twarzy wyrazu satysfakcji.

Nie chciałam też, by dostrzegła moją niepewność. Już od dłuższego czasu bardzo mi zależało, by matka nie zobaczyła na mojej twarzy najmniejszej choćby słabości. A już na pewno nie strachu.

Nie mogłam jednak wytłumaczyć nieoczekiwanego przerażenia, które mnie ogarnęło: nie bałam się wiatru ani ulewnego deszczu, ani też samej rzeki - w tych siłach natury nie było nic niezwykłego. To dziwne zachowanie ojca sprawiało, że oddychałam szybko i wpadałam w panikę, a stopy paraliżował strach. Mój ojciec był dobrym, cichym człowiekiem. Chronił mnie przed gniewem matki i w każdej sytuacji zachowywał spokój. Dziś jednak jego nastrój stanowił wierne odbicie panującej pogody.

Rawi płynęła z głuchym, rytmicznym dudnieniem, kiedy zostałam wciągnięta w nurt, a prąd chwycił mnie za spód-



nicę. Choć woda nie była jeszcze bardzo zimna, była błotnista i brudna i pełna śmieci, które ściągała z brzegów.

- Ojciec - powiedziałam. - Spójrz.

Wolną ręką pokazałam wzdęte truchło małego czarnego psa, który płynął na grzbiecie z wyprostowanymi łapami. Sterczały jak maszty pozbawione żagli, a jednak pełne nadziei, że uda im się złapać wiatr. Ten sam wiatr wyswobodził moje włosy ze wstążek i grube pasma zasłoniły mi twarz.

Martwy pies zakreślił się w niewielkim wirze kilka stóp ode mnie i odpłynął. Jego szary język tkwił między zaciśniętymi zębami.

Pomyślałam, że na ten widok ojciec złagodnieje; zawsze poruszał go widok martwych stworzeń, zarówno ludzi, jak i zwierząt.

- Nie każ mi zanurzać twarzy w tej wodzie, ojciec. Proszę.

Obok nas przepłynęły gąbczaste kolby i długi wijący się pas czarnego materiału - zagubiony turban sikha. Zaplątał się w moją spódnicę, która unosiła się niczym brązowy grzyb z serży. W następnej sekundzie materiał wyswobodził się i popędził za martwym psem, jakby go ścigał. Wyrwałam rękę i przywołałam na twarz najbardziej błagalny wyraz, ale ojciec tylko mocniej chwycił mnie za nadgarstek. Mój ojciec, taki łagodny... „Łagodni odziedziczą ziemię”. Ale tamtego dnia nie było w nim łagodności. Jego ręka zaciśnięta na moim nadgarstku była niczym żelazne, zimne okowy. Jak matce udało się go przekonać, żeby przystał na jej niedorzeczny pomysł?

- Ojciec - odezwałam się ponownie - dlaczego to robisz?

Zadałam to pytanie już dwukrotnie, kiedy potykając się podążałam za nim. Nie odpowiedział. Tym razem jednak zamrugał z gwałtownym staccato, jak robi zawsze, gdy jest zdenerwowany lub zdumiony. Kiedy wreszcie się odezwał, jego spokojny łagodny głos zabrzmiał ostro, choć mógł to być efekt wiatru. Zupełnie jakby niektóre słowa były porwane, rozdarte.

- Matka cię widziała - powiedział - z Darshanem i Ja-farem.  
- I co z tego? - zdziwiłam się. Darshan i Jafar byli synami Sanosha, naszego kucharza. Mieszkali w sąsiedniej wiosce Tek Mandi i często odwiedzali ojca w misji. Darshan był dwa lata starszy ode mnie, a jego brat rok młodszy. -I co z tego, ojciec?

- Powiedziała... Powiedziała, że cię widziała... - urwał.

- A co w tym złego? - zapytałam równie ostrym głosem jak ojciec. - Rozmawialiśmy o tym, co się dzieje w Tek Mandi, o meczu krykieta, który rozegrali, o zbliżającym się ślubie ich siostry. - Krzyczałam, by usłyszał mnie w szaleństwie wiatru i wody. - Zagrali też w *goli*; a ja patrzyłam. Jafar zabrał Darshanowi wszystkie kulki. Nie zrobiłam nic złego, ojciec.

- Chcę ci wierzyć, Pree - powiedział i spojrzał na brzeg, gdzie stała matka. Uniosła brodę, a ojciec zamrugał powiekami. Drugą ręką chwycił mnie za kark i powoli mnie przyginał.

Do strachu dołączył teraz szok - ciągle nie wierzyłam, że to robi, a jednak znalazłam dość przytomności, by zanim moja twarz znalazła się pod wodą, zamknąć oczy i zaczerpnąć powietrza. Zacisnęłam usta i wstrzymałam oddech. Woda była tłusta.

Ojciec trzymał mnie pod wodą tylko przez kilka sekund i zaraz potem wyciągnął.

- Czy wyrzekasz się szatana i przyjmujesz Pana do swego serca? - zapytał.

Otworzyłam usta, by powiedzieć tak, tak, podobnie jak odpowiadałam na słowa ojca i wypowiedane przez niego amen podczas porannej modlitwy. Jednak kiedy rozchyliłam usta, i posmakowałam słonawej wody Rawi niosącej ze sobą truchła i bezużyteczne przedmioty, zawahałam się.

- Dalej, Pree - przynaglał mnie ojciec. - Powiedz to. Teraz. Deszcz zaraz zacznie lać.

Patrzyłam na jego szczupłą twarz i dostrzegłam, że skóra

otaczająca jego wąski nos pobieliała. Dobrze zarysowane usta były sinawe pod piaskowym wąsem. W orzechowych oczach, brązowych i błotnistych jak rzeka, nie było cienia współczucia.

Czy przyjął Pana do serca? Czy naprawdę tego chciałam? Kiedy milczałam przez długą chwilę, niebo otworzyło się i deszcz chlusnął na nas z impetem.

Czy to była odpowiedź, na jaką instynktownie czekałam?

Rzęsisty deszcz bębnił o powierzchnię wody i ciał mnie w szyję i twarz. Spojrzałam na brzeg, gdy ojciec trzymał mnie zanurzoną po pas w brudnej wodzie.

Zebrali się tam mieszkańcy misji zaciekawieni dziwnym spektaklem.

Patrzyli, jak ojciec ciągnie mnie przez podwórko i martwe pola.

Glory, *aja* mojej matki, przyszła z pola na brzeg, zakrywając nos i usta granatowym szalem. Za nią stał Sa-nosh; trzymał coś w ręce, ale nie widziałam, co to takiego. Na koniec pojawił się Pavit, nasz trędowaty, podskakując powoli, by dołączyć do reszty. Szedł z wielkim trudem, zniekształconymi rękami podpierał się na dwóch sękatych kijach z drewna mango, by móc się poruszać na owiniętych szmatami stopach. Zazwyczaj nie ruszał się nigdzie w czasie deszczu; teraz trzeba będzie mu zmienić przemoczone bandaże.

Matka stała na przedzie tej małej zagubionej grupki, z rękami zwisającymi bezwładnie wzdłuż ciała. Jej włosy tańczyły szaleńczo wokół głowy; długie rude pasma unosiły się i opadały, unosiły i opadały. Przeszepowała z nogi na nogę, kuląc ramiona w strugach deszczu.

Potem dostrzegłam Kaia, stojącego samotnie z boku z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Jego białe *dhoti* i koszula przykleiły się do bioder i piersi. Gęste czarne włosy oblepiały mu głowę. Nawet z oddali widziałam zarys jego ramion i uniesiony podbródek. Stał wyprostowany, nieruchomy i patrzył na wszystko obojętnie, jakby był jednym z hinduskich kamiennych bożków, nieczułych na deszcz i wiatr.

Kai. Nie widziałam go od trzech dni. A teraz stał tu i był świadkiem mojego upokorzenia. Zawstydzona zamknęłam oczy.

- Pree - powtórzył ojciec zbolalym głosem. Otworzyłam oczy i spojrzałam mu prosto w twarz. - Pree, przyjmij Pana do swego serca. Pokręciłam głową, nadal mocno zaciskając usta.

- Co chcesz osiągnąć przez ten opór, Pree? Wyrzeknij się szatana. Przyjmij Pana Jezusa jako swego zbawiciela. Powiedz, że przyjmujesz Go do swego serca. Powiedz -domagał się, a jego głos współzawodniczył z dudnieniem deszczu. - Powiedz to, bym mógł powtórzyć twojej matce, że żałujesz.

- Nie, nie - krzyknęłam. Słowa wyleciały w górę i popędziły w dół rzeki z taką samą szybkością jak martwy pies. - Nie mam nic do odpokutowania.

- Było to oczywiście wierutne kłamstwo, znałam swoje liczne grzechy. - Nie możesz mnie zmusić. Nie możesz zmusić nikogo, żeby przyjął chrzest, ojcze. Nie jestem już dzieckiem. - Jeszcze bardziej podniosłam głos. - Kiedy byłam mała, postanowiłeś mnie ochrzcić. Ale teraz wybór należy do mnie. Do mnie. Nie do ciebie. A już na pewno nie do matki. Patrzył na mnie zdumiony i znów spojrział na brzeg. Ja też się obejrzałam. Matka podeszła bliżej do spienionej wody. Ze zmarszczonymi brwiami podniosła jedną rękę, jakby pytając, dlaczego ojciec na nią patrzy, i co w ogóle się dzieje. Deszcz zacinał z ukosa; wiedziałam, że jeśli wieczorem rozbolą ją stawy, ja będę temu winna.

- Powiedz to, Pree - powtórzył ojciec, przysuwając twarz do mojej tak blisko, że nie musiał już podnosić głosu. Poczułam zapach kminku. Wiedziałam, że zawstydziłam go w obecności wszystkich, że muszę wypowiedzieć tylko jedno słowo: „Tak”. To wszystko. „Tak, ojcze”. Ale nie mogłam. Uświadomiłam sobie, że nie mogę przyjąć Jezusa do serca;

nie chciałam, by się tam znalazł. Chciałam, by należało tylko do mnie. Czy wiedziałam o tym od zawsze, czy też było to objawienie, które spłynęło na mnie razem z deszczem, pewnie i szybko, z niezachwianym rytmem?

Ojciec zacisnął dłoń mocniej, a jego długie palce objęły niemal całą moją szyję - czułam ich nacisk na jabłku Adama i chciałam zaczerpnąć powietrza. Ojciec zdjął drugą rękę z mojego nadgarstka, jednym szybkim ruchem położył mi ją płasko na piersi i z całych sił zanurzył mnie z powrotem w wodzie. Dusząc się pod naciskiem dłoni na gardle i wstrząśnięta nieoczekiwanym i niepokojącym pojawieniem się jego dłoni na piersiach, nie zdążyłam zaczerpnąć powietrza, zanim woda zakryła mi nos i usta. Tym razem trzymał mnie pod wodą dłużej.

Czułamrozsadzający ból w piersiach, z nozdrzy popłynęły bąbelki powietrza. Próbowałam go powstrzymać, machając rękami i wykrzywiając palce, ale udało mi się tylko chwycić kawałek jego mokrej marynarki.

Kiedy mnie wreszcie wyciągnął, zwalniając nieco ucisk na gardle i zdejmując dłoń z moich piersi, plułam i wciągałam powietrze. Powieki ojca zatrzepotały gwałtownie; jego też oslepiął deszcz. Nagle zrozumiałam, że ma jeden ze swoich ataków. Wywrócił oczy i widziałam pokryte żyłkami białka i brązowy półksiężyc tęczówki. Potem zadrżał, a jego oczy wrócił do normalnej pozycji. Nic nie powiedział, tylko spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam, jakbym była obcą osobą, a nie jego dzieckiem.

Spojrzałam mu w oczy, zanim znów mnie zanurzył. I jeszcze raz. Za każdym razem trzymał mnie pod wodą dłużej i kiedy wreszcie wynurzyłam się po raz piąty czy szósty - straciłam już rachubę - ręce opadły mi bezwładnie wzdłuż ciała i usłyszałam, że ktoś krzyczy. Czy to była matka? Głos był cichy, jakby owinięty wełną i wołał mnie po imieniu. Tyle tylko, że imię, które słyszałam, nie należało do mnie. To nie było *Pree*, lecz coś innego, mimo to rozpoznałam je. Wróciłam

pod ciemną, kipiącą wodę i tym razem przód mojej głowy wybuchnął bólem, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam.

A potem... wszystko było czerwone. *Sara lal hai, sara lal hai*. Wszystko jest czerwone. Te hinduskie słowa przyplłynęły do mnie zamglone jak moje imię.

Wszystko jest czerwone.

Ręce ojca puściły mnie i zdumiona pojęłam, że unoszę się tuż pod powierzchnią wody, a prąd powoli mnie wsysa, ciągnąc ze sobą.

Dlaczego nie stanęłam na nogi albo nie uniosłam głowy? Tonąłam, moja ciężka spódnica, halki i buty ciągnęły mnie w dół, jakby były z ołowiu.

Pod sobą czułam gąbczastą miękkość błota; wiedziałam, że płynę łagodnie tuż nad dnem rzeki, a jednak nie czułam już wcześniejszej paniki. Widziałam siebie unoszącą się spokojnie z włosami falującymi wokół mnie. Byłam rozgwiazdą albo meduzą.

Czerwień, która wybuchła w mojej głowie, jeszcze pojaśniała. Byłam wirującą mgławicą, przygotowującą się, by dać życie nowym gwiazdom; byłam jasnym płomieniem, jedną z lamp zapalanych na Diwali. Byłam kolorowym latawcem, mój sznurek lśnił niebezpiecznie w słońcu, przelatując nad płaskimi dachami Lahore na święto Basant. Byłam częścią wszystkiego, ziemi i nieba, wyrывałam się spod kontroli, wirując coraz szybciej, rzucając lśniące iskry. Pulsujący grzmot tej wspaniałości wypełniał mi uszy.

Umieram, pomyślałam, ale było to dziwnie radosne poczucie. Moja własna *atma* była tylko jedną z wielu dusz, kolejnym istnieniem w kole *Karmy*, które czekało na powtórne narodziny.

Nigdy nie czułam się tak czysta.

Nagle poczułam wstrząs i z wielkim szumem zostałam ściągnięta z nieba, a blask mojego oświetlonego słońcem szkła przygasł w jednej chwili. W tej jednej sekundzie zrobiło mi się żal i poczułam rozczarowanie, że cud przyjdzie. I wtedy płaska dłoń, a może pięść, zaczęła mnie uderzać między łopatkami. Tępe, lecz potężne ciosy wstrząsały całym moim ciałem. Usta rozciągnęły mi się szeroko, początkowo

bezdźwięcznie, a potem długimi wdechami wciągnęłam powietrze do płuc. Próbowałam otworzyć oczy, lecz powieki odmawiały posłuszeństwa. Teraz płonęły płuca jak dotknięte rozpalonym szkłem, zaczęłam wymiotować, wypluwając z siebie Rawi. Dusiałam się, a wtedy ta sama silna ręka pociągnęła mnie za szczękę, by odwrócić mi głowę na bok. A kiedy z gardła płynęła już tylko cienka strużka wody, ktoś uniósł mnie w górę. Deszcz walił prosto w twarz, tak jak pięść uderzała w plecy. Irytujący ruch mojej głowy uderzającej o silną pierś przywiódł odległe wspomnienia, zapomniane aż do dziś. *Sara lal hai.*  
Wszystko jest czerwone.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Matka pochyliła się nade mną, próbując rozpiąć mi stanik, lecz jej wielkie palce walczyły niezgrabnie z małymi kościanymi guzikami. Odsunęłam jej dłoń.

- Daj spokój, Pree. Podnieś się. Zdejmij mokre ubranie.

Próbowałam skupić wzrok na twarzy matki. Wstrzymałam oddech, czując zapach jej gnijących dziąseł. Leżąc na plecach z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wyczułam palcami pod sobą coś dziwnego. Ktoś położył na łóżku plecioną matę, by ochronić pościel przed moim przemoczonym ubraniem.

- Co cię powstrzymywało przed przyjęciem Pana do serca? - zapytała matka, cofając się o krok. Przycisnęła do ust chusteczkę, którą zawsze trzymała w dłoni. Nad kwadratem poplamionego białego materiału jej oczy błysnęły w bladym świetle lampy.

Zrobiło się ciemno - czy był już wieczór, czy tylko niebo przykryły ciemne chmury? Ile czasu minęło od mojego zanurzenia w rzece? Lampa naftowa wisząca na haczyku nad łóżkiem kołysała się lekko w wilgotnym, chłodnym powietrzu, które wpływało przez na wpół otwarte żaluzje. Płomień lampy, choć osłonięty poplamioną szybką, zadrżał. Deszcz nadal szumiał, ale stracił już na sile.

- Dlaczego nie spełniłaś żądania ojca? Odpowiedz, Pree. Długie, mokre pasma włosów oblepiały mi brodę i szyję i słabym ruchem wyciągnęłam rękę, by je odsunąć, lekko odpychając przy tym rękę matki, która znów zawisła nad moim stanikiem. Odsunęła się po raz drugi, szukając za sobą drewnianego krzesła stojącego przy łóżku. Usłyszałam



trzeszczenie jego rozchwianych nóg, gdy opadła na siedzisko z plecionej trzciny. Moje nieoczekiwane milczenie najwyraźniej ją zaskoczyło. Zawsze miałam gotową - zazwyczaj ciętą - ripostę na jej pytania i żądania.

- Niektórzy Hindusi i mieszańcy przyjmują wiarę chrześcijańską - powiedziała w ciszy pokoju - idąc do niej z takim zapalem jak osy do słodkiej wody, a ty, córka pastora Kościoła anglikańskiego, nie chcesz otworzyć serca przed Panem. - Spojrzała na mnie znacząco.

Nadal milczałam. To, co powiedziała, nie było prawdą; nawracanie tubylców nie było proste, przynajmniej dla mojego ojca. Przyglądałam się ceniom tańczącym na ścianie pokrytej łuszczącą się białą farbą. Ich rytm nieoczekiwanie przypominał mi straszliwy i brutalny taniec bogini śmierci Kali. Przed rokiem w Lahore widziałam kiedyś jej wyznawcę kręcącego się na haczykach wbitych w plecy. Na jego twarzy malował się wyraz pobożnego skupienia, kiedy wirował nad głowami tłumu, a ostre haczyki wyciągały mu skórę w zakończone ostro kształty. Pamiętam, jak myślałam, że przypominają trójkąty, namioty i piramidy. Jego skóra wyglądała nienaturalnie, jak wijący się materiał. Stałam, zakrywając usta ręką, nie mogąc oderwać wzroku od naciągniętej skóry i twarzy mężczyzny. Jego usta otworzyły się w niemym krzyku, jednak oczy przypominające kryształ były pełne radości, jakby oglądał coś wspaniałego, czego reszta z nas nie mogła dostrzec.

Zacisnęłam powieki. Wyznawca kaleczący własne ciało, nadzy sadhu rezygnujący z wszelkich dóbr i powoli głodzący się na śmierć, chrześcijanie stający przed lwami - wszyscy cierpiący za swoje przekonania i duchowe poszukiwania wirowali w mojej głowie.

Nie chciałam tego cierpienia. Choć moi rodzice byli misjonarzami, nie chciałam zostać uwięziona w okowach religii i być zmuszana do przyjęcia ich wiary tylko dlatego, że jestem ich córką. Miałam dopiero piętnaście lat - chciałam być wolna, by z czasem podjąć świadomą decyzję.

Otworzyłam oczy. Matka poruszyła się, zasłaniając tańczące cienie. Zatrzasnęła przede mną wizje przedstawiające wirującego na haczykach Hindusa i zabójcze kły lwów. Zamrugałam powiekami.

- No? Co masz do powiedzenia, Pree? Do niczego by nie doszło, gdybyś odpowiedziała ojcu jak należy. Wpędzasz mnie w rozpacz. Dlaczego jesteś taka uparta i nie chcesz przyjąć Pana?

Nadal wpatrywałam się w ścianę.

- Nie wiem, matko - odparłam cicho.

Być może zużyłam już całą energię. To prawda, że byłam zmęczona trwającą nie od dziś walką pomiędzy mną a matką oraz pomiędzy mną a Bogiem.

Byłam również głęboko zaniepokojona faktem, że ojciec uległ żądaniom matki i potraktował mnie z taką bezwzględnością. Nie mogłam zapomnieć jego zwykle łagodnej twarzy, na której malowało się zakłopotanie połączone z nieznaną furją.

Choć kilka razy byłam świadkiem jego gniewu - tylko wtedy, gdy próbował powstrzymać człowieka źle traktującego innego człowieka lub zwierzę - sam nigdy nikogo źle nie potraktował. Oczywiście wiele razy denerwowałam go swoim zachowaniem, ale to matka karała mnie zdecydowanie ręką i kijem i zamykała w składziku. Jedyną reakcją ojca na, jak mawiał, moje wybryki, było wymowne spojrzenie i pytania, na które musiałam udzielić właściwych odpowiedzi.

- Dokąd idą grzesznicy, Pree?

- „Niechaj występni odejdą precz do Szeolu, wszystkie narody, co zapomniały o Bogu”, ojciec. Psalm dziewiąty, wers siedemnasty\*.

- A jak można uciec przed takim losem?

- „Uwierz w Pana Jezusa, a zbawisz siebie i swój dom”.

**\* Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa, 1971 (wszystkie przyp. tłum.).**

Dzieje Apostolskie, rozdział szesnasty, wers trzydziesty pierwszy.  
Kiwał głową i odchodził.

Od chwili, gdy skończyłam dziesięć lat, nabrałam smutnej pewności, że choć mój ojciec jest dobry i życzliwy, ma słaby charakter. Matka tyranizowała go i zastraszała. Nie potrafił postawić się Glory lub Sanoshowi, naszym służącym. Nawet bawolica Marta zniżała uparcie głowę, gdy próbował zaprząć ją do wozu. Nie miał też żadnego duchowego wpływu na tubylców, którzy przychodzili do naszej misji po pomoc medyczną. Odkąd sięgam pamięcią, nie potrafił zaszcześcić chrześcijaństwa nawet w jednym z nich, z wyjątkiem Pavita. Poza czytaniem Biblii i przewodniczeniem w naszej porannej modlitwie, niewiele się wypowiadał na tematy religijne. Pracował w infirmerii, pomagając ludziom. Ale nie zdradzał już pragnienia ani nawet zainteresowania, by mówić pacjentom o Ewangelii.

Siłą i potęgą naszej rodziny była matka, która kazała mi bez końca cytować Pismo Święte, upewniając się, że słowa mocno wryły mi się w serce. Jako żona pastora nie powinna mieć problemów z przywoływaniem prostych fragmentów Pisma, lecz nieraz widziałam, że z coraz większym trudem przypominała sobie poszczególne wersety. Wyglądało na to, że jej pamięć nie jest już tak dobra jak kiedyś, i bardzo ją to gniewało.

Przenosiła ten gniew na wiele rzeczy: na martwe niemowlęta w grobach za budynkiem misji, mrówki w mące, pleśń pełzającą po ścianach, pogarszające się zdrowie. A najbardziej gniewało ją to, że nie potrafiła mnie zmusić, żebym stała się taką młodą kobietą, jaką pragnęła mnie widzieć.

Byłam świadkiem jej gniewu, a jako mała dziewczynka -jego ofiarą. Nie próbowałam zrozumieć jej gniewu, po prostu go akceptowałam. Ale ten czas dawno już przeminął i nie pozwalałam jej, by traktowała mnie jak ojca lub inne osoby w misji. To nie ja przywiozłam ją tutaj, do tej popadającej w ruinę misji, która stała przy pokrytej kurzem wąskiej,

wiejskiej drodze biegnącej od Grand Trunk Road. To nie ja wybrałam dla niej życie w pobożnym ubóstwie. Nie ja byłam odpowiedzialna za jej nieszczęście. I nie można mnie było za to obwiniać.

Moja matka była wysoka, niemal tak wysoka jak ojciec, i koścista; nadgarstki i obojczyki ostro rysowały się pod skórą. Miała duże i stale czerwone dłonie. Gęste, kręcone włosy, niegdyś niemal pomarańczowe, miały teraz kolor wyblakłego kasztana i opadały na ramiona wijącymi się pasmami. W przeciwieństwie do ojca mimo swojej karnaq'i, nie była wrażliwa na słońce i rzadko nosiła nakrycie głowy. Jej skóra była usiana piegami, które z upływem czasu i przy nieustannym przebywaniu na słońcu zdawały się zlewać w ciemne plamy. Zwykle nosiła luźną, pomiętą bawełnianą suknię bez żadnych przybrań, nawet bez koronki przy kołnierzyku. Kiedy pracowała w infirmerii, często rozpiniała kołnierzyk i mankiety, a w rzadkich okazjach nawet podwijała rękawy, obnażając piegowate nadgarstki i przedramiona. Kiedyś usłyszałam, jak ojciec cicho zwraca jej uwagę.

- Matko - upominał. Zawsze zwracał się do niej „matko”, kiedy byliśmy sami, i „pani Fincastle” w obecności obcych, nawet tubylców, którzy nie rozumieli angielskiego. Spojrzał na drzwi i skinął głową: na werandzie stało dwóch Hindusów, jeden mocno kulejący i podtrzymywany przez drugiego. - Twoje rękawy - dodawał cichym, zdecydowanym głosem. Matka uniosła brodę.

- Pozwolę sobie przypomnieć, wielebny, że nie jesteśmy w salonie w Londynie. - Zwracała się tak do niego zarówno w cztery oczy, jak i publicznie. - Będę podwijać rękawy, jeśli tylko będę miała ochotę. Tak zwykle wyglądała wymiana zdań pomiędzy rodzicami: on czegoś żądał, ona się sprzeciwiała.

Choć matka nie darzyła ojca szacunkiem, stale zameczała go swoimi problemami zdrowotnymi. Domagała się jego uwagi, szukając współczucia. Zdrowie było jej ulubionym

tematem; podkreślała, że nie służy jej życie w Indiach. Omawiała przypadki z książek medycznych z infirmerii i widząc u siebie podobne objawy, twierdziła, że musiała gdzieś się zarazić. Od czasu do czasu próbowała przekonać ojca, żeby puścił jej krew, by oczyścić organizm. Jednak on zbywał wszystkie błagania i tylko potrząsał głową, najwyraźniej zaniepokojony żądaniem matki, by inwazyjnym leczeniem wyzwolić jej ciało od toksyn. I choć powtarzał, by nie przyjmowała już lekarstw, nadal piła ka-lomel. Kiedy kilka lat temu zapytałam ojca, co matka tak często zażywa, wyjaśnił, że jest to kredowa mieszanina rtęci i chloru. Pokręcił przy tym głową, spoglądając na pola z posepnym wyrazem twarzy.

- Pomimo tego, co jej powtarzam, nadal wierzy, że to chroni ją przed wieloma chorobami lub wyleczy te wyimaginowane, na które cierpi. Zdobywa kalomel od kogoś w Lahore, choć ja go już nie zamawiam. Nigdy nie udało mi się odkryć, skąd to bierze ani gdzie ukrywa. - Przeniósł wzrok z pól na mnie. - Stąd jej problemy z ustami.

Zawsze myślałam, że stan ust matki jest efektem gnijących zębów lub choroby dziąseł; widziałam to wiele razy w infirmerii. Teraz jednak zrozumiałam, że to efekt długo zażywanego kalomelu. Ślina częściej napływa do ust i matka musiała przyciskać do warg chusteczkę, by wycierać ciekącą strużkę. Chusteczka była także przejawem próżności, bo kalomel wywoływał powolne gnicie dziąseł. Czasami krwawiły, a zęby matki były brązowe i miękkie i groziły wypadaniem. Wszystko to razem wywoływało odór psującego się mięsa. Często owiewał mnie ten gorący, śmierdzący oddech, czasami przyprawiony pienistą śliną, która spadała mi na twarz, gdy matka chwyciła mnie i przyciągała do siebie, besztając za różne przewinienia.

- Czy z jej ustami będzie gorzej? - zapytałam ojca. Skinął głową.

- Tak. I może też... - urwał i odwrócił wzrok.

- Co też? - podchwyciłam, ale nie chciał już o tym mówić.

Wyraz jego twarzy kazał mi w nocy iść ze świeczką do infirmerii i spędzić tam sporo czasu na przeglądaniu zakurzonych książek. W końcu znalazłam to, czego szukałam, w *Medycynie domowej* Buchana.

Przysuwając świeczkę bliżej do tekstu, przeczytałam, że kalomel ma właściwości lecznicze w przypadku cholery i jest środkiem dezynfekującym, ale powinno się go zażywać tylko w małych dawkach i krótko z powodu efektu, jaki wywiera na usta.

Jednak najbardziej wstrząsającym odkryciem, o czym ojciec mi nie powiedział, było to, że rtęć zawarta w kalomelu może również wpływać na mózg, wywołując obłąd.

Kiedy leżałam na łóżku w mokrym ubraniu, opuściła mnie wszelka chęć walki. Tego szczególnego wieczoru, kiedy monsuny szalały na równinach północnych Indii, nie miałam już ani krzty energii, by spierać się z matką. Z pewnością ten nietypowy dla mnie letarg był bezpośrednim wynikiem ciężkiej próby, jaką właśnie przesłam.

Jednak może ze względu na mój stan, udało mi się w niewielkim stopniu zrozumieć ciągle niezadowolone matki. Czy zawsze taka była?

Spojrzałam na nią; przyglądała mi się z dziwnym, ostrożnym wyrazem twarzy.

- Nie wiesz, dlaczego nie możesz przyjąć Pana do swego serca? To twoja odpowiedź? Nie wiesz? Ty, córka misjonarzy, zrodzona w domu, w którym zawsze otaczano Pana najwyższą czcią, który trwa dotąd dzięki temu oddaniu? Nie wiesz, dlaczego nie możesz czuć tego, co czujemy razem z ojcem?

- Tak. Nie wiem - powtórzyłam, nagle rozdrażniona, a nawet rozgniewana jej natarczywymi pytaniami. Zwłaszcza po tym, co właśnie przesłam, odnalazłam dawną siłę i usiadłam. - Nie wiem. Ale nie mogę. Po prostu nie mogę, matko.

Kiedy wpatrywałam się w nią uporczywie, mój głos wzniósł się do niebezpiecznego poziomu. Wiedziała, że mówię prawdę, bo na jej twarzy pojawił się nagle ostry i zaniepokojony wyraz, a to tylko dodało mi sił. Czułam też dziwną, podszytą lekkim poczuciem winy radość, że wprawiłam ją w zakłopotanie.

- Jak ojciec mógł mnie potraktować tak okrutnie? - zapytałam jeszcze głośniejszym głosem. - O mało nie utonąłam - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to gniewnie, ale nie do końca mi się udało. Rozpięłam stanik sukni i zsunęłam go z ramion.

Matka wstała z krzesła, a suche drewno wydało z siebie cichy pisk ulgi. Prostując ramiona, odwróciła się, nie chcąc patrzeć, jak się rozbieram.

- W dodatku brakuje ci skromności - powiedziała. Przerwałam zdejmowanie mokrej halki, bo nagle przypomniałam sobie uwagę ojca na temat Darshana i Jafara.

- Dlaczego powiedziałaś ojcu o mnie i synach Sanosha? - zapytałam. - Jakie kłamstwa zmyśliłaś, by go przekonać, że musi mnie jeszcze raz ochrzcić?

Matka odwróciła się do mnie. Usłyszałam tylko cichy odgłos ssania, gdy próbowała połknąć nadmiar śliny.

- Matko?

- Jesteś za duża, by uganiać się za chłopcami - powiedziała.

- Uganiać się? Nie ganiałam, jak to nazywasz, już od dawna. - Kiedy byłam znacznie młodsza, na pewno byłam dość dzikim i nieposłusznym dzieckiem. Rodzice zawsze byli bardzo zajęci, a ja nie miałam niani, która by mnie pilnowała, jak inne dzieci w angielskiej dzielnicy w Lahore.

Ale tamte czasy już dawno minęły. A insynuacje matki, że nadal jestem tym brudnym, niesfornym dzieciakiem, obrażały mnie.

- Darshan i Jafar wpadli, by odwiedzić ojca. Ja tylko z nimi rozmawiałam i patrzyłam, jak grają w kulki. Znam ich od dawna, od czasu, gdy zjawił się tu Sanosh, a ja byłam

dzieckiem. Wiesz o tym. Są moimi przyjaciółmi. - Rzuciłam buty na podłogę z gniewnym hukiem. Na ten dźwięk matka odwróciła się.

- To z pewnością nie są twoi przyjaciele. I nie powinnaś mieć już z nimi nic wspólnego. Zabraniam ci rozmawiać z tymi młodymi mężczyznami. Koniec dyskusji na ten temat. - Mlasnęła językiem. - Zakryj piersi.

Ignorując jej nakaz, w samych tylko bawełnianych reformach usiadłam na brzegu łóżka i zaczęłam zdejmować pończochy. Otworzyłam usta, by zacząć się z nią spierać, gdy szła przez pokój, ale zaraz je zamknęłam i tylko się jej przyglądałam.

- Matko? - Wyciągnęłam koszulę nocną spod poduszki. -Matko - powtórzyłam głośniej, przeciągając koszulę przez głowę i wsuwając ręce w rękawy.

Stała przy drzwiach, ale obejrzała się na mnie. Zdjęłam reformy pod koszulą.

- Co się stało? Dlaczego ojciec mnie puścił? - Przypomniałam sobie teraz ciche okrzyki. Zrzuciłam wilgotną matę z łóżka na podłogę i położyłam się, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

Wyraz jej zmienił się, jak gdyby spierała się z sobą w duchu.

- Twój ojciec miał jeden ze swoich... ataków - powiedziała w końcu, a ja nagle przypominałam sobie, jak jego oczy wywróciły się w wykrzywionej twarzy. - On... nie mógł cię już dłużej utrzymać i wymknęłaś mu się z rąk. Wiesz, że czasami go to nachodzi - powiedziała, akcentując każde słowo w bardzo nietypowy dla siebie sposób.

Kiedy ojciec od czasu do czasu cierpiał na skurcze w piersiach, serce zaczynało mu dygotać i ogarniała go słabość. Zalewał się potem i musiał usiąść, rozpinając kołnierzyk i chwytając łapczywie powietrze.

- I puścił cię - powtórzyła matka powoli, starannie wypowiadając każde słowo. Patrzyła na mnie, jakbym była głucha i musiała czytać jej z ust, żeby zrozumieć. - Musiał



puścić. Sam wpadł do rzeki. Sanosh i Kai pobiegli, by go podtrzymać i wyciągnęli na brzeg. Ty... ty tam... stałaś, jestem tego pewna. Jestem pewna, że widziałam, jak stoisz - powiedziała zbyt głośno. Obronnym tonem. - Martwiliśmy się o twojego ojca. Ale potem... nie wiedzieliśmy... Sanosh i Kai nadal pomagali mu wyjść z wody, a ja... martwiłam się o niego, oczywiście, podczas gdy ty...

- Co ja? - przerwałam. - O mnie nie należało się martwić? Mogłam utonąć.

- Wszystko stało się tak szybko, a w deszczu mało co było widać, ale Kai wbiegł z powrotem do wody i znalazł cię. Wyciągnął cię i zaniósł do domu. - Sprowokowana mówiła szybko głosem równie twardym i rozgniewanym jak mój. Cały czas wycierała ślinę ciekącą po brodzie. Przesunęła się w ciemność przy drzwiach i nie widziałam już jej twarzy. Leżałam w kręgu światła. Przy lampie miotła się srebrna ćma, dotknęła szkła i zadrżała w ekstazie, po czym wpadła w fałdy mojej koszuli.

- Nie pamiętasz, że to Kai przyniósł cię tutaj? - zapytała i w tej sekundzie zastanowiłam się, czy to naprawdę ona krzyczała. Czy krzyczałam ja? A może tylko słyszałam krzyk w swojej głowie, który był wynikiem walki o każdy oddech? O czym myślałam, gdy zapadałam się w nicość? O czymś niepokojącym, o czymś...

- Nie zapomnij wypchać butów - powiedziała, stając w otwartych drzwiach - bo się skurczą.

- Nigdy już nie wrócę do składziku - powiedziałam cicho. Chciałam, żeby zrozumiała, co ten dzień dla mnie uczynił. - Nie jestem już dzieckiem, które można tak głupio karać.

Nie odpowiedziała, tylko zamknęła za sobą drzwi.

Ujęłam ćmę za nieruchome skrzydła i przyjrzałam się jej. Nie mogłam sobie przypomnieć jej łacińskiej nazwy; zapytam jutro Kaia. Pochyliłam się i położyłam owada na butach po drugiej stronie łóżka.

- O mało nie utonęłam - powtórzyłam cicho w pustkę

pokoju. A gdyby Kai nie wrócił właśnie tego dnia? Kiedy matka, Glory Sanosh lub Pavit zauważyliby, że zniknęłam? Czy matka wysłałaby po mnie Sanosha, czy też sama we-szłaby do brudnej, rwącej rzeki, by mnie szukać tylko po to, by przekonać się, że jest już za późno, że porwał mnie prąd?

Wiedziałam, że gdybym utonęła, ojciec nie mógłby z tym żyć. Byłby to z pewnością ostatni cios dla jego już zachwianej wiary; nie mogłam sobie wyobrazić, jak ciągnąłby to dalej. Ale czy matka czułaby się za to odpowiedzialna? Czy gryzłyby ją wyrzuty sumienia? Z pewnością opłakiwałaby utratę jedyne żyjącego dziecka, ale czy zaakceptowałaby to jako wyrok Boga i uznała za kolejny filar swego męczeństwa?

Naciągnęłam na siebie cienką kołdrę i odwróciłam się na bok. Poduszka była już przemoczona od moich gęstych, mokrych włosów. W migotliwym cieniu spojrzałam na kupkę zmoczonych ubrań i ciężkie zniszczone buty z odwijającymi się już cholewkami.

Próbowałam sobie przypomnieć, co wydawało mi się takie realne i przerażające, kiedy znalazłam się w tym dziwnym stanie pod powierzchnią Rawi.

Do domu przyniósł mnie Kai. To o jego pierś opierałam głowę. Chciałam przypomnieć sobie dotyk obejmujących mnie jego ramion.

A potem pomyślałam o twarzy ojca unoszącej się nade mną, o jasnych włosach otaczających ją niczym szalona aureola. Ufałam mu, a on mnie zawiódł.

Paliły mnie oczy i choć mocno zacisnęłam powieki, po twarzy popłynęły gorące łzy - łzy gniewu i zakłopotania. Nie mogłam ich powstrzymać.

Próbowałam zasnąć, żeby ten straszny dzień wreszcie się skończył.

Ale sen nie nadchodził. Płakałam, licząc, ile razy w wilgotnej ciemności rozlegnie się głos gwarka. Szesnaście razy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Stale liczyłam. Osiem było moją ulubioną liczbą; kiedy znalazłam coś, co w sumie dawało osiem - w przyrodzie bądź wśród wynalazków człowieka - uważałam, że to zwiastun powodzenia. Każda wielokrotność ośmiu mogła również zapowiadać pozytywny rezultat.

Liczyłam schody, po których wchodziłam, chmury nad głową, jasnozielone papużki siedzące rano na drzewie figowca na podwórzu, lśniące miedziane garnki, które Sa-nosh ustawiał przed rasoż, kiedy przygotowywał dla nas jedzenie, oraz ryknięcia Marty, kiedy czekała, by ją rano wydoić. Liczyłam szpilki we włosach matki; liczyłam, ile razy ojciec powiedział „chwała Panu” podczas porannej modlitwy.

Do niedawna ojciec często opowiadał mi o różnych sprawach; informował o wydarzeniach w Pendżabie, o których słyszał w Lahore, i czasami nawet pytał o moje zdanie. Uświadomiłam sobie, że traktuje mnie z pewnym szacunkiem, dlatego też jego próba ochrzczenia mnie wbrew mej woli była tak szokująca.

Rankiem w dzień mojego chrztu ojciec powiedział „chwała Panu” jedenaście razy, co zawsze było dla mnie pechową liczbą. Teraz zastanawiałam się, czy był to zwiastun późniejszych wydarzeń. Próbując zrobić ze swej córki gorliwą chrześcijankę, ojciec jeszcze bardziej odsunął mnie od swojej wiary.

Moim ojcem był wielbny Samuel Fincastle z Londynu, który założył misję na przedmieściach Lahore, kiedy miałam niewiele ponad dwa lata. Jego ojciec był na tyle zamożny, że syn mógł wybrać sobie zawód; ojciec uczęszczał do Królewskiego Kolegium Chirurgów w Londynie, gdzie nauczył się, jak działają poszczególne organy, potrafił nastawiać kości i leczyć choroby oczu i skóry. Wyobrażał sobie, że będzie to jego zawód. Jednak pewnego dnia, kiedy w ponurej piwnicy we wschodnim Londynie pochylał się nad zmasakrowanym ciałem dziecka, które wpadło pod kopyta rozszalałych koni, poczuł inne powołanie. Nigdy się nad tym nie rozwodził, powiedział tylko, że kiedy patrzył na dziwne światło wypełniające buzię umierającego dziecka, ogarnęło go przemożne pragnienie, by pomóc biednym pogańskim duszom odnaleźć drogę do zbawienia. Studiował potem teologię, a dzięki pewnemu pastorowi, który spędził w Indiach dwadzieścia lat, poczuł, że i jego wzywa ten dziwny i niepokojący kraj.

Kiedy przyjechał do Indii, nie był już młody; ukończył studia już po trzydziestce i wtedy znalazł środki, by ożenić się z moją matką, młodszą o piętnaście lat. Do Indii przyjechał w 1849 roku, by głosić słowo Boże i opiekować się chorymi. Jego pierwsza, niewielka misja znajdowała się w Allahabadzie leżącym w połowie drogi między Kalkutą na południowymwschodzie i Delhi na północnymzachodzie. Choć rodzice pobrali się rok przed wyjazdem ojca z Anglii, trudny poród matki nie pozwolił jej towarzyszyć ojcu.

Mały Elijah przyszedł na świat cztery miesiące po wyjeździe ojca. Mój starszy brat żył niecałe dwa lata. Urodził się z wykrzywionym kręgosłupem i słabymi płucami. Był tak delikatnego zdrowia, że matka nie mogła go zabrać w długą i męczącą podróż morską do Indii. Kiedy w końcu jego słabe ciało zaprzestało walki, matka po okresie żałoby popłynęła do Indii i dołączyła do ojca pod koniec 1853 roku.

Nie widzieli się prawie cztery lata.

Wspólnie utrzymywali misję w Allahabadzie przez kolejne trzy lata; moja siostra Alice Ann tam się urodziła i tam umarła. Ja też przyszedłam tam na świat 17 sierpnia 1856 roku. Przeprowadziliśmy się na północ do Pendżabu, by założyć tę misję w 1858 roku, kiedy na północy Indii wygasły ostatnie płomienie trwającego dwa lata powstania sipajów - hinduskich żołnierzy służących w armii brytyjskiej - przeciwko Anglikom.

Ponieważ rodzicom nie udało się nawrócić Hindusów i muzułmanów mieszkających w okolicach Allahabadu, liczyli, że powiedzie im się lepiej w północnym Pendżabie, nadal niespokojnym po niedawnym rozlewie krwi. Wyobrażali sobie, że wykorzystają wyrzuty sumienia tubylców wywołane zbrodniami przeciwko Europejczykom. Na pasku ziemi przyznanej ojcu przez Kościół anglikański zbudowali misję z infirmerią, która znajdowała się trzy godziny jazdy wozem od wielkiego miasta Lahore.

W ciągu następnych kilku lat w nowej misji na świat przyszło moje rodzeństwo: Elizabeth i Gabriel, który urodził się, gdy miałam sześć lat. Podobnie jak Alice Ann, ani Elizabeth, ani Gabriel nie żyli długo. Nie pamiętam Elizabeth ani nic z tamtego okresu, a moje wspomnienia zaczynają się tuż przed śmiercią Gabriela. Pamiętam doskonale jego płomiennie rude włosy, takiego samego koloru jak niegdyś włosy matki, i drobną buzię białą jak kreda. Jego wysoki, drżący płacz przypominał miauczenie kociaka. Płakał całymi dniami i nocami, bez końca, tak przynajmniej mi się wydawało. Pewnego ranka, kiedy się obudziłam, uświadomiłam sobie, że dźwięk, który się rozlega, nie jest płaczem mojego braciszka, lecz jękiem matki. Wiedziałam już, że Gabriel umarł i poleciał do nieba na skrzydłach chwały, by dołączyć do Elijaha, Alice Ann i Elizabeth. Był kolejnym dzieckiem, które razem z jagniątkami siedziało u stóp Jezusa. Kolejnym aniołkiem, spoglądającym na mnie z góry.

Gabriel żył dłużej niż dwie urodzone przed nim dziew-

czynki, przeżył niemal cztery miesiące, nim ten kraj upomniał się o niego. Choć Elijah był pochowany w Anglii, a Alice Ann w Allahabadzie, na naszym cmentarzu przy misji stały cztery nagrobki, bo matka nie mogła znieść myśli o porzuceniu wspomnień. Na gładkiej powierzchni niedużych kwadratowych kamieni z białego marmuru wykuto imiona dzieci. Stały na ogrodzonym terenie w cieniu palisandra na oczyszczonym kawałku pola za misją. W wilgotnym powietrzu imiona zazieleniły się i zarosły mchem, a ja często przesuwałam palcami po ich puszystych kształtach. Jednym z moich cotygodniowych zajęć było pielenie cmentarzyka i przycinanie czerwonych, różowych i białych niecierpków zasadzonych przez matkę na każdym grobie oraz zmywanie z każdego kamienia letniego kurzu i błotnistych resztek monsunów. Z czwórki dzieci Fincastle żadne nie żyje. Zostałam tylko ja, ochrzczona jako Priscilla, lecz nazywana Pree, bardzo ruchliwa w tej popadającej w ruinę misji, która zależnie od pory roku stała w gnijącej roślinności lub kurzu Pendżabu.

Rankiem po moim pechowym chrzcie wzięłam małe lusterko z emaliowaną rączką, które znalazłam w ostatnim pudle z darami, i przyjrzałam się swemu odbiciu. Spojrzałam najpierw na brązowe oczy ze złotymi plamkami, a potem przesunęłam lusterko, by obejrzeć nos, usta, brodę i na koniec szyję. Ciemniały tam powoli siniaki pozostawione przez palce ojca, zupełnie jakby do szyi przylgnęły mi płatki bratków.

Położyłam palce na okrągłych plamach, zastanawiając się, jak teraz będziemy się z ojcem zachowywać w stosunku do siebie.

Pomimo szoku i gniewu, jakiejś części mnie było go żal. Wiedziałam, że nie chciał mnie skrzywdzić, że przejmie się na widok dowodów swojej nigdy wcześniej nieokazywanej brutalności, której dopuścił się w stosunku do swego

jedynego żyjącego dziecka. Nic jednak nie można było zrobić z siniakami. Miałam tylko trzy sukienki, a żadna nie miała kołnierza na tyle wysokiego, by zakryć posiniaczoną szyję.

Usłyszałam ruch po drugiej stronie ściany, która oddzielała mój pokój od sypialni rodziców: zwykły suchy kaszel ojca i coraz głośniejszy zachrypnięty głos matki. Mój niewielki pokój niemal w całości wypełniało wąskie łóżko z wysokimi drewnianymi słupkami, przysłonięte w gorących i wilgotnych miesiącach poszarzałą moskitierą. Zapadający się materac był wypełniony filcem; co roku musiałam go otwierać i wymieniać twardy spłaszczony środek. Po jednej stronie łóżka na podłodze leżała ostra mata z włókna kokosowego, a na niej stało krzesło z siedziskiem z trzciny. Była jeszcze wysoka komoda z drewna mangowego, na której stał namalowany na drewnie obrazek Czerwonego Fortu, który Kai przywiózł mi z jednej wypraw do Delhi. Moje sukienki i halki wisiały na wbitych w ścianę gwoździach.

Trzymając nadal dłoń na gardle, podeszłam do okna i popatrzyłam na ogród na tyłach, gdzie stały trzy proste, jednoizbowe chaty należące do Glory Kaia i Pavita. Zbudowano je z cegieł robionych z piaskowca, melasy, pyłu ceglanego i ciętych konopi *pukkha*, które po wyschnięciu były twardsze od kamienia. Każda chata miała niskie wejście zasłonięte kotarą i jedno niezakryte okno na tyłach.

Chciałam podziękować Kaiowi za to, co zrobił wczoraj. Podziękować, że uratował nie moją duszę, jak chciał ojciec, lecz życie. Skrzywiłam się na myśl, że Kai, który mnie podtrzymywał i walił w plecy, widział, jak wymiotuję i wypluwam obrzydliwą wodę z rzeki. Miałam nadzieję, że będzie dziś w misji; coraz częściej znikał na całe dni, a kiedy go nie było, czekałam jakby zawieszona w dziwnej pustce. Wyglądałam go i nasłuchiwałam jego pogwizdywania, kiedy szedł drogą, machając rękami w rytm kroków. Czasami ukradkiem zaglądałam do jego chaty przed pójściem

spać, by się upewnić, że leży na plecionym ze sznurka łóżku, czytając lub studiując jedną ze swoich map.

Dziś rano nie było żadnego śladu jego obecności.

Rzucając w lusterku ostatnie spojrzenie na swoją szyję, cicho otworzyłam drzwi mojego pokoju, które prowadziły bezpośrednio do jadalni.

Stał tam kwadratowy stół z poplamionego drewna sosnowego, przykryty przez cały czas wytartym obrusem z adamaszku, który miał zasłonić jego marny wygląd. Wokół stołu ustawione były cztery krzesła w stylu królowej Anny z siedziskami wyłożonymi wypłowiałym bordowym aksamitem. Obok stał kredens z porcelanowym serwisem i srebrnym kompletem do herbaty na tacy. Jedne drzwi prowadziły do saloniku, a boczne po drugiej stronie na werandę w kształcie litery L, która biegnąc od frontu, opasywała bok budynku. Okna z żaluzjami w jadalni i saloniku wychodziły na drogę.

Ojciec siedział przy stole tyłem do drzwi i ze spuszczoną głową czytał Biblię. Niepokoiła mnie myśl, że mam usiąść naprzeciwko niego z siniakami na szyi, które niemal krzyczały o tym, co zaszło minionego dnia.

Choć byłam ubrana do pracy w infirmerii w prostą, bawełnianą sukienkę i biały fartuch, miałam bose stopy. Nie wypchałam butów zgodnie z zaleceniem matki i kiedy próbowałam wsunąć do nich stopy w fildekosowych pończochach, skóra była nadal mokra i zimna, a buty za ciasne. Zdjęłam więc pończochy i na palcach przeszłam za plecami ojca, pragnąc bezszelestnie się cofnąć. Stałam już niemal na progu, kiedy zatrzeszczały wybrzuszone od wilgoci deski.

Spojrzałam na ojca niemal z poczuciem winy, ale w tej samej chwili zapytałam samą siebie, dlaczego mam czuć się winna. Podniósł głowę ostro jak ptak, odwrócił się, a potem wstał, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Spoj-



rzałam na jego dłoń, próbując przywołać szok i wściekłość, które czułam wieczorem, leżąc w łóżku i rozmyślając nad dziwnym zachowaniem ojca. Patrzyłam na jego palce, długie i blade, na kilka rzadkich włosów i nie mogłam odnaleźć w sobie gniewu.

- Pree - powiedział. - Proszę.

Przeniosłam wzrok z jego palców na rękaw. Był ubrany w czarną marynarkę zamiast zwykłej, codziennej. Miał dwie: tę czarną, lepszą, i drugą z wytartego tweedu. Wiedziałam, że włożył niedzielną, bo tweedowa była nadal mokra po wczorajszym zajściu. W porze monsunów nic nie schło. Dziś wieczorem na tweedzie pojawi się cieniutka warstwa zielonej pleśni, którą trzeba będzie szybko wyszczotkować, by ojciec znów mógł włożyć marynarkę.

- Chcę cię prosić o wybaczenie. Nie wiem, co mnie wczoraj opętało - powiedział.

Wreszcie spojrzałam mu w twarz. Jego oczy miały czerwone obwódki, a rysujące się pod nimi cienie były ciemniejsze od moich siniaków.

Wiedziałam, że nie spał dobrze, może w ogóle nie mógł usnąć.

- Jesteś trudnym dzieckiem, Pree - powiedział. - Nie. Nie jesteś już dzieckiem. Jesteś trudną, młodą kobietą. I dlatego razem z matką oczekujemy od ciebie więcej.

- To nie powód, by mnie traktować jak wczoraj - odparłam bezbarwnym głosem i uniosłam rękę, by pokazać ciemne plamy na szyi.

Przesunął wzrok w stronę planu i skrzywił się, jakby przeszył go ból w piersiach, ale wiedziałam, że powodem są ślady jego palców na mojej skórze.

- Tak. Masz absolutną rację. Moje zachowanie było zupełnie bezpodstawne.

- Zrobił to ojciec wyłącznie za namową matki. Chciałam, żeby przyznał mi rację i obwinił matkę za swoje postępowanie.

- Nie. Ja też wierzę, że chrzest mógł okiełznać twój krnąbrny charakter, gdyby...

- Ale to matka podsunęła ojcu taki pomysł - przerwałam mu.

Zdjął rękę z mojego ramienia.

- Usiądź teraz, Pree, i zjedz śniadanie - powiedział. -Czy przyjmiesz moje przeprosiny?

- Tak. - Wybaczyłam mu, gdy patrzyłam na jego palce na moim ramieniu; żałosne włoski wzbudziły współczucie. -Ale czy ona ojca do tego nie zmusiła? Ojciec sam nigdy...

- Dość już, Pree - powiedział wolno i z naciskiem. Wrócił na krzesło i wziął do ręki Biblię. - No już. Usiądź.

Podeszłam do stołu, ale nie usiadłam. Stałam za moim krzesłem, ściskając oparcie.

- Nie będziemy więcej o tym rozmawiać - oświadczył ojciec, unosząc brodę, gdy nagle rozległo się szuranie. -Mam nadzieję, że idzie Sanosh z owsianką. Spóźnia się dziś rano.

Na werandzie nie pojawił się jednak Sanosh, lecz matka, która wyszła z sypialni. Miała rozpuszczone, splątane włosy, przeszła w szlafroku przez salonik i oparła się ciężko o drzwi jadalni.

- Gdzie jest Glory? Jeszcze nie przyszła, by się mną zająć - powiedziała z rozdrażnieniem.

- Pomóż matce, Pree - poprosił ojciec głosem tak zmęczonym i pełnym smutku, że odwróciłam się w milczeniu i poszłam za matką do jej pokoju. Nie mogłam zacząć tego dnia kolejnym buntem, kolejnym wybuchem złego humoru. Ojciec powiedział prawdę; nie byłam już dzieckiem, lecz młodą kobietą.

Trudno było szczotkować włosy matki - mimo że ostatnio znacznie się przerzedziły - jej cenną szczotką z szylkretową rączką i włosiem z dzika. Włosy były brudne, opadały na plecy prostymi pasmami wydającymi tłusty odór i trudno było upiąć jej ulubioną fryzurę. Kosmyki wymykały się we wszystkie strony spod cienkich metalowych szpilek, które podawała mi jedna po drugiej.

- Nie robisz tego jak należy - poskarżyła się w końcu

matka, ujmując leżący na kolanach talerzyk ze szpilkami i stawiając go z hukiem na toaletce. Część szpilek wysypała się na zniszczony blat. Ani słowem nie skomentowała mojej posiniaczonej szyi; czy w ogóle ją zauważyła? - Sprowadź tu Glory. Jest w zasadzie bezużyteczna, ale przynajmniej potrafi upiąć włosy.

Wyszłam z pokoju, mijając ojca, który siedział teraz pochylony nad miską, którą zapewne przyniósł Sanosh. Widziałam zbyt bladą skórę na jego głowie. Nadal czytał, powoli wsuwając do ust łyżkę pełną gęstej, parującej masy. Bez względu na porę roku ojciec co rano jadł gorącą owsiankę.

Skierowałam się do chaty Glory. Leżała na łóżku wyciągnięta na boku, leniwie przymierzając szklane bransoletki. Na narzucie leżało zjedzone do połowy *roti*.

- Matka na ciebie czeka - powiedziałam, kiedy spojrzała na mnie trochę beczelnie, zdejmując bransoletki. Zadzźwięczały, gdy włożyła je z powrotem do pudełka zdecydowanym, lecz poirytowanym ruchem.

Na widok świeżego *roti* mój żołądek ścisnął się z głodu, ale nie chciałam siedzieć z ojcem w jadalni. I nie miałam ochoty na mdłą owsiankę polaną masłem i posypaną solą, co zdaniem ojca dodawało jej smaku.

Poszłam do *rasoi*, kuchennej chaty stojącej z boku werandy, gdzie przygotowywano jedzenie dla misji. Sanosh nie spojrzał na mnie, zajęty przyrządzaniem większej ilości ciasta. Zwijał je w kulki, które potem rozprostowywał, przerzucając z ręki do ręki, by na koniec rzucić na gliniany piec. Kucnęłam przy nim, jak to często robiłam jako dziecko, i wachlowałam ogień wiązką cienkich, wysuszonych gałązek, by podtrzymać żar; upieczenie każdego *roti* zajmowało jedynie kilka minut. Machając gałązkami, spojrzałam na drogę biegnącą za płotem. Płoty, które oddzielały farmy, a nocą stanowiły zagrodę dla zwierząt, były utwardzane błotem, lecz nasz był drewniany, co - zdaniem moich rodziców - było stosowne dla misji. Patrzyłam na rolnika z wozem wypełnionym ogromną ilością siana. Za misją kilka *koss* w jednym kierunku leżało Tek Mandi, w drugim wioska Dipha. W okolicy było również kilka innych pozbawionych nazwy osiedli. Tam w chatkach z błota krytych strzechą mieszkali rolnicy pracujący na otaczających je polach; to oni wraz z rodzinami stanowili większość naszych pacjentów.

Wątpiłam, by Kai wybrał się do jednej z tych wiosek, bo nie było tam nic, co mogłoby zainteresować kogoś takiego jak on. Z pewnością udał się na południe, odbył dziesięcio-minutowy spacer do Grand Trunk Road, a teraz znajdował się w drodze do Lahore.

Droga ciągnąca się setki kilometrów na północ, wiodła do Rawalpindi oraz do północnozachodniej granicy i miasta Peszawar. Za Peszawarem leżała przełęcz Chajber prowadząca do Afganistanu. Choć nigdy nie byłam dalej niż w Lahore, studiowałam w dzieciństwie mapę świata, którą matka raz na tydzień rozwijała podczas lekcji geografii. W końcu podarowała ją Kaiowi; do dziś wisi na ścianie jego chaty, pomięta i zniszczona, a Indie poznaczone są siecią napisów, których nie rozumiem. Kai ma wiele map, zwiniętych w długie rolki przewiązane gałązkami. Często zastawałam go pochylonego nad jedną z nich, kiedy przesuwiał palcem po drogach i rzekach i poruszał wargami, jakby kłócił się z jakąś niewidzialną osobą.

Kiedy ostatnie *roti* było gotowe, patrzyłam w milczeniu, jak Sanosh zaczyna przygotowywać *sookh aloo*, ziemniaki z przyprawami, które uwielbiałam. Wyjął gliniane miski z przyprawami i nasionami. Nie patrząc na mnie, wysypał trochę jasnożółtych nasion kurkumy na ciężki kamień i przesunął go w moją stronę. Zmiażdżyłam je drugim kamieniem, podczas gdy on zwinnymi palcami kroił ugotowane ziemniaki. Od zawsze byłam *masalchi* Sanosha. Nauczył mnie ucierać przyprawy, wysypując zielone, żółte i brązowe ziarna na kamień i pokazując odpowiednie ruchy. Uwielbiałam to

robić: powolny, powtarzający się ruch, zapach kurkumy, kolendry, imbiru, goździków, cynamonu, gałki muszkatołowej i czarnego pieprzu uderzał mi do głowy. Sanosh był uprzejmy i cierpliwy; zawsze podsuwał mi jakiś smaczny kąsek, kiedy mijałam *rasoi*. Choć mieszkał w pobliskiej wiosce Tek Mandi, Sanosh spędzał cały tydzień w misji; śpiąc na macie w *rasoi* obok swoich garnków, pilnował, by jedzenia nie ściągnęły dzikie zwierzęta ani grasujący w okolicy Dakoici. Jedno popołudnie w tygodniu spędzał w swojej wiosce - jego żona zmarła przed kilku laty i najstarsza niezamężna córka sprzątała i gotowała dla niego i jego synów. Wychodził z misji, kiedy skończył już szorować garnki i kolacja była gotowa.

Teraz rozgrzał oliwę na ciężkiej patelni i po kilku minutach wsypał ziarna kminku. Zasyczały i zaczęły unosić się na powierzchni oliwy. Potem dodał asafetydę, zamieszał i dorzucił jeszcze trochę kminku, kopru włoskiego i kilka ziarenek gorzycy. Kiedy nasiona popękały, dodał papryczki chili i mieszał wszystko, aż masa pociemniała, a papryczki napuchły. Wrzucił ziemniaki i nie spuszczać wzroku z patelni, wyciągnął rękę. Podałam mu kamień z kurkumą roztartą na pastę, którą zeszkrobał do lekko gotującej się masy. Kiedy mieszał ją delikatnie, wsunęłam do ust kawałek ziemniaka, mlaskając z zadowolenia. Sanosh podniósł wzrok, uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłam jego uśmiech. Kiedy spoważniał, domyśliłam się, że zobaczył moją szyję. Zakryłam siniaki dłonią.

Wtedy natychmiast spuścił głowę i bez słowa wrócił do mieszania. Gdy znad syczącej patelni uniosła się para, obok nas pojawił się pysk Jassie. Jasmina była moim psem. Otrzymała imię na cześć mojego ulubionego kwiatu, ale nazywałam ją Jassie. Węsząc zapach jedzenia z nosem uniesionym w powietrze, wysunęła się z ogonem między nogami z jamy wykopanej pod drewnianą ramą *rasoi*. Nie była psem bezpieczeństwa i chyba przez krótko do kogoś należała. Nieufnie podchodziła do

jedzenia, które kładłam dla niej na ziemi, i nigdy nie pozwalała się dotknąć. Ktoś musiał ją wyrzucić z domu albo przepędzić. Wychudzona i skulona zjawiała się pewnego wieczoru na podwórzu, gdy miałam jakieś dziewięć lat.

Wykopała sobie jamę pod *rasoi*, kiedy nosiła pierwszy miot szczeniąt, i od tamtej pory uznała to bezpieczne miejsce za swój dom. Nigdy jednak tam się nie oszczeniła; nie wiem, gdzie chodziła, by urodzić szczeniaki, ani co się z nimi działo. Znikała po prostu na dwa lub trzy tygodnie, a potem wracała z pustymi już sutkami. Mogłam tylko zakładać, że szczeniaki zdechły, choć pewnego razu przyniosła jednego w pysku i trzymała w jamie pod *rasoi*. Wyrósł na grubą, miękką kulkę, przyjazną i ufną, i bardzo go kochałam. Pozwalał się nosić na rękach i wcale się mnie nie bał. Pewnej nocy, kiedy szczeniak miał kilka miesięcy, obudziło mnie warczenie szakali, przerażone szczekanie Jassie i wysoki szczenięcy pisk. Następnego ranka szczeniak zniknął. Jassie miała mocno pogryziony pysk i brakowało jej kawałka ucha. Przez następne dwa dni leżała z głową opartą na łapach, wpatrując się w pola kukurydzy. Rozdarte ucho drżało. Walczyła ostro, a ja oplakałam rzewnymi łzami szczeniaka i biedną Jassie.

Skończyłam właśnie jeść śniadanie w *rasoi*, kiedy usłyszałam szmer. Kai siedział przed chatą, czytając coś z kartki papieru; okazało się, że wcale nie opuszczał misji. Niepokój, który towarzyszył mi od wczoraj, zniknął na jego widok.

Rzucając Jassie ostatni kawałek *roti* - połknęła go w całości dwoma szybkimi łykami, a jej kościsty grzbiet wygiął się w pośpiechu - podeszłam do Kaia z miską ostrego *sookh aloo*.

- Co robisz? - zapytałam, wyciągając miskę i drewnianą łyżkę.

Zaskoczony podniósł wzrok i zwinął kartkę podejrzenie szybkim ruchem.

- Nic ciekawego - rzucił obojętnie, wrzucając papier do chaty. Jego gesty zaprzeczały wystudiowanej obojętności w głosie. Sięgnął po miskę -  
Dziękuję - powiedział, a ja dostrzegałam, że ma palce poplamione czymś ciemnym - czy to był atrament? Na policzku miał świeże rozcięcie, a jedno oko wyglądało na lekko podpuchnięte.

- Chcę ci podziękować. Za wczoraj - powiedziałam. Spojrzał na moją twarz, potem na szyję i tylko skinął głową. - Nie wiem, co by się stało, gdyby cię tam nie było.

Zajął się mieszaniem *sookh aloo*, żeby wystygło.

Matka wygrywała rytmiczną melodię hymnu *Jak słodko brzmi imię Jezusa* na pianinie w saloniku. Fałszywe nuty wylewały się na podwórze.

- Mój ojciec... nie mam pojęcia, co go opętało - powiedziałam w nadziei, że skomentuje moje słowa, lecz on wydawał się całkowicie pochłonięty mieszaniem ziemniaków. - Nie było cię przez trzy dni - ciągnęłam nieco głośniej i chyba ton mojego głosu sprawił, że Kai podniósł wzrok. - Co się stało z twoją twarzą?

Dotknął świeżej blizny.

- Wypadek.

- Nic mi już nie mówisz. Pokręcił głową.

- Bo nie musisz wiedzieć - odparł nagle twardym i ostrym głosem, jakbym była naprzykrzającym się dzieckiem.

Ale nie byłam dzieckiem. Miałam piętnaście lat, więcej niż większość hinduskich dziewcząt, gdy wychodzi za mąż. W tym wieku wiele z nich ma już co najmniej jedno dziecko.

Przyglądałam się jego poranionej twarzy i pomyślałam o tym, czego byłam świadkiem zaledwie przed tygodniem.

Był wczesny wieczór, a ja poszłam na spacer drogą. Jassie trzymała się kilka kroków za mną. Usłyszałam w oddali dźwięk bębnów i idąc za tym dźwiękiem, skręciłam w pole, myśląc, że to wieśniacy mają jakieś święto.

Kiedy się zbliżyłam, przez łodygi trzciny cukrowej dostrzegłam płomienie, a wokół nich kilka poruszających się postaci. Męskie głosy były zbyt ciche, bym je mogła zrozumieć, a nie chciałam, by mnie

dojrzano. Przysunęłam się bliżej, cały czas chowając się za łodygami. I wtedy zobaczyłam Kaia. Stał z trzema innymi młodymi mężczyznami. Jeden z nich zapamiętale uderzał w bęben, a Kai i pozostali dwaj rzucali między sobą czymś, co uznałam za ciało innego mężczyzny. Szybko jednak uzmysłowiłam sobie, że to nie może być człowiek, bo rzucali nim zbyt łatwo, jakby niewiele ważył. Mrużąc oczy, dostrzegłam słomę wystającą spod szmaty zwiniętej w kształt głowy.

Kukła była ubrana w mundur brytyjskiego żołnierza: czerwoną kurtkę i czarne spodnie. Kai uniósł ją nad głowę obiema rękami. Coś krzyknął, lecz syk płomieni zagłuszył jego słowa. Wrzucił kukłę do ognia, uniósł nad głowę pięść i krzyczał dalej. Pozostali zawtórowali.

Płomienie tańczyły złowieszczo na jego twarzy, a oczy miały wyraz, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Odwróciłam się i nagle zmieszana pobiegłam, żałując, że byłam świadkiem takiej sceny. Na twarzy Kaia zobaczyłam posępną radość i wyraźną nienawiść.

Zadrżałam, myśląc o tamtej przerażającej chwili. Na mojej twarzy musiał się odmalować niepokój związany z tym wspomnieniem, gdyż Kai, myśląc, że uraził mnie swoją ostrą odpowiedzią, natychmiast odstawił miskę.

- Przepraszam, Pree - powiedział. - Chodziło mi tylko o to, że... to by cię tylko znudziło.

- Nie sędzę - odparłam, a kiedy podniósł rękę, by odgarnąć włosy z czoła, poczułam jego dobrze znajomy zapach.

- Twoja matka wyszła na werandę. - Spojrzał za mnie. - Nie powinnaś iść na modlitwę?

Odeszłam bez słowa, czując, że coś zawisło między nami w powietrzu, coś, co zaniepokoiło mnie w sposób, którego nie potrafiłam nazwać.



Aż do zeszłego roku nigdy tak nie było. Czy to on się zmienił, czy ja? A może zmieniliśmy się oboje?

Kai był synem Glory sześć lat starszym ode mnie. Miałam sześć lat, gdy urodził się mój brat Gabriel, i pamiętałam go doskonale. Tak więc Kai musiał pamiętać moje pierwsze kroki, pierwsze słowa. Miałam tyle związanych z nim wspomnień, kiedy trzymał mnie za rękę i szliśmy razem na Grand Trunk Road lub gdy zabierał mnie nad Rawi, gdy było ciepło, i uczył puszczać kaczki. Tłumaczył mi też, jak nazywają się kaczki, które podskakiwały na wodzie. Mówił, że w Lahore nad brzegiem rzeki ludzie śpiewają miłosne pieśni i ich echa można usłyszeć w szemraniu wody. „Słyszysz, Pree?”, pytał, a ja klękałam i pochylałam się nad wodą, próbując usłyszeć tajemnicze pieśni. Czasami mówiłam: „Tak, słyszałam jedną z nich”, a on śmiał się i kiwał głową.

Kiedy byłam dzieckiem, bardzo starałam się go zadowolić i sprawić, by był ze mnie dumny. Później traktowałam go jak brata; czasami nawet zwracałam się do niego pełnym szacunku hinduskim zwrotem *bhai* - starszy bracie. On chronił mnie przed napastowaniem starszych dzieci, które towarzyszyły rodzicom podczas wizyt w infirmerii, i czasami chował mnie przed matką, gdy chciała mnie ukarać za jedno z wielu dziecięcych przewinień. W porze monsunów twarda wysuszona ziemia podwórka, która pękała podczas upalnych dni lata, zamieniała się w kwaśne, paskudne błoto. W niektóre lata było tak głębokie, że kiedy byłam mała, Kai musiał mnie czasami wyciągać z błotnistych macek, które oblepiały mi buty aż po kostki. Uwielbiałam czuć, jak mnie obejmuje ramionami, i czasami celowo wchodziłam w grubą maź, żebym tylko mogła go zawołać. Chciałam zobaczyć, jak spieszy mi na pomoc z zatroskanym wyrazem twarzy.

Matka nauczyła mnie czytać, pisać i wykonywać działania matematyczne, lecz to dzięki Kaiowi nauczyłam się najwięcej o otaczającym mnie świecie: o ludziach, wśród

których żyliśmy, o stworzeniach zamieszkujących ziemię, wodę i powietrze, o rytmie pór roku, konstelacjach gwiazd na nocnym niebie i o cudach dziwnych, zagranicznych krain. Przez te wszystkie lata Kai nauczył mnie również czytać i pisać w hindi i urdu, jak również nieźle mówić po persku, głównie dlatego, że go o to błagałam, kiedy siedział pod figowcem z piórem, kartkami papieru i książkami. Często wracałam wspomnieniami do chwil, kiedy mnie uczył, a ja siedziałam obok niego, opierając mu głowę na ramieniu.

Natomiast moja matka nauczyła Kaia czytać po angielsku, ale powiedziała, że gdy skończył dziesięć lat, już niczego nie mogła go nauczyć. Zawsze spędzał sporo czasu w samotności z dala od misji i nikt z nas nie wiedział, dokąd się udaje ani z kim przebywa. Glory nie poświęcała synowi zbyt wiele uwagi.

Kiedy dorastałam, zaczęłam zdawać sobie sprawę z kłopotliwych relacji służący - rodzina. Ponieważ Glory była *ają* matki od czasu, gdy ta przyjechała do Indii, Kai zamieszkał w misji jako niemowlę i rodzice znali go niemal tak dobrze jak mnie. Wyczuwałam, że właśnie dlatego nie tylko matka, lecz przede wszystkim ojciec traktowali Kaia z dziwną mieszaniną dumy i sympatii, jakby i oni nie potrafili myśleć o nim wyłącznie jak o hinduskim służącym.

Razem z Glory zajmowałyśmy się praniem. Nosiliśmy ubrania i pościel nad brzeg Rawi, gdzie biłyśmy je kijami na płaskich kamieniach, a potem wykręcałyśmy i zanosiliśmy z powrotem na podwórko, by rozwiesić na krzakach. Z matką wykonywałyśmy niezbędne prace w domu i infirmerii, by panował tam porządek, a Kai przejął wszystkie najcięższe prace fizyczne w misji. Ojciec, który miał słabe serce, nie mógł nic podnosić ani dźwigać, wspinać się na dachy kryte strzechą i przebywać długo na słońcu, by bielić budynki. Nie mógł ciągnąć Marty za sznur i zaprzęgać jej do wozu, nie mógł wykopywać warzyw w ogródku, sadzić, pielnić i nosić wody, wiaderko po wiaderku, by warzywa nie uschły w skwarze lata. Trzymanie motyki w rękach przez

dziesięć minut i przeciąganie nią po twardych bryłach ziemi wywoływało odciski i pęcherze na jego delikatnych dłoniach. Kiedy niósł wiadro wody na jego poczerwieniałym czole natychmiast pojawiały się kropelki potu. Nawet gdy tylko wyciągał rękę, by zawiesić na haczyku żaluzję, zaraz musiał siadać w głębokim cieniu werandy. Wycierał spoconą twarz i płytko oddychał, a ja wtedy przynosiłam mu szklanekę wody, a czasami wachlowałam go pękiem piór perliczki.

Zauważyłam, że ojciec spogląda na Kaia z cieniem smutku. W upale mięśnie na nagich plecach Kaia poruszały się rytmicznie, gdy rzucał za siebie duże grudy ziemi niczym kamyki. Wspinał się na kryte strzechą dachy zwinnymi ruchami, podwijając palce u nóg, a mięśnie jego łydek były widoczne pod białym *dhoti* lub *panjammahs*. Myślałam, że wyraz twarzy ojca jest wynikiem smutku płynącego z jego fizycznej słabości. Na twarzy ojca malował się również podziw. Czasami lekko kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w siłę Kaia, gdy z łatwością podnosił pełne widły słomy, by rzucić je Marcie, lub szybkimi ruchami malował ścianę. Wiedziałam jednak, że Kai to nie tylko silne plecy i para ramion; wiedziałam, że jest obdarzony błyskotliwym i bystrym umysłem, i wyczuwałam, że ojciec pragnie z nim rozmawiać o poważniejszych sprawach. Czasami - podobnie jak w rozmowach ze mną - pytał Kaia, co myśli na temat rosnących opłat pocztowych lub podłączaniu linii telegraficznych na odległych terenach. Próbował też wciągać go do rozmowy o stanie kolei.

Kiedy ojciec zadawał pytania, Kai odpowiadał monosylabami z lekko odwróconą głową, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty na dyskusję, a nawet nie chce patrzeć ojcu w oczy.

Dopóki wszystkiego nie zrozumiałam, myślałam, że jest to oznaką szacunku służącego dla pana lub po prostu młodszego mężczyzny dla starszego. Prawdę poznałam dopiero wtedy, gdy na jaw wyszło wiele tajemnic.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Matka czekała na werandzie. Przeszłam przez podwórze przy dźwięku dzwonka, który wzywał na modlitwę. Kiedy weszłam na schody i zajęłam miejsce pomiędzy rodzicami, Pavit i Glory klęczeli już na wilgotnej ziemi.

Sanosh był zagorzałym hinduistą i nie modlił się z nami. A Kai już dawno sprzeciwił się ojcu i odmówił uczestnictwa. Czy nosił religię w sercu? Czasami zastanawiałam się, czy naprawdę może nie wierzyć w Boga. Klęcząc na podłodze pomiędzy rodzicami, zauważyłam stojącą z boku werandy poobijaną skrzynkę: kolejna przesyłka z darami. Musiała nadeść wczoraj, gdy byliśmy nad rzeką albo gdy wyczerpana leżałam w łóżku. Miałam nadzieję, że znajdę w niej kilka książek; ostatnia była sporym rozczarowaniem.

Moja wiedza o Anglii pochodziła z rzadkich opowieści rodziców i dawnych wizyt w angielskiej dzielnicy w Lahore, jednak podstawowym źródłem mojej wiedzy były książki przychodzące w pudłach z darami. Ponieważ starsze angielskie dzieci wyjeżdżały z Indii, znajdujące się w pudłach książki nie były dla nich przeznaczone. Czasami historyjki z morałem przysyłano dla najmłodszych, ale te mnie nie interesowały. W paczkach szukałam książek dla Angielek i Anglików z wyższych sfer mieszkających w Indiach. I od czasu, gdy potrafiłam zrozumieć opowieści dla dorosłych, odkryłam eleganckie salony bogaczy oraz ponure rudery i okrutne fabryki, w których pracowała biedota; wiejskie alejki i dzikie bagna; opowieści o osieroconych dzieciach, które brał na wychowanie bogaty do-

broczyńca; przygody mężczyzn, którzy mogli być tylko bohaterami, oraz wszystkie nieoczekiwane zakręty, które na swej drodze może napotkać osoba poszukująca prawdziwej miłości. Czytałam drastyczne tanie powieści drukowane na cienkim papierze, od dzieł sióstr Bronte po W.M. Thackeraya, od George Eliota po Anthony'ego Trollope'a i Wilkiego Collinsa. Czytałam Elizabeth Gaskell i panią Henry Wood. Czytałam gotyckie opowieści i wiersze poetów grobów\*.

Czytałam też książki, które opowiadały o prawdziwym świecie. Ich zawsze było mniej niż powieści; odrzucałam te, które mnie nużyły, za to pochłaniałam dzieła dotyczące historii i astronomii oraz książki poświęcone antropologii i geografii, jak również rozważania na popularne tematy.

Z tych ostatnich dowiedziałam się, kiedy Brytyjczycy przyjechali do Indii i jak powoli, lecz stanowczo zaczęli rządzić w większości kraju. Po przeczytaniu zawsze przekazywałam książki Kaiowi, który nie interesował się literaturą, ale chętnie zabierał tomy dotyczące teorii politycznych, ludzi posiadających władzę i opowiadające o historycznych bitwach, dodając je do kolekcji używanych książek, które kupował w Lahore.

Ojciec studiował wyłącznie Biblię, a matka wieczorami była zbyt zmęczona, by czytać. Najczęściej siadywała o zmierzchu na werandzie, kołysząc się na złamanym krześle z trzciny, a jeśli pogoda nie dopisywała - w fotelu w saloniku.

Pieniądze, które ojciec dostawał z kapelanii Kościoła anglikańskiego w Lahore, wystarczały jedynie na podstawowe produkty żywnościowe; kupowaliśmy za nie her-

**\* Poeci grobów, czyli Graveyard Poets - grupa osiemnastowiecznych poetów angielskich, którzy w swoich utworach podejmowali mroczne, związane ze śmiercią i cmentarzami tematy. Należeli do niej m.in. Thomas Parnell, Thomas Percy, Thomas Gray i Robert Blair.**

bate, cukier, mąkę, trochę koziego lub jagnięcego mięsa. Warzywa uprawialiśmy w ogródku, mleko dawała Marta, hodowaliśmy też kury. Podobnie jak w przypadku innych misji ubrania i sprzęty domowe pochodziły od bogatych angielskich rodzin w Indiach. Paczki z darami dostarczano nam na werandę trzy lub cztery razy w roku. Godne uwagi paczki moim zdaniem zawierały wybór dobrych książek i inne skarby - małe lustro, wachlarz z chińskiego jedwabiu, pudełeczko z wieczkiem krytym emalią. Niestety, przede wszystkim zawierały ubrania: znoszone sukienki, wypłowiałe halki i pocerowane pończochy, zniszczone buty i bezkształtne kapelusze, wszystkie w nieodpowiednim rozmiarze, które stanowiły podstawę garderoby matki i mojej. Nie zależało mi na wyglądzie, jeśli tylko było mi wygodnie, rzadko spoglądałam w poplamione i popękane lustro wiszące nad miednicą na bocznej werandzie.

Kapelania dostarczała również lekarstwa według listy przygotowanej przez ojca; docierały do nas cztery razy w roku. Rupie wypłacane ojcu co pół roku pozwalały na zatrudnienie kilku służących; to też określała kapelania. Założono, że w każdej misji może pracować kucharz, *aja* i jeden służący do prac fizycznych. Dlatego tak mieliśmy Sanosha, Glory i Kaia.

Siudrowie, niedotykalni, którzy przychodzili, by wyrzucać zawartość zagrody za domem określanej mianem wygodki - gdzie codziennie wylewałam zawartość porcelanowych nocników z naszych sypialni i wyrzucałam poplamione bandaże z infirmerii - otrzymywali zapłatę w jedzeniu. Sanosh owijał w duże liście resztki *roti* i *curry* z soczewicy i zostawiał je na wysokim słupku przy bramie wejściowej, skąd zabierali je raz w tygodniu chudzi jak szczapa mężczyźni w łachmanach.

Zawsze wiedziałam, że misjonarze żyją z dobroci innych; matka nigdy nie ukrywała, że pracujemy, by zbawiać dusze i czerpać z tego zadowolenie, a nie dla brzęczących monet lub dóbr materialnych. A jednak czasami czułam rozgory-

czenie, że życie w misji medycznej oznacza pracę bez końca i do pewnego stopnia izolację i ubóstwo. Odkryłam to bardzo wcześnie. Skończyłam właśnie osiem lat i towarzyszyłam matce podczas wizyty w bogatym domu Wyndhamów w Lahore. Ich córka Eleanor była rok młodsza ode mnie; podejrzewam, że matka zabrała mnie, bym ją poznała. Wcześniej często odwiedzałam Lahore. Ojciec szczególnie je ukochał i miałam wiele wspomnień związanych ze wspólnymi wyprawami. Trzymał mnie za rękę, gdy razem zwiedzaliśmy miasto. Podziwiałam trzy złocone kopuły meczetu Sunehri Masjid i często błagałam ojca, by opowiedział mi historię Mir Mannu, który rzekomo został pobity na śmierć pantofelkami służących damy, którą tam obraził. Zawsze się z tego śmiałam; miękkie pantofelki nie mogły przecież zabić mężczyzny. Uwielbiałam Pałac Luster z kwiatowymi wzorami z kamieni półszlachetnych w marmurze, meczet Wazir Khan z wielkim dziedzińcem zawsze pełnym gołębi i meczet Badshahi, jeden z klejnotów architektury Mogołów, jak wyraził się ojciec. Wyjaśnił mi też, że w każdym większym hinduskim mieście Anglicy budowali dla siebie spec'alną enklawę i nazywali ją dzielnicą. Znajdowały się tam koszary, bungalowy, kościoły, kluby i cmentarze. Architektura dzielnicy była europejska; niewiele - jeśli w ogóle - uwagi poświęcano miejscowym tradycjom. Podczas tej pierwszej wyprawy z matką dostrzegłam to, co opisywał ojciec: nowsza część miasta w niczym nie przypominała labiryntu wąskich uliczek, zaułków i bazarów starego Lahore. Ulice były szerokie i ocienione wysokimi drzewami. Wielką zieloną przestrzeń w centrum nazywano majdanem. Nie widać tam było żadnych tubylców z wyjątkiem nianiek, które spacerowały ze swoimi angielskimi podopiecznymi w wózkach. Tubylcom

nie wolno było mieć domów w tej dzielnicy. Służba pracująca u Anglików mogła mieszkać w chatkach w ogrodach na tyłach posesji lub wracać na noc do swoich własnych domów w starej części miasta, a nawet do pobliskich wiosek.

Znałam jedynie klasztorne życie w misji i ruchliwe uliczki starego miasta w Lahore. Jedynymi budynkami, do których wchodziłam do środka - poza cudami Lahore, które pokazał mi ojciec - był nasz dom i infirmeria. Oba były bungalowami zbudowanymi z kamienia i plecionki, co rok bielonymi w środku i na zewnątrz. Kryła je strzecha, z której wyrastały zielone chwasty. Żyły w niej drobne stworzenia - myszy, jaszczurki i małe wróble z miedzianymi główkami - które czasami niespodziewanie przedostawały się aż na sufit. Opadały na podłogę, stół lub łóżko, a potem przerażone biegały lub latały w kółko. Matka odnajdywała posępną przyjemność w zatłukiwaniu miotłą z gałązek biednych stworzeń na śmierć, a ojciec, chwytając duży czarny parasol, który stał w wysokim blaszanym pojemniku przy drzwiach wejściowych, próbował przepędzać biedne stworzenia na werandę przez otwarte drzwi lub okno.

Ale dom Wyndhamów! Podczas gdy matka rozmawiała z paniami, ja biegałam z Eleanor po domu i ogrodzie z wielkim trawnikiem i starannie rozplanowanymi rabatami i potykałam się z podniecenia i podziwu. W pewnej chwili, w domu, obejrzałam się przez ramię i dostrzegłam *aję* Eleanor, która sapiąc z trudem podążała za nami. Na jej pomarszczonej miłej twarzy lśniły kropelki potu, a bosa stopy klaskały na kamiennej podłodze. Przytrzymała brzeg sari, próbując biec, a jej grube ciało chwiało się na boki.

Bojąc się, że dostanę burę, i pamiętając napomnienia matki, żeby zawsze zachowywać się jak należy, zatrzymałam się i powiedziałam w hindi: „Przepraszam, ciociu. Chcesz się z nami pobawić?“, ale ona spojrzała na mnie zdziwiona. Kiedy zawołała mnie zniecierpliwiona Eleanor,



myślałam, że *aja* każe jej zwolnić albo zaczekać, jednak nic nie powiedziała. Odwróciłam się więc i pobiegłam za Eleanor, a milcząca *aja* stale była gdzieś w pobliżu.

Na widok całych zastępów służących zajętych przypisanymi im pracami w domu, na werandzie, w kuchni i ogrodzie, pomyślałam o Sanoshu, Glory i Kaiu. Wiedziałam, że Glory wykorzystuje nieobecność matki i pewnie siedzi w słońcu przed swoją chatą. Kai prawdopodobnie snuje się po ogrodzie, wyrywa chwasty albo siedzi na płocie przed misją i czyta. A Sanosh o tej porze dnia na pewno uciał sobie drzemkę na macie w *rasoi*. Jednak tutaj, w posiadłości Wyndhamów, wrzało jak w ulu.

Był tam *chuprassi* w białych *panjammahs*, *kurcie* i czerwonej szarfie, który stał przy drzwiach i wpuszczał gości. U nas nie miałyby nic do roboty, bo do misji rzadko ktoś zaglądał, chyba że handlarze, którzy przynosili metalowe skrzynki z towarami do bocznych drzwi. Nie był nam potrzebny *dhobi*, by prać ubrania, ani *durzi*, by je naprawiał lub szyl nowe suknie. Nie przydałby się też *mali* do koszenia trawnika - no tak, nie mieliśmy trawy, tylko błotniste podwórko - i zamykania ścieżki miotłą z gałązek, zbierania liści opadłych z drzew czy strzyżenia żywopłotów. Nic do roboty nie miałyby *bheesti*, który przynosiłby wodę, *chow-kidar*, który pilnował terenu przed domami, ani *punkah wallah*, który pociągał za sznurki wachlarza nad stołem w największe upały. Nie było też dzieci stojących za każdym krzesłem, które dbały o to, by żadne owady nie spadły na siedzące przy stole osoby.

W misji nic do roboty nie miałyby *khitmutgar*, który podawał do stołu, wydając pozornie bezgłośnie komendy do grupy chłopców, by zbierali talerze po spożytych posiłkach i odnosili je do kuchni na zewnątrz domu, w której rządził *biwarchi*, kucharz ze swoimi wieloma pomocnikami. Stało się też dla mnie jasne, że nie jest nam potrzebny *khasana*, główny służący, nadzorujący pozostałych i dbający o to,

by wypełniali swoje zadania w sposób, w jaki się tego od nich oczekuje. Podczas tej pierwszej wizyty przed laty *aja* zaprowadziła nas do pokoju dziecinnego. Patrzyłam i słuchałam z otwartymi ustami, gdy Eleanor powiedziała: „Przynieś nam tu herbatę, Kasi, i trochę ciasteczek. Mamy na nie ochotę, prawda, Pree?”. Patrzyła na mnie, a ja mogłam tylko wodzić wzrokiem od jednej do drugiej. Mówiła dalej tym dorosłym głosem, a *aja* pochyliła się i na każde jej słowo kiwała głową. Pod baczным okiem Kasi zjadłyśmy posiłek i rysowałyśmy kredą na tablicy Eleanor, a potem bawiłyśmy się porcelanowymi lalkami. Udawałyśmy, że pijemy herbatę z miniaturowych filiżanek z malowanej porcelany. Eleanor dyrygowała mną i raz nawet uderzyła mnie w rękę, kiedy samowolnie sięgnęłam po imbryk. Uświadomiłam sobie, że zwraca się do mnie tak samo jak do *ai*. Unosząc lekko brodę, mówiła mi, co mam robić i kiedy. Miała złotorude włosy, które choć przewiązane ciemnozieloną atlasową wstążką, rozsypywały się gęstymi lokami, a jej marszczona bladozielona sukienka była ozdobiona drobnym żółtym ścięciem.

Dziwne, że pamięta się takie szczegóły.

Nie wiem, czy byłam pełna podziwu dla Eleanor, czy się jej bałam; wiedziałam tylko, że nie mogę się już doczekać, by znów pójść do rezydencji na szerokiej, czystej ulicy. Znów chciałam się bawić pięknymi lalkami, które były ubrane o wiele ładniej ode mnie, i jeść pyszne ciasteczka z dżemem.

Jednak wkrótce potem Eleanor wysłano do szkoły w Anglii, jak wszystkie angielskie dzieci, które kończyły sześć lub siedem lat. Nigdy jej już nie zobaczyłam, choć kilka razy odwiedziłyśmy Wyndhamów i inne rodziny w angielskiej dzielnicy. Wysyłano mnie wtedy, żebym się pobawiła z młodszymi dziećmi - tymi, które nie miały siedmiu lat - lecz szybko nudziły mnie ich dziecinne zabawy i wołałam siedzieć przy matce w eleganckim salonie. Słuchałam uważnie

wszystkich rozmów. Dowiedziałam się, jak ma na imię ostatnie dziecko królowej, wyobrażałam sobie, że chodzę po wzniesionym z żelaza i szkła Crystal Palace z wszystkimi jego cudami, i widziałam, jak stoję na brzegu Tamizy, patrząc na cudowny most łączący miasto, lub obserwuję statki z wysokimi masztami, które wpływają kanałem do portu londyńskiego. W takich chwilach marzyłam, by być częścią tego angielskiego świata, który dzięki rodzicom był moim światem.

Niebawem zrozumiałam, że rodziny mieszkające w wielkich domach zbudowanych na angielską modłę nie przyjechały do Indii, ponieważ usłyszały głos Pana, jak moi rodzice, lecz postanowiły żyć tutaj z powodów politycznych i ekonomicznych możliwości, jakie ten kraj oferował. Przybyli do Indii już zamożni i stali się jeszcze bogatsi; Indie zapewniały im życie w luksusie, na który nie byłoby ich stać w Anglii. Nie potrafię powiedzieć, kiedy nasze wizyty stały się rzadsze. Pamiętam jednak spotkanie z tymi samymi ludźmi na angielskim bazarze w Lahore - z tymi, które kiedyś zapraszały nas do swoich domów. Kiwali głowami i uśmiechali się do rodziców w uprzejmy oficjalny sposób, ale nie zatrzymywali się, by pogawędzić lub zaprosić nas do swojego stolika, kiedy siedzieli w otwartych oknach eleganckiej herbaciarni.

Być może usztywniała ich obecność moich rodziców i byli zmuszeni zastanawiać się nad tym, co i jak mówią. A może chodziło o coraz większe dziwactwa matki, które - jak zauważyłam -niepokoiły zwłaszcza panie. Kiedy skończyłam dziesięć lat, nie dostawaliśmy już żadnych zaproszeń; nikt też nie przyjeżdżał do misji z towarzyską wizytą.

W tym czasie pojęłam już panującą wśród Brytyjczyków hierarchię i nasze w niej miejsce - a raczej jego brak - jako misjonarzy. Byliśmy Anglikami, a jednak daleko nam było do pozyc'ii Wyndhamów, Rolling-Smythe'ów czy McCal-

listerów. Kiedy dorastałam, nadal czułam upokorzenie połączone z gniewem wywoływane przez wyraźny brak szacunku dla moich rodziców - zwłaszcza ze strony pań w stosunku do matki, choć ona nigdy nie skarżyła się na towarzyskie afronty. Za każdym razem, kiedy spotykaliśmy Anglików na ulicach Lahore, uśmiechałam się pięknie, dygotałam i przemawiałam uprzejmym i skromnym głosem. Teraz widzę, jak bardzo byłam naiwna, mając nadzieję, że jakoś uda mi się przekonać te eleganckie, pięknie pachnące damy, że moja matka, pomimo stale zaślinionych ust, brudnych ubrań i czasem niestosownych komentarzy, jest podobnie jak one angielską damą, a ja przypominam ich córki, które już z nimi nie mieszkały.

One jednak nie zwracały na mnie uwagi i sprawiały wrażenie, że muszą szybko zająć się własnymi sprawami. Każde takie odtrącenie jeszcze bardziej zbijało mnie z tropu i tak naprawdę nie wiedziałam, gdzie jest moje miejsce.

Poczucie wyobcowania towarzyszyło mi również w misji. Choć tubylcy chętnie przychodzili do infirmerii po pomoc medyczną, zawsze widzieli w nas obcych i tak nas traktowali: grzecznie, ale z dystansem. Bawiąc się z hinduskimi dziećmi, które towarzyszyły rodzicom podczas wizyt w misji lub wędrując do pobliskich wiosek, często chciałam poczuć się im bliska. Chciałam się identyfikować z ich pięknymi i czasami trudnymi do rozszyfrowania wierzeniami i stać się częścią starożytnych korzeni Indii, tak mocno wrośniętych w twardą ziemię subkontynentu.

Teraz klęcząc i udając, że skupiam całą uwagę na porannym kazaniu, rzucałam ukradkowe spojrzenia na ostatnie pudło z darami. Ojciec mówił monotonnym głosem, w którym pobrzmiwało dobrze mi znane rozczarowanie z powodu braku nawróconych dusz.

- „A gdy wyjdą - oświadczył (Księga Izajasza, roz-

dział 66, wers 24), z wielkim przekonaniem wpatrując się w niebo - ujrzą trupy ludzi, którzy się zbuntowali przeciwko Mnie. Bo robak ich nie zginie i nie zgaśnie ich ogień, i będą oni odrazą dla wszelkiej istoty żyjącej". - Przyciskał pięść do kamizelki, jakby modlitwa płynęła z jego pełnego rozczarowania brzucha.

Ten tekst był nam dobrze znany; wiedziałam, że ojciec potrafi powiedzieć te słowa z pamięci. Przynajmniej było to jedno z jego żywszych kazań, przygotowane przerażającymi obrazami.

Nawet kiedy byłam bardzo mała, fascynowały mnie makabryczne fragmenty Pisma. Wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z dobrocią i miłością, fragmenty opowiadające o Baranku Bożym, małych dzieciach i wybaczeniu, wylatywało mi z głowy. Nieprzyjemne obrazy i budzące grozę teksty z Biblii pamiętałam długo. Tym bardziej że należały do ulubionych fragmentów matki.

Nie jestem pewna, dlaczego wypełniała mi głowę tymi okrutnymi szczegółami. Kiedy byłam mała, opowieści, które dla mnie wybierała - zarówno z Biblii, jak i te czerpane z życia we wschodnim Londynie i w Indiach - wywoływały u mnie nocne koszmary i często w nocy biegłam z płaczem do sypialni rodziców. W takich chwilach nie pocieszała mnie matka, która była za to wszystko odpowiedzialna, lecz ojciec, który brał mnie za rękę i odprowadzał do łóżka, siedział cierpliwie na jego brzegu, aż w końcu otwierałam oczy w świetle poranka, znów sama w małym pokoju obok sypialni rodziców.

Historią, która napawała mnie największym przerażeniem, wywołując najgorsze koszmary, była opowieść o *bibighar* - Domu Kobiet - w Cawnpore. Była to jedna z opowieści o okropieństwach, jakich dopuszczali się na Europejczykach miejscowi żołnierze podczas powstania sipajów, które wybuchło rok po moim narodzeniu. Miałam osiem lat, kiedy matka opowiedziała mi tę smutną

historię, a wywołane przez nią obrazy towarzyszyły mi już zawsze.

- Był lipiec tak jak teraz. Cawnpore leży setki mil na południe od Lahore i w lecie jest tam dużo goręcej niż tutaj, Pree -powiedziała, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Cawnpore był ważnym garnizonem zbudowanym przez Brytyjczyków na brzegach Gangesu. - Siedziałyśmy na werandzie; było późne popołudnie, zbyt upalne, by w infirmerii zjawili się pacjenci. Doniczki z uschniętymi roślinami zwisające z belek pod dachem kołysały się w rzadkich podmuchach wiatru. Stał tam też stary bujany fotel ze złamanym podłokietnikiem, trzy wyplatane krzesła i kilka niskich stolików.

Zaczynając opowieść, matka podała mi miedzianą miskę z długimi żółtymi strąkami; położyłam ją na kolanach i przełamywałam każdy strączek na trzy części, po czym wrzucałam z powrotem do miski. Matka wachlowała się końcem oślego ogona, kołysząc się w bujanym fotelu, który skrzypiał na zniszczonej podłodze werandy.

Poprawiała się, próbując znaleźć wygodne miejsce na zapadniętym siedzisku; stawy okropnie jej dokuczały.

Z każdym jej słowem mój mózg rozjaśniał się niczym płomień podsycany wiatrem i w wyobraźni widziałam drżące, tańczące sylwetki.

- Kobiety i dzieci trafiły do niewoli sipajów, którzy trzymali je stłoczone w *bibighar*, otoczonym murami budynku -mówiła matka, patrząc mi w oczy. Moje palce poruszały się bezwiednie, łamiąc rytmicznie strąki. Nie odrywałam wzroku od jej twarzy. - Większość mężów poległa już zastrzelona z karabinów Ensign, w które wyposażono armię brytyjską.

Zabiły ich kule, które jak mówią, były ostatnią kroplą w tym powstaniu. Owinięto je w papier nasycony tłuszczem zwierzęcym. Sipajowie musieli zębami otwierać opakowanie, by wyjąć kule. Był to afront zarówno dla Hindusów, jak i muzułmanów i wyraźna próba Anglików, by zniszczyć ich przekonania religijne.

Jeden szczególnie dojrzały strąk pękł z głośnym trzaskiem, aż podskoczyłam, ale matka nie przerwała opowieści.

- Kobiety i dzieci bardzo cierpiały w okropnie wilgotnym powietrzu. Nie było żadnych sanitariatów i dręczyły je chmury much. Podobno przez trzy tygodnie miały tylko stęchlą wodę do picia i jadły cienką zupę z soczewicy. Wiele z nich umarło na cholere i dyzenterię, jeszcze więcej było ciężko chorych. Nikt lepiej ode mnie nie potrafi powiedzieć, co to znaczy chorować w tym kraju - powiedziała, wachlując się wolniej. Fotel znieruchomiał. -Z moimi dolegliwościami. Jak myślisz, Pree, czy ciężki stan tych kobiet pozwolił im wrócić do domu, do chłodnej, bezpiecznej Anglii? - Pochyliła się w moją stronę, a ja cofnęłam się lekko, przejęta i jednocześnie urzeczona dziwnym wyrazem jej twarzy. - Czy patrzyły na swoje udęczone, milczące dzieci, modląc się o ich zbawienie, czy też może modliły się o wybaczenie za to, że przywiozły dzieci do tego okrutnego kraju, który teraz próbował je zabić w tak straszliwy sposób? Wiedziałam, że matka myśli o swoich własnych zmarłych dzieciach. I wiedziałam, że nie chce, żebym jej odpowiadała, mimo że zadała mi pytanie. Nagle znów zaczęła się kołysać i wachlować twarz.

- W budynku unosi się odór rozpacz. Sipajowie, którzy pozostali w Cawnpore, otrzymali wiadomość o nadciągającej armii brytyjskiej i postanowili zabić wszystkich pozostałych przy życiu, by pozbyć się świadków. Kiedy słońce stało już wysoko na niebie i rozпалиło je ogniem, tworząc dziwne, drżące obrazy, trzech ostatni Brytyjczycy pozostający w niewoli zostali wyciągnięci z zamknięcia i rozstrzelani przed milczącym tłumem Hindusów i Euroazjatów zebranych na murach otaczających dziedziniec *bibighar*. Angielki słyszały strzały.

Wielbłąd ciągnący wózek wypełniony łodygami kukurydzy przeszedł drogą z hukiem, a rytmiczne cykanie cykad

unosilo się w powietrzu. Mogłam sobie wyobrazić ten sam dźwięk na dziedzińcu w Cawnpore.

- Kobiety wybiegły na werandę. Sipajowie natychmiast próbowali je wyciągnąć na dziedziniec, by przeprowadzić egzekucję. Kobiety jednak zbiły się w gromadę, obejmując rękami kolumny werandy lub siebie nawzajem w talii, a płaczące dzieci szukały schronienia wśród ich spódnic. Te dzielne kobiety śpiewały hymny, by dodać sobie odwagi. Matka znów urwała wpatrzona w dziedziniec i ciągnącą się za nim drogę. Po jej czole płynęły strużki potu. Wytarła wilgotne wargi chusteczką, a potem zaczęła śpiewać drżącym głosem.

- „Chwal duszo moja Króla niebios; u Jego stop hołdy składam. Z niewoleni, uzdrowieni, uwolnieni, wybawieni, na zawsze będą śpiewać Jego chwałę”. - Zamknęła usta.

Wsunęłam dłonie w miskę z fasolą, czując jej miękką, woskową powierzchnię.

- I? - powiedziała matka. Otworzyłam usta.

- „Alleluja, alleluja”- zaśpiewałam, spełniając jej niewypowiedziane żądanie, lecz mój głos zabrzmiał chrapliwie. - „Chwalcie króla wieków”. Matka skinęła głową, krótko, w zamyśleniu.

- Kobiety wbiegły do budynku i zaryglowały drzwi. Jednak tubylcy, którzy zaledwie przed kilkoma miesiącami nosili szkarłatne kurtki armii brytyjskiej, przebili żaluzje w oknach lufami muszkietów. Kobiety i dzieci skuliły się bezradnie na podłodze lub ukryły za meblami i kolumnami, podczas gdy sipajowie otworzyli ogień.

Oczy matki zalśniły.

- A potem użyli szabli. Wymachiwali zakrzywionymi ostrzami, tnąc i kalecząc wszystko, co stało im na drodze. - Szybkim ruchem wytarła usta. - W końcu, gdy zapadła ciemność i wydawało się, że wszystko ucichło i nikt się już nie rusza, rzeźnicy opuścili scenę masowego mordy.



Matka nie spuszczała ze mnie wzroku, przekrzywiając głowę na bok. Uświadomiłam sobie, że trzymam w prawej ręce strąk fasoli, wilgotny i zmiądzony. Lewą dłonią zakryłam usta. Czego chciała teraz? Znow miałam zaśpiewać?

- Wszyscy zginęli? - szepnęłam w swoje palce. Pachniały fasolą. - Nawet dzieci?

Na ustach matki pojawił się słaby uśmiech. Oparła się o fotel.

- Wcześniej następnego ranka zjawili się grabarze i postanowili wrzucić ciała do pustej studni na dziedzińcu. Studnia była duża, na dziewięć stóp szeroka i na pięćdziesiąt głęboka, a do jej krawędzi prowadziły stopnie. Mężczyźni wrzucali do niej jedno ciało za drugim - mówią, że ciągnęli kobiety za włosy - z domu i dziedzińca. Zostawiali krwawy ślad w wysokiej trawie, pożółkłej i wyschniętej w upale. Zanim przrzucili ciała przez krawędź studni, odzierali je z ubrania i biżuterii, która wydała im się cenna.

Przesunęłam dłoń, by zakryć oczy, choć te obrazy pozostały w mojej głowie i nic nie mogło ich powstrzymać.

- Pree - powiedziała matka - pytałaś o dzieci. Spójrz na mnie.

Zsunęłam dłoń z oczu. Wydawało mi się, że czuję żar w oczach matki, tak intensywnie się we mnie wpatrywała.

- Znaleźli grupkę dzieci, od niemowlęcia po takie, które miały pięć, sześć lat i które ukryły się w najdalszych zakamarkach budynku. Wyobraź sobie, jak musiały być słabe po tylu tygodniach niewoli. Spędziły całą noc w otoczeniu ciał zabitych matek.

Próbowałam przełknąć ślinę, lecz w przeciwieństwie do matki, miałam zupełnie sucho w ustach.

- Ale wola życia jest silna, Pree. Bardzo silna. Wiesz o tym, prawda? - zapytała, a ja skinęłam głową.

- Uciekły więc. Dzieci uciekły. Pojawiły się wzmianki o małej dziewczynce, która niosła w ramionach martwe

niemowlę. Inny maluch oplótł rękami i nogami szyję i talię chłopca, który nie mógł mieć więcej niż siedem lat, bo starszy byłby bezpieczny w domu, w Anglii - powiedziała.

Byłam niewiele starsza od dzieci, o których opowiadała. Poczułam ucisk w wyschniętym gardle na widok obrazów, które podsuwała mi wyobraźnia: dziewczynka z martwym niemowlęciem w ramionach, dzielny chłopiec, przywódca niewielkiej grupki, biegnący zygzakiem z małym podopiecznym na plecach. Wyobraziłam sobie Kaia jako tamtego chłopca, a siebie jako dziewczynkę z martwym niemowlęciem. Znałam uczucie paniki i przerażenia malujące się na ich bladych, ściśniętych twarzach, kiedy próbowali uciec. Dyszałam, jakbym to ja biegła w zapierającym dech w piersiach upale.

- Nie miały jednak dokąd uciec - ciągnęła matka. - Wyłapano je równie łatwo jak kocięta wymykające się z koszyka, a potem wrzucono żywe do czarnej studni. Zostawiono je tam na pewną śmierć na ciałach matek. - Mówią, że były dziwnie cicho - mówiła dalej matka coraz głośniejszym głosem. - Z głębokiej studni nie dobiegał żaden odgłos.

Fotel i wachlarz poruszały się coraz szybciej, choć matka nie odezwała się ani słowem. Na koniec nie mogłam już znieść milczenia.

- Czy któreś z nich przeżyło? Którekolwiek z dzieci?

- Nie - powiedziała na szczęście już ciszej. Siedziała bez ruchu. -

Niektórzy Euroazjaci będący świadkami tych okropności przekazali pełną relację i opisali morderców. Niektórych z nich złapali Brytyjczycy i później roznieśli ich na strzepy. Ich ciała i krew padały na obserwujących to wszystko tłum.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi, a kąci jej ust uniosły się w bladym uśmiechu.

- No? Co o tym myślisz? - zapytała, lecz ja nie mogłam spojrzeć jej w twarz i pochyliłam się nad miską. Przesypałam strąki palcami, lecz wszystkie były połamane, wiele z nich

zmiażdżyłam. Musiałam je łamać raz po raz. Pod paznokciami miałam resztki żółtej pulpy.

Kiedy przypominam sobie wyraz jej twarzy i postanowienie, by mnie przerazić tą okropną opowieścią, zastanawiam się teraz, czy w klatce piersiowej miała zamiast serca czarny kamień? Opowiedziała całą tę historię bez krzty emocji, tylko czasem podnosząc głos.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Sińce na mojej szyi powoli bladły; minęło pięć dni od próby chrztu dokonanej przez ojca. Kai znów wyjechał. Deszcz lał przez cały dzień i noc, przestawał gwałtownie i równie gwałtownie zaczynał na nowo. Nie wiem, jak długo spałam, kiedy obudziła mnie matka grająca na pianinie. Może nie tyle grała, ile uderzała w klawisze powoli, raz po raz. W moim pokoju było zupełnie ciemno, gdyż zanim się położyłam, zamknęłam żaluzje. Deszcz przestał lać, lecz w oddali zamruczała burza. Leżałam nieruchomo, nasłuchując: środkowe C, trzy razy. D, cztery razy. I znów. Pięć razy, potem sześć. Es. Es. Es. Raz po raz. W końcu dźwięki umilkły, a ja wstałam i poszłam do saloniku. Nikt nie zapalił ani lampy, ani świecy, tylko przez żaluzje i szeroko otwarte drzwi wejściowe prowadzące na werandę wpadał blask księżyca. Dlaczego drzwi były otwarte? W tym upiornym świetle widziałam wskazówki zegara stojącego na półce: trzecia dwadzieścia.

W saloniku było zimno; zamknęłam drzwi, a potem, krzyżując ręce na piersiach, podeszłam do matki. Siedziała skulona nad pianinem z uniesionymi rękami. Widziałam błyszczący, lekko zakrecony napis tuż nad klawiaturą: *Robert Wornum, London*.

- Mamo - powiedziałam. Chyba mnie jednak nie słyszała. Jej palec wskazujący uniósł się wyżej i opadł, uniósł się i opadł. Klik, klik, klik. Nadal es, lecz teraz szybciej, mocniej. Gdzie jest ojciec? Czy jej nie słyszał?

- Mamo - powtórzyłam, tym razem dotykając jej ramienia.

Było lodowate, jak z kamienia. Nie przestała. W końcu zrobiłam jeszcze jeden krok, położyłam dłonie na jej dłoniach uniesionych nad hebanowym klawiszem. Czułam delikatną siateczkę żył. Spojrzała na moją dłoń, potem na mnie i w długim wąskim promieniu światła księżycy, który przebiegał przez jej twarz, dostrzegłam przerażającą pustkę w jej oczach. Czy nadal spała? Żyła we śnie, a poruszała się w rzeczywistości? Na jej brodzie lśniły strużki śliny.

- Co się stało, mamó? - zapytałam, odsuwając się od bezpośredniej linii jej oddechu. Przynajmniej przestała uderzać w klawisz. Ale nadal nie odpowiadała. Wysunęła dłoń spod mojej, z roztargnieniem wycierając brodę rękawem koszuli nocnej, a potem ze spokojem znów zaczęła uderzać w klawisze, jakby mnie tam nie było.

Poszłam do sypialni po ojca, ale łóżko było puste.

- Gdzie jest ojciec? - rzuciłam w plecy matki, nie oczekując odpowiedzi, której oczywiście nie otrzymałam. Doszłam do wniosku, że być może poszedł skorzystać z wygodki, i wyszłam przez boczne drzwi. Jednak zanim zaczęłam schodzić po stopniach werandy, by wyjść na ścieżkę prowadzącą do drewnianej szopy, zobaczyłam ojca idącego w stronę domu. Nie szedł od strony wygodki, lecz od chat. Było chłodne wilgotne powietrze nocy, a on miał na sobie koszulę nocną i szedł boso. Nigdy nie widziałam ojca w takim stanie; zawsze starannie ubrany wychodził rano z sypialni. Jego bose stopy wprawiły mnie w dziwne zakłopotanie.

- Co się stało, ojczu? - zapytałam z werandy, a on zachnął się, przykładając rękę do piersi. Włosy po jednej stronie głowy sterczały.

- Przestraszyłaś mnie, Pree. Co tu robisz w środku nocy?

- Szukałam cię - odparłam. Przesunął dłonią po twarzy i odchrząknął.

- Byłem u... Pavita - powiedział. - Dlaczego mnie szukałaś? Coś się stało?

- Czy Pavit jest chory? - zapytałam, patrząc, jak ojciec wchodzi na stopnie. Jego stopy nie wydawały żadnego dźwięku. Martwiłam się, że zobaczył pogańskie figurki Pavita.

- Boli go bardziej niż zwykle. Wracaj do łóżka.

- Ale... chodzi o mamę - powiedziałam. - Posłuchaj. - Teraz jednak panowała cisza. - Siedziała przy pianinie. Nie grała, tylko uderzała w klawisze. Nie słyszałeś? Obudziła mnie. Dziwnie się zachowuje.

- Wstała? - zapytał, marszcząc brwi. Stał obok mnie na werandzie. - Ale przypilnowałem, by wzięła swoje...

Zamilkł, jakby nie powinien mówić dalej, ale oczywiście wiedziałam, o co chodzi. Matka miała ogromne problemy z zasypianiem i przed pójściem spać zażywała dużą dawkę laudanum. W oddali rozległ się grzmot. Nadciągała kolejna fala deszczu.

Mówiłam bardzo głośno, by przekrzyczeć pomruki dobiegające z gęstych chmur.

- Najwyraźniej nie zadziało - powiedziałam. - I nie odezwała się do mnie ani słowem. Wyglądała... tak jak czasami wygląda. Kiedy nie jest sobą.

Nie po raz pierwszy widziałam tę dziwną pustkę na twarzy matki. Ojciec zamknął na chwilę oczy.

- Wiesz, że gra przynosi jej ulgę, gdy jest zdenerwowana.

- Tak, wiem. Ale nigdy nie siadała do pianina w środku nocy.

Ojciec pochylił się nade mną tak nieoczekiwanie, że się cofnęłam.

- Nie znam wszystkich odpowiedzi, Pree. Przestań mnie dręczyć. Wracaj do łóżka. - Mówił podniesionym głosem; wiedziałam, że jest zdenerwowany.

Weszliśmy razem do domu. Matka siedziała nadal na stołku przed pianinem. Nie ruszała się, a jej dłonie spoczywały bezwładnie na kolanach. Ojciec ujął ją za rękę i od-

proceedził do sypialni. Poszła za nim potulnie, a w nocnej koszuli wyglądała w mroku jak duch.

O wiele, wiele później, wracając wspomnieniami do tamtej nocy, wiedziałam, że powodem ostrego tonu ojca nie była troska o matkę. Ostry ton był wynikiem wyrzutów sumienia. Ale wracając do łóżka i słuchając szumu deszczu, zrozumiałam, dlaczego ten dzień był wyjątkowo ciężki dla matki. Wilgotna aura wywoływała dokuczliwy ból w stawach, a wczesnym popołudniem do infirmerii przyszła młoda kobieta z dzieckiem. Miało wysoką gorączkę, a jego matka cicho wyjaśniła, że nie przyjmuje żadnych płynów i od poprzedniego wieczora oddaje wodniste stolce.

- Teraz już ustały - powiedziała z nadzieją, choć widziałam, że dziecko leży bezwładnie w jej ramionach i ma podkrążone oczy. Matka przycisnęła palce do jego malutkiego tułowia, które unosiło się w gorączce, i dostrzegłam wiotkie ciało. Wiedziałam, że dziecko nie przeżyje.

- Zatrucie jelitowe - mruknęła do mnie matka, podając kobiecie miarkę słodkiego oleju.

Poinstruowała ją, by spróbowała podawać dziecku łyżkę oleju co godzinę i wykąpała je w ciepłej wodzie.

- Olej mu nie pomoże - zwróciła się do mnie - ale nie mogłam jej powiedzieć, że przypadek jest beznadziejny. Dziecko umrze przed wieczorem.

Śmierć dziecka zawsze tak na nią wpływała; wiedziałam, że przywołuje wspomnienia jej własnych zmarłych dzieci.

Następnego ranka podczas modlitwy zerknęłam na biednego Pavita, myśląc o ojcu, który odwiedził go w nocy. Choroba zżerała go w zastraszającym tempie. Był stary, ale wątpię, by wiedział, ile tak naprawdę ma lat. Widziałam, jak próbuje złożyć owinięte bandażami palce, które mu jeszcze zostały, i poczułam ogarniającą mnie falę gniewu na ojca. Nalegał, byśmy wszyscy, również Pavit, składali palce i pochylali głowę, gdy on się modlił.

Pavit był naszym jedynym podopiecznym. W innych misjach mieszkały sieroty i kilka wdów, za których utrzymanie płaciła kapelania, ale poza

Pavitem nikt nie przyszedł na nasze podwórze, by otrzymać opiekę w zamian za nawrócenie.

Pavit powiedział mi, że zanim sześć lat temu zdołał pokonać odległość dzielącą jego wioskę od naszej misji, był wyrzutkiem i sypiał skulony w cieniu na ulicy. Jego ciało zaczynało gnić, lecz żebracza miseczka pozostawała pusta. Wieśniacy, gotowi wesprzeć żebraków czekających przed niewielką świątynią, by wspomóc swoją karmę, wiedzieli, że Pavit z powodu choroby jest niedotykalny i pomaganie mu nie przyniesie żadnych korzyści.

Pavit musiał więc nawrócić się na chrześcijaństwo, by zasłużyć na jedzenie i schronienie w misji. Jestem pewna, że ojciec bardzo się cieszył ze swego jedyne go nawróconego podczas tych wszystkich lat spędzonych w Indiach, lecz tak naprawdę Pavit nie porzucił swoich wierzeń.

Posłusznie poddał się ceremonii chrztu i wiernie próbował mruczeć podczas porannych modlitw, ale wiedziałam, że nadal jest hinduistą. „Im więcej bogów, tym lepiej”, mawiał zawsze do mnie. Nadal więc na wewnętrznej stronie framugi trzymał figurkę Ganeśy z głową słonia na szczęście, a pod łóżkiem cały zbiór figurek, które sam ulepił z gliny, w tym krzyż z kulką na górze.

Jako dziecko siadywałam w drzwiach i patrzyłam, jak ustawia gliniane figurki i dotyka ich z czcią. Kiedy pierwszy raz spytałam, jak się nazywa ta ostatnia, jedyna, której nie rozpoznałam, spojrział na mnie zaskoczony. - To przecież Bóg panienki ojca - powiedział. - Ten, który jest na przedzie czarnej księgi.

Teraz przeniosłam spojrzenie na Glory. Najwyraźniej znudzona, dłubała palcem wskazującym w ustach; często cierpiała na ból zębów i zwykle pachniała goździkami, które żuła, by go uśmierzyć.

Rodzice nigdy nie otwierali oczu podczas oklepanych



modlitw i napomnień. Nie widzieli więc, że razem z Glory nie przejmują się modlitwami, a ponieważ Pavit słabo znał angielski, też niewiele rozumiał z codziennych rytuałów.

Oczywiście oboje rodzice po wielu latach spędzonych w Indiach znali nieco hindi i pendżabski, ale wymawiali zwroty z wahaniem, bezbarwnie, jakby mieli usta usztywnione krochmalem. Ojciec używał mieszaniny hinduskich i angielskich słów, która była rodzajem wolapiku i wprawiała tubylców w zakłopotanie. Matka porozumiewała się z tubylcami nieco lepiej, ale często wzywali mnie, bym dla nich tłumaczyła, biegałam więc między dwoma werandami, by wyjaśnić, co mówi pacjent lub o co pyta i co rodzice mu odpowiadają.

Taki był początek mojej medycznej edukacji.

Mówiłam w hindi, pendżabskim i urdu z łatwością; jedynymi osobami, z którymi rozmawiałam po angielsku, byli rodzice oraz Anglicy, których spotykałam podczas rzadkich wizyt w Lahore. I z Kaiem. Z Kaiem zawsze rozmawialiśmy po angielsku.

Uwielbiałam głos Kaia. Jego angielski był czysty, niemal jak mój, choć wyczuwało się delikatną różnicę, może daleką barwą hinduskiej muzyki. Nie przypominał wcale matki z jej *chee ch.ee*.

Myślałam o wielu wieczorach, gdy ojciec smucił się z powodu utraty potencjalnego nawróconego, który zwykle niby uważnie słuchał jego pogmatwanej przemowy, kiwając przy tym lekko głową, co można było uznać za aprobatę słów ojca.

- „Zaprawdę powiadam wam - tak zawsze ojciec kończył swoją pełną nadziei przemowę, cytując Ewangelię według świętego Mateusza - Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Niebieskiego”.

Na te słowa pacjent kiwał głową z jeszcze większym entuzjazmem. Kiedy jednak ojciec kończył zajmować się sprawą, z którą niedoszły nawrócony przybył do misji, człowiek odwracał się. Kłaniając się i robiąc gest *namaste*,

kręcił przecząco głową, choć zaledwie przed chwilą zgadzał się z każdym ojca słowem. Tak reagował na widok wyciągniętej ręki trzymającej oprawioną w czarną skórę Biblię z okładką zniszczoną od wieloletniego używania. Mój ojciec był wysokim, szczupłym mężczyzną, a jego jasne przerzedzone włosy były z tyłu nieco za długie. Gdy wychodził z domu, zawsze nosił *topi*, bo słońce szybko paliło mu skórę. Jednak mimo to jego wysokie czoło zawsze było zaczerwienione, a skóra łuszczyła się, jakby miał trądzik. Na jego nieruchomej twarzy malował się zwykle spokój, jakby czekał, by usłyszeć wewnętrzny głos.

Matka winiła łagodność ojca za jego niepowodzenia w nawracaniu tubylców. Mówiła, że nie ma kręgosłupa ani pewności siebie. Widzą to nawet poganie, którzy nie wierzą, że głosi prawdę. Nie znosiłam, gdy krytykowała ojca, który, blady i słaby, odwracał wtedy wzrok.

W takich chwilach, gdy już wyszedł, próbowałam go bronić, choć wiedziałam, że to tylko podsyci jej gniew.

- A Pavit i Glory? Oni się nawrócili - powiedziałam pewnego razu.

Pokręciła głową, marszcząc brwi.

- Dla Pavita nawrócenie było lepsze niż sypianie na ulicach, gdzie go kopano i głodował. A jeśli chodzi o Glory... -Skrzywiła się, jakby ugryzła zepsute jajko. - Twój ojciec jest duchownym. Nie mógł wyrzucić porzuconej półkrwi Hinduski z głodnym dzieckiem w ramionach, gdy zjawiała się, błagając o schronienie w zamian za pracę. Ale wiedział doskonale, z kim ma do czynienia. Zgodziła się nawrócić, jak Pavit, w zamian za schronienie i opiekę, tylko dlatego że nie miała innego wyjścia. A twój ojciec był na tyle słaby, że pozwolił jej zostać. Silny człowiek odesłałby ją, by gdzie indziej pokutowała za grzechy, i przyjął ją z powrotem, gdyby udowodniła, że porzuciła już życie dziwki.

Byłam wstrząśnięta, że matka użyła słowa „dziwka”, mimo że coraz częściej zachowywała się niezrozumiale, a ja to po prostu zaakceptowałam.

Wiedziałam, że Glory była bardzo młodą dziewczyną, gdy matka przyjechała do misji w Allhabadzie. Ojciec oczekiwał, że będzie zadowolona z *ai* gotowej jej usługiwać. W końcu to zawsze matka usługiwała innym; pracowała w jednej ze szkół dla biedoty w Spitafields w Londynie. Jej rodzice zmarli, gdy była młoda; wychowywała ją ciotka, a ucieczki przed samotnością szukała, pomagając brudnym, porzuconym dzieciom z zaułków. Próbowała uczyć je najprostszycy rzeczy, rozdając każdego ranka kromki chleba i kubki cienkiej zupy, by zachęcić dzieci do przychodzenia do słabo wyposażonej, lecz posiadającej najlepsze intencje szkoły. Codziennie też akomponiowała na pianinie podczas śpiewania hymnów.

Ojciec zobaczył ją po raz pierwszy, gdy zajrzał do szkoły podczas epidemii choroby skóry, która szerzyła się wśród uczniów. Powiedział, że gdy pierwszy raz zobaczył, jak gra na rozpadającym się instrumencie, otaczała ją świetlista aura.

- Aura, która wypływała z wewnątrz - dodał. - Włosy otaczały ją płomienną chmurą. Oboje marzyliśmy, by pomagać innym odkryć Boże cuda i prowadzić pogańskie serca do Jezusa. To nas połączyło.

Matka niewiele mówiła o tamtych czasach i pomimo słów ojca o otaczającym ją blasku wyczułam, że nawet wtedy nosiła w sobie mrok, który próbowała ukryć.

- Choć obrzydliwie jest żyć z osobą o tak podłym charakterze - ciągnęła teraz - twój ojciec twierdzi, że nie możemy wyrzucić Glory.

Wiele razy słyszałam, jak matka błaga ojca, by powiedział Glory, że z powodu jej niechlujstwa i paskudnego zachowania nie może nadal pracować i mieszkać w misji. Słyszałam też, jak ojciec odmawia. Tylko wtedy przeciwstawiał się matce.

Utrzymywał, że zwalniając ją po tym, jak przyjęła Pana do serca i odrzuciła swych pogańskich bogów, nie postąpiliby po chrześcijańsku.

- A Kai? To jedyny dom, jaki zna. Czy chcesz, żeby też odszedł, jeśli Glory miałyby nas opuścić?

Na te słowa matka odpowiadała milczeniem.

Wyglądało na to, że Kai jest kartą atutową ojca.

Wiedziała, że matce bardzo zależy na Kaiu, choć nigdy tego wprost nie mówiła.

Wiele rzeczy odróżniało Kaia od innych młodych tubylców, których widywałam w infirmerii oraz w pobliskich miasteczkach, wioskach i w Lahore. Nie przypominałam sobie, by Kai kiedykolwiek zachował się jak synowie Sanosha, Darshan lub Jaf ar, wysocy, chudzi chłopcy z rękami i nogami jak patyki, nieustannie żartujący i niezmiernie przejęci wynikami swoich meczów w krykieta. Kai, zawsze poważny, zamyślony, chodził ze zmarszczką między brwiami i zaciśniętymi ustami. Jednak kiedy czasem się zapominał, odrzucał głowę do tyłu i zanosił się niepohamowanym śmiechem, jego twarz zmieniała się nagle, a ja bardzo lubiałam patrzeć na niego w takich chwilach.

Choć po matce był Euroazjata, nie miał tak jasnej skóry jak ona, ale odziedziczył po niej jasnozielone oczy, które dominowały w śniadej twarzy. Gęste włosy były czarne i lśniące i podwijały się na uszach i na kołnierzu długiej, białej koszuli, którą nosił na białych bawełnianych *panjam-mahs* lub *dhoti*. Biel jego zawsze czystego ubrania, czasami oślepiała w świetle słońca.

I nie był na wpół nawróconym hinduistą jak jego matka. Był stuprocentowym chrześcijaninem; matka powiedziała mi, że jako małe dziecko został ochrzczony przez ojca, by Glory mogła go zatrzymać przy sobie w misji.

Od innych młodych mężczyzn z okolicy Kaia odróżniało przede wszystkim to, że nie znał swojego ojca. A był to powód do wstydu nie tylko dla niego, także nawet dla mojej matki. Wydawała się bardziej zaniepokojona faktem, że jej *aja* ma nieślubne dziecko, niż sama Glory. Nie wiedziałam,

czy ojciec Kaia był Anglikiem, czy Euroazjataj wiedziałam na pewno, że Glory nie zniżyłaby się do tego, by dać się dotknąć tubylcowi, nawet braminowi z wyższej kasty. Była wielką snobką. Przez jakiś czas wierzyłam, że ojciec Kaia był radźputem - jego wzrost, szczupła, lecz silna budowa ciała i królewskie rysy wyraźnie na to wskazywały. Nadszedł jednak taki czas, kiedy poukładałam pewne fakty i wydało mi się, że wiem już na pewno, kim naprawdę był ojciec Kaia. Nie był wcale radźputem, lecz Afgańczykiem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Znałam tego Afgańczyka od dawna. Zobaczyłam go pierwszy raz, gdy siedziałam z Kaiem przy Grand Trunk Road.

Grand Truck Road przecina Indie wszerz. Kai powiedział mi, że większą część drogi zbudowano w szesnastym wieku pomiędzy Kalkutą i Kabulem w Afganistanie. Zawsze uważałam tę drogę za raczej dostojną, z oceniającymi ją drzewami pełnymi świergoczących ptaków. Anglicy wybrukowali ogromną jej część kamieniami - *pukka* - które wybrzuszały się i zapadały w zależności od pogody. Odgłosy podróżujących odbijały się echem w spokojny dzień aż w misji i były znajome i bezpieczne: ciche głosy i pokrzykiwania ludzi, nagły wysoki śmiech kobiety, odgłosy zwierząt - rzenie koni, muczenie bydła, rzewne nawoływania kóz i owiec, ryk niezadowolonych wielbłądów - jak również tętent kopyt na nierównych kamieniach. Przez to wszystko przebijał się głuchy stukot drewnianych kół wozów, skrzypienie osi i szczekanie biegnących obok psów.

Kiedy byłam mała, Kai często zabierał mnie ze sobą pod drzewo baniami i patrzyliśmy, jak życie płynie z północy na południe i z południa na północ. Wszystko stale się zmieniało i było bardzo interesujące. Kai często zwracał mi na coś uwagę i w takich właśnie chwilach wiele się dowiedziałam o otaczającym mnie świecie. Widywałam tam Hindusów, mężczyzn w prostych przepaskach na biodrach, koszulach, kurtkach lub chustach, zależnie od pogody, i kobiety w sari z kolczykami w nosach i bransoletkach na rękach. Zameżne kobiety miały przedziałki we włosach przyprószone cyno-

browym proszkiem, a wdowy chodziły w bieli. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni często mieli czoła posmarowane czerwoną pastą - *tikka*. Kai nauczył mnie rozpoznawać kasty i podkasty na podstawie wyglądu; pokazywał mi węzeł, na jaki zawiązane było *dhoti*, wąsy wywinięte do góry, w dół lub na ukos, bramina z wyższej kasty z wywoskowanymi wąsami i turbanem w kolorze szafranu, białe turbany klasy średniej i bezbarwne zawoje stojących najniżej w hierarchii. Nawet wśród nich pilnowano zasad podziału kastowego: członkowie niższych kast przesuwali się na bok lub nawet z drogi schodzili, schylając głowy lub klękając, czyniąc gest *namaste* pod adresem członków wyższej kasty. Siudrowie czasami uderzali w mały bębenek, ostrzegając o swym nadjeździe innych, by się upewnić, że niedotykalny nie przejdzie zbyt blisko. Byli tam brodaci sikhowie w czarnych turbanach, z ostrym *kirpanem* wsuniętym za pas; od czasu do czasu pojawiał się też Pars w małej, białej, okrągłej czapeczce. Muzułmanów można było odróżnić dzięki kwadratowym brodom i cienkim białym czapeczkom; kobiety miały zakryte twarze.

Byli też żebracy, pokryci kurzem, czasami nadzy, a czasem owinięci w łańchmany, ściskający w dłoniach miseczki. Ich włosy i brody były długie i zmierzwione, paznokcie nie-obcięte i często, mijając nas, podnosili dłoń w geście błogosławieństwa.

Widziałam również Anglików podróżujących w zakrytych powozach ciągniętych przez dwa konie, a czasem palankin niesiony przez czterech mężczyzn; siedzącą w nim Angielkę osłaniały przed kurzem i oczami obcych powiewające firanki. Towarzyszył jej zwykle mężczyzna jadący obok na koniu.

Afgańczycy wyróżniali się z tłumu, przemieszczając się na wysokich, dumnych koniach. Niektórzy mieli na sobie szerokie spodnie, koszule i kamizelki, inni, w miękkich białych *kurta-salwar* i długich koszulach pochodzili z dalekiej północy. Zawsze też mieli na nogach skórzane buty, które

jeszcze bardziej odróżniały ich od Hindusów, chodzących boso lub w prostych plecionych sandałach.

Pewnego popołudnia, mogłam mieć wtedy osiem lub dziewięć lat, kiedy siedzieliśmy z Kaiem pod naszym ulubionym drzewem, podjechał do nas Afgańczyk na złocistym arabie. Kai wstał i przywitał go jak przyjaciela. Afgańczyk był Pasztunem i choć wiedziałam, że jego językiem jest pasztuński, przemówił do Kaia w urdu. Mówił bardzo wyraźnie, lecz dał się wyczuć lekki, obcy akcent. Włosy miał zakryte turbanem i nosił rzadką ciemną brodę; uznałam, że jest muzułmaninem. Miał bardzo ciemne oczy, wysokie kości policzkowe i choć wyglądał na znacznie starszego od Kaia, był nadal szczupły i wyprostowany.

Patrzyłam, jak rozmawiają z wyraźną swobodą, jakby się znali od dłuższego czasu. Podeszłam do Kaia, z szacunkiem witając Afgańczyka słowami *Assalamu alaikum*, i wyciągnęłam rękę w stronę złocistej sierści konia.

- Mogę go dotknąć? - zapytałam, a Afgańczyk skinął głową bez uśmiechu, patrząc na mnie ciemnymi oczami, kiedy gładziłam aksamitne chrapy pięknego zwierzęcia. Uśmiechnęłam się do Kaia, a potem do Afgańczyka, marząc, bym mogła pewnego dnia pojeździć na takim wspaniałym wierzchowcu. Do tej pory jeździłam jedynie na szerokim kołyszącym się grzbiecie Marty.

W ciągu następnych paru lat regularnie widywałam Afgańczyka na drodze. Nie pytałam, dlaczego tak często podróżuje Grand Trunk Road. Podczas gdy rozmawiał z Kaiem, gładziłam konia po chrapach lub karmiłam go trawą, którą zrywałam na poboczu drogi. W końcu pewnego dnia Afgańczyk zapytał, czy chciałabym usiąść na grzbiecie konia. Skinęłam głową, a on pomógł mi wsunąć stopę w strzemiona i wspierałam się na zakrzywione, bogato zdobione siodło. Koń zadrżał pode mną, więc chwyciłam wodze, przejęta, że znajduję się tak wysoko nad ziemią.



Afgańczyk nadal rozmawiał z Kaiem, lecz raz spojrzął na mnie, a ja uśmiechnęłam się szeroko, poklepując piętami szerokie boki konia. Urwał w pół zdania, a ukryte w brodzie usta zadrgały. Pomyślałam, że rozgniewałam go uderzaniem piętami, więc natychmiast przestałam. Uświadomiłam sobie, że Afgańczyk nigdy się nie uśmiecha. Później dowiedziałam się, że na jego twarzy malował się nie gniew, lecz smutek. Po tamtym dniu długo się nie pokazywał. Wymyśliłam sobie opowieść o nim, o jego miłości do pięknej *rani*, która została porwana. Co wieczór, wpatrując się w księżyc, recytował dla niej miłosny wiersz.

Rok później, musiałam mieć wtedy jedenaście lat, siedziałam przed *rasoi* i obierałam rzepę. Kiedy usłyszałam stukot kopyt, podniosłam wzrok i na widok znajomego złocistego araba zerwałam się i podbiegłam do płotu. Pamiętałam, jak wysoki i wyprostowany był Afgańczyk i z jaką swobodą siedział na wytłaczanym siodle ze stopami wsuniętymi w strzemiona. Po raz pierwszy widziałam go w misji.

Kiedy biegłam obok figowca w stronę płotu, Afgańczyk pochylił się lekko, ujmując wodze wiszące luźno na szyi konia, który skubał chwasty porastające pobocze. Afgańczyk spojrzął na mnie z wyrazem twarzy, którego nie rozumiałam. Jego oczy lśniły. Czy naprawdę zapamiętałam go jako bardzo smutnego, czy tylko to sobie wyobrażałam?

- *Salam* - powiedziałam w nadziei, że znów pozwoli mi usiąść w siodle. Skinął głową, po czym jego twarz znów przybrała dawny, nieodgadniony wyraz. Ostrożnie spojrzął na dom.

- Byłem na północy - powiedział. - Czy Kai jest w misji?

- Nie. Nie ma go od wczoraj - odparłam. - Nie wiem, kiedy wróci. -

Wspięłam się na płot i zaczęłam gładzić miękką sierść araba. Jego skóra drżała pod moim dotknięciem.

Nagle matka zawołała mnie ostro z werandy. Zanim odwróciłam się w jej stronę, Afgańczyk szybko ściągnął wodze i wbił pięty w boki konia. Arab zadarł głowę, zarżał lekko zaskoczony lecz natychmiast odwrócił się od płotu i ruszył lekko przed siebie.

Afgańczyk nie odwrócił się i w następnej chwili zmusił konia do galopu. Zostałam na płocie. Po kilku zaledwie chwilach byli już tak daleko, że widziałam jedynie ciemny kształt i chmurę żółtego pyłu.

- Pree! - zawołała ponownie matka, tym razem bardziej rozkazująco.

Zeszłam z płotu i podeszłam do niej.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała.

- Rozmawiałam tylko z Afgańczykiem.

- Kim on jest?

- Przyjacielem Kaia - odparłam.

- Nie podoba mi się, że rozmawiasz z obcymi. Jeśli tu wróci, trzymaj się od niego z daleka. Jego obecność na pewno nic dobrego nie wróży. Kai nie potrafi właściwie dobierać osób, z którymi spędza czas.

- Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała, tylko wytarła usta z kwaśną miną.

Tydzień później, gdy siedziałam na werandzie, Afgańczyk znów nadjechał. Tym razem Kai, który szedł przez podwórko /, wiadrem świeżo upranej bielizny, odstawił je i podszedł do niego. Afgańczyk przerzucił nogę nad siodłem i zsunął się na ziemię. Oparł się o lśniącego wierzchowca, krzyżując ramiona na piersi. Długo ze sobą rozmawiali.

Afgańczyk wyjął książkę z torby przy siodle i otworzył ją. Kai pochylił się. Obserwowałam ich i widziałam, jak Kai patrzy z wielkim zainteresowaniem i szacunkiem na twarz mówiącego coś Afgańczyka.

Byli tego samego wzrostu i mieli tę samą pełną godności postawę. Choć Afgańczyk miał bardzo ciemne oczy, a Kai odziedziczył barwę swoich po Glory w tej właśnie chwili zrozumiałam, że Afgańczyk

może być ojcem Kaia. Kiedy odjechał, Kai wrócił do wiadra. Wyjął moką koszulę i mocno ją strząsnął. Podeszłam do niego.

- Kai? - powiedziałam. Spojrzał na mnie z roztargnieniem, rozkładając moką koszulę na krzaku.

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, co chodziło mi po głowie.

- Czy... ten Afgańczyk... Czy on jest twoim ojcem? Spojrzał na mnie ostro i zawiesił rękę w powietrzu.

- Dlaczego pytasz?

- Wydaje mi się, że... jesteś przy nim taki swobodny.

- Zadajesz za dużo pytań - skarcił mnie. - I powinnaś pilnować własnego nosa. - Jego głos zaskoczył mnie, był zdenerwowany, niemal wściekły. - Nie powinno cię obchodzić, kim on jest - powiedział, pochylając się, by wyjąć mokre prześcieradło. Wzięłam jego drugi koniec. Było mi przykro, że go zdenerwowałam. Nie patrząc na siebie, wy-trzepaliśmy prześcieradło i położyliśmy na żywopłocie, by wyschło.

Z pewnością domyśliłam się prawdy. Gdyby było inaczej, Kai nie zareagowałby w ten sposób. Dlaczego się rozzłościł? Czy próbował coś ukryć? Jedynym kawałkiem układanki, który nie pasował do całości, była Glory. Nie mogłam sobie wyobrazić, by mężczyzna tak dumny jak ten Afgańczyk mógłby się związać z taką kobietą jak ona.

Opowieści matki o Glory były zgodne z prawdą. Nie była dobra *ają*. Co rano szczotkowała i upinała matce włosy, sprzątała sypialnię rodziców i dbała, by nieliczne sukienki matki były czyste i wyprasowane.

Podgrzewała jej wodę do kąpieli w chłodne dni, a w letnie miesiące napełniała miedzianą wannę letnią wodą. Pomagała matce w najdrobniejszych sprawach, ale wykonywała swoje obowiązki z lekką aurą wyższości. Nigdy nie przewidywała jej życzeń, jak robiły to *aje* angielskich memsahib w Lahore. Trzeba było

ją prosić, a czasem nawet błagać, żeby zrobiła to, czego od niej oczekiwano, i nigdy nie wykazywała chęci, by stać się towarzyszką mojej matki, jak na dobrą *aję* przystało.

Była ładna, drobna i dobrze zbudowana. Po angielskim ojcu odziedziczyła skórę koloru herbaty z mlekiem. Powiedziała mi, że jej matka pochodziła z Goa nad Morzem Arabskim daleko na południowym zachodzie i miała w żyłach portugalską krew jak wielu mieszkających tam Hindusów. Jej rodzice nigdy nie wzięli ślubu i Glory nosiła portugalskie nazwisko matki: da Silva. Po matce odziedziczyła też lśniąco czarne włosy, które świeżo umyte opadały falami poniżej pasa. Miała długi i wąski nos, łukowate brwi i gęste czarne rzęsy, które ocieniały jasnozielone oczy. Jej proste zęby były tylko lekko zaróżowione od żucia betelu, a nieznacznie cofnięty podbródek w połączeniu z lekką wadą zgryzu sprawiał, że nie była skończoną pięknoscią.

Mimo to trudno było przejść obojętnie obok Glory. A ona wiedziała doskonale, jakie wrażenie wywołuje.

Lubiłam ją, gdy byłam mała.

Nauczyła mnie wiązać sari: trzymała w drobnych dłoniach kilka metrów jedwabnej tkaniny, zgrabnie owijając ją wokół siebie, zawiązując i wsuwając pod brzeg. Kiedy kończyła, materia spływała jej do stóp pełnymi wdzięku fałdami. Kazała mi ćwiczyć, śmiejąc się z mojej niezgrabności, lecz pomagała mi, aż mogłam to zrobić niemal tak szybko jak ona.

Nie pytałam, dlaczego ma tak dużo biżuterii: dwa spore metalowe pudelka pełne broszek, kolczyków, kolczyków do nosa, bransoletek na ręce i nogi oraz naszyjników. Wysypywała ich zawartość na łóżko i siadywałyśmy razem, ja w sari nawiniętym na sukienkę, i przymierzałyśmy świecidełka, oprócz kolczyków, bo oczywiście nie miałam przekłutych uszu ani nosa.

Chata Glory była o wiele bardziej porządna niż chaty Kaia i Pavita. Glory kazała Kaiowi wstawić tam półki z surowego drewna, na których ustawiła pudełka z biżuterią i przy-

borami do makijażu; wbił również gwoździe w zaprawę między kamieniami, by mogła na nich powiesić sari oraz kilka angielskich sukienek.

Glory miała też fotel. Stary, rozchwiany, z drewna teko-wego z wytartym brokatowym siedziskiem, które kiedyś było szkarłatne, a teraz miało kolor różowy. Ten fotel był niezwykle ważny dla Glory. Czasami, kiedy szłam do jej chaty i wołałam ją przez zasłonę, słyszałam szelest jej ubrania i wiedziałam, że właśnie wstała z łóżka i jednym zwinnym ruchem przesiadła się na fotel. Wołała wtedy, żebym weszła, i siedziała wyprostowana z przechyloną władczo głową, jakby była sama królową Wiktoria, która przyjmuje niskiego rangą członka dworu. Pewnego razu uświadomiłam sobie, że w poczuciu Glory fotel nadaje jej godności i nawiązuje do jej angielskiej krwi.

Przyznaję, że bardzo lubiłam Glory, gdy byłam jeszcze mała i naiwna. Kiedy dorastałam, zaczęłam widzieć coraz więcej. Fakt, że brakowało jej wykształcenia, nie był jej winą, ale żaden z mieszkańców wioski, którzy przychodzili do infirmerii, też nie chodził do szkoły, a jednak większość z nich nie była tak prymitywna i arogancka jak ona. Matka mówiła, że Glory jest ordynarna, i to była największa krytyka z jej strony.

W skrytości serca byłam wtedy wdzięczna za to, co matka określała jako ordynarne. Bo ta ordynarność sprawiała, że Glory była bardzo podniecająca; nie przypominała innych *aj*, które widywałam w angielskich domach w Lahore. Poruszały się bezszelestnie w białych, bezkształtnych szatach ze spuszczonej oczami i bezbarwnymi twarzami. Porównywanie Glory do nich przypominało porównywanie pięknego motyla do ćmy.

Kiedy miałam dwanaście lat, zapytałam Glory o jej wiek. Powiedziała mi, że ma trzydzieści jeden lat. Dla mnie była bardzo stara, ale wtedy uświadomiłam sobie, że Kai skończył osiemnaście. Dokonałam szybkich obliczeń i wyszło mi, że urodziła go, mając niewiele więcej lat ode mnie.

I wyglądała bardzo młodo; dla niezbyt uważnego obserwatora mogli z Kaiem uchodzić za rodzeństwo.

W tym samym roku Glory zaczęła szeptem dzielić się ze mną sekretami - nie tylko związanymi z życiem wieśniaków, lecz przede wszystkim dotyczącymi mężczyzn. Powiedziała mi, że są niczym miękka glina w rękach kobiety, która umie się z nimi obchodzić.

- Kobieta, jak płynąca woda, wygładza kamienie - powiedziała, poruszając w powietrzu delikatnymi palcami. - Mężczyźni są tacy prości. Mogę dostać, co tylko zechcę, od każdego z nich.

Glory miała za zgodą rodziców jeden dzień w miesiącu wolny i mogła opuścić misję. Wkładała wówczas swoją najlepszą suknię, kapelusz i pantofelki i wyjeżdżała do Lahore. Wstawiała jeszcze po ciemku, by iść na Grand Trunk Road i błagać o podwiezienie do miasta. Nie było jej przez cały dzień i wracała, kiedy już spałam. Rankiem pojawiała się zaspana, lecz na jej twarzy malowało się zadowolenie, a jej usta układały się w lekko opuchniętym uśmiechu. Dzień lub dwa później pokazywała mi prezenty: nowe sari lub sukienkę, bransoletki lub kolczyki - i przykładała palec do ust ze słowami:

- Nie mów *abba* ani *mata*, Pree, bo nie spodoba im się, że mam takie śliczne rzeczy.

Zastanawiałam się, skąd bierze rupie, by to wszystko kupować, bo wiedziałam, że tylko dwa razy do roku dostaje od ojca bardzo skromną zapłatę. Pewnego dnia dopasowałam jednak jej opowieści o mężczyznach do wielu pięknych przedmiotów i wiedziałam już, że Glory niczego nie kupowała.

Zrozumiałam wtedy, co miała na myśli matka, mówiąc, że prawdziwym darem Glory jest jej zdolność do uwodzenia i czarowania. Od tamtej pory widziałam ją w innym świetle. Zwłaszcza zauważyłam, że nie okazuje Kaiowi żadnych macierzyńskich uczuć. Traktowała go jak Sanosha, przyjaźnie, lecz z lekką rezerwą.

Zrozumiałam też, dlaczego Kai nie zwraca się do niej *mata*, lecz mówi jej po imieniu.

Fascynaq'a, jaką mnie kiedyś napełniała, zniknęła. Była leniwa. W niektóre dni na policzkach nadal miała rozmazaną *surmę* z poprzedniego dnia, co oznaczało, że nie myła się ani przed pójściem spać, ani rano. Śmiała się za głośno z szeroko otwartymi ustami, z których dobywał się zapach betelu i goździków. Nawet jej biżuteria, którą kiedyś uważałam za piękną, była tylko zaśniedziałą blaszką i migającym szkiełkiem.

- Dlaczego Glory tak się wywyższa? - zapytałam pewnego dnia matkę. - Jest służącą, a traktuje mnie, jakbym była gorsza od niej.

- Glory - rzuciła matka z pogardą - jest okropną *ają* i kobietą o podejrzanym moralności. Czego można się spodziewać po kimś o tak wątpliwym pochodzeniu? - mruknęła. - To przez tę mieszaną krew, która w niej walczy. Choć bardzo chce, by brano ją za Angielkę, jest tylko Chutney Mary\* - dodała.

Matka często nazywała Glory Chutney Mary. Myślałam o wielu Euroazjatkach, które widywałam w Lahore; kobietach urodzonych z matki Hinduski i ojca Anglika. Nie należały do żadnego ze światów, a niektóre z nich próbowały uchodzić za Angielki. Choć - jestem pewna - wielu z nich by się to udało, gdyby miały jaśniejszą skórę, opanowały angielski i maniery, i tak natychmiast byłyby rozpoznawane. Zbyt mocno się starały, przymilały do siebie nawzajem, a zwłaszcza do Anglików, trzepocząc przy tym rzęsami i kwitując wszystko piskliwym śmiechem. Podobnie jak u Glory ich ubrania i fryzury były zbyt ostentacyjne, a w ich angielskim wyczuwało się lekki akcent.

Obie rasy traktowały je z wyższością. Hindusi pogardzali tymi kobietami za brak szacunku dla kultury matki,

**\* Chutney Mary - pogardliwe określenie Hindusek półkrwi, które za wszelką cenę chciały uchodzić za Angielki.**

a Anglicy za śmieszne próby odnalezienia się w kulturze ojca. Oczywiście nikt nigdy nie ożeniłby się z Glory; traktowano ją ze wzgardą jak hinduską wdowę; była kobietą półkrwi, która urodziła nieślubne dziecko. Glory wiedziała, że nie ma zbyt wielkiego pola manewru; musiała zostać w misji jako *aja* mojej matki, a jednak była niepokojąco pewna siebie i nie miała za grosz szacunku dla obojga rodziców. Od czasu do czasu zastanawiałam się, dlaczego była tak pewna swojej pozycji. Glory miała stanowczo zbyt wielką władzę w misji, choć musiało minąć sporo czasu, zanim zrozumiałam, co jest tego powodem. Miała w tym swój własny cel.

Aja? Ostatnio coraz częściej zastanawiałam się, gdzie jest moje miejsce. Wiedziałam, że jestem potrzebna w infirmerii. Wiedziałam też, że jestem córką misjonarzy i pomagam poganom w Indiach.

Ale czyż nie istnieje coś więcej? Co z moją przyszłością?

Potrzeba odnalezienia własnego miejsca w świecie, w którym żyłam, podzielonym pomiędzy angielską misję i Indie, nie dawała mi spokoju. Często byłam zamyślona i chciałam porozmawiać z kimś o moich problemach. Kai był jedyną osobą, która przychodziła mi do głowy, a jednak coraz częściej wyjeżdżał.

Coraz częściej też matka mówiła z tęsknotą o domu. Często wieczorami siadywała w obitym perkalem fotelu w saloniku i przysuwając do siebie lampę, przeglądała dwie stare, zniszczone książki. Przedstawiały sceny z angielskiego krajobrazu - jedna zawierała dagerotypy w kolorze sepii, druga - akwarele.

- Pamiętasz, wielebny - zaczynała, kładąc rękę na jednym z obrazów, a kiedy ojciec podnosił wzrok znad Biblii, tylko na niego patrzyła.



- Co pamiętam, matko? - pytał, a ona, lekko zdziwiona, przekrzywiła głowę na bok, jakby słuchała odpowiedzi. W końcu ojciec znów pochylał się nad Biblią, a matka milczała, nie mrugając nawet powiekami. W takich chwilach grywałam na pianinie, by ją rozweselić; już dawno nauczyła mnie czytać nuty z książki z hymnami. Moim ulubionym hymnem był *Chrześcijanie, przebudźcie się* i choć była to pieśń bożonarodzeniowa, grałam ją głośno i z wielkim zapałem przez cały rok. Niegdyś wywoływała na twarzy matki uśmiech. Ale teraz już nie. Wiedziałam, że rodzice nawet po tylu latach spędzonych w Indiach nadal uważają się za gości w tym kraju i wspominają Anglię z jej zielonym, wilgotnym klimatem niczym drogą przyjaciółkę. Dla nich Indie były krajem smutku i rozczarowania.

Jednak dla mnie były moim krajem. Nie znałam żadnego innego życia poza życiem misji, pobliskich wiosek i Lahore. I kochałam to wszystko: nagle jasne świty i cudowne zachody słońca latem, niebo w czasie pierwszych monsunów, zimową mgłę, która napływała nisko nad pola. Kochałam szum zielonych palm w chłodnym powiewie wiatru, mrużącą brązową wodę rzeki i pełzające po niej promienie słońca, które barwiły ją na złoto. Kochałam jasną plamę turkusowego sari na zakurzonej drodze. Kochałam unoszący się nad wszystkim zapach ognisk, w których palono nawóz, zapach oleju z gorzycy, słodycz jaśminu i drewna sandałowego. Kochałam odgłosy tego kraju: gruchające gołębie, pisk zielonych i szkarłatnych papug oraz rozlegające się w oddali szczekanie bezpańskich psów. Kochałam wioskowe odgłosy śpiewów i dzwonów hinduskich świątyń, nawoływania muezinów, święte krowy, które wędrowały po wąskich uliczkach, melodie grane na brzęczących strunach *shnai* i dźwięk *tambour* na czele ślubnej procesji.

Kochałam języki tego kraju, które bez chwili zastanowienia spływały z moich ust.

To wszystko wiedziałam; i tego nie mogłam znaleźć w angielskich książkach.

Należałam do Indii, a one do mnie i było mi z tym dobrze.

Byłam córką misjonarzy i w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że wszyscy zakładają, że będę kontynuować ich działalność.

Wraz z upływem czasu napawało mnie to coraz większym przerażeniem.

Dreczyła mnie myśl o tym, co przyniesie przyszłość.

Kim się stanę?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W ciągu kilku następnych miesięcy miałam coraz więcej obowiązków w infirmerii. Matka często zostawała w domu; skarżąc się na prawdziwe lub wyimaginowane dolegliwości. Nie wstawała z łóżka i mówiła, że muszę sama zająć się kobietami i dziećmi.

Lubiłam oczekiwanie, które przynosił każdy dzień w infirmerii. Kto przejdzie przez bramę i w jakim będzie stanie? Choć zawsze poruszał mnie ból drugiej osoby, nabierałam dystansu, kiedy już zaczęłam opanowywać sytuację, i mogłam w skupieniu skutecznie zająć się chorymi i rannymi.

W ten szczególny dzień, kiedy deszcz przestał padać i jak na październik było wyjątkowo ciepło, na werandzie infirmerii czekało troje dorosłych i dwoje dzieci.

Starszy mężczyzna owinięty był na piersiach pasem brudnego materiału. Widziałam też kobietę w średnim wieku z wielką wodnistą naroślą na policzku. Młodsza kobieta, prawie moja rówieśniczka, trzymała na kolanach malucha, a w ramionach niemowlę. Maluch zanosił się kaszlem, a gdy matka poklepywała go po plecach, jej twarz marszczyła się ze zdenerwowania.

Kiedy weszłam na schody, mężczyzna i kobieta spojrzeli na mnie wyczekująco, wstając w geście szacunku i składając dłonie na piersiach. Sprawilo mi to nieznaną do tej pory przyjemność. Czy to była duma? Jeśli tak, to wiedziałam, że nie powinnam jej czuć - „Duch pyszny poprzedza upadek, Pree” - ale podobało mi się niewątpliwe poczucie władzy. Wygładziłam sukienkę na biodrach i odchrząknęłam. Nagle pożałowałam, że jestem boso.

- *Namaste* - powiedziałam w odpowiedzi, składając dłonie na wysokości piersi. Kiedy pochyliłam głowę, zauważyłam, że powinnam obciąć paznokcie u nóg. - Sahib zaraz przyjdzie, żeby się wami zająć - zwróciłam się do starszego mężczyzny w języku pendżabi, gdyż widząc jego *dhoti*, wiedziałam, że w takim właśnie dialekcie mówi.

Poprowadziłam kobiety na tylną werandę i powiedziałam młodej matce, że jej syn cierpi na krztusiec. Dałam jej miarkę węgla potasowego.

Miała go mieszać z ciepłą wodą i podawać chłopcu co kilka godzin.

Potem wyjęłam z kieszeni fartucha dwie suszone figi i podałam maluchowi; spojrzał na mnie z powagą, a potem wziął figi i natychmiast wsunął obie do buzi. Matka uśmiechnęła się do mnie niepewnie i z fałd sari wyjęła niewielkie zawiniątko. Poczulałam zapach szafranu. Wzięłam przyprawę i skinęłam głową w podziękę.

Odeszła, a ja zwróciłam się do starszej kobiety z naroślą.

Muzułmanki, którym pozwolono opuścić *pardah*, przychodziły do misji z zakrytymi twarzami lub przyjeżdżały w zamkniętym powozie w towarzystwie brata, syna, męża lub ojca. Hinduski przychodziły z innymi kobietami. Oczywiście wszystkie rozmawiały tylko ze sobą i tylko kobiecie pokazywały swoje ciała. W swoich wioskach mogły korzystać wyłącznie z pomocy akuszerki, która posiadała ogólną wiedzę o ciele kobiety oraz wybór leków z ziół i roślin -skład ich był często efektem przesądów. Mogły też wysłać mężczyznę z rodziny lub męża do *hakima* w większym mieście, by opisał ich dolegliwości. *Hakim*, tubylec z pewną wiedzą medyczną, wysłuchiwał symptomów i przekazywał informację, jak zaradzić chorobie lub cierpieniom żon, matek, sióstr i córek.

Choć wielu chorym pomagały tradycyjne leki - matka też czasem z nich korzystała, lecz ojciec nie wierzył w ich moc - niektórzy mieszkańcy wioski, gdy nie pomogła ani

akuszerka, ani *hakim*, decydowali się skorzystać z naszej pomocy medycznej. Kobietami i małymi dziećmi zajmowała się matka na werandzie za domem, a ojciec przyjmował mężczyzn od frontu. Zawsze było więcej kobiet i dzieci niż mężczyzn. Niektórzy pacjenci przychodzili z pustymi rękami; inni przynosili kurczaka, mały woreczek soczewicy lub przyprawy zawinięte w szmatkę.

Mój ojciec nie był z wykształcenia aptekarzem i w Anglii nie wolno by mu było przepisywać lekarstw, ale tutaj, kto mógł go przed tym powstrzymać? Wszystkie potrzebne rzeczy dostawał z kapelanii w Lahore, która realizowała jego zamówienia; nikt nigdy nie kwestionował narzędzi, bandaży oraz całej gamy pastylek i płynów, które miały przynieść ulgę cierpiącym.

Wierzę, że w młodości matka musiała być bardzo pojętna, bo nauczyła się podstaw chirurgii - zszywania rozdartej skóry i nastawiania złamanych kości - tylko dzięki uważnemu obserwowaniu pracy ojca i swojej dociekliwości. W infirmerii nie była już tylko jego pomocnikiem, a ja od najmłodszych lat widziałam, jak bardzo ją to interesuje. Regularnie czytywała książki medyczne i o wiele lepiej od ojca radziła sobie z leczeniem chorób skóry, infekcji oka i ust oraz chorób jelit i pęcherza. Lepiej też rozumiała rolę lekarza; rozpoznawała przyczyny zachorowań, podczas gdy ojciec w zdecydowany, pozbawiony wyobraźni sposób jak chirurg zajmował się prostym usuwaniem widocznych objawów. W pewnym okresie uznałam, że być może ojciec nie potrafi zgłębić działania organizmu człowieka, tak samo jak nie potrafi nikomu przekazać światła wiary.

Jedyną rzeczą, jakiej matka nigdy się nie podjęła, były amputacje; o dziwo, ojciec, z całą swoją łagodnością, wykonywał je niemal podniecony, choć na szczęście nigdy nie odbywało się to w misji. Jeśli uznawał, że nie ma innego lekarstwa na zarażoną gangreną kończynę lub zbyt mocno zmiażdżoną w wyniku wypadku, jechał do pacjenta i tam przeprowadzał nieprzyjemną operację.

Rodzice leczyli również siudrów, którym nie wolno było się zbliżyć do domów akuszerki lub *hakimów*, bo zbezczesziliby je swoją obecnością. Mogli jednak przychodzić do infirmerii wieczorami, kiedy nie było już pacjentów. I trzeba się było nimi zajmować w spec'alnym miejscu przy wygódce, daleko od domu, od infirmerii i podwórka. W innym bowiem wypadku członkowie pozostałych kast przestaliby przychodzić do misji, nie życząc sobie kontaktu z zanieczyszczonym terenem, a ojciec straciłby nawet tę cienką nić łączącą go z mieszkańcami wioski.

Moje najwcześniejsze wspomnienia łączą się z widokiem najróżniejszych niepokojących dolegliwości fizycznych, okaleczeń i ran ludzi przychodzących do infirmerii. A ponieważ widywałam je od zawsze, nie budziły we mnie przerażenia ani strachu. Podobnie jak matka nauczyłam się wszystkiego, obserwując i słuchając, a z czasem również czytając książki o medycynie i leczeniu, które ojciec przywiózł z Anglii.

Poznałam rolę chininy i laudanum, terpentyny, chloru i siarki. Dowiedziałam się, że igły używane do zszywania ran muszą najpierw zostać odkażone w ogniu i że opatrunek należy najpierw zanurzyć w karbolu, by uniknąć zakażenia otwartej rany.

Nauczyłam się, jak leczyć ropiejące rany Pavita olejami gurjon, chalmugra i marotty. W zeszłym roku przejęłam nad nim opiekę; chodziłam do jego chaty raz w tygodniu i jak pokazał mi ojciec, zanim dotknęłam bandaży Pavita, najpierw owijałam dłonie czystym muślinem. Zużyte bandaże wrzucałam do blaszanego wiaderka i wynosiłam do spalania. Smarowałam gnijące kończyny Pavita olejem, który nakładałam płaskim patyczkiem. Matka powiedziała mi, żebym zasłaniała usta i nos kawałkiem muślinu zanurzonym w olejku różanym, by uchronić się przed odorem.

Nauczyłam się dużo o odkażaniu i oczyszczaniu. Poznałam przyczynę grzybicy i wewnętrznych pasożytów i wiedziałam, jak się ich pozbywać; jak powstrzymać wymioty, które dręczyły małe dzieci w upale, prowadząc do

odwodnienia i często stając się przyczyną śmierci. Patrzyłam, jak zszywa się rozdarte ciało i jak usztywnia złamane kości łubkami.

Zaobserwowałam, że próba sprania plam z krwi mydłem tylko pogarsza sprawę i że należy to robić zimną wodą. Widziałam, jak nacina się pęcherze i potem smaruje terpentyną, a oparzenia łagodzi mieszaniną oleju i sproszkowanego imbiru. Zwijałam tutki z papieru i odliczałam do nich tabletki, podawałam matce gazę i nożyczki, nawlekałam igły, zwijałam długie paski muślinu w bandażę i myłam narzędzia.

Zawsze uważałam pracę w infirmerii za jeszcze jeden z codziennych obowiązków, jak pranie, karmienie kur, zamiatanie werandy i przynoszenie wody do mycia podłóg w domu. Jednak przed pięcioma miesiącami nauczyłam się pomagać naprawdę, wykonując moją pierwszą operację.

Pacjentką była Lalasa, moja najlepsza przyjaciółka.

Była połowa maja i czuliśmy napór letniego upału. Żar pozbawił życia drzewa, ogrody, a nawet zwierzęta; kozy na drodze stały ze zwieszonymi głowami, a kury znikwały w zakurzonych żywopłotach. Marta podwijała pod siebie nogi i całymi godzinami nie chciała się ruszyć. W ostrym wietrze wirował w powietrzu czerwony kurz, wpadając mi do nosa i gardła, a osiadając na spoconej skórze sprawiał, że stawała się szorstka. Kurz i pył wpadały przez szpary w ścianach misji, gromadząc się w szczelinach pomiędzy deskami podłogi. Białe mrówki przeżarły książkę, którą akurat czytałam: *Ostatnie dni Pompei* Bulwera-Lyttona; okładka z marokinu rozsypała mi się w rękach, gdy zdjęłam ją z półki nad łóżkiem. Jak zwykle podczas okresu upałów nie mieliśmy żadnych pacjentów po *tiffin*, naszym południowym posiłku. Większość przychodziła wcześniej rano, gdy było chłodniej, lub czekała, aż minie największy upał.

Siedziałyśmy z matką w infirmerii, zwijając w milczeniu bandażę, gdy na podwórko wjechał z turkotem wóz ciągnięty przez dwa młode bawoły.

Wyszłam na werandę; z wozu zeskoczył chudy mężczyzna w średnim wieku i zdjął młodą kobietę. Z wozu o własnych siłach zeszła też druga kobieta. Nie rozpoznałam mężczyzny, a kobieta miała twarz owiniętą niebieskim szalem tak, że widać było tylko oczy.

Ruszyła za mężczyzną, głośno zawodząc. Dziewczyna nie wydała z siebie żadnego dźwięku, gdy mężczyzna zaniósł ją na tylną werandę i położył na macie. Trzymała w ustach koniec swojego pomarańczowego szala i gryzła go, kręcąc głową na boki. Zaciśnęła powieki, a z kącików jej oczu sączyły się łzy.

- Lalasa - szepnęłam, poznając moją dawną przyjaciółkę.

Przez rozdartą skórę tuż pod kolanem wystawał goleń, przerażająco biały i ostry. Lalasa była rok młodsza ode mnie i często przychodziła do infirmerii z matką, która cierpiała na chorobę skóry, na co pomagały regularne okłady z siarki. Nigdy wcześniej nie widziałam jej ojca.

Jako dziecko Lalasa była drobna i delikatna z wielkimi ciemnymi oczami zawsze obwiedzionymi *surmą*. Miała szerokie czoło, mały szpiczasty podbródek i uśmiechała się od ucha do ucha. Przed laty, kiedy jej matka czekała na moją, by się nią zajęła, grywałyśmy bez końca w *lattoo*.

Bardzo zręcznie radziłam sobie z kręceniem jednym z dwóch bąków, które przynosiła. Były zrobione z wypalanej gliny i zakończone szpicem. W dolnej części *lattoo* był owinięty sznurkiem i szybko nauczyłam się podkręcać sznurek, by rzucić *lattoo* na ziemię. Mój zwykle kręcił się najdłużej; Lalasa nie miała nic przeciwko temu, że tak często wygrywałam.

Innym razem chowałyśmy się w wysokich szeleszczących rzędach kukurydzy za infirmerią, udając, że kryjemy się przed Afgańczykami słynącymi z tego, że porywają piękne *rani* i zabierają do swoich obozów, by były tam ich hinduskimi królowymi. Lalasa próbowała straszyć mnie Afgańczykami, którzy przejeżdżali drogą, ale się jej nie udawało.



Miałam swojego własnego Afgańczyka i wiedziałam, że nie wszyscy są tacy, jak uważa Lalasa.

Jedna tylko rzecz psuła mi radość spotkań z Lalasą. Miała lalkę, angielską lalkę z jasnymi włosami i porcelanową buzią, którą nosiła ze sobą.

Dostała ją przed laty w prezencie, choć nie pamiętała od kogo. Za każdym razem, gdy przychodziła do infirmerii, wkładała mi ją w ręce, jakby powierzała wielki dar. Trzymałam ją mocno, bo na widok lalki z dziecięcą zazdrością zaciskałam szczęki. W takich chwilach czułam się przy Lalasie jak przy Eleanor Wyndham. I znów ogarniało mnie uczucie, że nie należę do żadnego ze światów: ani do hinduskiego świata Lalasy, ani do świata angielskiej dzielnicy w Lahore.

Kochałam Lalasę, więc udawałam, że podziwiam lalkę, ale w najciemniejszych zakamarkach serca nie chciałam jej już nigdy oglądać i byłam zła na przyjaciółkę, że mnie do tego zmusza. Musiałam patrzeć na to, że dziewczynka z hinduskiej wioski miała piękną angielską lalkę, podczas gdy ja, prawdziwa angielska dziewczynka, nigdy nie miałam własnej.

W końcu, kiedy przestało to mieć dla mnie znaczenie, Lalasa przestała przynosić lalkę. A potem pewnego dnia matce w infirmerii towarzyszyła jej młodsza siostra. Powiedziała, że Lalasa jest zbyt zajęta w domu; gotuje dla ojca i opiekuje się najmłodszą siostrzyczką, więc nie może już tracić całego ranka lub popołudnia w infirmerii. Strasznie za nią tęskniłam.

Minęły dwa lata, odkąd widziałam ją po raz ostatni; jej delikatna twarz, dziś była poszarzała, mokra od potu i łez bólu, a *surma* rozmazała się na policzkach.

- Co się stało, Lalaso? - szepnęłam w hindi. Nie otworzyła oczu.

Cofnęłam się, gdy matka pochyliła się nad nią i opierając dłonie na kolanach, spojrzała na zranioną nogę.

Potem odwróciła się do mnie.

- To zwykłe złamanie, Pree. Zajmiesz się Lalasą. Przy tej pogodzie rozbolała mnie głowa, nie mam siły.

Serce zabiło mi mocniej, a potem zaczęło łomotać. Skinęłam jednak głową, przyciągając dla matki zydeł na trzech nogach, który stał przy ścianie. Dręczona reumatyzmem, odczuwała zbyt wielki ból, gdy musiała się pochylać nad paq'entami siedzącymi lub leżącymi na podłodze. Potem weszłam do infirmerii i wróciłam z butelką laudanum i niezbędnymi rzeczami. Wiedziałam, co trzeba zrobić, ale nigdy tego sama nie robiłam. Klękając obok Lalasy, nalałam pierwszą łyżeczkę laudanum. Ojciec uniósł jej głowę - wcale nie delikatnie - i wyszarpnął jej szal z ust. Lalasa otworzyła oczy.

- *Kripaya, abba* - rzekła. - Proszę, ojczu.

Widać było wyraźnie, że jest przerażona - nie tylko z powodu bólu, lecz także ojca. Spojrzała na mnie i otworzyła oczy jeszcze szerzej.

Uświadomiłam sobie, że nawet nie słyszała mojego głosu, gdy do niej przemawiałam. Chwyciłam mocniej trzonek łyżeczki i wlałam jej płyn do ust. Przełknęła i skrzywiła się, a ja podałam jej jeszcze dwie łyżeczki.

- Wystarczy, Pree - powiedziała matka, patrząc na to ze stołka. - Następna dostawa przyjdzie dopiero za dwa tygodnie.

Zakorkowałam butelkę i czekając, by lekarstwo uśmierzyło największy ból, siedziałam obok Lalasy i mówiłam do niej cicho. Próbując czymś ją zająć, zadawałam nieistotne pytania: czy ma na sobie nowe sari, jak się miewa jej siostra, czy nadal ma starą lalkę.

Lalasa cierpiała jednak zbyt mocno, by podjąć rozmowę. A może bała się mówić. Kręciła tylko niespokojnie głową i znów zamknęła oczy.

- Jak złamała nogę? - zapytałam jej ojca, biorąc głęboki oddech i polewając karbolem pokryte zakrzepłą krwią miejsce wokół rany. Lalasa krzyknęła przeraźliwie, ciągnąc się za włosy, a jej ojciec rozdrażnionym tonem powiedział, że spadła z dachu domu, na który się wspięła, by naprawić dziurę.

- Nie mam syna i ona musi wykonywać jego prace - powiedział, patrząc z wyrzutem na matkę, która nadal szlochała ukryta za szlem. - I jest niezdarna, stale sobie coś robi - dodał. - Jest bezużyteczna.

Wreszcie laudanum zaczęło działać. Lalasa oddychała swobodniej i nie rzucała już głową na boki. Otworzyła oczy i znów na mnie spojrzała; jej źrenice były ogromne.

Matka wstała i końcem buta przesunęła zydel po werandzie. Drewniane nogi zaskrzypiały, gdy zydel zatrzymał się za głową Lalasy. Matka znów usiadła. Skinęła głową na ojca, opierając mocno obie dłonie na prawym ramieniu jego córki. On zrobił to samo z lewym.

- Przytrzymaj jej drugą nogę - zwróciłam się do matki Lalasy.

Pokręciła głową, szeroko otwierając mokre od łez oczy, lecz słysząc warknięcie męża, puściła końce szala i uklękła przy zdrowej nodze córki, obejmując mocno dłońmi szczupłą kostkę.

- W porządku, Pree - powiedziała moja matka, a ja wzięłam głęboki oddech, chwyciłam opuchniętą, gąbczastą nogę i wsunęłam kość na miejsce.

Lalasa wydała z siebie przenikliwy krzyk, niemal całym ciałem, i uniosła głowę nad matę. Matka krzyknęła razem z nią. Potem Lalasa opuściła głowę i podczas gdy jej matka nadal płakała, ona tylko lekko dyszała. Jej pierś unosiła się i opadała, unosiła i opadała, gdy przyłożyłam najpierw jedną, potem drugą łubkę do jej nogi i owinęłam je kawałkami muślinu poniżej i powyżej otwartej rany, by utrzymać kość w odpowiedniej pozycji. Kiedy skończyłam, bolały mnie zęby trzonowe. Zacisnęłam je tak mocno, że czułam napięcie biegnące w dół kręgosłupa.

Lalasa jęczała i dałam jej jeszcze jedną łyżeczkę laudanum, pomimo protestów matki, i zaszyłam otwartą ranę. Igła przechodziła przez ciało jak przez grubą bawełnę; byłam zaskoczona, że skóra poddaje się tak łatwo. Nie było to trudniejsze niż obrębianie licznych chusteczek, którymi

matka ocierała usta. Od dawna moim zadaniem było cięcie białej bawełny na kwadraty i ich obrębianie.

Kiedy skończyłam rząd małych równych ściągów, zawiązałam nitkę i ucięłam małymi stalowymi nożyczkami, a potem zakryłam ranę gazą i przewiązałam wąskimi paskami muślinu. Jęki Lalasy przeszły w cichą, rytmiczną czkawkę.

Stałam, wycierając ręce w fartuch, i podałam ojcu Lalasy papierową tutkę.

- Musisz podawać jej jedną tabletkę siarki trzy razy w ciągu dnia i nie pozwól jej ruszać nogą. Nie może wykonywać żadnych prac przez trzydzieści dni - powiedziałam, spoglądając na matkę, która kiwnęła głową. - Trzydzieści dni - powtórzyłam, a on spojrzał ze złością na żonę, jakby to ona stawiała takie wymagania.

- Jeśli każesz jej wstać i pracować wcześniej - ciągnęłam -kość się nie zrośnie. Znow się złamie i wyjdzie przez skórę i będziesz musiał ją tu przywieźć jeszcze raz, a ja zrobię to samo. Ale następnym razem nie będzie mogła pracować o wiele dłużej - ostrzegłam.

Mruknął coś, czego nie usłyszałam.

- Albo zostanie kaleką do końca życia i nie będziesz z niej miał w ogóle pożytku. Może nawet nie wyjdzie za mąż - powiedziałam, dodając ostatnie zdanie dla większego efektu.

Zmarszczył brwi i mrużąc oczy, popatrzył na córkę.

- Za pół roku ma wyjść za mąż - powiedział. - Data jest ustalona.

- Ciociu - zwróciłam się do jej matki - codziennie musisz zmieniać ten bandaż - wskazałam na gazę - i przemywać ranę. - Podałam jej butelkę karbolu i grubą rolkę gazy. - Potem owijaj czystym bandażem.

Początkowo będzie krzyczeć, bo będzie ją piekło, ale musisz to robić, bo inaczej szwy zaczną gnić. Rozumiesz? - Skinęła głową. - Po dwóch tygodniach musicie ją tu przywieźć znowu - powtórzyłam z naciskiem.

Potem zawołałam mojego ojca. Spojrzał na unieruchomioną nogę. Jego zazwyczaj blada twarz płonęła z gorąca i na jej widok matka Lalasy bardzo się wystraszyła. Naciągnęła szal na oczy.

- Ja to zrobiłam - powiedziałam, szukając aprobaty.

- Dobrze - rzekł z roztargnieniem, a ja poczułam rozczarowanie.

Spodziewałam się większych pochwał niż tylko jedno słowo. Potem razem z ojcem Lalasy wzięli nosze, które trzymaliśmy w tym celu - pas mocno splecionej trzciny przymocowany do dwóch prętów bambusa - i zanieśli dziewczynę na wóz.

Kiedy wyszli, matka skinęła mi głową i wyciągnęła rękę, by wsunąć mi pod spinę pasmo włosów.

- Nie narobiłaś zbyt dużego bałaganu - powiedziała. Był to większy komplement niż rzucona od niechcenia pochwała ojca. - Choć wątpię, by pozwolili jej całkiem wrócić do zdrowia. Pewnie niedługo znów ją zobaczymy, a jeśli tak się stanie, zostanie kaleką.

Uśmiech zniknął z mojej twarzy. Poszłam do infirmerii, by wyczyścić igłę i odłożyć narzędzia. Matka zawsze potrafiła wszystko zniszczyć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Rok po moim pechowym chrzcie mijał spokojnie: zimowe miesiące grudzień i styczeń były jak zwykle chłodne, a w niektóre ranki, kiedy wychodziłam na werandę, widywałam owiniętego w chusty Pavita skulonego nad małym ogniskiem z gałązek, które rozpalał przed chatą.

W styczniu, po święcie Maghi, poznałam jeden z sekretów Kaia. Święto obchodzi się u szczytu zimy, kiedy mieszkańcy Pendżabu radują się z ostatnich zimowych zasiewów, a uroczystości mają im zapewnić dobre zbiory i pomyślność. Poszłam z Sanoshem na święto Maghi do Tek Mandi. Matka nie chciała się zgodzić, ale ojciec mi pozwolił. Kaia nie było w misji przez większą część stycznia.

W wiosce Sanosha rozpalono ognisko, wokół którego tańczyli mężczyźni i kobiety. Sanosh dał mi kilka garści kukurydzy, bym złożyła ofiarę, wrzucając ziarno do ognia, co wróży wieśniakom bogate zbiory. Wielu mieszkańców wioski miało na sobie nowe ubrania, a ja śmiałam się z Dar-shanem, gdy razem z jego ojcem dołączyliśmy do tańca przy ogniu. Kiedy ogień wygasł i wieśniacy weszli do swoich chat, wróciłam z Sanoshem piechotą do misji. On poszedł do *rasoi*, by położyć się spać, ja jednak nadal byłam poruszona wydarzeniami wieczoru i nie chciałam wchodzić do domu. Usiadłam pod figowcem. W ciszy wieczoru usłyszałam głosy dobiegające z chaty Kaia.

Uradowana pobiegłam w tamtą stronę, nie mogąc doczekać się spotkania po kilku tygodniach jego nieobecności. Jednak kiedy się zbliżyłam, usłyszałam ciche jęki i szepty. Rozległ się brzęk szkła; w chacie paliła się lampa, a za matą zakrywającą wejście dostrzegłam ruch.

- Nie - powiedział męski głos. - Zostaw.

- Kai? - zapytałam cicho i w chacie natychmiast zapanowała cisza.

Kai odsunął matę. Jego widok wstrząsnął mną. Nie miał koszuli, a jego pierś była cała poraniona i posiniaczona. Na ramieniu zobaczyłam głęboką ranę. Twarz miał wynędzniałą, nos dziwnie zakrzywiony, a wokół nozdrzy widać było strużki zakrzepłej krwi. Jego wargi, nawet w bladym świetle lampy, były kredowobiałe.

- Co się stało? - zapytałam. - Kai, kto ci to zrobił? Ruchem głowy dał mi znak, żebym weszła do środka. Na jego łóżku leżał młody mężczyzna - sikh w czarnym

turbanie. Z dziwnego położenia i wybrzuszeń na jego lewym przedramieniu wywnioskowałam od razu, że zarówno kość promieniowa, jak i łokciowa są złamane. Obejmował ramię drugą ręką. Szyja z jednej strony była rozcięta; na szczęście rana nie była na tyle głęboka, by naruszyć tętnicę, ale widziałam, że Kai próbował zatamować krwotok. Na łóżku leżała butelka chloraminy i zakrwawiona szmata. *Kirpan*, miecz sikha, leżał na podłodze. Kiedy ranny przemówił, jego twarz wykrzywiła się z bólu.

- Kim jest ta kobieta?

- Ona jest w porządku. Nic nie powie. I może pomóc. Pree, opatrzysz mu rękę? I najgorsze rozcięcia?

Patrzył na mnie uważnie i wiedziałam, że nie jest to pora na zadawanie pytań. Skinęłam głową, a potem powiedziałam Kaiowi, co ma przynieść z infirmerii. Z jego pomocą nastawiłam mężczyźnie rękę i opatrzyłam mu szyję. Żadne z nas nie odezwało się ani słowem, lecz mężczyzna syczał przez zaciśnięte zęby i wydawał z bólu gardłowe dźwięki.

Kiedy skończyłam, cofnęłam się od łóżka.

- Dziękuję, Pree - rzekł Kai. - Teraz nas zostaw.  
- Pozwól opatrzeć sobie ramię - powiedziałam. - Wygląda na to, że masz złamany nos.  
- Nieważne. Nic mi nie jest - odparł. - Proszę. Idź. Wyszłam, wiedząc, że następnego dnia będzie mi musiał powiedzieć, co się stało.  
Podczas porannej modlitwy stale spoglądałam na chatę Kaia, zastanawiając się, czy nadal ukrywa tego mężczyznę. Po drodze do infirmerii zatrzymałam się przy chacie i zawołałam Kaia po imieniu. Kiedy usłyszałam cichą odpowiedź, odsunęłam zasłonę. Kai był sam. Leżał na wznak na łóżku, wpatrując się w sufit.  
- Dobrze się czujesz? - zapytałam.  
- Tak - odparł bardzo cicho. - Pree, zostaw mnie. Pod koniec dnia podeszłam do niego, gdy sztywnymi ruchami powoli przerzucał widłami słomę do zagrody Marty.  
- Powiesz mi, gdzie byłeś? I co się stało tobie i twojemu przyjacielowi? Spojrzał na mnie uważnie i mocno chwycił widły.  
- Słyszałaś kiedyś o kukach? - zapytał, a ja skinęłam głową.  
- Ojciec mówił mi o nich. To sikhowie. Wywołują zamieszki w całym Pendżabie, dopuszczając się zbrodni.  
Kai zacisnął szczęki.  
- Czy zbrodnią jest pragnąć rządów swoich braci? Czy zbrodnią jest działać na rzecz wypędzenia Brytyjczyków? Od 1857 roku tylko dziela nasz kraj, Pree. Uważają się za panów naszego kraju; ich rządy wywołują między nami konflikty. - Mówił coraz głośniejszym głosem. Wstrzymałam oddech, widząc na jego twarzy ten sam posepny wyraz, z którym tamtej nocy palił w ognisku kukłę brytyjskiego żołnierza. Czy zapomniał, że moi rodzice i ja też jesteśmy Brytyjczykami, o których mówił z taką nienawiścią?



- Kukowie nie wywołują żadnych zamieszek. Niosą pochodnię w walce o wolność Indii - rzucił przez zaciśnięte zęby i wbił widły w ziemię z taką siłą, że zadrżała rączka. Cofnąm się.

- Ale... ty nie jesteś sikhem - powiedziałam, jakbym wyjawiała mu ważny sekret, o którym nie wiedział. - Jak możesz...

- Potrzebują sprawnych ludzi do pomocy. - W roztargnieniu wytarł usta i skrzywił się, gdy dotknął knykciami nosa.

- Dlaczego ty i twój przyjaciel zostaliście ranni? - zapytałam.

Nie odpowiedział. Wyszarpnął widły z ziemi, odwrócił się i zajął pracą.

Kilka dni później, gdy siedziałam z ojcem wieczorem na werandzie, zapytałam celowo obojętnym głosem:

- Czy kukowie ostatnio wywołali jakieś zamieszki? Ojciec zamknął Biblię.

- To dziwne, że o nich pytasz. Zaledwie dziś słyszałem od jednego z mężczyzn, którzy przyszli do infirmerii, że doszło do zamieszek w Bhaini Sahib niedaleko Ludhiany. Grupa kuków zaatakowała Malerkotię; wielu zostało schwytanych. Niektórzy zginęli w ogniu dział, a inni zostali skazani na dożywocie. - Pokręcił głową. - Rząd robi wszystko, by ich powstrzymać. Ich celem jest podkopać wiarę w brytyjski system prawny. Oczywiście nigdy im się to nie uda. Opracowano nowe prawo; teraz przestępstwem jest, kiedy więcej niż pięciu kuków zbiera się w jednym miejscu. - Przesunął dłoń po okładce Biblii. - Czy tubylcy nie nauczyli się niczego po klęsce powstania w 1857 roku? - Otworzył Biblię. -

Dlaczego pytasz o nich właśnie teraz?

Kai przechodził przez podwórko. Wstałam szybko, by zasłonić go przed ojcem, jakbym wystawiła go na niebezpieczeństwo.

- Och, to nic, ojcie. Tak sobie tylko myślałam.

Dopiero kiedy znów pochylił głowę nad Biblią, usiadłam, śledząc Kaia, gdy wychodził z misji szybkim, zdecydowanym krokiem.

Krótko, lecz urocza wiosna, luty i marzec, przyniosła świeże wiatry i wybuchła kolorem na polach. W maju lato spłynęło niczym wełniany baldachim, a duszący upał trwał przez lipiec, po czym nadeszły deszcze. Teraz za każdym razem, gdy Kai opuszczał misję, bardzo się martwiłam, wyobrażając sobie, że zostanie przyłapany na jakiejś nielegalnej działalności lub rozdarty na strzępy przez salwę brytyjskich dział. Zachowanie matki stawało się coraz bardziej nieobliczalne; nie rozmawialiśmy o tym z ojcem, lecz było to dla nas przedmiotem nieustannej troski. Bywało, że nawet nie grała na pianinie. A potem nagle niczym blade słońce po długim deszczu zachowywała się całkiem normalnie. Po każdym takim dniu kładłam się spać z nadzieją, że być może ma już za sobą to, co ją dręczyło. Jednak dziwne zachowanie szybko wracało: puste spojrzenia i urywane rozmowy, nonsensowne wypowiedzi oraz odkładanie rzeczy byle gdzie w domu i infirmerii. Takie okresy trwały coraz dłużej, przez co miałam więcej obowiązków. Nie zostawało zbyt wiele czasu na czytanie i snucie marzeń, toteż smuciłam się z powodu utraty niewielkich swobód, które były dla mnie takie ważne.

Kryzys mocno zacisnął się wokół misji, gdy kończyłam szesnaście lat.

Rankiem siedemnastego sierpnia po porannej modlitwie rodzice złożyli mi życzenia i wręczyli zwyczajowy prezent: nową parę pończoch.

Podziękowałam im, starając się, by w moim głosie zali rzmiał entuzjazm.

Jednak kiedy przesuwałam palcami po znieawidzonym fildekosie, poczułam, że ramiona przy-

gniata mi ogromny ciężar. Pomyślałam o dwudziestych, a potem trzydziestych urodzinach. Stara panna mieszkająca w misji, zapewne w okularach, ze wzrokiem zepsutym po latach czytania drobniutkich liter w podłym świetle. Żyjąca w samotnej misji nieopodal Grand Trunk Road, lecząca pacjentów, opowiadająca o Bożych cudach, bez jednego choćby nawróconego. I na każde urodziny dostająca nową parę fildekosowych pończoch od przygarbionych siwowłosych rodziców, którzy wręczają swej córce doroczny prezent trzęsącymi się rękami usianymi ciemnymi plamami.

Pomyślałam o Lalasie; po zabiegu nie pokazała się już w infirmerii, ale słyszałam od Sanosha, że wyszła za mąż za chłopca o imieniu Balin i mieszka teraz z rodziną męża w wiosce położonej trochę dalej przy drodze.

Czy ja kiedykolwiek wyjdę za mąż?

- Co się stało, Pree? - zapytał ojciec.

- Nic - odparłam, uświadamiając sobie, że mam oczy pełne łez.

Położył mi rękę na ramieniu.

- Przykro mi, że nigdy nie ma pieniędzy na coś więcej, Pree. Gdybyśmy mogli, na pewno... - urwał, spoglądając na matkę, jakby nie wiedział, co mogliby zrobić. Co daliby mi w prezencie urodzinowym, gdyby stać ich było na coś więcej niż tylko pończochy? Czy w ogóle znali moje pragnienia?

- Matko - powiedział ojciec, dotykając brody, a matka powoli podniosła chusteczkę i wytarła lśniąca strużkę śliny, która spływała z jej obwisłej dolnej wargi.

- Jest mi przykro, że tak niewiele możemy ci ofiarować -ciągnął ojciec, odwracając się w moją stronę - ale załatwiłem wam z matką na jutro wyjazd do Lahore. Kiedy ostatni raz byłem w kapelanii po pieniądze, słyszałem, że pani Wyn-dham wydaje podwieczorek. Zwróciłem uwagę na datę, bo przypadała dzień po twoich urodzinach. Powitają cię tam z radością i na pewno będziesz dobrze się bawić. Eleanor skończyła już szkołę i przyjechała z wizytą. Pamiętasz

Eleanor? - zapytał, a ja skinęłam głową. - To będzie twój prezent urodzinowy - ciągnął. - i poproszę Sanosha, żeby zrobił ci *ladoo* - dodał, uśmiechając się sztywno. - Będziesz zadowolona, prawda? Na pewno lubisz *ladoo*. Znów skinęłam głową.

- Dziękuję, ojciec - powiedziałam, odwzajemniając uśmiech. Staralam się, by mój był bardziej naturalny.

Lepkie hinduskie słodczyce rzeczywiście uważałam za najlepszy przysmak, ale nie miałam pojęcia, że ojciec o tym wie. Tak bardzo się starał. Jednak zamiast mnie rozweselić, sprawił, że jeszcze bardziej posmutniałam.

Kiedy rodzice odwrócili się, spojrzałam na ich plecy. Musiałam ich kochać, to pewne, ale w tej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Ojciec ze swoją przesadną świętością, matka z rosnącym rozgoryczeniem i coraz słabszym kontaktem ze światem, ich połączony smutek... nagle ogarnęła mnie złość. Czy czułam do nich nienawiść? Byli dla mnie przeszkodą - zamazywali moją wizję, moją przyszłość. Chciałam widzieć wszystko dookoła nich, za nimi, a nawet przez nich i zyskać pewność, że nie jestem do nich podobna. Że nie stanę się taka jak oni.

Wiedziałam, że moje myśli są małoduszne. Robili, co w ich mocy - dla mnie, dla wieśniaków, dla Pana. W porównaniu z wieloma ludźmi, których widywałam w wioskach i w Lahore, wiodłam dostatnie życie: miałam ubranie, solidny dom, który chronił mnie przed żywiołami i pełny żołądek co wieczór. Byłam zdrowa. Kochałam moją pracę w infirmerii, kochałam czytać książki, kochałam Jassie. Sanosh i Pavit traktowali mnie z szacunkiem i dobrocią; a ich dobro leżało mi na sercu. Glory się nie liczyła. I był jeszcze Kai.

Patrzyłam, jak rodzice schodzą z werandy i idą przez poci wórze do infirmerii. Matka pośliznęła się w błocie; ojciec chwycił ją za ramię i podtrzymał przez resztę drogi.

Wszystkiego najlepszego, Pree. Egoistyczna, niewdzięczna, pełna nienawiści dziewczyno, powiedziałam w duchu.

Kai wręczył mi na urodziny piękny oprawiony w ma-rokin notes.

- Kai! Jest piękny. Dziękuję - powiedziałam, gładząc miękką okładkę i uśmiechając się do niego. Ten uśmiech był szczery, w przeciwieństwie do tego, jakim obdarzyłam rodziców.

Odpowiedział mi pięknym uśmiechem, który rzadko pojawiał się na jego twarzy. Odślaniał wtedy siekacze, nieco dłuższe od przednich zębów.

- Pomyślałem o tobie, gdy zobaczyłem go w zeszłym miesiącu w Lahore. Wiedziałem, że będzie idealnym prezentem. Będiesz mogła zapisywać swoje myśli.

- Ale... musiał być bardzo drogi. Skąd wzięłeś pieniądze? - zapytałam i natychmiast tego pożałowałam, bo uśmiech zniknął z jego twarzy.

Nachmurzył się. - Przepraszam - dodałam szybko. - Jeszcze raz ci dziękuję.

Ujęłam jego dłoń i otoczyłam palcami, by pokazać, jak bardzo jestem zadowolona. Uścisnął przelotnie moją dłoń, a potem próbował ją puścić.

Przytrzymałam jego palce sekundę dłużej, niż powinnam.

- Wszystkiego najlepszego, Pree - powtórzył, cofając się o krok i odsuwając dłoń. - Chciałem ci coś powiedzieć.

Nieznany wyraz jego twarzy sprawił, że zadrżałam.

- Co?

- Zamierzam opuścić misję - powiedział. Poczułam, że krew odpływa mi z twarzy.

- Opuścić misję? Skinął głową.

- Poszukam pracy w Lahore. Może jako urzędnik.

- Urzędnik? - Dlaczego powtarzałam jego słowa jak echo? Wiedziałam, że zbladłam. Czy Kai to zauważył? - Będiesz urzędnikiem? -

powtórzyłam, a przez jego twarz przemknął cień. Nie mogłam sobie wyobrazić Kaia na stolku, pochylonego nad księgą w ciemnym, zakurczonym pokoju. Choć był Euroazjata, nie przypominał żadnego z wielu znanych mi *babu*, którzy kłaniali się przed swoimi angiel-

skimi przełożonymi. - Nie mógłbyś być szczęśliwy jako urzędnik - powiedziałam, kręcąc głową.

Nic nie odpowiedział, a ja pomyślałam o maleńkiej, przelotnej zmianie, jaką dostrzegłam na jego twarzy. Nikt inny by jej nie zauważył, ale znałam go zbyt dobrze. Kłamał. Wcale nie zamierzał zostać urzędnikiem.

- Co będziesz robił? - zapytałam bardzo cicho i tym razem odwrócił twarz, żebym nie mogła już nic z niej wyczytać.

- Muszę zrobić coś ważnego, Pree. A nie mogę tego dokonać zapłatany w pajęczynę misji.

- Pajęczynę? - Wszystko, co mówił, było niepokojące. Nie odezwał się już, ale dostrzegłam pulsującą żyłę na jego skroni.

Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Chciałam powiedzieć to głośno, ale bałam się, że zabrzmiałoby zbyt rozpaczliwie.

- Kiedy chcesz wyjechać? - zapytałam, siłąc się na lekki ton.

- Niedługo - odparł denerwująco.

Miało to oznaczać za tydzień, za miesiąc? W przyszłym roku?

Oto więc kolejny powód, by bać się mojej przyszłości w misji: utrata Kaia.

Następnego dnia wyruszyliśmy z matką w podróż do Lahore, wyjeżdżając wcześniej rano, aby być na miejscu wczesnym popołudniem. Spałam niespokojnie, myśląc o wyjeździe Kaia, i kiedy wyjeżdżałyśmy z misji, piekły mnie oczy. Próbowałam odnaleźć znajome podniecenie, które towarzyszyło wyprawom do Lahore kilka razy do roku, ale nie było to łatwe. Z ciężkim sercem wyprowadziłam Martę na Grand Trunk Road. Miałyśmy szczęście, bo w ciągu trzech godzin tylko raz padał lekki deszcz i w szalu na głowie nie przemokłyśmy.

Na drodze nie było dużego ruchu i prawie nie musiałam

dotykać skórzanych lejc, by Marta szła prosto. Jechałyśmy drogą wznoszącą się wśród pól ściętej pszenicy i żółtej gorczycy. Na poboczach fruwały czerwone i pomarańczowe ważki. Grupy chat z błota pojawiały się i znikwały. Odziane w łachmany lub prawie nagie dzieci oblegały nasz wóz; kobiety pochylały się nad ogniem lub kołysały z wdziękiem przed chatami z glinianymi lub miedzianymi naczyniami na wodę na głowach. Kilka bawołów o szorstkiej sierści stało pod ciernistym drzewem z małymi białymi znakami na grzbietach.

Nagle matka krzyknęła.

- Stój! Zatrzymaj wóz, Pree!

Myśląc, że chce iść za potrzebą, ściągnęłam lejce.

Dojechaliśmy do spokojnego, ocienionego rozstaju, z którego odchodziła boczna droga. Pomiedzy dwoma drzewami stał kamienny pomnik-grobowiec przykryty kopułą. Matka pospiesznie podeszła do niego. Położyła dłoń na jakiejś rzeźbie. Kiedy gładziła ją z czcią, zsiadłam z wozu i podeszłam bliżej. Zauważyłam, że kruszejący pomnik to *chattri* - jeden z kamieni *sati* znaczący miejsce dawno zapomnianej ofiary, które czasami widuje się przy Grand Trunk Road. Matka pieściła ręką prymitywne figurki wyrzeźbione w wyszczerbionym i pokrytym mchem kamieniu. Dostrzegłam kształt postaci kobiety i mężczyzny i wiedziałam, że dawno, dawno temu na tym miejscu wdowa złożyła ofiarę z życia, wchodząc na pogrzebowy stos męża. Płonąc żywcem ze zmarłym mężem, zapewniała mu ponowne narodziny. Anglicy zakazali tych praktyk przed czterdziestu laty, ale wiedziałam, że żony wierzyły również, iż łącząc swoje dusze z boginią Sati Mata, przyniosą szczęście siedmiu pokoleniom nie tylko swoich własnych rodzin, lecz również wiosek.

U stóp kamienia leżał bukiet przemoczonych nagietków, a z jednej strony biegły pomalowane cynobrem pasy; ktoś niedawno ozdobił *chattri*, być może w rytualnym geście.

Stałam obok matki przez kilka minut, a potem skorzystałam z odosobnionego miejsca za kamieniami. Kiedy wró-

ciłam, matka nadal stała przed małą kapliczką. Zaczęłam się niecierpliwić i końcem buta rysowałam wzory w błocie. Wreszcie matka dotknęła warg koniuszkami palców, a potem położyła je na łonie wyrzeźbionej w kamieniu kobiety.

- Takie poświęcenie - powiedziała, odwracając się do mnie. Jej oczy lśniły.

- Tak. Tylko że młodsze wdowy zapewne pozostawiały małe dzieci, sieroty - odparłam.

- Ale one będą żyły wiecznie w chwale dobrowolnej śmierci ich matki. To był dar, być może jedyny, jaki mogły zostawić dzieciom. Jako wdowy i tak byłyby bezużyteczne. Martwe przyniosły im więcej dobrego niż żywe. Nie rozumiesz, Pree?

Rozumiałam, ale słowa matki wprawiły mnie w konsternację. Szacunek, z jakim mówiła o hinduskim zwyczaju, był bardzo do niej niepodobny.

- Chyba tak. Ale mamy przed sobą jeszcze długą drogę - powiedziałam i poszliśmy w stronę miejsca, gdzie Marta cierpliwie czekała, wrywając chwasty z pobocza.

Kiedy znów ruszyliśmy, otworzyłam blaszane pudełko z jedzeniem, które zapakował dla nas Sanosh: *katlamas*, smażone *roti* nadziewane kozim mięsem i pastą z soczewicy; ziemniaki z curry, pierożki samosa z okraj smażony groszek. Matka wzięła tylko garść groszku; nigdy się nie przyzwyczała do hinduskich potraw. Pomyślałam o delikatesach, które podadzą nam u Wyndhamów, i zmusiłam Martę do szybszego truchtu, by jak najprędzej dotrzeć do Lahore.

Kiedy zbliżyliśmy się do przedmieść miasta, wyprostowałam się i mocniej chwyciłam lejce. Widać już było piękne wieże i wysokie, złożone kopuły starożytnych budynków.

Przeprowadziłam Martę przez jedną z dwunastu bram; mijałyśmy po drodze wytwórców lin i mężczyzn pracujących w srebrze i miedzi. Po chwili ulice stały się jeszcze bardziej zatłoczone i trudno było poganiać Martę. Wciąż musiałyśmy się zatrzymywać, by przepuścić inne wozy i zwierzęta, konie i ludzi ściśniętych w wąskich uliczkach. Wszędzie



pełno było sprzedawców tkanin i tkaczy mężczyzn czyszczących uszy innym długimi patyczkami lub obcinających włosy. W końcu skierowałam Martę na teren pełen wozów, wołów i bawołów domowych i wręczyłam małemu chłopcu annę, by pilnował wozu do naszego powrotu. Stamtąd wzięłyśmy riksę do dzielnicy angielskiej; minęło już kilka lat od czasu, gdy ostatni raz zostałyśmy tam zaproszone.

Rikszarz ruszył szeroką aleją wysadzaną topolami i tamaryndowcami, mijając piękne, lśniące białe bungalowy. Oddzielały je od siebie ocienione ogrody i rozległe soczyście zielone trawniki. Padały na nie rozmyte promienie słońca, które nagle wyłoniło się zza długich zwiewnych chmur, zalewając wszystko złotym blaskiem. Wzdłuż podjazdu, w który skręciliśmy na żądanie matki, pyszniły się różnobarwne oleandry i hortensje, rosnące bujnie w wilgotnym powietrzu. Matka zapłaciła rikszarzowi i podeszłyśmy do wysokich podwójnych drzwi z lśniącą, mosiężną kołatką. Zdażyła tylko dotknąć jej ręką, gdy drzwi otworzył *chuprassi* przepasany szeroką czerwoną szarfą. Skłonił się, wpuścił nas do środka i wyciągnął ręce po nasze szale. Uświadomiłam sobie, że sukienki na ramionach są zupełnie przemoczone.

Bogaty dom Wyndhamów nie zmienił się zbyt wiele w ciągu ostatnich paru lat. To ja się zmieniłam. Kiedy byłam tu ostatni raz, byłam niewinnym, roztrzepanym dzieckiem. Dziś, stojąc w dostojnym holu, nagle zastanowiłam się, co tutaj robię. Zaszło mi w ustach i poczułam, że przewraca mi się w żołądku. Teraz byłam już pewna, że nic nie zdołam przełknąć.

Kiedy wprowadzono nas do salonu, rozmowy umilkły i oczy wszystkich zwróciły się na nas.

- Och - powiedziała pani Wyndham, wstając szybko. Zatrzymała się na chwilę, a potem ruszyła przez pokój w naszą stronę. - Jak miło znów panią widzieć, pani Fincastle.

I... no proszę, panno Fincastle, ależ pani wyrosła - zauważyła, lecz przebiegła oczami po mojej twarzy w bardzo niepokojący sposób. Zastanawiałam się, czy mam rozmazany brud na policzku, czy też może do ust przylgnęła okruszyna *roti*, które zjadłam po drodze. Oparłam się pragnieniu, by przesunąć po twarzy koniuszkami palców.

- Właśnie zaczęłyśmy podawać herbatę - powiedziała. - Nie wiedziałam, że panie... - Urwała, spoglądając na siedzącą najbliżej kobietę, i z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że wcale nie byłyśmy zaproszone. Czy ojciec powiedział, że nas zaproszono, czy też tylko słyszał o popołudniowym przyjęciu? Sądząc po reakcji pani Wyndham, w grę wchodziła ta druga ewentualność. Palila mnie twarz, nie mogłam spojrzeć na matkę. Czy zrozumiała to straszliwe złamanie zasad towarzyskich?

- Proszę usiąść, pani Fincastle. I spójrz, Eleanor, to panna Fincastle. Minęło już... ile lat? Chyba dziewięć, odkąd widziałyście się ostatni raz. - Spojrzała znacząco na młodą kobietę siedzącą na delikatnym krzeselku wyściełanym materiałem w drobne różyczki.

Eleanor nie wstała.

- Tak. Pamiętam pannę Fincastle, ale nie bardzo ją poznaję - powiedziała wysokim, lekkim głosem.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Na myśl o mojej znoszonej wilgotnej zielonej sukience i ciężkich butach nagle zrobiło mi się gorąco. Eleanor miała na nogach pantofelki z różowej satyny.

- Proszę usiąść tutaj, pani Fincastle. A panna Fincastle tutaj, obok mojej Eleanor. Młode panienki z pewnością mają dużo wspólnych tematów. Co mogę pani zaproponować? Herbatę? A może sok z pomarańczy? - Zaklaskała w dłonie i zaraz pojawiła się gromada służących ze srebrnymi tacami.

Siedziałam w tym wspaniałym salonie, spoglądając na obrazy w barokowych złoconych ramach. Przedstawiały góry, zamki, jeziora i poważnych dżentelmenów.

Zdjęłam rękawiczki i przesunęłam palcami po miękkiej, adamaszkowej poduszce krzesła, na którym siedziałam. Stoliki przede mną i po obu moich stronach zrobione były z polerowanego ciemnego drewna inkrustowanego kością słoniową. W łukowatym przejściu do sąsiedniego pokoju widziałam przeszklone półki z setkami książek i lśniący fortepian z mahoni. Zapragnęłam znaleźć się sama w tym domu tylko przez jeden dzień i robić to, na co miałabym ochotę. Pograłabym na fortepianie - z pewnością był nastrojony - i śpiewałabym jak najpiękniej umiem; obejrzałabym każdą książkę na półkach; zdjęłabym buty i biegła boso po miękkich dywanach; wykrzykiwałabym moje imię „Pree Fincastle” w sklepione sufity i słuchałabym, jak odbija się echem wokół mnie. Jednak oczywiście siedziałam wyprostowana ze ściśniętymi kolanami i piłam sok pomarańczowy. Udało mi się też zjeść rożek z masą cytrynową i biszkopik z kroplą dżemu na środku podany mi przez korpulentnego bosego Hindusa w nieskazitelnym białym uniformie. Ciasteczka były bardzo delikatne, ale nie tak smaczne, na jakie wyglądały. Jedna z pań wręczyła mi małą książeczkę oprawioną w granatowy jedwab. Nosiała tytuł *Sztuka nakrywania do stołu* i zawierała dokładne instrukcje obowiązujące obecnie w Londynie. Kobieta powiedziała, że każda młoda kobieta powinna ją mieć i że taki sam egzemplarz dostała panna Eleanor. Położyłam książeczkę na stoliku obok i w pewnej chwili, gdy nie brałam udziału w toczącej się wokół rozmowie, wzięłam ją do ręki i przerzuciłam. Znajdowały się tam proste obrazki ilustrujące, jak składać serwetki w różne kształty, które pozwalały włożyć do środka świeżo ściętą różę lub garść słodczy. Była to głupia książeczka, która mnie wcale nie interesowała. Kiedy odłożyłam ją na stolik, zauważyłam, że moje tłuste od biszkoptów palce pozostawiły na niej ślady. Uświadomiłam sobie, że mimo zawartych w książeczce instrukcji nawet nie skorzystałam z serwetki, która leżała złożona na moich kolanach.

Po dwóch długich godzinach byłam wykończona i marzyłam, żeby już wyjść. Kobiety - pani Wyndham i dwanaście innych pań, których nazwiska zapomniałam zaraz po prezentacji - najwyraźniej nas ignorowały. Jednak tak naprawdę czułam się okropnie z powodu Eleanor; gdyby jej tam nie było, być może nie zachowałabym się tak nieodpowiednio.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Straciłam już rachubę w liczeniu adoratorów Eleanor. Nie może pójść na żaden wieczorek, żeby jej karnecik nie był zapełniony na kilka tygodni wcześniej - oświadczyła głośno pani Wyndham, spoglądając z zachwytem w stronę córki.

Eleanor uśmiechnęła się z fałszywą skromnością, a na jej lewym policzku pojawił się uroczy dołeczek, którego wcześniej nie zauważyłam.

Poczułam ulgę, gdy pani Wyndham nie zwracała sobie głowy pytaniem, ilu ja mam adoratorów.

Kiedy matka rozwodziła się z dumą nad osiągnięciami Eleanor, spojrzałam na nią ukradkiem. Przechyliła się nieznacznie w kierunku przeciwnym do mojego krzesła i ten delikatny ruch uzmysłowił mi wyraźnie, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie była już dziewczynką z masą loków i szerokim uśmiechem, który odsłaniał brak przednich zębów. Teraz wszystko, co się z nią wiązało, było gładkie i idealne. Była elegancką, elokwentną i światową młodą kobietą, podczas gdy ja... ja byłam tą samą Pree w używanych ubraniach, z włosami opadającymi falą niemodnych, dziecinnych loków, do których jakoś przekonała mnie matka, zakręcając moje świeżo umyte włosy na gałgankach poprzedniego wieczoru.

Wiedziałam, że wyglądam okropnie. Byłam niewyrobiona i niemodna i marzyłam, by znów znaleźć się w misji. Nie chciałam już fortepianu, książek i dywanów Wyndhamów. Chciałam tylko zdjąć wysokie buty i poczuć pod bosymi stopami twardą ziemię; chciałam znów zapleść głupio poskręcane włosy w warkocz; chciałam grać stare hymny na

pianinie, śpiewając głośno i wiedząc, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nigdy nie czułam się tak nieswojo. Byłam też zażenowana ze względu na matkę, która wyglądała podobnie jak ja i czuła się fatalnie wśród tych kobiet w sukniach z bogatych, drogich materiałów, w jedwabnych pantofelkach, dźwięczącej biżuterii i wyszukanych fryzurach.

Matka nie odzywała się ani słowem. Przykleiła do twarzy wyraz zaciekawienia i podczas nudnej konwersacji kiwała głową, przyciskając chusteczkę do ust. Żadna z nas nic nie mówiła. Nikt nas nie pytał o przemyślenia lub opinie, bo prawdę mówiąc, co ciekawego mogła mieć matka do powiedzenia o najnowszych modelach sukien i kapeluszy, o straszliwym obowiązku radzenia sobie z niekompetentną służbą lub o nadchodzących wydarzeniach sezonu towarzyskiego?

Korpulentny Hindus znów skłonił się przede mną ze srebrną tacą pełną ciasteczek. Leżały tam trzy biszkopty, cztery pierniczki, trzy kruche i jeden rożek z masą cytrynową. W sumie jedenaście. Podziękowałam.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy bardzo ciekawy przypadek w infirmerii - oświadczyłam głośno, gdy rozmowy na moment przycichły.

Wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę. Spojrzałam na matkę; wyglądała na zaskoczoną, trzymała rękę na gardle i otworzyła szeroko oczy nad chusteczką.

- Paskudne czyraki. Zwykle znajduje się tylko jeden. Ale ten rozszerzał się. To był zdecydowanie najgorszy przypadek, jaki widziałam. Ale udało mi się wszystkie przeciąć. Biedna kobieta, to było takie bolesne.

Oczywiście, z otwartymi ranami może teraz paść ofiarą sepsy. Ale jeśli będzie je codziennie przemywać wodą z octem i odganiać muchy, moim zdaniem powinno być w porządku.

Usłyszałam, jak matka głośno chrząka, ale nie chciałam na nią spojrzeć.

W pokoju zapadła absolutna cisza. Wiedziałam, że zachowuję się nieodpowiednio, ale nie mogłam nad sobą zapanować. Nie miałam pojęcia, że zacznę opo-

wiadać o czyrakach. Czułam się nieszczęśliwa i zażenowana i bardzo chciałam, by ktoś wreszcie zauważył moją matkę. I mnie. Nie mogłam już dłużej siedzieć w milczeniu, wiedząc, że pozostałe kobiety litują się nad nami i ignorują nas niczym nieważnych i niezauważalnych służących. Chciałam zyskać chwilę szacunku. Choć wiedziałam, że rozmowa o czyrakach i sepsie wcale go nam nie przysporzy, nie mogłam się powstrzymać. Zupełnie jakby mój głos należał do kogoś innego.

- Panno Wyndham, jakie jest powszechnie stosowane lekarstwo na czyraki w Anglii? - zapytałam Eleanor, zmuszając ją, by się do mnie odwróciła. - Tutaj niektórzy wierzą, że owijanie czyraka igłami modrzewiu może wyciągnąć truciznę, lecz osobiście uważam, że ostre cięcie skalpelem jest jedynym sposobem, by pozbyć się ropy.

Eleanor zakryła usta obszytą koronką serwetką i potrząsnęła głową.

- Czy ludzie w Anglii nie mają czyraków? Z moich studiów medycznych wywnioskowałam, że to powszechna przypadłość, nieograniczająca się do Indii - powiedziałam.

Pani Wyndham wstała.

- Panno Fincastle - powiedziała zdecydowanie i głośno pośród ciszy, jaka zapanowała w pokoju - naprawdę musimy znaleźć dla pani coś, co mogłaby pani zabrać do domu.

Stało się boleśnie jasne, że wizyta - przynajmniej dla matki i dla mnie - dobiegła końca. Podniosłam na nią wzrok, nagle przerażona tym, co zrobiłam, nie mogąc wydusić ani słowa. Nie mogłam też spojrzeć na matkę.

- Czy jest coś takiego, co szczególnie przyda się pani w misji? - zapytała jeszcze głośniejszym głosem. - Coś, co możemy pani ofiarować przed wyjściem? Wierzmy gorąco w sprawę pomagania biednym poganom.

- W misji? - powtórzyłam jak echo, wstając z miejsca. - Tak, powinniśmy już iść, mamó. - Odwróciłam się do niej. Siedziała bez ruchu z pustym wyrazem twarzy. Wyciągnęłam do niej rękę. - Chodź, mamó. Czekają na nas pacjenci.

Matka zamrugnęła powiekami, jakby wracała z jakiegoś odległego miejsca, i spojrzała na moją rękę. Nie ujmując jej, wstała, upuszczając chusteczkę. Jej wargi były wilgotne i głośno przełknęła ślinę.

Pragnąc stłumić ten odgłos, powiedziałam:

- To przejaw okropnego lenistwa. Dziękujemy za uroczę popołudnie, ale wiele osób potrzebuje naszej pomocy.

Rozległo się kilka cichych pomruków aprobaty.

- Będąc misjonarzem, trzeba wyzbyć się egoizmu - powiedziałam szybko, czując, że muszę coś mówić, by w pokoju znów nie zapadła cisza i by nie dać nikomu okazji do skomentowania mojego zachowania. Ruszyłam w stronę drzwi, słysząc za sobą szum bawełnianej sukni matki i dostojny szelest jedwabiu pani Wyndham. - Nie można myśleć o sobie, lecz o innych. Oczywiście po Bogu. - Słyszałam wyraźną zgryźliwość w moim głosie, gdy mówiłam o lenistwie

i Bogu w salonie pełnym kobiet, które wiodły próżniacze, łatwe życie.

Nagle uświadomiłam sobie, że nie czuję się już zażenowana i upokorzona. Przepęłniało mnie poczucie zadowolenia i satysfakcji.

Odwróciłam się w stronę salonu.

- Do widzenia paniom - powiedziałam, dygając. Znów usłyszałam tylko pomruki, jak tępy szum owadów brzęczących nocą przy uchu.

Kiedy stałyśmy we trzy przy drzwiach, pani Wyndham powiedziała:

- Pamiętam, że zawsze zabierała pani ze sobą jakiś drobiazg, panno Fincastle. Czy nadal lubi pani ciasteczka imbirowe?

Patrzyłam na nią. Nie wiedziałam, co maluje się na jej twarzy. Czy chciała upokorzyć mnie jeszcze bardziej? Czy naprawdę wierzyła, że nadal jestem dzieckiem, które cieszy się z malowanej puszki pełnej imbirowych ciasteczek, wyblakłej książeczki z obrazkami lub taniej szklanej broszki?

- Nie. Ja i misja mamy wszystko, czego nam potrzeba - odparłam stanowczo.



- Nonsens. Wiem, że musi pani... Eleanor, Eleanor! -zawołała i Eleanor stanęła w drzwiach. - Pobiegnij po ten kapelusz. No wiesz, ten, który... - urwała. - Ten różowy. Przynies go dla panny Fincastle. Zaraz - dodała równie stanowczym tonem jak mój.

Eleanor zniknęła w długim, szerokim korytarzu. Panie w salonie znów zaczęły rozmawiać, podczas gdy my z matką stałyśmy w milczeniu. Wpatrywałam się we wzór na dywanie pod zniszczonymi czubkami moich butów. Eleanor wróciła z kapeluszem. Był w istocie różowy z pasującymi do niego różowymi wstążkami i pękiem malutkich fiołków z filcu przyczepionym tuż pod rondem.

- Jestem pewna, że będzie w nim pani ślicznie wyglądać, moja droga - powiedziała pani Wyndham i włożyła mi go na głowę.

Nie miałam wyjścia: mogłam tylko stać jak drewniany manekin, gdy pani Wyndham zawiązywała mi wstążki pod brodą.

Panie w salonie wróciły do swoich ulubionych tematów i rozmawiały teraz głośniej. W ich głosach słyszeć było wyraźną ulgę, że pani Wyndham udało się mnie uciszyć. Eleanor wróciła na swoje miejsce, siadając tyłem do drzwi.

- No proszę - rzekła pani Wyndham do mojej matki. -W kapeluszu mojej Eleanor, który tak ładnie okala twarz, pani córka wygląda naprawdę uroczo, prawda? -W jej głosie słyszeć było zaskoczenie. - Proszę spojrzeć, panno Fincastle - pani Wyndham odwróciła mnie w stronę lustra wiszącego na ścianie.

Jednak zamiast własnego odbicia zobaczyłam twarz matki. Nie było już na niej uśmiechu, a w jej wyrazie pojawiło się coś niepokojącego. Po chwili uświadomiłam sobie, że to obawa. Albo coś do niej zbliżonego. Być może strach.

Rozwiązałam wstążki kapelusza.

- Jest na mnie trochę za duży, proszę pani - powiedziałam. - Dziękuję, ale nie będę mogła go nosić. - Za-

częłam zdejmować kapelusz z głowy, lecz pani Wyndham natychmiast stanęła przede mną.

- Absurd - oświadczyła, wsuwając mi go znów na głowę i mocniej zawiązując wstążki. Próbowałam się nie krzywić, gdy wiązała mocny węzeł, chwytając przy tym małą fałdkę skóry. - Nie ma sensu wrzucać go do pudła z darami, gdy ewidentnie przyda się młodej damie. Musisz zawsze go nosić, moja droga. Już pozwoliłaś, by słońce przyciemniło ci skórę. To takie nietwarzowe. Z pewnością twoja matka pouczyła cię w tych sprawach.

Spojrzałam na matkę i dostrzegłam, jak zniszczona i pełna zmarszczek była jej skóra i jak wypłówiały jej włosy. W misji nigdy nie nosiła *topi* ani kapelusza, bo wydawałoby się śmieszne, gdyby poruszała się między domem i infirmerią w nakryciu głowy, obojętnie czy było to praktyczne *topi*, czy modny wymyślny kapelusz.

- Naprawdę musimy już iść - powiedziała, odzywając się po raz pierwszy. Jej słowa zabrzmiały niewyraźnie. - Czeka nas długa droga do misji.

- Oczywiście - mruknęła pani Wyndham.

Wyszliśmy z matką na zewnątrz i wsiadliśmy do czekającej rikszy. Kiedy tylko usiadliśmy, zerwałam z głowy kapelusz i rzuciłam na podłogę. Matka natychmiast go podniosła.

Rikszarz zawiózł nas do naszego wozu. Ujęłam lejce i jechałyśmy do domu kołysane milczeniem; podczas całej podróży żadna z nas nie odezwała się ani słowem. Próbowałam skupić się na okolicy, na strumieniu ludzi i zwierząt na drodze, na niebie. Zaczęło padać. Znów naciągnęłyśmy szale na głowę; tym razem deszcz zacinał z boku, tworząc banieczki na wypełnionych wodą dziurach w drodze.

Słyszałam w głowie mój własny głos, głośny i niegrzeczny którym zaszokowałam wszystkich, wygłaszając poruszające opinie. Widziałam pogardę, z jaką Eleanor obrzuciła moją sukienkę, buty i niemodną fryzurę. Wszystko zlało się w koszmarną masę słów i obrazów.

Musiałam to wszystko wymazać, zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Nie chciałam, by cokolwiek przypominało mi ten nieszczęsny dzień. Kiedy tylko wjechałyśmy na podwórko, zeskoczyłam z wozu, chwytając kapelusz. Gdy biegłam w deszczu do raso/, usłyszałam za sobą głos matki.

- Co robisz?

Zatrzymałam się i obejrzałam przez ramię. Szła za mną, potykając się. Marta stała z pochylonym łbem nadal zaprzężona do wozu. Matka nie spuszczała wzroku z kapelusza, który ciągnęłam za wstążki po błocie.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ponownie.

- Spalę go. Nienawidzę tego kapelusza i nigdy go nie włożę - odparłam. Kiedy zrównała się ze mną, pokręciła głową i zdecydowanym ruchem odebrała mi kapelusz, ujmując go za wstążki.

- Nie spalisz go. To dobry kapelusz.

- Nigdy go nie włożę - powtórzyłam. - Nienawidzę go i nienawidzę ich wszystkich. Wszystkich w tamtym domu.

- Nie masz już sześciu lat, Pree - powiedziała matka niskim, twardym głosem. - I nie będziesz mówić o nienawiści, jakbyś rzeczywiście była pozbawioną dobrych manier młodą kobietą, za jaką cię uważają i którą się okazałaś, wygłaszając tę swoją głupią przemowę. To było obrzydliwe. Byłaś pyskata i nietaktowna, a ja wstydziłam się za ciebie. Wstydziłam i byłam oburzona. - I uderzyła mnie: najpierw w lewy policzek, potem w prawy.

Było to tak nagłe i nieoczekiwane, że odebrało mi mowę. Przyłożyłam tylko dłonie do policzków, które natychmiast zaczęły pulsować po uderzeniach jej twardej, pełnej odcisków ręki.

- Pewnego dnia możesz być wdzięczna za ten kapelusz - powiedziała. - Może nadejść dzień, w którym taki właśnie kapelusz okaże się potrzebny. „Kiedy Pan posłał

mnie na świat, zakazał mi zdejmować kapelusz przed kimkolwiek, niskiego bądź wysokiego stanu". - Odwróciła się i idąc powoli w stronę domu, starannie i cierpliwie oczyszczała go z błota.

- To nie jest Pismo Święte - krzyknęłam za nią, bo nie chciałam, by miała ostatnie słowo. Głos mi jednak zadrżał; walczyłam ze łzami, które płynęły po płonących z bólu policzkach. Nie dawała mi spokoju świadomość, że matka miała rację.

- Nie. To nie jest Pismo Święte - zawołała przez ramię, nie zatrzymując się.

Patrzyłam za nią, na jej przygarbione ramiona i pochyloną do przodu głowę na długiej chudej szyi, która wydawała się zbyt wątła, by unieść ciężar czaszki. Ręce przyciskałam nadal do płonących policzków.

Wściekałam się w duchu, że nie zasłużyłam na takie traktowanie, a jednak nie mogłam odnaleźć w sobie gniewu na matkę, który tak często we mnie wzbudzała.

Stało się tak, ponieważ ją rozumiałam. Ten dzień był równie trudny dla niej, jak dla mnie. Powodem jej reakcji był gniew i wstyd wynikający ze sposobu, w jaki potraktowały nas eleganckie damy z Lahore. Była też rozczarowana, że nigdy nie będzie miała córki tak pięknej, wykształconej i eleganckiej jak Eleanor Wyndham.

Opuściłam dłonie i pozwoliłam łzom płynąć. Zacisnęłam dłonie w pięści, żałując, że ja niczego nie mogę uderzyć. Uniosłam twarz do nieba, pozwalając, by deszcz ukoił płonące policzki.

Kiedy opuściłam wzrok, zobaczyłam Kaia, który siedział przed swoją chatą za *rasoi*, chroniąc się przed deszczem pod plecionym daszkiem.

Studiował trzymany w ręku pamflet, pochylając nisko głowę. Z pewnością widział, jak matka wymierzyła mi policzek i jak użalałam się nad sobą, unosząc twarz w niebo.

Jeszcze bardziej upokorzona odwróciłam się i podbiegłam do Marty.

Wyprzęgłam ją i zaprowadziłam do zagrody. Tam

chowając się za bawolicę, przytuliłam głowę do jej dużego ciepłego boku i przestałam płakać.

Dwa miesiące później, pod koniec października, nadeszły chłodne dni; czekaliśmy na nie przez upalne lato i porę wilgotnych monsunów; czekaliśmy na dni poprzedzające zimę, gdy niebo jest błękitne, zielen bujna po deszczach, a nastroje spokojne. Było późne popołudnie i w infirmerii nie czekali już pacjenci. Choć miałam do zrobienia pranie, siedziałam pod figowcem, bawiąc się z gekonem lamparcim, który w ciągu dnia sypiał pod dużym kamieniem niedaleko wygodki.

Pierwszego oswojonego gekona miałam, będąc jeszcze małym dzieckiem. Wszędzie było ich pełno; widywałam je, gdy biegały po podwórku lub dachach, lecz tamtego dnia znalazłam jaszczurkę skuloną we śnie pod krzakiem. Nie poruszyła się, gdy dotknęłam jej palcem. Zawołałam Kaia, a kiedy przyszedł, przykucnął obok mnie i łagodnie ujął gekona. Jaszczurka poruszyła się i zamrugnęła zaspanymi oczami, lecz nie wyrywała się ani nie próbowała go ugryźć.

- Gekony lamparcie są łagodne - powiedział. - I wcale nie boją się ludzi. To samiczka - ciągnął, przewracając ją na grzbiet i wskazując jej gładki brzuch. Przesunął po niej dłonią i dodał: - Jest dorosła.

Pogłaskałam jaszczurkę po brzuchu.

- Mogę się z nią pobawić? - zapytałam, a Kai się uśmiechnął.

- Jeśli ci na to pozwoli. Ale to dzikie stworzenie. Musisz jej pozwolić żyć własnym życiem. Nie wolno więzić żywego stworzenia. Proszę - powiedział, podając mi gekona.

Nazwałam ją Rujjie. Martwiłam się o nią, gdy poszłam spać; polowała na jedzenie tylko w ciemnościach i wiedziałam od Kaia, że grozi jej wtedy niebezpieczeństwo, bo może zostać złapana przez nocnego drapieżnego ptaka.

Codziennie pomiędzy śniadaniem i poranną modlitwą sprawdzałam, czy już bezpiecznie wróciła, by przesympać pod krzakiem najgorętsze godziny dnia.

Jeśli miałam kilka chwil na zabawę, czasami budziłam ją i wyjmowałam spod krzaka. Karmiłam ją chwytanymi dla niej pajakami lub okruszynami *roń* i kawałkami owoców. Patrzyłam, jak spaceruje po mnie, poruszając zgrabnie długimi smukłymi łapkami. Rujjie nigdy nie odchodziła daleko. Kai miał raq'ę, szybko się do mnie przywiązała. Czasami sadowiła się wygodnie na moim ramieniu i siedziała tam nawet godzinę, gdy czytałam. Pewnego dnia Rujjie zniknęła. Zawołałam Kaia, a on położył mi rękę na głowie i powiedział, że nie wolno mi płakać, bo Rujjie odeszła, by znaleźć męża i złożyć jajka. Tak właśnie powinno być. Powiedział, że byłaby smutna, gdyby nie zrobiła tego, czego wymaga od niej natura. Choć jego słowa bardzo mnie pocieszyły, objęłam go rękami za biodra i płakałam, zalewając mu łzami goły brzuch. Pozwolił mi na to; miałam siedem lat, on - trzynaście. Po tygodniu znalazł mi inną samiczkę gekona. Nazwałam ją również Rujjie. Nawet teraz, choć dawno przestałam być dzieckiem, mam oswojonego gekona. Kai przynosi mi samiczkę, gdy mówię mu, że ostatnia odeszła, a ja każdą tak samo nazywam.

Tamtego dnia najnowsza Rujjie leżała mi na udzie, poruszając leniwie powiekami w przyćmionym słońcu, a ja kończyłam ostatni rozdział *Jane Eyre*, z roztargnieniem gładząc jaszczurkę po gładkim grzbiecie: ciemnobrązowych cętkach na żółtym tle. Miała dwadzieścia cztery cętki; bardzo się z tego cieszyłam.

Przeczytałam ostatni akapit i zamknęłam pachnącą pleśnią książkę, przesuając palcami po ogonie Rujjie, który odgryzł jej jakiś drapieżnik, zanim do mnie trafiła. Ogon odrósł, jak zwykle u gekonów lamparcich. Ten nowy - krótki i szeroki - był mniej elegancki, niż byłby ten pierwszy, ale ja lubiłam gładzić miejsce, w którym odrósł, i dziwić się

z powodu tego cudu natury. Często o tym myślałam, patrząc na cierpienia Pavita, który tracił coraz więcej ciała.

Kiedy przesunęłam palcami po malutkich pazurkach Rujjie, wysunęła język, dotykając delikatnie materiału mojej sukienki, jakby próbowała burego nankinu. Widziałam, jak poruszyła się jej szyja, gdy przełknęła. Zastanowiłam się, czy chce jej się pić, a kiedy sięgnęłam po kawałek figi, by ją nakarmić, usłyszałam zbliżające się kroki. Podniosłam wzrok w nadziei, że to Kai. Pomimo rozmów o przeprowadzce do Lahore, jeszcze nie wyjechał.

Był to jednak angielski żołnierz w eleganckiej czerwonej kurtce, dopasowanych czarnych spodniach i wysokich lśniących czarnych butach. Przekrzywiona szpiczasta czarna czapka przybrana plecionym sznurkiem ocieniała mu oczy przed słońcem.

- Próbuję znaleźć pannę Fincastle - powiedział. Zaskoczona wstałam, przyciskając Rujjie do piersi.

- To ja jestem panna Fincastle. - Żołnierz przesunął oczami od mojej twarzy do jaszczurki.

- Och. Ale ja szukam innej panny Fincastle. Powiedziała mi, że mieszka w chrześcijańskiej misji. Ma... jasne oczy. Zielone, jeśli dobrze pamiętam. I... - nie potrafił jej dalej opisać, ale ja oczywiście wiedziałam, o kogo chodzi.

Był przed trzydziestką, całkiem przystojny, z dużymi jasnoniebieskimi oczami i skórą spaloną słońcem.

- Musi panu chodzić o Glory.

- Tak - odparł. - Panna Glory Fincastle.

- Czy przypadkiem nie Glory da Silva? - zapytałam.

- Powiedziała, że nazywa się Fincastle. Zmarszczyłam brwi na to oczywiste kłamstwo.

- Glory nie ma. I nie wiem, gdzie jest - powiedziałam, choć wiedziałam doskonale, że jest w domu. Widziałam, jak niosła tam świeżą pościel, która przed kwadranssem suszyła się jeszcze na krzakach. Nie jestem pewna, dlaczego powiedziałam żołnierzowi, że nie wiem, gdzie Glory jest,

choć przebiegło mi przez myśl, że może mieć kłopoty. Może dlatego podała fałszywe nazwisko. Zza rogu domu wyszedł Kai.

- Kai - zawołałam, głośniejszym głosem niż trzeba. - Ten żołnierz - wymówiłam z naciskiem słowo „żołnierz”, gdy Kai zbliżył się do nas - szuka Glory.

Kai podszedł do niego. Chociaż mieli ten sam wzrost, Kai był szerszy w ramionach.

- Dlaczego pan jej szuka? - zapytał, patrząc mu w twarz. Żołnierz zmarszczył brwi.

- Cofnij się, chłopcze. To nie twoja sprawa.

- Moja, sir - odparł Kai. - Ona jest moją matką. Teraz cofnął się żołnierz.

- Twoją matką? - W głosie mężczyzny dźwięczało zaskoczenie, gdy patrzył na Kaia, dorosłego mężczyznę. Młodszego od siebie, ale nie aż tak bardzo.

- Tak. I jest zajęta pracą. Jest *ają* memsahib tej misji. Żołnierz odchrząknął.

- Będzie zajęta przez resztę wieczoru - powiedział Kai. Zauważyłam, jak zacisnął szczęki. - Nie ma więc sensu, by pan na nią czekał.

- Dobrze - odparł żołnierz. - Powiedz jej, że był tu kapitan Durham.

- Czy ona coś zrobiła? - zapytałam. Żołnierz zatrzymał się i spojrzał na mnie.

- Zrobiła? O co panience chodzi?

- Ma kłopoty?

Popatrzył na mnie, a potem na Kaia.

- Ona wie, gdzie mnie znaleźć - powiedział, wskoczył na konia i wyjechał z podwórza.

Przez chwilę obserwowaliśmy go, a gdy zniknął, Kai ruszył w stronę ogrodu.

- Powiesz Glory, czy ja mam to zrobić? - zawołałam za nim, wiedząc, że lepiej nic nie mówić.

Glory oczywiście nie miała żadnych kłopotów. A może



wydawało mi się, że spędzała czas tylko z Euroazjatami takimi jak ona? Kai nie odpowiedział, lecz kiedy zaatakował motyką rzędy ziemniaków, zrobił to z taką furją, że w powietrze obok jego stóp wylatywały grudy suchej ziemi i ziemniaki, a ja martwiłam się o jego palce u nóg.

Wieczorem powiedziałam Glory o odwiedzinach kapitana Durhama. Nic na to nie odparła, lecz wpatrywała się w drogę, dotykając ust koniuszkami palców. Następnego ranka po modlitwie usłyszałam, jak prosi ojca o wynagrodzenie. Nie uszło mojej uwagi, że zaczekała z tym, aż matka wyjdzie do infirmerii.

- Ale jeszcze nie pora, Glory - powiedział ojciec, przesuwając dłonią po grzbiecie Biblii.

- To tylko kilka tygodni - nie ustępowała. - A potrzebuję kilku rzeczy. Mój wolny dzień przypada za cztery dni. Pieniądze będą mi wtedy potrzebne; pojedę do Lahore i muszę je mieć. - Patrzyła na niego, a on zamrugał powiekami i odwrócił wzrok.

- Zastanowię się - powiedział, a ona uniosła brodę i uśmiechnęła się.

- Czy kapitan Durham jest twoim kawalerem? - zapytałam, kiedy ojciec odszedł.

Spojrzała na mnie ostro.

- Nie twoja sprawa.

- Tylko pytałam. - Przypomniałam sobie błękitne oczy kapitana i malujące się w nich zaskoczenie, gdy Kai powiedział, że jest synem Glory.

Trzy dni później, gdy weszłam do chaty Glory, by powiedzieć jej, że jest potrzebna, rozłożyła wszystkie sześć sukienek na łóżku.

- Wybierasz, w co się ubrać jutro do Lahore?

- Tak - odparła krótko.

- Podoba mi się ta lawendowa; koronka na staniku jest taka delikatna.  
Ułożyła sukienki jedna na drugiej.

- Co chcesz kupić, kiedy...

Odsunęła mnie, zanim zdążyłam skończyć, i z brzękiem bransoletek ruszyła szybko w stronę domu. Stałam w drzwiach przez kilka minut, patrząc na jej sukienki. Żałowałam, że nie mam jednej choć w połowie tak ładnej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia Glory wyjechała przed modlitwą; wiedziałam, że wyruszyła o wschodzie słońca, by mieć jak najwięcej czasu w Lahore. Choć nie było jej w łóżku wieczorem, kiedy kładła się spać, wiedziałam, że będzie tam następnego ranka, gdyż wśliźnie się do misji w środku nocy lub nawet przed wschodem słońca.

Nie wróciła jednak na modlitwę następnego dnia. Widziałam, jak ojciec rozmawia z Kaiem pracującym w ogrodzie i byłam pewna, że pyta go o Glory. Kai nie podniósł jednak głowy i zobaczyłam, że tylko lekko wzruszył ramionami. Później tego dnia poszłam do chaty Glory i odkryłam, że wszystkie jej sukienki i sari zniknęły, podobnie jak biżuteria oraz słoiczki z różem i *surmaq*. Wtedy wiedziałam już, że Glory odeszła, by być ze swoim żołnierzem, i zastanawiałam się, czy powiedzieć o nim rodzicom.

- Myślisz, że coś jej się stało? - zapytałam matkę. Zaciśnęła usta.

Siedziałyśmy w infirmerii, napełniając papierowe tutki pastylkami. Był to jeden z jej dobrych dni.

- Znasz Glory. Najprawdopodobniej jest z jakimś mężczyzną.

Nie było więc potrzeby wspominać o żołnierzu.

- Ale czy mogłaby wyjechać, nie żegnając się z nikim, nawet z Kaiem?

- Już tak kiedyś zrobiła. Podejrzewam, że wcale jej na nim nie zależy.

Skinęłam głową, myśląc o czasie, kiedy Glory nie było w misji.

- Miałam wtedy jakieś siedem lat - powiedziałam, sięgając po kolejną butelkę tabletek siarki.

- Tak, ale wcześniej zdarzyło się to jeszcze dwa razy - odparła matka, zupełnie mnie zaskakując. - Pierwszy raz odeszła jeszcze w Allahabadzie. Kai był za mały, by zostać sam, miał trzy lata. Nie mogłam go zostawić w pustej chacie Glory, więc zabraliśmy go do domu na jakiś tydzień, aż znaleźliśmy inną *aje*, która mi pomagała i opiekowała się Kaiem.

Odłożyła pustą tutkę.

- Był taki cichy i spokojny. Wyjątkowo spokojny jak na takiego malucha. Glory wróciła po sześciu miesiącach. Kai nie płakał, kiedy wyjechała i z drugą *aja* opiekowałyśmy się nim. Nie płakał też, kiedy matka wróciła i *aja* go jej oddała. Nawet się temu dziwiłyśmy - A kilka lat później... ile miał lat? - Zamrugła powiekami, jakby liczyła. - Musiał mieć osiem lub dziewięć, bo nie zadomowiliśmy się tutaj jeszcze na dobre, kiedy Glory znów zniknęła.

- Ja byłam malutka? - zapytałam, a matka skinęła głową.

- Tym razem już się rozbrykał i zaczął wpadać w tarapaty. Myślałam, że jest na tyle duży, że może zostać w nocy sam w chacie. Nadal dzielił ją z matką, ale dowiedzieliśmy się od wieśniaków, że biega w środku nocy i rozrabia. Nie miałam więc wyjścia, musiałam położyć matę w składziku i zamykać go co noc, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

Pomyślałam o Kaiu zamkniętym w ciemnym pomieszczeniu pełnym pajęczyn i najróżniejszych stworzeń pełzających po podłodze. Czy był tam już zakurzony miecz wiszący za najwyższą półką? Znalazłam go podczas poszukiwań, które prowadziłam podczas jednego z długich popołudni. Miecz był schowany w srebrnej pochwie ozdobionej czerwonymi i niebieskimi szkiełkami. Często brałam go ręki, zastanawiając się, jak to możliwe, że taka stara i nadal niebezpieczna broń trafiła do składziku misji. Teraz uświadomiłam sobie, że to pewnie Kai ją tam schował.

Wyobrażałam go sobie samego w ciemności, kiedy leżał na macie z trzciny rzuconej na twardą podłogę. Czy było to latem w porze monsunów, czy zimą? Pocił się, a może drżał z zimna podczas długich nocy? A może nasłuchiwał grzmotów i próbował znaleźć jakieś suche miejsce, gdzie dach nie przeciekał?

Znałam dobrze wycie szakali nocą, szuranie łap nocnych zwierząt przy ścianach domu, nagły krzyk zwierzęcia zaatakowanego przez drapieżne ptaki polujące nocą. Napór burzy. Wszystkie te dźwięki, które przerażały mnie, kiedy byłam mała. Wtedy krzyczałam. Ojciec zawsze przychodził do mojego pokoju.

W tej chwili znienawidziłam Glory za to, że go zostawiła; nienawidziłam matki za to, że zamykała go w składziku. Potem pomyślałam o oknie wysoko na ścianie; Kai z pewnością się przez nie przeciskał i wcale nie spędzał tam nocy. Mały Kai nigdy nie zostawał tam, gdzie mu kazano. I na pewno nie bał się tak jak ja. Wyobraziłam sobie, jak biegnie nocą przez pola, kiedy błyskawica rozdziera czarne niebo i w oddali dudni grzmot.

Uśmiecha się. Znowu przypomniałam sobie wyraz jego twarzy i podniecenie malujące się w jego oczach na widok płonącej na polu kukły. Pomyślałam o jego związkach z kukami i na nowo poczułam niepokój.

- Jednak w ciągu miesiąca postawiłam na swoim, a Kai pojął lekkość. Po tym zostawał z nami w domu. W twoim pokoju. Ty nadal spałaś w kołysce w naszej sypialni.

Teraz próbowałam sobie wyobrazić Kaia śpiącego w moim pokoju, spoglądającego na te same ściany, na które patrzyłam tuż przed zaśnięciem i po przebudzeniu.

Traktowali go jak własnego syna. Tego nie wiedziałam.

- Tym razem Glory zniknęła na dwa lata. Dwa lata. Wyobraź sobie. Nie wyrządziła tym Kaiowi żadnej krzywdy, wręcz przeciwnie, wierzę, że dzięki temu obrał właściwą drogę. Po pierwsze nie znajdował się pod jej wpływem, choć trudno powiedzieć, by w ogóle go wychowywała.

Ojciec zaczął nalegać, żebym go uczyła. Był bardzo bystry i uczył się bez trudu. Miał tylko problemy z pisaniem. Ojciec uczył go Pisma Świętego, a nawet dawał mu lekcje wymowy, poprawiając błędy i ucząc nowych wyrażen, choć ja nie widziałam w tym sensu. Wydaje mi się, że spędzanie czasu z tym chłopcem sprawiało ojcu przyjemność. Po dwóch latach nie spodziewaliśmy się, że jeszcze kiedyś zobaczymy Glory. Uznaliśmy, że porzuciła syna, a ponieważ mieszkaliśmy w misji i naszym obowiązkiem było pomaganie porzuconym, opieka nad Kaiem - wychowanie go na porządnego, kochającego Boga człowieka - stało się częścią ciężaru, który z radością dźwigaliśmy dla naszego Pana. Aż tu nagle znów pojawiła się Glory. Żałowałam, że nie odeszła na dobre; już dość trudno było przyjąć ją z powrotem po pierwszej ucieczce. Ale twój ojciec, no cóż, znasz go dobrze, nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że może zostać, choćby tylko dlatego, że jest matką Kaia. I szczerze mówiąc, potrzebowałam więcej pomocy, niż mogła mi zapewnić mała dziewczynka z wioski, którą zatrudniłam. Uniosła brwi.

- Było dla mnie jasne, choć dla twojego ojca już nie tak bardzo, że na jej powrocie najbardziej ucierpiał Kai. Zupełnie jakby jej nie pamiętał albo nie chciał pamiętać. Jakby myślał, że jest... no cóż, oboje, twój ojciec i ja, zaczęliśmy go powoli traktować jak część... - urwała. - Powrót Glory był więc trudny dla nas wszystkich. A sprawę pogorszył jeszcze fakt, że była wściekła na Kaia za to, że nie powitał jej z otwartymi ramionami.

Obwiniła ojca za to, że zatarł o niej wspomnienie. To oczywiście nie było prawdą; po prostu nigdy o niej nie mówiliśmy, on też nie. Pamiętam, jak płakał pierwszej nocy po jej powrocie, kiedy kazała mu wrócić do swojej chaty, zamiast spać w domu z nami, jak robił to przez dwa lata. Tylko ten jeden raz widziałam, jak płacze. No i jeszcze kiedy się skaleczył, kiedy był mały. Zawsze był bardzo spokojnym dzieckiem. Podziwiałam go za to.

Stałam nieruchomo. Matka tak rzadko długo o czymś

opowiadała, że nie chciałam jej przerywać, zadając pytania lub komentując jej słowa.

Jej dłonie znieruchomiały i wpatrywała się w zniszczony blat stołu.

- Później uświadomiłam sobie, że twój ojciec pokochał tego chłopca - mówiła cicho, jakby do siebie. Przyszło mi do głowy, że to samo przydarzyło się jej, choć nie chciała się do tego przyznać.

Minęła długa chwila i kiedy znów zaczęła liczyć tabletki, wiedziałam, że nie zamierza kontynuować.

- Pamiętam, kiedy odeszła ostatni raz - powiedziałam, nie chcąc przerywać rozmowy, gdyż chciałam dowiedzieć się więcej o Kaiu z czasów, gdy był dzieckiem.

Glory zniknęła tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy miałam siedem lat; ojciec zaprosił Kaia, by przyszedł do nas do domu na gęś, którą Sanosh upiekł na świąteczny obiad, lecz on tylko uprzejmie pokręcił głową. Myśl o tym, że siedzi sam w chacie zupełnie zepsuła mi obiad, mimo że chrupiący, tłusty ptak był prawdziwą uczta.

Teraz zastanawiam się, czy powodem jego odmowy nie było zażenowanie, ale wtedy byłam tylko zdenerwowana, myśląc, że jest na mnie zły. Wreszcie matka rozdrażniona moją nachmurzoną miną kazała mi zanieść mu talerz. Przyjął go; dałam mu też jeden z dwóch twardych cukierków w paski, które dostałam w prezencie świątecznym.

W tamtym roku świętowaliśmy też nadejście wiosny.

- Kai miał wtedy trzynaście lat - powiedziałam.

- Tak. Oczywiście był już na tyle duży, by świetnie o siebie zadbać i radzić sobie bez matki. I choć zawsze było w nim coś dzikiego i od czasu do czasu, jak za dawnych lat, pakował się w jakieś tarapaty w wioskach, tym razem wydawało się, że się ustatkował. - Wzruszyła ramionami. - Nic nie możemy z tym zrobić. Chyba nikt z nas, ani ty, ani ojciec, ani ja czy nawet Kai, nie martwi się, że Glory znów zniknęła. - Zacmo-kała. - Glory i to jej zachowanie. Ubiera się jak jakaś latawica z nizin. Prawdziwa Chutney Mary - powtórzyła.

- To było w roku, kiedy ostatni raz ustawiliśmy słupek na święto wiosny - powiedziałam.

Czy pamiętała? To było jedno z moich najmielszych wspomnień - jedno z niewielu, w których matka zachowywała się zabawnie. Powiedziała mi, że w Anglii tradycyjnie świętuje się ten dzień - pierwszy maja - i kazała Kaiowi wbić w ziemię na podwórku wysokie, cienkie drzewko pozbawione gałęzi. Potem razem z Kaiem, zgodnie z jej instrukcjami, podarliśmy kawałki muślinu - niektóre białe, inne ufarbowane na pomarańczowo w jodynie - na długie paski.

Matka kazała Kaiowi przywiązać mocno paski do wierzchołka drzewka, a potem pokazałam nam, jak należy je zawiązywać - ja białe, a Kai pomarańczowe - tańcząc wokół słupa.

Kai poruszał się w przeciwnym niż ja kierunku, szurając stopami ze znudzonym wyrazem twarzy i oplatając słupek paskami muślinu nad i pod moimi, ale kąciki jego ust lekko się unosiły. To wystarczyło, bym wiedziała, że nie jest tak znudzony, na jakiego próbuje wyglądać. Ja dreptałam pod jego ramionami, w rytm tańca, który pokazała nam matka. Jestem pewna, że ojca nie było wtedy w misji; nigdy nie pozwoliliby nam tańczyć. Prawdę mówiąc, teraz dziwię się, że matka tamtego dnia zachowywała się w tak mało pobożny sposób.

Pamiętam, jak nas obserwowała, klaszcząc w dłonie i śpiewając. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by śpiewała cokolwiek poza hymnami swoim płaskim, lekko zachrypniętym głosem, i aż zakreśliło mi się w głowie od tej nieoczekiwanej zabawy i uwagi, jaką mi poświęcała.

Teraz, siedząc z matką przy stole w infirmerii w lekkich powiewach wiatru wpadających przez otwarte okna, wróciłam wspomnieniami do piosenki, którą śpiewaliśmy raz po raz tamtego dnia. Coś o miodzie, radości, marzeniach i ślicznej pannie. Tylko że matka śpiewała „szliczna”.

- „Bo Pan wie, że znów się spotkamy - powiedziałam



nagle. -1 nowy maj świętować będziemy. Gałązkę kwiecica ci przynoszę...  
- zawahałam się. - Gałązkę kwiecica ci przynoszę"...

Matka skinęła głową.

- „I przy twym boku staję. Ten kwiecica pąk Bożą łaską kwitł, przyjmij go z moich rąk” - powiedziała, a potem zamilkła. - Nie pamiętam dalej.

Powtórzyłam ostatnią linijkę w myślach, a potem nagle przypomniałam sobie całość.

- „Koniec już pieśni, ruszać muszę, pozostać tu nie mogę. Niech Bóg nad wami czuwa, dużymi i małymi, i ześle wam majową pogodę”.

Uśmiechnęłam się do matki, próbując przypomnieć sobie kobietę, którą była dawno temu tamtego pierwszego maja. Staralam się też przypomnieć uczucia, jakimi ją obdarzałam jako beztroska siedmiolatka.

Zastanawiałam się, czy Kai w ogóle to pamięta.

Jakiś miesiąc później spotkałam Glory w Lahore. Pojechałam do miasta z ojcem; był to dzień, w którym odbierał swoje półroczne pobory, a matka wręczyła mi listę rzeczy, które miałam kupić. Zazwyczaj towarzyszyła nam w tej wyprawie, ale tego dnia skarżyła się na dziwny głos, który słyszy w głowie. Ostrzegła, że grozi jej niebezpieczeństwo, jeśli spróbuje przekroczyć Grand Trunk Road.

Nie patrzyłam na ojca, gdy opowiadała nam o swoich mrocznych przewidywaniach. Nie mogłam. Nie chciałam widzieć jego twarzy. Nie rozmawialiśmy o niej w czasie podróży i czekałam na niego na wozie, kiedy poszedł do kapelami. Wyszedł kilka minut później i udaliśmy się na jeden z bazarów. On ruszył w jednym kierunku, ja w drugim, oboje zaopatrzeni w listę zakupów.

Stałam przed kramem, wdychając cudowny zapach różnych olejków i roztartych płatków, a potem wzięłam do ręki małą fiolkę, zdjęłam korek i wahałam jej zawar-

tość, przyglądając się leniwie mijającym mnie ludziom. I wtedy zobaczyłam Glory przyczepioną do ramienia dżentelmena w eleganckim wełnianym garniturze i *topi*. Był stary - starszy od mojego ojca - z twarzą pokrytą zmarszczkami nie tylko z powodu podeszłego wieku, lecz sądząc po białych zagłębieniach w kącikach oczu, również życia spędzonego na słońcu.

Glory miała na sobie suknię, której nie znałam - musiała być nowa. Ciemnoróżowa z przybraniami w kolorze głębokiej śliwki. Na ramiona narzuciła wełnianą śliwkową pelerynkę ozdobioną przy brzegu różową atlasową wstążką. Cały jej strój, podobnie jak strój towarzyszącego jej mężczyzny, był w dobrym gatunku. Niestety, zepsuła to wrażenie, malując zbyt mocno policzki i usta różem. I ufarbowała włosy henną; teraz błyskały czerwonymi pasemkami pod dość ekstrawaganckim kapeluszem przybranym jedwabnymi różami.

Ponieważ uznałam, że wyjechała z przystojnym młodym żołnierzem, który szukał jej w misji, zdziwiłam się, że idzie z tym starszym Anglikiem.

- Glory! - zawołałam.

Myślałam, że się wystraszy, zignoruje mnie lub szybko odejdzie, lecz ona odwróciła się, uśmiechnęła promiennie i wyciągnęła ramiona, jakby chciała mnie objąć.

- Pree, moja kochana. Pree - powiedziała po angielsku, a ja zamrugałam oczami, słysząc to dziwne powitanie. Podeszła do mnie, ciągnąc mężczyznę za ramię. Uśmiechnęła się do niego, do mnie i znów do niego.

- To panna Pree Fincastle. Moja dobra przyjaciółka, o której ci opowiadałam. Pree, poznaj proszę pana Evansa.

Otworzyłam usta. Nazwała mnie swoją dobrą przyjaciółką. Mężczyzna zdjął kapelusz. Choć miał na głowie wianuszek siwiejących włosów, jej czubek był łysy i lśnił od potu. Kiedy wyciągnął rękę, podałam mu swoją. Ujął ją i złożył pocałunek na mojej rękawiczce.

- Teraz widzę, skąd wzięła się twoja uroda - rzekł do

mnie i znów spojrzałam na Glory, zamykając usta. - To wyraźnie wasza cecha rodzinna.

Nasza cecha rodzinna? Co ona naopowiadała temu mężczyźnie? Czy nazywała siebie Glory Fincastle, jak powiedziała tamtemu żołnierzowi? I jak ten człowiek mógł mnie z nią porównywać? Czy nie widział, że się różnimy, że jestem Angielką, a Glory... Zatrzymałam się, zaskoczona, że reaguję tak samo jak nieraz matka. Teraz mój osąd był równie uszczypliwy jak jej.

- Witam pana - powiedziałam uprzejmie, lekko dygając. - Glory nie wiedzieliśmy, co ci się...

Przerwała mi, zanim zdążyłam dokończyć.

- Jak się mają wszyscy w domu? Wszyscy zdrowi i szczęśliwi? - zapytała, jakby nie porzuciła misji i swojego syna, lecz jedynie odwiedzała nas od czasu do czasu. Jakbym była członkiem jej rodziny, a ona naszej. Mówiła ciszej niż zwykle i wolniej i widziałam, że dba o to, by wyrażać, jak najbardziej stosownie.

- W porządku. Wszyscy mają się dobrze. Ale Kai... Znów mi przerwała.

- Bardzo miło było cię spotkać. Pozdrów wszystkich w domu - powiedziała, a potem lekko pociągnęła mężczyznę za rękaw. - Chodźmy, panie Evans. Teraz napijemy się herbaty, jak pan proponował. - Spojrzała na mnie raz jeszcze. - W eleganckiej herbaciarni, w angielskiej dzielnicy - dodała, unosząc lekko brwi.

Patrzyłam, jak odchodzi, kołysząc się zmysłowo.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dwa dni po podróży do Lahore późnym popołudniem napełniałam wodą miedziane miski na podwórku. W infirmerii nie było już pacjentów i postanowiłam umyć podłogę na werandach.

Podniosłam wzrok, gdy usłyszałam stukot końskich kopyt. Młody mężczyzna z gołą głową zeskoczył z pokrytego potem konia i podbiegł do mnie.

- Bardzo źle - powiedział po angielsku z twarzą wykrzywioną rozpaczą. - Dużo bólu. Baba... nie wyjeżdżać. Lalasa... proszę, przyjedź. Pomóc Lalasie - wykrzyknął, składając przed sobą błaganie dłonie.

- Jesteś mężem Lalasy? - zapytałam w hindi. Skinął głową, a przez jego twarz przebiegł cień ulgi na dźwięk własnego języka.

- Jestem Balin - powiedział. - Chodź, proszę. Prosiła, żebym przywiózł mem. Powiedziała, że ty i mem będziecie wiedziały, co robić.

Matka wyszła z domu.

- Kiedy zaczęły się bóle? - zapytała po angielsku. - Jak długo rodzi? - Prychnęła poirytowana, kiedy Balin wpatrywał się w nią i mrugając oczami, próbował zrozumieć jej słowa. Przetłumaczyłam.

- Wczoraj wcześniej rano - powiedział, nadal dysząc. Obliznął spieczone usta. Jego język był zupełnie szary.

- Ale... - matka patrzyła na niego. - Już prawie wieczór. Lalasa rodzi przez cały ten czas, prawie dwa dni, a ty dopiero teraz przyjeżdżasz po pomoc? Dlaczego? - Przepchnęła się obok niego.

Balin znów nie zrozumiał większości jej słów, lecz jej gniew wystarczał za wszystko.

- Moja matka mówi, że to normalne - próbował mi wytłumaczyć. - Mówi, że to nie sprawa męża.

- Nie wezwaliście nikogo? Akuszerki, twoich sióstr czy nawet matki Lalasy? - dopytywałam się. - Dlaczego nikogo nie sprowadziłeś, nawet swojej własnej matki, żeby jej pomóc?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Moja matka mówi, że musimy ją zostawić, bo tylko przez ból można się nauczyć być silnym. Matka mówi, że złapie dziecko, kiedy już wyjdzie, ale Lalasa musi być silna jak ona i zrobić to sama. Ale Lalasa zaczęła krzyczeć, strasznie krzyczeć i nie mogłem już tego słuchać. - Jego oczy wypełniły się łzami i choć byłam na niego wściekła, wiedziałam, że jest wykończony i przestraszony i że próbuje robić to, co należy, rozdarty pomiędzy posłuszeństwem matce i troską o żonę. - Moje siostry nie sprzeciwiają się matce. Ale ja nie mogłem już tego słuchać - powtórzył. - Nie mogłem pozwolić, żeby tak strasznie cierpiała. Zapytałem Lalasę, co mogę zrobić, a ona krzyknęła, żebym pojechał do misji. No to przyjechałem. Pomożesz jej?

- Panie, zlituj się - powiedziała matka, mrużąc pod nosem coś jeszcze, czego nie słyszałam. - Szybko, Pree, jedź z nim na koniu. Rób, co możesz, dopóki tam nie dotrę.

- Ale ja nigdy... - zaczęłam, nie wiedząc, co powinnam zrobić, ale przerwała mi.

- Muszę wziąć wóz. Nie wiem, gdzie jest twój ojciec i Kai. Powiedz temu człowiekowi, żeby zaprzągnął Martę do wozu i biegnij do infirmerii po torbę. Weź nożyczki, dużo czystej flaneli i muślinu, igłę i nitkę i środek odkażający.

Mogłam myśleć tylko o Lalasie, ale w tej chwili poczułam ulgę, że matka jest dziś w dobrej formie i szybko wydaje zdecydowane polecenia.

Balin zrobił, co mu kazałam, a ja zabrałam wszystko, co

kazała matka. Wybiegłam na zewnątrz z płócienną torbą, kiedy Balin pomagał matce wsiąść na wóz.

- Powiedz mi, gdzie mam jechać, kiedy już dotrę do wioski - powiedziała, a ja przetłumaczyłam jej wskazówki Halina.

Potem uderzyła lejcami o zakurzony grzbiet Marty zmuszając ją do niezgrabnego galopu.

Uniosłam spódnicę, Balin posadził mnie na gołym końskim grzbiecie i zaraz wskoczył tuż za mną. Podróż, w czasie której koń cały czas pędził galopem, była krótka, lecz zdawała się nie mieć końca.

Kiedy Balin zatrzymał konia przed małym domem zbudowanym z *pukka*, usłyszałam krzyki Lalasy zanim jeszcze weszliśmy na podwórko. Balin zeskoczył z konia, nie czekając na mnie. Pobiełam za nim. Cztery młode kobiety w milczeniu siedziały w kuchni z boku podwórka - jego siostry lub przyjaciółki Lalasy. Starsza kobieta - najwyraźniej jego matka - wstała z dywanika leżącego pod puszystym tama-ryndowcem, krzycząc ze złością na Balina, wymachując rękami w powietrzu, lecz zignorowaliśmy ją oboje i przebiegliśmy przez dom do pokoju, który dzielił z Lalasą.

Zatrzymałam się w drzwiach, kiedy Balin podszedł do Lalasy. Pogładził ją po czole i coś do niej szepnął. Dyszała ciężko i nawet stojąc przy drzwiach, zauważyłam, że jest nienaturalnie rozdęta, a jej gołe nogi, niegdyś tak zgrabne, są teraz bardzo grube, a kostki nie można odróżnić od łydki. Dostrzegłam bladą lśniąca bliznę na goleniu. Lalasa spojrzała na mnie. Wywróciła oczy i otworzyła usta. Natychmiast do niej podbiegłam. Kiedy wydała z siebie następny przeszywający krzyk, zobaczyłam, że jej usta są rozdarte w kącikach i krwawią. Miała ugięte kolana, a uda trzęsły się gwałtownie. Po chwili całym ciałem wstrząsnął niekontrolowany skurcz. Krzyki ucichły, kiedy jej ciało trzęsło się i drżało, po czym się uspokoiła. Znowu zobaczyłam jej tęczę, a ona zamrugała, jakby nic nie rozumiała. Otarłam krew z ust; teraz miały odcień lawendy.

- Pree? - powiedziała. Próbowałam się uśmiechnąć, ale usta odmawiały mi posłuszeństwa. Chwyliła mnie słabo za rękę. - Pree - powtórzyła. - Przyjechałaś.

- Moja matka też już jedzie; zaraz tu będzie. Ona będzie wiedziała, co robić, Lalaso. Pomoże ci. - Mówiłam przekonującym tonem, lecz bałam się, że matka niewiele zdoła zrobić. Jeśli Lalasa rodziła tak długo... i jest taka drobna. - Balin, przynieś gorącą wodę - powiedziałam, wiedząc, że to nieważne, ale chciałam, żeby coś zrobił, żeby się wydawało, że jakoś Lalasie pomagamy.

Zostałam z nią w czasie następnej fali skurczów, nie mogąc zrobić nic więcej, jak tylko gładzić ją po czole i szeptać słowa pociechy, gdy była przytomna. Balin przyniósł wodę w misce i chodził tam i z powrotem po pokoju. Wreszcie przyjechała moja matka i podwijając rękawy, spojrzała przez ramię na Lalasę. Włożyła ręce do miski i starannie je umyła. Potem podeszła do łóżka i uśmiechnęła się do Lalasy.

- Twój syn pokazuje, jaki jest silny - powiedziała w łamiącym się hindi, ale uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy zobaczyła, że Lalasa znów wywraca oczy. Kiedy jej ciałem wstrząsnął skurcz, matka spojrzała na mnie. - To prawdopodobnie posocznica - dodała. - Jej ciało jest we wstrząsie.

Zabierz Balina na zewnątrz.

Zrobiłam, co mi kazała, i poinstruowałam Balina, by czekał z matką, dopóki go nie zawołamy. Stara kobieta nie patrzyła na mnie, tylko mruczała coś pod nosem, żując betel.

Wróciłam do domu. Ciałem Lalasy nadal wstrząsały skurcze i konwulsje; miała otwarte oczy, lecz już nie krzyczała. Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku z wyjątkiem nieświadomych pomruków.

- Nic nie możemy zrobić? - krzyknęłam. Przykucnęłam przy łóżku i podniosłam wzrok na matkę.

- Główna już tu jest - powiedziała, pochylając się nad Lalasą z ręką schowaną między jej nogami. - Czuję ją. Ale ona nie ma już siły, by wypchnąć dziecko. Cofa się pomiędzy skurczami.

- Nie możesz go wyciągnąć? - zapytałam. Byłam zła 7. powodu swojej ignorancji i nie wiedziałam, jak pomóc Lalasie. Znałam anatomię kobiety z podręczników medycznych i widziałam, jak pewien człowiek wsunął do środka ryczącej krowy obie ręce aż po ramiona i ciężko nimi pracując, wyciągnął w końcu dwie chude nogi, a za nimi głowę cielaka i całe jego ciało. Wiedziałam, że kobieta różni się od krowy, ale... - Jeśli jest tak blisko - dokończyłam słabym głosem. - Nie ma sposobu, żeby je wyciągnąć?

Matka zacisnęła usta, a potem otworzyła torbę i wyjęła mały, ostry nóż. Kazała mi go przytrzymać nad płomieniem lampy, która paliła się w rogu. Zrobiłam to i oddałam jej nóż.

- Pomóż mi usiąść na brzegu łóżka - poprosiła. Przytrzymałam ją pod ramię, kiedy z wyraźnym bólem usiadła na niskim łóżku, tłumiąc jęk. Odwróciłam wzrok, kiedy rozłożyła bezwładne nogi Lalasy i pochyliła się między nimi.

Nie chciałam myśleć o nożu przecinającym miękkie ciało Lalasy w tym sekretnym miejscu.

Nagły krzyk mojej matki zmusił mnie, bym odwróciła głowę.

- Chodź tutaj i pomóż mi - powiedziała.

Podeszłam do nóg łóżka i w masie krwistego płynu zobaczyłam dłonie matki otulone wokół maleńkiej główki, też całej we krwi. Palcami manewrowała ostrożnie w rozciętym wnętrzu Lalasy. Delikatnie wysunęła najpierw jedno okrągłe ramionko, a potem drugie. Po chwili, podobnie jak u krowy, pojawiła się reszta ciała. Pomimo krwi - krwi Lalasy - pokrywającej dziecko zauważyłam, że to dziewczynka. Matka trzymała noworodka jedną ręką, a drugą chwyciła kawałek flaneli i szybko wytarła mały nosek i usta. Dziecko zaczęło cicho popiskiwać. Matka rozsunęła uda tak, by jej spódnica utworzyła hamak, gestem wskazała mi, bym położyła tam inny kawałek flaneli, a na nim dziecko. Słyszając hałas, do pokoju weszła teściowa Lalasy i spoj-



rzała matce przez ramię. Kiedy tylko matka przecięła grubą pępowinę i zawiązała pępek maleństwa nitką, stara kobieta szorstkim gestem wzięła płaczące teraz dziecko i owinęła je we flanelę. Mała nadal była pokryta krwią Lalasy.

Kiedy kobieta wyniosła dziecko z pokoju, matka skupiła się na Lalasie, przyciskając ucho do jej piersi i pocierając jej dłonie w swoich.

Podkładała pod nią coraz grubszą warstwę flaneli, która natychmiast zabarwiała się na czerwono.

- Podnieś tył łóżka - powiedziała matka, a ja natychmiast wsunęłam pod nogi kawałki wyschniętego nawozu ułożone pod ścianą, których używano do palenia. Nagle usłyszałam cichy stuk i zobaczyłam porcelanową głowę lalki Lalasy która leżała schowana między łóżkiem i ścianą.

Staralam się nie myśleć o Lalasie trzymającej starą lalkę, kiedy walczyła, by wydać na świat własne dziecko.

- Jak może być tak zimna w tym upale, mamó? Cała się trzęsie.

- To wstrząs. Przykryj ją i pilnuj, żeby było jej ciepło, a ja umyję ręce.

Pomóż mi wstać.

Kiedy pomogłam matce podnieść się, owinęłam dwa prześcieradła wokół drobnego ciała Lalasy. Nagle zeszywniała. Przewróciła oczami, a jej ciałem zaczęły wstrząsać rytmiczne drgawki podobne do tych przed narodzeniem dziecka.

- Znów to robi - krzyknęłam. - Dlaczego ma atak nawet teraz?

Matka odsunęła mnie i wsunęła kawałek zwiniętej flaneli do ust Lalasy.

Zacisnęła na nim drobne zęby. Po chwili, która wydała się wiecznością, drgawki ustały. Ciało Lalasy odprężyło się i wreszcie znieruchomiało.

Matka wytarła jej twarz wilgotną szmatką, szepcząc do niej.

- Już dobrze, Lalaso. Wszystko jest w porządku. Wreszcie Lalasa

spojrzała przytomnie, a ja uklękłam przy

łożku, by mogła mnie widzieć.

- Lalaso - rzekłam. - Już po wszystkim. Dziecko... dziecko jest tutaj.

- Moje dziecko - odezwała się głosem cichym jak westchnienie. - Syn? Matka położyła mi dłoń na ramieniu i podniosłam wzrok. Uśmiechnęła się do Lalasy, choć jej uśmiech przypominał wymuszony grymas.

- Tak, Lalaso. To chłopiec, silny, śliczny chłopiec - powiedziała w hindi. Usiadłam na piętach.

- Słyszysz ten płacz? - zapytała matka. - Posłuchaj. Uświadomiłam sobie, że dziecko w istocie głośno płacze na podwórku, i próbowałam uśmiechnąć się do Lalasy. Zamrugnęła powiekami, a na jej blade usta wypłynął słaby uśmiech.

- Słyszę go. Mój mąż będzie dumny. Teraz będę coś warta dla mojej teściowej.

- Tak, moja droga - powiedziała matka w języku angielskim, którego Lalasa nie rozumiała. - Świetnie sobie poradziłaś. Dałaś swojemu mężowi syna. - Wzięła do ręki torbę.

Ujęłam rękę Lalasy, lecz była bezwładna i zimna.

- Lalaso? - szepnęłam, przysuwając się bliżej. Wyglądało jednak na to, że mnie nie widzi ani nie słyszy. Wzrok miała utkwiony w oknie w przeciwnej ścianie domu. Z jej rozchylonych lekko ust wypłynął długi, cichy oddech, a potem ucichła.

- Lalaso? - powtórzyłam tym razem głośniejszym głosem, lecz wiedziałam, że na nic się to nie zda. Widziałam, jak wygląda śmierć. Ta mała dziewczynka zabiła ją. - Mamo! - krzyknęłam.

Matka odsunęła mnie i przyłożyła palce do szyi Lalasy. Pokręciła głową, poruszając ustami. Wiedziałam, że się modli. Delikatnie położyła dłoń na twarzy Lalasy, a kiedy ją cofnęła, oczy dziewczyny były zamknięte.

Usłyszałam jęczenie i uświadomiłam sobie, że wydobywa się z mojego gardła.

- Przygotuj ciepłą wodę i dolej do niej olejku różanego -powiedziała matka. - Weź go z mojej torby.

Słyszałam ją, ale nie mogłam wykonać polecenia. Moje ciało było nieruchome jak ciało Lalasy. Matka ścisnęła mnie za ramię, podobnie jak wtedy, gdy mówiła Lalasie, że urodziła chłopca.

- Przygotuj wodę, żebyśmy mogły ją umyć, zanim zobaczy ją rodzina. - Odwróciła się do Lalasy i naciągnęła jej na twarz cienkie prześcieradło. Rysy Lalasy były tak delikatne, że jej nos i broda prawie nie wystawały pod materiałem.

- Lalaso - szepnęłam i składając dłonie w hinduskim geście *namaste*, pochyliłam głowę. Chciałam płakać, gdyż czułam okropny ból w gardle i piekły mnie oczy. Ale nie mogłam. Po chwili wstałam i wlałam kilka kropel olejku do miedzianej miski z ciepłą wodą, jak prosiła matka. Poruszałam się, jakby jakiś wielki ciężar przygniatał mi ciało i umysł, jakbym stała z boku i nie ja mieszała wodę, lecz ktoś inny.

Powoli podałam miskę matce i cofnęłam się. Nadal czułam się, jak w głębokim niespokojnym śnie, podczas gdy matka odkrywała ciało Lalasy - nogę, rękę, tors - i pochylając się, myła powoli każdą odsłoniętą część, a potem znów zakrywała ją prześcieradłem.

- Wyszczotkuj jej włosy - powiedziała, kiedy skończyła mycie.

Pokreśliłam głową. Nie chciałam dotykać Lalasy. Pragnęłam zapamiętać ją taką, jaka przychodziła z matką do infirmerii: kiedy podskakując zgrabnie na podwórku, próbowała zachęcić Jassie, by biegła za nami na pole, jak pokrywała buzię swojej siostrzyczki pocałunkami, jak matka mówiła do niej *beti* - córeczko - z taką czułością. Kiedy śmiałyśmy się, chowając w wysokiej trzcinie, udając, że jesteśmy pięknymi *rani*.

Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak była piękna, gdy

w zeszłym roku Balin uniósł welon, lub jak z nieśmiałą radością mówiła mu kilka miesięcy później o synu, którego nosi pod sercem.

Nie chciałam pamiętać jej jako bezwładnego rozdartego ciała z pozbawioną wyrazu twarzą. Wyjęłam lalkę spod łóżka, uniosłam prześcieradło i położyłam ją w zagłębieniu ramienia Lalasy.

Kiedy usłyszałam hałas, odwróciłam się i zobaczyłam stojącego w drzwiach Balina. Z jego twarzy wyczytałam, że jest w szoku. Cofnął się, a potem odwrócił i wyszedł. Biorąc od matki miskę z wodą, uświadomiłam sobie, że dziecko przestało płakać. Nie słyhać było żadnego dźwięku poza ryczeniem byka w oddali i ostrego krzyku kruka. Matka ujęła mnie za łokieć.

- Chodź. Zostawmy ją rodzinie, by przygotowała ją do ostatniej podróży. Spojrzałam na nią.

- Dlaczego skłamałaś? O synku? Matka zamknęła na moment oczy.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie powinna wierzyć, iż oddała życie dla dziewczynki - powiedziała twardo. - Dlaczego nie pozwolić jej wierzyć w ostatnich chwilach życia, że jej śmierć na coś się przydała?

W tej chwili dostrzegłam w matce coś, co tak rzadko u niej widziałam.

Chciałam to wchłonąć, wciągnąć do środka. Chciałam ją taką zapamiętać na zawsze. Gdy na kimś jej zależało, gotowa była dla jego dobra złamać jedno z przykazań.

Wyszłam za nią z pokoju, zatrzymując się w drzwiach, by po raz ostatni spojrzeć na nieruchome ciało Lalasy. Na podwórku jej teściowa siedziała na dywaniku, opierając się plecami o pień tamaryndowca. Nigdzie nie widać było Halina. Ani dziecka.

Matka powoli przeszła przez podwórko. Ciężka torba obniżała jej jedno ramię. Utykała jeszcze bardziej niż zwykle. Wzięłam od niej torbę.

Uwolniona od jej ciężaru ścisnęła

jedną ręką drugą, jakby chciała przywrócić krążenie. Kiedy mijałyśmy teściową Lalasy zatrzymałam się.

- Gdzie jest dziecko? - zapytałam cicho. Nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety, ale nienawidziłam jej za to, że pozwoliła tak długo cierpieć swojej synowej. - Chciałabym je zobaczyć.

Moja matka szła dalej.

- Ona się nie liczy - odparła staruszka, a matka zatrzymała się i spojrzała na mnie. Na widok jej ściągniętych ust poczułam niepokój biegnący wzdłuż kręgosłupa.

Kręciłam głową, rozglądając się po cichym podwórku.

- Ale gdzie ona jest? - Z jakiegoś powodu mój głos zabrzmiał nienaturalnie chropawo. - Chcę ją zobaczyć. Chcę...

- Nie ma żadnego dziecka - odparła kobieta z kamiennym wyrazem twarzy. Wsunęła migdał między tylne zęby i rozgryzła go. - Moja synowa urodziła kamień.

- Kamień? O czym ty mówisz?

- Bezużyteczna dziewczynka, kamień. To jedno i to samo. Nie żyje. Zachnęłam się i w tym samym czasie usłyszałam dźwięk, jaki wydała moja matka, wciągając gwałtownie powietrze przez nos.

- Nie żyje? Ale... nie. Widziałam ją. - Podniosłam głos. - Jak mogła umrzeć? Płakała i machała rączkami i nóżkami. Ona...

- Nie żyje - powtórzyła kobieta, wydłubując migdał ze skorupy. - Mój syn zabrał jej ciało, żeby rzucić je szakalom. Dzięki temu będzie miał synów z nową żoną. - Wsunęła migdał do ust i żuła powoli, patrząc na mnie.

Zamrugalam i otworzyłam usta, ale głos uwiązł mi w gardle. Język nagle okazał się zbyt duży i suchy i przykleił mi się do podniebienia.

Spojrzałam na matkę. Jej twarz przez jedną przerażającą chwilę wyglądała jak twarz Lalasy.

- Chodź, Pree. Wracamy do domu - powiedziała i wyszła na drogę przed domem, gdzie stał wóz. Patrzyłam

na jej przygarbione ramiona, gdy odchodziła, kuśtykając. Usłyszałam trzask kolejnej łupiny orzecha i na ten dźwięk drgnęłam i odzyskałam głos.

- Nie! - krzyknęłam, biegnąc za matką. - Nie. Dziecko nie umarło. -

Widziałaś ją. Wiesz - powiedziałam, ciągnąc ją za rękę.

Matka zatrzymała się i spojrzała na moją dłoń zaciśniętą na jej ramieniu.

- To pogański zwyczaj. Czego można się spodziewać? Mają tyle bogów, lecz czasami wydają się zupełnie bezbożni. Otaczają czią wszystko, lecz nie życie. - Jej słowa były pełne jadu, ale głos cichy i chropawy ze zmęczenia. - Może to dla niej lepiej. Dla dziecka. Niechciana dziewczynka, bez matki... tak jest lepiej - powtórzyła. - Jej życie nie byłoby wiele warte.

Stałam na drodze, rozglądając się, jakbym szukała odpowiedzi.

Wiedziałam, że pozbawiona serca teściowa Lalasy zabiła dziecko. Ale jak? Ściskając jej usta i nos? Zaciskając wykrzywione palce na drobnym gardle? Zamknęłam oczy przerażona tą wizją. Kiedy je otworzyłam, pomyślałam o Balinie, jego dobrej, słabej twarzy. Musiał na to pozwolić; w tej sprawie, jak we wszystkich innych, poddał się władzy matki i pozwolił, by kierowała jego poczynaniami.

Usłyszałam skrzypienie drewna, gdy matka wsiadała na wóz.

Rozglądałam się, jakbym szukała czegoś, co zgubiłam. Potem na polu zalany pomarańczowym słońcem dostrzegłam postać - mężczyznę - zmierzającego do kępy drzew. Widziałam tylko jego plecy, były pochylone. Mężczyzna szedł, kołysząc się niepewnie, jakby przed chwilą okulał. Byłam pewna, że to Balin.

Bez chwili wahania próbowałam pobiec na pole, bo być może stara kobieta nie wykonała swego okrutnego zamierzenia, bo może dziecko jeszcze żyje i uda mi się przekonać Balina, żeby nie rzucał go szakalom. Zabiorę ją ze sobą, zadbam, by dziewczynka była bezpieczna... ale nogi

odmówiły mi posłuszeństwa. Czułam, jakby wypełniał je płyn, były pozbawione kształtu - czy było to wynikiem wstrząsu, jaki przed chwilą przeżyłam? - i zamiast jak zawsze ruszyć przed siebie pewnym krokiem, potknęłam się, padając twarzą w kurz na drodze. Uderzyłam się w nos tak mocno, że zobaczyłam przed sobą nagły blask i poczułam przeszywający ból. Leżałam tak przez chwilę oszołomiona, a potem powoli usiadłam. Obok mnie przeszedł mężczyzna, prowadząc osła z wielką wiązką słomy na grzbiecie. Spojrzał na mnie zaciekawiony, ale się nie zatrzymał. Krew, czerwona jak u Lalasy kapłała mi na spódnicę; poczułam w ustach smak miedzi. Wstałam, ściskając nos palcami, by powstrzymać krwotok. Krzywiąc się z bólu, spojrzałam na miejsce, w którym widziałam Balina. Już go nie było.

- Chodź, Pree - zawołała matka. - Nic tu po nas.

Stałam sama na drodze pod niebem lśniącym pomarańczowym blaskiem. Potem powoli, na ciągle drżących nogach, podeszłam do wozu i niepewnie wsiadłam. Matka podała mi kawałek czystej flaneli. Kiedy ruszyliśmy, przycisnęłam ją do nosa.

Rzeczywiście nie byliśmy tu potrzebne.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następne miesiące były trudne. Myślałam o Lalasie i jej dziecku, czując bezsilność i gniew. Minęła zima, a potem wiosna. Wszystko ciągnęło się jak zwykle.

Wypełniałam swoje obowiązki w misji z cichą pustką w sercu; Kai przyjeżdżał i odjeżdżał, w tych dniach częściej go nie było. Nawet kiedy był w domu, niewiele rozmawialiśmy. Matka miewała swoje dobre i złe dni; modlitwy ojca stawały się coraz krótsze.

Pewnego upalnego dnia na początku maja wróciła Glory ciągnąc dwie ciężkie torby. Nie miała na sobie angielskiej sukni, lecz lekko związane sari. Nawet mimo jego luźnych fałdów widać było wyraźnie, że jest w zaawansowanej ciąży.

Poszła do swojej chaty, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Nie wyszła przez resztę dnia. Następnego dnia w południe zaniósł ją talerz curry z soczewicy i *roti*.

- Nie chcę - powiedziała, kiedy odsunęłam zasłonę w drzwiach, pozwalając, by do środka dusznej chaty wpadło słońce. Leżała na boku twarzą do drzwi z dłonią wsuniętą pod policzek. Wokół jej ust widać było nowe zmarszczki i wyglądała na zmęczoną. - Zabierz to.

- Musisz coś zjeść - odparłam. - Jeśli nie dla siebie, to dla... dziecka. -

Pierwsza wspomniałam o czymś, o czym żadna z nas nie mówiła.

- Wszyscy mężczyźni to kłamcy, Pree - powiedziała, siadając na łóżku.

Uświadomiłam sobie, że jest o wiele grubsza, niż mi się wczoraj wydawało. Wyglądała, jakby miała zaraz



urodzić, i dokonałam szybkich obliczeń. Jeśli tak rzeczywiście było, to nosiła już to dziecko, kiedy w październiku opuściła misję. Czy było to dziecko pana Evansa, czy też żołnierza, który przyjechał jej szukać? Wzięła talerz i kawałkiem *roti* zgarnęła trochę curry. Usiadłam na krześle.

- Obiecał, że się ze mną ożeni - powiedziała i ugryzła kęs placka.

- Kto?

- Pan Evans. Zostawił mnie w pokojach, które wynajął, i powiedział, że idzie przygotować ceremonię cywilną. Czekałam i czekałam. Dwa dni, trzy. Nie wrócił. Wreszcie siudra przyniósł mi list. Niedotykalny, Pree. Przesłał mi list przez niedotykalnego - powiedziała i na to okropne wspomnienie łzy napłynęły jej do oczu.

- Co napisał?

- Wezwałam pisarza. Musiałam zapłacić mu pięć ann -oszust - żeby przyszedł do mojego pokoju i przeczytał leżący na stole list bez dotykania go.

Czekałam.

- Pan Evans napisał, że ma żonę w Anglii. Że był już żonaty, ale nie wiedział, jak mi o tym powiedzieć. - Spojrzała mi prosto w twarz. *Surma* rozmazała się, pozostawiając na policzkach czarne smugi. - Napisał więc, że oczywiście nie może się ze mną ożenić i uważa, że najlepiej się stanie - to jego słowa - „najlepiej się stanie”, jeśli nie będziemy już razem.

Mężczyźni. Zawsze kłamią - powiedziała. - Zawsze jest pierwsza żona. - Odwróciła się gwałtownie. - Zostaw mnie teraz. Zostaw.

Nie mogłam patrzeć na jej rozpacz i smutek. Tak wcześniej było już z Kaiem, a teraz z drugim dzieckiem. Nagle poczułam litość.

- Ojciec pozwoli ci tu zostać - powiedziałam nie do końca pewna, czy rzeczywiście tak będzie. Nie. Ważne było, czy to matka pozwoli jej zostać. Czy nie dawała wyraźnie do zrozumienia, że uważa Glory za ciężar, za bezużyteczną *aje*,

która wykorzystuje łaskawość ojca? Czy naprawdę zgodzi się, by została z kolejnym dzieckiem?

Wspomniałam o tym wieczorem przy kolacji.

- Co się teraz stanie? - zapytałam ojca. - Czy pozwolisz Glory nadal tu mieszkać, kiedy już urodzi dziecko?

Matka cały dzień spędziła w swoim pokoju; cieszyłam się, że nie ma jej z nami, gdy omawialiśmy delikatny temat Glory i jej stanu.

Ojciec nie odpowiedział; mimo upału był blady, miał wilgotną skórę, a czerwona plama na czole świeciła jak blizna po oparzeniu. Nie dotknął gulaszu; widziałam, jak drży mu ręka, w której trzymał widelec.

- Ojczy? Jesteś chory?

Skinął głową, wstał i wyszedł do sypialni. Zamknął drzwi, a ja siedziałam sama przy stole w gasnącym blasku dnia. Dom pławił się w promieniach zachodzącego słońca, a kogut piał, jakby wieczór pomylił mu się z rankiem.

Następnego dnia ojciec został w łóżku i nieoczekiwanie odwracając rolę to matka poszła do infirmerii. Pomagałam jej przez cały ranek; w cieniu werandy zjadła gotowane jajka i krojone zimne ziemniaki, które Sanosh przygotował dla niej i dla ojca.

Zaniosłam ojcu talerz z jedzeniem do domu, a kiedy stanęłam w drzwiach, zaskoczona ujrzałam Glory siedzącą na czarnym krześle Windsor przed pianinem.

- Co ty robisz? - zapytałam. - Nie dotykaj pianina matki.

Glory nacisnęła jednak dwa klawisze, które wydały cichy, fałszywy dźwięk.

- Nie rób tego - powtórzyłam. - Matka by sobie tego nie życzyła.

Glory tylko się uśmiechnęła.

- Nie widzę tu twojej matki.

Zastanawiałam się, co takiego wydarzyło się pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym i dzięki czemu odzyskała tupet. Wczoraj płakała i była niepokieszona. Dziś, pomimo dużego brzucha, wyglądała jak dawna Glory z bezczelnym uśmiechem.

Zaniósłam talerz ojcu. Kiedy stawiałam go na krześle przy łóżku, zauważyłam w pościeli jedną ze szklanych bransoletek Glory.

- Czy Glory przyszła ci pomóc? - zapytałam, biorąc do ręki bransoletkę. Zmarszczył brwi.

- Zostaw mnie - powiedział. - Nie chcę nic jeść. Zabierz to z powrotem. - W jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

Zabrałam talerz. Glory nie było już w saloniku.

Ojciec dochodził do siebie przez parę następnych dni i powoli odzyskiwał siły, jak zawsze. Letnia pogoda zawsze to opóźniała; kiedy doznawał ataku w upale, zawsze dłużej dochodził do zdrowia. Zupełnie jakby gorące wilgotne powietrze odbierało mu oddech.

Kilka tygodni później siedziałam wczesnym rankiem na bocznej werandzie i cesałam włosy. Kiedy zdjęłam kilka pasemek z grzebienia i wypuściłam je w powietrze, z chaty matki wyszedł Kai.

Zatrzymał się, spojrzął na mnie i podszedł do werandy.

- Urodziło się - powiedział. Upuściłam grzebień.

- Co? Dziecko? Glory urodziła dziecko? Skinął głową.

- Usłyszałam płacz zaledwie godzinę temu. Matka była sama, nie wezwała nikogo do pomocy. Urodziła dziecko sama.

Jego głos był zupełnie pozbawiony emocji.

- Chłopiec czy dziewczynka? - zapytałam, zaciskając dłonie, niepewna swoich uczuć.

- Dziewczynka - powiedział. Odwrócił się i wszedł do chaty.

Pobiegłam do domu.

- Mamo - zawołałam. Siedziała przy stole w jadalni przed pustym talerzem. Nie wiedziałam, czy już zjadła, czy jeszcze nie zaczęła. - Glory urodziła dziecko. Kai mówi, że to dziewczynka. Chodź. Zobaczmy ją. - Nagle poczułam ogromne podniecenie na myśl o dziecku. Od czasu śmierci Lalasy i jej córeczki przygniatał mnie wielki ciężar. To było jak nowy początek. - Mamo?

Spojrzała na mnie, lecz wyglądała na zagubioną, jakby nie wiedziała, o czym mówię.

- Dziecko Glory. Urodziło się. Chodź. - Wyciągnęłam rękę. Spojrzała, po czym wsunęła swoją dłoń w moją. Jej była zimna i sucha.

Z sypialni wyszedł ojciec.

- Co to za zamieszanie? - zapytał, zapinając kołnierzyk.

- Glory urodziła córeczkę - odparłam, obserwując jego twarz.

Nic z niej jednak nie wyczytałam.

- Dziewczynkę? No cóż, chyba już nic nie można z tym zrobić.

- Ojciec - zaczęłam rozczarowana jego reakcją - z pewnością nie podchodzisz do tego tak samo jak tubylcy. Czyż każde dziecko nie jest darem Boga?

Czy byłeś tak samo rozczarowany, kiedy ja się urodziłam? I Alice Ann, i Elizabeth? - pomyślałam.

Westchnął, usiadł przy stole i wziął do ręki czarną Biblię, która zawsze tam leżała.

- Chodzi mi o to, że nic nie można zrobić z faktem, że na świat przyszło kolejne niechciane dziecko.

Zaprowadziłam matkę do chaty Glory. Leżała na boku z podciągniętymi kolanami, przykryta cienką narzutą.

W jednym rogu stało wiaderko, nad którym bzyczały muchy. Poczułam charakterystyczny zapach krwi. Teraz już dobrze go znałam.

- Glory? Gdzie ona jest? Kai nam powiedział - dopytywałam się, a Glory machnęła lekko ręką za siebie.

Pochyliłyśmy się z matką. Dziecko leżało pomiędzy ścianą i plecami Glory zawinięte w kawałek flaneli. Miało zamknięte oczy.

- Zawiązałaś pępowinę nitką? - zapytała matka, przyglądając się małej.

- Oczywiście - odparła nachmurzona Glory.

- Mogłaś nas zawołać - powiedziałam. - Pomogłybyśmy ci.

- Nie potrzebowałam niczyjej pomocy - odparła. Matka uniosła podbródek w moją stronę, a ja sięgnęłam

przez Glory i podniosłam dziecko. Matka wyciągnęła ręce i ułożyłam na nich malutką. Musiałam odwrócić wzrok na widok jej twarzy. Rozjaśniła się, jakby opadła tajemnicza maska zmieniająca jej rysy, uwalniając prawdziwe oblicze. Wiedziałam, że myśli o swoich własnych nieżyjących dzieciach, lecz zamiast smutku w jej oczach malowała się radość. Nie widziałam jej tam od bardzo dawna i nie posiadałam się ze szczęścia.

Matka coś cicho zanuciła, a dziecko poruszyło się i przeciągnęło.

- Mogłabym ciebie też przyjąć - szepnęła matka. Pomyślałam o Kaiu, małym Kaiu, którego matka, leżąc teraz przede mną równie mało zainteresowana nowo narodzonym dzieckiem jak niegdyś synem, uciekła i zostawiała go nieraz w ciągu kolejnych paru lat.

- Czyż ona nie jest urocza? - powiedziałam, dotykając policzka maleństwa.

Matka zamrugnęła, jakby nagle dotarło do niej, gdzie jest i czyje nieślubne dziecko trzyma w ramionach.

- Szkoda, że jest taka ciemna - rzekła powoli. - Jeśli mielibyśmy uwierzyć w jej historię - spojrzała na Glory - że jej ojciec był biały, a Glory jest...

Glory odwróciła się na wznak i wpatrywała się w sufit, ostentacyjnie ignorując moją matkę.

- No cóż - ciągnęła matka - nigdy nie można przewidzieć, jak głęboki będzie odcień skóry. Proszę - powiedziała, podając mi maleństwo. - Umyj ją i oddaj Glory, żeby ją nakarmiła. - Spojrzała na wiaderko. -1 powiedz Kaiowi, żeby to zakopał na polu i przykrył kamieniem, żeby nie dobrały się szakale. Jeśli poczują krew, nadciągną tu z odległości paru kilometrów, a nie chcę, żeby snuły się po podwórzu. Paskudne stworzenia. - Z tymi słowami wyszła z chaty.

Śpiewałam cicho dziecku, delikatnie wycierając jego ciało wilgotną szmatką. Glory obwiązała je w pasie gazą, w miejscu odcięcia pepowiny pojawiła się mała plamka krwi.

- Jak dasz jej na imię? - zapytałam.

Glory ostrożnie przewróciła się na bok twarzą do mnie i cicho krzyknęła. Choć miała zamknięte oczy, wiedziałam, że nie śpi. Nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Powinnaś ją nakarmić - powiedziałam.

- Kiedy zapłacze - odparła ponuro.

Matka wróciła do chaty z koszykiem. W milczeniu postawiła go w nogach łóżka i cofnęła się. Trzymając jedną ręką dziecko, które owinęłam ponownie w kawałek flaneli, sięgnęłam do koszyka. Znalazłam tam kwadraty grubej flaneli na pieluszki, małe sukienki przybrane koronką, koszulki, wszystkie z białej bawełny, małe czapeczki / poźółkłymi, lecz czystymi wstążeczkami i robione na drutach buciki.

- Czy ja je nosiłam, mamó? - zapytałam, gładząc jedną / sukienek.

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i wyszła. Wiedziałam, że pogrzeży się w swoich smutnych rozmyślaniach. Nie miałam pojęcia, że chowa ubranka, które wszyscy kiedyś nosiliśmy; musiały leżeć ukryte w metalowych pudełkach głęboko w szafie.

Kiedy ubrałam malutką, ostrożnie przeciągając małe rączki

przez rękawy sukienki i wsuwając butki na malutkie stopy, usiadłam przed chatą, trzymając ją w ramionach. Ziewnęła nagle, a potem zmarszczyła się, jakby przeszył ją nagły ból. Otworzyła buzię, lecz nie zaczęła płakać. Z pola nadszedł Kai, a ja wstałam i wyciągnęłam do niego dziecko.

- Spójrz, jaką piękną masz siostrę.

Nie zapytał o matkę ani nie wziął dziecka, lecz długo na nie patrzył, a potem wyciągnął rękę i bardzo delikatnie przesunął palcami po ciemnych włoskach. Jego dwa palce, wskazujący i środkowy, spoczęły dłużej na miękkim pulsującym miejscu na czubku głowy.

- Biedactwo - powiedział.

Nie zapytałam, co ma na myśli. Wiedziałam już. Powiedziałam, o co prosiła go moja matka, a kiedy wyszedł z zakrytym wiaderkiem, zaniósłam dziecko Glory i położyłam je na wąskim łóżku obok niej.

Nie mogłam przestać myśleć o tym maleństwie, o malutkich zaciśniętych ustach, pomarszczonych paluszkach. Chciałam znów wziąć je w ramiona i wiedziałam, że matka też o nim myśli. Za każdym razem, kiedy słyszeliśmy wysoki, przenikliwy głodny płacz noworodka podczas tego pierwszego popołudnia i wieczoru, matka przerywała czynność, którą akurat wykonywała, podnosiła instynktownie głowę z wyrazem troski w oczach, jakby to jej dziecko płakało i domagało się mleka. A kiedy płacz cichł, znów spuszczała głowę, kręcąc nią, jakby budziła się ze snu.

Dziecko obudziło mnie pierwszej nocy po swoich narodzinach. Leżałam, nasłuchując rytmicznych, nasilających się łkań. Dlaczego Glory go nie nakarmiła? Po długiej chwili wstałam, zapaliłam świecę i poszłam do chaty Glory. Kai stał w drzwiach, trzymając niepewnie dziecko.

Pieluszka i sukienka były przemoczone. Spojrzał na mnie zaniepokojony. A potem na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, gdy wyciągnął malutką do mnie.

Przez chwilę z trudem łapałam oddech. Było coś przytłaczającego w widoku Kaia trzymającego dziecko i patrzącego na mnie tak bezradnie - chyba tylko ten jeden raz dostrzegłam taki wyraz w jego oczach. Zupełnie jakbyśmy podzielali odpowiedzialność za to maleństwo. Czy nakarmił je? Nie spuszczał ze mnie wzroku, kiedy stawiałam świecę na krześle w chacie i wyciągnęłam ręce. W naszej niezgrabnej próbie przekazania dziecka i podtrzymania mu główki znaleźliśmy się przez chwilę tak blisko, że nasze twarze niemal otarły się o siebie.

Kiedy tylko dziecko spoczęło bezpiecznie w moich ramionach, Kai wyszedł.

Glory leżała na wznak; nie widziałam, czy ma zamknięte, czy otwarte oczy. Dziecko płakało, a jego małe ciało zeszywniało ze zdenerwowania i głodu. Machało w powietrzu zaciśniętymi piąstkami. A jednak chciałam rozkoszować się tą chwilą, którą dzieliłam z Kaiem. Przysunęłam się bliżej do łóżka. Nawet w migoczącym świetle świecy Glory była blada, nie ruszała się i leżała z zamkniętymi oczami, choć nie mogła przecież spać, kiedy dziecko tak przenikliwie płakało.

- Glory - powiedziałam. - Nakarm dziecko. Musisz. Otworzyła oczy.

- Jestem zmęczona - odparła. - Muszę się wyspać.

- Ale dziecko...

- Nie chcę.

Czy Glory wyobrażała sobie, że jest zadzierającą nosa brytyjską memsahib, zbyt delikatną i pruderyjną, by karmić własne dziecko? Co chciała zasugerować? Ze powinniśmy wynająć mamkę? Prychnęłam rozdrażniona, szybkim ruchem położyłam dziecko na łóżku i zmieniłam pieluszkę.

- Musisz. Zrób to zaraz.

Co z niej była za matka? Czy spodziewałam się, że potraktuje to dziecko inaczej niż Kaia? Uklęłam przy łóżku i położyłam malutką w zagłębieniu jej ramienia. Z wes-



tchnieniem rozchyliła koszulę i dopiero gdy dziecko w jednej chwili przestało płakać, a jego główka zaczęła podskakiwać w desperackiej próbie znalezienia sutka, wróciłam do domu i własnego łóżka.

Glory niechętnie karmiła malutką, kiedy płakała, ale poza tym niewiele się interesowała dzieckiem.

- Jak dasz jej na imię? - zapytałam znów po trzech dniach, kiedy Glory nadal mówiła o malutkiej „ona”. Co rano ją kąpałam i często zmieniałam pieluszki w ciągu dnia, gdy zauważyłam, że Glory pozwala leżeć dziecku w mokrych i brudnych.

Teraz wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie to.

- Musisz wybrać dla niej imię.

- Ty wybierz - powiedziała apatycznie.

- Ja? Ja mam wybrać imię dla twojego dziecka? - zapytałam.

Nie odpowiedziała.

- Chcesz imię hinduskie czy angielskie? - zapytałam w końcu.

Spojrzała na mnie.

- Angielskie oczywiście - powiedziała. - Jest córką Anglika. Podobnie jak ja.

Myślałam przez cały dzień. Wreszcie nazwałam ją Adriana, ponieważ właśnie skończyłam czytać *Komedie pomyłek* Szekspira i uznałam, że to imię jest bardzo melodyjne. Matka nie zaaprobowwała mojego wyboru; powiedziała, że mała powinna otrzymać imię z Biblii w nadziei, że przyczyni się do jej duchowego rozwoju.

Nic na to nie odparłam. Nadal nazywałam małą Adriana i po kilku dniach nazywali ją tak wszyscy.

W ciągu następnego tygodnia przy płocie dwa razy pojawił się młody człowiek, wołając Kaia. Kai rozmawiał z nim i za każdym razem wymieniali się jakimiś papierami. Nie rozpoznałam tego człowieka; był muzułmaninem. Kiedy zapytałam Kaia, kto to, odparł krótko:

„Przyjaciel”.

Tydzień po narodzinach Adriany Kai oświadczył, że wyjeżdża.

Wiedziałam, że jest zły na matkę, nie tylko dlatego, że powołała tę biedną małą dziewczynkę na świat, lecz również dlatego, że wcale się nią nie interesowała.

- Teraz? Wyjeżdżasz? - ogarnęła mnie panika i trzepotała w moich piersiach niczym ptak, utrudniając mi oddychanie.

- Tylko na krótko - powiedział.

- Na krótko? - powtórzyłam zbyt wysokim głosem, wpatrując się w wypchaną płócienną torbę leżącą na ziemi u jego stóp. - To z powodu dziecka? Wyjeżdżasz z powodu Adriany?

Pokręcił głową.

- Nie. Są inne powody. Ale ze względu na nią postanowiłem, że nie wyjadę na dobre. Jeszcze nie. - Ptak znieruchomiał i powoli wypuścił powietrze. - Wiem, że będziesz miała dużo pracy, zwłaszcza teraz, kiedy jest dziecko i twoja matka... Przepraszam, Pree. Ale rozmawiałem już z Sanoshem i zgodził się, żeby jeden z jego synów pomagał w ogrodzie i przy cięższych pracach aż do mojego powrotu.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie potrafię powiedzieć. To zależy.

- Od czego?

- Pree. Zaufaj mi, że wrócę.

- Ale... bez ciebie... - nie dokończyłam zdania.

- Przepraszam - powtórzył. - Wiem, że to dla ciebie dodatkowy ciężar. - Stale mówił o pracy fizycznej, jakbym z tego powodu obawiała się jego wyjazdu. - Ale muszę jechać, Pree. Są rzeczy, które trzeba zrobić. Które muszę zrobić. Jest... wiele zła. Zła, które trzeba naprawić. - Zacisnęła szczęki.

Pomyślałam o kukach.

- Ale... nie zrobisz niczego, co... co mogłoby - urwałam, nie wiedząc, jak dokończyć. - Nie zrobisz niczego, przez co mógłbyś mieć kłopoty z Brytyjczykami?

Patrzył na mnie, a potem na jego usta wypląnął dziwny uśmiech, niemal szyderczy.

- Nie można przeprowadzić żadnych zmian, jeśli nie zbierze się razem ludzi, którzy wierzą w tę samą sprawę. -W jego głosie zabrzmiała pasja, gdy patrzył mi prosto w oczy. Poczułam, że pocał mi się dłonie. - Nie rozumiesz jeszcze, że nie będę należał do części imperium? Nigdy.

Nigdy, Pree.

Podniósł głos, wypowiadając ostatnie słowa. Skrzywiłam się.

W końcu zamilkł i wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, Pree - powiedział. - Jestem zły... z powodu wielu spraw i ze sposobu, w jaki Brytyjczycy rządzą naszym krajem.

- Pojedziesz do Lahore? - zapytałam, pragnąc rozpaczliwie, by zaczął mówić o czymś innym.

Odwrócił wzrok i wyczułam, że nie chce mnie okłamać i dlatego nic mi nie powie.

- Poradzisz sobie? - zapytał, spoglądając na Adrianę śpiącą w moich ramionach.

- Oczywiście. I moja matka też może pomóc w opiece nad dzieckiem - powiedziałam z ulgą, że rozmawiamy teraz o zwykłych sprawach.

Przez jego twarz przebiegł jednak cień.

- Twoja matka? Uważasz, że... Wtedy zrozumiałam.

- Nawet będąc w najgorszym stanie, nigdy nie skrzywdziłaby dziecka.

Kiedy Adriana jest w pobliżu, staje się znacznie spokojniejsza.

Skinął głową.

- No to do widzenia - rzekł, a ja odwróciłam głowę w stronę pola, nie mogąc wydusić ani słowa.

- Nie pożegnasz się ze mną, Pree? Jesteś zła, że wyjeżdżam?

Nie byłam zła. Byłam smutna. Przełknęłam ślinę.

- Do widzenia, Kai - powiedziałam niemal szeptem. -Wracaj szybko do domu.

Rozejrzał się dookoła.

- Do domu? - spytał i coś w jego głosie sprawiło, że poczułam się o wiele gorzej. Przerzucił torbę przez ramię. Wyszłam za nim na drogę, trzymając Adrianę. Odwrócił się raz i pomachał. Pomachałam do niego, przyciskając usta do miękkich, ciemnych włosów Adriany tak podobnych do włosów jej brata.

Glory oświadczyła, że nie będzie mogła pracować przez następne czterdzieści dni; było to zbyt niebezpieczne, powiedziała, nie tylko dla jej własnego zdrowia, lecz również dla dziecka. Wiedziałam doskonale, że wykorzystuje hinduskie wierzenia tylko dla swojej własnej wygody, ale nic nie powiedziałam.

Od dnia narodzin Adriany pragnęłam chronić ją ze wszystkich sił. Choć Glory nie wahała się ani chwili, by zostawić ją płaczącą w koszyku, ja nie mogłam znieść jej kwilenia. Glory z radością pozwalała mi ją zabierać, a ja zawijałam malutką w chustę i nosiłam ją na plecach lub piersi, kiedy pracowałam w infirmerii lub przed domem. Wieczorami przynosiłam ją do domu. Razem z matką bawiłyśmy się z nią, jakby była piękną porcelanową lalką Lalasy. Ubierałyśmy ją w różne sukienki i bez końca pokazywałyśmy sobie nawzajem, jak silne są jej pulchne nóżki i jak bystre oczka. Robiłam proste zabawki ze sznurka i guzików i śmiałam się głośno z jej poważnych, lecz nieudanych prób złapania ich, gdy delikatnie nimi przed nią kołysałam.

To, co powiedziałam Kaiowi o mojej matce, było prawdą; w obecności Adriany miała więcej energii. Przerywała pracę, gdy tylko wносиłam małą do pokoju. Wyciągała ręce z odprężoną twarzą i uśmiechała się swobodnie, podrzucając Adrianę na kolanach i mrużąc do niej czułe słówka.

Opiekując się małą dziewczynką, śmiałyśmy się wesoło, co nie zdarzało nam się już od dawna.

Trzymałam Adrianę przez cały czas przy sobie, zanosząc ją do Glory tylko na karmienie. Mała spała jednak w nocy z matką, by mogła ją nakarmić, kiedy była głodna. Po pewnym czasie zaczęło towarzyszyć mi uczucie, że Adriana należy do mnie - być może jest siostrą, może nawet wyobrażałam sobie, że jest moją córką. Myślałam tylko o niej i uświadomiłam sobie, że moje uczucia w stosunku do małej to miłość. Nie znałam wcześniej tego uczucia, nie miałam nikogo do kochania.

Spierałam się w duchu ze sobą, że miałam oczywiście rodziców, ale moje uczucia do nich zaplątały się w pajęczynę ich własnych utraconych marzeń i załamanych nadziei; tworzyły mętny obraz, z którego czasem wyzierała troska, czasem gniew, a czasami litość.

Moje uczucia do Kaia były zbyt pogmatwane - i być może zbyt przerażały - by je nazwać. Nie mogłam sobie pozwolić na roztrząsanie ich prawdziwej natury. Jednak Adriana wypełniała pustkę niczym jasne światło, niczym nadzieja, która nie miała przeszłości.

Czasami, obserwując matkę z Adrianą, zastanawiałam się, czy czuje w stosunku do niej to samo co ja, pragnąc mieć kogoś do kochania. Ale przecież ona miała męża i własną córkę. Czy kiedykolwiek patrzyła na mnie tak jak na Adrianę, z twarzą tak pełną ciepła? Czy kiedykolwiek miała dla mnie tyle miłości? Czy stanowiłam dla niej obiekt najczulszych uczuć, jakim dla mnie była Adriana? Chciałam myśleć, że tak było, a jednak kiedy patrzyłam, jak zmienia się jej twarz, gdy bierze małą w ramiona, przebiegał mnie dreszcz skrywanej zazdrości. Czułam, że ja nigdy nie wywoływałam tej miękkości zniszczonych ust i wyrazu czułości w oczach.

Jednocześnie wierzyłam, że Adriana jest naszym małym zbawcą zesłanym, by ukoić smutek, który zawisnął nad nami. By zbliżyć mnie z matką. Kiedy wkroczyła w nasze życie, misja stała się o wiele lepszym miejscem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pewnego popołudnia, gdy w infirmerii nie było pacjentów, pracowałam w ogrodzie, wyrywając chwasty i wykopując korzenie warzyw - zawsze zbieraliśmy dużo rzodkiewek, a marchewki też były dorodne - podczas gdy Adriana spała w nosidełku na moich piersiach.

Nucąc pod nosem, podczas krótkiej przerwy w pracy oparłam się na motyce i z roztargnieniem wpatrywałam w drogę. Nagle zobaczyłam znajomego złocistego araba. Serce podskoczyło mi w piersi; nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam Afgańczyka.

Jak długo tam siedział i obserwował mnie przy pracy? Odłożyłam motykę i przeszłam przez podwórze. Kiedy podeszłam, zauważyłam, że nie spuszcza wzroku z Adriany.

Miał na sobie jak zwykle czarny turban, białą *kurtę* i czarne spodnie wsunięte w wysokie buty do konnej jazdy. Tym razem narzucił jednak na *kurtę* piękną kamizelkę z bordowo-granatowego brokatu. Kiedy przyglądał się główce malutkiej, na jego twarzy zagościł nieznany, surowy wyraz. A może po prostu jego twarz zamgliła się nieco w moich wspomnieniach?

Nawet mnie nie przywitał.

- Czy to... - głos mu się załamał. Odchrząknął. - Czy to twoje dziecko? - zapytał w urdu, w którym zawsze rozmawialiśmy. Nawet jego głos był bardziej chrapliwy, niż zapamiętałam.

- Nie - odparłam. - To córeczka naszej *ai*, Glory - odparłam, obserwując go. Jeśli rzeczywiście był ojcem Kaia, to wzmianka o Glory powinna wywołać jakąś reakcję. Wyraz

jego twarzy zmienił się nieznacznie, a widoczne w ramionach napięcie zelżało. Zauważyłam, że lekko drżą mu ręce. I z pewnością był o wiele chudszy

- Dobrze się pan czuje? - zapytałam, bo na widok smutku w jego oczach i drżących rąk poczułam coś, w rodzaju litości. Nagle przypomniałam sobie moje dawne wyobrażenia, fantazję o zaginionej księżniczce.

Wydawał się taki... Szukałam właściwego słowa. Samotny.

- Tak - odpowiedział. - A ty? - Jego twarz była teraz nieprzeniknioną maską.

- Też dobrze. Dość długo pana nie było.

- Przez jakiś czas mieszkałem w Peszawarze - odparł.

- Och. - Nie bardzo wiedziałam, co mogę powiedzieć, a jednak chciałam podtrzymać rozmowę. Patrzył na mnie tak dziwnie, ale mimo to nie czułam się nieswojo. Kiedy spojrzałam na niego, siedzącego wysoko na koniu, ogarnął mnie spokój. Coś mnie do niego przyciągało; chciałam położyć swoje dłonie na jego dłoniach i powstrzymać ich drżenie.

- Jaki jest Peszawar? Czy naprawdę tak ekscytujący, jak słyszałam?

Wyraz jego twarzy znów zmienił się nieznacznie. Odchrząknął.

- Pełno tam chorób i bywa niebezpiecznie. Rozejm między Indiami Brytyjskimi i Afganistanem jest niepewny, a leżący przy granicy Peszawar znalazł się pomiędzy tymi dwoma potęgami. Lata są długie i duszne, a zimy suche i zimne. To trudny klimat. Ale wiosna zapiera dech w piersiach, w powietrzu unosi się zapach kwiatów pomarańczy. To miasto kontrastów.

Obserwowałam go; rozluźniał się coraz bardziej i kiedy mówił z coraz większą swadą, uświadomiłam sobie, że słowa przychodzą mu bardzo łatwo. Znów wyobraziłam go sobie recytującego poezję. Kiedy na jego twarzy nie gościł zacięty wyraz, wydawał się młodszy, niż zawsze myślałam.

- Tak. Peszawar jest teraz dla mnie dobrym domem - powiedział.

- Opisuje go pan jak miejsce, które chciałabym odwiedzić - odparłam. - A wcześniej? Czy mieszkał pan kiedyś w Kabulu albo może w Dżalalabadzie? Heracie? - Wymieniałam wszystkie znane mi afgańskie miasta.

- Mieszkałem w wielu miejscach - powiedział. - W Afganistanie, Indiach. I w innych krajach.

- Innych krajach? - Nie mogłam sobie wyobrazić, by ze swoim turbanem, siwiejącą brodą i ciemną skórą spierzchniętą na wietrze mieszkał gdziekolwiek indziej poza wzgórzami Afganistanu lub północnych Indii.

- Jakich?

Podejrzewam, że wpatrywałam się w niego natarczywie i byłam zbyt ciekawska, bo jego twarz nagle znów się zamknęła i zrobiło mi się przykro. Spojrzał nad moją głową.

- Czy Kai już wrócił?

- Nie - odparłam zdumiona, że wie o wyjeździe Kaia.

- Nie wrócił więc jeszcze z Amritsar?

To zdumiało mnie jeszcze bardziej. Kai nigdy nie wspominał o Amritsarze leżącym na południowy wschód od Lahore. Skąd ten człowiek wiedział o życiu Kaia więcej ode mnie?

- Nie mówił, gdzie się wybiera ani kiedy wróci. Ale powiedział, że wróci. Afgańczyk nie odpowiedział, przyglądając mi się, jakby myślał o czymś innym.

- Kiedy wyjechał? - zapytał.

Adriana poruszyła się położyłam dłoń na jej ciepłych plecach. Miała już prawie dwa miesiące.

- Jakieś sześć tygodni temu.

- Ach tak - mruknął, jakby zrozumiał coś, czego nie pojmowałam.

Nagle ogarnął mnie niepokój.

- Czy pan... Czy Kai nadal jest związany z... - zawahałam się w nadziei, że Afgańczyk będzie wiedział, co mam na myśli.

On jednak czekał, siedząc nieruchomo.

- Z kukami? - dokończyłam.



- Wiesz o tym?

- Wspominał przełomie. Myśli pan, że on jest w niebezpieczeństwie?

Spuścił wzrok, a koń przestąpił z nogi na nogę.

- Kukowie to już przeszłość. Kai zaangażował się w inną działalność. Ale nie ma potrzeby się martwić. Kai potrafi się obronić.

Wyglądało na to, że wszystko już powidzieliśmy.

- Czy mam mu coś przekazać, kiedy wróci? - zapytałam w końcu, gdy milczenie stawało się zbyt niezręczne. Spojrzałam w jego ciemne oczy, a on zamrugnął i nic nie odpowiedział.

- Czy ma pan jakąś wiadomość dla Kaia? - zapytałam raz jeszcze.

Mężczyzna dotknął piętami boków konia, który uniósł łeb.

- Powiedz mu, że byłem w Gwaliorze, jak postanowiliśmy, a teraz wróciłem do Peszawaru - rzekł.

- Powtórzę mu.

Zawrócił konia, spoglądając przez ramię na mnie, na Adrianę, a potem spojrzał mi prosto w twarz.

- *Khuda hafiz*, Pree - powiedział i coś w jego głosie wypowiedającym proste słowa pożegnania sprawiło, że wstrzymałam oddech. Być może chodziło o to, że nigdy wcześniej nie wypowiedział mojego imienia.

Uświadomiłam sobie, że nie wiem, jak on się nazywa.

Zanim jednak zdążyłam go zapytać lub powiedzieć cokolwiek, już odjechał.

Zgodnie ze swoją obietnicą Kai wrócił, lecz dopiero po trzech długich miesiącach. Był wrzesień i pora monsunów minęła. Skończyłam siedemnaście lat, a Adriana zrobiła się jeszcze bardziej pulchna. Uśmiech rozjaśniał jej twarz za każdym razem, gdy coś do niej mówiłam. Miała tak gęste i lśniące włosy, że musiałam przyciąć jej grzywkę nad

czołem, co sprawiło, że jej czarne oczy wydawały się jeszcze większe. Zaledwie dwa dni wcześniej roześmiała się w głos pierwszy raz, gaworzyła i bulgotała w odpowiedzi na mój śpiew i czułe słowa.

Kai wjechał na podwórko na jabłkowej klaczy. Pobiełam, by go przywitać, zostawiając Adrianę opartą o poduszki w koszyku na werandzie. Serce łomotało mi w piersiach, lecz powstrzymałam się, by nie podejść zbyt blisko i nie objąć go ramionami, o czym marzyłam.

- Jaki wspaniały koń - powiedziałam tylko, trzymając się z daleka, kiedy zeskoczył na ziemię i zdjął torbę przymocowaną do siodła. - Jest twój? Przesunął palcami przez włosy nad czołem.

- Tak - odparł, patrząc mi prosto w oczy. Miał wychudzoną twarz i dłuższe włosy. Coś było nie tak z jednym jego uchem; czy małżowina była rozdarta?

- Musisz zobaczyć Adrianę - powiedziałam, gdy milczenie zaczęło się dłużyć. - Jest już taka duża i uśmiecha się do wszystkich. Nie poznasz jej. Poczekaj, zaraz ją przyniosę - rzuciłam, bo czułam się nieswojo, stojąc tak pod jego baczny spojrzeniem. Pobiełam na werandę, by wziąć ją w ramiona.

Kai natychmiast zaczął czyścić konia, lecz przestał, gdy przyniosłam Adrianę.

- Chyba jest podobna do ciebie - zauważyłam, a on uśmiechnął się blado. Przysunęłam ją bliżej, jakbym chciała mu ją podać, ale nie zareagował. Adriana wyciągnęła pulchną rączkę i chwyciła go za koszulę. Spojrzał na ciemną plamę na śnieżnobiałym materiale, lecz nic nie powiedział.

- Nie uważasz, że jest śliczna? - zapytałam w końcu, zdejmując rączkę z jego koszuli i przytulając małą mocno do siebie.

- Tak - odrzekł. - Poradziłaś więc sobie ze wszystkim? - Znów zaczął czyścić klacz, która zarżała z radości.

Nie rozumiałam jego braku zainteresowania Adrianą.

- Nie było łatwo - przyznałam. - Teraz trudniej jest zająć czymś Adrianę, kiedy pracuję w infirmerii. Na szczęście jest zadowolona, gdy trzyma ją na rękach któraś z kobiet. Ale nie pozwalałam do niej zbliżać się kobietom i dzieciom, które mogłyby ją czymś zarazić. Udało mi się opanować ogród; w zeszłym tygodniu wykopałam wszystkie marchewki i rzepy. Ziemiaki dobrze rosną. I naprawiłam dach w infirmerii; monsun zniszczył strzechę. Wiedziałam, że mówię bez ładu i składu, ciągle mając nadzieję, że wywołam jakąś reakcję i być może zasłużę na słowo pochwały.

Kai jednak tylko pochylił głowę i zaczął energiczniej szczotkować klacz. Jej mięśnie drgały pod pociągnięciami szczotki.

Pewnego ranka kilka tygodni po powrocie Kaia wyszłam na boczną werandę i czując pierwszy powiew chłodnego powietrza, odetchnęłam głęboko. Wiedziałam, że dziś Adriana skończy cztery miesiące. Nagle uświadomiłam sobie, że jeszcze jej dziś nie słyszałam. Przesypiała już niemal całą noc, ale budziła się wcześniej i głodna płakała, kiedy na niebie pojawiły się pierwsze różowe promienie słońca. Zawsze słyszałam jej silny głos odbijający się echem od okiennic.

Spojrzałam na chatę Glory. Ostatni raz widziałam ją i Adrianę wczoraj wczesnym wieczorem. Glory trzymała małą w nosidełku i szła przez podwórko na drogę; nie zastanawiałam się, dokąd idą. Często Glory wybierała się na krótki spacer drogą lub szła do jednej z wiosek.

W tej chwili ciszę zakłócił głos Kaia. Krzyczał; tak rzadko podnosił głos, że musiało stać się coś strasznego. Nagle wyszedł z chaty matki ze zboląłą twarzą i pobiegł na podwórko.

Zbiegłam po schodach.

- Co się stało? - zapytałam, kiedy stanęłam przy nim

i chwyciłam go za ramię. - Coś z Adrianą? Jest chora czy...

Strząsnął moją rękę z ramienia.

- Gdzie ona mogła ją zabrać? - spytał.

- Kogo? - zmarszczyłam brwi. Spojrzał na mnie i zacisnął dłonie w pięści.

- Adrianę. Zabrała dziecko i gdzieś je zostawiła. Zachnęłam się, odwróciłam na pięcie i pobiegłam do chaty Glory, jakbym chciała sprawdzić na własne oczy, że Kai mówił prawdę. Na pewno się mylił. Glory leżała na łóżku z jedną ręką wsuniętą pod policzek i wpatrywała się w drzwi.

- Nie zrobiłaś tego - powiedziałam. - Nie... - Nie mogłam dokończyć zdania, nie mogłam znieść myśli o tym, co być może zrobiła.

Glory usiadła.

- Córka to tylko kłopoty finansowe. Jaki posag mogłabym jej dać? Nie chcę jej utrzymywać do końca życia. Lepiej teraz, kiedy jest jeszcze mała. Lepiej teraz - powtórzyła.

Patrzyłam na nią przez długą chwilę; przerażenie jeszcze do mnie nie dotarło i nie wierzyłam, że Adriana naprawdę zniknęła. Na pewno była w sąsiedniej wiosce. Odzyskamy ją. Wybiegłam na podwórze, gdzie Kai siodłał konia.

- Znajdziemy ją - powiedziałam. - Glory nie mogła odejść daleko.

Musiała zabrać ją do Diphy. Widziałam, jak wczoraj szła w tamtym kierunku. Pojadę z tobą. A jeśli jej tam nie będzie, pojedziemy do Tek Mandi. Musi być w jednej z wiosek.

Kiedy Kai wskoczył na siodło, wyciągnęłam rękę.

- Zabierz mnie z sobą - powtórzyłam, ale on pokręcił głową i skierował konia do bramy.

- Przeszukaj kukurydzę i trzcinę cukrową - rzekł cicho. Otworzyłam usta.

- Ale... dlaczego... Tam jej nie będzie, Kai - powiedziałam, nie chcąc zrozumieć, co miał na myśli. Nie mogłam znieść myśli o Adrianie leżącej na ziemi, wabiącej pła-

czem dzikie zwierzęta. Zacisnęłam powieki, próbując nie myśleć o dziecku Lalasy.

- Chyba że ją zabiła - powiedział Kai głosem pełnym nienawiści. Jego słowa tak mną wstrząsnęły, że otworzyłam oczy i zakryłam usta dłonią, kręcąc głową. Wyraz twarzy Kaia był tak posępny i przerażający, że łzy napłynęły mi do oczu.

Uderzył piętami w boki konia.

- Jedź - zawołałam z płaczem. - Pytaj wszystkich, których spotkasz. Nie zatrzymuj się, dopóki jej nie znajdziesz - przykazałam. - Znajdź ją, Kai! - Mój głos przeszedł w krzyk.

Odjechał bez słowa.

Nie znaleźliśmy jej. Wraz z nadciągającym wieczorem nad misję napłynęła fala smutku; wszyscy - rodzice, Sanosh i Pavit - wiedzieli, że Adriana zniknęła. Kai wrócił, ale nie przyszedł do mnie i teraz w milczeniu szcztokował konia. Byłam wykończona po całym dniu bezowocnych poszukiwań. Ręce i twarz miałam podrapane po przedzieraniu się przez krzaki i wysokie łądygi. Buty oblepiło mi błoto znad brzegów Rawi. Włosy były w nieładzie, wilgotne od potu i pełne gałązek. Bolało mnie gardło i zupełnie ochryłam, wołając bezustannie Adrianę.

Kiedy nad podwórkiem zapadła ciemność, siedziałam na stopniach frontowej werandy, opierając głowę na rękach skrzyżowanych na kolanach. Matka z twarzą zupełnie pozbawioną koloru kołysała się za mną niespokojnie. Ojciec został w infirmerii, a Pavit siedział bez ruchu pod figowcem. Nawet odgłos garnków szorowanych przez Sanosha był przytłumiony.

Glory nie wyszła z chaty.

Zapadła noc; blade światło paliło się jedynie w infirmerii. Nie miałam serca, by poprzycinać knoty i zapalić lampy w domu.

Kiedy na werandę przyszedł Kai, podniosłam głowę i przyjrzałam się w mroku jego twarzy.

- Nikt w żadnej wiosce nic o niej nie wie, ale jedna kobieta widziała, jak matka wsiadała na wóz jadący w stronę Lahore.

- Miała ze sobą Adrianę?

- Nie zauważyła. - Pokręcił głową. - Nie mogła jej zabić. Zawsze chciała mieć ze wszystkiego jakieś korzyści. Pewnie udało się jej na Adrianie zarobić. - Ruszył szybko w stronę chaty matki, a ja podążyłam za nim.

Glory nadal leżała na łóżku.

- Zapal lampę - powiedział do mnie Kai.

Chwycił matkę za ramiona, podniósł z łóżka i trzymał tak, że jej stopy nie dotykały ziemi. Potrząsał nią mocno, sycząc prosto w twarz.

- Zabiłaś dziecko? A może porzuciłaś gdzieś, żeby umarło? To zrobiłaś? - Potrząsnął nią jeszcze mocniej. Głowa Glory podskakiwała bezładnie, a potem jej twarz stężała.

- Przestań - zajęczała. - Przestań, Kai.

Kai nadal mocno ją trzymał, ale przestał potrząsać, a ona zwiśla mu bezwładnie w rękach.

- Co z nią zrobiłaś, Glory? - zapytał, lecz słyszałam w jego głosie rezygnację.

- Jest bezpieczna, w Lahore - odparła Glory. - Będą się nią dobrze opiekować.

- Z kim ją zostawiłaś?

Twarz Glory wykrzywił dziwny uśmiech.

- Będą się nią dobrze opiekować - powtórzyła. - Byłaby dla mnie tylko ciężarem. To niesprawiedliwe. - Usta lekko jej zdrzały lecz walczyła ze sobą, by dalej udawać obojętność. - Będzie miała lepsze życie.

- Kto chciałby wziąć małą Hinduskę? - wykrzyknęłam. - Kto by ją chciał? Glory nie powiedziała nic więcej. Wiedziałam, że miała kilka możliwości, chyba że wywiozła małą do innej misji.

Jednak nie zyskałaby nic, oddając dziecko misjonarzom. Kai myślał podobnie.

Przyjrzał się matce uważnie.

- Ty też będziesz miała lepsze życie, prawda? Ile pieniędzy dostałaś? Komu ją sprzedałaś? Dlaczego?

- Zostaw mnie w spokoju. Sprawiasz mi ból. Nie możesz się znęcać nad własną matką - powiedziała rozzłoszczona Glory. - Okaż trochę szacunku.

Kai rzucił ją na łóżko, a potem chwycił jedno z jej pudełek z biżuterią.

- Szacunku? - rzucił jej prosto w twarz. Zrywał przykrywkę z pudełek, wyrzucając na podłogę bransoletki na rękę i nogę, kolczyki i pierścionki. - Gdzie są pieniądze? Ile dostałaś? - powtórzył.

Glory siedziała bez słowa na łóżku, patrząc, jak Kai przetrząsa wszystkie jej rzeczy, strącając ubrania na podłogę. Stała blisko lampy, obserwując miotającego się w furii Kaia.

Nie znalazł jednak rupii. W końcu stanął na środku chaty, otoczony rozrzuconymi ubraniami i biżuterią, z twarzą mokrą od potu, ściągniętą gniewem. Patrzył na matkę przez długą chwilę, a potem wyszedł.

Wybiegła za nim. Szedł przez podwórko w stronę zagrody, gdzie stała Marta i jego klacz.

- Kai! - zawołała, niemal biegnąc, by dotrzymać mu kroku. - Czy możemy jutro pojechać do Lahore, żeby tam jej poszukać? Moglibyśmy...

- Zastanowiłam się. - Może pan Evans. To on jest ojcem Adriany, może zabrała ją do niego? Albo pojedziemy do innych misji? Może sprzedała ją do świątyni, by uczyła się na *devadasil* - Wiedziałam, że stary zwyczaj sprzedawania córek do świątyni, gdzie wychowywano je jako dziewicze boginie, był zakazany, lecz niektóre świątynie nadal przyjmowały dziewczynki. Ale teraz wykorzystywano je jako prostytutki dla bogatych ofiarodawców.

- Możemy, Kai? - zapytała raz jeszcze. Zatrzymał się wreszcie i odwrócił.

- Ona zniknęła, Pree. Matka postarała się, żebyśmy nie mogli jej znaleźć. Zniknęła - powtórzył.

Staliśmy połączeni smutkiem, patrząc na siebie w ciemnościach. Jego twarz była pełna złości, a ja płakałam, opuściwszy bezradnie ręce. Łzy płynęły mi po twarzy nieprzerwanym strumieniem i ciekło mi z nosa. Kai spojrzał na mnie i jego twarz złagodniała, a złość ustąpiła miejsca czemuś, czego nie rozpoznałam. Przełknął ślinę kilka razy. Pragnęłam, by mnie objął, pocieszył i pochylił się, gdy zrobił krok w moją stronę. Ale zaraz zatrzymał się i cofnął, i wyglądało na to, że walczy ze sobą, by mnie nie dotknąć.

- Idź spać, Pree - powiedział w końcu tak cicho, że niemal szeptał. - Nic więcej nie można już zrobić. - Odwrócił się i wszedł do zagrody.

Wiedziałam, że osiodła konia i pogna w noc.

Nadal płacząc, cicho podeszłam do bocznych schodów i weszłam do ciemnego domu. Cieszyłam się, że nie muszę spotkać się z matką; chyba nie mogłabym tego znieść. Kiedy wśliznęłam się z płaczem do łóżka, myśląc o tym, że już nigdy nie zobaczę Adrianę, usłyszałam stukot bujanego fotela na werandzie. Po chwili na podwórzu rozległ się tętent kopyt, który natychmiast przeszedł w galop. Wiedziałam, że Kai będzie gnał po pustej drodze w świetle księżycy, aż klacz pokryje się potem. Każdy z nas radził sobie ze smutkiem na swój własny sposób: Kai jeździł konno aż do wyczerpania, matka kołysała się. Nie wiedziałam, co czuje ojciec; traktował Adrianę dość obojętnie, od czasu do czasu uśmiechał się do niej, ale nigdy nie okazywał chęci, by wziąć ją na ręce. A ja... licząc skrzypnięcia bujanego fotela, zapadłam w niespokojny sen.

Następnego ranka wstałam z pulsującą bólem głową. Niebo było pogodne, jednak nad misją zawisła ciemna chmura. Zupełnie jakby ktoś umarł - czyż tak nie było? Dziecko, które kochałam tak mocno, że aż sama się temu



dziwiłam, zniknęło, tak szybko i przerażająco, jakby zgasił je zimny oddech cholery lub gorączka ospy.

Kiedy wyszłam na boczną werandę, zobaczyłam matkę klęczącą na małym cmentarzu. W tej jednej chwili zrozumiałam, co czuła. Nie urodziłam Adriany i nie była częścią mnie, lecz pierwszy raz pojęłam, czym jest rozpacz płynąca z utraty dziecka wyrwanego z ramion tak bezsensownie i nieoczekiwanie.

Podeszłam do matki i uklękłam obok niej, przysiadając na piętach. Matka modliła się z zamkniętymi oczami, z głową pochyloną nad rękami złożonymi na piersiach. Nie poruszyła się, gdy do niej dołączyłam. Nie złożyłam rąk ani nie schyliłam głowy, ale zamknęłam oczy, wysyłając w niebo modlitwę za Adrianę. Modliłam się, by nie spotkała jej krzywda, by była bezpieczna, czysta i syta. By ktoś kochał ją tak mocno jak ja. Ojciec zadzwonił na modlitwę, lecz ani matka, ani ja nie poruszyliśmy się.

I nagle wydarzyło się coś niezwykłego. Matka ujęła moją dłoń i przytrzymała ją. Nie otworzyłam oczu, bojąc się, że ją puści. Jej dłoń była większa od mojej, szorstka, lecz ciepła. Ścisnęła mnie boleśnie za palce. Wydawało mi się, że nie jestem już w stanie płakać po wszystkich łzach, które wylałam poprzedniego dnia i nocy, lecz uciśnięcie dłoni matki znów wywołało łzy. Klęczałam dalej z zamkniętymi oczami, płacząc jeszcze długo po tym, kiedy matka puściła moją rękę. Po chwili zorientowałam się, że wstała i odeszła.

Kiedy wreszcie wyszłam z cmentarza, zauważyłam z ulgą, że w infirmerii nie czekają pacjenci. Obawiałam się, że nie będę przytomnie myśleć, i nie wiedziałam, jak zareaguję, gdy przyjdzie mi zająć się chorym dzieckiem. Kiedy usiadłam na werandzie, zobaczyłam nieruchomą postać Kaia, który opierał się o płot i patrzył na drogę.

Przez następne kilka dni nikt z nas nie wymawiał imienia Adriany. Glory milczała. Wykonywała swoje obowiązki, lecz zaraz potem wracała do swojej chaty.

Ja jednak nie unikałam rozmów o Adrianie. Nie chciałam się zachowywać, jakby nigdy nie istniała. Podeszłam do Kaia, który ostrzył motykę w ogrodzie.

Spojrzał na mnie, lecz zaraz wrócił do swojej pracy.

- Myślisz, że wszystko z nią w porządku? - zapytałam.

Nie odpowiedział.

- Jak twoja matka mogła oddać własne dziecko? - Patrzyłam na jego profil, na cienki prosty nos i gęste rzęsy, wiedząc, że moje pytanie nie ma sensu; oboje znaleźliśmy odpowiedź. - Ciebie zatrzymała. - Wiedziałam oczywiście, dlaczego Glory zatrzymała syna. Wiedziałam i Kai wiedział, że wiem, ale mimo to odpowiedział, powoli przesuwając ostrzem motyki po kamieniu.

- Wie, że będę musiał się o nią troszczyć. Oczekuje, że jako jej syn zabiorę ją do swojego domu i moja żona otoczy ją na starość opieką. To mój obowiązek.

Zamrugłam oczami i ogarnęło mnie dziwne, przykre uczucie, które na chwilę stłumiło mój ból. Pomyślałam o tych wszystkich dniach, kiedy Kai znikał z misji. Zakładałam, że nadal pomaga buntownikom. Ale nie wiedziałam nic o jego przyjaciółach. Ani o tym, czy kocha jakąś kobietę. Usiadłam ciężko na kamieniu.

- Czy ty... Czy planujesz się ożenić?

- Teraz? Nie - powiedział, patrząc na mnie, a ja wypuściłam powietrze.

Uświadomiłam sobie, że wstrzymywałam oddech, czekając, co mi odpowie.

Jakie uczucia nas łączyły? Chciałam je nazwać. Nie, chciałam, żeby to on je nazwał. Kiedy wyjeżdżał, czułam, jakby brakowało jakiejś części mnie. A kiedy był blisko, byłam niespokojna, skrępowana, jakbym czekała na coś nieznanego.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Długie tygodnie po zniknięciu Adriany były smutne. Misja stała się zbyt cicha bez jej płaczu i śmiechu; wieczory puste bez okazji do zabaw, kąpania i przebierania w małe sukieneczki, które kiedyś nosiłam. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak spędzałam czas przed jej narodzinami. I nawet nie mogłam patrzeć na Glory; za każdym razem gdy byłam zmuszona znaleźć się w jej obecności, chciałam wykrzyknąć ostre słowa i uderzyć ją. Wiedziałam jednak, że to nie ma sensu; nie odzywałam się więc do niej i odwracałam twarz.

Nocami często płakałam za Adrianą. Myśl, że może być pozbawiona opieki lub źle traktowana, była nie do zniesienia. Wiedziałam, że mogła umrzeć. Wiele razy siadałam w ciszy nocy, bo zdawało mi się, że słyszę jej płacz. W takich chwilach na nowo ogarniał mnie smutek. Zmuszałam się, by wierzyć, że gdzieś w tym kraju, w którym dziewczynki były niechciane, znalazł się ktoś, kto ją przygarnął. Że osoba, której Glory ją sprzedała - jeśli rzeczywiście ją sprzedała, a nie zostawiła gdzieś na pewną śmierć - nie wykorzysta jej, lecz otoczy miłością. Tak naprawdę w to nie wierzyłam - wiedziałam, że Adriana nie ma żadnej przyszłości - ale nadzieja wbrew wszystkiemu pozwoliła mi przetrwać okres żałoby. W dzienniku, który ofiarował mi Kai, zaznaczyłam dzień, w którym ostatni raz ją widziałam i trzymałam w ramionach. Nie napisałam nic więcej przez cały miesiąc, gdyż miałam zbyt ciężkie serce, by wziąć pióro do ręki.

W tym samym czasie - w zaskakująco gorący październikowy dzień, miesiąc po ostatnim wpisie dotyczącym

Adriany - mieliśmy gości. Nikt nas wcześniej nigdy nie odwiedzał. Siedziałam na górnym stopniu werandy w infirmerii z *Anatomią Greya: Opisową i chirurgiczną* na kolanach. Jak w każdy upalny dzień dziś rano nie mieliśmy żadnych pacjentów. Był to też wolny dzień Glory, która jak zwykle wyjechała z misji.

Zeszłam ze schodów, gdy elegancki powóz zaprzężony w dwa lśniące kare konie powożony przez brodatego muzułmanina w niebieskim turbanie wjechał na podwórko. Wysiedli z niego kobieta i mężczyzna. Zanim zdążyłam ich powitać, mężczyzna rozejrzał się po podwórzu i widząc mnie, zawołał:

- Gdzie jest twoja memsahib?

Otworzyłam usta zaskoczona nie tylko jego słowami, bo zwrócił się do mnie, jakbym była miejscową służącą, lecz dziwnym ich brzmieniem. Nigdy wcześniej nie słyszałam, Anglików mówiących z takim akcentem.

- Zaprowadź nas, proszę, do domu - powiedział. Skinęłam głową, bo co innego mogłam zrobić, i ruszyłam

w stronę frontowej werandy, wiedząc doskonale, że kobieta i mężczyzna idą za mną. Wiedziałam też, że rano nie zaplotłam ponownie włosów i że gruby warkocz jest matowy i wymykają się z niego pojedyncze pasma. Planowałam umyć włosy w ciągu dnia, ale tymczasem zawiązałam na głowie dużą chustkę do nosa w paski, którą wyjęłam z szuflady ojca. Moja stara przykrótka sukienka sięgała tylko do połowy łydek. Było zbyt gorąco, by wkładać pończochy i buty; czułam, jak moje nagie łydki płaczą się, jakby zażenowane obecnością nieznajomych. Nagle pomyślałam o pani Wyndham i Eleanor i było mi przykro, że ktoś ogląda mnie w takim stanie.

Zanim weszłam na werandę, w otwartych drzwiach stanęła matka.

Wyglądała na zaskoczoną. Nie, w następnej chwili zrozumiałam, że nie jest zaskoczona, lecz wstrząśnięta, niemal przerażona, a na jej twarzy pojawił się wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Dzień dobry - powiedziała głosem stłumionym przez chusteczkę, którą przyciskała do ust.

- Pani Fincastle? - zapytał mężczyzna, przepychając się obok mnie z wyciągniętą ręką. Nie był szczególnie wysoki ani gruby, ale dość masywny. - Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Lang. - Sięgnął po prawą rękę matki; dostrzegłam, że zacisnęła dłoń w pięść, ale natychmiast rozprostowała palce i pozwoliła, by pan Lang je uścisnął. Skłonił się i zaraz wyprostował. - Przedstawiam pani moją żonę, panią Lang.

Mijając mnie, pani Lang nastąpiła mi na stopę. Skrzywiłam się i cofnęłam o krok.

- Dzień dobry, pani Fincastle - powiedziała, pochylając lekko głowę. - Proszę nam wybaczyć tę niezapowiedzianą wizytę. W tej części kraju nie ma sposobu, by przesłać wiadomość. Jesteśmy w drodze do Amritsaru, by odwiedzić znajomych. Ostatnią noc spędziliśmy w Lahore, usłyszeliśmy o waszej misji i pomyśleliśmy, że do was zajrzemy. Wiem, że to nie wypada przechodzić bez zapowiedzi, ale cóż innego można zrobić?

- Państwo... państwo nie są więc z kapelanii w Lahore? -zapytała matka i jej twarz nieco się rozjaśniła.

- Och nie. Prowadzimy amerykańską misję w Pesza-warze. Ale w tej części kraju mieszka tak niewielu białych. Musimy trzymać się razem, prawda? Pomyśleliśmy, że miło będzie zajrzeć do państwa.

Misja amerykańska. To tłumaczy tę dziwną wymowę. A więc są to Amerykanie. Nigdy wcześniej nie widziałam Amerykanina.

Matka skinęła głową i z ulgą opuściła chusteczkę. Państwo Lang powędrowali spojrzeniem do jej ust, więc natychmiast znów ją podniosła.

- Tak, tak. Miło jest mieć gości. Czasami tęskni się bardzo do towarzystwa innych ludzi. Innych - powtórzyła. Z przykrością zauważyłam, że matka podobnie jak ja nie zadbała rano o swój wygląd. Była jeszcze bardziej...

jak mogę ją opisać? Zupełnie jakbym zobaczyła ją nowymi oczami. Kiedy matka stała, powtarzając słowo „innych”, wyglądała nie tylko na zaniedbaną, lecz również bardzo chorą. Chorą i zniszczoną życiem, wynędzniałą w sposób, który był nie tylko efektem ciężkiej pracy, klimatu i wieku. Zupełnie jakby krawędzie jej istnienia zatarły się: jej oczy miały pusty wyraz, usta pod chusteczką opadły, włosy wypłowiwały, a skóra wokół ust i na szyi obwisła.

Pani Lang poklepała się po szyi ręką ukrytą w rękawiczkę.

- Proszę wejść do środka. Zapraszam - powiedziała matka, mrugając oczami, nagle speszona. Nie bardzo wiedziała, jak potraktować niespodziewanych gości. - Na pewno są państwo spragnieni. Zapraszam na obiad - dodała, a ja spojrzałam na raso/. Matka pochwyciła moje spojrzenie. Wyprostowała ramiona i wzięła głęboki oddech. Wiedziałam, że próbuje zebrać myśli. - Pree - powiedziała - pobiegnij i powiedz Sanoshowi, że będziemy mieć gości na obiedzie. - Wpatrywała się we mnie intensywnie. Zrozumiałam, że muszę powiedzieć Sanoshowi, by podał więcej jedzenia. - I przyprowadź wielebno. Powiedz mu, żeby zaraz przyszedł przywitać się z naszymi gośćmi. O, już idzie - powiedziała, unosząc rękę. Wszyscy odwróciliśmy się, by spojrzeć na ojca, który wychodził zza rogu domu. Na jego twarzy malował się ten sam wyraz niepokoju, jaki przed chwilą gościł na twarzy matki, zanim dowiedziała się, że Langowie nie przyjechali z kapelanii.

Matka odsunęła chusteczkę i rzuciła ojcu dziwny, afektowany uśmiech. Zauważyłam, że pani Lang nieznacznie uniosła brwi na widok dziaseł matki.

- Zaraz potem wróc do nas, Pree - dodała matka, a ja skinęłam głową, zbiegając po stopniach do *rasoi*.

Kiedy powiedziałam Sanoshowi, że będzie nam potrzebne dodatkowe jedzenie, klepnął się w czoło i cicho jęknął.

- To bardzo, bardzo źle. Zrobiłem już gulasz z kozłiny. I nie wystarczy dla jeszcze jednej pani i pana.

- Dolej wody - powiedziałam - i zrób dużo *roń*. Wróć, żeby ci pomóc, kiedy porozmawiam z matką.

Zostawiłam Sanosha, który sfrustrowany zaczął z hałasem przesuwać miedziane garnki, i wróciłam do domu. Kiedy podeszłam do bocznych drzwi, zauważyłam, że matka wchodzi do sypialni, a z salonu dobiegł mnie głos ojca, po nim zaś odpowiedź pana Langa.

Matka dała mi znak, żebym do niej weszła.

- Przeprosiłam ich na chwilę - powiedziała. - Szybko. Muszę się przebrać i uczesać - szepnęła, potrząsając głową. - Wstyd mi, że oglądali mnie w takim stanie. - Spojrzała na moją głowę owiniętą chustką, a potem na żenująco krótką sukienkę, gołe nogi i stopy. - Ty też powinnaś się wstydzić. - Niecierpliwym gestem dała mi znak, żebym rozpięła guziki z tyłu sukni.

Kiedy już włożyła swoją najlepszą suknię, niemodną *peau de soie* z ciemnobrązowego materiału, którą trzymała na rzadkie wizyty w Lahore, rozpuściłam jej włosy i rozczesałam, upinając we fryzurę, którą uważała za twarzową. Kiedy ją czesałam, szeptała do mnie gorączkowo, bym nakryła do stołu najlepsze talerze, pomogła Sanoshowi, zachowywała się jak należy i tak dalej, jakbym miała sześć lat, a nie siedemnaście.

Zastanawiałam się, o czym mogę rozmawiać z Langami z Ameryki.

Stojąc za matką siedzącą przy toalecie ze szpilkami w ustach i szylkretową szczotką w jednej ręce, usłyszałam nagle szelest jedwabiu i spojrzałam na otwarte drzwi. Stała tam pani Lang, ściskając dzianinową torebkę dłońmi w rękawiczkach. Rękawiczki były białe, z najbardziej miękkiej skórki, jaką kiedykolwiek widziałam. Chciałam je pogłodzić, jak głaszcze się małe, spokojne zwierzątko.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie mogłam już dłużej czekać. Muszę skorzystać z... - zniżyła głos do szeptu -...z toalety. - Angielski tej kobiety był tak miękki, że musiałam się skoncentrować, by ją zrozumieć.

- Oczywiście - odparła matka, chwytając chusteczkę. Wstając, potrafiła mnie i szpilki wypadły mi z ust na podłogę.

- Pozwoli pani, że ją zaprowadzę - powiedziała matka, machając ręką. Przez jedną krótką chwilę patrzyłyśmy na siebie z panią Lang. W jej szeroko otwartych oczach malował się dziwny wyraz, być może oszołomienia. Kiedy matka podeszła do niej, pani Lang oparła dłoń w rękawicze o ścianę, by nie upaść, i widziałam, że jest jej niedobrze. Miałam nadzieję, że chropawa ściana z grubą warstwą łuszczącej się białej farby nie zniszczy pięknej rękawiczki.

Uklękłam, pozbierałam szpilki i zaczęłam je wkładać do pudełka, lecz powodowana nagłym kaprysem zdjęłam chustkę, rozplotłam warkocz i upięłam włosy tak samo jak przed chwilą matce. Kilka luźnych kosmyków okalało mi twarz. Odwracałam głowę w prawo i w lewo, zadowolona ze swojego nowego odbicia. Byłam już za duża na dziewczęcy warkocz. Potem poszłam do swojego pokoju i przebrałam się w inną sukienkę, najlepszą, która oczywiście pochodziła od dobrych pań z Lahore. Uszyta z zielonej bawełny, zwisała smutno. Żałowałam, że nie poszukałam halki w ostatnim pudle z darami. Potem naciągnęłam grube fildekosowe pończochy i wbiłam stopy w zniszczone skórzane buty. Kiedy ostatnio je nosiłam? Miesiąc temu, dwa? Zrobiły się za małe. Próbowałam nie zwracać uwagi na ból palców, kiedy nakrywałam do stołu naszą najlepszą porcelanę, a nie codzienne miedziane talerze i kubki. Na koniec poszłam do *rasoi* z dużą porcelanową wazą. Trzymałam ją, gdy Sanosh nalewał gulasz.

Kiedy odwróciłam się, by wyjść, zatrzymał mnie.

- Nie, panienko Pree - powiedział. - To nie przystoi, żeby podawała panienka do stołu, gdy jest tam *hurra sahib* i *memsahib*. Proszę usiąść z nimi.

Wróciłam. Rodzice i państwo Lang zasiedli już do stołu. Kiedy stanęłam w drzwiach, zwróciły się na mnie cztery pary oczu. Choć przygotowałam dla siebie nakrycie, nie było dość krzeseł - mieliśmy tylko cztery w stylu królowej



Anny z zapadniętymi i zakurczonymi siedziskami z bordowego aksamitu. W ciszy poszłam do saloniku i przyniosłam obrotowy czarny taboret, który stał przed pianinem.

Kiedy przystawiałam go do piątego nakrycia obok pana Langa, znów towarzyszyła mi dziwna cisza.

- No cóż - powiedział, kiedy postawiłam taboret. Spojrzał na moich rodziców, którzy odpowiedzieli mu spojrzeniem.

- Podejrzewam, że na wsi nie zwraca się uwagi na konwenanse - ciągnął, zacierając ręce. - Usiądziesz tutaj, moja droga? - zagrzmiął i przesunął nieco swoje krzesło. Spojrzał na żonę, potem znów na matkę i w końcu na ojca. - Z wielką przyjemnością będę siedział obok tak uroczej panienki. - Uśmiechnął się od ucha do ucha, pochylając lekko głowę w moją stronę. Jego zęby, podobnie jak sylwetka, były kwadratowe i mocno poszarzałe. - Nauczyłem się już tolerować zaskakujące zwyczaje panujące w tym kraju.

Przeciągał słowa podobnie jak jego żona. Choć jego ciemne włosy wydawały się gęste, dostrzegłam, zanim się wyprostował, małą łysinę na czubku głowy.

Usiadłam obok niego. Odchrząkując, rozłożyłam na kolanach starą, mocno pocerowaną serwetkę z adamaszku.

- Naprawdę nie przeszkadza nam, że państwa *aja* do nas dołączy - powiedziała pani Lang. - W końcu w Ameryce wielu służących staje się częścią rodziny.

Krew napłynęła mi do twarzy. Liczyłam uderzenia serca w uszach. Raz, dwa, a potem duszne powietrze w pokoju przeszył głos matki.

- Przepraszam. Powinnam była wcześniej dokonać prezentacji.

Myślałam, że to zrobiłam, ale... To nasza córka, panna Pree Fincastle. - Spojrzała na stojący przed nią pusty talerz. - Jestem pewna, że już ją przedstawiałam - powtórzyła. Poczerwieniała na twarzy, a jej popękane usta zwilgotniały. - Tak rzadko mamy gości...

Pani Lang otworzyła małą ozdobną torebkę, wyjęła de-

likatny jasnoblękitny wachlarz i otworzyła go z trzaskiem, wyrażając w ten sposób zakłopotanie, a może gniew.

- Przepraszam, pani Fincastle. - Mnie nie przeprosiła. - No cóż. Wygląda na to, że mój mąż popełnił ogromny nietakt. - Podniosła wzrok, a ja wpatrywałam się w nią uporczywie.

- Przepraszam cię za tę pomyłkę, moja droga - powiedział pan Lang, odwracając się do mnie. - Uznałem po prostu...

- To jeden z największych błędów mojego męża - rzekła pani Lang, jeszcze bardziej przeciągając słowa. - Stale coś z góry zakłada. - Nie była już tak zaskoczona i zażenowana. Teraz wyglądała na całkiem odprężoną i zupełnie zdrową. Nie przypominała tej drżącej kobiety, którą widziałam wcześniej w holu przed pokojem matki. Dotknęła górnej wargi delikatną koronkową chusteczką, którą wyjęła z rękawa, i podniosła wzrok. Mój ojciec milczał w czasie całej tej okropnej wymiany zdań.

- Z pewnością przeżyliśmy większy upał niż tutaj - powiedział pan Lang i zaśmiał się szorstko, znów obnażając szare zęby. - Przez rok mieszkaliśmy na Cejlonie, próbując założyć tam misję, ale spotkaliśmy się z wielką wrogością. Tamilowie są znacznie mniej otwarci na zmiany. - Wytarł wąsy serwetką.

Utkwiłam wzrok z wazie z gulaszem, którą Sanosh bezszelestnie wniósł do jadalni i ustawił na środku stołu. Kiedy wychodził, zauważyłam, że rozwiązał mu się turban i jego koniec wisiał na plecach.

- Jak pewnie zdążyli państwo zauważyć, z powodu ograniczeń naszej misji nie mamy zbyt wielu służących. - Matka mówiła gwałtownie, głośno, niemal z rozpaczą, jakby bała się, że znów zapadnie cisza.

- Biedactwo - powiedziała pani Lang. Zabrzmiało to jak „biedacztwo”. - Ale że nawet nie ma pani *ai*. A więc to córka pani pomaga, ale...

- Mam - przerwała jej matka. - Jest tylko chwilowo...

niedysponowana. - Spojrzała na mnie i wiedziałam, że nie wolno mi nic powiedzieć. - Wie pani, jak leniwe są te kobiety. Do szpiku kości. Trudno je zmusić do pracy przez cały dzień. Na szczęście córka bardzo nam pomaga.

Sanosh wrócił z talerzem pełnym *roti* i ustawił go obok gulaszu. Z jakiegoś powodu rozmowa urwała się i wszyscy patrzyliśmy na niego. Jeden *roti* zsunął się z talerza. Sanosh ujął go w palce i położył na miejscu.

Pani Lang odwróciła się do mnie.

- A jak tobie żyje się tutaj, moja droga, na takim odludziu? - zapytała. - Pewnie tęsknisz za szkołą, przyjaciółmi i życiem towarzyskim w Anglii. Choć podziwiam, że wróciłaś, by pomagać rodzicom. Zakładam, że zamierzasz też pracować jako misjonarka?

Tyle pytań naraz. Nie patrzyłam na rodziców.

- Nie chodziłam do szkoły w Anglii. Dorastałam tutaj i uczyli mnie rodzice. Zastanawiałam się, proszę pani, po której stronie byliście państwo podczas niedawnej wojny domowej: buntowników czy jankesów? - W zeszłym roku Kai opowiadał mi o wojnie w Ameryce, do której doszło w minionym dziesięcioleciu.

Ojciec wstał i sięgnął przez stół, by nalać gulasz na talerze. Spod wystrzępionych mankietów marynarki wystawały blade nadgarstki.

- Och, mój Boże! - Pani Lang roześmiała się trochę zbyt głośno. - Z pewnością nie chcemy poruszać przy obiedzie tak nieprzyjemnych tematów jak wojna. - Przyjęła talerz od ojca, postawiła go na stole i z roztargnieniem mieszała łyżką parujące danie.

- Kai... przyjaciel, opowiadał mi o tym. Ma dużo starych gazet i artykułów i pozwala mi je czytać. Oczywiście to straszne, że wasz prezydent, pan Lincoln, został zabity i...

- Lubisz czytać? - przerwała mi pani Lang. - A jakie inne przedmioty lubisz?

- Chyba historię - odparłam. - I uwielbiam uczyć się

języków. - Wzięłam talerz, który w milczeniu podał mi ojciec.

Do rozmowy włączył się wyraźnie zainteresowany pan Lang.

- Greki, łaciny? - zapytał. - A może włoskiego?

W moim gulaszu pływał kawałek kości. Odsunęłam go na bok w nadziei, że inne nie pojawią się na talerzach państwa Lang.

- Nie. Uczę się języków używanych w Indiach. Hindi, urdu i pendżabi. A także perskiego.

- Pree jest bardzo uzdolniona w wielu dziedzinach - powiedziała matka, zupełnie mnie zaskakując. Nigdy wcześniej nie prawiała mi komplementów. - Dobrze też radzi sobie w infirmerii. I będzie pracować jako misjonarka.

Wzdrygnęłam się, słysząc te słowa. „Będzie pracować jako misjonarka”, powiedziała lekko, podejmując za mnie decyzję. Nawet bez chwili wcześniejszej dyskusji o tym, co chcę zrobić ze swoim życiem.

- Panie Lang, proszę wziąć *roti* - rzekła matka, odsuwając lekko chusteczkę, gdy podnosiła talerz i podsuwała go gościowi. - Tak bardzo żałuję, że nie mamy *khitmugara*, by obsługiwał przy stole. Raz jeszcze przepraszam. I przykro mi, że ten skromny posiłek nie jest tym, do czego państwo przywykli, lecz staramy się jak najlepiej w naszym małym zakątku Indii. Nasz kucharz ma oczywiście bardzo dziwne pomysły, ale z naszą pomocą nauczył się gotować angielskie potrawy. Najbardziej tęsknię za chlebem. Tutaj jest nie do zdobycia.

- Powinna pani zatrudnić kucharza z Goa - zauważyła ze współczuciem pani Lang. - Tamtejsi mieszkańcy przypominają was Anglików w tym, że mają w domach francuskich kucharzy. Goańczycy ze swoją portugalską krwią to wspaniali kucharze. Niestety w większości są papistami, ale ich religia pozwala im jeść mięso bez żadnych wyjątków. I co ważniejsze, potrafią piec chleb. Prawdziwy, lekki i puszysty, na drożdżach.

Matka patrzyła na nią, jakby mówiła w obcym języku. Potem wróciła spojrzeniem do pana Langa, z którym razem trzymali teraz półmisek.

- Matka naszej *ai* pochodziła z Goa - powiedziałam, by przerwać milczenie.

Matka wreszcie puściła półmisek. Pan Lang wziął *rot i* i rozejrzał się w poszukiwaniu talerzyka, na którym mógłby go położyć. Zerwałam się z miejsca i przyniosłam małe talerzyki dla wszystkich. Kiedy stawiałam jeden przed panem Langiem, zauważyłam, że przygląda się kleistemu gulaszowi z sosem o dziwnym kolorze, w którym pływały kawałki ziemniaków i zwiędnięte marchewki.

- Ja sam bardzo polubiłem *curry masala* - rzekł. - Jest cholernie dobre. Och, przepraszam. Hinduskie jedzenie bywa bardzo smaczne. - Po twarzy pociekły mu strużki potu. Spojrzał na sufit. - Czy ktoś mógłby się zająć *punkah*, kiedy będziemy się delectować posiłkiem? - zapytał. - Jest bardzo gorąco jak na tę porę roku.

Ojciec odchrząknął.

- Pree, poszukaj Kaia.

Nie spuszczałam z niego wzroku. *Punkah* nie był używany od lat. A prosić Kaia, by ciągnął za sznurek... to byłoby bardzo upokarzające. To praca dla najniższego w hierarchii członka służby, dla najmłodszego dziecka.

- Nie ma go - skłamałam.

- To ty się tym zajmij, moja droga. Proszę, pociągnij parę razy - poleciała matka. Wstałam i pociągnęłam za sznurek, a *punkah* ożył, skrzypiąc nam nad głowami. Posypał się kurz, ale przynajmniej wachlarz uniósł się w dusznym powietrzu i nie spadł od razu na stół. Pasma włosów, które jak zwykle wysunęły się spod szpilek i opadły matce na plecy, poruszyły się w podmuchach powietrza.

Poczułam ucisk w żołądku. Ci ludzie myśleli, że jestem *ają*, nawet gdy włożyłam najlepszą sukienkę i buty, i upięłam włosy. Stałam nadal w rogu pokoju, a sznurek wpijał mi się w dłoń, podczas gdy rodzice i państwo Lang jedli. Rozmowa

była mało istotna i nudna. Rozmawiali o jedzeniu, pogodzie i problemach z suszą w Karelii i głodem w Bengalu. Pan Lang poruszył kwestię dotychczasowej brytyjskiej polityki gospodarczej i administracyjnej, która doprowadziła teraz do ograniczeń w handlu, ale widać było wyraźnie, że ani matka, ani ojciec nie potrafią skomentować jego wypowiedzi.

- I udało nam się ominąć jedno z tych rytualnych spaleń. O mało co, a musielibyśmy to oglądać. Oczywiście nie zostaliśmy, by patrzeć, jak ta biedna kobieta płonie na stosie męża - mówiła pani Lang. - To było kilka tygodni temu w Rawalpindi. Powiedziałam do pana Langa: „Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego ci ludzie nadał hołdują tym niedorzecznym praktykom”.

W pokoju zapanowała cisza, którą zakłócał szum wachlarza.

- Wierzą, że to sprawa honoru, proszę pani - odezwałam się. - Widzą w tym ostatni obowiązek. Płynący z miłości.

- Och, bzdura - powiedziała pani Lang. Spojrzała na mnie, kręcąc głową. - Głupie przesady. Aż dreszcz mnie przechodzi. Pomimo upału. - Westchnęła. - Możesz wachlować trochę szybciej, moja droga? Nic nie czuję.

Kiedy pociągnęłam mocniej za sznurek, spojrzałam na matkę i z przerażeniem spostrzegłam, że wpatruje się w panią Lang pustym wzrokiem. Z otwartych ust na brodę spływała strużka śliny zabarwionej gulaszem. Zamrugnęła oczami.

- *Suttee?* - zapytała, a potem dodała ciszej *sati*, używając hinduskiego określenia. - *Sati* - powtórzyła nabożnie, a ja nie mogłam znieść myśli, że Langowie zobaczą ją w tym stanie.

- Mamo - powiedziałam i stanęłam przed nią, bo nie chciałam, by widzieli, jak wyciera brodę. - Dokończ gulasz.

Wróciłam do rogu i znów pociągnęłam za sznurek. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Rodzice jedli gulasz z pełną determinacją, podczas gdy nasi goście nabierali jedynie

odrobinę na łyżkę. Mój talerz stał ciągle nietknięty. Byłam głodna i coraz bardziej zła, że tak ostentacyjnie mnie ignorują.

- Może przejdziemy na werandę i zostawimy panie, by mogły porozmawiać? - rzekł ojciec, gdy stało się jasne, że nikt już nie będzie więcej jadł - talerze rodziców były puste, podczas gdy porcje państwa Lang pozostały niedojedzone. Odłożyli jednak łyżki na obrus.

Pani Lang wstała i obaj panowie natychmiast podnieśli się z miejsc. Matka nadal siedziała na krześle.

- Bardzo chętnie wypiłabym filiżankę miętowej herbaty - powiedziała pani Lang miękkim głosem, który był bardzo melodyjny, zupełnie jakby śpiewała.

- Ach tak. Wypijemy herbatę w salonie - powiedziała matka. - Pree? Mogłabyś poprosić Sanosha, żeby zaparzy! herbatę? Nie jestem pewna, czy mamy miętową, proszę pani. Ale nasz kucharz parzy pyszną korzenną.

Pani Lang przekrzywiła głowę na bok.

- Każda będzie mi bardzo smakować.

Skinęłam głową i ruszyłam po srebrną tacę i dzbanek.

- Proszę później do nas dołączyć, panno Fincastle - zawołała za mną pani Lang.

- Powinnam wrócić do pracy - powiedziałam, choć nie miałam już żadnych obowiązków. Nie chciałam tam wracać. Nie chciałam dłużej oglądać rozpaczki matki.

- Wróć, skoro pani Lang prosi - rzekła matka. Wiedziałam, że czuje się równie nieswojo jak ja i nie chciała zostać sama z panią Lang.

- Dobrze, mam - odparłam, jakbym zawsze była posłuszną córką, a potem poszłam do *rasoi* ze srebrnym serwisem i poprosiłam Sanosha, by zaparzył swoją specjalną herbatę z imbirem, goździkami i cynamonem. Westchnął! przeciągle, jakby nie mógł już dłużej znieść dodatkowych ciężarów składanych dziś na jego barki.

- Ale dziś bez kardamonu - dodałam.

Sanosh lubił nasycać swoją specjalną mieszankę kardamonu

monem. Uważał jednak, że najlepszy jest świeżo przezuty, który wypływał potem do dzbanka. Oczywiście moi rodzice nie mieli pojęcia, że ich ulubiona herbata jest przyrządzana w taki sposób, a instynkt podpowiadał mi, że powinnam się specjalnie zatroszczyć o herbatę przeznaczoną dla pani Lang.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kiedy weszłam do saloniku, poczułam na sobie wzrok pani Lang. Siedziała na żółtym krześle, a matka na zniszczonej kanapie z końskiego włosia.

- Podejź tu, Pree - powiedziała pani Lang i machnęła ręką w stronę drugiego krzesła z końskiego włosia, jakby to ona była tu memsahib. Przeszłam przez pokój i usiadłam na wskazanym krześle, ściskając kolana i opierając na nich dłonie. Byłam świadoma moich zakurzonych, zaciasnych butów z wytartymi, niemal białymi noskami. Słyszałam ciężki oddech matki i przetykanie śliny.

Pani Lang pochyliła się do przodu.

- Musisz mi powiedzieć, Pree, czy chodzisz do pogan i głosisz wśród nich słowo Boże?

Oblizawałam usta.

- Nie.

Spojrzałam na matkę, lecz ona przyglądała się przezartej przez termity nodze wysokiej, oszklonej szafki mieszczącej kolekcję Biblii ojca.

Pani Lang otworzyła szeroko oczy.

- Skoro jesteś córką misjonarzy... i twoja matka twierdzi, że będziesz kontynuować ich dzieło... Nie chcesz odczuwać radości dzielenia się Jego słowami? - Oczy pani Lang załśniły.

- Ja... Nie, proszę pani - odparłam. - Pracuję w infirmerii. Z nikim nie rozmawiam o Bogu.

Pani Lang spojrzała ostro na matkę.

- Nie wysyła jej pani do pogan w wioskach? To powinno

być jej zadaniem. Tym bardziej że płynnie mówi w ich języku. - Miała białe i gładkie dłonie, tak białe i gładkie jak skórzane rękawiczki, w których wcześniej spoczywały. Nigdy nie czuły dotyku słońca. Ale teraz powróciło lekkie drżenie, które zauważyłam przed posiłkiem. Zaciśnęła palce, by je uspokoić. - Czy podadzą niedługo herbatę, moja droga? - zapytała.

- Tak. Sanosh na pewno zaraz ją przyniesie.

- Mam nadzieję - odrzekła. - Strasznie zaschło mi w gardle. Ale pozwól, że opowiem ci coś więcej o moim powołaniu. Razem z panem Langiem założyliśmy misję w Peszawarze przed rokiem. - Pomyślałam o Afgańczyku i o tym, co opowiadał mi o tym mieście. - I choć nie mam odpowiednich predyspozycji, by pracować z ludźmi i nie mam talentu do języków, czuję, że moim obowiązkiem jest być właśnie tam razem z panem Langiem.

Do pokoju wszedł Sanosh z herbatą na tacy, którą postawił na niskim stoliku z mosiężnym blatem, po czym wyszedł bezszelestnie. Wzięłam dobre filiżanki i spodeczki z jadalni i ustawiłam na stoliku obok tacy. Nie zauważyłam wcześniej, że dzbanek jest zaśniedział, a z jednej strony widać wgłębienie. Filiżanki nie pasowały do spodeczków.

Pani Lang spojrzała na tacę, lecz mówiła dalej.

- Innymi słowy, to ja założyłam misję. Zatrudnia kilka młodych kobiet znających Biblię, osieroconych i wychowanych w misjach na chrześcijanki, które chodzą do *zenan* domów muzułmańskich zarezerwowanych dla kobiet. Te biedne zamknięte kobiety nie mogą pokazywać się publicznie. To okropne, prawda? I jak oczywiście dobrze wiecie, nie mogą ich oglądać mężczyźni spoza rodziny. Nasi kaznodzieje są więc bezużyteczni. Ale kobiety znające Biblię, z powodu swojej płci i zdolności rozmawiania z tymi kobietami w ich języku, wpuszczane są do środka przez bardziej postępowych mężów. Zwykle dzieje się to pod płaszczykiem pomocy medycznej lub edukacji, lecz oczywiście, kiedy już się tam znajdują, robią, co w ich mocy, by próbować

nawracać. Przyznaję, że nasze dziewczęta wykonały wspólną pracę. - Przyłożyła jedną dłoń do szyi, krzywiąc się, jakby ją bolała, a matka wstała i podeszła do stolika.

- Słodzi pani? Obawiam się, że mamy tylko brązowy cukier, ale...

Pani Lang potrząsnęła głową, a matka naląła herbatę do filiżanki i podała jej.

Kiedy pani Lang wzięła ją do ręki, filiżanka zagrzechotała na spodeczku i trochę herbaty przelało się przez brzeg.

- O Boże, muszę zażyć lekarstwo - powiedziała, stawiając filiżankę na stoliku obok. Sięgnęła do torebki, którą cały czas trzymała na kolanach, i wyjęła małą srebrną buteleczkę. Była najwyraźniej świeżo wyczyszczona i błysnęła w świetle. Odkorkowała ją i wlała sporo płynu do filiżanki.

- To na nerwy - wyjaśniła z wyrazem zażenowania na twarzy.

Odwracając wzrok od srebrnej butelki, matka naląła sobie herbaty, wysypała dwie łyżeczki cukru, zamieszała i wróciła na miejsce.

- Jestem pewna, że pani też szuka pomocy, by ukoić nerwy w tym obcym kraju. - Pani Lang spojrzała znacząco na matkę, która mocniej przycisnęła chusteczkę do ust. - To bardzo trudny kraj - powiedziała, z wdziękiem przysuwając filiżankę do ust i wypijając całą jej zawartość. - Tak - powtórzyła - to trudny kraj. Zwłaszcza w waszej sytuacji. Samotność i izolacja muszą być czasami nie do zniesienia. - W ciszy, która zapadła, pani Lang rozejrzała się po pokoju. - I mogę sobie tylko wyobrazić, ile macie pracy. Czy macie wielu konwertytów? - zapytała.

- Należę pani jeszcze herbaty - zaproponowałam szybko, zrywając się z miejsca.

- Spotyka nas tyle drobnych upokorzeń, prawda? - powiedziała, a ja poczułam wdzięczność, że nie domagała się odpowiedzi na poprzednie pytanie. - Często najtrudniej jest mi znieść niewdzięczność za naszą pracę. Ale razem z panem Langiem uważamy misję w Peszawarze za bardzo

ważną - dodała. - Jest bardzo postępową, gdyż prowadzą ją wyłącznie kobiety.

Matka nie odpowiedziała.

Pani Lang uspokojona alkoholem, który dołała do herbaty, zamknęła oczy i oparła głowę o krzesło. Wiedziała, że jest zakurzone, i zauważyłam pajęczynę na oparciu; czy pani Lang znajdzie później na kołnierzu zdechłe muchy lub zmumifikowane resztki innych owadów?

Podejrzewałam, że zasypia.

- Kobiety? - powiedziałam dość głośno.

Pani Lang uniosła głowę i wygładziła włosy białymi, już spokojnymi dłońmi.

- Jak wspominałam, misja jest bardzo postępową. Nazywa się Kobięce Towarzystwo Misyjne i prowadzą ją wyłącznie kobiety pochodzące jak ja z Ameryki. Zatrudniłam bardzo zdolną kierowniczkę i wygląda na to, że wcale nie potrzebuje męskiej pomocy. - Znów się uśmiechnęła. - Wiem, że wam, żyjącym tutaj, trudno jest to sobie wyobrazić.

Nie spodobał mi się ton jej głosu, kiedy powiedziała „żyjącym tutaj”.

Wiedziała, że świadomie obraziła misję -mój dom.

- Miałam szczęście, gdyż życie ułożyło mi się bardzo pomyślnie. Czułam, że muszę się częścią tego szczęścia podzielić - ciągnęła z nową energią. - Kiedy mój tato, Panie świeć nad jego duszą, zmarł, wzięłam część majątku, którą mi pozostawił i przyjechałam z panem Langiem, by pomagać biednym poganom w Indiach. Podobnie jak pani i pani mąż - dodała, spoglądając na matkę. - Ale to chyba nie do końca jest zgodne z prawdą - ciągnęła, marszcząc brwi i potrząsając głową. - Jak wszyscy wiemy, misjonarze, nawet ci służący pomocą medyczną, nie mają takich samych, chyba można tu użyć słowa, możliwości, by... - Zawiesiła głos. Matka siedziała wyprostowana, nadal przyciskając chusteczkę do ust. W drugiej ręce trzymała filiżankę, lecz podczas przemowy pani Lang nie wypila ani jednego łyka her-

baty. Potem odstawiła filizankę i bezwiednie przesuwiała dłońmi po spódnicy jakby coś wycierała. Na widok jej zaczerwienionych dłoni z grubymi knykciami, rozsypanych w bezładzie włosów, spuszczonego oczu i drgającej lewej powieki, nagle zrobiło mi się jej żal.

Spojrzałam na panią Lang siedzącą w zniszczonym fotelu z oderwanym podłokietnikiem. W swojej pięknej sukni z jedwabiu w zielono-fioletowe pasy, z rękawiczkami widocznymi w otwartej torebce, gęstymi, stylowo uczesanymi blond włosami, migotliwymi kolczykami z rubinów, sama wyglądała jak klejnot; wspaniały, drogocenny klejnot przyczepiony do zakurzonego liścia kapusty. Pierwszy raz tak naprawdę dostrzegłam długie pajęczyny w rogach salonu, wytarte dywany, nadgryzione przez białe mrówki, leżące na zniszczonej, drewnianej podłodze. Meble były zniszczone w różnym stopniu. Drewno było albo wyszczerbione, albo nadgryzione przez szkodniki, poduszki kanapy i krzesła tak stare, że zapadały się w środku, spłaszczone przez wiele lat użytkowania, zanim trafiły do misji. Na parapetach okien leżały łuski, pancerze i martwe ciała insektów. Podobnie jak w jadalni, także i w salonie *punkah* nie był używany od lat i zauważyłam na nim kilka wgłębień. Wiedziałam, że przyczyniły się do tego małe gryzonie lub jaszczurki, które zakończyły żywot w fałdach bawełny. I nie miał sznurka, za który można by go ciągnąć. Co się z nim stało? Do czego został użyty?

Klawisze pianina były pożółkłe i wyszczerbione, a w małym kominku leżała kupka popiołu. Jego ceglany front znaczyły czarne smugi z zeszłej zimy.

Dostrzegłam wielkie ubóstwo misji i fakt, że matka była głęboko skrepowana warunkami, w jakich żyliśmy.

- Indie otwierają człowieka, prawda? - mruknęła pani Lang.

Matka wstała.

- Przepraszam - powiedziała i wyszła do jadalni. Usłyszałam, jak otwiera i zamyka drzwi na boczną werandę.

Kiedy zostałyśmy same, pani Lang znów przyjrzała mi się uważnie.

- Jak spędzasz tu czas? - zapytała.

- Mówiłam już, że pracuję w infirmerii.

- Ale... twoja biedna matka. - Pochyliła się, jakby chciała powierzyć mi sekret. - To musi pochłaniać całą twoją energię i cierpliwość. Czy cierpi na piasek w głowie?

Zamrugałam. Słyszałam tę nazwę hysterii lub letargu, na który często zapadały Europejki w Indiach. Traciły kontakt ze światem i nie były w stanie poradzić sobie z codziennym życiem. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Razem z ojcem, Kaiem, Glory, Sanoshem i Pavitem tak zdążyliśmy już przywyknąć do dziwnego zachowania matki, że być może przestaliśmy dostrzegać jego powagę. Słowa pani Lang nappełniły mnie przerażającym przeczuciem.

- Nie wiem. Cierpi na wiele dolegliwości. I musi znosić wiele trudów - dodałam, nagle pragnąc bronić matki przed tą władczą nieznajomą.

Czułam, że znów znalazłam się w bogatym salonie Wyndhamów. Jednak tym razem nie pozwolę, by ktokolwiek krytykował matkę. - Ma dobre i złe dni, jak wszyscy - powiedziałam twardo.

- Och, nie chciałam nikogo obrazić - odparła. - To była tylko luźna uwaga. Nie odpowiedziałam. Kiedy dalej siedziałyśmy w upale, zauważyłam, że pani Lang zaczynają opadać powieki i miałam nadzieję, że w końcu się podda i zamknie oczy na dłużej.

Matka wróciła i w milczeniu zajęła miejsce na kanapie, jeśli pani Lang zaśnie, być może uda nam się cicho wymknąć. Chciałam się znaleźć jak najdalej od niej; byłam wykończona przedstawieniem, które musiałyśmy odgrywać, niekończącymi się, krępującymi pytaniami. Niebyłam przyzwyczajona do obecności obcych w naszym domu. Proszę zasnąć, pani Lang. Zasnąć. Zasnąć, powtarzałam w myślach.

Nagle otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Byłaś kiedyś w Peszawarze, moja droga?

Pokręciłam głową.

- To daleka podróż, choć tutejsze miary odległości, te głupie *koss* są takie nieczytelne. Jednak sądząc po ilości dni w podróży, jestem pewna, że musieliśmy przebyć dobre czterysta mil. I muszę przyznać, że podróż Grand Trunk Road jest bardzo męcząca i niebezpieczna. Nie ma żadnych przyzwoitych miejsc, w których można by się zatrzymać, poza Rawalpindi i Gurjanwałą. Tylko te okropne *camvan-seraje* przy drodze, nocą pełne tubylców i zwierząt. O mój Boże. Ten hałas i smród. To bardzo denerwujące. Anglicy naprawdę muszą zabrać się do pracy nad koleją na północ, żebyśmy nie musieli spać z tymi ludźmi. Nie sądzi pani?

- Byłam tylko w Lahore - wtrąciłam szybko, zanim matka zdążyła odpowiedzieć.

- Oczywiście Lahore jest wspaniałe - mówiła powoli, starannie wymawiając słowa. - Te ogrody Shalimar, cytadela, to Majarajah... Zaraz, jak to się nazywa?

- Majarajah Ranjit Singh - powiedziałam.

- Tak, ten cudowny fort z marmuru. Znasz go na pewno. - Zamilkła na chwilę. - Ale nasza misja... no cóż, nie można jej z tym równać. Tyle się tam dzieje. Nasze młode kobiety kochają swoje powołanie. I swoje życie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Dlaczego mi to mówiła? Cała ta sytuacja bardzo mnie krępowała. Czułam się jak nasionko, gotowe zaraz wystrzelić ze strąka. Musiałam wyjść. Kiedy wstałam, pani Lang znów zamknęła oczy, a głowa opadła jej na piersi. Gwałtowność tego ruchu zaskoczyła ją i podniosła głowę, lekko marszcząc twarz, kiedy walczyła, by otworzyć oczy.

- O, ten upał... - westchnęła. - *Punkah*... Czy nie miałyby pani nic przeciwko, panno Fincastle?

Nawet nie drgnęłam. Nie mogłam nim przecież poruszyć, bo nie było sznurka. Po kilku sekundach znów opadała jej głowa i wreszcie na dobre spoczęła na piersi, a pani Lang zaczęła oddychać równo i głęboko.

Wstałam, spoglądając na matkę. Jej twarz była pozba-

wioną wyrazu. Spodziewałam się, że będzie nalegać, bym została; kiedy tylko na mnie spojrzała, poczułam wielką ulgę i szybko ulotniłam się z pokoju.

Wyszłam przez boczne drzwi. Usłyszałam cichy śmiech obu panów dobiegający z frontowej werandy i poczułam zapach krótkich cygar. Chciałam dokończyć przygotowania w infirmerii na następny ranek: zostawiłam brudne narzędzia i potrzebowaliśmy więcej bandaży.

Nieoczekiwani goście zakłócili nasz codzienny rytm. I dobrze będzie znaleźć się z dala od domu, od dusznego, brudnego saloniku, dziwnej pani Lang, jej alkoholu, dziwnych pytań i insynuacji.

W infirmerii było ciepło i cicho, w żaluzjach bzycały owady, a w powietrzu unosił się kojący zapach środka dezynfekującego. Pracowałam przez jakiś czas, a kiedy skończyłam i zamknęłam dużą butelkę chininy gumowym korkiem, usłyszałam głosy. Wyglądając przez okno, dostrzegłam, że to pan Lang i moi rodzice. Pani Lang najprawdopodobniej nadal spała w saloniku.

Ojciec i pan Lang byli pogrążeni w dyskusji. Mówili głośno, lecz wyrażali się uprzejmie.

Kiedy weszli do infirmerii, odstawiłam chininę. Matka miała bladą twarz i ani ona, ani mężczyźni nie spojrzeli na mnie. Cofnęłam się od stołu, stając pod ścianą.

- Raz jeszcze nie mogę się z panem zgodzić, wielebny. Udowodniono to nieraz. Proszę mi nie mówić, że wy Anglicy nie kochacie teorii Galla.

Przecież powszechnie wiadomo, że klasa rządząca od dawna wykorzystuje ją, by usankcjonować traktowanie swoich poddanych w koloniach. - Pan Lang rozejrzał się po infirmerii, zatrzymując wzrok na mnie.

- Kim jest ten tubylec, którego widziałem pracującego w ogrodzie?

- Kai - odparłam powoli. Znałam zasadę Franza Josepha Galla.



- Zawołaj go tutaj, proszę - powiedział.
- Nie kłopot się - odparł ojciec. - To nie ma znaczenia.
- Nie wymknij mi się pan tak łatwo, wielbny - powiedział jowialnie pan Lang i podszedł do drzwi. - Chłopcze! -zawołał i odwrócił się do ojca. - Czy on rozumie po angielsku?
- Ojciec skinął sztywno głową. Jego przepocony wełniany garnitur pachniał jak przemoczona na deszczu sierść psa, a twarz była wilgotna. Ocierał rękawem pot z czoła, jeszcze bardziej podrażniając trądzikową bliznę.
- Tak, ty - zawołał znów pan Lang. - Chodź tutaj. Kai podszedł do otwartych drzwi i stanął twarzą do pana Langa. Nie był chłopcem w żadnym znaczeniu tego słowa i nigdy nie słyszałam, by ktokolwiek tak się do niego zwracał lub przemawiał w tak władczy sposób. Pan Lang przysunął się bliżej.
- Rozumiesz mnie, chłopcze? - rzekł głośno i powoli prosto w jego twarz. Zauważyłam, że kropla jego śliny spadła na twarz Kaia. Kai zignorował ją, choć jego szczęki lekko się zacisnęły.
- Rozumiem pana doskonale, sir - powiedział z godnością. Pan Lang się zdumiał.
- A to co? Jakim cudem służący ma tak czysty akcent? Ojciec nie odpowiedział.
- Jest z nami od dziecka - odparła matka. - Nauczy! się od nas. Pan Lang uśmiechnął się szeroko i klepnął ojca w plecy.
- No, bardzo dobrze uczy pan swoich podopiecznych -powiedział, spoglądając na Kaia. - Dziwi mnie, że marnuje pan czas na lekcje wymowy dla czarnych. Ten mówi zupełnie jak pan - dodał nieszczercze.
- Jestem Euroazjatą - sprostował opanowanym głosem Kai.
- Panno Fincastle - powiedział pan Lang, ignorując

uwagę Kaia - czy dzięki swoim studiom zetknęła się pani z frenologią?

- Tak - odparłam i poczułam, że ogarnia mnie strach; wiedziałam, co zamierza. Nie patrzyłam na Kaia.

- To dobrze udokumentowana metoda - rzucił pan Lang, najwyraźniej błędnie przekonany, że wywiera ogromne wrażenie na swojej niewielkiej, cichej publiczności. - Można studiować ludzką czaszkę pod wieloma aspektami i szukać tam wskazówek dotyczących zdolności intelektualnych, cech charakteru i moralności. Czaszki kryminalistów posiadają na przykład szczególny kształt. Pan, wielebny, jako chirurg z pewnością jest z tym dobrze obeznany - Wyciągnął rękę w stronę głowy Kaia. - Pochylił głowę do przodu - nakazał.

Wpatrywałam się w pana Langa; nie mogłam patrzeć na Kaia, gdy traktowano go w ten pozbawiony szacunku sposób. Chciałam, by ojciec się odezwał, by powiedział, że nie wolno tak upokarzać Kaia. Ojciec jednak milczał, a ja wiedziałam, że pan Lang zachowuje się w sposób podobny do tego, w jaki Anglicy w domu Wyndhamów traktują służbę. Spoglądając przez ramię na ojca, pan Lang powiedział:

- Zobacz pan. Na pewno uda mi się ustalić... - zniżył głos do chrapliwego szeptu, jakby Kai wcale przed nim nie stał - że zdolności intelektualne są znacznie osłabione.

Kai nie poruszył się. Zmrużył tylko oczy, które zaśniły niebezpiecznie.

- *Ana, ana*, no już chłopcze. Nie będzie bolało - dodał pan Lang i z chichotem wyciągnął rękę.

Kai cofnął się o krok. Przycisnął dłonie do boków, lecz nie spuszczał wzroku z pana Langa.

- Nie jestem królikiem doświadczalnym - powiedział cicho, lecz w jego głosie słyhać było powstrzymywany gniew - sir. - Ostatnie słowo wypowiedział z wyraźnym sarkazmem, a ja usłyszałam, jak matka ze świstem wciąga powietrze.

- Co? A cóż to za bezczelność? - dopytywał się Lang,

opuszczając w końcu ręce. Wodził wzrokiem od Kaia do ojca. Na czole ojca zalśniły kropelki potu. Nie kazał Kaiowi spełnić żądań Langa ani nie zbeształ go za jego zachowanie. Nic nie rozumiałam. Jego twarz miała napięty wyraz, podobnie jak wcześniej w salonie twarz matki. Teraz to ona wkroczyła do akcji, kładąc rękę na nagim przedramieniu Kaia.

Kai podwinął rękawy koszuli i widziałam napięte ścięgno biegnące po wewnętrznej stronie ramienia.

- Idź i poproś Sanosha, by zaparzył jeszcze herbatę. Kiedy pani Lang się obudzi, na pewno z chęcią wypije filiżankę. Panie Lang - ciągnęła - jeśli pańska żona obudzi się sama w salonie, na pewno zacznie się dziwić, gdzie się wszyscy podzialiśmy.

Lang stał z nachmurzoną twarzą.

- Musimy do niej dołączyć - dodała matka stanowczo. - Idź, Kai.

Ogarnęła mnie fala ulgi. Jej głos brzmiał zdecydowanie, jakby znów stała się kobietą, którą niegdyś była. I choć zawsze oburzał mnie jej szorstki sposób bycia i rozkazujący ton, w tej chwili byłam jej za to wdzięczna.

Kai zignorował jednak jej słowa. Nadal patrzył Langowi prosto w oczy, a potem spojrzął na ojca, który stał bez ruchu. Wyglądało na to, że Kai czeka, by ojciec coś powiedział, ale kiedy stało się jasne, że będzie milczał, Kai dumnie uniósł brodę.

- Wielebny Fin? Czy życzy pan sobie, żeby zbadano mi głowę, by udowodnić niższą inteligencję tubylca? - W jego głosie brzmiała pewność siebie i wyższość. - Wielebny Fin - rzekł głośnie, nadal zaciskając pięści.

- Nic pan nie powie? Czy nigdy pan nie zareaguje?

- Kai! Wystarczy - powiedziała matka, lecz Kai zignorował ją drugi raz i podszedł do ojca. Kiedy ich twarze znalazły się zaledwie kilka cali od siebie, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

- Nie, Malachiaszu - powiedział ojciec, zanim Kai zdążył cokolwiek powiedzieć. - Nie zareaguję.

Malachiasz\*? Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia, znałam je jedynie ze stron Biblii.

Na te słowa na zaciśniętych ustach Kaia pojawił się cień uśmiechu.

Odwrócił się i zszedł po schodach infirmerii z wyprostowanymi plecami i wysoko podniesioną głową.

- Chyba nie bardzo pan panuje nad swoimi ludźmi, wielebny? - zapytał Lang, wycierając policzki wilgotną chustką, którą wyjął z kieszonki na piersi. - Nie rozumiem, jak może pan pozwalać na taką zuchwałość. Taki brak szacunku. - Wsunął chustkę z powrotem do kieszonki. - Wiem, że ludzie na wsi są bardziej swobodni, ale naprawdę to był straszliwy przejaw bezczelności. To wyraźny dowód, że z mieszkańcami są tylko same problemy: jeśli posiejesz ziarno w niewłaściwej glebie, wyrośnie zła roślina.

- Może pan zbadać moją czaszkę, panie Lang - i dopiero gdy słowa spłynęły z moich ust, uświadomiłam sobie, co powiedziałam. Trzy twarze zwróciły się w moją stronę. -Może dowiem się coś o swoim charakterze. Pan Lang prychnął i zmarszczył brwi; widać było wyraźnie, że jest wstrząśnięty i rozgniewany zachowaniem Kaia i brakiem wsparcia ze strony ojca.

- Badania są bardziej skuteczne na męskich czaszkach -rzekł niegrzecznie. - Powszechnie wiadomo, że czaszki kobiet się nie sprawdzają. Teraz biegnij, moja droga - dodał, a mnie ogarnęła złość, że odprawia mnie, jakbym była głupiutkim dzieckiem.

- Panie Lang - powiedziałam, wiedząc doskonale, że jeszcze bardziej zaostrożam napiętą sytuację, lecz niewiele mnie to obchodziło - czy może mi pan wytłumaczyć, dlaczego czaszka kobiety jest gorsza?

W pokoju zapadła ciężka cisza. Pan Lang otworzył usta.

**\* Malachiasz, w oryginale Malachi wymawiane Malakai.**

- Powiedziałem tylko, że ich czaszki się nie nadają, a nie że są gorsze. Usłyszałam wilgotny dźwięk otwieranych ust matki, która już miała udzielić mi reprimendy, dokończyłam więc szybko, bo wiedziałam, że nie będę miała drugiej okazji.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, proszę pana, czyż nie stanowi to dowodu potwierdzającego teorię? Czytałam niedawno esej Sydneya Smitha na temat kobiecej edukacji, w którym instruował czytelnika, by wyćwiczył swój umysł w odróżnianiu faktów od hipotez bądź założeń. Zastanawiam się więc: może to tylko jedno z pańskich założeń, o których wcześniej mówiła pani Lang? Czy to tylko pańskie „założenie”, że czaszka kobiety jest mniej wiarygodna niż mężczyzny?

- Wyjdź natychmiast, Pree - nakazał ojciec. - Ale najpierw przeproś pana Langa za swoją impertynencję i... ignorancję.

Wzięłam głęboki oddech.

- Zgodnie z życzeniem ojca przepraszam pana za coś, co nazywa impertynencją - powiedziałam, a on uniósł brwi, bębniąc grubymi palcami w stojący obok stolik. - Nie mogę jednak przeproszać za ignorancję. Nie wynika z mojej winy, nie była też świadomym wyborem. Nie chcę być ignorantką, ale żyjąc w tym...

Urwałam, słysząc kolejny dźwięk, który wydała matka. Wiedziałam, że posunęłam się za daleko. Odwróciłam się do niej; mimo opalenizny jej skóra miała szarawą barwę. Pod jej baczny spojrzeniem spuściłam wzrok, a potem odwróciłam się i wyszłam z infirmerii, o wiele wolniej, niż biło mi serce.

Dobiegł mnie jeszcze śmiech pana Langa, który wbrew moim oczekiwaniom był wyraźnie ubawiony całym zajściem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kiedy doszłam do chaty Kaia, usłyszałam ruch i stanęłam pod drzwiami.

- Kai? - zapytałam przez zasłonę. - Mogę wejść?

- Tak - odparł. Odsunęłam cienką zasłonę, zaczęłam brzeg materiału na gwoździu i weszłam do środka. Na łóżku leżały starannie złożone trzy koszule i dwie pary *panjammahs*. Kai zdejmował książki z niskiej półki pod oknem.

- Co... co robisz?

Zatrzymał się, trzymając stos książek w rękach.

- Wyjeżdżam, Pree. Już dawno powinienem to zrobić. Przed chwilą w infirmerii dotarło do mnie, że przebywam tu zbyt długo.

- Ale ojciec nie kazał ci spełnić żądań pana Langa - krzyknęłam. - Nic się nie zmieniło, Kai. Nie wyjeżdżaj.

Spuścił wzrok na książki.

- Nie chodzi o to, co się dziś wydarzyło, Pree. Nic mnie tu nie trzyma. To miejsce, ten dziwny, mały, pogmatwany świat, już mi nie wystarcza - powiedział. - Wiedziałem od dawna, że będę musiał wyjechać, ale zostałem, bo...

Urwał i spojrzał na mnie. Wstrzymałam oddech. Wydawało mi się, że powie coś ważnego. Bardzo ważnego. Stałam.

- Dlaczego zostałeś, Kai? - zapytałam szeptem. Proszę, myślałam, powiedz to, co mam nadzieję usłyszeć.

W chacie panowała cisza. Patrzył mi prosto w oczy.

Moja pierś unosiła się i opadała. Jego też, czy tylko to sobie wyobraziłam? Chciałam, by tak było. Powiedz to. Powiedz to teraz, Kai.

Dudniący śmiech pana Langa przerwał wątlą nić, która nas połączyła. Na jego dźwięk Kai zamrugał oczami, a potem spojrzął na książki.

Ogarnęło mnie nagłe przygnębienie i usiadłam ciężko na łóżku.

Kai zajął się pakowaniem.

- Przed chwilą w infirmerii - powiedział normalnym głosem - zyskałem absolutną pewność, że mój czas tutaj dawno minął.

Położyłam rękę na niewielkim stosie ubrań Kaia, które sam prał i suszył na słońcu. Wdychałam ich zapach tak mocno związany z Kaiem, gorącym słońcem i ciepłym wiatrem.

- Dokąd pojedziesz? - zapytałam, patrząc na palce, którymi gładziłam kołnierzyk leżącej na wierzchu koszuli.

- Do Lahore. Przynajmniej na razie. Mam tam przyjaciół.

Spojrzałam na niego, gdy zdejmował z gwoździa dużą, płócienną torbę.

Wyglądał jak obcy człowiek, jak mężczyzna, którego nie znałam.

Miał swoje życie, o którym nic nie wiedziałam; życie mężczyzny, podczas gdy ja... ja jedynie ślepo wypełniałam swoje obowiązki w misji.

„W tym dziwnym, małym, pogmatwanym świecie", jak nazwał go Kai.

Pracowałam w infirmerii i razem z Sanoshem opiekowałam się matką, czytałam książki i choć myślałam o świecie poza misją, nie widziałam w nim siebie. A jednak dzisiaj po spotkaniu z Langami wiedziałam, że coś się we mnie zmieniło. Wiedziałam, że już nigdy nie będę mogła spojrzeć tak samo na misję czy nawet na rodziców.

Obecność Langów wyzwoliła coś także w Kaiu.

- Dlaczego ojciec nazwał cię Malachiaszem?

- To moje pełne chrześcijańskie imię.

- Ale... - Nigdy nie myślałam o imieniu Kaia, bo uznałam, że jest zdrobnieniem od hinduskich imion Kairav lub Kai-lash. Anie od chrześcijańskiego biblijnego imienia. - Matka nazwała cię Malachiaszem?

- Chyba tak. Może twój ojciec nalegał - powiedział, nadal zajęty, nie spoglądając na mnie.

- Więc będziesz teraz mieszkał w Lahore? - zapytałam, mimo że przed chwilą mi o tym mówił.

- Tak - odparł krótko.

Chciałam przypomnieć sobie uczucie, które ogarnęło mnie przed chwilą, zanim zniszczył je śmiech pana Langa. Chciałam, by Kai powiedział coś znaczącego, dzięki czemu wiedziałabym, że będzie tęsknił za mną tak jak ja za nim. Że nie odejdzie z mojego życia tak nagle.

- Prawdopodobnie wielebny zatrudni na stałe jednego z synów Sanosha, by pomagał w pracy - powiedział tylko z roztargnieniem, jakby to było ważne, jakby tylko tego miało nam zabraknąć: silnego ciała do malowania, noszenia wody, naprawiania strzechy i zajmowania się fizyczną pracą w misji.

Włożył książki na dno torby i sięgnął po zrolowane mapy.

- To daleko.

- Lahore wcale nie jest daleko, Pree.

- Ale...

Nie będziesz tęsknił za moim widokiem co dnia? Nie będziesz myślał o mnie i zastanawiał się, co robię, czy ja będę myślała o tobie?

- Co ale? Powinienem był wyjechać dawno temu. Nie wiem, dlaczego zostałem i chodziłem na jego pasku - powiedział, kiwając głową w stronę infirmerii. Rzucił mapy obok mnie na łóżko. Mocnym ruchem złożył razem parę sandałów i w powietrze wzbil się obłoczek kurzu. Wrzucił je do torby, a potem wyciągnął rękę. Podałam mu mapy. Zatrzymał się na chwilę, gdy oboje trzymaliśmy długie rolki papieru, a nasze palce znalazły się kilka centymetrów od siebie. - Dla ciebie jest tu inaczej, Pree.

- Dlaczego?

- Bo jesteś kobietą. Nie będziesz musiała ruszać w świat, żeby się sprawdzić.



- Dlaczego nie? Sądzisz, że będę tu szczęśliwa, do końca życia pomagając w infirmerii? Słuchając pustych kazań ojca? Udając, że się modlę? Myślisz, że tylko taką przyszłość mam przed sobą?

Westchnął, wyjął mi mapy z ręki i usiadł obok mnie na łóżku.

- Nie wiem, Pree. - Nagle odwrócił głowę i spojrzał mi prosto w twarz. - Tak, wiem. Nie widzę cię tutaj. Nie pasujesz tu tak samo jak ja.

- Co masz na myśli? Wyraz jego twarzy zmienił się.

- Nic. Źle się wyraziłem.

- Nie. Chcę wiedzieć. Dlaczego tu nie pasuję?

Przez jego twarz przemknął szybki, niecierpliwый uśmiech. Postukał mnie w skroń mapami.

- Za dużo wiesz, prawda? - To nie było pytanie, a ja nie znałam odpowiedzi. - I wkrótce będziesz chciała wiedzieć więcej. - Wstał i pokręcił głową. - Nie. Już chcesz więcej.

Pierś przepełniła mi radość, że Kai dostrzegwał moje życie i widział, kim się stałam. Dzięki temu zebrałam się na odwagę, by zadać następne pytanie.

Stanełam przed nim.

- Kai? Co powinnam zrobić? Co powinnam zrobić? - powtórzyłam.

Wiedziałam, że nie zna odpowiedzi. Ale nie chciałam, żeby wyjeżdżał.

Nie mogłam znieść myśli, że ła cząca nas więź zostanie przerwana, a jednak nie mogłam go błagać, nie mogłam krzyknąć, że nie zniosę świadomości, że tak po prostu zniknął z mojego życia.

Czy nie potrafił wyczytać z mojej twarzy, z zachowania, że jest mi tu potrzebny? Że bez niego misja straci resztki życia i stanie się pustą skorupą?

On jednak sięgnął po torbę i ułożył mapy wzdłuż jednego boku, a potem koszule i bawełniane spodnie na książkach i sandałach.

- Rodzice zadbają o twoją przyszłość, Pree - powiedział.

Wbiłam wzrok w podłogę, nie chcąc, by dostrzegł moje rozczarowanie, gdyby się nagle odwrócił.

- Moi rodzice? Naprawdę w to wierzysz? - mruknęłam.

Po dzisiejszym dniu, kiedy porównałam moich wyblakłych, zmęczonych rodziców z głośnymi, kolorowymi Langami, uświadomiłam sobie, jak bardzo są bezbarwni. Powoli wtapiali się w indyjski krajobraz. Ile czasu minie, zanim ze mną stanie się to samo? Zanim ja też stanę się częścią tła, zgniłej roślinności, kurzu?

- Oczywiście. - Pakował się dalej, choć wyraźnie zastanawiał się nad moim pytaniem. - Niedługo na pewno znajdą... - Spojrzał na mnie.

- Co? - zapytałam zawstydzona, że szybko to jedno słowo spłynęło z moich ust.

- Znajdą ci męża - powiedział. Prychnęłam niegrzecznie.

- Nie o tym rozmawiamy, dobrze wiesz - powiedziałam. Nie mogłam znieść wysokiego brzmienia mojego głosu. Dźwięczącej w nim rozpaczy. Kai rzucił mi uśmiech, w którym nie było za grosz ciepła.

- Zajmiesz się działalnością misyjną jak twoi rodzice. I na pewno wyjdiesz za mąż. Pewnie za młodego wielebne, który będzie chciał założyć własną misję.

Znów usiadłam.

- Nie mów tak.

- Czemu nie? A czego oczekujesz od życia? Nie jesteś już dzieckiem, Pree. Rozumiesz, o czym mówię.

Nie mogłam na niego patrzeć i wbiłam wzrok w torbę w paski. Kai zdjął małe lustro, które wisiało na gwoździu przy drzwiach. Znów usiadł obok mnie, trzymając je tak, że odbijały się w nim nasze twarze. Miał takie ciemne włosy i zaskakująco zielone oczy. Moje oczy błyszczały złotem, jak zawsze, gdy byłam na krawędzi łez. Okolone czarnymi rzęsami mocno rysowały się w twarzy. Słońce rozjaśniło mi pasemka włosów. Zapomniałam, że je upięłam.

- Spójrz na nas - powiedział. - Dwie zagubione dusze. Nie rozumiałam tego nagłego niepokojącego tonu, spo sobu, w jaki wpatrywał się w odbicie własnych oczu, jakby czegoś tam szukał. Ja też w nie spojrzałam.

- Kai? Państwo Lang wzięli mnie za *aje*. - Zwęziły mu się źrenice, lecz poza tym jego twarz była zupełnie nieru choma.

- Langowie są głupi - powiedział. - On jest przekonany o swojej wyższości, a ona pije.

- Zapytała, czy matka cierpi na piasek w głowie - po wiedziałam, pragnąc, by raz jeszcze powtórzył, że Langowie są po prostu głupi i ich gadanie nie ma sensu.

- Musisz się nią opiekować - powiedział tylko. - Była dla mnie lepszą matką niż moja własna. - Skończył pakować resztę skromnego dobytku i stanął przede mną. Podniosłam się z łóżka. Czubek mojej głowy sięgał mu do nosa. - Na razie do widzenia, mała *bahan* - powiedział i położył mi ręce na ramionach. Jednak zamiast ucieszyć się ze słowa, którym tak bardzo chciałam, by mnie nazywał, kiedy byłam mała, rozzłościłam się. Wcale nie czułam, że jestem jego siostrą, i nie byłam mała. Byliśmy mężczyzną i kobietą, uwięzionym i w tej samej pułapce, rozmawiającymi o przyszłości.

- Powiedz wielebnemu i pani Fin, że wyjechałem do Lahore na dobre.

- Nie zostaniesz nawet, żeby się z nimi pożegnać? - zapytałam zaskoczona, myśląc nagle o Glory.

- Nie mam ochoty oglądać znów tych Amerykanów.

- Ale będziesz nas odwiedzać?

Nie odpowiedział, tylko wsunął rękę do torby. Wyjął jedną książkę i kawałek węgla, którym znaczył mapy. Napisał coś na pustej kartce na końcu książki, wyrwał ją i położył na łóżku.

- Gdybyś kiedyś chciała mnie znaleźć - powiedział. Pochylił się i pocałował mnie w czoło. Objęłam go ramionami i i mocno przytuliłam. Podniosłam głowę tak, że moja usta znalazły się na jego szyi.

- Ale wrócisz, żeby się ze mną zobaczyć, prawda? -szepnęłam prosto w jego skórę. Pachniała czymś lekko pikantnym. - Powiedz, że niedługo wrócisz. - Czułam pod wargami jego puls. Coraz szybszy. Raz - dwa - trzy -cztery - pięć - sześć - tak szybko, że się pogubiłam.

Nagle położył mi ręce na ramionach i odepchnął.

- Do widzenia, Pree - powiedział, odwrócił się i wyszedł przez drzwi z torbą przerzuconą przez ramię.

Usłyszałam jego cichy głos, jak żegnał się z Sanoshem i Pavitem - czy pożegnał się z matką? - a kiedy w końcu rozległ się tętent konia na podwórzu, wyszłam na drogę, by go jeszcze raz zobaczyć. Stożące nisko na niebie słońce spływało na jego białą koszulę ciepłym, złotym blaskiem.

Puściłam się biegiem, wołając jego imię.

Zatrzymał się, odwrócił konia, ale nie zsiadł.

- Kai! - krzyknęłam, lecz byłam zbyt daleko od niego. -Nie odjeżdżaj.

Poruszył się, jakby chciał zsiąść z konia, jednak zaraz wyprostował ramiona.

- Wracaj do domu, Pree - zawołał. - Proszę. Nie rób tego. - Jego głos niósł się do mnie przez drogę; wydawało mi się, że widzę jego słowa tańczące w powietrzu. Chciałam je złapać i przytulić. Chciałam je poczuć, jak czułam jego puls pod wargami.

Odwrócił konia i kiedy uderzył piętami w jego boki, koń ruszył cwałem, wzbijając obłok żółtego kurzu.

Przestałam biec, stanęłam i patrzyłam za Kaiem, aż stał się małą czarną plamką na długiej drodze.

Nie obejrzał się.

Poszłam do jego chaty i położyłam się na łóżku. Przewróciłam się na brzuch, ukryłam twarz w lekkiej narzucie i wdychałam jego zapach.

Gorące słońce, ciepły wiatr. Tę trudną do zidentyfikowania woń przypraw.

Z pewnością rodzice całowali mnie, kiedy byłam mała.

Na pewno. Ale w tej chwili nie mogłam sobie przypomnieć dotyku niczyich warg na skórze. Tylko wspomnienie dotyku Kaia na moim czole pozostało, podobnie jak pulsowanie jego żyły pod moimi wargami.

Miałam ciężką głowę i ciało, nie od snu, lecz smutku. Przewróciłam się na wznak, biorąc do ręki złożoną kartkę, którą zostawił. Spojrzałam na jedną napisaną na niej linijkę, a potem położyłam kartkę na brzuchu, raz po raz wyglądając ją palcami.

W końcu usłyszałam głosy na podwórzu. Wstałam i powoli podeszłam do drzwi.

Langowie żegnali się z rodzicami. Przeszli przez podwórze do powozu, który czekał na nich przez cały ten czas. Stojąc w cieniu drzwi chaty, nie dbałam o to, czy mnie zauważą, czy nie. Jednak niespodziewanie pani Lang zatrzymała się i zaczęła rozglądać się z determinacją po podwórzu, osłaniając dłonią oczy przed popołudniowym słońcem.

- Panno Fincastle - zawołała, gdy mnie dostrzegła. Dlaczego nie weszłam do chaty i nie spuściłam maty? Dlaczego pozwoliłam, żeby mnie zobaczyła? - Proszę przyjść i pożegnać się z nami.

Trzymając ciągle kartkę, podeszłam do powozu. Na twarzy pani Lang malował się spokojny wyraz odprężenia. Stojąc blisko niej, wyczułam ostry, świeży zapach alkoholu w jej oddechu.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia zobaczymy panią w Peszawarze - powiedziała. - Musi pani przyjechać i odwiedzić naszą misję. - Pochyliła się i szepnęła konfidencko: - W życiu chodzi o coś więcej. - Jej oddech był jak żywe stworzenie.

Choć popołudniowe słońce nadal świeciło, nagle zniemacka spadły krople deszczu.

- Tak - powiedział pan Lang. - Musi pani przyjechać do Peszawaru. - Zrobił krok w moją stronę i położył dłoń na moim gołym karku. Miał gorące, wilgotne palce i mocno chwycił mnie za szyję. Jak śmiał mnie dotykać? Nie miał

prawa do takiej poufałości. Być może Amerykanie kierują się innymi zasadami. Mimo wszystko poczułam się urażona.

Spojrzał w niebo.

- Wesele szakala. Czyż nie tak mówią, gdy świeci słońce i pada deszcz?

Nie odpowiedziałam.

- Mądra, elokwentna i odczytana młoda dama jak pani mogłaby być ozdobą naszej misji - powiedział. - Potrzebujemy młodych, niezależnych kobiet, by osiągać sukcesy w naszej pracy. Ze swoim religijnym wychowaniem posiada pani dodatkowo pewną wiedzę medyczną i znajomość języków tego kraju. Mogłaby się pani spełnić, szkoląc misjonarki. Jest tyle młodych kobiet, które pragną wejść do zamkniętych *zenan* i za bramy *purdah*. Nie mamy dość ludzi, by je szkolić. - Przycisnął palce jeszcze mocniej, a ich dotyk budził we mnie obrzydzenie.

Pani Lang zdawała się niczego nie dostrzegać.

- Peszawar jest dziwnym i czasami nieprzyjaznym miejscem -

powiedziała. - Ale my nauczyliśmy się go kochać, prawda, panie Lang? - oświadczyła stanowczo, przenosząc w końcu wzrok na rękę męża. -

Ruszajmy. Nie chcę zmoczyć sukni.

Pan Lang zdjął rękę z mojego karku i wyciągnął ją do niej. Podała mu dłoń w rękawicze.

Stałam w milczeniu, podczas gdy pan Lang wsiadł za żoną do powozu.

Czy nie zauważyli, że nie odezwałam się ani słowem? Woźnica, który siedział przez tyle godzin na słońcu, uderzył lejcami w grzbiety koni.

Zarżały i uniosły łby. Patrzyłam, jak powóz z pasażerami odjeżdża, nagle bardzo tym wszystkim zmęczona: nużącym popołudniem z Langami, denerwującym epizodem w infirmerii, a zwłaszcza wyjazdem Kaia.

Wróciłam do jego chaty; leżąc na łóżku, uświadomiłam sobie, że drżą mi nogi. Zamknęłam oczy i próbowałam sobie przypomnieć dotyk jego ust na czole.

Ale nie mogłam. Pozostał tylko palący ślad palców pana Langa na moim karku.

- Kai - szepnęłam.

Przytłaczające poczucie straty i porzucenia ogarnęło mnie z niemal fizyczną siłą. Wybuchnęłam płaczem, zakrywając mocno usta dłońmi, by nie wymknął się z nich żaden dźwięk.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przez następne dwa miesiące wyczekiwałam powrotu Kaia, wciąż podnosząc wzrok z ogrodu lub werandy i obserwując drogę po kolacji.

- Glory? - zapytałam ją pewnego wieczoru. - Tęsknisz za Kaiem? Nie masz od niego żadnych wiadomości?

- On jest mężczyzną, Pree. Robi, co musi.

- Myślisz, że wróci? Spojrzała na mnie.

- Wróci. Jestem jego matką. Musi wrócić, żeby się mną opiekować. Kiedy będzie miał żonę i dom, zabierze mnie do siebie.

Nie wiem, co zdenerwowało mnie bardziej: pewność siebie Glory, że syn, którego tak źle traktowała, zaopiekuje się nią, czy też jej słowa o ślubie Kaia.

To jasne, że pewnego dnia się ożeni. Usta wykrzywiły mi się bezwiednie i z obrzydzeniem odwróciłam się od Glory. Potrafiła sprzedać własną córkę, żeby nie ponosić za nią odpowiedzialności, a jednak oczekiwała, że syn będzie się opiekował nią do końca życia.

Drobna buzia Adriany powoli zacierała się w mojej pamięci. Wiedziałam, że rośnie i się zmienia. Teraz miałyby już siedem miesięcy. Kto się nią zajmował? Kto wiedział, że kiedy potrząsa się wyschniętym strąkiem tamaryndowca, grzechot nasion doprowadza ją do śmiechu? Powtarzałam sobie, że tak reagowała, gdy była malutka, a teraz potrzebuje nowych zabawek. Ile ma zębów? Czy włosy nadal się jej kręca, jak Kaia, gdy są wilgotne?



Żałowałam, że nie mam ani jednej jej fotografii, takiego zdjęcia, jakie widziałam u angielskich rodzin na wystawie fotografii w Lahore. Nie miałam nic, co by mi ją przypo miñało.

Jessie znów oczekiwała szczeniąt. Biedaczka. Szczeniła się co pół roku. Zawsze chowała się po kątach, gdy jej czas się zbliżał.

Ämoja matka była coraz bardziej niespokojna i rozkoja rżona, także w infirmerii. Gubiła się, czasami brała złą bu telkę z lekarstwem lub wsypywała nie te proszki do papierowej tutki. Kiedyś zaczęła przecinać wrzód, nie sterylizując wcześniej skalpela. Musiałam nieustannie ją obserwować, upewniając się, by nie popełniła jakiegoś błędu.

Zbliżała się pora wyjazdu do Lahore, by ojciec mógł odebrać swoje półroczne pobory. W wyznaczony dzień włożyłam najlepszą sukienkę. Na szczęście w ostatnim pudle z darami znalazłam parę butów; stare były już zdecydowanie za małe. Nowe z kolei nieco za duże i obcierały mi pięty, ale za duże były lepsze niż za małe.

Piłam herbatę z ojcem w saloniku przed kominkiem; niewielki ogień wydzielał przyjemne ciepło w chłodny poranek. Potem poszłam sprawdzić, czy matka jest gotowa. Stała na środku sypialni w halce, lecz kiedy weszłam, gwałtownie odwróciła się do mnie plecami.

- Mamo? - powiedziałam, podchodząc. - Potrzebujesz pomocy z...

Szybko splotła ręce na płaskiej piersi, lecz w tym ułamku sekundy zauważyłam rany, niektóre ze strupami, a inne z krzepnącą dopiero krwią na wewnętrznej części jej przedramion.

- Co się stało, mamo? - zapytałam, próbując odlepić jej ręce od ciała.

Spojrzała na mnie ze złością.

- Wyjdź. Zostaw mnie. Próbuję wybrać suknię.

- Twoje ręce...

- Idź i każ Sanoshowi zaprząć Martę. Idź - powiedziała tak nagle, że wycofałam się z pokoju.

Co było powodem ran? Czyżby jakaś infekcja? Może coś ją pogryzło? I dlaczego je ukrywała, jakby zawstydzona?

Wyjechaliśmy na Grand Trunk Road w wietrzny grudniowy ranek. Nad polami wisiała mgła, a z nozdrzy Marty wydobywały się długie pasma pary. Jednak kiedy słońce wzniosło się wyżej na niebo, przegnało mgłę i w połowie drogi do Lahore zrobiło się na tyle ciepło, że mogłam zdjąć drugi szal.

Przyjechaliśmy do Lahore w południe. Przez całą drogę dotykałam kartki papieru, którą schowałam w małej torebce - kartki, która miała zaprowadzić mnie do Kaia.

Kiedy ojciec wyszedł z kapelanii, wsiadł na wóz i poruszając ustami, starannie przeliczył kilka banknotów i dużo monet. Potem usiadł w milczeniu, jakby coś kalkulował. Wreszcie dał mi kilka ann.

- To niewiele, Pree. Ale może kupisz sobie kilka nowych wstążek do włosów.

Podziękowałam mu. Pierwszy raz dostałam pieniądze i mogłam wybrać coś dla siebie. I zobaczę Kaia. Tego dnia nic nie mogło zakłócić mojego podniecenia.

Ojciec zostawił wóz obok innych na bocznej drodze i przywiązał lejce do słupa, obiecując annę umorusanemu dziecku, by pilnowało wozu.

Zostawił mnie z matką i poszedł załatwiać swoje sprawy.

Na bazarze matka sprawiała wrażenie lekko zagubionej, wędrując bez celu, biorąc do ręki melona lub dotykając kawałka jedwabiu. Wiedziałam, że potrzebuje szpilek do włosów, lecz ona nadal brała do ręki różne rzeczy, po czym je odkładała. Anny dźwięczały mi w torebce, a kartka Kaia szeleściła. Chciałam zostać sama, z dala od matki i jej niekończących się rozterek.

Wreszcie powiedziała, że napije się herbaty w jednej

z angielskich herbaciarni, i pozwoliła mi iść samej. Umówi łyśmy się za dwie godziny na pobliskim placu.

Musiałam zapytać kilka osób o adres, który zapisał mi Ka i. Kiedy szłam szybko wąską alejką, zauważyłam w jednym z małych sklepów używane angielskie książki i zatrzymałam się, by obejrzyć pozycje o kartografii. Targowanie się ze sprzedawcą zajęło mi kilka chwil. Turban starszego mężczyzny zadrżał z powstrzymywanej irytacji, kiedy nie chciałam zapłacić mu ceny, jaką zażądał. W końcu - jak przewidywałam - zgodził się na moją. Podałam mu anny wsunęłam książkę pod pachę i znów pośpieszyłam alejką, mijając tłuste krowy z pomalowanymi rogami i kulawe psy. Zwierzęta tłoczyły się wokół stosów przegniłych warzyw, które leżały przy fundamentach budynków.

Wreszcie dotarłam do miejsca, którego szukałam. Był to mały, ciemny sklep, w którym sprzedawano sandały wyłożone na niskim stole. Siedział za nim młody mężczyzna, sądząc po kolorze skóry i włosach Euroazjata. Leniwie popijał czaj. Kiedy weszłam do środka, wstał.

- Słucham, memsahib? Chce pani kupić sandały? - zapytał po angielsku z szerokim uśmiechem.

Nie było to miejsce, w jakim spodziewałam się znaleźć Kaia.

- Nie. Szukam Kaia da Silvy. Pracuje tutaj? Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, kiedy spuścił wzrok na filiżankę.

- Jestem jego przyjaciółką. Nazywam się Fincastle - powiedziałam, zdumiona jego nagłą przemianą.

- Chwileczkę, memsahib. - Zniknął za niskimi drzwiami, których nie zauważyłam.

Po chwili wyszedł z nich Kai, schylając głowę. Za nim pojawił się młody mężczyzna. Serce łomotało mi boleśnie. Oblizalam wargi, nagle przejęta jego widokiem.

- Pree - powiedział, podchodząc do mnie. Zapomniałam, jaki jest wysoki i jakie wspaniałe ma zęby. -

Wszystko w porządku? - zapytał, otwierając szeroko oczy. Nie uśmiechał się.

Przyłożyłam dłonie do policzków. Były rozpalone i wiedziałam, że twarz może zdradzić, jak bardzo się cieszę z tego spotkania.

- Tak - odparłam i wargi zadrżały mi lekko. Nie mogłam się uśmiechnąć.

- Tak. Wszystko jest w porządku. Przyszłam... przyszłam się z tobą zobaczyć.

Z jego twarzy zniknął wyraz napięcia.

- To dobrze.

Staliśmy w zakurzonej sklepie. Dzieląca nas odległość była stanowczo zbyt duża. Chciałam znaleźć się blisko niego, poczuć jego zapach.

Chciałam wiedzieć, że on czuje to samo.

- Dobrze się miewasz? - zapytałam, patrząc na stół z sandałami. - Robisz czy sprzedajesz sandały?

Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia w głosie. Z pewnością Kai nie opuścił misji, by spędzać całe dni w takim dusznym miejscu.

Nie odezwał się od razu, mimo że otworzył usta.

- Chodź - rzekł w końcu i ruszyłam za nim, gdy schylił się w niskich drzwiach. Kiedy znaleźliśmy w pokoju obok, zamknął drzwi. Pachniało tu atramentem i leżało mnóstwo papierów. Na ścianach syczały lampy, uzupełniając blask wpadający przez wysokie zakratowane okno. Inny młody mężczyzna, muzułmanin, stał z ręką na dźwigni maszyny, której nie rozpoznałam. Patrzył na mnie bez uśmiechu.

- Wyjdźmy na podwórze - powiedział Kai i mijając mężczyznę, mruknął do niego coś zbyt cicho, bym mogła usłyszeć.

Podwórze było małe, zarzucone drewnianymi skrzyniami. Po obu stronach ocieniały je wyższe budynki. Brudny biały pies leżał rozciągnięty na boku na plamie słońca. Podniósł łeb i spojrzał na nas zaspanym wzrokiem, a potem znów położył łeb na twardej ziemi.

- Przyjechałaś do Lahore z rodzicami? - zapytał Kai, gdy stanęliśmy zwróceniu do siebie twarzami.

- Tak. Mój ojciec odebrał pieniądze, a teraz robi zakupy.

- Dobrze się czują? Czy syn Sanosha pomaga w misji? Rozmowa była błaha. Myślałam o tylu rzeczach, które chciałam mu powiedzieć w ciągu tych ostatnich miesięcy, ale wyleciały mi z głowy jak stadko gołębi, które wzbiło się w powietrze z pobliskiego dachu. Leciały coraz wyżej, aż w końcu wyglądały jak kawałki materiału na błękitnym niebie.

- Jak zwykle. I Darsham przychodzi od czasu do czasu do pomocy. Ale to... - Wskazałam gestem chylący się tył sklepu. - Tutaj pracujesz? W sklepie z sandałami? - Znów starałam się powstrzymać zaskoczenie. Kai wyciągnął rękę, by odgarnąć opadające na oczy włosy. Koniuszki palców miał czarne, poplamione. To niebyła farba z sandałów, lecz tusz. Nic nie mogłam wyczytać z jego twarzy.

- Zajmujemy się też inną pracą.

- Drukujecie książki? - zapytałam.

To miałyby większy sens. A jednak nie widziałam żadnych książek w pokoju na tyłach sklepu. Tylko stosy papieru.

- Nie. Drukujemy... codzienne wiadomości, w pewnym sensie. Mieszkam w pokoju na górze. Ale to nieważne. - Widać było wyraźnie, że nie chce rozmawiać o tym, czym się zajmuje, zaniepokoiłam się. - Wszystko jest więc w porządku? - spytał trzeci raz.

- Tak - powtórzyłam, a potem podałam mu książkę. - Nie wiem, czy jeszcze interesują cię mapy... - Poczułam, że nieoczekiwanie się rumienię. - I przepraszam, ale jest trochę zniszczona.

Wreszcie uśmiechnął się do mnie. Wziął książkę i otworzył ją, przerzucając kartki.

- Dziękuję, Pree - powiedział. - Jak ty mnie dobrze znasz. - Podniósł wzrok, ale nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy. - Ja też mam coś dla ciebie.

Zniknął w sklepie i wrócił kilka chwil później, niosąc jakiś pakunek zawinięty w gazetę. Drzwi zostawił otwarte.

- Chciałem ci to przywieźć do misji, kiedy przyjadę w odwiedziny.

- Minęły już dwa miesiące - powiedziałam. - Myślałam, że nas odwiedzisz wcześniej - dodałam lekkim tonem, radosna, choć nie było mi wesoło, gdy czekałam na jego powrót. - Jak wspominałeś, Lahore nie jest aż tak daleko. I masz przecież konia.

Skinął głową.

- Chciałem przyjechać wcześniej. Ale byłem bardzo zajęty. Pracą. - Podał mi pakunek.

Wzięłam go do ręki i twardy, kwadratowy kształt powiedział mi od razu, że to też książka.

- Lubisz swoją pracę? - zapytałam. Chciałam, żeby mi się zwierzył, żeby powiedział, dlaczego przyjechał do Lahore. Nigdy nie uważałam, że jest nieuczciwy, ale już dawno uznałam, że jest bardzo tajemniczy i pełen pasji. - Jesteś z niej zadowolony? - naciskałam.

Jednak jego twarz znów się zamknęła, jak kilka chwil wcześniej.

- Tak - odparł. - Ale otwórz teraz paczkę.

Nie chciałam rozwijać szeleszczącego papieru. Pragnęłam chłonąć tę chwilę, pozwolić, by radość płynąca ze spotkania z Kaiem, choć krępującego, trwała jak najdłużej. Przycisnęłam na chwilę paczkę do piersi, a potem, nie patrząc na niego, rozpakowałam ją, upuszczając papier na ziemię.

- Mary Woolstonecraft. *Wołanie o prawa kobiet* - przeczytałam, a potem spojrzałam na niego. - Pamiętasz, jak kiedyś o niej mówiłam? I jest nowa. Nowa książka - powiedziałam, pieszcząc dłonią piękną okładkę.

Podniosłam ją do twarzy

i powąchałam świeży zapach. - Nigdy nie miałam nowej książki.

Dziękuję ci - powiedziałam. - Ty też mnie dobrze znasz. Teraz jest mi jeszcze bardziej głupio, że książka, którą ci dałam, jest...

- Wyglądasz doroślej, Pree - przerwał mi, a mnie zro biło się gorąco.

- Bo jestem starsza o kilka miesięcy.

- Wiem. Ale chodzi o coś innego.

Próbowałam się uśmiechnąć, choć czułam, że robię to nienaturalnie.

- Może chodzi o to, że nigdy nie widziałeś mnie poza misją. Ostatnio dostaliśmy nowe pudło z darami. Ta su kienka nie jest tak zniszczona jak większość i choć raz na mnie pasuje. I teraz zawsze upinam włosy - paplałam zbyt szybko, niemal bez tchu.

Skinął głową.

- Ty też świetnie wyglądasz, Kai.

Znów skinął głową, najwyraźniej tak samo zakłopotany jak ja, a potem zapanowało między nami niezręczne mil czenie. Otworzyłam książkę na pierwszej stronie, potem na drugiej, ale choć udawałam, że czytam, nie mogłam rozszyfrować słów. Kai odchrząknął.

Staliśmy w chłodnym grudniowym powietrzu, aż nagli' rozległo się wezwanie muezina do popołudniowej modlitwy, przypominając mi o upływającym czasie.

- Muszę iść. Matka będzie na mnie czekać - dodałam, czując, że ogarnia mnie rozpacz. - Muszę iść - powtórzyłam. Nie wiem, czego się spodziewałam. Przyszłam zobaczyć się z Kaiem i zobaczyłam go.

Skinął głową.

- Ja też mam mnóstwo pracy przed końcem dnia.

To mnie rozczarowało. Chciałam, by namawiał mnie, żebym została; by powiedział, że niczego nie pragnie bardziej, jak tylko spędzić ze mną jeszcze jedną godzinę.

- Lepiej już pójdę - powiedziałam, podnosząc papier z ziemi. Owinęłam nim książkę świadoma, że zbytnio prze ciągam chwilę rozstania.

Ruszyłam w stronę sklepu, a on poszedł za mną. Zanim dotarłam do drzwi, odwróciłam się i położyłam mu dłoń na ramieniu, a on spojrzał na nią. Potem nagle - nieoczekiwanie czy też przez cały czas chciałam to

zrobić? - objęłam go, nadal ściskając niezgrabnie książkę, a po sekundzie wahania on zrobił to samo. Staliśmy tak przez chwilę, spleceni ramionami w lekkim uścisku. Dotykały się tylko nasze ramiona, nie ciała. Nagle, nigdy się nie dowiem, czy zrobił to Kai, czy ja - jedno z nas poruszyło się i poczułam dotyk jego ciała przy swoim. Zostaliśmy tak przez kilka sekund; czułam znajomy ostry zapach jego skóry. Przesunął policzkiem po mojej skroni, a potem poczułam chłodny dotyk jego warg na policzku.

- Do widzenia, Pree - rzekł cicho.  
Nie mogłam się powstrzymać. Odwróciłam twarz i zanim odsunął usta od mojego policzka, przycisnęłam usta do jego warg. Nie wiem, skąd znalazłam tyle odwagi.

Nie odsunął się, choć czułam, że drgnął zaskoczony. Pozostawił jednak usta na moich ułamek sekundy dłużej, niż wymagałby tego niewinny, cnotliwy pocałunek i w tej chwili poczułam, że jego wargi robią się gorące. Moje ciało natychmiast się rozluźniło i mocniej przytuliłam się do niego.

On jednak odsunął mnie łagodnie. Spojrzałam mu w twarz; patrzył gdzieś nad moją głową. Wyczułam, że ktoś jest za nami, z pewnością ten drugi mężczyzna obserwował nas przez drzwi.

- Do widzenia, Pree - powtórzył Kai, cofając się jeszcze o krok.

Poczułam, jakby coś mi wyrwano; coś, co pragnęłam odzyskać z gwałtownością, jakiej wcześniej nie znałam.

- Matka będzie się o ciebie martwić - powiedział. - Masz annę na riksę? Nie powinnaś sama chodzić po ulicach.

- Nikt mnie nie zaczepia - odparłam zgodnie z prawdą. Bez względu na to, co myśleli o mnie Hindusi, muzułmanie i sikhowie, traktowali mnie z szacunkiem. Byłam młodą Angielką, a Anglicy panowali w Pendżabie.

- Przyjedziesz do misji? - zapytałam. Nie powiedziałam „wkrótce” ani „kiedyś”.

- Oczywiście. Przekaż wyrazy szacunku wielebnemu



i matce - powiedział, a jego oficjalne słowa znów podkreśliły dzielący nas dystans.

Skinęłam głową i przyciskając książkę do piersi, prze szłam przez sklep, mijając mużłmanina - który pociągał teraz dźwignie maszyny - drugie drzwi, stół z zakurzoną filiżanką i sandałami i młodego mężczyznę z filiżanką czaju. Odwróciłam się, by pomachać do Kaia. Stał w otwartych drzwiach i uniósł rękę w geście pożegnania.

Czy jeszcze kiedyś go zobaczę?

Kiedy dotarłam na umówione miejsce, matka chodziła niecierpliwie tam i z powrotem. Wyglądała na dziwnie podnieconą, wykrzywiła usta, a jej oczy lśniły mocnym blaskiem. Chwyła mnie za ramię.

- Pospiesz się, Pree. Pospiesz - powiedziała, ciągnąc mnie za sobą. Już od dawna nie widziałam, by szła tak szybko, choć oczywiście lekko kulała. - Tak długo cię nie było. A wszyscy o tym mówią. Spóźnimy się.

- Spóźnimy? Na co? Dokąd idziemy? - zapytałam, idąc za nią do rikszy, ale nie odpowiedziała. Jechaliśmy przez miasto w stronę jednej z bram, lecz nie tej, przy której czekał nasz wóz i ojciec.

Kiedy wysiadliśmy z rikszy, nadal nie wiedziałam, po co mnie tu przywiozła. Zebrał się tam wielki tłum i widziałam tylko górne gałęzie baniana. Wyrastały z niego długie rozłożyste korzenie, podtrzymujące duży pień.

- Przepuście nas - powiedziała matka, ciągnąc mnie za rękę. - *Chala jana, chala jana*, z drogi, ruszać się - krzyknęła ostro. Tłum tubylców rozstał się posłusznie. Mężczyźni i kobiety odsunęli się, byśmy mogły swobodnie przejść. Kiedy wreszcie stanęliśmy na przedzie, zobaczyłam stos pogrzebowy ułożony w cieniu baniana. Spojrzałam na matkę. Nie przyciskała chusteczki do ust i miała rozchylone wargi. Z kącika ust ciekła jej strużka śliny. Wydawało się, że tego nie czuje. Jej zapadnięte policzki pokrył niezwykle rumieniec.

- Mamo? - zapytałam, podnosząc głos, by mnie usłyszała w panującym hałasie. Ścisnęła mnie boleśnie za rękę i próbowałam ją wyrwać. W drugiej ręce trzymałam prezent od Kaia.

Matka jednak nie zwracała na mnie uwagi, ścisnąc mi rękę w nieświadomym żelaznym uścisku. Serce podskoczyło mi gwałtownie i zaczęło bić jak oszalałe.

W następnej chwili tłum ucichł, a serce załomotało mi boleśnie w piersi. Już wiedziałam, gdzie przyprowadziła mnie matka. W ostatniej słabej próbie usiłowałam wyrwać rękę, lecz bez powodzenia. Pokręciłam głową, jakbym mówiła „nie, nie”, nie zwracając się przy tym do nikogo konkretnego.

W ciszy zaryczał wielbłąd, a potem nadeszli krewni zmarłego. Na czele pochodu szła kobieta; jej okrągła twarz była dziwnie spokojna, a powieki ciężkie. Kąciki ust unosiła w uśmiechu. Czy dali jej coś, być może opium, by wprowadzić ją w ten dziwny stan? A może to tylko siła miłości i duchowe uniesienie? Była ubrana w czerwony ślubny strój, ręce miała pomalowane henną, a złote bransoletki na rękach i nogach lśniły w popołudniowym słońcu.

Widziałam wyraźnie, że jest młodsza ode mnie.

Tuż za nią sześciu mężczyzn niosło plecione nosze, na których leżała postać otulona złotą materią. Mąż.

Kiedy doszli do stosu, kobieta odłączyła się od reszty i ze czcią obesła ułożone polana i gałęzie. Jej usta poruszały się jakby w cichej modlitwie. Rodzina męża przeszła przed matką i przede mną, by ułożyć ciało na stosie, i przez chwilę widziałam odkrytą twarz. Zmarły nie miał więcej niż dwadzieścia lat i był przystojny nawet po śmierci. Długie rzęsy ocieniały policzki, a górna warga miała chłopięcy kształt.

Nagle rozległy się bębny i śpiewane modlitwy, a dziewczyna zatrzymała się. Mężczyzna i kobieta - najwyraźniej jej teściowie - łagodnie i z szacunkiem ujęli ją pod ramiona i pomogli jej wejść na stos, by dołączyć do zmarłego męża.

Patrzyłam jak zaszarowana, kiedy sadowiła się wygodnie, kładąc głowę męża na kolanach. Dłonie oparła na jego po policzkach. Jej ozdobione henną palce wyglądały jak u dziecka. Miała obgryzione paznokcie. Dookoła panowało pełne re spektu i podziwu milczenie; za nami rozlegały się przy tłu mione odgłosy miasta, a ja czułam, jakby cały wszechświat skurczył się do tego jednego miejsca. Było mi na zmianę zimno i gorąco, jakby ogarnęła mnie gorączka. Nie wiem, czy matka nadal trzymała mnie za rękę, bo zupełnie nie czułam swojego ciała. Widziałam tylko spokojną twarz dziewczyny; zbliżała się i oddalała, zbliżała i oddalała, pulsując jak słońce. Oczy paliły mnie, jakbym rzeczywiście patrzyła na słońce, ale nie mogłam odwrócić wzroku.

Nagle rozległ się cichy trzask; nie widziałam, jak zapalano podpałkę, ale dźwięk był coraz głośniejszy. Polana zaczęły płonąć, a płomienie, wachlowane zimowym wiatrem, trysnęły w niebo w nagłym podmuchu. Dźwięk bębnów i śpiewów narastał, teraz dołączył do nich cały tłum. Ja tylko patrzyłam.

- Ona naprawdę jest świętą i boginią - szepnęła matka, chwytając mnie za ramię.

Wreszcie mogłam odwrócić wzrok i spojrzałam na matkę. Jedynie kiedy trzymała Adrianę, miała tak łagodną twarz. Teraz pojawił się na niej wyraz zaspokojenia, spełnionego pragnienia. Otworzyła usta, a gdy czubkiem języka dotknęła wnętrza górnej wargi, zrobiło mi się niedobrze. Zupełnie jakbym była świadkiem czegoś nieprzyzwoitego, bardzo osobistego i intymnego.

Spojrzałam znów na stos. Płomienie otaczały dziewczynę, która była tylko uwięzionym wśród nich migotliwym cieniem. Nie poruszała się. Nie wiem, czy krzyczała, czy nie, bo obserwujący ceremonię ludzie wzdychali, mruźli, krzyczeli i śpiewali z aprobatą. A jednak czułam, że milczy.

Chwilę potem płomienie ogarnęły jej sari, włosy, ciało i wzbily się w niebo w radosnym podmuchu, a cały tłum

zachnął się. Matka oparła się o mnie, wciąż trzymając mnie za ramię. Drugą ręką obejmowała wątłe łono. Poruszała ustami. Wiedziałam, że mówi „tak, tak, tak, tak”.

Ze stosu dobiegło teraz straszliwe syczenie i trzaski. Nie chciałam myśleć o pękającej czaszce, stopionych organach, wypalonych kościach, a jednak przez płomienie obserwowałam, jak młodsza ode mnie dziewczyna powoli pada ofiarą ognia.

Zacisnęłam powieki, pragnąc znaleźć się gdzie indziej; pragnąc, żeby był to tylko senny koszmar. Wiedziałam jednak, że to dzieje się naprawdę, a ja jestem tego częścią. Ogarnął mnie wielki wstyd. Nie tylko dlatego, że oglądałam to wszystko, ale również ze względu na matkę. Okrutny koniec młodego życia sprawiał jej wyraźną radość.

Pierwszy raz w życiu zapragnęłam znaleźć się daleko od tego wszystkiego, od tragicznego piękna wierzeń i tradycji, które poznawałam przez całe życie. Pragnęłam znaleźć się w bezpiecznym i spokojnym miejscu, w którym nie będę niemal codziennie oglądać cierpienia, okrucieństwa i śmierci. Czy domagała się tego moja chrześcijańska dusza, ta część mnie, która nie chciała być świadkiem chwały i zniszczenia tak ściśle ze sobą związanych, że nie można było oddzielić jednego od drugiego? Czy gdzieś głęboko pragnęłam prostszych zasad, wyraźnego podziału na dobro i zło, który głosił ojciec?

W głowie miałam zamęt; otaczał mnie swąd palonych włosów i ciała, unoszący się w powietrzu popiół, zachwyt tłumu i jego krzyki. Czułam, że muszę uciec, muszę biec przed siebie, zakrywając uszy i zaciskając powieki.

Wyrwałam się z uścisku matki, przepchnęłam przez tłum i wbiegłam do miasta, nie mogąc czekać, aż ogień dogaśnie, zamieniając młodego męża i żonę, którzy pobrali się niedawno z wielkimi nadziejami, w kupkę popiołu.

Nie miałam ann na riksę i nagle nie wiedziałam, gdzie jestem, choć dobrze znałam miasto. Biegłam przez wąskie uliczki Lahore, zupełnie jakby ściagała mnie śmierć wisząca

nad stosem, znudzona i szukająca kolejnej ofiary. Ludzie rozstępowali się przede mną. Kątem oka dostrzegłam, jak Hinduska przyciąga do siebie dziecko, a muzułmanin dotyka, swego amuletu. Długo potem, gdy wracałam wspomnieniami do tamtego dnia, uświadomiłam sobie, jak musiałam wyglądać: Angielka pędząca ulicami, powiewająca spódnic, cała we łzach, ubrudzoną twarzą i włosami w nieładzie. Z dzikim wyrazem oczu przyciskałam do piersi owiniętą w gazetę paczkę. Kiedy nie mogłam już dalej biec, oparłam się o budynek przyciskając rękę do kłującego boku. Pochyliłam się do przodu i głęboko oddychałam. Potem podniosłam głowę i wolną ręką wytarłam twarz. Kiedy ją odsunęłam, zauważyłam, że mam czarne palce; farba drukarska z gazety w którą owinięta była książka, poplamiała moją wilgotną rękę. Pochyliłam się, uniosłam brzeg spódnicy i wytarłam twarz.

Trochę uspokojona, odzyskałam orientację i wreszcie znalazłam drogę do właściwej bramy. Kiedy szłam do naszego wozu, drżały mi nogi i zaschło w gardle. Matka siedziała już obok ojca.

Odwróciła głowę i przemówiła cicho, tak że ojciec zajęty lejcami Marty nie mógł jej usłyszeć

- Nie masz odwagi oglądać prawdziwego życia Pree?-spytała zimno.

Mówiła, jakbym nie była jej córką, lecz kimś kogo chce obrazić. Czy w jej oczach nadal lśniła radość, czy tylko to sobie wyobraziłam?

Usiadłam z tyłu wozu, nie mogąc znieść myśli, że znajdę się obok niej.

- Pree? - zawołał ojciec. - Dobrze się czujesz? Gdzie byłaś? Czy rozmazałaś twarz?

Nie odpowiedziałam.

- Ktoś cię zaczepiał? - zapytał, ale ja dalej się nie odwracałam.

Najwyraźniej matka nie powiedziała mu nic o strasliwym widowisku, które oglądałyśmy.

„To było *sati*”, chciałam mu powiedzieć. Ona była ode

mnie młodsza, a matka zabrała mnie tam. Zmusiła mnie, żebym to oglądała. W tej samej chwili usłyszałam cichy głos w głowie: *Czy naprawdę cię zmuszała? Nie mogłaś odejść?* To zdenerwowało mnie jeszcze bardziej. Czy naprawdę chciałam tam być i patrzeć, jak ta młoda kobieta dobrowolnie godzi się na śmierć?

- Nie mogłam znaleźć drogi powrotnej - powiedziałam, odwracając się lekko, by tylko ojciec mógł mnie usłyszeć.

To musiało go zadowolić, bo zaemokał na Martę; usłyszałam trzask lejców i wóz ruszył.

Przez następne kilka godzin jechaliśmy w błogosławionym milczeniu. Zamknęłam oczy, by nie patrzeć na okolicę, i próbowałam się zmusić do myślenia o spotkaniu z Kaiem, o wyrazie jego twarzy, kiedy mnie zobaczył, i jak oglądał książkę, którą mu podarowałam. Próbowałam odtworzyć dotyk jego gorących warg, siłę obejmujących mnie ramion i piersi, do której się przytulałam, bicie jego serca. Ale wszystko przepadło. Przed oczami miałam tylko wizję dziewczyny z jej dziwnym, pogodzonym ze wszystkim uśmiechem.

Równie mocno niepokoiła mnie reakcja matki, jej wyraźne podniecenie i radość z okropnego cierpienia drugiej osoby.

W końcu spojrzałam na spoczywającą na moich kolanach książkę. Była zawinięta w hinduską gazetę; w roztargnieniu zaczęłam ją czytać.

Znalazły się tam doniesienia o przemocy Brytyjczyków wobec muzułmanów, nawoływania, by nie dopuścić do uchwalenia brytyjskiej ustawy dzielącej pola uprawne we wschodnich prowincjach, inne pełne gniewu napomnienia, żądania wolności, praw i wezwanie do buntu przeciwko Brytyjczykom.

Podejrzewałam, że Kai był nadal w to wszystko zaangażowany.

Zmiałam gazetę, opakowanie mojej pięknej książki i położyłam na wozie.

Po chwili porwał ją wiatr.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Miesiąc później, w zimny styczniowy dzień, matka po informowała mnie, że oczekuje dziecka.

Byłyśmy w infirmerii. Odkładając narzędzia po wyjściu ostatniego pacjenta, rzuciła typowym zdawkowym tonem, że dziecko przyjdzie na świat za pięć miesięcy.

Otworzyłam usta, patrząc na wychudłą postać matki.

- Ale... mamó. Nie wyglądasz na...

- To właśnie czyni ten kraj z kobietą, Pree. Wyniszcza do szpiku kości. Ale mogę cię zapewnić, że nie pomyliłam dat. Dziecko urodzi się w maju. W pierwsze urodziny Adriany pomyślałam, odwracając się od matki, głęboko poruszona jej wyznaniem. Była wyniszczona i zbliżała się do pięćdziesiątki - straciłam już rachubę, bo ani ona, ani ojciec nie obchodzili urodzin - ale nie była jeszcze w wieku, w którym poczęcie dziecka nie jest możliwe. Znałam jej miesięczne cykle, podobnie jak ona moje; mieszkaliśmy przecież w jednym domu. W przeszłości często komentowała fizyczne dolegliwości z nimi związane. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy wspomniała o nich ostatni raz; zwykle Glory zbierała pranie matki i wiedziała, czy było poplamione krwią.

Jednak jeszcze bardziej niepokojąca była wizja rodziców, razem. Nie mogłam o tym myśleć.

- Wspaniale, mamó - powiedziałam. - To bardzo ekscytujące. -

Próbowałam zmusić się do entuzjazmu, a jednak wracałam wspomnieniami do wydarzeń sprzed kilku tygodni i niepokojącej reakcji matki na *sati* w Lahore. Jak sobie poradzi z dzieckiem?

W następnej chwili uzmysłowiłam sobie, że słowa Kaia o moim wyjeździe z misji nie mogły się spełnić. Nie mogłabym wyjechać i porzucić brata lub siostry. Bo byłoby to właśnie porzuceniem. Żadnemu z rodziców nie można było powierzyć opieki nad noworodkiem lub małym dzieckiem. Od strony fizycznej tak; karmiliby je i dbali, by było czyste. Jednak martwiły mnie zawiłości ich umysłów, bałam się, że nowa i dająca sobą łatwo kierować duszyczka może zostać zniszczona przez smutną rzeczywistość misji.

- Wspaniale, mamó - powtórzyłam, nadal na nią nie patrząc. Wieści nie były jednak wspaniałe. Wcale nie.

Matka nie miała ochoty na kolację i poszła prosto do łóżka. Zmartwiona wyznaniem matki też nie mogłam jeść i poszłam poszukać Jassie.

Nie widziałam jej przez cały tydzień. Przy *rasoi* na czworakach zajrzałam do jamy, trzymając w ręce kawałek surowego kurczaka.

- Jassie? - zawołałam, machając zakrwawionym kawałkiem mięsa. - Chodź, malutka. No wyjdź.

Rozległ się szelest, a potem wyszła Jassie. Widać było wyraźnie, że już się oszczeniła. Znów była chuda, a z brzucha zwisały nabrzmiałe sutki. Cofnęłam się i położyłam mięso na ziemi. Jassie chwyciła je i połknęła w całości.

- Przyniosłaś szczenięta? - mruknęłam, nasłuchując pisków.

Nigdy nie wiedziałam, ile szczeniąt urodziła ani ile straciła. Jakoś udawało jej się chować lub niszczyć martwe psiaki; od czasu do czasu widziałam jednego lub dwa żółte szczeniaki skaczące za nią, lecz poza tym jednym razem, gdy przyniosła do domu jednego psiaka, zawsze wyprowadzała je z dala od misji, w pola. Szczeniła się co sześć miesięcy jak w zegarku.

Po kolacji poszukałam ojca; stał na podwórzu, opierając się o płot, i patrzył na drogę.



- Ojczy?

Odwrócił się. Wyglądał jeszcze starzej niż zwykle. Pod oczami widać było głębokie sińce, a kości policzkowe wystawały z przerażającą ostrością. Ramiona pod marynarką były kościste i kruche.

- Mama mi powiedziała. Przekazała mi... tę wiadomość. -Zawstydziałam się nieoczekiwanie i z trudem przychodziło mi spojrzeć na ojca.

Jego twarz ścisnęła się jakby nagłym, nieoczekiwanym bólem.

- Ból w piersiach? - zapytałam, robiąc krok do przodu.

- Nie - odparł. - To nie to. Chodzi o matkę. Bardzo się o nią martwię.

- Z powodu dziecka? Że poród może być dla niej za trudny w tym wieku, czy też uważasz, że dziecko nie przeżyje?

Przesunął rękami po twarzy, jakby próbował coś z niej zetrzeć.

- Ojczy?

- Twoja matka jest bardzo chora, Pree - powiedział w końcu.

- Chodzi ci o... dziecko? - zapytałam, wyczuwając, że nie to ma na myśli.

Odetchnął głęboko.

- Nie ma żadnego dziecka. Zachnęłam się bezwiednie.

- Ale powiedziała mi o tym dziś po południu. Sądzisz, że już...

Przerwał mi, lecz nie spojrział na mnie.

- Nigdy nie było żadnego dziecka. To jeden z symptomów jej choroby - odrzekł.

- Ale... jesteś pewny?

- Jestem absolutnie pewny, że nie może być żadnego dziecka, Pree -

powiedział. - To niemożliwe. Rozumiesz? Jestem jej mężem i wiem, że to niemożliwe - powtórzył, patrząc mi wreszcie w oczy i mrugając gwałtownie.

Zrozumiałam. Zaszło mi w ustach; byłam jeszcze bardziej skrepowana, rozmawiając z nim o takich rzeczach. Odwróciłam wzrok i skinęłam głową.

- To minie, jestem pewny. To jej wyobrażenie - dodał jeszcze i odszedł. Podeszłam do drzwi sypialni rodziców i zajrzałam do środka. Matka siedziała na krześle przed toaletką z rozsuniętymi nogami tak, że spódnica opadła między uda. Jedną ręką przyciskała do ust haftowaną chusteczkę, druga spoczywała na jej płaskim brzuchu. Patrzyła w okno pustym wzrokiem.

Poszłam spać wcześniej i nawet nie miałam dość energii, by poczytać przed zaśnięciem. Byłam zmęczona, lecz nie pracą, ogarnęło mnie smutne oszołomienie, niemal wyczuwalne w zimnym powietrzu naszych czterech pokoi i spędzało sen z powiek.

Tydzień później obudził mnie głośny płacz matki. Przeszedł mnie dreszcz; nagle znów miałam sześć lat i wiedziałam, że Gabriel, mój mały braciszek, nie żyje.

Odrzuciłam przykrycie i pobiegłam do sypialni rodziców. Matka siedziała w koszuli nocnej na brzegu łóżka, kołysząc się w przód i w tył i szlochając, trzymała w rękach małe zawiniątko. Ojciec, w pełni ubrany, stał przy oknie, plecami do pokoju.

- Mamo! - zawołałam. - Mamo... - Podbiegłam do niej, przyglądając się nieruchomemu zawiniątku. Kiedy się nie odezwała, zwróciłam się do ojca.

- Ojczy, co się stało?

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Włosy miał zmierzwiłone, a jego twarz była zmęczona i wychudzona. Potrząsnął głową.

- Chodź ze mną, Pree. - Ujął mnie pod ramię i wyprowadził z pokoju.

- Co się stało? - zapytałam raz jeszcze, a on znów potrząsnął głową.

- Matka jest chora - powiedział tym samym stłumionym

głosem, jakim mówił o niej ostatnio, gdy rozmawialiśmy przy płocie.

- Co ona trzyma? Czy to naprawdę jest...

- Pree - potrząsnął mnie mocno za ramię - nie ma żadnego dziecka.

- Ale ona trzyma...

- Nie dziecko - powtórzył ostro.

Odsunęłam się od niego i podeszłam do drzwi sypialni, patrząc na flanelowe zawiniątko w rękach matki. Przytulała je do siebie, cicho popłakując.

- Nie wiem, co z nią robić - rzekł ojciec głosem niskim i ochryłym od smutku, wyczerpania, rozpacz. - Nie wiem, co robić - powtórzył i usłyszałam jego kroki, powolne i pełne wahania, kiedy szedł do drzwi wejściowych.

Nie mogłam zostawić matki, choć byłam zdezorientowana i przerażona. Komu miałam wierzyć? Oczywiście słowa ojca brzmiały sensownie, ale co trzymała w ramionach i opłakiwała matka? Podeszła do mnie, nadal trzymając zawiniątko.

- Mamo? - powiedziałam cicho, dotykając jej ramienia, lecz zignorowała mnie i wyszła przez drzwi, przez które przed chwilą przeszedł ojciec. Ruszyłam za nią. Co innego mogłam zrobić?

Przeszła przez podwórze do infirmerii. Próbowałam tam wejść za nią, lecz zamknęła mi drzwi przed nosem. Usłyszałam szelest niemal ukradkowych ruchów, a po kilku chwilach matka wyszła, niosąc małe drewniane pudełko. Z boku widniał napis *Bezpieczne lekarstwa Warnera*, lecz kiedy matka mnie mijiała, zauważyłam na wieku słowa *William Jamieson*. Litery wypisane ręką matki były krzywe, a tusz rozmazany. Skierowała się w stronę małego cmentarza, potykając się na wysuszonej trawie. Szłam za nią z rękami zwisającymi wzdłuż ciała. Przytłaczał mnie smutek tak ogromny, że czułam ból w piersiach, ale nie wiedziałam, co było jego powodem.

Matka położyła na ziemi pudełko, które kiedyś kryło w sobie zapas lekarstw, a teraz stało się małą trumną. Klęcząc w koszuli nocnej, kopała gołymi rękami twardą ziemię obok czterech nagrobków.

Przeniosłam wzrok z matki na pudełko, potem znów na matkę i znów na pudełko. W końcu uklęknęłam obok niej. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, grzebiąc w twardej ziemi i ciężko oddychając. Wstrzymując oddech, podniosłam przykrywkę pudełka. Mały kształt nadal spowijała biała flanela. Dotknęłam go; był sztywny.

Ojciec przecież nie kłamał. A jednak rozpacz matki była taka prawdziwa. Jej nieuczesane włosy zwisały w splątanych pasmach. Twarz miała mokrą od łez, a paznokcie połamane i zakrwawione.

Musiałam to sprawdzić.

Odwinęłam flanelę. Spowijała małe, pokryte futerkiem ciało, żółte, z zamkniętymi oczami i delikatnymi łapkami przyciśniętymi do boków.

Pomiędzy wargami widać było srebrny paseczek języka. Martwy szczeniak, najwyraźniej jeden z miotu Jassie. Gdzie go znalazła?

Delikatnie okryłam go flanelą i przykryłam pudełko. Matka wreszcie skończyła kopać, wzięła pudełko i włożyła je do dziury w ziemi. Nadal klęcząc obok niej, pomogłam zasypać pudełko, a potem wstać. Musiałam ją mocno podtrzymywać pod ramię, kiedy opierała się o mnie i patrzyła na mały kopczyk. Nie płakała już, lecz zwisała na mnie, jakby nie miała nóg. Była bezwładna i zaskakująco ciężka pomimo wyniszczenia. W chłodnym powietrzu moje czoło pokryło się potem.

Jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Nagle rozległ się trzepot skrzydeł; nad naszymi głowami przeleciało stado szpaków. Trzepot ich skrzydeł zabrzmiał niczym aplauz. Matka oderwała wzrok od świeżego grobu i spojrzała w górę. Obserwowała ptaki z niesamowitym wyrazem twarzy, zupełnie jakby była jednym z nich. Zobaczyłam, jak otwiera usta, gdy zleciały chmurą do ziemi, by

znów poderwać się w powietrze. Przez jej twarz przebiegi wyraz zdziwienia.

- Wyślemy Kaia do Lahore, żeby zamówił nagrobek - powiedziała, obserwując odlatujące stado. - Piękny, biały nagrobek, który będzie pasował do reszty. William Jamieson. Mój mały William - powiedziała łamiącym się głosem, który brzmiał, jakby nie mówiła od wielu tygodni. Zyskałam absolutną pewność, że zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością.

Pomogłam jej wrócić do sypialni i próbowałam namówić, by wypić trochę ciepłej, słodkiej herbaty, lecz ona tylko pokręciła głową, wbijając wzrok w koszyk stojący na niskim stoliku pod oknem.

W koszyku leżały ubranka, które dałam Glory dla Adriany. Przed kilkoma dniami kazała mi wyjąć je z szafy. Długo je przeglądała, uśmiechając się, gdy gładziła malutkie sukienki i czapeczki.

Ojciec stanął przy oknie po drugiej stronie pokoju i patrzył na ogród.

- Zabierz te ubranka, Pree - powiedziała. Wyprostowała się i oparła o wezgi łóżka, nadal wpatrując się w koszyk. - Zabierz je z moich oczu.

Podeszłam do koszyka i spojrzałam na mięciutkie białe sukienki, niektóre pocerowane kolorowymi nićmi, inne z koronką rozdartą na obszyciu.

Przypomniałam sobie dotyk małego ciała Adriany gdy trzymałam ją w ramionach, i ból przeszył mnie na nowo.

- Co chcesz, żebym z nimi zrobiła, mamó?

Zakryła oczy ręką. Rękaw koszuli nocnej opadł i zanim zdążyłam odwrócić wzrok od zainfekowanych ran i świeżej krwi na wewnętrznej części jej piegowatych, białych ramion, przyłożyła usta do ręki i ugryzła się. Widok ten nappełnił mnie nowym przerażeniem; przez cały czas tak się kaleczyła.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziała, opuszczając ramię. - Daj je komuś. Już nigdy nie będę ich potrzebowała. - Oddech uwiązał jej w gardle i znów zaczęła popłakiwać. - Chcę moje dziecko - wyszlochała. - Chcę moje dziecko - powtarzała raz po raz cichym, pokonanym głosem, którego nie poznawałam.

- Jak wcześniej - rzekł ojciec. Odwróciłam się do niego. - Zachowywała się tak wcześniej, kiedy traciliśmy dzieci. Ale boję się, że tym razem... Kiedy nie dokończył, przyjrzałam się ubrankom leżącym w koszyku przede mną i pogładziłam je jak matka przed paroma dniami.

- Nie mogę znów przez to przechodzić, wielebny - powiedziała matka prawie szeptem.

- Oczywiście, że nie, matko - odparł ojciec, nadal stojąc przy oknie. Chciałam, żeby do niej podszedł, żeby okazał trochę współczucia. Umarł pies, a nie dziecko. Wiedziałam o tym i on też wiedział. Ale dla mojej matki ból był jak najbardziej prawdziwy i świeży, jakby w hinduskiej ziemi po raz kolejny pogrzebała istotę zrodzoną z jej ciała.

- Nie - Matka mówiła teraz głośniej i bardziej zdecydowanie. Podniosłam wzrok znad ubranek. Wstrzymała oddech, wytarła policzki. Przez jej twarz przebiegł skurcz. Teraz zupełnie znieruchomiła. - Nie będę przez to przechodzić jeszcze raz. Musisz się z tym pogodzić. To koniec. Ta część mojego życia dobiegła kresu. Nie będzie więcej martwych dzieci. Ojciec podszedł w końcu do łóżka i spojrzał na matkę.

- Nie myśl teraz o tym, Eve. Płacz tylko bardziej cię przygnębi. Pierwszy raz usłyszałam, jak ojciec zwraca się do matki po imieniu. Zabrzmiało to dziwnie i intymnie. Poczułam się, jakbym była podglądaczem, i marzyłam, by wyjść z pokoju.

- Odzyskam siły fizyczne jak zawsze - powiedziała

matka. - Ale nie mogę... już nigdy nie będę karmić się nadzieją, którą żyłam przez kilka miesięcy, tylko po to, by znów umarła. To był ostatni raz. Nie będzie już więcej okazji, by spłodzić dziecko, wielebny.

Siedziałam bez ruchu i nie odzywałam się ani słowem. Nie chciałam brać udziału w tej rozmowie.

- Od dziś będziesz sypiał w infirmerii - oświadczyła matka. - Nie będziesz już dzielił ze mną łóża.

Wbiłam wzrok w podłogę.

- Jeśli hinduscy mędrcy potrafią tłumić naturalne pożądanie za pomocą medytacji, to ty jako duchowny też możesz nauczyć się celibatu - ciągnęła matka słabym głosem. Jej słowa brzmiały jednak zdecydowanie. - Jesteś człowiekiem głęboko religijnym i skromnym, czyż nie?

- Wystarczy, Eve. - Głos ojca zabrzmiał spokojnie.

- Nie pozwolę, żebyś mnie kiedykolwiek dotknął...

- Eve! Przestań.

Kiedy tylko wypowiadałam jej imię w myślach - Eve - pierwsze e przeciągnięte, v miękkie, brzmiało uroczo. Jednak w tej chwili, gdy spływało z ust ojca, niosło ze sobą głuchy stukot kamienia uderzającego o ścianę. Po chwili w pokoju zapanowała cisza, w której słyhać było tylko jego chrapliwy oddech. Jeszcze bardziej pobladł na twarzy, zacisnął pięści, a matka zacisnęła dłonie na cienkim prześcieradle.

Wiedziałam, że ojciec jest rozgniewany, lecz nie słowami matki. Był zrozpaczony, podobnie jak ja, że nie potrafi jej pomóc, że już sobie z nią nie poradzi. Nie opanuje jej. Wiedział, że w tej sprawie już dłużej nie może polegać na modlitwie.

Zapadła cisza, przerywana jedynie cichym śpiewem Sanosha, który zagniatał ciasto. *Om Namah Shiva*, śpiewał do rytmu.

- Wynoście się, oboje - powiedziała matka. Wyszliśmy z pokoju.

Chciałam wybiec z domu na pola lub nad rzekę. Chciałam być sama, zakryć dłońmi uszy, otworzyć szeroko usta i krzyczeć prosto w niebo, w falujące wody, by wymazać to, czego przed chwilą byłam świadkiem. Ojciec jednak dotknął mego ramienia, kiedy wychodziłam szybko przez drzwi.

- Usiądź, Pree - powiedział, opadając na bujany fotel. Zawahałam się z jedną stopą na stopniu.

- Usiądź - powtórzył, a ja, rzucając tęskne spojrzenie na wolność czekającą za podwórzem, usiadłam obok niego na małym trzciniowym krześle. Patrzyłam na liście trzepoczące na gałęziach figowca. Siedział pod nim Pavit, opierając o pień okryte kilkoma chustami plecy. Było mi zimno i objęłam się ramionami. Kątem oka widziałam, że ojciec spogląda na swoje palce splecione na kolanach jak do modlitwy. Nie musiałam patrzeć, by wiedzieć, że pobielają mu knykie, że mocno zaciska dłonie, jakby chciał się upewnić, że utrzyma się na krześle i nie odpłynie.

Zapewne podobnie jak ja chciał uciec przed tym nieszczęściem.

Siedzieliśmy w milczeniu. W końcu usłyszałam, jak kilka razy przełyka ślinę.

- Widzisz, Pree, w jakim stanie jest matka - powiedział.

- Tak - szepnęłam.

To nie był chwilowy atak piasku w głowie, jak sugerowała pani Lang. Kiedy matka miała zakryte ręce, mogłam przestać myśleć o śladach ugryzienia na jej miękkim ciele. Gdy spała bardzo długo, w niektóre dni, nawet nie wstając, nie musiałam oglądać pustki w jej oczach. Ale zbyt długo unikałam prawdy. Matka zupełnie oszalała.

- Będę musiał ją wysłać... zabrać do... - urwał. - Nie może tu dłużej zostać.

- Wyślesz ją do Anglii? - zapytałam. Ogarnęło mnie dziwne uczucie.

Oblizalam wargi. - Ale... Czy pojedziemy z nią? Nie może podróżować sama. - Nadal nie patrzyliśmy na siebie i mówiliśmy w powietrze.

Ojciec nie odpowiedział od razu, dając mi czas, by w mojej



głowie pojawiły się wizje. Wizje wyjazdu z misji i Indii. Myślałam o Eleanor, o jej matce, o kobietach w jej salonie. To byli Anglicy, jakich znałam. Nie mogłam żyć w otoczeniu im podobnych. Pomyślałam o Sanoshu, Pavicie, Jassie i Rujjie.

o moim życiu; jedynym, jakie znałam.

Ogarnęła mnie panika; myślałam o problemach ojca z sercem. Z drugiej strony moje było mocniej i szybciej, gwałtownym, tykającym rytmem.

Pomyślałam o Kaiu i jego przyspieszonym pulsie pod moimi wargami.

Czy mogłam to wszystko zostawić?

- Nie. Nie do Anglii, Pree. Nie mamy pieniędzy nawet na jeden bilet.

Choć może gdybym pojechał do Lahore

i porozmawiał w kapelanii... - urwał. Wreszcie na niego spojrzałam. Przez

jego twarz przebiegały różne emocje. Nie rozpoznałam żadnej z nich; w

tej chwili był dla mnie obcym człowiekiem. - Gdyby nawet tak się stało,

nie ma tam nikogo, kto by się nią opiekował. Nie do Anglii - powtórzył, a

potem spojrzał na mnie. - Usiądź wygodnie, Pree.

Nie zdawałam sobie sprawy, że sztywno pochylałam się do przodu.

Zobaczyłam siebie na trzciniowym krześle, pochyloną do przodu, z

uniesionymi barkami i wyciągniętą szyją. Byłam szybującym wysoko

drapieżnym ptakiem, krążącym po niebie i wypatrującym ruchu.

Wyteżającym wzrok i słuch.

Oparłam się o krzesło, opuściłam barki, rozluźniając napięte mięśnie.

- Co masz więc na myśli?

- Być może Delhi. Zasięgnąłem języka podczas ostatniej bytności w

Lahore. W angielskiej społeczności są takie... zakłady. Dla osób

potrzebujących opieki, której rodzina nie może już zapewnić.

Przed oczami stanęły mi obrazy z przeczytanych książek. Bethlem Royal

Hospital - Bedlam. Brudna słoma i nieszczęsne, na wpół nagie

stworzenia. Bieda, tortury, udrećzone ciała. Goście z długimi kijami

szturchający i drażniący

przez kraty pensjonariuszy, których określali mianem nieszczęśników. Krzyki i jęki wydobywające się z zaślinionych ust. Ust takich jak usta matki.

- Nie. Tylko nie zakład - powiedziałam zbyt głośno, kręcąc głową. - Nie możesz jej zamknąć w zakładzie, ojciec. Nie możemy zatrzymać jej tutaj i... - W mojej głowie znów pojawiły się obrazy z książek. Szalona Bertha, żona pana Rochester'a zamknięta na strychu, podczas gdy Jane Eyre, o niczym nie wiedząc, mieszkała tuż pod nią.

- Nie, Pree. Nie zamkniemy jej w zakładzie. Znajdę coś... odpowiedniego. Dom opieki, gdzie zajmą się nią i będą traktować z szacunkiem. Spłaciła swój dług Indiom. Zasługuje, by potraktowały ją dobrze. Nie stanowi zagrożenia dla nikogo, jedynie dla siebie samej. Martwię się...

Wiedziała, że myśli również o jej ramionach; o zadawanych sobie ranach.

- Zrobię, co będę musiał - rzekł jeszcze, i siedzieliśmy dalej obok siebie, podczas gdy w domu matka leżała na łóżku.

Na werandzie infirmerii czekał mężczyzna i chłopiec. Glory przeszła przez podwórze i wsuwając palec do ust, skrzywiła się. Z *rasoi* dobiegał zapach kardamonu i szafranu. Jassie przyszła z drogi, unosząc wysoko nos i wężąc.

Pavit z brodą opartą na piersi zasnął pod figowcem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Następnego dnia ojciec przygotowywał się do wyjazdu do Lahore.

- Kościół poprze moją prośbę. Pracowałem dla nich przez dwadzieścia trzy lata. Wiem, że mi nie odmówią. Nie mogą odmówić, kiedy potrzebuję ich pomocy. - Mówił zdecydowanie i z wielkim przekonaniem, lecz w jego oczach widziałam niepewność.

Nie było go przez cały dzień. Wrócił dopiero, gdy zapadał zmierzch.

Zostawił Martę na środku podwórza i poszedł prosto do infirmerii.

Zdumiało mnie, nie wyprzągnął od razu Marty, nie nakarmił jej ani nie napił po tak długim dniu.

Zdjęłam uprząż i zaprowadziłam Martę do zagrody, gdzie podrzuciłam jej świeżą słomę i napełniłam duże drewniane wiadro wodą. Potem poszłam do ojca. Siedział na łóżku z rękami zwisającymi między kolanami.

- Co się stało, ojcze? - zapytałam. - Co powiedzieli w kapelanii?

Zaopiekują się matką?

Nie odpowiedział, wpatrując się w dłonie.

- Ojcze? - dotknęłam jego ramienia, lecz nadal milczał. W końcu podniósł głowę i wyrżał przez okno.

- Sugerują, żebym odesłał ją do Anglii.

- Ale powiedziałaś, że nie ma tam nikogo...

- Poradzono mi, żebym zaufałam Panu - odparł, lecz inaczej niż zwykle, gdy mówił o Bogu. Tym razem w jego głosie zabrzmiało szyderstwo. Byłam wstrząśnięta. Odwrócił się do mnie. - Wielebny Burgess powiedział, że Bóg z pewnością zaopiekuje się swoją córką, skoro ona troszczyła się o pogan w tym kraju.

Zaśmiał się krótko, co przeraziło mnie jeszcze bardziej niż ton jego głosu.  
- Wszystko zależy więc od nas, Pree. Ty, ja, z pomocą Glory i oczywiście Pana - znów nacisk na ostatnie słowo, wykrzywienie ust - zadbamy o to, by twoja matka miała właściwą opiekę.

W ciągu następnych trzech miesięcy stan matki bardzo się pogorszył i razem z Glory musiałyśmy jej pomagać przy najprostszych codziennych czynnościach.

Glory dbała o jej czystość - myła ją i codziennie przebierała z koszuli nocnej w suknię i czesała. Ja pracowałam z ojcem w infirmerii, lecz w południe i wieczorem karmiłam matkę. Rozbierałam ją do spania i dbałam, by pościel była czysta. Co kilka tygodni matka miała lepszy dzień: siadała wtedy i rozglądała się, jakby zaskoczona widokiem miejsca, w którym się znalazła. W takie dni rozmawiała ze mną normalnie, wypytując o pacjentów, których przyjmowaliśmy, i o drobne, mało istotne sprawy związane z misją.

Pewnego ranka, kiedy mijałam sypialnię matki, zajrzałam do środka.

Glory czesała jej włosy. Przeciągała ostro szylkretową szczotkę przez splątane pasma. Szyja matki odskakiwała przy każdym ruchu.

- Glory - powiedziałam. Przeszłam przez pokój i chwyciłam ją za rękę. - Nie musisz robić tego tak gwałtownie.

- Ona tego nie czuje - odparła.

- Skąd wiesz?

- Popatrz na nią. Zupełnie jakby spała.

Stałam z boku i spojrzałam na twarz matki. Nigdy nie widziałam, by miała mokre oczy, z wyjątkiem śmierci Gabriela i niedawnego okropnego epizodu z wyimaginowanym dzieckiem. I choć łzy mogły być tylko fizyczną reakcją na ciągnięcie włosów, napełniły mnie uczuciem, jakiego nigdy wcześniej do niej nie czułam. Nawet kiedy grzebała szczeniaka, wierząc, że to jej dziecko, przepel-

niało mnie zakłopotanie graniczące z pogardą z powodu tak dziwnego zachowania. Ale teraz... gdy widziałam ją tak załamaną, słabą i pogodzoną z losem, ogarnęło mnie przemożne poczucie straty. Wzięłam szczotkę od Glory.

- Ja ją uczeszę. A ty zmień pościel.

Glory wykonała moje polecenie. Po tym dniu zajmo wałam się również poranną toaletą matki, pozostawiając Glory drobne prace domowe.

Przez cały ten czas ojciec był dziwnie daleki. Czasami wydawało mi się, że zapomniał o matce leżącej w sypialni za zamkniętymi żaluzjami.

Jednak jeśli tylko o niej wspominałam, przerywał nagle pracę w infirmerii i spoglądał na drzwi lub okno ze stropioną twarzą, jakby właśnie otrzymał przykre wieści.

Siadał ze mną do kółka w jadalni, ale często niewiele jadł, wpatrując się w talerz lub miskę, jakby w jedzeniu szukał odpowiedzi na bardzo ważne pytanie. Odpowiadał mi monosylabami i po jakimś czasie zrezygnowałam z prób nawiązania rozmowy. Kiedy tylko kończyliśmy posiłek, wracał do infirmerii i zakładałam, że kładzie się spać, bo nigdy nie widziałam światła w oknach.

Pewnego ranka przyszedł do mnie na werandę na tyłach infirmerii, gdzie rozmawiałam z kobietą, która przyprowadziła dziecko z mocno zaczerwienionym gardłem.

- Muszę jechać do Lahore - powiedział. Zazwyczaj omawialiśmy takie wyprawy znacznie wcześniej.

- Teraz? - zapytałam, wstając. - Przecież to jeszcze nie pora, by odebrać pieniądze.

- Muszę jechać - powtórzył.

- Czy mam zrobić listę potrzebnych...

- Nie - przerwał mi i wyszedł.

Późnym wieczorem usłyszałam stukot wozu i zoba-

czyłam, jak ojciec wyprzęga Martę i prowadzi ją do zagrody. Skierował się prosto do infirmerii i nie przyszedł do domu, żeby ze mną porozmawiać.

Następnego ranka, kiedy pojawiłam się na werandzie na poranną modlitwę, siedział w bujanym fotelu. Biblia leżała obok niego na małym, drewnianym stoliku.

- Ojciec? - Miał kamizelkę poplamioną resztkami jedzenia i tłuszczem, a włosy splecione i zakurzone. - Jesteś gotowy do modlitwy?

Spojrzał na mnie, jakbym kazała mu rozwiązać trudne działania matematyczne.

- Modlitwy? - powtórzył.

Przez jedną przerażającą chwilę dostrzegłam w jego oczach pustkę podobną do oczu matki. Zamrugał i przyłożył dłoń do czoła.

- Nie. Nie, Pree. Ja... z tym, co się stało z matką i... ze wszystkim, ja... - urwał, jakby zabrakło mu słów. W przeszłości modlił się w każdych okolicznościach. - Ale ty możesz odmówić modlitwę. Nadal możesz się modlić, Pree.

Pokręciłam głową i poszłam do infirmerii. Poranek bez modlitwy przełamał rutynę, która towarzyszyła mi przez całe życie z wyjątkiem kilku dni, gdy ojciec był zbyt chory, by wstać z łóżka. Fakt, że nie chciał odmówić modlitwy, zdenerwował mnie bardziej, niżbym się spodziewała. Zawsze uważałam, że nienawidzę modlitwy. A jednak teraz, bez takiego początku dnia, poczułam się dziwnie oderwana od rzeczywistości. Jak latawiec z urwanym sznurkiem, który wzbija się w niebo i na chwilę tam zawisa, by w końcu zniknąć w oślepiającym blasku.

- Co byś zrobiła, Pree, gdybyś mogła pojechać gdziekolwiek? - tydzień później zapytał mnie ojciec przy kolacji. Wokół panowała cisza.

Siedzieliśmy przy stole jak zwykle we dwójkę. Matka leżała nieruchomo w sypialni.

- W Indiach? - zapytałam, trzymając na uniesionym widelcu kawałek żylastej jagnięciny.

- Tak. W Indiach. Gdzie chciałabyś pojechać? Odłożyłam widelec i uśmiechnęłam się.

- Do Benares ze świętymi ghatami. Chciałabym też zobaczyć wiszące ogrody i Wieże Ciszy w Bombaju i Tadź Mahal w Agrze. Różowe miasto Dżajpur.

Ojciec podniósł rękę. Nie odpowiedział mi uśmiechem. Zauważyłam, że ma blade, spierzchnięte usta.

- Chodziło mi o jedno miejsce. Tylko jedno. Gdybyś mogła zamieszkać gdziekolwiek, gdzie by to było?

Oparłam podbródek na łokciu spoczywającym na stole. Ostatnimi czasy nie zwracaliśmy uwagi na maniery przy posiłkach. Owinęłam pasemko włosów wokół palca.

- Mieszkać? Nie wiem. Na pewno nie w Lahore. - Pomyślałam o pani Wyndham i innych damach. - Chyba nie chciałabym pojechać do Kalkuty. Może do Madrasu? Nie. Za gorąco. Bombaj. Tak. Chyba Bombaj i Morze Arabskie. Chciałabym mieszkać nad morzem. - Znów uśmiechnęłam się do ojca. - Chciałabym zobaczyć ocean i poczuć słońca mgiełkę.

Miło się rozmawiało o przyjemnych rzeczach. Od tak dawna nie mówiłam już o marzeniach i nie snułam żadnych planów.

Rozmawialiśmy o nich z Kaiem dawno temu. Teraz on wyruszył w świat, by zrealizować swoje marzenia, a ja nadal tkwiłam w misji w jej ciężkiej aurze beznadziejności.

Ojciec skinął głową, choć sprawiał wrażenie rozkoja-rzonego.

- Pamiętasz państwa Lang?

- Oczywiście. - Powróciło wspomnienie niewyraźnej wymowy pani Lang i gorącej dłoni pana Langa na moim karku. To z powodu pana Langa Kai pokłócił się z ojcem i wyjechał na dobre. - Dlaczego pytasz?

- Nadal są w Peszawarze - powiedział bardzo powoli. - Będąc ostatnio w Lahore, słyszałem, że robią tam dużo do-

brego, zwłaszcza wśród muzułmańskich kobiet. Co myślisz o Peszawarze?

Pomyślałam o Afgańczyku. Ostatni raz widziałam go, gdy była jeszcze z nami Adriana. Powiedział, że jedzie do Peszawaru. Pamiętałam, jak dziwnie się ze mną pożegnał. Czy przekazałam Kaiowi wiadomość od niego?

- Dlaczego mówisz o Langach? Ojciec przyglądał mi się badawczo.  
- Wywarłaś na nich wielkie wrażenie.

Wzruszyłam ramionami, nabierając na widelec *daal* i wkładając do ust. Żułam ostrożnie. Sanosh czasami nie dość starannie przebierał soczewicę i raz wyszczerbiłam sobie ząb trzonowy na małym kamyku. Ojciec zdawał się nie zauważać, że coraz częściej przynosiłam na kolację hinduskie jedzenie.

- Tutaj mogą zajść... pewne zmiany. Niedługo - powiedział. Odsunął talerz i złożył ręce, jakby zamierzał się modlić.

Przełknęłam *daal*.

- Zmiany? Co masz na myśli?

Ojciec podniósł złożone ręce i przyłożył do czoła. Przyciskał je tak mocno, że kiedy wreszcie odsunął, na jego i tak bladej skórze pozostała biała plama. Zamrugął oczami.

Wstałam.

- Ojciec? Jesteś chory? - Zamknął oczy i oparł się o krzesło, luzując kołnierzyk koszuli.

- Wody - jęknął. - Podaj mi wodę, Pree. Podeszłam do niego z pełną szklanką. Podłożyłam mu dłoń pod brodę, jakby był dzieckiem, i przycisnęłam szklankę do ust. Wypił, skrzywił się i potarł lewą rękę.

- Muszę się położyć - powiedział. - Pomóż mi. Pomogłam mu wstać. Położył mi ciężko rękę na ramieniu, a ja objęłam go w pasie i z trudem zaciągnęłam na kanapę w saloniku. Musiałam podnieść mu nogi, by mógł się położyć. Leżał na wznak, ściskając lewe ramię prawą ręką. Oddychał ciężko i urywanie, a jego twarz miała barwę popiołu.



Siedziałam przy nim przez chwilę, ale widząc, że już oddycha swobodnie i puścił ramię, poszłam do jadalni, aby zebrać resztki jedzenia i nakrycia. Zaniiosłam je do raso/. Siedziała tam Glory i rozmawiała z Sanoshem, który spojrzał na pełne talerze.

- Nie smakował wam *daall* - zapytał urażony.

- Nie, był bardzo dobry - odparłam. - Ale ojciec źle się poczuł i nie mógł jeść.

- Jest chory? - zapytała Glory.

- Już czuje się lepiej. Śpi w saloniku.

- Pójdę się nim zająć - powiedziała Glory, zupełnie mnie zaskakując. Nigdy nie robiła niczego z własnej woli.

- Nie - odrzekłam. - Zostaw go w spokoju. Mówiłam, że śpi.

Patrzyła na mnie, a jej twarz wyrażała coś, czego nie potrafiłam określić. Wiedziałam, że nie poruszyło jej wydane przeze mnie polecenie; do tego była przyzwyczajona.

Później pomogłam ojcu przejść do mojej sypialni.

- Śpij dzisiaj tutaj - powiedziałam. - Nie chcę, żebyś był sam w infirmerii, kiedy źle się czujesz.

Skinął głową słabo, a ja pomogłam mu zdjąć marynarkę oraz kamizelkę. Ściągnęłam mu buty, a potem wzięłam koc i położyłam się na kanapie.

Następnego ranka poszłam do raso/ i na stojąco zjadłam miskę *kedgeree*.

Potem zajęłam się kobietą, która przyszła do infirmerii. Ojciec spał w moim pokoju, a matka w swoim, po drugiej stronie ściany.

Kiedy opatrzyłam kobiecie poranioną dłoń, wróciłam do domu. Na progu usłyszałam głos Glory. Uznałam, że jest u matki. Znalazłam ją jednak w moim pokoju, siedzącą na brzegu łóżka. Ojciec siedział oparty o ścianę. Wróciły mu już kolory i uśmiechał się, słuchając Glory.

Kiedy mnie zobaczyli, ojciec odchrząknął.

- Dziękuję, Glory - powiedział. - Możesz teraz wrócić do memsahib.

Glory wstała i przycisnęła się obok mnie z dziwnym, pewnym siebie uśmiechem.

- Co ona tu robiła? - zapytałam, bo zastanowił mnie wyraz jej twarzy. W stosunku do ojca zachowywała się zwykle z wystudiowaną obojętnością.

- Prosiłem o wodę - powiedział.

Spojrzałam na krzesło przy łóżku i na toaletkę. Nigdzie nie widziałam szklanki ani dzbanka. Ojciec zsunął nogi na podłogę.

- Ból minął... - Westchnął. - Mamy może pacjentów?

- Nie. Była tylko jedna kobieta - odparłam. Odetchnął głęboko.

- Przychodzi coraz mniej pacjentów - powiedział, a ja skinęłam głową. Z pewnością zataczające coraz szersze kręgi wieści o dziwnym zachowaniu matki trzymały z dala od misji bardzo przesądnych wieśniaków.

Nagle rozległy się dźwięki pianina. Odwróciłam głowę, nasłuchując. Czy matka wstała? Jeśli grała na pianinie, mogło to oznaczać, że poczuła się lepiej. Od tak dawna nawet go nie dotykała.

- Odpocznę jeszcze przez chwilę - rzekł ojciec. Weszłam do saloniku. Ale tam, podobnie jak podczas

choroby ojca a przed narodzinami Adriany przy pianinie siedziała Glory, naciskając pożąłkłe, wyszczerbione klawisze jeden po drugim.

- Nie powinnaś dotykać pianina matki bez jej zgody - powiedziałam.

Spojrzała na mnie z rozbawionym wyrazem twarzy i z tym samym zagadkowym uśmiechem, który widziałam przed chwilą.

- Ona nie będzie już grać - odparła.

- Nie wiesz tego - sprzeciwiłam się, choć nie mogłam sobie wyobrazić, by matka kiedykolwiek usiadła przy pianinie. - Proszę, Glory. Zostaw te klawisze w spokoju. To może ją zdenerwować.

Glory jednak wyraźnie mnie ignorowała, siedząc tyłem do klawiatury. Po chwili w drzwiach saloniku stanął ojciec. Był blady, lecz patrzył przytomnie. Miał rozpiętą kamizelkę, marynarkę przerzuconą przez ramię, a długie włosy w nieładzie. Matka zawsze je obcinała. Glory uśmiechnęła się do niego.

- Proszę posłuchać. Ja gram - powiedziała, uderzając nagle w klawisze, które wybuchnęły kakofonią dźwięków.

Ojciec skrzywił się, lecz nie kazał jej przestać. Wycofał się tylko i wyszedł.

Dziwny charakter tej sceny mocno mnie zaniepokoił.

Tydzień później liczyłam zapasy w infirmerii, kiedy usłyszałam stukot wozu. Wyszłam na werandę i zobaczyłam dwóch mężczyzn na dużym wozie ciągniętym przez dwa duże bawoły. Jechali przez podwórze w stronę domu. Kiedy zatrzymali się przed wejściem, zsiadli, trzymając w rękach liny.

Zaniepokojona zbiegłam po stopniach. Ojciec wyszedł z domu i skinął na nich. Weszli za nim do środka.

Podbiegłam do drzwi wejściowych. Mężczyźni obwiązywali linami pianino.

- Ojczy? Co...

Tylko podniósł rękę, a po chwili mężczyźni zaczęli ciągnąć pianino przez pokój. Jego nogi skrzypiały na wypaczonej podłodze. Na polecenie ojca przytrzymałam drzwi, a mężczyźni wyciągnęli instrument na werandę. Pocąc się i mrużąc coś do siebie, znieśli je po stopniach i położyli płasko na wozie.

Patrzyłam na to z otwartymi ustami. Kiedy odjechali, ojciec przecisnął się obok mnie. Chwyciłam go za rękaw.

- Ojczy? Nie rozumiem. To pianino... - powiedziałam jednocześnie zagniewana i zasmucona jego zniknięciem. Była to jedyna rzecz, którą razem z matką kochałyśmy. Która przynosiła nam radość.

- Potrzebujemy pieniędzy - rzekł tylko i nie patrząc na mnie, wyszarpnął ramię, jakby poirytowany. Poszedł do infirmerii, a ja zostałam w domu. Salonik nagle wydał się pusty, choć pozostały w nim wszystkie meble. Podłoga w miejscu, w którym stało pianino, nie wyblakła. Patrzyłam na prostokąt ciemniejszego drewna, żałując, że nie grałam częściej. Gdyby

tylko ojciec powiedział mi, co zamierza zrobić, mogłabym spędzić przy pianinie wczorajszy wieczór, ciesząc się nim ostatni raz. Nieoczekiwana utrata instrumentu napełniła mnie bólem.

Tamtego wieczoru siedziałam w kręgu światła padającego z lampy stojącej na środku stołu w jadalni i czytałam *Medycynę domową* Buchana, którą przyniosłam z infirmerii. Nagle usłyszałam matkę w saloniku.

Podeszłam do drzwi i przyglądałam się jej. Najpierw usiadła na kanapie, a potem, wyraźnie poruszona, podeszła do żółtego krzesła i usiadła na nim, jakby nie mogła znaleźć sobie miejsca.

- Mamo? Jesteś głodna? A może chce ci się pić? - zapytałam.

Nie zwracała na mnie uwagi, wpatrując się w pustą ścianę, przy której do popołudnia stało pianino. Obrotowy taboret nadal tam stał odsunięty na bok. Wstała i usiadła na nim, patrząc zaskoczona na ścianę, podobnie jak Jassie patrzyła na mnie, gdy jadłam, czekając na jakiś kasek. Po chwili matka wyciągnęła ręce, jakby była niewidoma, i poruszając nimi w przód i w tył, przekrzywiła głowę, nasłuchując dźwięków.

Przykro było na to patrzeć i poczułam ulgę, kiedy w końcu wstała i nie patrząc na mnie, bez słowa wróciła do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Wróciłam do książki, lecz nie mogłam się skoncentrować. Poszłam do swojego pokoju i podobnie jak matka cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Kilka dni później znalazłam pod figowcem zapłakanego Pavita.

- Boli cię? - zapytałam w pendżabi, kucając przy nim. Podtrzymał lewy nadgarstek kikutem prawej ręki.

Potrząsnął głową.

- Boję się, panienko Pree.

- Boisz się? Czego?

- Glory powtarza mi, że będę musiał wrócić na ulicę do mojej wioski. Ale ja tam nie mogę pójść, panienko. Nie mogę. - Jego twarz była mokra od łez, a okaleczone wargi wykrzywiły się w okrutnym grymasie. Gaza owinięta wokół prawego nadgarstka pociemniała od rozkładającego się ciała. - Nawet ślepcy i chorzy na umyśle nie pozwalają mi siedzieć obok i zebrać przed świątynią.

- Glory tak ci powiedziała? Co jej przyszło do głowy?

- Mówi, że niedługo misja będzie zamknięta. Będziesz musiał wracać do domu, Pavit, powiedziała, i znów siedzieć z miską w nadziei, że ktoś wrzuci ci do niej ziarno ryżu.

Dlaczego Glory okłamała Pavita? O co jej chodziło? Jakaś myśl nie dawała mi spokoju i po chwili przypomniałam sobie. Tuż przed atakiem choroby ojciec powiedział, że nadejdą zmiany. Ale z pewnością miał na myśli matkę. Czy Glory wiedziała o czymś, o czym ja nie wiedziałam?

- Nie martw się, Pavit - pocieszałam go, cmokając językiem. - Misja nie zostanie zamknięta - dodałam szybko. - Nie będziesz musiał odchodzić.

Glory tylko robi zamieszanie.

- Wiem, że miałem dużo grzechów w poprzednich życiach, panienko Pree

- powiedział. - To - podniósł zabandażowany kikut - jest moja kara.

Zasłużyłem na cierpienie. To jest sprawiedliwe - oświadczył ze spokojem. - I będzie lepiej w następnym życiu. Składam *puja* wszystkim bogom, nawet panienki ojca. I następnym razem urodzę się w wyższej kaście. Zanim taki się stałem, zawsze kłaniałem się radźputom i braminom, a jeśli miałem sandały, zdejmowałem je, by okazać szacunek. Zawsze staram się

być dobry - powiedział - ale nie wiem, jak to zniósę, gdy znów zostanę zupełnie sam w tym życiu.

- Nie zostaniesz sam, Pavit - obiecałam. - I wiem, że w następnym życiu będziesz zdrowy i szczęśliwy.

- Złożę dziś kolejną *puja* - powiedział.

- Chcesz, żebym ci pomogła?

Teraz wszystko nastęczało mu sporo trudności. Skinął głową. Poszliśmy do jego chaty i wyjęliśmy gliniane figurki i fiolki. Wytarłam figurki czystą szmatką i natarłam szafranem. Potarłam ich stopy i piersi czerwoną pastą tikka, a potem polałam usta wodą. Wreszcie wyszłam na podwórze, zebrałam kilka kwiatów i posypałam nimi figurki.

- Dziękuję, panienko Pree - powiedział. - Teraz czuję się lepiej. - Jego płuca brzmiały jak miechy. Wiedziałam, że słabnie. Nie mogłam znieść myśli, że martwi się, że zostanie bez domu zdany na łaskę losu.

- Odpocznij teraz - powiedziałam.

Skinął głową, kładąc się ostrożnie na łóżku. Otulił się mocniej chustami, mimo że w chacie było gorąco. Ciepłe kwietniowe słońce mocno ogrzewało strzechę.

Tamtego wieczoru, jak tęcza po monsunie, wrócił Kai.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Nie było tak, jak sobie wyobrażałam. Nie spostrzegłam, że nadchodzi drogą, nie podbiegłam do niego i nie objęłam ramionami.

Siedziałam na bocznej werandzie, matka jak zwykle leżała w łóżku, a ojciec poszedł do infirmerii. Nocne powietrze słodko pachniało.

Postawiłam lampę na stole, chciałam posiedzieć chwilę i poczytać. Nie byłam jeszcze gotowa, by iść spać.

Nagle zobaczyłam Kaia. Siedział w kucki przed chatą Glory i rozmawiał z nią. Ona siedziała oparta plecami o ścianę.

- Kai - zawołałam, upuszczając książkę, i zbiegłam po schodach. - Kai! Wróciłeś do domu.

Wstał i choć puściłam się pędem w jego kierunku, coś w jego postawie sprawiło, że zatrzymałam się kilka kroków od niego.

- Wróciłeś do domu - powtórzyłam, tym razem ciszej.

- Tak, ale na krótko - odparł, na ułamek sekundy spuszczając wzrok.

Byłam w koszuli nocnej i nagle uświadomiłam sobie, że oświetla mnie od tyłu blask lampy stojącej na werandzie. Zawstydziłam się jak nigdy dotąd w obecności Kaia i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Tylko na kilka dni - powiedział.

- Tylko na kilka?

- Wyjeżdżam z Lahore. Nie odezwałam się.

- Jadę do Madrasu. Mieszka tam mój przyjaciel. Powiedział mi, że otworzyli nowe biura; szukają tłumaczy. To dla

mnie wielka szansa: bardziej interesująca praca i wyższa pensja. Wróciłem, by powiedzieć... wszystkim, dokąd jadę. I że być może nie będę mógł przyjechać do misji przez dłuższy czas.

Zauważyłam, że Glory trzyma w ręce pakiecik. Kai przywiózł jej pieniądze.

W misji zapanował zupełnie inny nastrój, obudziłam się, nie mogąc doczekać się dnia. Kai wrócił, a wraz z nim dawny kojący rytm, nawet jeśli tylko na krótko. Pracował pilnie, naprawiając budynki, i samą swoją obecnością sprawił, że misja ożyła. Nie jadłam kolacji z ojcem, lecz chodziłam do raso/ i siedziałam na ziemi z Kaiem, Sanoshem i Glory. Pavit siedział na swoim miejscu pod figowcem, lecz nie jadł. Kiedy ostatni raz widziałam, jak zabiera talerz do swojej chaty? W geście szacunku nigdy nie jadał przy nas.

Podczas posiłków Kai opowiadał o życiu w Lahore, a ja mówiłam mu o ludziach, którzy przychodzili do infirmerii. Śmiał się z niektórych opowieści. Pierwszy raz od dłuższego czasu ja też się śmiałam. Nie chciałam myśleć o jego wyjeździe, o tym, że znów długo go nie zobaczę. Zachowywał się jak dawniej, był przyjacielski i zainteresowany, ale to wszystko. Obserwując jego dłonie, gdy jadł, usta, gdy mówił, myślałam o tym, jak mnie obejmował na podwórzu sklepu w Lahore, i czułam dotyk jego ust na swoich.

Czy on też o tym myślał?

Czwartego wieczoru siedzieliśmy razem pod figowcem. Pavit wyszedł ze swojej chaty rankiem, i to na krótko. Sanosh umył garnki i zasnął. Glory poszła do siebie, a kilka chwil później jej świeca zgasła. Dom i infirmeria były pogrążone w ciemności.

- Jutro wyjeżdżam - rzekł Kai.

Wiedziałam, że to musi nadejść, a jednak ogarnął mnie nagły, trudny do zniesienia smutek. Z ust wyrwał mi się cichy okrzyk.



Nie patrzył na mnie.

- Tak bym chciała, żebyś nie wyjeżdżał, Kai - powiedziałam. - W dodatku jedziesz tak daleko, aż do Madrasu... Nie mogę się z tym pogodzić.

Nadal milczał. Cisza stawała się kłępująca.

- Taką ścieżkę obrałem - odezwał się w końcu. Pomyślałam o słowach Glóry kiedy mówiła o Kaiu, który zacznie nowe życie i założy rodzinę.

- Planujesz się... ożenić? - Zadałam mu już kiedyś to pytanie.

- Ożenić? Nie mógłbym teraz utrzymać rodziny. - Wstał i spojrzał na mnie. - I chcę - muszę - być sam. Są rzeczy, które muszę zrobić i nie mogę być za nikogo odpowiedzialny. W moim życiu nie ma teraz miejsca dla nikogo.

Podniosłam się z ziemi i stanęłam twarzą do niego. Serce waliło mi jak młotem. Tak bardzo pragnęłam, by mnie objął, że oddychałam krótko, urywanie. Nie otwierałam ust, by nie usłyszał, jak wpływa na mnie jego obecność.

- Rozumiesz, Pree? - zapytał. Rozumiałam jego słowa, lecz nie argumenty.

- Rozumiesz? - spytał ponownie. - Nie mogę... Nie dokończył; ja też stałam w milczeniu.

- Pożegnamy się rano - powiedział i odwrócił się, by odejść.

- Kai. Poczekał.

Zatrzymał się, a ja przybliżyłam się do niego. Nie widziałam jego twarzy. Była pełnia, staliśmy pod drzewem.

Wstrzymałam oddech i wyciągnęłam ręce, lecz gdy koniuszki moich palców dotknęły jego rękawów, pokręcił głową.

- Dobranoc, Pree - rzekł cicho.

Z wyciągniętymi rękami patrzyłam, jak idzie do swojej chaty. Było mi na przemian zimno i gorąco. Byłam zażenowana moim nachalnym zachowaniem i jego uprzejmą, lecz wyraźną odmową. Upokorzyłam się. Na chwilę zacisnęłam powieki, potem je otworzyłam i przez oświetlone

blaskiem księżycyca podwórze ruszyłam w stronę ciemnego domu. Coś mnie obudziło. Koszula nocna była mokra od potu, włosy przykleiły się do szyi, a przecież nie było szczególnie gorąco. Żaluzje były otwarte i niebo, choć nadal ciemne, nie było już czarne. Wyszłam na frontową werandę i usiadłam w bujanym fotelu, by wysuszyć się w chłodnym powietrzu. Nagle zauważyłam pod figowcem jakiś kształt. Początkowo myślałam, że to Jassie, lecz szybko zorientowałam się, że to nie ona. Zeszłam po schodach i podchodząc do drzewa, dostrzegłam Pavita opartego o pień. Czy jemu też było gorąco w tych wszystkich chustach i bandażach i wyszedł na świeże powietrze? Kiedy się zbliżałam, coś w jego pozycji mnie uderzyło. Poza tym miał na sobie tylko starą parę *panjammahs* wystrzępionych na brzegach i luźną koszulę. Po raz pierwszy od wielu miesięcy zrzucił chusty. Przyglądałam mu się w ciemności. Nie tylko zdjął chusty, lecz również odwiązał wszystkie bandaże. Zasłoniłam dłonią usta i nos, by uchronić się przed smrodem. Jednak już po chwili opuściłam rękę, gdy dotarło do mnie to, co zobaczyłam. Czas Pavita nadszedł. Spojrzałam na groteskową jamę, gdzie kiedyś był nos, na zgniłą dolną wargę, która odsłaniała korzenie resztek zębów, na oczy, nadal miłosiernie nietknięte, które szeroko otwarte wpatrywały się w noc. Przyłożyłam mu palce do czoła; skóra nadal była miękka i wyczułam lekkie ciepło. Umarł niedawno. Czy obudził mnie jego duch przechodzący do następnego wcielenia? Podniosłam głowę i spojrzałam przez koronkowy baldachim liści figowca, by sprawdzić, czy uda mi się dostrzec obracające się koło, przenoszące Pavita do następnego wcielenia. Z pewnością zostanie wynagrodzony za cierpienia, których doświadczył w doczesnym życiu. Tak niedawno o tym rozmawialiśmy. Pomyślałam

o jego *atmie*, duszy, wylatującej jak mgiełka z jego czaszki.  
i o tym, że jest wolny.

- Pa vit - szepnęłam i nagle ogarnął mnie smutek. Za uważyłam, że przy jego lewej ręce leży miedziane naczynie. Był to jeden ze starych, pogniecionych dzbanków; skąd się tu wziął?

Podniosłam go i usłyszałam przelewający się płyn. Wąchając jego zawartość, poczułam zapach tamaryndowca i na dzióbku zauważyłam resztki pasty, której Sanosh używał do czyszczenia miedzi i mosiądzu. Usiadłam na ziemi obok Pavita, trzymając dzbanek w ręce, i powoli zaczynałam wszystko rozumieć. Potem wylałam wodę i postawiłam dzbanek z boku, spoglądając na to, co zostało z twarzy Pavita. Widziałam teraz nie porażające ślady choroby, lecz jej wyraz. Na twarzy Pavita malował się spokój, jakiego nigdy nie oglądałam. Jednak poczułam się nieswojo.

Pavit nie uwierzył mi, gdy go zapewniałam, że nie stanie mu się żadna krzywda. Oświadczył wyraźnie, że nie może wrócić do głodowania na ulicach, nie chce, by znów go opluwano, deptano i patrzono na niego z obrzydzeniem.

Pasta z tamaryndowca zmieszana z wodą i pozostawiona na słońcu w miedzianym naczyniu tworzyła zabójczą mieszankę. Większość garnków i naczyń Sanosha miała w środku warstwę cyny, by zapobiec otruciu. Sanosh dbał też, by nigdy najmniejsza choćby drobina pasty nie dostała się do garnków bez ochronnej warstwy.

- Stary przyjacielu - szepnęłam i łzy napłynęły mi do oczu. Pavit postanowił umrzeć tutaj, na bezpiecznym terenie misji. I nagle spłynęła na mnie okropna świadomość: zaplanował swoją śmierć, bo go zawiodłam; nie byłam dostatecznie przekonująca, gdy go zapewniałam, że groźby Glory nigdy się nie spełnią. Ponieważ lekko potraktowałam jego obawy, odebrał sobie życie.

Zadrżałam z zimna w wiosennym powietrzu, a potem poszłam do chaty Kaia i stając przy drzwiach, zawołałam go cicho.

Natychmiast usiadł, wyglądał, jakby nie spał, jakby czekał na mnie. Weszłam do środka. Kai siedział nieruchomo, nie spuszczał ze mnie wzroku. Wyraz jego twarzy był zupełnie obcy.

- Nie, Pree. Proszę. - Mówił cicho, lecz w tonie jego głosu pojawiło się coś... coś w słowie „proszę”... - Nie utrudniaj mi tego - ciągnął, gdy stałam kilka kroków od niego. - Musisz wiedzieć, że ja...

Płonęły mi policzki.

- Chodzi o Pavita - powiedziałam. - Nie żyje.

W krótkiej chwili ciszy, która zapadła po moich słowach, wyraz twarzy Kaia zmienił się. Uświadomiłam sobie, że przed chwilą malowała się na niej nieznana mi miękkość. Czy to było pożądanie?

Odrzucił przykrycie.

- Sprowadzę ojca - powiedziałam, odwracając wzrok od jego nagiej piersi i *panjammahs* lśniących bielą w ciemności.

- Nie - rzucił tak szybko i głośno, że się przestraszyłam.

- Dlaczego nie? Musi się dowiedzieć. Nie możemy zostawić Pavita na podwórzu. Szakale...

- Ja po niego pójdę. Ty zostań z Pavitem. - Sięgnął po wiszącą na gwoździu koszulę. - Włożę tylko...

Byłam jednak zawstydzona, a może nawet zła na Kaia: po pierwsze za to, iż myślał, że przyszedłabym do niego, do jego chaty i łóżka, jakbym była rozwiązła jak jego matka. A po drugie za to, że dyktował mi, co mam robić, gdy w grę wchodził mój ojciec.

Odwróciłam się i pobiegłam do infirmerii, czując pod bosymi stopami kurz jeszcze ciepły po upalnym dniu. Weszłam przez otwarte drzwi, mrugając oczami, by przywykły do panującego w środku mroku. Żaluzje były zamknięte.

Kiedy odsunęłam cienką zasłonę przy łóżku, zobaczyłam ojca śpiącego na wznak. Obok niego leżała Glory z głową

opartą na jego piersi. Ojciec obejmował ją ramieniem. Jego palce otulały jej łokieć, lekko, a jednak zdecydowanie, jakby trzymały cenną porcelanę, którą musi chronić. Dłoń Glory z rozpostartymi palcami spoczywała na piersi ojca.

Patrzyłam na nich przez kilka sekund, a potem się cofnęłam. Nie mogłam jasno myśleć. Mój ojciec i Glory? A jednak... w pewnym sensie nie byłam tak bardzo wstrząśnięta. Widziałam zbyt wiele sygnałów. Ojciec w koszuli nocnej na ciemnym podwórzu, kiedy wyszłam go szukać zaniepokojona stanem matki rok temu. Bransoletka Glory w pościeli i jej przebiegły uśmiech, kiedy siedziała przy ojcu, gdy źle się poczuł. Czy już wtedy wiedziałam, lecz nie chciałam się z tym pogodzić, pozwolić, by ten obraz na dobre zagościł w mojej głowie? A Kai... on też wiedział, na pewno, bo próbował mnie powstrzymać przed pójściem do infirmerii. Szturchnęłam ojca w ramię. Zaskoczony otworzył szeroko oczy, gdy usiadł i mnie zobaczył. Szybko się odwrócił, by spojrzeć na Glory, otwierając usta, jakby chciał coś powiedzieć - wyjaśnić? - ale nie dałam mu okazji.

- Pavit nie żyje - oznajmiłam. - Kai jest z nim na podwórzu. Nie możemy tam zostawić ciała.

- Och, och! Rozumiem - powiedział i usiadł na brzegu łóżka w białej koszuli nocnej. Sposób, w jaki to zrobił, był wyraźną i żalosną próbą zasłonięcia Glory. Czy naprawdę wyobrażał sobie, że jej nie zauważyłam?

Poruszyła się, chrząknęła cicho, jakby pytająco, i na mój widok usiadła leniwie. Była naga, ale nie próbowała się zakryć. Widziałam jej piersi, duże i pełne, z ciemnymi sutkami. Położyła dłoń na ramieniu ojca, a jej długie smukłe palce wyglądały jak plama na białej koszuli. Nie okazywała za grosz wstydu.

Nie mogłam sobie wyobrazić, by ojciec obejmował łokieć matki z taką delikatnością. Ich jawna zażyłość i intymność sprawiła, że mój głos zabrzmiał twardo.

- Nie kłopotz się, ojczy - powiedziałam.

Ogarnęła mnie cała fala emocji: smutek, że stary trędowaty, którego znałam od zawsze, odebrał sobie życie, samotnie zapraszając śmierć; wściekłość, że ojciec i Glory są tak bezwstydni i dopuszczają się tego aktu, gdy matka leży po drugiej stronie podwórza w budynku misji. Byłam też zła, że Kai o wszystkim wiedział i próbował mnie przed tym ochronić.

Podeszłam sztywno do drzwi, moje bose stopy klaskały na wypaczonej podłodze, po czym zatrzymałam się i odwróciłam. Siedzieli w skłębionej pościeli, dotykając się ramionami, jakby byli mężem i żoną.

- Jesteście grzesznikami - powiedziałam niskim, głębokim głosem. -

Nazywasz siebie duchownym, ojcze, a jednak popełniasz grzech cudzołóstwa. I to z... nią - ciągnęłam, podnosząc głos. - Niedobrze mi, gdy na was patrzę. Moją jedyną pociechą jest to, że macie przed sobą przyszłość, którą znacie doskonale. Będziecie gnić w piekle.

Wyszłam i zbiegłam po schodach infirmerii, wracając pod figowiec. Kai z kocem narzuconym na ramiona siedział obok ciała Pavita. Sanosh przykucnął obok Kaia, który spojrzał na mnie, gdy usiadłam obok niego ze skrzyżowanymi nogami, lecz nic nie powiedział. Byłam wstrząśnięta i drżały mi usta, ale nie zamierzałam z nim o tym rozmawiać. Znów uświadomiłam sobie, że mam na sobie tylko cienką koszulę nocną. Kai zdjął koc i narzucił mi go na ramiona.

- Pree?

Co chciał usłyszeć? Spojrzałam na niego. Blask nisko wiszącego na niebie księżycy otaczał mu głowę jak starannie uprzedzona wełna.

Wiedziałam, że mój wzrok jest twardy jak kamień. Odwrócił się i siedzieliśmy oboje w milczeniu.

Po schodach infirmerii zszedł ojciec w pełni ubrany. Glory się nie pokazała.

Spojrzałam na Pavita i ostatni raz wyobraziłam sobie, jak ten przeżarty chorobą staruszek mógł wyglądać, gdy był młody, kiedy z nadzieją patrzył w przyszłość. Łzy znów

napłynęły mi do oczu. Zakryłam twarz dłońmi i rozpłakałam się. Opłakiwałam Pavita i jego utracone życie. Opłakiwałam nas wszystkich, żyjących w tym grzesznym miejscu.

Od pierwszej chwili, kiedy tylko zorientowałam się, co zaszło, wiedziałam, że nie powiem nikomu, że Pavit odebrał sobie życie. Gdyby mój ojciec się o tym dowiedział, zacząłby się rozwodzić, jak wielkim grzechem jest samobójstwo. Ojciec, który żył w grzechu i kłamstwie. Kiedy rankiem wzeszło słońce, barwiąc niebo na różowo, próbował się modlić za Pavita.

Jak zwykle siedzieliśmy na werandzie; ciało Pavita leżało na łóżku w jego chacie. Pomogłam matce wstać z łóżka. Nie miałam siły, by ją ubrać, lecz umyłam jej twarz, uczesałam i narzuciłam na ramiona szal, po czym wyprowadziłam ją na bujany fotel na werandzie.

Glory nie wyszła ze swojej chaty, co mnie ucieszyło. Jednak kiedy ojciec rozpoczął modlitwę, pojawił się Kai i pierwszy raz od wielu lat uklęknął na ziemi przed werandą. Wiedziałam, że zrobił to z szacunku dla Pavita. Ojciec był rozkojarzony tracił wątek, urywał, odchrząkiwał i spoglądał na trzymaną w ręce czarną Biblię. Ani razu nie spojrzał na mnie, choć przez cały czas nie spuszczałam z niego wzroku. Matka siedziała z brodą opuszczoną na piersi, z zamkniętymi oczami. Nie wiedziałam, czy śpi, czy tylko pograżyła się w poplątanych myślach, które przebiegały jej przez głowę. Oparła ręce na udach, stulając dłonie, jakby czekała, że coś do nich wpadnie.

- „Raz na zawsze zniszczy śmierć. Wtedy Jahwe Pan otrze łzy z każdego oblicza, odejmie hańbę...” - zaczął ojciec i urwał w środku wersu. Stał, patrząc na coraz jaśniejsze niebo.

Matka nagle podniosła głowę.

- Czy ktoś umarł? - zapytała szybko.

- Pavit - odparłam. Mówiłam już o tym, gdy pomagałam jej wstać. Skinęła głową.

- Ach. Wielebny się smuci. Smuci się z powodu martwej duszy. Zagryzłam mocno zęby, tak bardzo chciałam powiedzieć, że ojciec przerywa modlitwę nie z powodu smutku, lecz wyrzutów sumienia. A jest mu wstyd nie tylko z powodu popełnionego cudzołóstwa, lecz również dlatego, że go widziałam.

- Wykop grób za płotem cmentarza, chłopcze - powiedziała matka, patrząc na Kaia. Czy zapomniała jak ma na imię? - Oczywiście Pavita nie można pochować w poświęconej ziemi. Jest poganinem.

- Nawrócił się, matko - rzekł ojciec. - „Do niego zaś rzekł: «Wstań, idź, twoja wiara cię uzdrowiła»”.

Kai spojrział na niego, potem na mnie i znów na matkę.

- Pavit chciałby, żeby go skremowano, wielebny - powiedział.

- Rób, jak chcesz. - Ojciec przyłożył dłoń do czoła. Drugą ręką poszukał za sobą krzesła i usiadł ciężko.

- Oczywiście - powiedziała matka raczej bezmyślnie. - Tak, musi zostać skremowany - przytaknęła, a potem zaśpiewała: „Stamtąd przyjdzie w chwale sędzić żywych i umarłych, a królestwu Jego nie będzie końca”.

Po południu Kai delikatnie położył owinięte całunem ciało Pavita na wozie i poprowadził Martę przez pola nad brzeg Rawi. Sanosh wziął wcześniej wóz i pojechał kupić drewno używane do kremacji. Kupił też żółty materiał, by owinać ciało. Widziałam, jak Kai dawał mu pieniądze. Niosłam figurki Pavita w płóciennym woreczku. Wcześniej poszłam do ojca i odezwałam się do niego pierwszy raz od czasu, gdy znalazłam go z Glory.

- Razem z Kaiem i Sanoshem spalimy Pavita - powie-



działałam, nie mogąc patrzeć na niego, gdy siedział na bocznej werandzie. Wpatrywałam się w barierkę. - Na pewno nie chcesz brać udziału w pogańskiej ceremonii. - Kiwał głową, gdy wychodziłam z infirmerii. Matka przespała ceremonię w swoim pokoju, a Glory... nie pojawiła się. Kai i Sanosh ułożyli polana na największym płaskim kamieniu, na którym praliśmy bieliznę, i położyli na nich ciało Pavita. Mniejsze patyki poukładali na jego piersiach i nogach. Umieściłam obok niego woreczek z figurkami.

- Chcesz podpalić stos, Sanosh? - zapytał Kai, lecz Sanosh pokręcił głową.

- Ten obowiązek przypada tobie - powiedział. - Jako najstarszy syn, musisz podpalić stos, by otworzyć drogę do nieba.

Kai uklęknął i podpalił suche drewno.

Kiedy Kai i Sanosh śpiewali razem, a żółty całun Pavita zajął się od ognia, próbowałam nie myśleć o ojcu i Glory, starałam się wyrzucić z głowy ich obraz leżących w łóżku, nagich piersi Glory przytulonych do ramienia ojca i jego dłoni na jej łokciu.

Głos Kaia był piękny, głęboki i przepełniony smutkiem, kiedy modlił się po angielsku i w pendżabi. Zaśpiewał potem *Ram Naam Satya Hai* w hindi i dołączyłam do niego. Miałam nadzieję, że dusza Pavita usłyszy wszystkie modlitwy i śpiewy i znajdzie w nich pociechę. Odmówiłam potem własną modlitwę, pragnąc, by z powodu samobójstwa Pavit nie zagubił się w wielkim kole. Jego następne życie musi być lepsze, bo w tym dość wycierpiał.

Płomienie trzeszczały, a cała okolica i wody rzeki drgały w gorącu.

Wiedziałam, że ogień oczyszcza Pavita ze wszystkich chorób, po śmierci jego zapach był słodszy niż za życia. Zostaliśmy na brzegu, aż ogień się dopalił. W powietrzu unosiły się pasemka dymu i popiół. Odwróciłam wzrok od pozostałości czaszki i kości.

Potem wróciliśmy do misji, gdzie Sanosh usiadł, wbijając wzrok w garnki, a Kai zniknął w swojej chacie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ojciec siedział przy stole w infirmerii i wysypywał na blat tabletki z dużej butelki. Odliczał je i układał w małe stosiki. Kiedy weszłam, podniósł wzrok. Postanowiłam stawić mu czoło, i śmiało patrzyłam mu w oczy.

- Pavit jest?...

- Tak. Został skremowany na sposób hinduski, na pewno by sobie tego życzył. Tak naprawdę nigdy się nie nawrócił - zaczęłam, pragnąc zranić ojca. Wpatrywał się w tabletki. - Teraz muszę coś wyznać, ojciec - oznajmiłam. - Tobie i... jej - powiedziałam, nie mogąc wymówić imienia Glory.

Plama trądziku na jego czole czerwieniła się groźnie, jak wypalona żelazem. Żałowałam, że nie ma kształtu litery A, jaką nosiła na piersiach Hester Prynne\*, bo byłoby to bardzo na miejscu.

Kiedy tak na niego patrzyłam, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Czyżby nienawiść? Wszystko się zmieniało - matka traciła rozum, Pavit umarł, a teraz... teraz to. Ojciec sypiał z tą brudną, niegodziwą, egoistyczną i niemoralną Glory.

Nie był człowiekiem, za jakiego go uważałam; był szarlatanem.

Poza czerwoną plamą na czole twarz ojca była woskowa, pozbawiona wszelkiego koloru. Lśniła lekko niczym perła, lecz bez jej uroku.

Przesunął dłoń po ustach.

- Wody, Pree. Mogłabyś mi przynieść szklanek wody?

- Nie teraz - odparłam zła, że mówi o czymś nie-

**\* Hester Prynne - oskarżona o cudzołóstwo bohaterka powieści *Szkarłatna litera* Nathaniela Hawthorne'a.**

istotnym, kiedy ja zwracam się do niego z tak ważni, sprawą. - Ojczy, milczałam przez cały ten długi i straszny dzień. Ale już dłużej nie mogę. Muszę porozmawiać o tobie i Glory.

No proszę, wypowiedziałam na głos jej imię i znów wyraźnie stanął mi przed oczami obraz jej nagości, palców spoczywających na sercu ojca, sposobu, w jaki ją przytulał, gdy spali, i poczułam, że twarz wykrzywia mi się bezwiednie, jakby ktoś wymierzył mi policzek.

Ojciec miał na tyle przyzwoitości, by spuścić wzrok.

- Nie rozumiesz, Pree - powiedział, patrząc na swoje kolana. - Nie możesz...

- Rozumiem - przerwałam. - Wiem, co widziałam. Wiem, co robicie z Glory.

Z włosów spłynęła mu strużka potu.

- Nie bądź tak ordynarna, Pree. Nie przystoi córce zwracać się tak do ojca. Próbował wytrzeć pot, lecz kiedy podniósł rękę, opadła nagle na stół, przewracając butelkę. Białe tabletki rozsypały się po blacie i po podłodze.

- Czemu nie? To ty zachowujesz się ordynarnie. Nieprzyzwoicie. -

Podniosłam głos. - Naprawdę wierzysz, że w tym momencie masz prawo mnie karcić?

Nieoczekiwanie wstał, lecz pochylił się lekko, jakby osłaniał górną część ciała. Położył prawą rękę na lewym ramieniu.

- Jestem twoim ojcem, Pree. Powtarzam jeszcze raz, że nie wolno ci zwracać się do mnie w ten sposób. Proszę. Proszę, przynieś mi wody. Ja... Boję się, że...

Rozdrażniona potrząsnęłam głową.

- Ojczy. Nie zachowuj się, jakbyś miał jeden ze swoich ataków, tylko dlatego, by mnie powstrzymać. Nie możesz udawać, że nic się nie stało.

Odwrócił się do mnie z wyrazem zakłopotania na twarzy. Jego otwarte usta były kredowobiałe, czająca się za nimi ciemność wyglądała jak rana. Ręka, którą ścisnął ramię, opadła,

jakby był marionetką, a kierujący nią lalkarz nagle puścił sznurek. Potem padł na ziemię z głuchym stukotem.

Później zadawałam sobie pytanie, czy to ja wywołałam atak, który mógł być ostatnim. Oskarżałam go, że udaje, by uniknąć konfrontacji.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak wyglądał, gdy weszłam do infirmerii. Czy już go bolało? Czy doszłoby do tego, nawet gdybym się nie zjawiała? Chciałam pocieszyć się myślą, że to nie moja wina, że nie mogłam ponosić odpowiedzialności za to, co się wydarzyło.

Wiele razy zadawałam sobie potem pytanie, czy gdybym nie sprowokowała ojca, moje życie nie sięgnęłoby dna?

Oczywiście natychmiast opadłam przy nim na kolana, dotknęłam jego bladej, wilgotnej twarzy i uniosłam jego zimną rękę z bezwładnymi palcami.

- Ojcie! - krzyknęłam, poluzniając mu kołnierzyk i rozpinając guziki kamizelki. - Ojcie! - Rozejrzałam się po pustej infirmerii, jakbym oczekiwała, że zjawi się jakaś nieznajoma postać, by mi pomóc.

Oczywiście nie było nikogo. Zostawiłam ojca i pobiegłam do chaty, wołając Kaia. Wyszedł ostrzyżony na krótko. Jak każdy posłuszny hinduski syn obciął włosy w geście szacunku dla Pavita.

- Ojciec zaniemógł - powiedziałam. - Proszę, pomóż mi.

Kai pobiegł ze mną do infirmerii i równie łatwo jak dźwigał ciało Pavita, podniósł ojca i położył go na łóżku.

- To moja wina - powiedziałam z płaczem. - Zdenerwowałam go i...

Kai przerwał mi jednak. Z zaciśniętymi ustami zdjął ojcu marynarkę, krawat i buty i wziął leżącą w nogach łóżka koszulę nocną.

- Nie obwiniaj się - rzekł. - To tylko kolejny atak. Nie ma żadnej bezpośredniej przyczyny. - Jego głos brzmiał dziwnie obojętnie. Bez gęstych, kręconych włosów wyglądał

zupełnie inaczej. Jego oczy wydawały się jeszcze większe, a twarz szczuplejsza. Jakby był obcym człowiekiem.

Odwróciłam się, gdy wkładał ojcu koszulę.

Potem wyszedł. Siedząc przy łóżku ojca, zastanawiałam się przez chwilę, czy wyjechał z misji, czy tylko wrócił do swojej chaty. W końcu ojciec otworzył oczy. Podniosłam mu głowę i przytknęłam do ust szklanę z wodą. Przez chwilę wahałam się, czy nie rozpuścić w niej odrobiny laudanum, ale nie byłam pewna, czy to mu nie zaszkodzi, więc się rozmyślałam.

Udało mu się wypić kilka łyków. Umyłam mu twarz. Kiedy zorientowałam się, że zasnął, bo nie oddychał już z takim trudem, wstałam i przeciągnęłam się, bo zeszywniałam, siedząc długo w jednej pozycji. Przykryłam ojca cienkim kocem i zostawiając płonąca świecę, poszłam nad rzekę.

Jassie leżała skulona na resztkach stosu Pavita, ciesząc się ciepłem.

Podniosła łeb i spojrzała na mnie. Potem powoli pomachała ogonem, raz, dwa, trzy razy, wzbijając w powietrze obłok popiołu.

Wróciłam do infirmerii i siedziałam w ciemności przy ojcu przez kilka godzin, chwilami na podłodze przy łóżku, chwilami na stołku z głową opartą na rękach spoczywających na stole. Nagle usłyszałam na werandzie lekkie kroki i brzęk bransoletek. Do infirmerii weszła Glory.

- Czego chcesz? - szepnęłam ochryple.

- Posiedzę przy nim - odparła.

- Nie - zaprotestowałam, choć byłam tak zmęczona, że z trudem otwierałam oczy. Wiedziałam, że jest już dobrze po północy.

- Posiedzę kilka godzin - powiedziała. - Idź się przespać.

Byłam zbyt zmęczona, by dłużej się opierać. Poszłam do domu i niemal natychmiast zapadłam w sen, nie zdejmując nawet ubrania.

Kiedy się obudziłam, przez chwilę leżałam nieruchomo, czując tępy ból w głowie. Spojrzałam na zegar; spałam przez sześć godzin. Było już po ósmej, o wiele później, niż zwykle wstawałam. Zaskoczyło mnie, że mogłam spać tak głęboko po tych wszystkich okropnościach: po śmierci Pavita, przyłapaniu ojca i Glory, kremacji Pavita i ataku ojca.

Nie zawracając sobie głowy zmianą ubrania, spryskałam twarz wodą i przesunęłam grzebień po rozpuszczonych włosach. Zanim poszłam do infirmerii, zajrzałam do pokoju matki; leżała nieruchomo, najwyraźniej nadal spała.

Kiedy przechodziłam przez podwórze, zobaczyłam, że Kai doi Martę; nadal więc tu był. Na stopniach infirmerii siedział mężczyzna z małym chłopcem, który miał rękę unieruchomioną na prowizorycznym temblaku. Drzwi za nimi były otwarte.

- Nie możemy dziś wam pomóc - powiedziałam. - Przepraszam.

Skinął głową, wziął chłopca na ręce i odszedł.

Stałam w drzwiach infirmerii. Zasłona przy łóżku nie była zaciągnięta i zobaczyłam, że Glory leży na łóżku obok ojca i trzyma go za rękę. Czy ten mężczyzna to widział?

Na nowo ogarnęła mnie furia. Wpadłam we wściekłość.

- Glory - odezwałam cicho - zostaw teraz ojca.

- Ojciec chce, żebym tu była. Prawda, Samuelu? - powiedziała, nie zadając sobie nawet trudu, by nazwać go wielebny. Imię ojca spłynęło z jej ust tak swobodnie, jakby to robiła bardzo często.

Aby rozżłościć mnie jeszcze bardziej, ojciec mruknął cicho:

- Pozwól jej zostać, Pree. Dobrze mi z nią. Nie odmówisz chyba pociechy umierającemu człowiekowi?

Zmieszałam się, słysząc jego słowa, choć nie wiedziałam, czy czuję złość, czy smutek. Czy rzeczywiście umierał? A może była to prośba, bym zaakceptowała łączący go z Glory związek? Weszłam do środka, zamknęłam drzwi

i przymknęłam żaluzje, by w pokoju zapanował półmrok. Nie chciałam, by ktokolwiek oglądał to przedstawienie.

Stając z boku łóżka, skrzyżowałam ręce na piersi i spojrzałam na ojca. Nie przyszło mi do głowy, że może umrzeć. Bywał już często chory, ale wiedziałam, że nigdy tak poważnie jak teraz. Z pewnością żalił się dla większego efektu, by uniknąć mojego gniewu.

- Przynosi ci pociechę? - zapytałam cicho. - A kto pociesza matkę, ojczy? Kto przynosi pociechę twojej żonie?

Glory wyprostowała się i przesunęła palcami przez długie rozpuszczone włosy. Nie wstała jednak z łóżka, tylko przysiadła na jego brzegu.

- Nie mów nic matce, Pree. Nie mów jej o tym - rzeki ojciec.

Nienawidziłam go za to, że mnie w to wszystko wciąga, każe mi kłamać lub przynajmniej mijać się z prawdą.

- Nie sądzę, by kiedykolwiek to zrozumiała - powiedziałam ostro.

Pomyślałam o niej, jak leży zaniedbana, często nie pamiętając, jak mam na imię.

- Była dobrą kobietą - odezwał się ojciec. Między zdaniem brał głęboki oddech. - Próbowałem ją kochać. I kiedyś kochałem. W Anglii.

Kochałem ją w Anglii. Ale rozdzieliły nas te wszystkie lata, a listy przychodziły tylko dwa razy w roku. A potem, kiedy w końcu mogła przyjechać do Indii, zmieniła się. Z pewnością było to wynikiem bólu związanego z chorobą Elijaha i jego śmiercią. To ją całkiem przerosło i nie była już kobietą, z którą się ożeniłem.

Oparłam się o stół. Niech szuka dalszych wymówek.

- Była coraz twardsza. I wyglądało na to, że obwinia mnie o wszystko. O śmierć dzieci. Nieumiejętność nawracania pogan. A przez ostatnie lata obwiniała mnie nawet o swoją własną... o swoją chorobę.

Chciałam go nienawidzić, chciałam podrapać mu twarz, wykrzyknąć, że jest zły, kłamliwy, że nie rozumiem, jak mógł coś takiego zrobić. Ale w tej chwili nie mogłam. Wiedziałam,

że na swój sposób próbował zrozumieć matkę. Jednak ona sama sprawiała, że tak trudno było ją kochać.

I byłam przy tym, gdy wyrzuciła go ze swego łóżka. Wiedziałam, że jest samotny. Nie był to oczywiście powód do cudzołóstwa; jeśli ktoś miał silną wolę, potrafił walczyć z popędami ciała. W wieku siedemnastu lat wierzyłam, że znam świat na tyle dobrze, by wydać taki osąd.

Jednak znałam też Glory, uwodzicielską i pozbawioną zahamowań.

Przekonywałam sama siebie, że gdyby matka nie odsunęła ojca od siebie, może nie poddałby się urokowi Glory. Byłam święcie przekonana, że ta niegodziwość trwa zaledwie od kilku miesięcy.

- Ale ojciec - powiedziałam - Biblia mówi, że nawet myśl o cudzołóstwie jest grzechem. Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział piąty, wers dwudziesty ósmy: „Każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił cudzołóstwa”. A po tym, co zrobiłeś... Nie wierzysz, że zostaniesz rzucony na pastwę szatana?

Ojciec zamknął oczy.

- Na pewno, Pree. Przez swoją niegodziwość z pewnością nigdy nie stanę przed obliczem Pana. Pogodziłem się z tym. „Każdy umrze za swój własny grzech”. Już jestem jak martwy. Wiem o tym, Pree.

Na werandzie rozległo się szuranie. Otworzyłam drzwi, by odprawić osobę, która przyszła szukać pomocy medycznej. Jednak nie ujrzałam za nimi tubylca.

- Mama - powiedziałam zaskoczona, oglądając się za siebie. Glory ciągle siedziała na brzegu łóżka. Stałam w drzwiach w nadziei, że uda mi się ją zasłonić, jak przed dwoma dniami próbował to zrobić ojciec. - Nie powinnaś wychodzić z łóżka w koszuli nocnej i boso. Zaprowadzę cię do domu. - Próbowałam wyjść i zamknąć za sobą drzwi, lecz matka odepchnęła mnie z zaskakującą siłą.

- Co się stało? - zapytała.

Patrzyła zupełnie przytomnie. Wiedziałam, że ma dziś lepszy dzień.

Dlaczego teraz? Nie mogła zostać w łóżku



jeszcze przez jakiś czas, dopóki ojciec nie wydobrzeje i będziemy mogli udawać, że wszystko jest jak dawniej?

- Co ty tu robisz z wielebnym? - zapytała, wchodząc do infirmerii.

Chwiejnym krokiem podeszła prosto do łóżka i Glory.

Spodziewałam się, że Glory wstanie i rzuci jakąś wymówkę. Została jednak na miejscu, uśmiechając się do matki niemal słodko. Potem wyciągnęła rękę i położyła dłoń na dłoni ojca.

- Pani mąż bardzo potrzebuje kobiety, by się nim opiekowała -

powiedziała po angielsku. - Pani się już do tego nie nadaje. I to od dawna.

Może nigdy, mem Fin. - Ciągle się uśmiechała. Ojciec zamknął oczy. -

Więc ja się nim opiekuję - mówiła Glory. - Zawsze opiekuję się Samuelem, jak sobie tego życzy. - Jej słowa w połączeniu ze znaczącym uśmiechem wyraźnie dały do zrozumienia, co ma na myśli.

I matka zrozumiała. Widziałam to wypisane na jej twarzy. Stała tam, przenosząc wzrok z Glory na ojca, a z jednego kącika jej ust ciekła ślina.

Siorbnęła, przesuwając wierzchem dłoni po ustach.

- Jak długo to trwa, Samuelu? - zapytała w końcu dziwnie spokojnym tonem.

Zrobiłam krok do przodu.

- Chodź, mamó. Nie denerwuj się jeszcze bardziej... Strząsnęła moją rękę, jakby była natrętną muchą.

- Jak długo, Samuelu? - zapytała tym samym beznamiętnym głosem.

Ojciec nie otwierał oczu. Wiedziałam, że jest słaby i się boi. Nie można było tego powiedzieć o Glory.

- Już pani mówię. Od zawsze. Jeszcze zanim pani przyjechała.

Nie spuszczałam z niej wzroku. Na podwórzu Sanosh coś siekał.

Policzyłam pięć odgłosów spadającego noża, zanim matka znów się odezwała.

- Zanim dokąd przyjechałam?

- Do Indii - odparła Glory. - Zawsze tak było między mną i Samuelem. Przebiegające drogą dzieci krzyczały coś do siebie.

- Dałam mu syna - rzuciła Glory obojętnie. Bezwzględnie.

- Syna? - powtórzyła tępo matka.

Ojciec jęknął, rzucając głową na boki na spłaszczonej poduszce.

- Nie, Glory. Przestań.

- Już pora - powiedziała. - Zawsze, zawsze myśli, że jest przy mnie wielka pani. Zawsze jest *hurra* memsahib, patrząc na mnie, jakbym była żukiem gnojnikiem. Ale już nie. Teraz będzie wiedziała. - Wstała i robiąc kilka kroków, stanęła przed matką. - Dałam mu syna, który żyje, a pani syn umarł - powiedziała. Ich twarze dzieliły tylko centymetry.

- Kiedy umarł mój syn? Gabriel?

Glory uśmiechnęła się jeszcze szerzej, lecz jej wargi były spierzchnięte.

- Syn w Anglii. Pierwszy syn.

Matka zachwiała się. Widziałam jej zmierzwione włosy, czułam odór jej spoconego, niemytego ciała. Jej koszula nocna była paskudnie poplamiona. Położyłam dłoń na jej ramieniu.

- Moje dzieci nie umierają. Moje dzieci są silne. Pani... pani - rzuciła Glory jadowicie - nie potrafi mu dać żyjącego dziecka.

Próbowałam to wszystko zrozumieć. Glory urodziła syna wiele lat temu. Oczywiście matka dała mu żyjące dziecko. Ja byłam na to dowodem. Nie byłam synem, ale... Puściłam ramię matki i znów oparłam się o stół, nie spuszczać wzroku z ojca.

Jakimś cudem matka odzyskała energię.

- Zamknij się, Glory - powiedziała. - Natychmiast. Nic już nie mów.

Jesteś kłamliwą, brudną suką.

Tego już było za wiele. Wyznanie Glory, matka mówiąca

w tak niezwykle sposób, mój ojciec, który niczego nie po twierdzał ani niczemu nie zaprzeczał. Słyszę głos, który mówi:

- Kai? Czy to Kai? Jesteś ojcem Kaia? - To był mój głos.

W ciemnym rogu pokoju ojciec zakrył oczy ramieniem. Widziałam nas wszystkich, jakbym zwisała z sufitu na gigantycznej pajęczynie: matka, trzęsąca się i pobladła, trzymała się dużą, czerwoną ręką stołu; Glory spoglądała na nią z zadowolonym, przebiegłym uśmiechem; ojciec, skulony ukrywał twarz, a ja stałam z otwartymi ustami i rękami zwisającymi bezwładnie wzdłuż boków.

Jeśli Glory nie kłamała, mój ojciec sypiał z nią, kiedy była jeszcze prawie dzieckiem, miała dwanaście, trzynaście lat. Poczulałam kwaśny smak w ustach, paliło mnie gardło. Czy to możliwe? Czy mój ojciec mógł być ojcem Kaia?

- Mamo? Czy ona mówi prawdę? - zapytałam. Nie odpowiedziała; z jej twarzy zniknął przytomny wyraz, który widniał tam zaledwie przed chwilą.

Nagle wróciły wspomnienia. Sposób, w jaki Kai zapytał ojca, czy jakoś zareaguje, kiedy upokorzyli go Langowie. Matka, która opowiadała mi, że ojciec traktował Kaia jak syna, gdy porzuciła go Glory, jak okazywał małemu Kaiowi czułość, być może nawet miłość. I zawsze pozwalał Glory wrócić do misji, bez względu na to, na jak długo zniknęła i co wtedy robiła.

Glory mogła więc mówić prawdę. A to oznaczało, że Kai jest moim przyrodnim bratem. Pomyślałam o jego ciepłych wargach na moich, jak zatrzymały się tam o sekundę zbyt długo, jak potem objął mnie ramionami. Jak się cofnął z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Czy on wie? - zapytałam wysokim zduszonym głosem. - Glory, czy Kai wie? Czy wie, kto jest jego ojcem?

Glory przeniosła wzrok z matki na mnie. Wreszcie przestała się uśmiechać.

- Oczywiście. Zawsze wiedział. Od małego chłopca - powiedziała. Zamknęłam usta; oddychałam urywanie przez nos. Spojrzałam na podłogę, na czubki butów. Potem popatrzyłam na matkę. Stała skulona przy stole, z zatroskanym wyrazem twarzy, jakby przeniesiono ją z

dobrze znanego miejsca i postawiono w obcym kraju obok ludzi, których nigdy nie widziała na oczy.

Nagle jednak drgnęła niespokojnie, jakby obudzona z głębokiego snu. Rzuciła się do przodu, jak pociągnięta za haczyk wbity do czaszki, i wyprostowała ramiona. Patrzyła na swoją rękę, którą objęła nadgarstek Glory zaciskając tak mocno, że pobieleły jej knykcie. Glory zaskoczona spuściła wzrok, krzywiąc się z bólu.

Wiedziałam, że bez trudu wyrwałaby rękę z uścisku; po tak długim czasie spędzonym w łóżku matka straciła siły. Glory wydawała się podobnie zdumiona jak ja. Matka potrząsnęła ręką Glory, jakby była terierem trzymającym w pysku szczura, i chwiejnym krokiem podeszła do łóżka, ciągnąc Glory za sobą.

Ojciec zwiesił ramię; oddychał ciężko, głośno charcząc. Drugą rękę położył na cienkim kocu. Miała fioletowe paznokcie.

- Samuelu - powiedziała matka. - Samuelu, usiądź. Ojciec zamrugnął powiekami i z wielkim wysiłkiem

oparł się najpierw na łokciu, a potem udało mu się oprzeć o ścianę.

- Czy Kai jest twoim synem? - dopytywała się matka. - Czy spłodziłeś Kaia z Glory? Czy zadawałeś się z tą dziwką, kiedy ja w Anglii walczyłam o życie naszego syna?

Ojciec znów zamknął oczy, lecz matka nie dawała za wygraną. Puściła rękę Glory i z głuchym stukotem opadła na kolana przy łóżku. Zwykle poruszała się bardzo sztywno

i byłam przekonana, że jej stawy zupełnie się zatarły; ten nagły ruch zupełnie mnie zaskoczył.

Jej twarz znalazła się blisko twarzy ojca i mogłam się

tylko domyślić przykrego odoru, jakim go owiewała przy każdym oddechu.

- Samuelu - powiedziała znów, potrząsając go mocno za ramię, jak przed chwilą Glory.

Przez twarz ojca przemknął cień - bólu, rozpacz, a przede wszystkim chyba strachu. Potem przekręcił głowę na bok, spoglądając na Glory.

- Odpowiedz. W swojej ostatniej minucie wyznaj, Samuelu, prawdę. -

Głos matki przypominał cichy warkot. - Nie umrzesz, nie wyznając prawdy. Czy Kai jest twoim synem?

Ojciec przeniósł wzrok na matkę i próbował otworzyć usta, choć gęsta, kleista substancja w ich kącikach bardzo mu to utrudniała. Wreszcie udało mu się szepnąć. Tylko jedno słowo, które z absolutną pewnością spodziewałam się usłyszeć.

- Tak - odparł i znów zamknął oczy i usta.

Matka przysiadła na piętach. Spojrzała na Glory. Ja też. Miałam wrażenie, że unosi swój cofnięty podbródek. Z triumfem? W jej oczach pojawił się nowy wyraz wyższości, gdy spoglądała na klęczącą matkę.

- Trzymałam go, o tak - Glory podniosła rękę wierzchem dłoni do góry. - Zawsze. A pani - pokręciła głową - trzymała tylko powietrze.

- Jeśli go trzymałaś, to tylko dlatego, że był słaby. On jest bez winy - powiedziała powoli matka. Spojrzałam na nią uważnie. Czy naprawdę w to wierzyła? - Kobiety takie jak ty potrafią osaczyć niewinnego mężczyznę lubieżnym zachowaniem. Takie czarownice mogą omotać nawet dobrego człowieka - dodała drżącym szeptem. - Spójrz tylko na Jezebel - mruknęła. Jej powieki były dziwnie ciężkie, jakby znajdowała się na krawędzi snu. - Albo na żonę Putyfara. Dalilę. Albo... - urwała i osunęła się na podłogę obok łóżka. Oparła głowę na wyciągniętej ręce, lecz oczy miała otwarte.

Jednak Glory jeszcze nie skończyła i teraz przerzuciła się na hindi.

- Kochał mnie. Wiele razy błagał, żebym z nim wyjechała, żebym zostawiła misję i panią - powiedziała do matki, która leżała bez ruchu.

Czy ojciec zostawiłby tak łatwo także mnie?

- Ciągle snuł jakieś plany. Leżał obok mnie i próbował mnie przekonać.

Planował i planował, ale ja nie chciałam tego zrobić. - Znow spójrzała na ojca. - A wie pani dlaczego? Ma pani rację, mem. Jest słaby. Zawsze był

dla mnie za słaby. Potrzebuję mężczyzny silnego w ramionach i głowie.

On... - strzeliła palcami w stronę ojca - do niczego się nie nadawał. Mógł mnie zadowolić jako mężczyzna, tylko kiedy nie miałam nikogo innego. -

Znow się uśmiechnęła. - Wziął mnie pierwszy raz, kiedy byłam

dziewczynką i najęłam się do pomocy w misji w Allahaba-dzie. I

myślałam, że tak ma być. Ale potem, kiedy miałam innego Anglika,

silnego i podniecającego, wiedziałam, że marnuję się przy Samuelu. Był za słaby we wszystkim, na ciele i w myślach.

Urwała z nieprzeniknioną twarzą i spojrzała na zamknięte żaluzje. Komu opowiadała tę historię? Matka jakby zapadła w śpiączkę, a ojciec był prawie nieprzytomny.

- Ale zawsze pozwalałam mu przychodzić do mojego łóżka. Bo dzięki temu moje życie było proste i się nie nudziłam.

Kiedy słuchałam jej słów, zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam już dłużej pozostać w tym pokoju z otaczającą nas wszystkich trucizną. Z trudem łapałam oddech.

- Nudziłam się - powtórzyła, dotykając bosą stopą nieruchomego ciała matki. Na drugim palcu miała pierścionek z migoczącym oczkiem.

Patrzyłam, jak przyciska go do biodra matki.

- Zostaw ją! - krzyknęłam, rzucając się w jej stronę. Bezcelność Glory wyrwała mnie z bezruchu. Odepchnęłam ją

mocno i potknęła się o łóżko. Kiedy się zatrzęsło, ciało ojca lekko się poruszyło, ale nie otworzył oczu. - Zostaw nas. Idź sobie. Nienawidzę cię. Nienawidzę! - niemal wykrzykiwałam ostatnie słowa.

Glory spojrzała na mnie, a na jej usta powrócił przebiegły uśmiezek. Spojrzała na ojca.

- A teraz odejdę - powiedziała - kiedy już wyznałam prawdę. Żegnaj, Samuelu. Już mi się na nic nie przydasz.

Dostrzegłam, że powieki ojca lekko zadrżały, a lewy kącik ust opadł. Usłyszała ją i zrozumiał. Kiedy odwróciła się w moją stronę, z całych sił wymierzyłam jej policzek. Zapiękła mnie dłoń, a jej policzek natychmiast poczerwieniał, ale spojrzała na mnie tak samo bezczelnie.

Wiedziałam, że nic nie jest w stanie jej poruszyć. W tej chwili uświadomiłam sobie, jak nami manipulowała, jak oszukała nie tylko matkę, lecz również w nieco inny sposób ojca. Nie miała serca. Nie dbała o niego, tak samo jak nie dbała o Kaia i maleńką córeczkę, którą porzuciła. Myślała tylko o sobie. Zawsze o tym wiedziałam, ale dopiero teraz dotarło do mnie okrucieństwo jej egoizmu.

- Idź stąd. Zostaw nas... - próbowałam krzyknąć, ale mój głos stracił siłę, podobnie jak matka straciła resztki cudem odnalezionnej energii. Teraz leżała na podłodze przy łóżku, z szeroko otwartymi oczami, które wpatrywały się w pustkę. Z kącika ust płynęła strużka rdzawej śliny. Zostałam już tylko ja. Jedyne dziecko rodziny Fincastle, który mógł jeszcze mówić.

Glory nie oglądając się, wyszła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Nie wiem, jak długo tam siedziałam. Przy nieruchomym ciele matki na podłodze i ojca na łóżku straciłam poczucie czasu.

W końcu wstałam ze stołka. Na niepewnych nogach wyszłam na podwórze, minęłam Sanosha, który otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Skierowałam się do chaty Kaia. Nie było go, ale na łóżku leżała jego torba.

Poszukałam go najpierw na polu, potem nad rzeką. I tam go znalazłam. Siedział na ziemi przy kupce popiołów ze stosu pogrzebowego Pavita. Kiedy mnie zobaczył, wstał.

- Jak się czuje dziś ojciec? - zapytał zwyczajnym tonem.

Na chwilę odebrało mi mowę.

- Nie wiesz, co zaszło? - zapytałam. Na widok jego spokoju ogarnęła mnie furia.

- O co ci chodzi? W nocy spałem, a dziś rano przyszedłem tutaj, by odmówić ostatnią modlitwę za Pavita. Wyjeżdżam. Pytam o ojca? Jest z nim gorzej?

Podeszłam do niego i wymierzyłam mu ostry policzek, podobnie jak jego matce.

Cofnął się zdumiony, przykładając rękę do twarzy.

- Pree - wykrzyknął z przerażeniem w oczach. - Co się stało?

- Przez cały ten czas wiedziałeś! Wiedziałeś, że mój ojciec jest... jest także twoim ojcem. Przez cały czas - powtórzyłam, teraz już płacząc. - Wiedziałeś i nic nie mówiłeś. O Glory i moim ojcu. O mnie i o tobie.



Pobladł gwałtownie. Na jego twarzy widać było tylko czerwony ślad po moim policzku.

- Glory nam powiedziała. Matce i mnie. Ojciec potwierdził jej słowa. To zbyt straszne. Zbyt straszne, Kai.

Zakryłam twarz rękami. Poczułam dotyk jego ręki na ramieniu i odskoczyłam, opuszczając ręce.

- Jak mogłeś? Jak mogłeś nic mi nie powiedzieć? Jak mogłeś pozwolić mi żyć przez cały czas w nieświadomości? Jak, Kai?

Stał bez ruchu.

- No? Odpowiedz! - krzyknęłam.

- Co byś z tym zrobiła, Pree? - zapytał cicho. - Chciałaś wiedzieć, że wielebny jest moim ojcem? Co by ci to dało? I pomyśl o swojej matce. Czy chciałabyś, żeby się dowiedziała?

Oddychałam ciężko, lecz już nie płakałam.

- Ale jesteś... jesteś moim bratem! - powiedziałam. Odwrócił się i zaczął odchodzić.

- Odchodzisz? - zawołałam za nim. - Wyjeżdżasz i zostawiasz mnie z tym wszystkim?

Nie obejrzał się.

- Nienawidzę cię! - krzyknęłam. - Nienawidzę! - Znów potraktowałam go tak samo jak jego matkę. Nagle przyszło mi do głowy, że może być do niej bardziej podobny, niż kiedykolwiek przypuszczałam. - Jesteś tchórzem. Cieszę się, że nie wiedziałam, że jesteś moim bratem. Nie chciałabym nigdy mieć takiego tchórze za brata.

Znów zaczęłam płakać. Mój głos był wysoki i pełen złości. Patrzyłam na plecy Kaia, na jego krótko obcięte włosy, długą szyję.

To nieprawda, że go nienawidziłam; nigdy nie mogłabym go znienawidzić. Dlatego ta cała sytuacja była dla mnie jeszcze trudniejsza. I oczywiście pod żadnym względem nie był tchórzem.

Prawdą było jedynie to, że był moim przyrodnim bratem.

Kiedy wreszcie wróciłam do infirmerii, nic się tam nie zmieniło. Próbowałam to wszystko jakoś ogarnąć i odnaleźć w tym sens. Głowa bolała mnie od płaczu, gardło piekło od krzyku najpierw na Glory, potem na Kaia.

Wyrwałam matkę z otępienia i wyciągnęłam z infirmerii. Sanosh pomógł mi położyć ją do łóżka. Potem wróciłam sprawdzić, jak czuje się ojciec. Mówiłam do niego i próbowałam go obudzić. Uniosłam mu głowę i przytrzymałam kubek wody przy ustach, ale nie miał siły pić; ani jeden mięsień na jego twarzy nie drgnął na znak, że zauważył moje działania. Słyszając za sobą szelest, odwróciłam się. W drzwiach stała Glory z płóciennymi torbami zawieszonymi na obu ramionach. Była ubrana w najlepszą suknię, ale miała rozplecione włosy, które spływały falą aż do pasa.

Pochyliła się nad ojcem i przesunęła palcami po jego policzku. Otworzył oczy i bardzo mnie to zabolowało. Nie znalazł w sobie dość siły, by zwrócić uwagę na mnie, a jednak delikatny dotyk palców Glory przywołał go z dalekiego miejsca, w którym się znajdował.

- Samuelu - powiedziała. - Samuelu, odchodzę. - Pochyliła się nad nim i jej kruczoczarne włosy rozsypały się na jego piersi. Ojciec powoli podniósł jedną rękę - ileż musiało go to kosztować wysiłku - i położył ją na jedwabistej fali.

- Zawsze cię kochałem - szepnął. - Zawsze. Zdawał się nie dostrzegać mojej obecności, mimo że stałam obok Glory. Być może wcale o to nie dbał. Pulsowanie w głowie stało się jeszcze bardziej bolesne. Stałam z boku w nogach łóżka.

Glory nie odpowiedziała na wyznanie ojca.

- Kiedy odejdę - szepnął i urwał. - Kiedy odejdę - powtórzył, słabo ujmując jej dłoń w swoją - obiecaj mi, że nic nie powiesz o dziewczynce. Obiecuj.

Glory spojrzała na mnie.

- Obiecuj mi, Glory. Musisz mi obiecać, zanim umrę.

- Tak, tak. Nic nie powiem, Samuelu.

Dziewczynka? Adriana? Czy to o nią chodziło? Choć Glory dawała do zrozumienia, że ojcem Adriany był pan Evans - i pamiętam, jak myślałam, że mógł nim nawet być żołnierz - czy naprawdę była córką mojego ojca? Spodziewała się już dziecka, kiedy wyjechała z misji. Oczywiście.

Podobnie jak Kai Adriana była częścią mnie. Była moją małą siostrzyczką.

Bałam się, że głowa zaraz mi wybuchnie. Ból był nie do zniesienia.

Najpierw prawda o Kaiu, a teraz to. Ojciec nie okazał się nawet na tyle silny, by powstrzymać Glory przed oddaniem - lub sprzedaniem - istoty ze swojego ciała i krwi, mojego ciała i krwi. Czułam, jakby ktoś wbijał we mnie ostre igły. Jak mógł stać z boku i na to wszystko pozwolić? Kim był ten człowiek, który wyrzucał z siebie wersety biblijne mówiące o dobroci i miłosierdziu, o tym, jak cenne są dzieci, baranki Boże?

Nie ruszałam się z miejsca. Chciałam, żeby ojciec spojrzął w moim kierunku, żeby o mnie zapytał. Chciałam, żeby przeprosił za to, że zobaczyłam go, jakim jest naprawdę. Za zniszczenie moich wyobrażeń, za rozwianie iluzji o cnotliwym życiu, jakie rzekomo wiódł w Indiach. Za obrzydliwy fakt, że byłam córką nie tylko ruiny człowieka, jaką stała się matka, lecz również człowieka, który żył w kłamstwie. Który pozwolił, by jego nieślubne dzieci wychowywała kobieta niezdolna do miłości.

Jednak patrząc na niego, wiedziałam, że tak naprawdę chcę, by powiedział tylko jedno. Chciałam usłyszeć te same słowa co Glory: Kocham cię. „Kocham cię, Pree. Pomimo tego obrzydliwego bagna, jakim stało się nasze życie, zawsze cię kochałem”.

Nie zrobił tego.

- Moja piękna, piękna dziewczynka - powiedział tylko głosem silniejszym, jakby znalazł nowe zapasy energii. Na te słowa ból w mojej głowie lekko zelżał i poczułam

lekkość w sercu, jakby wypełniła je płynąca z nich siła. Zupełnie jakby czytał w moich myślach i powiedział to, co chciałam usłyszeć. Byłam jego dziewczynką. Wyszłam z cienia gotowa objąć go ramionami. Lecz on wpatrywał się w twarz Glory! Nie w moją.

- Nigdy nie zapomnę, gdy zobaczyłem cię pierwszy raz, kiedy byłaś piękną dziewczynką. I dzięki tobie poznałem, czym jest prawdziwa miłość. Kocham cię od tego pierwszego dnia.

Nie chciałam tego słuchać, nie chciałam, by tak otwarcie opowiadał o miłości do Glory z jej wadami i paskudnym charakterem. Jej brakiem zasad i uczuć macierzyńskich. Jak mógł ją nadal kochać? Powiedziała przecież wyraźnie, że tylko go wykorzystywała i nigdy nie kochała. Czy nie pamiętał - a może nie zrozumiał - jej tyrady w hindi, którą wygłosiła parę godzin wcześniej?

- Wiem, Samuelu - odrzekła. - Masz trochę rupii?

Z mojego gardła wyrwał się dźwięk wściekłości i ojciec spojrział na mnie pierwszy raz.

- Wyjeżdżam daleko, Samuelu. Potrzebuję rupii. Ojciec odwrócił wzrok i pokręcił głową.

- Nie mamy pieniędzy, Glory - powiedział. Nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy tylko uświadomił sobie, że jestem obok i wszystko słyszę. - Przykro mi - szepnął i zamknął oczy. Glory puściła jego rękę i położyła mu ją na piersi.

Wyszła.

Długo nie ruszałam się z miejsca. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale nagle zobaczyłam, że ojciec się nie rusza. Zastanowiłam się niemal bezmyślnie, czy umarł. Podeszłam do niego i przyłożyłam mu palce do szyi. Nic. Potem położyłam je na wewnętrznej części nadgarstka. Tutaj wyczułam delikatny puls, jakby ruch skrzydeł śpiącej biedronki.

Nadal żył.

A ja odzyskałam świadomość własnego ciała: chciało mi się pić i musiałam skorzystać z wygodki. Zostawiając ojca,

poszłam najpierw do wygodki, a potem do studni, gdzie wypłam dwa kubki wody. Glory i Kai zniknęli. Pavit nie żył; ojciec był bliski śmierci. Spojrzałam na dom. Co się dzieje z matką? Chwiejnym krokiem podeszłam do werandy. Usłyszałam za sobą szmer; to był Sanosh.

- Wielebny?...-zapytał.

- Nadal żyje. - Mój głos szeleścił jak wysuszone liście. -Mógłbyś zaparzyć herbatę i przynieść do domu? - poprosiłam, a on w milczeniu schylił głowę i odszedł.

Kiedy wniósł parującą herbatę, piłam ją, jakby była magicznym napojem, który ma moc oczyścić świat i pomoże mi wszystko zrozumieć. Parzyła mi język i gardło, a ja uchwyciłam się tego bólu, bo wtedy mogłam przestać myśleć o tym, co zaszło.

Kiedy wypłam drugą filiżankę, nalałam następną i zaniiosłam ją do pokoju matki. Zamknięte żaluzje sprawiły, że było ciemno. Pachniało uryną. Matka leżała na boku; otworzyłam żaluzje i przysiadłam na brzegu łóżka.

- Herbata, mamó - powiedziałam. Usiadła. Przytrzymałam filiżankę przy jej ustach, jak wcześniej ojcu. Piła jak posłuszne dziecko, a potem znów się położyła. Nie zwracając uwagi na mokrą pościel, przykryłam ją kocem. Potem poszłam do swojego pokoju. Nie mogłam wracać do infir-merii; musiałam zamknąć oczy.

Odpląnąłam właśnie w niespokojny sen, kiedy usłyszałam przenikliwy krzyk matki. Zerwałam się i wybiegłam przez frontowe drzwi. W brudnej koszuli i z rozwianymi włosami, jakby zupełnie oszalała chodziła tam i z powrotem po werandzie. Wymachiwała rękami i krzyczała o wielebnym sypiającym z Glory, o Kaiu, który jest jego nieślubnym synem, o szatanie, który wziął misję w posiadanie, o przedsiionku piekła i ogniu.

- Nie przyszedłem wezwać do nawrócenia sprawiedliwych, lecz grzeszników - krzyczała. - Ta misja jest prawdziwym Getsemani, gdzie zdrada jest jedyną prawdą.

Ludzie na drodze - idący pieszo, jadący na osłach i koniach, prowadzący wielbłądy za plecione uprząże, siedzący na wozach ciągniętych przez

woły - zatrzymali się i patrzyli na matkę. Ilu z nich znało angielski i mogło zrozumieć jej krzyki?

Proszę, błagałam w myślach, kiedy chwyciłam ją za ramię, proszę, nie pozwól im jej zrozumieć. Jednocześnie byłam pewna, że ktoś - wystarczy choćby jedna osoba -zrozumie i przetłumaczy jej słowa na hindi, pendżabi, urdu, na każdy język Indii. Historia zacznie się rozchodzić, zataczać coraz szersze kręgi i wszyscy się dowiedzą. Mogłam sobie wyobrazić wyraz ich twarzy: obrzydzenie i zdziwienie - „ci szaleni angole, zwariowani, za grosz dumy, całe to gadanie o Bogu i o tym, jak powinniśmy się zachowywać”.

Potrząsnęłam nią i uderzyłam w ramię, by zwrócić na siebie uwagę i powstrzymać szaleńcze krzyki. Kiedy ciągnęłam ją do środka - odnalazła w sobie zaskakującą, szaleńczą siłę - usłyszałam mamrotanie. Z drogi dobiegał niski dźwięk, przypominający szum Rawi podczas monsunów, i wiedziałam już z absolutną pewnością, że wykrzykiwane z całych sił przez matkę rewelacje jeszcze przed zmrokiem staną się tematem rozmów w wioskach przy drodze, a jutro dowiedzą się o nich wszyscy na Grand Trunk, potem w Lahore, a może nawet dalej.

Kiedy znalazłyśmy się w domu, próbowałam zakryć usta matki dłońmi. Odepchnęła je. W końcu przestała krzyczeć. Nadal mruzczała i szeptała, ale była wykończona i w głębokim otepieniu padła na łóżko.

Przez resztę dnia krążyłam między domem i infirmerią, między matką i ojcem. Byłam rozciągnięta jak pasek indyjskiej gumy tak cienki, że mógł niebawem pęknąć.

Zapadła ciemność. Znów zamknęłam żaluzje w infirmerii

i zapaliłam świecę. Kiedy się wypaliła, zapaliłam następną i siedziałam na stołku, patrząc na ojca.

W pewnej chwili zauważyłam, że twarz mu stężała, i wyobraziłam sobie, że jego duch opuścił ciało. Podeszłam do niego i położyłam palce na nadgarstku, próbując wyczuć puls. Koniuszki palców miałam jednak stwardniałe i nie wiedziałam, czy rzeczywiście wyczuwam pulsowanie, czy tylko sobie je wyobrażam. Przytrzymałam więc zapaloną świeczkę przy jego lekko rozchylonych ustach i dzięki nieznacznemu drzeniu błękitnego płomyka wiedziałam, że jeszcze oddycha. W czasie tej długiej nocy nie poruszył się ani nie otworzył oczu.

Kiedy pierwszy brzask wsunął swoje długie palce przez szpary w żaluzjach, wstałam i otworzyłam je, zalewając in-firmerię światłem. Stałam tyłem do ojca i choć było ciepło, zadrżałam, wydając z siebie bezwiedny dźwięk. Po chwili usłyszałam podobny dźwięk dobiegający z łóżka.

Odwróciłam się; ojciec miał otwarte oczy.

- Ojczy? - szepnęłam, bo bałam się, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk zakłóci ten moment i sprawi, że jego powieki raz jeszcze opadną. Zamrugał raz, ciężko i powoli, a ja przesunęłam się, by mógł mnie zobaczyć.

- Ojczy? Jestem tutaj - powiedziałam, klękając przy łóżku.

Chciałam, żeby coś mi powiedział; coś, co mogłabym zapamiętać, nieść ze sobą zawsze. Chciałam, by w jakiś sposób wymazał grozę kilku minionych dni, swoich ostatnich słów, by powiedział mi, że to wszystko było kłamstwem, bo oczywiście nie był zdolny do takiego oszustwa. Że bardzo mnie kochał; nawet jeśli nie darzył uczuciem matki, to kochał mnie i nigdy nie zrobiłby czegoś, by mnie zawstydzić, i czym dręczyłabym się do końca moich dni. Że nadal jest tym samym ojcem, który przychodził do mojego pokoju, gdy bałam się burzy, i siedział ze mną, aż minęło najgorsze; tym samym, który pozwalał Sanoshowi dawać mi ukrad-

kiem zakazane słodycze, który smucił się, że może mi dać na urodziny tylko fildekosowe pończochy

On jednak milczał. Z głębi jego płuc wyrwało się długie rżenie. Ten straszliwy dźwięk przybierał na sile, potem rozległo się głuche echo pierwszego, a potem... nic. Cisza. Wzięłam świecę, która była teraz tylko małym płomyczkiem w kałuży roztopionego wosku, i przytrzymałam ją przy ustach ojca.

Świeca zgasła tak nagle, że krzyknęłam zdumiona i podskoczyłam.

Kropla wosku spadła na policzek ojca, tuż obok nosa. Oczy miał nadal otwarte, lecz nieruchome. Znałam ten wyraz; widziałam go już wcześniej u Lalasy, u Pavita, zaledwie... Czy minęły zaledwie dwa dni od chwili, gdy razem z Kaiem i Sanoshem skremowaliśmy Pavita?

Czułam, jakby przez te kilka dni minęły całe miesiące, a może nawet lata. Poranny przeciąg z otwartego okna owiał mi gołą szyję i wiedziałam, że to wiatr zgasił świecę.

Przysiadłam na piętach.

- Mój ojciec nie żyje - rzekłam na głos, jakby wypowiedzenie tych słów miało mnie przekonać, że to prawda. - Ojciec nie żyje - powtórzyłam, patrząc na niego. Na jego nieruchomej twarzy stwardniała kropla wosku.

- Ojciec odszedł - powiedziałam do matki, nie mogąc wykrztusić słów „umarł” czy „nie żyje”. Mogłam je wymówić do pustego pokoju, ale nie do niej.

Patrzyła na mnie.

- Rozumiesz? Ojciec... odszedł do Pana - powiedziałam, wiedząc, że to też kłamstwo. Z pewnością wpadł w szpony Belzebuba. Potrząsnęłam głową, pragnąc odpędzić tę wizję.

- Och? - odezwała się matka cichym, zdumionym głosem. Takim tonem mogła się odezwać, gdy była jeszcze zdrowa, a ja mówiłam jej, że dojrzały morele albo że Sanosh zrobił na kolację *biryani* z kurczaka zamiast duszonego jak zwykle.



- Rozumiesz, mamó? Ojciec... - powiedziałał dobitnie. Musiała jakoś zareagować, ale starałam się być ostrożna. Ojciec nie żyje. Umarł - dodałam głośniej, niż było konieczne.

Skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała i to mnie zupełnie zaszokowało. Rozumiała, ale nie okazywała żadnych emocji.

Spojrzałam na jej twarz. Była zupełnie pozbawiona wyrazu. Czy czuła to co ja? Czy była zagubiona, zawstydzona, nie mogła dojść do ładu ze splecionymi razem złością i smutkiem? A może nic nie czuła? Czy kiedy w końcu pograżyła się w całkowitym szaleństwie, straciła nie tylko zmysły, lecz również zdolność odczuwania? Widać było wyraźnie, że stało się tak od strony fizycznej: nie czuła głodu ani pragnienia, zimna ani ciepła, a jej ciało opróżniało się bez jej świadomości.

- Co... - Już miałam ją zapytać, co zrobimy, ale zanim to pierwsze słowo spłynęło z moich ust, wiedziałam, że mi nie odpowie. Że już nigdy nie usłyszę od niej żadnej odpowiedzi.

Poszłam do *rasoi*.

- Wielebny Fincastle umarł - oznajmiłam Sanoshowi opanowanym głosem. Oczy miałam suche. - Zostaniemy tu z matką. Czy zostaniesz z nami i będziesz dalej dla nas gotował? Ja... jakoś znajdę pieniądze, żeby ci płacić. Kościół na pewno się nami zajmie, dopóki nie zdecydujemy, co dalej robić.

Skinął głową. Po jego pomarszczonych policzkach popłynęły łzy. Był wiernym sługą, który szczerze kochał naszą rodzinę. Nie sądziłam, by tak po prostu odszedł, choć znał całą okropną historię.

- Opłakuję duszę panienci ojca - powiedział. - Co się z nią stanie?

Znalazła się tak nisko na kole.

Nie miałam serca spierać się z Sanoshem i przypominać mu, że to nie dotyczy życia ojca po śmierci. On nie będzie miał szansy na odrodzenie, nawet jako płaz. Podjął decyzję i przez to będzie na wieki smażył się w piekle.

- Czy mam sprowadzić siudrów? - zapytał. - Żeby umyli jego ciało? Zaledwie kilka chwil po śmierci o ojcu nie mówiło się już jako o człowieku, lecz o jego ciele.

- Nie. Ja to zrobię. Mógłbyś tylko poprosić ich, żeby wykopali... dół? Na cmentarzu - odwróciłam się, by spojrzeć na ogrodzone miejsce. - Obok dzieci - dodałam niepotrzebnie. - Tam go pochowamy.

Sanosh skinął głową.

- Chciałabym, żeby miał trumnę - powiedziałam, używając angielskiego słowa. Nie znałam hinduskiego odpowiednika trumny: Hindusi i sikhowie kremowali swoich zmarłych, muzułmanie grzebali ich owiniętych w całun, a Parsowie porzucali ciała drapieżnym ptakom. Sanosh wpatrywał się we mnie.

- Skrzynię, w której pochowamy go w ziemi. Sanosh jednak pokręcił głową.

- Nie moja sprawa, panienko Pree - przeszedł na angielski, jakby to obce słowo, „trumna”, zmusiło go do mówienia w obcym języku. - Niedobrze. Hindusi, muzułmanie nie robią skrzyń dla zmarłych.

Gdyby Kai był tutaj, pomyślałam nieoczekiwanie, zrobiłby trumnę. Kai by wiedział, co robić. Zamrugałam oczami, gdy dotarło do mnie, że umarł nie tylko mój ojciec, lecz również ojciec Kaia. Czy się o tym dowie? Gdzie on jest?

Sanosh czekał na dalsze instrukcje. Teraz to była moja rola.

- Zrobiłem owsiankę - wskazał z lekkim zakłopotaniem garnek stojący z boku paleniska. Kto teraz będzie jadł owsiankę? - zdawał się pytać. Spojrzałam na garnek gęstniejącej masy. Nagle przytłoczył mnie ogrom śmierci ojca.

Nie płakałam, gdy patrzyłam, jak jego dusza opuszcza ciało, gdy zmuszałam matkę, by przyjęła do wiadomości fakt, że umarł. Nie płakałam nawet wtedy, gdy omawiałam z Sanoshem szczegóły pogrzebu. Dopiero owsianka przyniosła ze sobą pierwszą falę głu-

bokiego smutku, która wezbrała we mnie nieoczekiwanie jednym szybkim ruchem i wybuchła zduszonym szlochem. Stałam obok Sanosha, patrząc na garnek owsianki, i płakałam.

- Dobrze, panienko, dobrze - powiedział Sanosh smutnym głosem. Jego współczucie rosło na widok moich łez. - Sprowadzę siudrów, by wykopali dół. Obok dzieci.

Skinęłam głowę, odwróciłam się i pobiegłam do infirmerii. Uklękłam obok ciała ojca, cicho płacząc. Objęłam go ramieniem i położyłam głowę na jego piersi.

Bez względu na to, co zrobił, jak bardzo zgrzeszył i jakiej dopuścił się zdrady, był moim ojcem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Przez następne dwa dni towarzyszyło mi bardzo dziwne uczucie, coś na kształt przerażającej, ogromnej energii, która nie pozwalała mi spać. Było przecież tyle do zrobienia.

Matka wstała z łóżka i mrużąc pod nosem fragmenty modlitw, snuła się po podwórzu. Dwa razy musiałam odprowadzać ją do domu. Nie miałam czasu, by się nią zajmować; nadal miała na sobie brudną koszulę nocną i chodziła boso jak ślepa, a ja nienawidziłam myśli, że w tym stanie oglądają ją ludzie przechodzący drogą. Wiedziałam, że powinnam wykapać ją i zmusić do jedzenia, ale musiałam się zająć ojcem.

Nadal leżał na łóżku w koszuli nocnej, w której umarł. Ubranie leżało na podłodze, tam gdzie rzucił je Kai, gdy rozbierał ojca. Nie było wyboru, musiał zostać pochowany w ciemnym wełnianym garniturze. Ubranie było jednak poplamione i mocno pachniało potem. Nie chciałam, by ojciec miał je na sobie, kiedy będziemy go chować na wieczny spoczynek; wydawało mi się, że jest to oznaką braku szacunku, choć oczywiście tylko ja miałam tego świadomość.

Wykorzystałam naftę do lamp, by wyczyścić garnitur, pocierając nią plamy. Przeszkadzał mi paskudny zapach, gdy nafta wsiąkała w wełnę, mieszając się z zapachami ciała ojca. Choć garnitur wyglądał już o wiele lepiej, próbowałam zamaskować smród - od tej pory zawsze będę go kojarzyć ze śmiercią - kilkoma kroplami olejku różanego, który wyjęłam z torby matki. Jednak te dwa zapachy zmieszały się i stworzyły trzeci: przesłodzony i duszący. Rozpaczą napełniała mnie myśl, że ojciec zostanie złożony w ziemi

w otoczeniu tak przykrego zapachu. Przez jedną szaloną chwilę rozważałam myśl, by ubrać go w oślepiająco białą *kurtę* i *dhoti*, wykrochmalone i wyprasowane, pachnące' słońcem i powietrzem. Znow pomyślałam o Kaiu.

Kazałam Sanoshowi nagrzać wody i twardą kostką mydła z łożu umyłam ojcu twarz i szyję. Podciągnęłam mu rękawy i wytarłam ramiona i ręce. Potem stopy. Zwilżyłam mu włosy i starannie uczesałam. Zęby grzebienia zostawiały ślady w rzadniejących włosach. Ogoliłam go. Nie mogłam znieść widoku jego nagości; wpatrując się w nieruchomą twarz, z trudem przeciągnęłam koszulę przez głowę, a potem ręce - tak chude, a jednak tak ciężkie - przez rękawy. Na koniec jednym szybkim ruchem narzuciłam na ciało prześcieradło, na którym leżał.

Znow go uczesałam; kiedy zdejmowałam koszulę, zburzyłam wcześniejsze uczesanie.

Spojrzałam za siebie na śmierdzący garnitur, który leżał na stole w infirmerii, a potem nawlekłam grubą bawełnianą nić. Pochyliłam się nad ojcem i mocno zaszyłam prześcieradło, począwszy od jego stóp z długimi, bladymi palcami aż po czubek głowy. Powtarzałam sobie, że lepiej będzie, jeśli złożymy go w ziemi właśnie tak, czystego przynajmniej na ciele. Nagiego, jak przyszedł na świat. Zanim dokończyłam ścieg tuż przy głowie, delikatnie położyłam palce na jego czole. Kiedy krew nie krążyła już w żyłach, blizna trądzikowa nie odróżniała się szkarłatem; teraz była jedynie szorstkim plackiem skóry pozbawionym koloru jak reszta twarzy.

Kiedy zaszyłam go w prześcieradło, poczułam się spokojniejsza.

Zupełnie jakby teraz mógł odpocząć i wreszcie spać spokojnie.

Być może ja też będę mogła.

Szum w uszach uspokoił się. Gdy nad ciałem ojca zamknął się całun, misję ogarnęła ciemność. Zaniiosłam garnitur na podwórze i spaliłam go. Na niebie świecił księżyc

w pełni. Patrzyłam, jak iskry wylatują wysoko w górę, czyste i mocne.

Potem niespokojnie chodziłam po domu; moje stopy potrzebowały ruchu. Zapaliłam latarnię i poszłam nad brzeg Rawi, wspominając dzieciństwo: jak Kai uczył mnie puszczać kaczki, jak pokazywał mi kaczki z zadartymi ogonami szukające w wodzie jedzenia, jak śmiał się ze mnie, gdy poprosiłam go o annę, by wrzucić ją do wody, bo Lalasa powiedziała mi, że według legendy każdy, kto wrzuci pieniądze do Rawi, otrzyma z powrotem dziesięć razy więcej. Śmiał się, ale następnego dnia dał mi annę i stał obok mnie z poważną twarzą, patrząc, jak biorę zamach i z całych sił wrzucam pieniądze do wody, szepcząc swoje życzenie. Potem uśmiechnął się i powiedział - dziwne, że nagle przypomniałam sobie jego słowa po tych wszystkich latach: „Nawet jeśli nie otrzymasz fortuny, o jakiej marzysz, Pree, z pewnością twoja determinacja zostanie jakoś wynagrodzona”.

Gdzie był teraz, kiedy tak bardzo go potrzebowałam? Nadal obserwując powolnie sunące wody Rawi, odsunęłam od siebie wspomnienie próby chrztu i dziwnego wyrazu, który gościł tamtego dnia na twarzy ojca. Zmusiłam się, by znów pomyśleć o Kaiu, ale nie potrafiłam przywołać dobrych wspomnień. Mogłam tylko myśleć, że jest moim przyrodnim bratem, że był nim przez te wszystkie lata, a ja nic o tym nie wiedziałam. Mój ojciec dopuścił się cudzołóstwa. Matka oszalała, a teraz bluźniła. Nawet Kai popełnił grzech zaniedbania; wiedział od zawsze, że łączą nas więzy krwi, ale nigdy mi o tym nie powiedział. Nie wyznał prawdy. Całował mnie, wiedząc, że jest moim bratem. Popelniliśmy grzech jeszcze większy niż ojciec i Glory - czyż kazirodztwo nie jest gorsze od cudzołóstwa?

Wszyscy byliśmy grzesznikami. Misja była rzeczywiście siedliskiem grzechu, jak ogłosiła to matka.

Większą część nocy przesiedziałam na brzegu Rawi, nie chcąc wracać do domu. Nad wodą było czysto, a powietrze pachniało świeżością. W końcu jednak niebo pojaśniało i rozległy się pierwsze odgłosy poranka - senne jeszcze ćwierkanie ptaków, muczenie wołu w oddali, cichy głos wołający coś w dole rzeki. Powoli ruszyłam w stronę domu, wiedząc, że muszę się przygotować na kilka następnych dni. Nie można się było ociągać; w ciepłe późnej wiosny ciało ojca niebawem zacznie się rozkładać. Decyzja o kształcie ceremonii pogrzebowej zależała ode mnie. To będzie cicha, smutna uroczystość, ale chciałam, by ostatnie pożegnanie ojca wypadło godnie.

Miałam jednak problemy z wyborem fragmentów Biblii. Większość z czytanych przy takich okazjach pachniała hipokryzją. Przez cały dzień siedziałam przy stole w jadalni i przerzucałam strony mojej Biblii, wers po wersie. Powoli zapadał zmrok; coraz bardziej zdenerwowana zapaliłam lampę, pragnąc odnaleźć właściwe ustępy.

Nie zwracałam uwagi na Sanosha, który wchodził i wychodził przez boczne drzwi; słyszałam brzęk łyżki o blaszany talerz, słyszałam, jak mówi coś cicho do matki. W pewnej chwili postawił jedzenie obok mnie; spojrzałam na kurczaka, jakby miał do mnie przemówić, ale nie miałam apetytu i niczego nie tknęłam.

Dwa razy musiałam ponownie zapalać lampę. Nie chciałam iść spać, dopóki nie znajdę odpowiednich fragmentów na pogrzeb ojca. Jednak im dłużej szukałam, tym większa ogarniała mnie rozpacz i w końcu zaczęłam płakać, również z wyczerpania, opierając policzek na otwartej Biblii.

Światło lampy pobladło o brzasku, a ja nadal płakałam. Jednak łzy zdawały się należeć do kogoś innego. W tamtej chwili nie czułam nic - ani smutku, ani gniewu. Nie byłam nawet głodna ani zmęczona. Myśli kłębiły mi się w głowie, gdy płakałam cicho; nie mogłam sobie tego wszystkiego w żaden sposób poukładać. Wiedziałam tylko,

że dziś przyjdą siudrowie, by wykopać grób, a jutro spocznie w nim mój ojciec.

Od czasu, gdy matka wykrzyczała przerażającą historię o grzesznym związku wielebnego Fincastle z naszą *ają* i o bękarcie zrodzonym z tego związku, nikt nie przychodził do misji po pomoc. Czułam tępą ulgę z tego powodu. Drzwi infirmerii były zamknięte, kryjąc za sobą ciało ojca, a ja nie wyobrażałam sobie, że mogłabym z kimkolwiek rozmawiać o ranach lub chorobach, gdy on leżał martwy

za ścianą. , Przez większość dnia snułam się po polach, nie chcąc być w misji, gdy siudrowie będą kopać na cmentarzu. Kiedy zapadł zmierzch, usiadłam na stopniach infirmerii i ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Tak bardzo potrzebowałam snu, że na nogach, które wydawały się zrobione z gliny jak figurki Pavita, powoli przeszłam przez podwórze do domu. Mijając drzwi pokoju matki, zatrzymałam się. Siedziała wyprostowana w blasku księżyca, który wpadał przez okna, nadając jej jeszcze bardziej upiorny wygląd. Jej włosy, niemyte i nieczesane od paru dni, miały biały poblask, przywodzący skojarzenia z mityczną meduzą.

- Mamo - powiedziałam głośno. - Połóż się. Idź spać. Jutro pochowamy ojca. Rano pomogę ci się umyć.

Myśl o noszeniu wody i grzaniu, szorowaniu matki od stóp do głów, wkładaniu czystych ubrań i czesaniu włosów, a potem opuszczeniu ojca owiniętego tylko w bawełniany całun do wykopanego dołu, była nie do zniesienia.

Odwróciłam się od pustego spojrzenia matki i poszłam do swojego pokoju. Usiadłam na łóżku. Zdołałam rozwiązać i zdjąć buty, ale nie miałam już siły, by się rozebrać. W pokoju było chłodno, lecz odległość dzieląca mnie od żaluzji była stanowczo za duża. Opadłam na łóżko i przykrywając się, pomyślałam, że z włosami w nieładzie i ubraniu, które



nosiłam od paru dni, pewnie bardziej niż kiedykolwiek przypominam matkę.

Usiadłam na łóżku. Pokój zalewał dziwny blask; potarłam twarz rękami, próbując zrozumieć, co jest źródłem tej dziwnej pomarańczowej poświaty, jaśniejszej od blasku słońca. Potem usłyszałam krzyk Sanosha, wołającego mnie po imieniu. Rozległy się też inne dźwięki; niezidentyfikowane trzaski i syczenie. Zerwałam się z łóżka, przez pierwszych kilka sekund oszołomiona i wybiegłam w samych pończochach, czując zapach dymu.

Infirmeria płonęła. Stałam jak wmurowana na werandzie, oczarowana widokiem zapadającego się budynku i płomieni strzelających przez okna. Wysuszone drewno werandy szybko zaczęło się palić i płomienie tańczyły wdzięcznie na barierce. Strzecha na dachu tylko dymiła, ale płomienie już wyciągały swe długie ramiona w stronę suchych krawędzi. Ojciec w płonącym całunie, ze ściągniętą, poczerniałą skórą przedstawiał sobą przerażającą wizję.

- Ojcze! - krzyknęłam. - Nie, ojcze!

Przytomna część mojego mózgu wiedziała, że jego dusza już płonie w piekle. Będzie się tam męczył przez całą wieczność. A jednak myśl o jego ziemskich szczątkach wydanych na pastwę płomieni przyprawiła mnie o tak wielkie mdłości, że chwyciłam się za brzuch, gdy wstrząsnął mną nagły skurcz. Potem lekko skulona pobiegłam przez podwórze, przytrzymując jedną ręką przód sukienki.

Sanosh polewał ścianę ognia wodą z wiadra.

- Co się stało? - krzyknęłam, chwytając go za ramię. Odwrócił do mnie twarz umazaną popiołem. Pokręcił

głową i postawił wiadro na ziemi. Nie potrafiłam nic wyczytać z jego szeroko otwartych oczu. Przeniosłam wzrok na puste już wiadro.

- Przynieś więcej wody - krzyknęłam. - Ja też przyniosę wiadro. Razem...

Znów pokręcił głową.

- Nie pomoże, panienko.

- Jeszcze nie jest za późno - krzyknęłam. - Nie, Sanosh. - Podbiegłam bliżej infirmerii. W tej chwili kryty strzechą dach wybuchnął ogniem i podmuch gorącego powietrza odrzucił mnie do tyłu. Rozległo się podstępne trzeszczenie: płonęła plecionka między kamieniami. Weranda spłonęła doszczętnie. Iskry strzelały wysoko w nocne niebo. Stałam zbyt blisko, twarz mi płonęła. Całkiem tak jakbym się kurczyła, również trawiona ogniem, i robiła się coraz mniejsza. Płomienie były zbyt jasne; nie mogłam odwrócić wzroku, ale wydawało mi się, że gałki oczne zupełnie mi wyschły.

Jednym szybkim, bezwiednym ruchem podniosłam rękę, by osłonić oczy; byłam oślepią. Ale widziałam to wszystko pod powiekami: oczy i włosy ojca zniknęły, resztki jego ciała stopiły się, a jego kości - łokciowe, udowe, strzałkowe, obojczyk, łopatki i mostek, miednica, kręgosłup, zaokrąglona klatka piersiowa, czaszka z zębami wyszczerzonymi w strasliwym uśmiechu - niebawem poczernieją i zostaną zwęglone. Silne ręce chwyciły mnie za ramiona i odciągnęły.

- Nie - krzyknęłam. - Mój ojciec.

Sanosh chwycił mnie ze zdumiewającą siłą, żar zelżał i znów mogłam otworzyć oczy.

Rozległo się niskie, ukradkowe, jakby zadowolone z siebie westchnienie i w następnej chwili zawalił się dach infirmerii.

Najpierw cicho jęknęłam, a kiedy krzyknęłam, przez otwarte usta wpadło mi do gardła gorące powietrze. Potem rozległ się kolejny dźwięk, jakby echo odbiło mój krzyk. Czy to ja wydawałam z siebie tę zwierzęcą kakofonię? Obejrzałam się wstrząśnięta i zobaczyłam za sobą Jassie. W jej roziskrzonych oczach odbijało się piekło, a kiedy na nią spojrzałam, uniosła łeb i zawyła, jakby była jednym z bezpańskich psów, które ją dręczyły.

Czy ona też, podobnie jak ja, oszalała na chwilę na widok przerażających płomieni?

- Chodźmy, panienko - krzyknął Sanosh, ciągnąc mnie za rękę. -  
Chodźmy.

Szamotałam się z nim, choć nie wiedziałam, z czym walczę. On jednak nie zwalniał uścisku i wreszcie pozwoliłam, by odciągnął mnie do raso/. Kiedy staliśmy razem przed chatą, uświadomiłam sobie, że pierś boli mnie przy każdym oddechu, więc oddychałam płytko. Jassie stała z boku *rasoi*, drżąc, jakby zaraz miała puścić się biegiem, na zmianę cicho pojękując i odrzucając łeb, by wydać z siebie niekontrolowane wycie. Czułam na ramieniu ucisk ręki Sanosha. Spojrzałam w dół; miał poparzoną dłoń i palce, już pojawiały się bąble. Jego druga ręka też była poparzona.

- Panienko Pree? - powiedział. - Panienko Pree. Przeniosłam wzrok na jego twarz. Otworzyłam usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pomyślałam, że być może z powodu żaru i krzyków mam uszkodzone gardło. A może tylko nie mogłam znaleźć słów.

- Panienko Pree - powtórzył Sanosh. Spojrzałam mu w oczy. - Panienska silna memsahib. - Mówił po angielsku.

O co mu chodziło? W powietrzu unosił się popiół, osiadając mi na włosach, ramionach i sukni. Sanosh też był nim cały obsypany.

Przypomniałam sobie kremację Pavita. Spojrzałam na brudne pończochy, na wystający przez dziurę duży palec.

- Już nie dziewczyna. Pani memsahib - powiedział Sanosh, a ja skinęłam głową z roztargnieniem, słysząc to dziwne wyznanie. Dziwne, że mówił po angielsku, skoro zazwyczaj porozumiewaliśmy się w pendzabi. Nie zdejmował ręki z mojego ramienia. Pierwszy raz w życiu Sanosh mnie dotknął.

- Panienki *mata* - powiedział.

- Tak - odparłam, ale musiałam odchrząknąć, bo z moich ust wydobyło się tylko warknięcie. - Tak, powiem matce - dodałam chrapliwie.

- Nie, panienko - powiedział i ujmując mnie za obie ręce, spojrzał mi prosto w oczy. - *Mata...* - urwał.

Spojrzałam na niego. Odwrócił wzrok na płonącą infirmerię.

- Panienko *mata...* Mówię... - Przeniósł wzrok z płonącego budynku na mnie. Miał wilgotne oczy, podobnie jak ja z powodu gryzącego dymu. Patrzyłam na niego tępo, w oczekiwaniu.

Nagle opadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

- Bardzo źle, panienko - mruknął stłumionym głosem przez poparzone dłonie. Spojrzałam na jego chude, skulone ramiona. - Bardzo, bardzo źle dla Sanosha.

Nagle nogi zatrzęśły się pode mną. Nie wiedziałam, czy spowodował to wstrząs wywołany pożarem, czy nagły instynktowny strach przed dziwnym zachowaniem Sanosha. Nie mogłam już dłużej ustać i opadłam na ziemię obok niego.

Siedzieliśmy w milczeniu. Obok ogień dudnił teraz głucho. Brzmiał zupełnie niewinnie, jak ogromne ognisko.

Jassie, już spokojna, powoli podeszła do nas i usiadła obok mnie.

Spojrzałam na jej pysk. Odpowiedziała mi spojrzeniem, lecz szybko jak zwykle spuściła wzrok.

Wreszcie Sanosh podniósł twarz.

- Panienko Pree - powiedział i wziął głęboki oddech. Znów spojrzał uważnie na infirmerię, jakby nie mógł patrzeć na mnie, gdy wypowiadał te słowa. - *Mata jest sati.*

- *Sati?* - powtórzyłam głupio, niczego nie rozumiejąc. Skinął głową.

- Usłyszałem dźwięk, przyszedłem patrzeć. Widzę już ogień. W środku.

Biegnę po wodę, próbuję wejść. Jestem w drzwiach. Już za dużo ognia.

Ale wtedy... wtedy... -urwał. - Panienko Pree - powiedział i wreszcie na mnie spojrzał. - Widzę *mata. Z abba.* Ona *sati*, panienko.

Przeniosłam wzrok z jego szczerzej twarzy na infirmerię, a potem znów na niego. Co on mówi? Czy źle go zrozumiałam?

- Co ty mówisz, Sanosh? Moja matka śpi. W domu. Śpi - powtórzyłam. Widziałam ją, jak siedziała na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Bez wyrazu.

- Widzę panienki *mata*. Próbuję dojść, ale niedobrze. Zadrzał. - Widzę mem Fin, jak siedzi na ciele wielebnego. Podpaliła się. Kiedy ją widzę, już płonie. Żyje, ale płonie. Bez dźwięku. Uśmiech. Jak dobra hinduska żona. Uśmiecha się. Widzi mnie i się uśmiecha, wszędzie ogień... Znów zadrzał i spuścił głowę.

Moja kręciła się rytmicznie, zaprzeczając każdemu jego słowu. Jak śmie wygadywać coś takiego? Czy chce mnie zranić? Boże, jego ręce!

- Nie - jęknęłam ochryple. - Nie, Sanosh. Kłamiesz. Pobiełam do domu, stopy w samych pończochach zadudniły na stopniach. Wpadłam do sypialni matki.

W ciemności zerwałam brudną, cuchnącą pościel z łóżka, rzuciłam ją na podłogę i zaczęłam deptać, jakby cień matki mógł się schować w fałdach materiału. Pobiełam do saloniku i rozejrzałam się po mrocznym, ciemnym wnętrzu, a potem wypadłam na korytarz i zerwałam wiszący na gwoździu klucz do składziku. Palce trzęsły mi się tak bardzo, że nie mogłam trafić kluczem do dziurki. Wiedziałam, że jej tam nie ma. Mimo to otworzyłam drzwi; długi promień księżyca oświetlał zakurzone puste wnętrze.

Upadłam na kolana w miejscu, w którym Kai sypiał jako dziecko, gdy porzuciła go matka; miejscu, w którym tak często odbywałam wyznaczoną przez matkę karę.

Zakryłam twarz dłońmi, z głębi mojego gardła dobył się przeciągły jęk, jakiego nigdy nie słyszałam i o jaki nigdy się nie podejrzewałam; jęk szakala, hieny lub bezpańskiego psa, wyjącego z samotności. Byłam jak Jassie, jak pies wyjący do księżyca. Usłyszałam nagle słowa matki, które wypowiedziała tamtego dnia w drodze do Lahore, kiedy stałyśmy przed *chattri*, której dotknęła ze czią.

„To dar, prawdopodobnie jedyny, jaki mogły zostawić swoim dzieciom. Martwe przyniosły dzieciom więcej dobrego niż żywe. Nie rozumiesz, Pree?”

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Tuż przed świtem spadł lekki deszcz. Dogasił resztki palących się węgielków, tworząc wilgotny, nieprzyjemny odór. Czułam, jakby odarto mnie z zewnętrznej warstwy naskórka; bolało mnie, kiedy myłam twarz i ręce, czesałam włosy. Powoli zaplotłam dwa długie warkocze, jakbym znów była małą dziewczynką.

Kiedy późnym rankiem wyszłam wreszcie na frontową werandę, zobaczyłam grupkę ludzi, którzy zebrali się przy płocie i patrzyli na dymiące resztki pozbawionej dachu konstrukcji z kamienia.

Rozpoznałam wielu z nich: byli to ludzie z wioski, którzy przychodzili do infirmerii po pomoc medyczną. Kobieta, której dłoń niedawno opatrywałam, uniosła ją lekko, jakby chciała pomachać, ale poza nią nikt nie zareagował ani nie podszedł bliżej.

Wkrótce odeszli jeden po drugim, nie odwracając się. Byli zaciekawieni i z pewnością obawiali się złych duchów, które czaiły się w chrześcijańskiej misji. Podobnie jak wieść o zachowaniu matki, także i wiadomość o spalonej infirmerii w ciągu paru godzin rozniesie się aż do Lahore.

Jednak tylko ja i Sanosh wiedzieliśmy, co było przyczyną pożaru.

Usiadłam wyprostowana na werandzie w bujanym fotelu i patrzyłam na drogę biegnącą przed misją. Wiedziałam, że jestem w szoku, nie mogłam się ruszyć. Siedziałam tylko, nawet się nie kołysząc. Przez cały dzień ludzie przechodzili drogą. Wszyscy zatrzymywali się, patrzyli na zwęglone ruiny, na mnie, a potem szli dalej. Kiedy zapadł zmrok,

zza domu wyszedł Sanosh z rękami owiniętymi czystymi szmatami i przyniósł mi miskę curry z warzyw i *roti*.

- Musi panienka jeść - powiedział.

Spojrzałam na jego dobrą twarz i uzmysłowiłam sobie, że jest stary i ma pochylone ramiona. Jakoś znikąd pojawiła się panika, wypełniając mi pierś tak, że nie mogłam wydusić słowa. Wyrwała mnie z otępienia.

Sanosh wziął mnie za rękę i owinął mi palce wokół miski.

- Proszę jeść, panienko - powtórzył.

Wolną ręką chwyciłam go za ramię, tak jak on chwycił mnie minionej nocy w tańczącym blasku pożaru.

- Sanosh - powiedziałam w końcu zduszonym głosem. - Nie zostawisz mnie, prawda? Nie odejdiesz?

- Proszę jeść - powiedział tylko z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a potem znów zniknął za domem.

Postawiłam *curry* i *roti* na barierce werandy, nie mogąc sobie wyobrazić, że mogłabym coś przełknąć. Weszłam do środka i położyłam się na łóżku. Jeden warkocz opadł mi na twarz; pachniał dymem.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, usiadłam. Burczało mi w brzuchu.

Wyszłam na werandę; jedzenie nadal tam stało. Zjadłam zimne curry, trzymając miskę pod brodą. Nabierałam gęstą papkę najpierw kawałkiem *roti*, a potem palcami, oblizując je do czysta, gdy miska była pusta. Moje ruchy były szybkie, ukradkowe. Znów pomyślałam o Jassie.

Potem wróciłam do swojego pokoju.

Przez następne trzy dni wychodziłam z domu tylko po to, by iść do wygodki lub na boczną werandę po wodę i jedzenie, które zostawiał dla mnie Sanosh. Zanim przeszłam przez drzwi, zawsze wyglądałam przez okno saloniku, czekając, aż droga przed domem będzie pusta, by nikt mnie nie widział, nie pokazywał palcem, nie szeptał o mnie i mojej przeklętej rodzinie. Szłam powoli do wygodki lub patrzyłam na moją rękę, gdy brałam dzbanek

i talerz lub miskę i niosłam je do mojego pokoju. Siedziałam

potem na łóżku w ciemnościach i jadłam kęs po kęsie, nie czując smaku. Napelniałam tylko żołądek, bo wiedziałam, że muszę być silna. Zawieszona między snem i jawą znajdowałam się w dziwnym świecie; jego krawędzie zacierały się, gdy przez moją głowę przebiegały obrazy. Próbowałam odróżnić to, co już się wydarzyło, od tego, co mnie jeszcze czeka.

Po południu czwartego dnia po śmierci matki wstałam z łóżka i stanęłam na środku pokoju. Trudno to wytłumaczyć, ale nagle poczułam, że muszę zacząć działać, i to szybko. Już zbyt długo zwlekałam. Nikt nie zjawi się w misji, by wskazać mi drogę i powiedzieć, co mam robić.

Bardzo ostrożnie otworzyłam drzwi do sypialni matki, jakby jej duch mógł siedzieć na łóżku i patrzeć na mnie z upiornym uśmiechem. Przełykając ślinę, poczułam na nowo obrzydzenie z powodu unoszącego się w powietrzu odoru i panującego bałaganu. Otworzyłam żaluzje, posprzątałam i pościeliłam łóżko. Praca przyniosła mi pociechę, bo mój umysł wreszcie przestał się kołysać między przeszłością a nieznaną przyszłością. Skoncentrowałam się na tym, co nieuniknione.

Podeszłam do małej puszki ozdobionej wyblakłymi różami, która razem z dziennikiem ojca była zamknięta w małej szafce w saloniku. Przesunęłam palcami po ostatniej zapisanej stronie. Przeczytałam datę ostatniej wypłaty z kościoła i ostatnie wydatki. Potem policzyłam pieniądze w skrzynce. Ojciec okłamał Glory. Były tam rupie, choć niewiele. Przy odrobinie szczęścia wystarczy, by Sanosh zrobił zakupy na miesiąc. Co potem?

Zaniosłam swój dziennik, pióro i atrament na stół w jadalni. Maczając pióro, wyprostowałam się i wzięłam głęboki oddech. Muszę zdecydować, do kogo mogę zwrócić się o pomoc.

„Kai”, napisałam. Powiedział jednak, że jedzie do Madrasu na Wybrzeżu Koromandelskim nad Oceanem Indyj-



skim. Nie wiedziałam nic o tamtych terenach z wyjątkiem tego, że znajdują się blisko najdalejzego południowo-wschodniego krańca kraju i podróż lądem zabierze całe miesiące. Być może uda się tam dotrzeć pociągiem z Delhi, ale wiedziałam, że nie mam dość pieniędzy na tak wielkie przedsięwzięcie. Nawet wyjazd do Delhi był problemem. A jeśli nawet dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu uda mi się do trzeciej do Madrasu i odnaleźć Kaia, co dobrego z tego wyniknie? Kiedy odchodził, krzyczałam, że go nienawidzę. Z pewnością wybaczyłby mi to, zważywszy na okoliczności. Ale nawet... dał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce być obciążony inną osobą. Co powiedział? „Są rzeczy, które muszę zrobić, i nie mogę być za nikogo odpowiedzialny... Chcę - muszę - być sam”.

Przekreśliłam imię Kaia, przyciskając pióro tak mocno, że złamałam stalówkę. Kleks miał kształt martwego kruka rozplaszczonego na drodze przez duże drewniane koła wozu.

Wzięłam drugą stalówkę i założyłam na pióro. „Pe-szawar”, napisałam, „Misja Amerykańska”. Pomyślałam o panu Langu i jego wilgotnej, gorącej dłoni, chichocie, którym skwitował mój wybuch tamtego dnia w infirmerii. O pani Lang, z jej niedwuznaczną miną i drżącymi rękami, z ukrytą w miłych słowach krytyką. Nie. Co prawda przed śmiercią ojciec sugerował, żebym się do nich wybrała, ale nie miałam na to ochoty.

Przekreśliłam Peszawar podobnie jak imię Kaia. Potem napisałam „Lahore - Dzielnica Angielska”. Przed oczami stanęły mi pani Wyndham i Eleanor, ich przyjaciółki, pani Rollings-Smythe i pani MacCallister oraz inne damy, które potraktowały nas tak okrutnie i dały wyraźnie do zrozumienia, że jesteśmy od nich gorsze. Jak zareagują teraz, wiedząc z pewnością o niemoralnym pastorze, jego kochance półkrwi, nieślubnym synu i szalonej żonie?

Choć ta ewentualność napełniała mnie obrzydzeniem, nie przekreśliłam jej. Miałam tak niewiele innych.

Wreszcie napisałam trzy słowa: „Chrześcijańska Kapelania w Lahore”. Nie pomogli ojcu, gdy pojechał porozmawiać o matce, ale z pewnością teraz pomogą mnie.

Odłożyłam pióro i podeszłam do lustra wiszącego przy drzwiach. Miałam siedemnaście lat, byłam teraz kobietą. Kobieta, która mówiła nie tylko po angielsku, lecz również w pendzabi, hindi, urdu i trochę po persku.

Kobieta, która znała Biblię i Księgę Wspólnej Modlitwy, która znała też Wedy i wszystkich bogów Indii. Która znała zasady obowiązujące w angielskim salonie, jak również życie ludów tego kraju.

Czy ta wiedza teraz mi pomoże?

Nocą obudziło mnie wycie szakali. Podeszły bliżej domu niż kiedykolwiek. Kiedy leżałam w ciemności, z drogi dobiegły mnie męskie głosy. Czy byli to wieśniacy wracający do domu z innej wioski, czy też niebezpieczni dakoici z długimi ostrymi nożami, gotowi splądrować misję w poszukiwaniu rzeczy, które mogą im się przydać lub które mogą sprzedać? Czy potem użyją tych samych długich noży, by się mnie pozbyć, żebym nie mogła ich oskarżyć?

Przecież wszyscy wiedzieli, że jestem sama. Ale nie byłam sama. Sanosh został. Oddychając ciężko, zsunęłam bose stopy na podłogę. Jeśli w misji była Jassie, zacznij czekać, kiedy na podwórze wejdą obcy, i zaalarmuj Sanosha. Pomyślałam o jego pochylonych ramionach i powolnych ruchach. Co mógł zrobić, by mnie obronić przed grupą silnych mężczyzn?

Od dawna czułam niepokój związany z pogarszającym się stanem zdrowia matki. Znałam smutek po śmierci Lalasy i jej dziecka i rozpaczałam jeszcze bardziej po zniknięciu Adriany bo było tak jakby i ona umarła. Smuciłam się po śmierci Pavita. Doświadczyłam obrzydzenia po odkryciu związku łączącego ojca i Glory. Co czułam do Kaia przez cały ten czas? Potrzeba i pragnienie, by być blisko niego,

dziwne oszołomienie, jakie czułam w zeszłym roku w jego obecności, teraz ukryły się za wstydem.

Nie wiedziałam, jak określić uczucia po utracie rodziców; były zbyt świeże, a ja nadal znajdowałam się w szoku i ciągle nie mogłam uwierzyć w to, co się stało.

Jednak nigdy wcześniej nie towarzyszył mi strach, strach przed byciem samą, przed bezradnością i niebezpieczeństwem. Nie zapalając świecy, podreptałam do składziku i stając na dolnej półce jednej z szaf, sięgnęłam na tył górnej półki. Moje palce znalazły to, czego szukałam. Wzięłam stary miecz pokryty grubą warstwą kurzu. Wytarłam pochwę, a potem ostrożnie wyciągnęłam miecz, przyglądając mu się w ciemności. Poszłam do saloniku, otworzyłam żaluzje w jednym oknie i wyjrzałam na drogę. Głosy mężczyzn ucichły. Teraz słychać było tylko wycie szakali.

Wróciłam do łózka i zacisnęłam mocno palce na rękojeści miecza, który wsunęłam pod kołdrę. Ale sen nie nadchodził.

Nie spałam, kiedy w pokoju zaczęło robić się jasno. Poczułam ulgę, że długa noc nareszcie się skończyła, usiadłam i potarłam czoło palcami. Przez okno dobiegły znajome odgłosy, gdy Sanosh przygotowywał śniadanie. Ta normalna codzienna czynność nappełniła mnie tak wielką ulgą, że łzy napłynęły mi do oczu.

Wsunęłam miecz pod łóżko.

Niebo było jeszcze różowe, kiedy obmyłam się w ciepłej wodzie i umyłam włosy. Niosłam na sobie zapach śmierci, dymu i rozpacz.

Wyjęłam z szafy dobrą suknię; pachniała pleśnią. Spryskałam ją wodą lawendową i starannie wytrzepałam. Wiedziałam, że powinnam ją wyprasować, ale nie chciałam marnować czasu i energii na rozgrzewanie żelazka. Zanurzyłam szmatkę w puszcze z pastą i wyczyściłam buty. Choć włosy miałam nadal wilgotne, upięłam je starannie. Potem poszłam do pokoju matki i przysunęłam krzesło sprzed

toaletki do szafy. Stałam na nim, sięgnęłam na górną półkę i zdjęłam małe pudło na kapelusze. Zdmuchnęłam z pokrywy kurz, pajęczyny i martwe owady. Otworzyłam pudło i spojrzałam na znienawidzony różowy kapelusz z wystrzępionymi wstążkami, który matka schowała tam półtora roku temu.

„Kiedy Pan posłał mnie na ziemię, zakazał mi zdejmować kapelusz przed nisko i wysoko urodzonymi”. Przypomniałam sobie słowa matki, które wypowiedziała, gładząc na podwórzu główkę kapelusza. Wreszcie zaczęłam odczuwać smutek z powodu jej niepotrzebnej śmierci. Usiadłam na krześle i przesunęłam dłońmi po kapeluszu, płacząc po stracie matki.

Po chwili wyjęłam chusteczkę z za łóżka matki, wydmuchałam nos i wytarłam oczy. Przysunęłam krzesło z powrotem do toaletki i usiadłam przed lustrem, przyglądając się swojemu odbiciu. Dziwna była moja żaloba. Potrzebowałam miski owsianki, by opłakać ojca, a teraz kapelusza, by opłakać matkę. Dlaczego tylko martwe przedmioty doprowadzały mnie do łez?

Czy coś ze mną było nie tak?

Zaprzągnęłam Martę do wozu i wyruszyłam do Lahore. Owinęłam w chusteczkę rupie i anny z puszki i włożyłam je do małej torebki matki, którą trzymałam na kolanach. Nie chciałam ich wydawać, lecz wzięłam je na wszelki wypadek - czułam się lepiej, mając przy sobie pieniądze.

Sanosh wręczył mi mosiężny pojemnik z przegródkami: do jednej włożył ziemniaki, do drugiej soczewicę z masalą, a do trzeciej trzy zwinięte *roti*.

Uśmiechnęłam się w podzięcie, choć przyszło mi to z trudem.

Trudno mi było nawet spojrzeć mu w oczy. Sanosh był dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Wstydziałam się za rodziców i ich postępowanie, mimo że już nie żyli. I jednocześnie wstydziałam się za siebie, że czuję wstyd.

Trzy godziny później zostawiłam Martę i wóz na przedmieściach miasta i wynajęłam riksę, by zawiozła mnie do domu Wyndhamów.

Zapukałam do drzwi frontowych. Otworzył je inny *chuprassi*, nie ten, którego zapamiętałam z ostatniej wizyty, i powiedział, że memsahib jak zwykle o tej porze jest w klubie.

Skinęłam głową i wręczyłam kolejną cenę anę riksza-rzowi, by zabrał mnie do klubu znajdującego się nad szerokim ocienionym zielonym majdanem, gdzie *aje* pilnowały bawiących się angielskich dzieci, a kobiety w wymyślnych kapeluszach siedziały na ławkach, wachlowały się i rozmawiały. Było mi gorąco, byłam zmęczona. I głodna.

Znów stanęłam przed podwójnymi drewnianymi drzwiami, nawet wyższymi i szerszymi niż drzwi w domu Wyndhamów. Zastukałam mosiężną kołatką.

Drzwi otworzył Hindus w wysokim białym turbanie przybranym czerwoną wstążką pasującą do pasa, którym przewiązał długi do kolan kaftan. Miał też na sobie białe spodnie i plecione sandały ufarbowane na czerwono.

- Tak? - zapytał po angielsku.

- Mogę wejść? - zapytałam. Zmarszczył brwi.

- Idź sobie. - Zaczął zamykać drzwi, ale oparłam na nich dłoń.

- Poczekaj. Przyszłam się zobaczyć z panią Wyndham. Ona mnie zna.

Pokręcił głową i znów próbował zamknąć drzwi. Wsunęłam stopę między ich skrzydło i framugę.

- Tacy jak ty nie są tu wpuszczani - powiedział rozdrażniony, przebiegając wzrokiem od mojego kapelusza po buty. Jego angielski miał mocny akcent z Pendżabu.

- Tacy jak ja? - zapytałam, spuszczać wzrok. Z przykrością zauważyłam, że czerwony pył z drogi osiadł na mojej spódnicy i że wyraźnie widać cery na białych rękawiczkach - mc, której użyłam, była lekko poślizgnięta.

Kusiło mnie, żeby go zrugać w pendżabi, ale nie chciałam się do tego zniżyć. Widząc pełen pogardy wyraz jego twarzy, wiedziałam, że muszę pokazać, kto tu ma władzę.

- Nie jestem żadną „taką” - powiedziałam z wyższością, na jaką tylko mogłam się zdobyć, patrząc mu prosto w oczy. - Jestem panną Fincastle, córką wielbego i pani Fincastle. Żądam, żebyś sprowadził panią Wyndham. - Zamrugał powiekami i lekko zakotłosał głową. Zaniepokoił się, że być może popełnił błąd, a to dodało mi odwagi.

Uniosłam podbródek i weszłam do środka.

- Poczekam tutaj - oświadczyłam - kiedy ty pójdziesz po panią Wyndham. Jestem pewna, że nie będzie zachwycona, kiedy się dowie, jak mnie potraktowałeś - dodałam.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę.

- No? Idź - powiedziałam, nie opuszczając brody. - Panna Fincastle - dodałam.

- Tak, tak - powtórzył głośno, lecz już nie tak władcym tonem. - Proszę poczekać. Przyprowadzę panią Wyndham.

Stałam, zaciskając dłonie na rączce torebki i patrzyłam na ozdobiony kolumnami hol. W wielkich donicach stały tam palmy, a na ścianach wisały obrazy przedstawiające sceny z polowania. Przez otwarte drzwi słyszałam stukot kieliszków i śmiech mężczyzn. Pochyliłam się i zobaczyłam skórzane klubowe fotele i wypchane głowy tygrysów na ścianach. W moją stronę płynął dym z cygar i zapach gotowanego mięsa. Pomyślałam o mosiężnym pojemniku, który zostawiłam na wozie. Poczulałam, że żołądek ściska mi się z głodu. Szkoda, że nic nie zjadłam przed przybyciem do Lahore. Ziemniaki i masala całkiem już wystygły. Może pani Wyndham zaprosi mnie do środka, zaproponuje herbatę i coś do jedzenia. Była przecież matką, z pewnością nie wyrzuci młodej kobiety w wieku swojej córki. Zwłaszcza kobiety, którą dotknęła tragedia.

Gdzieś w głębi klubu zegar wybił godzinę. Pierwsza.

W końcu na korytarzu pojawiła się pani Wyndham prowadzona przez *chuprassi*.

W kąciu lewego oka miała paskudny jęczmień, który mógł zaraz pęknąć.

- No cóż - powiedziała, opierając dłoń na łonie. - Byłam zaskoczona, gdy *chuprassi* podał twoje nazwisko. Co ty tu robisz, moja droga? - Nie była niemiła, ale też nie była nastawiona szczególnie przyjaźnie. - Poznaję ten kapelusz -dodała. - Wiedziałam, że będzie ci w nim do twarzy.

- Czy... mogłabym wejść i porozmawiać z panią? - zapytałam.

Cofnęła się, jakbym owiała ją jakimś nieprzyjemnym zapachem.

- Och, to nie byłoby właściwe, moja droga. Do klubu mają wstęp tylko członkowie. Obawiam się więc, że... - Zawiesiła głos i obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów, od kapelusza po świeżo wypastowane, lecz teraz już zakurzone buty, podobnie jak wcześniej zrobił to wyniosły *chuprassi*.

- Proszę pani - zaczęłam i wzięłam głęboki oddech. - Nie wiem, czy pani słyszała. Moi rodzice... oboje... niedawno... zmarli - zająknęłam się lekko na ostatnim słowie.

Zmarszczyła brwi, a przez jej twarz przebiegł wyraz konsternacji.

- Tak, panno Fincastle. Słyszałam. Wszyscy słyszeliśmy. I jest nam naprawdę ogromnie przykro.

Czy jej współczucie było szczere? Opuściła wzrok na stanik sukni; uświadomiłam sobie, że spogląda na mały zegarek przypięty do wstążeczki.

- Wyobrażam sobie, że niebawem wróci pani do domu? -Podniosła wzrok na mnie.

- Do domu? - zapytałam. - Dopiero co przyjechałam do miasta.

- Miałam na myśli Anglię, panno Fincastle. Czy wróci pani teraz do Anglii?

Pokręciłam głową.

- Nie znam tam nikogo. Mój dom jest tutaj, proszę pani.

I... miałam nadzieję, że być może... - Trudno było prosić o pomoc, zwłaszcza kogoś takiego jak ona. - Będzie mi pani mogła pomóc. Jestem teraz całkiem sama i nie mogę oczywiście dłużej zostać w misji.

Zamrugnęła powiekami i oblizła usta, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Westchnęła.

- Zawsze chętnie pomagamy rodakom. Proszę przyjść później do domu, kiedy skończę grać w wista, powiedzmy za godzinę? Na pewno coś dla ciebie znajdę. - Pochyliła się w moją stronę i szepnęła: - Przykro mi to mówić, ale ta suknia jest o wiele za krótka, panno Fincastle. A rękawiczki... Boże drogi.

Ujęła moją rękę w paskudnej rękawiczce i ścisnęła ją między swoimi z tym samym wyrazem konsternacji na twarzy.

- I naprawdę jest mi bardzo przykro z powodu wielebnego i pani Fincastle - powiedziała. Puściła moją rękę i cofnęła się.

Stałam jak wmurowana, nie rozumiejąc, że mnie odprawia, dopóki *chuprassi* nie otworzył drzwi.

- Ale... proszę pani. Ja nie mam z czego żyć... Przez jej twarz przebiegł cień zniecierpliwienia.

- Czego ode mnie oczekujesz, moja droga? Z pewnością Kościół jakoś ci pomoże. Do widzenia. Nie mogę pozwolić, by panie czekały. Rozumiesz. Odwróciła się i ruszyła korytarzem. *Chuprassi* odchrząknął i unosząc podbródek, wskazał mi wyjście. Wyszłam na zewnątrz - bo co innego mogłam zrobić? - a *chuprassi* zamknął drzwi.

Przez długą chwilę wpatrywałam się w wypolerowane drewno.

Stałam przed kapelanią. Obok drzwi wisiała prosta mosiężna tabliczka. „Jego Ekscelencja Burgess”, przeczytałam. Tabliczka była nowa; w tym klimacie, nawet przy



ciągłym polerowaniu mosiądz szybko śniedział. Pociągnęłam za ozdobny sznurek, który zwisał z dziury w murze, i usłyszałam stłumiony dźwięk dzwonka.

Do środka wpuściła mnie surowa starsza kobieta z oczami tak jasnoniebieskimi, że wydawały się niemal pozbawione koloru. Spojrzała na mnie podejrzliwie, kiedy się przedstawiałam i poprosiłam o spotkanie z wielbnym Burgessem.

Z wielką rezerwą wprowadziła mnie do gabinetu pełnego książek.

- Oto panna Fincastle - rzekła. - Córka wielbego Fin-castle - dodała i zasznurowała usta.

- Dziękuję, pani McNulty - powiedział wielbny Burgess.

Stała dalej, mocno zaciskając usta.

- To wszystko - dodał zdecydowanie wielbny Burgess, a pani McNulty odwróciła się sztywno i z przesadną ostrożnością zamknęła za sobą drzwi.

- Proszę usiąść, panno Fincastle.

Siadając, wygładziłam spódnicę, złączyłam stopy, a dłonie położyłam na kolanach. Znów zaburczało mi w brzuchu; miałam tylko nadzieję, że wielbny tego nie usłyszał.

- Nie wiem, wielbny, czy słyszał pan o tragedii...

- Tak, panno Fincastle. Wszyscy o niej wiedzą - powiedział miło.

Podniosłam wzrok, lecz napięty wyraz jego twarzy przyniósł kolejną falę upokorzenia, podobną do tej, jakiej doświadczyłam wcześniej w klubie.

- Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy współczucia. To na pewno był dla pani wielki wstrząs. Jest pani ich córką, jak powiedziała pani

McNulty. Zgadza się?

Zmieszałam się, słysząc jego głos i dziwne pytanie. Skinęłam głową i spuściłam wzrok na dłonie. Łatwiej było nie patrzeć na niego.

- Jeśli wydaję się trochę zdumiony... Szczerze mówiąc, panno Fincastle, nie wiedziałem, że przebywa pani w misji. Niebyło żadnej wzmianki... -

urwał, gdy podniosłam wzrok. Przyglądał mi się otwarcie. - Kilka miesięcy temu po wizycie

pani ojca przejrzałem dokumenty, ale nie było tam żadnej informacji o dzieciach. Nie przyznano żadnych funduszy, by wysłać panią do szkoły w Anglii, co należy do naszych obowiązków. Pomagamy naszym misjonarzom w zapewnieniu dzieciom wykształcenia.

Znaczenie jego słów dotarło do mnie dopiero po chwili. Mogłam zostać wysłana do szkoły w Anglii? Rodzice nigdy nie wspominali o takiej możliwości.

- Oczywiście te dokumenty nie zawsze są aktualne i nie można na nich polegać, tym bardziej że misjonarze dużo podróżują po kraju. Dokumenty giną lub ulegają zniszczeniu - ciągnął. - Jego ekscelencja Parr, którego zastąpiłem po jego nagłej śmierci, z pewnością znał szczegóły dotyczące rodziny pani, ale ponieważ jestem tu zaledwie od roku, nie wiem jeszcze wszystkiego o różnych misjach rozsianych po całym Pendżabie.

Skinęłam głową. Naprawdę nieważne było, co o mnie wiedział, a co nie.

- Przyjechałam z panem porozmawiać - zwilżyłam językiem usta - na bardzo delikatny temat. W papierach ojca, a bardzo skrupulatnie notował wszystkie wydatki i długi, znalazłam informację, że odebrał ostatnie wynagrodzenie w grudniu... A teraz jest prawie maj i ja... -

Wyprostowałam się. - Chciałabym odebrać jego wynagrodzenie za ostatnie cztery miesiące. Ostatnią pensję, jaka należy się ojcu od Kościoła anglikańskiego.

Zapadła cisza. Moje upokorzenie rosło i znów spojrzałam na rękawiczki. Choć w moim głosie brzmiało zdecydowanie, bo z pewnością miałam prawo do tego, co wypracował ojciec, nagle poczułam się, jakbym błagała. Nie spodziewałam się, że będę tak zakłopotana. W rozmowie z panią Wyndham czułam się podobnie skrepowana.

- Moja rodzina żyła bardzo skromnie, ale są pewne... wydatki, które muszę pokryć. Dopóki... - zawiesiłam głos. Dopóki co? Co zrobię? Podniosłam twarz i spojrzałam na wielebnego.

- Więc nic pani nie wie? - Jego głos brzmiał surowo, ale w oczach malowało się coś... czyżby litość?

- O czym?

Wzjął głęboki oddech.

- Pani ojciec zerwał wszelkie związki z Kościołem.

- Co takiego? - Zapomniałam zupełnie o manierach, pochyliłam się i oparłam dłonie na biurku. - O czym pan mówi? - W moim głosie pobrzmiwała lekka histeria.

- W zeszłym miesiącu - powiedział wielebny Burgess -pani ojciec przyjechał do kapelanii. Powiedział, że nie może już być duchownym. Wyznał, że złamał śluby i że nie może już dłużej z czystym sumieniem być przedstawicielem Boga w Indiach czy gdziekolwiek. Pamiętam naszą rozmowę bardzo wyraźnie. - Wyjął nagle oprawioną w skórę księgę, otworzył i przesunął palcem w dół strony. - Osiemnastego kwietnia. Tak, tego dnia pani ojciec był u mnie.

Patrzyłam prosto w oczy wielebnego. Dostrzegłam w prawym kataraktę i wiedziałam, że jest na wpół ślepy. Przypomniałam sobie dziwny wyraz twarzy ojca, gdy ostatni raz wrócił z Lahore. Rozmawiał wtedy ze mną o wyjeździe, sugerując, bym odwiedziła Langów w Peszawarze. To wtedy Glory przestraszyła Pavita tak bardzo, mówiąc mu, że misja zostanie zamknięta, że odebrał sobie życie. Ojciec powiedział Glory o swoim odejściu z Kościoła. Powiedział jej, ale nie mnie.

- Odebrał wtedy należne mu pobory. Zapłaciłem mu za cztery miesiące, mimo że nie był jeszcze koniec kwietnia, jak również za dwa następne w uznaniu za długą służbę. Powiedziałem też, że w geście szacunku za jego pracę pozwolimy mu dalej mieszkać w misji, jeśli tego zapragnie, choć oczywiście nie mogliśmy już dłużej płacić za środki medyczne.

Powiedziałem również, że powinien się zgłosić do zagranicznej organizacji pomocy; być może ona przejmie zaopatrzenie w środki niezbędne do prowadzenia dalszej działalności medycznej i przyzna mu niewielką pensję. Niestety, panno Fincastle, nic nie jesteśmy winni pani

ojcu. Mogę pani pokazać jego podpis na dokumentach, jeśli... - Urwał. Brwi wielebnego były gęste i szpakowate; włoski na końcach odstawały jak małe zaokrąglone skrzydła.

- Naprawdę nic pani nie wiedziała? - zapytał. - Ojciec nic nie powiedział? Bo mimo tak nagłego zerwania związków z nami, kapelania była gotowa opłacić całej rodzinie powrót do Anglii. Ale odmówił. Powiedział, że jego życie jest w Indiach, że nie ma do czego wracać.

Tak, Indie były jego życiem. I Glory. Nie chciał porzucać Glory.

- Panno Fincastle? Dobrze się pani czuje? To z pewnością okropny wstrząs, najpierw śmierć rodziców, a teraz to... -Potarł ostrożnie prawe oko, przesuwając koniuszkiem palca po powiece, jakby chciał zedrzyć przeszkadzającą błonę. -I choć nie może pani liczyć na zaległe pobory, może uda nam się jakoś pani pomóc. Opłacić pani podróż do domu - powiedział. - Nie od razu, trzeba załatwić formalności, rozumie pani, ale za kilka miesięcy może się uda...

Oderwałam wzrok od jego brwi.

- Do domu?

- No cóż, na pewno wolałaby pani być w Anglii, z rodakami, teraz gdy tak nagle... została pani sama. Nie mogę sobie wyobrazić, by zechciała pani tu zostać...

- To jest mój dom - przerwałam.

To samo powiedziałam pani Wyndham. Czy nikt nie mógł tego zrozumieć? Dom, o którym Anglicy wyrażali się z taką czcią, taką miłością, nie był moim domem. Należał do nich. Ja nie miałam żadnych wspomnień z nim związanych, żadnej przeszłości ani przyszłości.

Zapadła cisza.

- Rozumiem - powiedział w końcu, znów dotykając prawej powieki. Po kolejnej długiej, krępującej chwili ciszy, w czasie której wielebny kręcił piórem w grubych palcach i stukał nim w bibularz na biurku, przyglądając się stalówce, jakby kryła jakiś sekret, wreszcie przemówił. - Ale co pani

zrobi? Dokąd pani pójdzie? Czy ma pani tutaj przyjaciół wśród Anglików? Przyjaciół, którzy mogliby panią przyjąć pod swój dach? Wstałam.

- Nie. - Pokręciłam głową, myśląc znów o pani Wyn-dham. - Nie mam nikogo.

Wielebny również wstał.

- Wydaje mi się więc, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest powrót do Anglii.

Jak mogłam wrócić gdzieś, skąd nigdy nie wyjechałam?

- A tymczasem coś tu dla pani znajdziemy. Kościół nie odrzuca swoich dzieci. Pani McNulty jest gospodynią na plebanii i oczywiście mamy hinduskich służących, ale zawsze jest dużo roboty. Pani McNulty na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, by dzielić z panią pokój, a w zamian pomoże jej pani w obowiązkach do czasu, gdy zgromadzimy fundusze na pani podróż do domu.

Poczułam się, jakbym teraz to ja, a nie wielebny Burgess była na wpół ślepa. Nie widziałam wyraźnie, zupełnie jakby ciało szkliste w moich oczach zgęstniało, uniemożliwiając widzenie. Wyczułam rękami brzeg krzesła, a potem wyciągnęłam rękę, by dotknąć ściany za sobą.

- Zostanę... czy mogę zostać w misji? Tylko na jakiś czas. Dopóki się nie pozbieram. - Miałam na tyle przytomności umysłu, by zrozumieć ironię kryjącą się w moich słowach. -Aż będę mogła...

Co będę mogła?

Wielebny Burgess podszedł do mnie jakby przez mgłę lub chmurę dymu.

- Oczywiście, panno Fincastle. Oczywiście. Postaramy się znaleźć innego pastora, by przejął misję. Misje przekazywane są Kościołowi na wieczyste użytkowanie; nikt pani nie wyrzuci. To nigdzie nie dzieje się szybko, ale w Indiach... może potrwać dość długo. W istocie bardzo długo - powtórzył. - Od czasu buntu coraz trudniej jest osadzać te pla-

cówki. Wszyscy martwią się z powodu braku konwertytów w Indiach. Misjonarze wybierają inne pogańskie kraje, by głosić słowo Boże.

- Mogę więc tam zostać? - spytałam. - Tak długo, jak zechcę?

- W tej chwili tak, panno Fincastle.

Musiałam tam wrócić i objąć misję w posiadanie. Opiekować się nią.

- Dziękuję - powiedziałam z ręką na gałce drzwi. - Muszę iść.

- Panno Fincastle, pani McNulty poda pani herbatę i coś do jedzenia, zanim wyruszy pani w drogę. Proszę nie wyjeżdżać w tym stanie, panno...

Przekreśliłam gałkę i wybiegłam na korytarz, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Minełam hinduskich służących, którzy przykleili się do ściany, gdy biegłam, a zanim dotarłam do grubych drzwi wejściowych, dostrzegłam jeszcze panią McNulty, która rzuciła mi mętne spojrzenie spod ciężkich powiek.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Stałam przed kapelanią. Nic nie wydawało się znajome. Czułam się podobnie jak w dniu, gdy matka zmusiła mnie, żebym oglądała *sati*; byłam obcą osobą w nieznanym miejscu. Nie odważyłam się wydać nawet jednej cennej anny na riksę, która zawiozłaby mnie z powrotem do wozu, i szłam przez ulice, nagle zagubiona. Lahore straciło dla mnie cały swój urok. Gruby mężczyzna w turbanie obnażył zęby, rzucając mi pożądlivy, splamiony krwią uśmiech. W następnej chwili uświadomiłam sobie, że wyszczerbione zęby ma tylko poplamione betelem. Stara kobieta z siwymi włosami spływającymi na plecy siedziała w kucki na progu domu, paląc *beedi*, mały rulonik tytoniu owinięty w liść zalśnił w jej bezzębnych dziąsłach, gdy spojrzała na mnie pustym wzrokiem. Bezpańskie psy wyskakiwały z popołudniowego cienia, walcząc o gnijącą głowę kurczaka. Umierające z głodu dziecko leżało na kolanach matki. W drobnej figurce jego wydęta klatka piersiowa sterczała jak krosno. Dziecko miało rozdęty brzuch i groteskowo duże kolana. Mężczyzna tuż obok mnie wysmarkał się, wytarł nos palcami i rzucił lśniący śluz obok czubka moich butów. Walczyłam z paniką. Ogarnął mnie taki sam strach jak wtedy, gdy nocą słyszałam męskie głosy obok misji. Biegłam, dysząc i potykając się w mrocznych alejkach. Kiedy poznałam okolice i znalazłam Martę, płakałam. Wspięłam się na wóz i z krzykiem uderzyłam ją mocno lejcami. Stała bez ruchu, oglądając się za siebie, jakby chciała się upewnić, że to naprawdę ja.

- Ruszaj, Marto! Ruszaj do domu! - krzyknęłam i w końcu, gdy szarpnęłam mocno, ruszyła.

Zanim dotarłam do misji, dogasł ostatni blask dnia. Nigdy wcześniej sama nie podróżowałam drogą, a już na pewno nie nocą. Była pusta; tylko od czasu do czasu mijałam człowieka idącego piechotą lub prowadzącego wołu. Znad wilgotnych terenów unosiła się upiorna mgła, lżejsza niż mroczniejące powietrze. Odgłosy nocy odbijały się echem w cichej okolicy: kumkały żaby, a z kępy ciemnych krzewów dobiegł trzepot skrzydeł nietoperzy. W oddali wyły szakale. W wioskach leżących nieopodal drogi mrugały ogniska niczym cekiny we mgle. Mijając jedną z tych wiosek, usłyszałam okropny kaszel, płacz dzieci i odgłosy plucia. Kamienie na drodze lśniły lekko w słabym świetle księżyca przesłanianego chmurami. Nie widząc więcej niż stopę przed Martą, minęłam zjazd na boczną drogę prowadzącą do misji; dopiero kiedy poznałam znajomą wioskę, zorientowałam się, że zajechałam za daleko. Odwróciłam Martę, wyężając wzrok, by dojrzeć wąskie skrzyżowanie.

Na widok znajomego płotu wydałam z siebie westchnienie ulgi. W misji było ciemno, tylko w *rasoi* płonął mały ogień. W powietrzu nadal unosił się wilgotny swąd spalonej strzechy. W ciemnościach nieporadnie wyprzęgåłam Martę. Zaprowadziłam ją do zagrody, dałam wiadro wody i podrzuciłam świeżą słomę. Kiedy przechodziłam przez podwórze, usłyszałam dobiegające z *rasoi* głosy.

Podeszłam do kuchennej chaty; Sanosh siedział w kucki przy ogniu, powoli polerując mały mosiężny garnek. Nie był sam. Stała nad nimi Glory ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, a u jej stóp leżały w kurzu dwie płócienne torby.

Zanim zdążyłam się odezwać, rozchyliła usta w pełnym triumfu uśmiechu. Poczulaam zapach goździków.

- Wróciłam - powiedziała w hindi. - Słyszałam, że wie-



lebny umarł. Mówili też, że mem również odeszła w ataku szaleństwa. - Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową. - Zawsze wiedziałam, że opętał ją *pręta*, duch jednego z jej zmarłych dzieci, który nie znalazł spoczynku. Mały *pręta* zawsze szuka człowieka, by w niego wejść. Rządzi nim i doprowadza do choroby. Mówiłam o tym wielebnemu, ale nie chciał wierzyć. A teraz okazało się, że miałam rację. Była opętana. Kiedy wielebny umarł, *pręta* ją zabił.

- Przestań mówić o mojej matce - powiedziałam. - Przestań. - Spojrzałam na Sanosha, lecz pochylił głowę nad garnkiem. Wiedziałam, że nie opowiadał Glory jaką miała śmierć.

Glory wzruszyła ramionami.

- Wielebnego i mem już nie ma. Więc ja tu teraz zamieszkać. Czyż mało się dziś wydarzyło? Pokręciłam głową, otwierając z niedowierzaniem usta.

- O czym ty mówisz? Nie możesz tu zostać. To jest mój dom. - Głos miałam ochrypy ze zmęczenia. - Nie chcę cię tutaj.

- Nic mnie nie obchodzi, czego chcesz. Myślisz, że możesz mnie powstrzymać? Misja zawsze była moim domem, tak samo jak twoim. Twój ojciec tego chciał. Wiesz, że mówię prawdę.

- Nie możesz - rzekłam dobitnie. - Sanosh, powiedz jej, że nie może tu zostać.

Wciąż siedząc na piętach, Sanosh podniósł na mnie wzrok. W wyciągniętych rękach trzymał garnek i gałazki do polerowania. Jego twarz pociemniała od gniewu. On też nie chciał tu Glory.

- To nie moja sprawa, panienko - powiedział i pochylił głowę, polerując garnek z nową energią.

Glory podniosła torby i ruszyła w stronę domu.

- Co robisz? - krzyknęłam, biegnąc za nią. - Mówiłam ci, żebyś sobie poszła.

- Zajmę dużą sypialnię - oświadczyła. - Zawsze lubiłam wysokie łóżko z prawdziwym materacem. Jest o wiele wygodniejsze od mojego.

Szłam za nią, gdy przemierzała ciemny dom i weszła do sypialni matki.

Otworzyła żaluzje i do środka wpadły długie promienie księżyca, oświetlając starannie pościelone łóżko, w którym zaledwie przed tygodniem leżała moja matka.

Następnego ranka Glory zaczęła mi rozkazywać.

- Weź cytryny - zawołała. - Wyciśnij sok z jednej i dodaj maślanekę i łyżkę kaolinu. Jest na mojej toaletce - dodała. - Właśnie skończył mi się krem Beckingham's Neroline. Kupię go, kiedy pojedę do Lahore. Na razie potrzebuję czegoś do smarowania.

„Na mojej toaletce”, powiedziała tak lekko, choć toaletka nie należała do niej, tylko do mojej matki, podobnie jak krem. Pamiętam, jak znalazła na wpół zużyty słoiczek kremu do twarzy w jednym z pudeł z darami i podniosła go triumfalnie.

- Ach - westchnęła - ileż to lat minęło od czasu, gdy czułam na skórze dotyk angielskiego kremu. Co za urocza niespodzianka. - Otworzyła słoiczek i wyciągnęła go w moją stronę. Wdychałam jego zapach. A jednak zauważyłam, że używała go bardzo rzadko. Największą radość sprawił jej widok okrągłego słoiczka z wieczkiem ozdobionym bżem. To była jej mała przyjemność.

Słoiczek nadal stał na jej toaletce, lecz na dnie i ściankach pozostała zaledwie cienka warstwa kremu.

A teraz - zaraz pierwszego dnia - Glory nie tylko użyła go łąpczywie, lecz również całkowicie wzięła w posiadanie pokój matki. Kiedy w nocy leżałam w łóżku rozwścieczona tupetem Glory i moim brakiem zdecydowania, by ją wyrzucić, słyszałam szuranie i stukot przesuwanych mebli. Podeszłam do drzwi pokoju matki. Płonęły w nim trzy lampy. My nigdy nie odważyliśmy się zużywać naraz aż

tyle nafty - a teraz Glory przemeblowywała pokój według własnego uznania.

Kiedy ją obserwowałam, przyszła mi do głowy myśl, że wykorzystwała wszystko, co należało do mojej matki - zabierając jej nawet ojca - i ani przez chwilę nie zastanawiała się, że może sprawić mi ból. Gdy mnie zobaczyła, gestem dała znak, żebym weszła.

- Pomóż mi. Szafa jest za ciężka.

Spojrzałam na nią tylko, a potem odwróciłam się i poszłam do swojego pokoju.

- Będziesz robić, co ci każe, Pree - zawołała przez cienką ścianę. - Chodź mi pomóc.

Przewróciłam się na bok, zakryłam głowę poduszką i zaczęłam liczyć na głos. Tym razem tylko wymieniałam liczby, próbując odnaleźć pociechę w ich znajomym rytmie. Sen jednak nie nadchodził. Wstałam zmęczona, by stawić czoło nowemu dniu, kiedy pierwsze promienie słońca wpadły przez żaluzje.

Stałam teraz przy studni, a Glory z werandy domagała się cytryn.

- Jedną przetnij na pół. Muszę zmiękczyć łokcie.

- Sama sobie przetnij - zawołałam. - Nie jestem twoją służącą.

Zeszła po stopniach, ujmując w dłoń nową suknię, by nie ciągnęła się za nią w kurzu. Na nogach miała jedwabne pantofelki w kolorze brzoskwini.

- Chcesz jeść, Pree? - zapytała, stając przede mną. Postawiłam pełne wiadro, które właśnie wyciągnęłam

ze studni. Glory cofnęła się, by woda nie zachlapała jej pantofelków.

- No? Chcesz jeść coś więcej niż tylko to, co uda ci się wykopać w ogrodzie? Coś więcej niż jajka? Nie masz ochoty na *roti*? Masz pieniądze, by kupić mąkę lub mięso? Herbatę, cukier? Zapas ryżu? A co z olejem do gotowania i naftą do lamp? A świece?

Wpatrywałam się w jej twarz.

- Bez trudu znajdę kogoś do pracy. Nie jesteś mi potrzebna, Pree. Znasz jakiś sposób, żeby kupić sobie jedzenie i coś do ubrania?

Spojrzała na moją suknię; była za ciasna, podarta pod jednym ramieniem i niewygodna do pracy w ogrodzie, dojenia Marty i wyciągania wody ze studni. Już oddarłam kołnierzyk i rozpinałam górne guziki, bo czułam, że się duszę. Nie będzie już więcej pudeł z darami.

- No? - powtórzyła.

Patrzyłam na nią przez długą chwilę.

- Skąd wezmą się pieniądze na życie, pytam? - ciągnęła. - Na pewno nie od ciebie. - Przyglądała mi się przez chwilę. - Ale ja mam pieniądze. Będziesz więc robić, co każę, i będziesz wdzięczna, że dzięki mnie masz dach nad głową.

Ostatnie słowa wypowiedziała cicho z absolutną pewnością siebie. Choć była ode mnie trochę niższa i musiała podnosić wzrok, by spojrzeć mi w oczy, w tej chwili widziałam, że czuje się o wiele wyższa i silniejsza ode mnie.

Odwróciłam się w milczeniu i poszłam po cytryny.

Przez następny tydzień Glory nadal znęcała się nade mną i groziła mi. Moje uczucia do niej zamieniły się w nienawiść. Wiedziałam, że nie powinnam jej czuć, że powinnam pogodzić się z tym, co robi. Przecież miała rację. Jak miałam tu żyć? Za tych kilka rupii i ann ledwie wyżywiłabym się przez kilka tygodni.

Wiedziała, że nie mam innego wyjścia, żadnych innych możliwości. Robiłam więc, co mi kazała, myśląc, że jakoś uda mi się znaleźć sposób, by zmusić ją do wyjazdu i nadać sens mojemu życiu. Rozmyślałam o rodzicach; wiedziałam, że pomimo ich słabości i nieszczęść, które od dawna na nas spadały, oddałabym teraz wszystko, by odzyskać dawne życie. Próbowałam skupiać się na lepszych czasach w misji,

ale przychodziło mi to z trudem. Zniszczona infirmeria z prochami rodziców pod gnijącym, spalonym drewnem siedziała niczym niezdarne cielsko bestii, przypominając mi codziennie, co się wydarzyło.

Sanosh był moim jedynym sprzymierzeńcem. W pierwszym tygodniu uchwyciłam się myśli, że być może w misji nastanie jakaś normalność. Sanosh będzie gotował, opłacany przez Glory ja zajmę się pracą fizyczną, by uchronić misję przed popadnięciem w jeszcze większą ruinę, a Glory -no cóż, Glory będzie się rozkoszować swoim nowym statusem.

Jednak w ciągu pierwszego miesiąca rządów Glory nasze życie zamieniło się niewyobrażalnie.

Do misji ściągali mężczyźni. Byli angielskimi żołnierzami z koszar na przedmieściach Lahore.

A wszystko zaczęło się bardzo prosto: do Glory przyjechał z wizytą „dżentelmen”, jak sama to określiła.

Kiedy zjawił się wczesnym wieczorem po kolacji, którą zjadłam z Sanoshem w *rasoi*, a Glory na werandzie, siedziałam przy stole w jadalni i czytałam.

Na dźwięk kopyt końskich na podwórzu podniosłam wzrok i usłyszałam niski, męski głos. Odpowiedział mu wyższy należący do Glory. Potem weszli do domu. Żołnierz nie zwracał na mnie uwagi; razem z Glory siedzieli w saloniku, pijąc whisky, którą przywiózł żołnierz. Na koniec, podenerwowana głośnym śmiechem Glory i ich głupią rozmową, poszłam spać. Jednak zanim zasnęłam, przenieśli się z kanapy do łóżka i nie mogłam znieść tego, czego byłam zmuszona słuchać przez cienką ścianę. Nie obchodziło ich, że mogę usłyszeć ich głośne przekomarzania i zawstydzające odgłosy. Po dziesięciu minutach tego okropnego spektaklu wzięłam poduszkę i kołdrę i spędziłam noc w chacie Kaia.

Jednak nawet tam słyszałam pijacki, głośny śmiech Glory

dobiegający przez otwarte okna. Jak pierwszej nocy po powrocie Glory zakryłam głowę poduszką i zaczęłam liczyć.

Po kilku dniach uświadomiłam sobie, że nie skończyło się na jednej wizycie. Żołnierz przyjeżdżał co wieczór, a ja nie mogłam znieść rozwiązłego zachowania Glory. Pojawiło się zresztą coś bardziej niepokojącego niż znoszenie wulgarnych widoków i słuchanie odgłosów. Podczas piątej wizyty żołnierza Glory poszła do wygodki, a ja wyszłam z pokoju po książkę, którą zostawiłam na kanapie. Żołnierz siedział na krześle z końskiego włosia. Policzki miał zarumienione od alkoholu, wyciągnął przed siebie nogi w ciężkich czarnych butach. Gdy poruszałam się po pokoju, słyszałam jego oddech i czułam na sobie jego wzrok.

- Jak masz na imię, malutka? - zapytał.

Spojrzałam na niego, lecz szybko odwróciłam wzrok, wytrącona z równowagi bezczelnością, jaką dostrzegłam w jego oczach. Zauważyłam jednak leniwy uśmiech, na wpół przymknięte powieki i długie palce owinięte wokół kieliszka z bursztynowym płynem.

Nie odpowiedziałam. Wzięłam książkę i wypadłam z pokoju, czując na plecach jego palące spojrzenie. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie, modląc się, by Glory szybko wróciła. Kiedy ją usłyszałam, wydałam z siebie westchnienie ulgi i podeszłam do łóżka. Nie rozebrałam się jednak ani nie położyłam. Czekałam, by usłyszeć znajome odgłosy dobiegające zza ściany, a potem z bijącym sercem w ciągu kilku ukradkowych spacerów przeniosłam wszystkie moje rzeczy - z wyjątkiem łóżka i toaletki z drewna mangowego, których nie mogłam sama ruszyć - do chaty Kaia.

Nadal miałam miecz; schowałam go między ścianą a łóżkiem.

Kilka dni później Glory uderzyła Sanosha. Trzymała w ręce gruby kij i stała nad nim, gdy wyszłam z zagrody gdzie wydoiłam Martę. Nie mogąc uwierzyć własnym oczom, zobaczyłam, jak Glory podnosi kij i uderza nim w stare biedne ramiona Sanosha, który siedział przed kamieniem do mielenia przypraw. Wzdrygnął się i podniósł jedną rękę, by osłonić twarz. Postawiłam wiadro z mlekiem na ziemi i podbiegłam do nich.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęłam. Wyrывałam kij z ręki Glory i odrzuciłam go na bok. - Jak śmiesz bić Sanosha?

Oparła dłonie na biodrach.

- Był nieposłuszny. Kazałam mu ugotować jagnięcinę z sosem. A on zrobił to mdłe *curry* z warzyw. Jestem panią tego domu. Musi robić, co mu każę.

Spojrzałam na Sanosha. Choć miał pochyloną głowę, widziałam, że drżą mu usta. Łzy napłynęły mi do oczu. Uklękłam obok niego i objęłam go ramieniem.

- Zostaw go - powiedziałam do Glory, podnosząc na nią wzrok. - Nigdy, przenigdy nie traktuj Sanosha z takim brakiem szacunku. Nie masz serca? Uniosła jedną brew i lekko się uśmiechnęła.

- Moje serce nie ma nic wspólnego z moim apetytem - odparła. - A Sanosh będzie gotował, co mu każę. Przecież to ja mu płacę, prawda?

Musiałam odwrócić wzrok, tak lodowate było jej spojrzenie.

Bez ostrzeżenia wysunęła stopę w pantofelku i kopnęła garnek z *curry*. Jego zawartość wylała się na ziemię.

- Zrób jagnięcinę z sosem - rozkazała, po czym odwróciła się i odeszła. Siedzieliśmy z Sanoshem w milczeniu, jak zaczarowani wpatrując się w *curry*. Jego starym ciałem wstrząsały drgania.

- Sanosh - powiedziałam w końcu, nadal obejmując go ramieniem. - Musisz stąd odejść.

Teraz on spojrzał na mnie z wyrazem zaskoczenia na wąskiej twarzy.

- Zostanę dla panienki - odrzekł. - Jeśli odejdę, kto będzie panience gotował?

- Przecież umiem gotować - powiedziałam. - Nauczyłam się od ciebie. - Próbowałam się uśmiechnąć, lecz moja górna warga tylko lekko się wykrzywiła. - Musisz odejść - powtórzyłam. - Wracaj do Tek Mandi i zamieszkaj z Darshanem i jego żoną. Będziesz siedział na słońcu i bawił się z wnukami. Tak ciężko dla nas pracowałeś przez wszystkie te lata.

- To prawda, jestem stary - odparł, jakby chciał mnie pocieszyć. Spojrzał na dom, gdzie Glory siedziała na werandzie, kołysząc się leniwie.

- Będzie panienka dla niej gotować? - zapytał. Wzruszyłam ramionami.

- Ona ma pieniądze. Będzie musiała kupować żywność, więc przynajmniej o to nie będziemy się martwić.

Kilka dni wcześniej, kiedy poprosiłam Glory o pieniądze na zakupy, otworzyła ozdobioną masą perłową szkatułkę i wyjęła gruby zwitek rupii. Pomachała mi nim triumfalnie przed nosem. Była z siebie bardzo zadowolona.

Wpatrywałam się w pieniądze.

- To pieniądze mojego ojca, prawda? - powiedziałam.

Spojrzała na mnie z wyższością i odliczyła kilka banknotów. Potem patrząc na mnie znacząco, zamknęła szkatułkę kluczykiem, który wisiał na łańcuszku na jej szyi.

Były to z pewnością półroczne pobory mojego ojca, które odebrał w kwietniu od wielebnego Burgessa. Gdzie je znalazła? Czy były w blaszanej puszcze? Bez trudu mogła przeszukać dom, zanim odeszła tamtego dnia, kiedy ojciec powiedział, że nie ma żadnych pieniędzy. Była tak przebiegła, że zostawiła w puszcze kilka rupii i ann, żebym jej nie podejrzewała.

- Proszę cię, Sanosh - powiedziałam. - Nie zostawaj tutaj. Będę szczęśliwsza, jeśli odejdiesz. Nie chcę, żebyś tak żył.



Nie odpowiadał przez długą chwilę, a potem ciężko westchnął.

- Chyba ma panienka rację - powiedział. - Moja praca dobiegła końca. Ale odwiedzi mnie czasem panienka w Tek Mandi? - zapytał. - Zawsze będzie panienka mile widziana w moim domu.

- Oczywiście - odparłam, spoglądając na jego dłonie. Choć minęło już sporo czasu i poparzenia się zabiżniły, skóra nadal była zaróżowiona. Nigdy nie zapomnę jego troski i współczucia, nie tylko kiedy zmarli moi rodzice. Głęboko zasmucała mnie myśl o utracie wiernego Sanosha, ale wstydziłam się, gdy Glory traktowała go jak niewolnika.

Rozejrzał się po podwórzu, zatrzymując na chwilę wzrok na zwęglonych ruinach infirmerii.

- Może panienka też powinna odejść. Nie powinna panienka zostawać z tą tam. - Uniósł brwi, wskazując werandę. - Chyba czas pojechać do Lahore i zamieszkać wśród innych Anglików. Nic już tu panienki nie trzyma.

- Może - odparłam, wiedząc doskonale, że to nie wchodzi w grę.

Wątpiłam, by Sanosh mi uwierzył, gdybym mu powiedziała, że wśród chrześcijan też istnieje system kastowy i że nie jestem mile widziana w gronie Wyndhamów i Rollings-Smythe'ów w ich eleganckich domach stojących przy zadbanych ulicach angielskiej dzielnicy w Lahore.

Tęskniłam za wieśniakami, którzy przychodzili do infirmerii, licząc na moją pomoc. Tęskniłam za Sanoshem i Pavitem.

Tęskniłam za ojcem i matką.

Tęskniłam za starym życiem i nienawidziłam nowego, wyobrażając sobie, że gorzej już być nie może. Tęskniłam za Kaiem.

Kilka dni po odejściu Sanosha leżałam w nocy w dawnej chacie Kaia i oczywiście myślałam o nim. Czy wróci któregoś dnia do misji, choćby tylko po to, by odwiedzić Glory

lub przywieźć jej pieniądze? Choć nie miał dla niej żadnych uczuć, powiedział, że nie porzuci matki. Gdyby tylko wrócił do misji, na pewno znalazłby w sobie siłę, by wszystko zmienić.

Zaczęłam się modlić nowymi słowami: *Proszę Cię, Ojczyźnie niebieski, który nade mną czuwasz, sprowadź Kaia do domu.* „Proszę, sprowadź Kaia do domu”. Znalazłam sznur koralików - *japa mala* Sanosha, który zostawił przypadkiem w *rasoi*. Teraz razem z chrześcijańskimi modlitwami szepotałam *japa*: „Jai Shree Krishna, Jai Shree Krishna, Jai Shree Krishna”, sto osiem razy, przesuwając koraliki palcami. Odmawiałam te połączone chrześcijańskie i hinduskie modlitwy pięć razy dziennie, jak modlili się muzułmanie: po wschodzie słońca, w południe, po południu, o zachodzie słońca i wieczorem. Pięćset czterdzieści modlitw codziennie do mojego własnego Boga i hinduskich bóstw, według muzułmańskiego rytuału. To musi przynieść jakiś efekt, powtarzałam w duchu.

Robiłam tak przez dwa tygodnie. Pewnej nocy usłyszałam swój rozpaczliwy szepot i przez jedną straszną chwilę przypomniałam sobie głos matki, gdy płakała i modliła się nad martwym szczeniakiem.

Rzuciłam koraliki na podłogę obok pryczy i przewróciłam się na bok, porzucając wszystkie modlitwy, zarówno hinduskie, jak i chrześcijańskie. Początkowo Glory nawet nie zauważyła, że się wyprowadziłam. Nie byłam dla niej ważna. Gotowałam tylko i wykonywałam prace, które pozwalały jej wieść w misji życie, jakiego pragnęła. Nie sprzątałam w domu, choć próbowałam pobielić ściany z zewnątrz i naprawić strzechę, jak robił to Kai.

Po trzech tygodniach pierwszego żołnierza zastąpił inny. Cieszyłam się, że nie będę już oglądać tego pierwszego; po tamtym wieczorze, gdy wpatrywał się we mnie tak upor-

czywie, chowałam się do mojej chaty, kiedy tylko słyszałam stukot kopyt jego konia.

Niebawem misję zaczęła odwiedzać cała parada żołnierzy w podobnych mundurach, które różniły się jedynie wzorem ozdobnego sznurka i ilością pasków. Nie nazywałam ich jak Glory dżentelmenami. I nie zajęło mi dużo czasu, by zrozumieć, że pierwszy żołnierz nie był wyjątkiem. Wraz z upływem tygodni ich obecność coraz częściej wprawiała mnie w zakłopotanie. Od powrotu Glory do misji minęły cztery miesiące.

Nie chciałam patrzeć, jak żołnierze co wieczór wjeżdżają konno na podwórze. W zależności od pogody szłam do chaty, nad rzekę lub na pola. Pewnego dnia zjawili się ich dwóch i gdy pospiesznie mijałam dom, jeden z nich odezwał się do mnie.

- Chodź do nas - zawołał. - Ty! - krzyknął głośniejszym głosem, kiedy się nie zatrzymałam. - Gdzie jest Glory? Glory! Każ tej dziewczynie przyjść. Może do nas dołączyć.

Nie odpowiedziałam ani się nie obejrzałam. Nie słyszałam też Glory. Wstrzymując oddech, szłam dumnie, dopóki nie zniknęłam za domem, a potem pobiegłam na pole.

Coś mnie wstrzymywało przed powrotem do misji. Powietrze było miękkie i ciepłe; w końcu położyłam się w łodygach kukurydzy.

Wyrzucono mnie z domu. Teraz nie byłam nawet bezpieczna w mojej własnej chacie. Jak długo będę mogła tak żyć?

Kiedy przewróciłam się na bok, próbując się wygodnie ułożyć, usłyszałam znajome węszenie. Usiadłam.

- Jassie? To ty? Chodź, malutka - powiedziałam, a ona powoli wyszła zza łodyg. Na widok jej drogiego, wąskiego pyska jeszcze bardziej rozczuliłam się nad sobą i z gardła wyrwał mi się szloch. Jassie wpatrywała się we mnie z głową przekrzywioną na bok, z pewnością zdziwiona, co robię w ciemnościach pośród kukurydzy.

- Połóż się, malutka - powiedziałam. - Zostań ze mną. Zawahała się i obejrzała za siebie, jakby chciała odejść,

lecz po chwili niepewnie położyła się na ziemi kilka kroków ode mnie. Jakże chciałam, by zbliżyła się na tyle, bym mogła jej dotknąć. Chciałam ją przytulić. Tak bardzo chciałam znaleźć się blisko czegoś ciepłego, żywego i oddychającego w tą ciemną, samotną noc.

Ona jednak pozostała na miejscu i wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. W końcu westchnęła i oparła pysk na łapach. Jej ciało rozluźniło się i przymknęła powieki. I to mi wystarczyło: sama jej obecność była źródłem pociechy.

Kiedy otworzyłam oczy o pierwszym brzasku, Jassie nie było; jedyny ślad, jaki po niej został to odcisk ciała w miękkim kurzu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Na szczęście przez następne kilka dni w misji nie zjawiali się już żołnierze. Oddychałam spokojniej i powtarzałam sobie, że ten, który domagał się mojej obecności, może już nigdy nie wrócić. Glory zabrała Martę i pojechała do Lahore. Wróciła z wozem wyładowanym zakupami. Kiedy tego wieczoru przyjechał nowy, nieznajomy żołnierz, obserwowalam go ukradkiem z wejścia do chaty, jak wnosił do domu krzesła, lampy i jakieś pakunki. Następnego dnia dwóch smagłych mężczyzn w turbanach wciągało po stopniach pianino. Odwróciłam głowę. Widok pianina nappełnił mnie dziwną mieszaniną smutku i radości, której nie potrafiłam do końca określić.

- Chodź, Pree - zawołała mnie Glory, kiedy odjechali. Mieszałam właśnie łąjno Marty ze słomą i uklepywałam w placki, które układałam przy płocie zagrody, żeby wyschły na słońcu. - Chodź zobaczyć mój nowy instrument.

Nie miałam ochoty spełniać jej żądania, ale chciałam -musiałam - zobaczyć pianino. Powoli weszłam na stopnie werandy i stanęłam w otwartych drzwiach saloniku. Od miesiąca nie wchodziłam do domu. Stara kanapa i fotel z końskiego włosia nadal stały na swoim miejscu, lecz Glory przykryła je szkarłatnoturkusową tkaniną. Oszklona szafka również została na swoim miejscu. Zniknęło za to żółte krzesło - być może Glory wyniosła je do sypialni - i w saloniku stały teraz trzy krzesła z taniej trzciny. Zobaczyłam małe rzeźbione stoliki z mosiądzu, a na nich lampy z wisiorcami z jarmarcznego szkła. Zobaczyłam też porcelanowe figurki dam w kolorowych sukniach i urocze

cacka z porcelany ze złoconymi brzegami. Przed kanapą stała duża taca z mosiądzu na nogach z mahoniem, a na niej fikuśny wazon i - o dziwo - sportowe trofeum zdobyte w jakimś konkursie hippicznym. Na ścianach wisiało całe mnóstwo tanich kopii akwrel przedstawiających angielski krajobraz i zdjęcia rodziny królewskiej w złoconych, tandetnych ramkach. Szkło zakrywające portrety było upstrzone przez muchy, nie mogły więc być nowe.

Glory wyrzuciła ciężko zarobione przez ojca pieniądze na niepotrzebne rzeczy i głupie ozdoby. Pieniądze, za które mogłam wyjechać z misji, nawet jeśli nie miałam pojęcia dokąd. Dzięki nim poczułabym jednak, że choć w niewielkim stopniu jestem niezależna.

Moi rodzice nie żyli zaledwie od dwóch miesięcy, a ślady ich życia w misji - wszystko, na co tak ciężko pracowali - powoli się zacierały.

Zniknęła infirmeria, ludzie, których kiedyś kochałam, a jedyna rzecz, jaka pozostała - dom - nie wyglądała już jak jedyny dom, jaki znałam.

Z trudem łapałam oddech, bo nagle ogarnęło mnie poczucie osamotnienia tak potężne, że musiałam się oprzeć o framugę.

Nie skończyłam jeszcze osiemnastu lat, a już nie miałam niczego i nikogo. Byłam sama, nie tylko w misji, lecz również w życiu. Kai był gdzieś w Indiach, być może już nigdy go nie zobaczę, a jednak chwytałam się wspomnień z rozpaczliwą nadzieją osoby, która tonie.

- I co o tym myślisz, Pree? - Glory przebiegła palcami po klawiszach.

Wzięłam głęboki oddech i wyprostowałam się.

Pianino było w istocie wspaniałe. Nowe i o wiele lepszej jakości niż stare, które matka tak bardzo kochała. Stał przed nim okrągły stół. Glory musiała mieć więcej pieniędzy, niż zabrała ojcu, by kupić dobry instrument.

Teraz przesunęła dłońmi po lśniącym drewnie.

- Chodź, Pree, zagraj coś - powiedziała. - Kupiłam też nuty. - Wskazała ręką na pulpit, na którym leżały oprawione

nuty. *Mendelssohn: Koncert skrzypcowy e-moll* przeczytałam z rozdrażnieniem.

Pomimo przytłaczającego smutku i gniewu na Glory moje palce tak bardzo chciały dotknąć klawiatury że poruszyły się bezwiednie, przypominając sobie dotyk gładkiej kości słoniowej. Zrobiłam krok do środka.

Glory zmarszczyła jednak brwi.

- Śmierdzisz łajnem - powiedziała. - Idź, umyj ręce, a potem wróć i coś zagraj - nakazała, jakbym była dzieckiem.

Odmówiłabym jej z radością; nie mogła mnie przecież zmusić do grania. Ale tak bardzo chciałam pograć. Zrobię to dla siebie, nie dla niej. Poszłam do studni i wyszorowałam ręce, a potem wróciłam do salonu. Położyłam palce na pięknych klawiszach i pieściłam ich gładką powierzchnię.

Paznokcie miałam połamane, a pod nimi nadal było widać brud i resztki łajna. Wzięłam głęboki oddech i zagrałam prostą gamę C-dur. Po podróży na wozie pianino było oczywiście rozstrojone, ale nie na tyle, by cierpiało na tym brzmienie melodii.

Jakże matka kochałaby takie pianino. Wątpiłam, by kiedykolwiek miała okazję choć dotknąć takiego wspaniałego instrumentu.

Zagrałam jeszcze kilka gam, a potem niepewnie pierwsze nuty

*Chrzesciajnie, przebudźcie się*, nie mając pewności, czy pamiętam całość.

Zagrałam jednak sześć zwrotek, a klawisze poruszały się jakby same.

Kiedy skończyłam, siedziałam bez ruchu, wspominając, ile razy grałam mój ukochany hymn w tym pokoju.

Po chwili wytarłam mokrą od łez twarz i wyszłam, by dokończyć uklepywanie łajna na brykiety.

Byłam wdzięczna Glory, że nie odezwała się do mnie ani w czasie gry, ani potem.

Następnego dnia nie mogłam wstać z łóżka. Nie czułam się źle, nic mnie nie bolało. Ale kiedy zapadł zmrok, ogarnęła mnie dziwna niemoc i leżałam na łóżku Kaia, wspominając grę na pianinie. Przesuwałam palcami po udach, jakbym mogła odtworzyć muzykę, i ochryłym głosem nuciłam melodie. Pamiętałam, że smutek pojawił się w chwili, kiedy stałam oparta o framugę i wpatrywałam się w piękny instrument stojący w zupełnie teraz obcym pomieszczeniu.

Spałam źle i w nocy kilka razy budziłam się przerażona, a kiedy nadszedł świt, miałam rozpaloną głowę i piekły mnie oczy.

Pomyślałam o grze, lecz radość płynąca z ulubionego hymnu i szczęście, którym niegdyś mnie napełniał, tylko podkreślała, jak wiele straciłam. Być może musi upłynąć sporo czasu - kilka miesięcy? -żebym poczuła prawdziwe przerażenie i smutek. Być może jeszcze nie w pełni dotarło do mnie, co się wydarzyło. Wypadki tak mnie przytłoczyły, że odsunęłam emocje na bok i żyłam niemal bezmyślnie. Przypomniałam sobie, jak zaledwie kilka dni po śmierci matki wybrałam się do Lahore i błagałam panią Wyndham i wielbnego Burgessa o pomoc.

A kiedy jej nie otrzymałam, wróciłam tutaj, by patrzeć, jak Glory obejmuje misję w posiadanie, a Sanosh odchodzi. Nadal pilnie pracowałam w ogrodzie i w misji niczym tępy wół, który orze pole, myśląc jedynie o czekającej go wieczorem wiązce siana.

Tego ranka ogarnęła mnie nowa fala smutku, głęboka i pulsująca jak wtedy, gdy patrzyłam, na ostatnie tchnienie ojca, gdy oglądałam poparzone dłonie Sanosha, i dusząc się od gryzącego dymu, nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiła matka.

- Co pocznę? - szepnęłam. - Co ja pocznę? Choć paliły mnie oczy, łzy nie popłynęły. Glory odsunęła zasłonę w drzwiach.

- Co ty wyprawiasz? Gdzie jest moja herbata i śniadanie? Wstawaj i bierz się do roboty, ty leniwa dziewczyno.



Spojrzałam na nią.

- Jestem chora - powiedziałam, co po części było zgodne z prawdą. Czy głęboki smutek, który unieruchamia ciało niczym stalowe imadło i zasnuwa umysł czarną chmurą, nie jest chorobą?

- Co ci jest?

Bez słowa odwróciłam się do ściany. Glory po chwili wyszła, mrużąc coś pod nosem. Usłyszałam, jak rozpala ogień i ze złością przestawia garnki.

Tydzień później pierwszy raz zobaczyłam pułkownika. Był wysokim, dobrze zbudowanym przystojnym mężczyzną, o gęstych kasztanowych włosach i jasnych, szarych oczach.

Jeszcze przez jeden dzień leżałam w łóżku, użalając się nad sobą, ale w końcu wstałam i spojrzałam ze wstrętem na brudne ręce, stopy i nieumute włosy. Zdjęłam brudną, podartą suknię, umyłam się i zaplotłam włosy w dwa długie warkocze, które owinęłam wokół głowy i przypięłam szpilkami. Włożyłam starą *kurtę* i parę *panjammahs*, które Kai zostawił w chacie. Jeśli miałam być w misji służącą, będę jak służąca wyglądać. Dzięki temu miałam też nadzieję, że nie zwrócę na siebie uwagi, kiedy przyjadą żołnierze.

Mężczyzna, którego Glory nazywała pułkownikiem, wyróżniał się spośród żołnierzy przyjeżdżających do misji. Wyższy rangą, na co wskazywał ozdobny sznur na mundurze, był najprzystojniejszy z nich wszystkich i otaczała go aura władzy.

Drugiego wieczoru wyciągałam wodę ze studni i przelewałam ją do miedzianego wiadra.

- Jak ta dziewczyna ma na imię? - zapytał pułkownik Glory. Siedziała obok niego na werandzie na jednym z nowych rattanowych krzeseł, które kupiła przed kilkoma tygodniami. - Dlaczego się ukrywa pod tym chłopięcym ubraniem? - Jego głos, choć cichy, niósł się przez podwórze.

Spojrzałam na niego, po czym szybko pochyliłam głowę nad studnią.  
- Proszę nie zwracać na nią uwagi - odparła Glory. -Chodźmy do środka.  
Nudzi mi się. Mam ochotę na kolejnego drinka, pułkowniku -  
powiedziała przymilnie.

Pułkownik nie ruszył się z miejsca, ignorując prośbę Glory. Skupiłam się na wyciąganiu pełnego wiadra i gdy niosłam je do zagrody Marty, czułam na sobie jego wzrok.

Podczas trzeciej wizyty pułkownikowi towarzyszyły cztery osoby: dwóch żołnierzy i dwie Euroazjatki. Z ich niechlujnego stroju i ordynarnego zachowania można było bez trudu wywnioskować, czym się zajmują. Ukryta w ciemnym wejściu do chaty obserwowałam werandę. Pułkownik był uroczy i obsypywał Glory komplementami. W rewanżu mizdrzyła się, siadała mu na kolanach, gładziła po ramionach i piersi, a kiedy coś do niego szeptała, lizała go w ucho. Po kilku szklaneczkach whisky pułkownik rozluźnił się jeszcze bardziej, śmiał się ze wszystkiego, co mówiła, przytakiwał i prawił komplementy. Jednak po czwartej nachmurzył się, a po szóstej zrobił się zły i kłótlivy. Wstrzymując oddech, patrzyłam, jak w złości rzuca szklaneczkę na werandę, miażdży ją obcasem i zrzuca Glory na podłogę.

- Pułkowniku - powiedziała błagalnie, wstając i próbując go udobruchać.

- Myli się pan. Ja tylko...

Uniósł rękę i wymierzył jej policzek z taką siłą, że wpadła na innego żołnierza, który ją podtrzymał. W ciszy, która zapadła na podwórzu, musiałam wydać z siebie jakiś okrzyk. Czy był to cichy okrzyk zaskoczenia, czy też zbyt głośno wciągnęłam powietrze? Zrobiłam to bezwiednie, ale zwróciłam na siebie uwagę, bo nagle dotarło do mnie, że oczy wszystkich zebranych na werandzie zwrócone są na mnie.

- Idź po nią - rozkazał pułkownik jednemu z żołnierzy,

który zszedł po schodach. Schowałam się do chaty. Żołnierz stanął w drzwiach i wsunął głowę do środka.

- Pułkownik cię wzywa - powiedział. Pokręciłam głową.

- Pospiesz się, dziewczyno. Nie każ pułkownikowi czekać. - Zrobił krok w moją stronę.

Nagle rozległ się wybuch głośnego śmiechu Glory. Żołnierz spojrzął za siebie w otwartych drzwiach. Odwrócił się i bez słowa odszedł.

Cokolwiek Glory zrobiła, by pułkownik przestał zwracać na mnie uwagę, byłam jej wdzięczna.

Następnego ranka konie zniknęły, a w domu panowała cisza, choć w wygódce nadal unosił się zapach tanich perfum kobiet.

Po południu jedna z nich wróciła wozem powożonym przez nachmurzonego tubylca. Razem z Glory siedziały na werandzie i pijąc whisky, wyraźnie się o coś spierały. Mówiły zbyt cicho, bym mogła je usłyszeć przed *rasoi*, gdzie miałam przyprawy. Zobaczyłam tylko, że Glory marszczy brwi i kręci głowę, a potem kładzie pieniądze na wyciągniętej ręce kobiety. W tej chwili zrozumiałam, w co Glory zamienia misję, i zrobiło mi się jeszcze ciężiej na sercu.

Następnego wieczoru siedziałam przed *rasoi* z miską biryani z koźliny i drugą z jogurtem. Na dźwięk kopyt podniosłam głowę, myśląc, że to kolejny żołnierz, który postanowił dołączyć do już obecnych. Wcześniej zjawił się już pułkownik, któremu towarzyszył żołnierz i jedna z kobiet, obecnych poprzedniego dnia. Siedzieli w domu; robiło się późno i przez okna widać było światło lamp.

Na pięknym karym koniu o delikatnych nogach i imponującej grzywie siedział Afgańczyk. Rozejrzał się po mrocznym

podwórzu. Przez chwilę serce zabiło mi radośniej na myśl, że to mój Afgańczyk.

Niemal od razu zrozumiałam swój błąd i serce wróciło do normalnego rytmu. Podeszłam do mężczyzny z miską biryani w ręce.

- *Assalamu alaikum* - powiedział, życząc mi pokoju w tradycyjnym muzułmańskim pozdrowieniu.

- *Wa alaikum assalam*, i z tobą pokój - odparłam. Skinął głową i zsiadł z konia, krzywiąc się lekko. Kiedy stanął przede mną, zaczął szybko mówić w paszto.

- Przepraszam - powiedziałam w hindi w nadziei, że mówi w tym języku.

- Nie mówię w pana języku, ale czy chce się pan napić wody i napoić konia?

- *Ha, pani* - odparł w hindi z ciężkim akcentem. - *Kri-paya*. - Choć mówił powoli i z wysiłkiem, poprosił o wodę grzecznie i z godnością. Skinęłam głową, wpatrując się w jego wąskie, lśniące czarne oczy, rzeźbiony nos i wysokie kości policzkowe, typowe dla przystojnych Patanów, którzy czasem przejeżdżali drogą. Znów pomyślałam o mężczyźnie, którego określałam jako „mojego Afgańczyka”. Jego nos nie był zakrzywiony jak nos tego mężczyzny, lecz wąski i zgrabny. Nie pokazał się już więcej od czasu, kiedy rozmawiałam z nim, trzymając na rękach Adrianę; powiedział wtedy, że jedzie do Peszawaru. - Potrzebuję wody. Dla mnie i dla konia - powtórzył.

Skinęłam głową w stronę studni.

- Proszę wziąć, ile potrzeba.

Poprowadził konia do studni. Wyciągnął wiadro i postawił je na ziemi niepewnym ruchem lewej ręki. Prawą przyciskał do ciała. Koń natychmiast wsunął pysk do wiadra i zaczął pić, głośno przy tym siorbiąc i parskając. Mężczyzna spojrzął na miskę, którą wciąż trzymałam w ręce.

- A jedzenie? - zapytał i zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: - Zapłacę. Wyciągnęłam do niego biryani.

- Zapłacę - powtórzył, sięgając w fałdy szaty powolnym ruchem.  
- Nie - odparłam. - Proszę wziąć. Obyś nigdy nie był głodny - dodałam, przypominając sobie afgańskie pozdrowienie.  
Skrzywił się, sięgając po miskę lewą ręką.  
- Obyś nigdy nie była biedna - odpowiedział w podziękowaniu.  
- Jest pan ranny? - zapytałam. Sztywną prawą rękę stale przyciskał do boku. Poruszał się ostrożnie, a jego twarz była spięta.  
Pokręcił głową, lecz kiedy przyjrzałam mu się uważniej, dostrzegłam jasną plamę na prawym rękawie koszuli. Była świeża i powiększała się.  
- Jest pan ranny. Pańska ręka - powiedziałam, a on spojrzał na rękaw. - Mogę to zobaczyć?  
Twarz mu stężała, jakby jednocześnie zaskoczyła go i obraziła moja bezpośredniość. Pokręcił gwałtownie głową.  
- Może uda mi się powstrzymać krwawienie. Obrzucił spojrzeniem moją *kurtę, panjammahs* i bosa stopy, po czym znów spojrzał mi prosto w twarz.  
- Jesteś akuszerką? - zapytał. Pokręciłam głową.  
- Nie jestem akuszerką. Ale... - zawahałam się. - Jestem... *dava*. - Zaskoczyłam samą siebie. Ale to była prawda. Znałam się na leczeniu. Jeśli był ranny, mogłam mu pomóc.  
- *Dava?* Leczysz? Skinęłam głową.  
Przyglądał mi się przez długą chwilę, ściągając gęste czarne brwi. Wyglądało na to, że nie wie, jak zareagować. Potem powoli, jakby nadal ze sobą walczył, odstawił miskę, ostrożnie podwinął prawy rękaw i wyciągnął rękę. Przedramię miał owinięte zakrwawionym kawałkiem materiału, ale to najwyraźniej nie wystarczyło, by zatamować krwotok. Przysunęłam się bliżej i wyciągnęłam ręce, by odwiązać opatrunek.

- Mogę? - zapytałam, a on rozejrzał się po podwórzu, jakby chciał się przekonać, że jesteśmy sami. Najwyraźniej nie chciał, by ktoś zobaczył, że pozwala się dotykać obcej kobiecie. Potem przytaknął szybko ruchem głowy. Odwinęłam bandaż; jego część przykleiła się do krzepnącej w paru miejscach krwi. Kiedy wreszcie usunęłam opatrunek, krwi było tak dużo, że zalepiła ranę. Brzegiem *kurty* wytarłam wewnętrzną część jego przedramienia i zobaczyłam świeże cięcie noża. Nie zapytałam, co się stało.

- Rana jest głęboka. Będzie dalej krwawić. Niedługo pan straci siły. Powinno się to zaszyć.

Przycisnęłam bandaż do rany i przyłożyłam jego drugą rękę, by go przytrzymał. Przez palce nadal kapąła krew. Patrzył niemal z zaciekawieniem, jakby to nie on krwawił, a potem spojrzał na mnie.

- Mogę to zaszyć - powiedziałam.

Znów przyjrzał mi się z wyrazem niechęci na twarzy, a potem lekko skinął głową. Weszłam do domu przez boczne drzwi. Na półkach w składziku nadal ciągle zakurzone buteleczki i materiały opatrunkowe. Próbowałam poruszać się jak najciszej, by nie zwrócić na siebie uwagi, ale musiałam przejść przez jadalnię. Glory podniosła wzrok znad trzymany kart. Nie zaglądałam do domu od czasu, gdy grałam na pianinie. Mimo otwartych żaluzji wewnątrz było duszno, śmierdziało potem, woskiem, dymem z cygar i alkoholem.

Glory siedziała naprzeciwko drzwi i przestała rozdawać karty.

- Co robisz? - zawołała, a ja wzdrygnęłam się, kiedy żołnierz i druga kobieta podnieśli wzrok, a pułkownik odwrócił się na krześle.

- Przyszedłeś z nami zagrać w Zoo? - zapytał z leniwym uśmiechem.

- Nie. Na podwórzu jest Afgańczyk - powiedziałam.

- Afgańczyk? - powtórzył pułkownik. Wstał i wziął do ręki oparty o stół muszkiet. Spojrzał na plamy z krwi na mojej *kurcie*.

- Nie ma takiej potrzeby. - Wskazałam głową broń. - On nie ma złych zamiarów. Chce tylko wody i coś do jedzenia. Jest ranny.

Pułkownik wyrzwał przez otwarte okno.

- Ci Afgańczycy mają niespożytą energię - powiedział. -I nieźle z nich dranie, zwłaszcza z tych Patanów. Nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy. Są pełni arogancji i podejrzliwi.

- Przynajmniej mają więcej serca niż większość tych apatycznych tubylców - odezwał się drugi żołnierz. - Glory zaczynaj.

- Pewnie dlatego, że przez wieki nie rządili nimi Brytyjczycy, jak tymi brudasami - ciągnął pułkownik. - Dobrze, że nie są już przeciwko nam. Glory spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Wracajmy do gry. Biorę tę lewą.

Kiedy pułkownik odstawił muskiet, wśliznęłam się do składziku i w mroku przeszukałam półki. Gdy wyszłam, trzymając środek dezynfekujący, flanelę, gazę, igłę i nici, w korytarzyku stał pułkownik. Drgnęłam zaskoczona jego obecnością i rolka gazy wypadła mi z rąk. Pułkownik oparł lewą rękę o ścianę, jakby chciał mi zablokować przejście.

- Zamierzasz się zająć tym Afgańczykiem? - zapytał, patrząc na materiały, które przyciskałam do piersi, a potem wyciągnął prawy palec wskazujący i przesunął nim po moim policzku. Uśmiechnął się. Poczułam kwaśny zapach tytoniu, ale wiedziałam, że nie jest jeszcze pijany. Odwróciłam się gwałtownie, by nie mógł mnie już dotknąć.

- Jest ranny.

- Może kiedy już z nim skończysz, zajmiesz się mną, Pree? - zapytał cicho już bez uśmiechu, a ja zadrżałam bezwiednie. W drugim pokoju Glory głośno oskarżała kogoś, że zabrał jej kartę. - Pozwolisz mi przyjść do swojej chaty i zajmiesz się mną? - mówił prawie szeptem i wpatrywał się we mnie uporczywie.

- Proszę pozwolić mi przejść - odparłam, starając się nie patrzeć mu w oczy.

A jednak w jego spojrzeniu było coś zniewalającego. Serce waliło mi jak młotem; stał za blisko, a jego głos brzmiał zbyt intymnie w wąskim, ciemnym korytarzyku. Czułam ciepło jego ciała i w wyobraźni ujrzałam, jak leży na mnie. Nie mogłam do tego dopuścić. Jakby czytając w moich myślach, przybliżył się jeszcze bardziej.

- Będę cię w końcu miał, Pree, czy chcesz tego, czy nie - powiedział cicho z cieniem niemal dobrotliwego uśmiechu.

Z moich ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

- Nie! - zawołałam.

Pochyliłam się i podniosłam gazę. Schylając się pod jego wyciągniętym ramieniem i starając się go nie dotknąć, wybiegłam przez boczne drzwi. Afgańczyk siedział z podwiniętym rękawem i choć przyciskał do rany przemoczony bandaż, krew nie przestawała z niej kapać. Odłożyłam przyniesione materiały i poszłam do mojej chaty po świeczkę. Podałam ją Afgańczykowi i kazałam trzymać lewą ręką. Potem polałam ranę środkiem dezynfekującym i delikatnie oczyściłam ją kawałkiem flaneli. Nie skrzywił się ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Przytrzymałam nawleczoną igłę nad płomieniem, policzyłam do dwunastu, jak mnie nauczono, i zaszyłam ranę. Afgańczyk siedział nieruchomo.

- Gdzie pan mieszka? - zapytałam w nadziei, że odwrócę jego uwagę od igły przebijającej mu ciało.

- Herat - odparł, wymieniając miasto leżące przy zachodniej granicy Afganistanu.

- Wraca pan teraz do domu? - zapytałam i spojrzałam na niego, trzymając igłę w uniesionej ręce.

Skinął głową.

Wiedziałam, że po drodze będzie musiał przejeżdżać przez Peszawar.

Znów pomyślałam o mężczyźnie, którego uważałam za swojego Afgańczyka. Mieszkał w Peszawarze. Podobnie jak Langowie.



Zaszycie rany wymagało szesnastu szwów.

Kiedy skończyłam, zmyłam resztki krwi i owinęłam mu ramię kawałkiem muślinu.

- Niedługo się zagoi - powiedziałam i uświadomiłam sobie, że dobrze było znów komuś pomagać, korzystać z igły i nici, zobaczyć zgrabnie zaszytą ranę.

W podzięcie skinął tylko głową, opuścił zakrwawiony rękaw i przykucnął, by zjeść biryani.

Leżąc nocą w chacie, wróciłam myślami do wszystkich ludzi, którzy przychodzili do infirmerii, kiedy im pomagałam, miałam w życiu cel. I tego mi teraz brakowało. Oczuwałam pustkę i gorzką świadomość, że nie jestem już użyteczna dla innych. Odsunęłam od siebie wizję dziwnego spotkania z pułkownikiem w korytarzyku; wiedziałam, że już nigdy nie mogę się znaleźć tak blisko niego.

Rankiem na podwórzu nie było śladu po Afgańczyku.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Później tego dnia Glory przyszła do *rasoi*, gdzie siedziałam ze skrzyżowanymi nogami, trzymając na kolanach talerz. Jadłam rybę, którą złowiłam w Rawi i upiekłam w cieście z ciecierzycy, oraz *roti* z nadzieniem z okry i groszku.

- Pułkownik znów przyjedzie dziś wieczór - powiedziała.

Podniosłam na nią wzrok, żując powoli.

- Trzymaj się od niego z daleka.

- Nie mam ochoty przebywać w jego towarzystwie - odparłam zgodnie z prawdą, a jednak przez moje ciało przebiegł lekki dreszcz. Ogarnęło mnie to samo nieznane uczucie, którego doświadczyłam w ciemnym korytarzyku minionego wieczoru.

Pochyliła się i wzięła kawałek ryby z patelni, wsunęła go do ust, a potem głośno oblizwała palce.

- Nie podoba mi się jego zainteresowanie tobą. Mnie też, pomyślałam i jadłam dalej.

- Może chciałabyś zarobić pieniądze - powiedziała, przyglądając mi się z głową przechyloną na bok.

- Pieniądze? O co ci chodzi? - W chwili, gdy wypowiedziałam te słowa, przed oczami stanęła mi kobieta, której Glory wręczała pieniądze, i wstrzymałam oddech.

- Mogłabym cię przedstawić twojemu własnemu dżentelmanowi, Pree. Gdybyś miała swojego dżentelmena, pułkownik by cię nie chciał. Ale musisz koniecznie znaleźć jakąś przyzwoitą suknię. W tym ubraniu wyglądasz bardzo nieatrakcyjnie.

Zamrugałam oczami i odwróciłam wzrok, przyglądając się kawałkowi ryby, który trzymałam w palcach.

- Co o tym myślisz, Pree? Chciałabyś dla mnie pracować?

Rozumiałam, o co jej chodzi, ale nie mogłam zniżyć się do odpowiedzi.

Po chwili znów na nią spojrzałam.

- Przecież dla ciebie pracuję. Jeśli chcesz mi płacić za gotowanie i za resztę prac w misji, przyjmę pieniądze.

Uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie będę ci płacić za pracę służącej. Ale mogłabyś mi pomóc zabawiać gości.

Powoli krew zawrzała mi w żyłach. A potem jak ogień przebiegła przez całe ciało. Zerwałam się z ziemi, zrzucając talerz z kolan. Ryba wylądowała w kurzu.

- Dobrze ci za to zapłacę, Pree.

Zaniemówiłam, nie odważyłam się odezwać. Odeszłam, kierując się nad brzeg Rawi i długo tam siedziałam, zastanawiając się, jak to się stało, że moje życie tak teraz wygląda.

Tamtego wieczoru pułkownik znów przyjechał do misji razem ze swoją świtą. Kiedy tylko usłyszałam tętent koni, pobiegłam na pole i jak poprzednio usiadłam wśród kukurydzy. Choć powietrze pachniało słodko, niebo nadal było jasne, po jakimś czasie zrobiłam się niespokojna. Przez godzinę będzie jeszcze jasno. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą książki, którą zaczęłam czytać poprzedniego wieczoru, *The Warden* Anthony'ego Trołlope'a. Czy odważę się po nią wrócić?

Wstałam i bez zastanowienia podjęłam decyzję, a potem ostrożnie ruszyłam w stronę domu. Widząc z bezpiecznej odległości, że Glory i jej goście siedzą w domu, już odważniej poszłam do mojej chaty. Na górnym stopniu werandy siedział młody chorąży i czytał książkę.

Zauważyłam go już wcześniej, bo zawsze towarzyszył

pułkownikowi. Zwykle czekał przy koniach, szczotkując je i karmiąc, lub siedział na płocie przy drodze. Nigdy jednak nie wchodził do domu. Ze środka dobiegały hałasy: ktoś walił w pianino, a inni śpiewali głupią piosenkę wśród wybuchów śmiechu.

Zmrużyłam oczy i uniosłam brodę, by przechodząc obok, odczytać tytuł książki chorążego. To był *Hrabia Monte Christo*.

Podniósł wzrok i przyjrzał mi się z przyjaznym uśmiechem. Uśmiech był tak szczery, że się zatrzymałam.

- Witam - powiedziałam. Nie było powodu, by się przed nim ukrywać. Unikałam tylko pułkownika, a słysząc było wyraźnie, że świetnie się bawi. - Czyta pan Dumasa - zagadnęłam. Uniósł brwi. - Bardzo lubię tę historię.

Wyglądał na skonfundowanego i wstał, zdejmując czapkę.

- Czytała pani tę książkę? - zapytał. - *Hrabiego Monte Christo*?

- Tak - odparłam z uśmiechem. - Dziwi to pana? Zdumiony wsunął książkę pod pachę.

- Jestem panna Fincastle - powiedziałam.

- Panna... Fincastle? Przepraszam, panienko, ale... nie spodziewałem się... pani angielski jest... - Urwał.

- Taki poprawny? - Uśmiechnęłam się na widok jego zmieszania.

Spojrzałam na swoje stare *panjammahs* podwinięte do połowy łydki i poplamione przy pracy w ogrodzie, na połatane łokcie *kurty*. Wyjęłam szpilki z włosów i warkocze opadały mi aż do pasa. Wiedziałam, że skóra pociemniała mi od ciągłej pracy w słońcu, a mięśnie rąk i nóg rysują się mocno pod skórą. Zrozumiałam zakłopotanie chorążego.

Nie wyglądałam już jak panna Pree Fincastle, córka misjonarzy.

- Widziałem, jak pracuje pani w ogrodzie i na podwórzu - powiedział. - Myślałem, że jest pani... - Urwał niezręcznie.

- Moi rodzice byli tu misjonarzami. Kiedyś - wyjaśniłam. - Wyglądam tak a nie inaczej, bo łatwiej mi jest pracować w tym stroju. I... - Spojrzałam na dom, lecz nie chciałam mu niczego więcej wyjaśniać.

- Ale... dlaczego pani nadal tu jest? - zapytał. - Dlaczego nie wyjechała pani z rodzicami?

- Zmarli tutaj.

Spojrzał na mnie z powagą.

- Bardzo mi przykro, panno Fincastle. - Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć głośny śmiech i krzyki. - Ale ciągle nie rozumiem, dlaczego pani tu została. Z tym... wszystkim, co się tutaj dzieje. - Popatrzył w stronę domu.

- Tu był mój dom. Nie mam dokąd pójść - odpowiedziałam spokojnie. Skinął głową z wyrazem współczucia na twarzy, a potem lekko nią pokręcił. Na koniec rzucił mi szeroki, ciepły uśmiech.

- Jestem chorąży Edward Halyard - rzekł - przyjaciele nazywają mnie Eddie. Cieszę się, że jest tu ktoś, z kim mogę porozmawiać o *Hrabim Monte Christo*. Ale proszę nie zdradzać mi zakończenia.

Instynktownie zaufałam chorążemu Edwardowi Halyardowi, Eddiemu o ciepłym uśmiechu.

- Dlaczego pan tu przyjeżdża? - zapytałam. - Nigdy... - Popatrzyłam w stronę domu jak on przed chwilą.

- Rozkaz pułkownika. Mam dbać o to, by co wieczór wrócił do koszar - powiedział. - Pewnie pani zauważyła, że potrafi się nieźle zaprawić. Czasami muszę go przywiązywać do konia. - Uśmiechnął się. - Ale proszę mi wierzyć, wolałbym być gdzie indziej. Tak naprawdę gdziekolwiek - dodał, śmiejąc się cicho. - Bez urazy, panienko.

- Ależ skąd. Ja też. - Roześmiałam się, ale zabrzmiało to sztucznie. Nie śmiałam się od tak dawna.

Pożegnałam się i pobiegłam do chaty po książkę. Pomachałam do Eddiego, gdy mijałam go w drodze na pole. Znów spędziłam tam noc z książką pod głową.

Podczas następnej wizyty pułkownika szukałam okazji, by porozmawiać z Eddiem. Przez zagrodę Marty podeszłam do płotu, o który się opierał.

- Skończył pan czytać *Hrabiego Monte Christo*? - zapytałam, zatrzymując się zniechęta obok niego. Odwrócił się przestraszony, a potem na jego twarzy pojawił się znajomy uśmiech.

- Panna Fincastle - powiedział i zarumienił się. - Tak, skończyłem wczoraj. - Staliśmy oparci o płot i przez kilka chwil rozmawialiśmy o książce. Potem zapadło milczenie.

- Czy Rawi płynie za tymi polami? - zapytał. Skinęłam głową.

- Czy miałaby pani ochotę pójść nad rzekę? - zaproponował. - To czekanie jest straszliwie nudne. A pułkownik zostanie tu jeszcze przez wiele godzin. - Spojrzał na jasne jeszcze niebo, a potem na mnie. Znów się zarumienił. - Jeśli nie uzna pani mojej propozycji za zbyt bezpośrednią. Zrozumiem, jeśli pani odmówi.

Kiedy zawiesił głos, uświadomiłam sobie, że jeszcze nigdy nie rozmawiałam z młodym Anglikiem. Traktował mnie z szacunkiem, jakbym na niego zasługiwała, mimo stroju i sposobu życia. Jakie zasady obowiązywały w takich sytuacjach? Wiedziałam, że powinnam odmówić. Spacer bez przyzwoitki z dopiero co poznanym mężczyzną na pewno nie byłby dobrze widziany w Anglii. Ale nie byliśmy w Anglii. A w tym nowym, pogmatwanym życiu, jakie teraz wiodłam, raczej nie było żadnych zasad, do których mogłabym się odwołać.

- Chętnie pójde na spacer - odparłam. Wyprostowałam ramiona, myśląc o natrętnym spojrzeniu pułkownika. - Ale nie przechodźmy obok domu.

Proszę iść za mną, znam inną drogę.

Kiedy szliśmy ramię w ramię wąską dróżką przez pole, z której korzystali wieśniacy, nagle pojawiła się Jassie i szła za nami w bezpiecznej odległości. Eddie odwrócił się.

- To Jassie, mój pies - powiedziałam i nagle dotarło do

mnie, jak bardzo jest już stara. W zeszłym roku miała tylko jeden miot i zniknęła tylko na kilka dni. Nie miała mleka, więc uznałam, że szczeniaki urodziły się martwe. Jej pokryty bliznami pysk posiwiiał, a grzbiet zapadł się.

- Cześć, malutka - powiedział Eddie. Przykucnął i wyciągnął rękę, lecz pokręciłam głową i wyjaśniłam, że nigdy blisko nie podchodzi.

Wtedy Eddie opowiedział mi o swoim psie w Anglii, w domu rodziców. Rozmawialiśmy o błahych sprawach: o jego życiu w Anglii, moim tutaj, o przeczytanych książkach, oglądanych obrazach. Łatwo zauważyłam, że mimo iż przejechał pół świata, jest nadal naiwny i niedoświadczony.

Byliśmy w tym samym wieku, ale czułam się znacznie starsza.

Nawet tego nie dostrzegając, porzuciliśmy wszelkie formalności; on nazywał mnie Pree, a ja jego Eddie. Czy stało się tak dlatego, że byłam ubrana jak chłopak i nie demonstrowałam swej kobiecości jak Glory?

Kiedy zapadł zmierzch, a my ciągle siedzieliśmy nad brzegiem Rawi, przyjrzałam mu się. Wyglądał chłopięco z dołkami w policzkach i pełnym nadziei uśmiechem, w którym niemal znikwały jego brązowe oczy. Kiedy zdjął czapkę, włosy sterczały mu uroczo. Był tylko trochę wyższy ode mnie i miał delikatne nadgarstki.

W ciągu tych paru wspólnie spędzonych godzin wyczułam, że podobnie jak ja jest bardzo samotny.

Pułkownik nie zjawiał się przez parę dni. Dwie kobiety przyjechały z innymi żołnierzami. Uświadomiłam sobie, iż jestem rozczarowana, że nie ma Eddiego. Wreszcie po trzech dniach pułkownik przyjechał wieczorem do misji i kiedy Eddie czyścił konie, podeszłam do niego, uważając, by nikt mnie nie zauważył.

- Pójdziemy nad rzekę? - zapytał, nawet się ze mną nie witając. Tego wieczoru wydawał mi się jeszcze miłszy.

W ciągu ostatnich paru dni myślałam o wielu rzeczach, które mu powiem przy następnym spotkaniu; tak bardzo pragnęłam mieć z kim porozmawiać, mieć przyjaciela.

Eddie wziął mango; gdy szliśmy nad rzekę, przekroił je nożem i podsunął mi połowę. Pokręciłam głową, więc zjadł całe, ze śmiechem oblizując palce z soku.

Kiedy staliśmy na brzegu, nagle się odwróciłam, by zapytać, czy widział rybę, która wyskoczyła z wody, ale on, nie odwracając wzroku, wsunął rękę do kieszeni kurtki. Jego policzki zabarwiły się purpurą.

- Kupiłem to dla ciebie na bazarze. - Wyjął małą broszkę z tygrysim okiem. Kamień był brązowy ze złotymi paskami i otaczały go małe kawałeczki szkła w kolorze topazu. - Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem o tobie. Jest koloru twoich oczu.

Spojrzałam na błyskotkę na jego wyciągniętej dłoni. Poczułam zapach mango i podniosłam na niego wzrok.

- Nie powinieneś był tego robić - powiedziałam cicho. Przed oczami stały mi szkatułki Glory z tanią biżuterią i wszystkie błyskotki, które pokazywała mi po powrocie z Lahore. - Nie musisz wkupywać się w moje łaski.

Natychmiast zacisnął palce wokół broszki.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem... to tylko mały prezent. Weź, proszę. - Jąkał się lekko. Znow wyciągnął do mnie rękę i otworzył palce.

- Myślisz, że jestem taka jak Glory? - zapytałam trochę głośniejszym, coraz bardziej zaniepokojona.

- Glory? - wyglądał na szczerze zakłopotanego.

- Tak, Glory. Kobieta, która prowadzi ten dom. Otworzył szeroko oczy.

- Ależ skąd. Ja... dostałem wczoraj żołąd. Nie bardzo mam na co go wydać i chciałem kupić coś dla ciebie. To nie znaczy...

Żyjąc obok Glory, wiedziałam jednak zbyt dobrze, jak wielką wagę może nieść ze sobą podarunek, i stałam wpatrzona w swoje białe stopy.



- Pree - próbował tłumaczyć się Eddie. - To nie jest... tak jak myślisz. Wiedziałam, że mówi prawdę, ale jakoś nie mogłam na niego spojrzeć. Popsuł ten wieczór. Ruszyłam z powrotem w stronę misji, czując, że Eddie podąża za mną w pewnej odległości. Nie odzywając się już do niego, weszłam do mojej chaty. Nie mogłam jednak zasnąć. Nie spałam jeszcze przez wiele godzin i usłyszałam, jak Eddie zmaga się z ciężarem pułkownika, który przeklinał i jęczał, gdy Eddie próbował go namówić, by sam zrobił parę kroków.

Dopiero kiedy ucichł tętent kopyt w oddali, wyszłam z chaty i usiadłam pod figowcem.

Następny dzień był upalny; lato wreszcie nadeszło. Po południu Glory zawołała mnie, stojąc w drzwiach domu. Weszłam na stopnie werandy. Glory dopiero co się obudziła, bo na jej policzku widniały zmarszczki odcisnięte od poduszki, ale była już ubrana i starannie uczesana.

- Pree - powiedziała posepnym głosem. - Pułkownik jest tobą bardzo zainteresowany. - Oblizwała usta, rozglądając się po pokoju, a potem podeszła do stolika stojącego przed kanapą i wzięła szklanekę. Wypiła mętny płyn, który pozostał na dnie, i wytarła usta wierzchem dłoni. - Chciałby złożyć ofertę.

Wpatrywałam się w nią.

- Ofertę? Jaką ofertę?

Pomyślałam o moim rozczarowaniu prezentem Eddiego. Choć w głębi serca wiedziałam, że to tylko niewinny gest. Radość, jaką mógł mi sprawić, zniszczyła Glory i życie, do jakiego mnie zmuszała. Nagle moje rozczarowanie zamieniło się w gniew.

- Nie jestem dziwką półkrwi, jak ty - powiedziałam cicho, lecz zdecydowanie.

Czekałam na wybuch gniewu, zastanawiając się, czy mnie uderzy, ale tylko na mnie patrzyła, obrzucając mnie

spojrzeniem od stóp do głów, a potem uśmiechnęła się i pociągnęła mnie w stronę lustra wiszącego przy drzwiach frontowych.

- Przyjrzyj się uważnie i powiedz, co widzisz - powiedziała.

Wyczułam stęchły zapach alkoholu z poprzedniego wieczoru i ostrzejszy, który przed chwilą wypiła.

Patrzyłam ze złością na jej odbicie, a potem spojrzałam na swoje, co ostatnio robiłam bardzo rzadko. Odwróciłam się do niej. Uśmiechała się tym kocim uśmiechem, którego nienawidziłam.

- I co? - zapytała, a ja znów spojrzałam na nasze odbicia.

Glory miała na sobie jasnoniebieską suknię z delikatnego batystu, mocno ściągniętą w talii. Suknia opadała wdzięcznie na krynolinę. Jej umalowana twarz była jasna i gładka, a na powiekach nie widać było czarnych obwódek z *surmy*. Włosy, które teraz zawsze farbowała henną, nie były już czarne, lecz kasztanowe. Upinała je wysoko z wymykającymi się kosmykami przy szyi i uroczymi loczkami przy policzkach.

Wyglądała niemal - niemal - jak szanowana kobieta niepewnego pochodzenia, choć wiek i styl życia dawały już o sobie znać, a twarz stała się lekko obrzmiała.

Moja skóra, spalona przez letnie słońce, była o ton ciemniejsza od skóry Glory, która wychodziła na zewnątrz tylko po to, by posiedzieć w cieniu werandy. Tego ranka nie uczesałam się i splątane włosy opadały mi na plecy. Moja *kurta* i *panjammahs* czekały na pranie w Rawi, więc włożyłam jedno ze starych sari Glory; nie chciała ich już i pewnego dnia wszystkie wyrzuciła. Przejrzałam je - jak zawsze pudła z darami, kiedy misja była jeszcze misją - i postanowiłam kilka zatrzymać. Sari, które miałam dziś na sobie, miało żółty kolor; luźny koniec nie był upięty na piersiach i ramieniu jak powinien, lecz zwisał luźno. Niski stanik, trochę za mały, bo byłam wyższa od Glory, obnażał

górze moich piersi. Pracowałam w ogrodzie w palącym słońcu i sari było brudne od kurzu i potu. Glory uśmiechnęła się z wyższością.

- I co? Widzisz w lustrze dziwkę półkrwi? - zapytała, a ja wyrwałam rękę, zła i wstrząśnięta tym, co zobaczyłam w lustrze, i tym, co Glory sugerowała.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z pułkownikiem - powiedziałam.

Wyprostowałam ramiona i wyszłam z domu. A jednak nie mogłam zapomnieć jego słów. „Będę cię w końcu miał, Pree, czy tego chcesz, czy nie”. Szłam wyprostowana, a jednak w środku aż się trzęsłam, przestraszona wizją rzucającego się na mnie brutalnie pułkownika.

Próbowałam znaleźć pociechę na cmentarzu. Usiadłam przy czterech małych nagrobkach, wyczyściłam je końcem sari i wyrwałam chwasty. Już dawno zasypałam grób wykopany przez siudrów dla mojego ojca i teraz po obu stronach nagrobków leżały dwa okrągłe białe kamienie z rzeki. Przywiozłam je wozem, położyłam na cmentarzu i pomalowałam białą farbą. To były nagrobki rodziców. Wiedziałam, że powinnam znaleźć coś lepszego od rzecznych kamieni, by uczcić ich pamięć, ale nie miałam pieniędzy ani na nagrobki, ani na napisy. Pomyślałam, że pewnego dnia - jak wiele rzeczy - jakoś uda mi się to dla nich zrobić. Nie wiem, jak długo tam siedziałam, ale w końcu usłyszałam konie i wiedziałam, że do Glory przyjechali goście. Miałam nadzieję, że to nie pułkownik - nie chciałam znów się przed nim ukrywać, a wstyd i skrepowanie po ostatnim spotkaniu z Eddiem sprawił, że jego też nie chciałam widzieć.

Czekałam. Byłam głodna. Nie jadłam nic od południa, a teraz niebo powoli ciemniało. Z oddali dom wydawał się cichy. Wreszcie, kiedy było już całkiem ciemno, poszłam na podwórze. Chciałam wśliznąć się do *rasoi* i wziąć trochę zimnego kurczaka, którego przygotowałam wcześniej.

Nie usłyszałam żadnego dźwięku z werandy, więc ośmielona, przeszłam szybko obok niej.

- Pree.

Zatrzymałam się, zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech. Pułkownik siedział sam na werandzie z pełnym kieliszkiem w dłoni. Przez chwilę zastanawiałam się, czy go nie zignorować, ale kiedy powtórzył moje imię, tym razem bardziej zdecydowanie, otworzyłam oczy i odwróciłam się.

- Tak?

Glory wyszła z pokoju i stanęła przy jego krześle, trzymając w dłoni swój kieliszek.

Pułkownik wypił zawartość kieliszka i znów napełnił go z butelki, którą podniósł z podłogi przy krześle.

- Glory? - powiedział, wyciągając butelkę w jej stronę. Pokręciła głową. Miała nieruchomą, pozbawioną uśmiechu twarz, co było niezwykle w obecności mężczyzny.

- Mówiłem Glory, że chciałbym, żebyś wzięła udział w jednym z naszych przyjęć. - Uśmiechnął się czarująco.

Wyprostowałam się, a serce łomotało mi w piersi.

- Powiedziałam jej, że nie jestem zainteresowana.

- Ale nie masz nic przeciwko spędzaniu czasu z chorążym Halyardem.

Widziałem, jak się razem wymykacie. Może uważasz, że jesteś za dobra dla mnie? - Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, uśmiech zniknął z jego twarzy. Odstawił butelkę i kieliszek i zszedł po stopniach, zatrzymując się tak blisko, by móc mówić mi prosto w twarz. - Spodoba ci się, co mam do zaoferowania - powiedział, a ja odwróciłam twarz od odoru whisky i pokręciłam głową.

Milczał przez chwilę.

- Nie jestem miauczącym chłoptasiem jak nasz Eddie - powiedział w końcu. Objął mnie ramieniem i spojrzał na Glory. Zesztywniałam pod jego dotykiem. - Prawda, Glory?

Nie odpowiedziała.

- Nadal jest dziewicą, jak twierdzisz? - zapytał, lecz zaraz odwrócił się do mnie. Wstrzymałam oddech na to bezczelne stwierdzenie, a on rozchylił nozdrza jak wilk, jakby próbował wdychać mój zapach. - A może oddałaś się Halyardowi? Może innym?

Wpatrywałam się w jego twarz, nie mogąc wydusić słowa. Moja pierś unosiła się i opadała pod stanikiem starego sari od Glory. Pułkownik patrzył na moje piersi.

Wreszcie przemówiła Glory

- Och nie, to nie uchodzi. Wielkie nieba, pułkowniku. Nie pozwalam nikomu jej tknąć. Oszczędzam ją. - Mówiła szybko w charakterystycznym *chee-chee*.

Zacisnęłam zęby. Oszczędza mnie? Ona mnie oszczędza?

- Dla kogo? - zapytał pułkownik, powoli przesuwając dłonią po moim ramieniu. Próbowałam się cofnąć, ale zacisnął palce.

- Nie oszczędzam jej dla żadnego mężczyzny, pułkowniku. Tylko dla rupii. Dla dobrej ceny - powiedziała, nie spuszczając wzroku z jego ręki. Na jej twarzy malował się gniew. Była zła nie na niego, lecz na mnie. Choć dała mi jasno do zrozumienia, że chciałaby, żebym zarabiała pieniądze tak samo jak ona - bo większą część i tak zagarnie dla siebie - wiedziałam, że darzy pułkownika szczególnym uczuciem i nie chce się nim dzielić.

- A jaka to cena? - zapytał.

Zupełnie jakbym nie istniała, jakbym była niewidzialna. Ale ręka pułkownika mocno zaskąła się na moim ramieniu, jakby owijał je żelazny łańcuch.

Na usta Glory wypłynął powolny uśmiech. Najpierw spuściła nieśmiało oczy, a kiedy spojrzała na mnie, przeraziła mnie nienawiścią, jaką dostrzegłam w jej oczach.

- Za pierwszy raz cena będzie bardzo, bardzo wysoka. Dwadzieścia rupii.

- Dwadzieścia rupii? Oszalałaś? Czy ona jest ze szczerego złota? -

zapytał, nie zwalniając uścisku. - To dwadzieścia razy więcej, niż płacę tobie.

- To nie jest wcale dużo dla takiego mężczyzny jak pan, pułkowniku - powiedziała. - Wcześniej pan mi mówił, że chce zapłacić za... niezwykłą usługę. Może dziewczyna jest niezwykła?

Kiedy pułkownik rozluźnił uścisk, by się do mnie odwrócić, udało mi się wyrwać.

- Nie możesz mnie sprzedać, Glory. - Staralam się, by mój głos zabrzmiał stanowczo, choć oddychałam z trudem. -Nie należę do ciebie i nie możesz mnie sprzedawać, jakbym była Martą. - Cofnęłam się, by pułkownik nie mógł mnie dosięgnąć.

Uśmiechnął się ciepło.

- Oczywiście, że nie, Pree. Glory, ona ma raq'ę. Okropnie ją traktujemy. Ta młoda kobieta zasługuje na szacunek. -W jego głosie nie brzmiała już groźba i uśmiechnął się do mnie czule, jakbym była bardzo dobrą przyjaciółką.

Miałam się na bacności, bo wiedziałam doskonale, że próbuje mnie zwieść i chce, bym mu zaufała. Kiedy zachowywał się w ten sposób, osoby stojące przy nim czuły, jakby pławiły się w promieniach słońca. Cofałam się powoli, ostrożnie.

Glory patrzyła na mnie ze złością, ale ja potrafiłam ją przejrzeć. Już zapominała o gniewie i liczyła nowe suknie, pantofelki i biżuterię, które będzie mogła kupić za dwadzieścia rupii. Oczywiście to ona zatrzyma pieniądze.

Na twarzy pułkownika malowało się pożądanie. Nie spuszczał ze mnie wzroku i próbował do siebie przyciągnąć jak tamtej nocy przy składziku. Napelniali mnie grozą: pułkownik chciał mnie mieć, a Glory oczekiwała, że otrzyma należną zapłatę.

Poszłam do mojej chaty. Nie spojrzalam nawet na płot, gdzie Eddie na pewno czekał przy koniach. I wszystko obserwował.

Wyjęłam miecz z ukrycia i trzymając go w ręce, siedziałam bez ruchu na łóżku, wpatrując się w wejście. Pułkownik jednak się nie pojawił i nic więcej już nie słyszałam. Kiedy obudziłam się rankiem, szyja zeszywniała mi zupełnie, bo spałam oparta o ścianę. Z mieczem przy boku wiedziałam, że ocalałam.

Ale na jak długo, pomyślałam. Na jak długo?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Następnego dnia siedziałam w *rasoi* i polerowałam mosiężny garnek. Spojrzałam na poczerniałe kamienie infir-merii; późno wiosenne deszcze wymyły je, a one poprzewracały się, gdy połamały się resztki plecionki. Spośród nich wyrastały sadzonki drzew i chwasty; w osobliwy sposób infirmeria przypominała teraz jedną ze starożytnych hinduskich świątyń, które stały przy drodze.

Pomyślałam o pożarze, a potem o Sanoshu. Wstałam, odstawiłam garnek do *rasoi* i wytarłam ręce. Potem wyruszyłam do Tek Mandi. Musiałam poczuć, choćby przez godzinę, że nadal jestem tą samą osobą. Miałam nadzieję, że Sanosh przypomni mi, kim kiedyś byłam.

Czy miałam też nadzieję, że zaproponuje mi pomoc? Czy wierzyłam, że pomoże mi znaleźć bezpieczne schronienie poza misją?

Siedział przed domem, w którym mieszkał Darshan, jego żona i dwójka małych dzieci. Kiedy go zobaczyłam, łzy napłynęły mi do oczu i zamrugałam, by je powstrzymać. Chciałam podbiec i go objąć, ale wiedziałam, że poczuje się nieswojo. Kiedy w końcu dotarło do niego, że to ja, wstał i początkowo w jego oczach błysnęło zaskoczenie - zdziwił go mój wygląd czy też fakt, że się pojawiłam? - ale potem jego starą twarz wykrzywił uśmiech i zrobił gest *namaste*. Odwzajemniłam powitanie, a on zaprosił mnie do domu syna. Weszłam do środka ciemnej chaty i natychmiast wyczułam, że jego synowa nie życzy sobie mojej obecności. Oczywiście jak wszyscy mieszkańcy Tek Mandi i wioski Dipha, wiedziała, że misja zmieniła się w burdel. Zacho-

wałam się bezmyślnie, przyjeżdżając i stawiając Sanosha w niezręcznej sytuacji. Jak mogłam, choć przez chwilę pomyśleć, że będę mogła tam zostać?

Sanosh przedstawił mnie swojej synowej i choć trudno powiedzieć, by zachowywała się nieuprzejmie, atmosfera była napięta. Podała nam herbatę i figi na glinianym talerzu, gdy siedzieliśmy z Sanoshem naprzeciw siebie. Nie rozmawialiśmy o dawnych czasach, bo to przywołałoby wspomnienia moich rodziców i straszliwej tragedii. Nie rozmawialiśmy o Kaiu. A już z pewnością nie wspominaliśmy o Glory. Opowiedziałam mu głupią historyjkę o ostatnich wybrykach Jassie i o malutkich gekonach, które znalazłam, gdy niedawno naprawiałam dach domu, a on uśmiechnął się miło. Słuchał zatroskany, gdy opowiadałam mu, że Marta się starzeje, że coś się dzieje z jej biodrem i że nie wiem, jak długo jeszcze będzie w stanie ciągnąć wóz. On opowiadał o swoim życiu z Darshanem - którego nie widziałam -

i o błogosławieństwie, jakim jest dwójka jego wnuków. Ze ma wielkie szczęście, mając posłuszną i życzliwą synową. Dowiedziałam się, co robi Jafar, który mieszkał teraz w Ludhianie. Rozmawialiśmy wyłącznie na bezpieczne tematy.

- Jesteś szczęśliwy? - zapytałam, gdy znów wyszliśmy na zewnątrz i usiedliśmy w słońcu oparci o ścianę chaty.

- Szczęśliwy, nieszczęśliwy - odparł, wzruszając ramionami. - To pytanie nie ma sensu. To moje życie. Nic więcej, nic mniej - powiedział, patrząc, jak jego synowa zagniata ciasto nad małym ogniem, a dym owiewa jej twarz.

Nie rozumiałam jego odpowiedzi. Może trzeba się urodzić Hindusem, by tak czuć.

Kilka dni po odwiedzinach u Sanosha czułam się samotna i niespokojna i pojechałam wozem do Lahore. Choć nie miałam pieniędzy, by kupić cokolwiek, dla samej tylko przyjemności przerzuciłam używane książki na angielskim bazarze. Kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam panią Rol-



lings-Smythe, która przyglądała mi się, stojąc nieopodal. Znacząco odwróciła wzrok, szepcząc coś za wachlarzem do swojej towarzyszki, której nie rozpoznałam. Ta druga kobieta przyglądała mi się otwarcie, kręcąc głową i trzepocząc wachlarzem przy piersi.

Mogłam sobie tylko wyobrazić, co angielska społeczność w Lahore myśli o mnie i moim życiu. Jeśli traktowali mnie z góry, kiedy byłam córką misjonarza, z drżeniem pomyślałam o tym, jak teraz o mnie mówią.

Przysięgam sobie, że już nigdy nie pojedę do Lahore.

Dwa dni później wychodziłam wieczorem z wygodki, kiedy usłyszałam głos pułkownika. Szybko przykucnęłam i schowałam się za krzakami.

Usłyszałam, jak woła Glory a potem idzie prosto do domu. Byłam zmęczona, przez wiele godzin pracowałam w ogrodzie i miałam nadzieję, że pułkownik się nie zjawi: chciałam głęboko zasnąć, ale nie miałam na to odwagi, gdy on był w pobliżu. Myśl o spędzeniu nocy na ziemi w kukurydzy była wyjątkowo niemiła.

Tym razem planowałam zabrać ze sobą koce i poduszkę; przynajmniej będzie mi wygodnie. Czekałam przez godzinę, słysząc dobiegające z werandy głosy pułkownika i Glory. Potem pułkownik zawołał Eddiego. Wreszcie, kiedy dobiegał już tylko szmer przyciszonych rozmów z domu, a nad podwórzem zapanowała ciemność, wśliznęłam się do chaty i zebrałam koce i poduszkę.

Usłyszałam, że Eddie mnie woła. Nie ruszyłam się.

Kiedy znów mnie zawołał, coś w jego głosie sprawiło, że podeszłam do wejścia. Stał na bocznej werandzie; w świetle padającym przez otwarte drzwi widać było tylko ciemny zarys jego sylwetki.

- Chodź tutaj, Pree - zawołał. Uświadomiłam sobie, że lekko bełkocze.

- Co jest? - szepnęłam, świadoma głośnego śmiechu pułkownika i Glory, który dobiegał z domu.

Skinął na mnie dziwnie i niezgrabnie, a ja ruszyłam w jego stronę. Kiedy się zbliżyłam, zobaczyłam, że trzyma się mocno barierki, by nie stracić równowagi.

- Eddie? - zapytałam zaskoczona. Nigdy nie widziałam, by pił alkohol.

- Masz wejść do środka. Pułkownik chce cię tam widzieć.

Zatrzymałam się.

- Nie - powiedziałam.

- Pree. - Eddie zszedł po schodach. Obcasem buta zahaczył o ostatni stopień i wpadł na mnie. Wyprostował się, opierając jedną rękę na moim ramieniu. - Pułkownikowi się nie odmawia. Jest moim zwierzchnikiem. Muszę wypełniać jego rozkazy. - Czułam bijący od niego zapach whisky. Raz po raz przeciągał po włosach dłonią. - Chodź, Pree - powtórzył. - Nie chcesz chyba, żebym miał kłopoty. - Wyciągnął rękę.

Kiedy jej nie ujęłam, przybliżył się.

- Jeśli nie pójdziesz, sam po ciebie przyjdzie.

- Ukryję się. Powiedz mu, że nie możesz mnie znaleźć. Spojrzał mi prosto w oczy.

- Oberwę za to. A kiedy przyjedzie następny raz, będzie tak samo. I następny też. Nie wolno mu odmawiać, Pree. Chodź ze mną. Lepiej będzie, jeśli będziesz trzymać się mnie - szeptał głośno, konspiracyjnie, jak osoba mocno pijana.

Co miałam zrobić?

- Powiem mu, że chcę cię dla siebie. Wtedy zostawi cię w spokoju.

Czy naprawdę wierzyłam, że to prawda?

- Pree. Proszę - szepnął i patrząc na niego, wiedziałam, że naprawdę boi się oberwać.

Zamknęłam na moment oczy, potem położyłam rękę na jego wyciągniętej dłoni i poszłam za nim do domu.

Kiedy weszliśmy do środka, Glory siedziała na kolanach pułkownika i piła z kieliszka, który trzymał przy jej

ustach. Na nasz widok wstał, a Glory o mało co nie spadła na podłogę. Roześmiała się głośno i wesoło, niezgrabnie siadając na kanapie.

- Oto i oni - powiedział pułkownik i zachwiał się, a bursztynowy płyn przelał się przez brzeg kieliszka. - Śliczne dzieci. Chodź, chłopcze, napij się jeszcze. - Powieki prawie mu opadły; wiedziałam, że jest bardzo pijany.

Wyciągnął kieliszek w stronę Eddiego, który wziął go posłusznie i wypił do dna, odchylając głowę.

- Proszę usiąść, pułkowniku - zawołała Glory i poklepała leżącą obok niej poduszkę. - Proszę usiąść z Glory.

- Dość już tego siedzenia - odparł pułkownik i objął Glory ramieniem, zmuszając ją, by wstała. - Pree, chcę, abyś się z nami napiła.

Nie ruszyłam się.

- Napij się z nami, Pree - powtórzył pułkownik, ujmując butelkę whisky. Była pusta. Rzucił ją przez pokój i rozbiła się o ścianę.

Wzdrygnęłam się, lecz Glory wybuchnęła śmiechem. Oparła dłoń na piersi pułkownika, by utrzymać równowagę, i bawiła się złotym guzikiem jego munduru.

- Tak - zgodziła się. - Już dość siedzenia, dość gadania - powiedziała. - Za dużo gadania. - Ujęła go za rękę i poprowadziła w stronę sypialni. - Proszę iść z Glory, pułkowniku.

Ruszył za nią, oglądając się jeszcze przez ramię.

- Poczekajcie tutaj, chorąży.

Eddie siedział rozciągnięty na krześle z końskiego włosia z pustym kieliszkiem w ręce, z szeroko rozstawionymi nogami i zamkniętymi oczami.

- Tak. Dobry chłopiec. Odpocznij sobie. A kiedy ja skończę z tą tutaj, możesz ją sobie wziąć. Ja zajmę się wtedy dziewczyną - powiedział.

Pokręciłam głową, nie mogąc wydusić słowa i cofnęłam się.

Pułkownik zniknął z Glory w sypialni, a ja wydałam

z siebie długie westchnienie ulgi i spojrzałam na Eddiego. Chrapał lekko z otwartymi ustami, pogrążony w głębokim pijackim śnie. Nie byłby w stanie mi pomóc, gdyby pułkownik chciał spełnić swoją groźbę.

Zgasiałam lampy i pobiegłam do swojej chaty. Spojrzałam na koce i poduszkę, które porzuciłam na podłodze, gdy poszłam z Eddiem. Czy miałam iść spać na pole kukurydzy? Byłam taka zmęczona, a łóżko wyglądało zachęcająco. Letnia noc była upalna, powietrza nie mącił nawet jeden podmuch wiatru. Na pewno nikt w misji nie ruszy się aż do rana. Pułkownik był bardzo pijany.

Włożyłam koszulę nocną i położyłam się z głębokim westchnieniem. Podarowano mi kolejną noc.

Obudziły mnie głosy. Kiedy usiadłam i zobaczyłam światło na podwórzu, wiedziałam, że to Eddie prowadzi pułkownika do koni, by dowieźć go bezpiecznie do koszar. Migoczące światło nie zgasło i niebezpiecznie zbliżało się w kierunku chaty. Usłyszałam szuranie stóp na nierównej ziemi i w następnej chwili pułkownik i Eddie stali w wejściu zalani światłem lampy, którą pułkownik trzymał w uniesionej dłoni.

Pułkownik, w spodniach i butach, lecz bez munduru i w rozpiętej koszuli, ciągnął Eddiego za sobą.

- Chodźcie, chorąży. Czas zrobić z was mężczyznę - powiedział. - Patrzcie i uczcie się od najlepszych.

Wpatrywałam się w Eddiego. Wyglądał, jakby poruszał się we śnie; oczy miał zamglone, a mokre od potu włosy przykleiły mu się do głowy.

- Niezły dowcip, próbować ją sprzedać za taką niedorzeczną sumę - powiedział pułkownik, stawiając na krześle lampę, która przechyliła się niebezpiecznie. - To jasne, że nie jest dziewczicą, choć śmiem twierdzić, że nie zna tyle kutasów, co tamta - ciągnął bełkotliwie, chwiejąc się na nogach. - Dużo ich oglądałaś, mała damo?

Pokręciłam głową. W ustach miałam zbyt sucho, by przełknąć ślinę. W małej chacie pułkownik wydawał się jeszcze wyższy i bardziej potężny. Lampa rzucała ogromne cienie.

- Nie graj ze mną cnotki, panienko - powiedział, wpatrując się intensywnie w moje oczy. - Wstań - rozkazał, jakbym była jednym z jego żołnierzy.

Wstałam, otwierając usta, lecz nie wiedziałam, co powiedzieć. Próbując ukryć przerażenie, uniosłam podbródek, patrząc na niego tak samo, jak Glory patrzyła czasami na mężczyzn, gdy nie podobało się jej to, co mówili.

Jednak zamiast spuścić głowę lub roześmiać się z lekkim rozbawieniem, jak to bywało z Glory, pułkownik podniósł szybko rękę i uderzył mnie w skroń. Cios był tak mocny że upadłam na łóżko. Leżałam oszołomiona. Szumiało mi w uchu, a policzek pulsował, jakby płonął żywym ogniem. Eddie otrząsnął się z zamroczenia i stanął przede mną, lecz z trudem utrzymywał równowagę.

- Proszę, sir. Proszę zostawić ją w spokoju - powiedział. - Proszę jej nie bić. Nie chciała pana obrazić, sir.

- Zasłużyła na nauczkę - odparł pułkownik. Spojrzał na mnie, rozchylając usta. Rozpiął pasek i szarpał się z pierwszym guzikiem spodni. - Chcesz, żebym ci pokazał, jak robi to prawdziwy mężczyzna? - zwrócił się do Eddiego. - Możesz popatrzeć, a potem sam się zabrać do roboty.

Podciągnęłam kolana pod brodę i przesunęłam się na łóżku, nadal zasłaniając ręką ucho. Byłam w szoku. Nie tak, myślałam. Nie tak. Oparta o ścianę sięgnęłam między ścianę a łóżko, próbując znaleźć miecz, lecz moje palce zacisnęły się na powietrzu.

- Nie - powiedziałam. - Tak nie można. - Starłam się, by mój głos zabrzmiał zdecydowanie, ale nawet dla mnie brzmiał żałośnie. - Nie - powtórzyłam, wiedząc, że moje słowa nie przyniosą żadnego efektu. - Eddie! - zawołałam, opierając się o ścianę. - Nie pozwól mu.

Eddie wyprostował się.

- Sir.

Pułkownik ze świstem wyciągnął pasek ze szlufek i się zachwiał. Pasek upadł na podłogę z brzękiem klamry i w tej chwili moje palce odnalazły rękojeść miecza.

- Sir. Proszę mnie pozwolić. Proszę, sir - powiedział Eddie. - Chciałbym mieć ją pierwszy, jeśli pan pozwoli.

Dłonie pułkownika zatrzymały się na drugim guziku spodni.

- No, to mi się podoba, chłopcze. Takie kobiety są po to, żeby cię nauczyć, jak to się robi. Naucz się od taniej kurwy, abyś pewnego dnia potrafił zadowolić swoją elegancką żonkę. Bierz się do roboty. Ponieważ to nie jest niewinny kwiatusek, spójrz tylko na jej twarz. To stara Glory próbuje mnie oszukać.

Poczułam miedziany smak krwi; ugryzłam się w dolną wargę, kiedy mnie uderzył. Wsunęłam rękę głębiej za łóżko i wreszcie mogłam zamknąć dłoń na rękojeści miecza.

- Sir? Chyba... chyba jestem trochę zdenerwowany. Nie jestem pewny, czy... kiedy pan będzie patrzył, sir. Czy mógłby pan wrócić do domu? Przyjdę po pana, kiedy skończę. -Eddie mówił z trudem, jakby miał usta pełne twardej soczewicy.

Pułkownik zaśmiał się lubieżnie, wydając przy tym z siebie dźwięk, który przypomniawszy mi pełne śliny usta matki.

- Jesteście nieśmiali, chorąży? W porządku. Pochylił się z trudem i podniósł pasek z podłogi.

- W porządku - powiedział, a ja zamknęłam oczy z ulgą, choć nie puściłam miecza. - Ja zajmę się jeszcze raz tamtą. Ale zrób to dobrze, chłopcze. Chcę usłyszeć w domu jej jęki. I nie zapomnij po mnie przyjść, kiedy już będzie gotowa dla mnie.

Eddie zsalutował niezgrabnie, a pułkownik, nie zadając sobie nawet trudu, by zapiąć spodnie, wziął lampę i wyszedł, ciągnąc za sobą pasek.

Opuściłam rękę, którą

trzymałam przy uchu, i spojrzałam na Eddiego. Usiadł na pryczy z szerokim uśmiechem na twarzy, a po chwili już leżał z głową na mojej poduszce. Nogi nadal miał na ziemi; patrzył na mnie, mrugając ociężale powiekami.

Czy mówił poważnie, zwracając się do pułkownika? Jeśli tak, wiedziałam, że potrafię go powstrzymać. W niczym nie przypominał swojego zwierzchnika.

Zostałam na miejscu i opierając się o ścianę, patrzyłam, jak obserwuje mnie w ciemności. Puściłam rękojeść miecza i usłyszałam brzęk, gdy spadł na ziemię.

Nieoczekiwanie Eddie wyciągnął rękę i położył mi ją na piersi. Dotyk jego palców palił mnie przez cienki materiał koszuli. Oddychał coraz ciężej. Ja nie czułam nic. Nic.

W tej chwili zyskałam pewność, że nie mogę już liczyć na żadną ochronę. I nie mogłam dalej żyć w tym strachu, zrywając się na tętent każdego konia, ukrywać się, spać nocą na polu, czekając na nieuniknione, które musiało się wydarzyć. Jeśli pułkownik przestanie się mną interesować i przyjeżdżać do misji, pojawi się następny mężczyzna. Glory mi nie popuści, a ja nigdy nie poczuję się bezpieczna.

Nie miałam dokąd pójść i do kogo się zwrócić. To było moje życie. Nigdy nie stanę się jedną z dziwek pracujących dla Glory, ale nie będę w stanie obronić się przed mężczyzną, który zechce mnie posiadać. W tej chwili uświadomiłam sobie, że wolę, by to Eddie odebrał mi dziewictwo - nie, to ja mu je ofiaruję - niż zostać brutalnie zgwałcona przez pułkownika lub innego podobnego do niego mężczyznę. Eddie będzie delikatny. Jego oddech był słodki mimo whisky, a policzki nie wymagały jeszcze kontaktu z brzytwą.

Teraz patrzył na swoją rękę opartą na mojej piersi. Poruszał delikatnie palcami i mój sutek naprężył się, jakby obdarzony swoją własną wolą. Eddie zamknął oczy.

Naprężenie sutka utwierdziło mnie w przekonaniu, że choć nie odczuwałam żadnej przyjemności, z Eddiem przetrzymam ból pierwszego razu. Przyjmę go. A utrata dziewictwa sprawi, że stanę się silniejsza. Prawda?

Eddie wpatrywał się w swoją dłoń na mojej piersi. Poruszył nią delikatnie, a ja go nie powstrzymałam. W wilgotnym powietrzu poczułam buchającą od niego falę gorąca, choć nadal miał na sobie mundur. Nagle spojrzał mi prosto w twarz.

- Czy pułkownik ma rację? - zapytał. - Naprawdę jesteś doświadczona w tych sprawach? Tylko przez cały czas udajesz?

W końcu poczułam ogarniającą mnie falę gorąca, choć nie była wynikiem pożądania.

- Nie. Nie - powtórzyłam zawstydzona. - Oczywiście, że nie. Wierzysz mi, prawda? - Było dla mnie bardzo ważne, by uwierzył, że nie jestem taka jak Glory. - Nigdy nie byłam z żadnym mężczyzną, Eddie - powiedziałam, zmuszając się, by nie myśleć o ustach Kaia na moich. Aby odpędzić tę wizję, pocałowałam go.

Choć jego wargi były gorące i miękkie, nadal nic nie czułam. Nie było tak z Kaiem. Kiedy on mnie dotykał, miałam wrażenie, że moje ciało wypełnia żywe srebro, płynne i falujące. Chciałam się w niego wtopić, pozwolić, by jego ciało wchłonęło moje, jak strumień wpada do rzeki. Odsunęłam się od Eddiego, a on zdjął rękę z mojej piersi. Jego twarz oświetlał tylko długi promień księżyca, który wpadał przez szpary w ścianie. Nie rozumiałam wyrazu jego twarzy, lecz musiałam odwrócić wzrok.

- Pragniesz mnie? - zapytałam w końcu.

- Tak - odparł słabym głosem. - Tak. Oczywiście. Jesteś taka... ale... nie.

- Nie?

- Nie, Pree. Ja... - Spojrzał w dół na swoje ciało, uniósł rękę i pozwolił, by opadła bezwładnie. - Nie tak. Myślałem o tym, oczywiście, myślałem o tym i o tobie, ale... - Zawiesił głos.

Zapadła cisza, a po chwili rozległo się ciche chrapanie. Oparłam się na łokciu. Eddie miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta.



Patrzyłam, jak oddycha powoli pogrążony w głębokim, pijackim śnie. Co za ironia, pomyślałam, kiedy to ja chciałam, do niczego w końcu nie doszło. Czy czułam ulgę? Nie wiem. Byłam wykończona, zmęczona życiem, które biegło do przodu tak nieoczekiwanie, ciągnąc mnie za sobą. Zdjęłam Eddiemu buty i położyłam mu nogi na łóżku. Znow jęknął; jego włosy były jeszcze bardziej mokre, a kropelki potu wystąpiły mu na czoło i zbierały się pod oczami. Wysoki kołnierz munduru wrzynał się w szyję. Rozpięłam guziki, szarpiąc się z bezwładnym ciałem i w końcu udało mi się zdjąć mundur. Potem z wielkim wysiłkiem przeciągnęłam mu koszulę przez głowę. Miał chłopięcą, zapadniętą pierś i pomyślałam o Kaiu, którego pierś też kiedyś tak wyglądała. Położyłam tam dłoń, przesuwając palcami w górę i w dół. Jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała; skóra na niej była miękka, jak wydmy z piasku nad brzegiem Rawi. Potem położyłam głowę na piersi Eddiego. Usłyszałam mocne bicie jego serca, a jego łagodny, równy rytm w niewyjaśniony sposób doprowadził mnie do łez.

W pewnej chwili poruszyłam się. Uświadomiłam sobie, że zasnęłam, i w panice otworzyłam oczy, myśląc, że pułkownik może wrócić. Ale dookoła panowała cisza; mogłam się tylko modlić, by zapadł w nieprzytomny sen u boku Glory. Czułam przy sobie ciepłe ciało Eddiego. Nadal ciężko oddychał i leżał teraz na boku twarzą do mnie. Usiadłam i spojrzałam na niego. W świetle księżyca wyglądał tak młodo; miał pełne, lekko nabrzmiałe wargi i gładkie policzki. Na jego piersi nie było jeszcze włosów, a brzuch miał płaski i muskularny. Położyłam na nim rękę; jego skóra, teraz już chłodna, była niemal jedwabista.

Policzek i ucho miałam spuchnięte i obolałe. Czułam się stara, stara i zbrukana przez wszystko, co usłyszałam i co zmuszona byłam przeżyć od chwili, gdy matka zaczęła pogrążyć się w szaleństwie, a ojciec zachorował. Położyłam się

na łóżku, odwracając do ściany i wtuliłam się plecami w Eddiego. Mruknął coś niezrozumiale i objął mnie ramieniem, jego ręka zwisała luźno przy mojej talii. Pomyślałam, że się budzi, ale on nie poruszył się ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Po długiej chwili ujęłam jego dłoń i przyłożyłam ją do twarzy. Pachniała koniem, wyczułam też, że jadł tego dnia mango. Przycisnęłam jego chłodną rękę do rozpalonego, bolącego policzka i raz jeszcze pomyślałam o Kaiu.

Drugi raz tej nocy łzy napłynęły mi do oczu i jeszcze mocniej przytuliłam plecy do Eddiego. Przywarł do mnie mocniej, lecz wiedziałam, że robi to bezwiednie; był pijany i pewnie nie obudzi się jeszcze przez wiele godzin. Leżałam w upalnej ciemności, czując głęboki smutek, którego dotąd nie znałam, nawet gdy umarł ojciec, a matka popełniła *sati*. Ani w straszliwych późniejszych chwilach. Płakałam z przytłaczająco smutnej radości, że leżę obok drugiego człowieka. Przycisnęłam mocniej ramię Eddiego.

Dużo czasu minęło od chwili, gdy zaznałam dobroci i troski drugiego człowieka. Wyjątkiem był tylko stary Sa-nosh. Płakałam nad sobą, ponieważ byłam samotna i się bałam, ponieważ wiedziałam, że Eddie również jest samotny i się boi, będąc tak daleko od domu. Ponieważ chciałam kogoś kochać i być kochana.

Ale to nie będzie Eddie. Byliśmy zakrytymi lustrami, które nie mogły się nawzajem odbijać.

Opłakiwałam nas oboje.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Obudziłam się, gdy w gałęziach figowca zaczęły świergotać pierwsze ptaki. Przez okno wpadło szare światło, choć kogut jeszcze nie zaczął pisać. Usiadłam i pogładziłam Eddiego po twarzy.

- Obudź się - szepnęłam, delikatnie potrząsając go za ramię, kiedy nie zareagował na mój głos i dotyk.

W końcu otworzył oczy i patrzył na mnie, jakby nie wiedział, co się dzieje. Usiadł powoli, językiem zwilżył usta i znów zamknął oczy.

Przeszłam przez niego i nalałam szklanek wody z dzbanka. Zamoczyłam szmatkę i usiadłam obok niego na łóżku, a kiedy lekko się zapadło, Eddie znów otworzył oczy, oparł się na łokciu i ujął szklanek drżącą ręką. Wypił wodę do dna i nie patrząc na mnie, oddał mi pustą szklanek, po czym znów się położył. Umyłam mu twarz i szyję szmatką, jakby był dzieckiem. Posłusznie zamknął oczy i pozwolił mi to zrobić.

- Spóźnicie się do koszar. Musisz iść po pułkownika - powiedziałam.

Potał oczy, a potem opuścił rękę na piersi. Podniósł głowę i spojrzał na swoje palce leżące na nagiej skórze.

- Czy ty... Wszystko w porządku? - Nie patrzył na mnie.

Pomyślałam o jego zapachu, zapachu konia i mango.

- Tak - odparłam.

- Nie pamiętam... - Mówił cicho, jakby się wstydził.

- Spałeś, Eddie - powiedziałam. - To wszystko. Skinął głową i wreszcie podniósł na mnie wzrok. Krzyknął

cicho, wyciągając rękę, by dotknąć posiniaczonego policzka. Skrzywiłam się.

- Ale teraz ja... pułkownik... - Usiadł i podałam mu koszulę. -

Przepraszam, Pree. Przepraszam cię za wszystko, co wycierpiałaś. On nie będzie nic pamiętał. Nie będzie pamiętał, że zmuszał mnie do picia ani że przyprowadziłem cię do domu. Nie będzie pamiętał, że sprowadził mnie do twojej chaty ani że cię uderzył. Zbyt często widziałem, jak się zachowuje, gdy za dużo wypije. Widziałem, jak bierze kobiety, a potem nic nie pamięta. - Przeciągnął koszulę przez głowę. - Nazywa to Otchłanią. - Zajął się guzikami. Milczałam.

- Przez cały następny miesiąc mam manewry na południu - powiedział. - Daleko od Lahore - dodał niepotrzebnie, patrząc na mnie.

Skinęłam głową.

Znów spojrzał na mój policzek, na pulsujące ucho.

- Dasz sobie tutaj radę? Czy jest może ktoś, gdzieś... -urwał.

Kiedy nie odpowiadałam, chwycił mnie za rękę.

- Nie chcę myśleć, że jesteś tu sama. Co będzie, jeśli pułkownik przyjdzie po ciebie...

- Dziękuję, Eddie - powiedziałam. - Zachowałeś się bardzo dzielnie, powstrzymując go.

Rzucił mi wymuszony półuśmiech.

- Dobrze, że on nic nie pamięta. Nie wolno mi sprzeciwiać się zwierzchnikowi. W żadnej sprawie. - Wziął jeden but. -Ale ty tutaj, z Glory i całą resztą... to złe miejsce, Pree.

- To mój dom, Eddie. Jedyne, jaki mam. Nic mi nie będzie. - Co innego mogłam powiedzieć? Nie mogłam liczyć, że Eddie mi pomoże; on ani ktokolwiek inny. - Zawsze sobie radziłam.

Miałam tylko siebie.

Stanął przede mną, wsuwając ręce w rękawy munduru. Jego twarz była prawie zielona i wiedziałam, że czuje się okropnie.

Nie mieliśmy już nic więcej do powiedzenia. Wstałam i przytuliłam zdrowy policzek do jego twarzy. Objął mnie, a ja przez tę jedną krótką chwilę cieszyłam się bliskością drugiego człowieka i poczuciem, że komuś na mnie zależy.

- Lepiej obudź pułkownika - poradziłam mu - bo nie zdążycie do koszar na poranną musztrę i ty za to oberwiesz. - Odsunęłam się, by spojrzeć mu w twarz.

Kiwnął głową.

- Do widzenia, Pree - powiedział. - Kiedy wrócę z manewrów i jeśli pułkownik nadal będzie sobie życzył, żebym mu towarzyszył, będę mógł...

Położyłam mu palce na ustach.

- Do widzenia, Eddie.

Wydarzenia ostatniej nocy sprawiły, że zbyt trudno będzie nam znów spędzać razem czas; wszystko zostało zniszczone przez okrucieństwo i zakłopotanie. Wiedziałam o tym ja i wiedział on. Już nigdy nie połączy nas swobodna przyjaźń, która zrodziła się między nami.

Ujął moje palce i przycisnął do nich usta. Potem wyszedł.

Siedziałam na łóżku, przykładając do ucha wilgotną szmatkę. Po dziesięciu minutach usłyszałam głosy, a potem tętent końskich kopyt na ubitej ziemi. Dopiero wtedy położyłam się i zamknęłam oczy.

Byłam wstrząśnięta, gdy otwierając oczy, zobaczyłam jasne światło, a jeszcze bardziej, gdy spoglądając na zegarek, stwierdziłam, że jest już po dziesiątej. Po wyjeździe Eddiego z pułkownikiem zapadłam w głęboki sen i obudziło mnie dopiero zniecierpliwione muczenie Marty.

Wstałam i włożyłam *kurtę* i *panjammahs*. Miałam całkowitą pewność, że już dłużej nie mogę tu zostać. Musiałam wyjechać z misji - miejsca tak bezbożnego, że niedorzecznie było myśleć o nim nadal jako o misji. A jednak nie potrafiłam wypowiedzieć nazwy miejsca, jakim się stała.

Przy studni spryskałam twarz wodą, a potem pobiegłam do zagrody Marty. Kiedy weszłam, przestała ryczeć i z wyrzutem odwróciła łeb w moją stronę. Jej wymiona były tak pełne, że wzdrygnęła się, gdy ujęłam je w dłonie. Kopnęła tylną nogą, lecz oparłam czoło o jej szorstki bok i szybko ją wydoiłam.

Ciągnąc rytmicznie za wymiona, układałam plan. Wiedziałam, że nie wystarczy pojechać do Lahore i tam próbować znaleźć jakieś środki do życia. Pomyślałam o wyrazie twarzy pani Rollings-Smythe na bazarze. Teraz już na pewno wszyscy Anglicy wiedzieli, czym stała się misja, i nie mogłam liczyć na ciepłe powitanie. W każdej chwili mogłam też stanąć twarzą w twarz z żołnierzami z koszar, którzy regularnie odwiedzali misję, nie mówiąc już o pułkowniku.

Nie. Musiałam wyjechać o wiele dalej. Ale żeby wyjechać, musiałam mieć pieniądze. Choć Glory stale dostawała rupie od żołnierzy, wydawała je wszystkie na swoje potrzeby, na nowe meble, ubrania, biżuterię i pantofelki, na whisky i słodycze.

Gdybym mogła jakimś cudem wydobyć z domu pianino, sprzedałabym je. Pomyślałam o innych rzeczach. O kolekcji Biblii ojca, nadal zamkniętej w oszklonej szafce. Nie wiedziałam, ile jest warta, ale niektóre tomy były bardzo stare i pięknie oprawione. Pamiętałam też słowa ojca, że są niezwykle cenne.

Dobrze, że Glory nie znała ich wartości, bo nie przyszło jej do głowy, by je sprzedać. Wiedziałam, że lubi szafkę z poustawianymi równo książkami; czuła, że dzięki temu salonik w misji nabiera angielskiej dystynkcji.

Humor trochę mi się poprawił. Z rupiami, które dostanę za Biblię, mogłabym pojechać do innego miasta, gdzie nikt mnie nie zna, gdzie nikt nie słyszał o moich rodzicach ani o tym, czym stała się misja. Ale dokąd mogłam pojechać?

Znów pomyślałam o Langach i ich misji w Peszawarze. Nagle myśl o pracy dla nich nie była już tak odrażająca.

Kiedy poznałam jaki wygląda rozpustne życie u boku Glory w zupełnie innym świetle ujrzałam ich misję.

Poza tym w Peszawarze może nadal mieszkać Afgań-czyk. Pomyślałam o jego dobrej twarzy smutnych, ciemnych oczach. Na pewno uda mi się go odnaleźć. Wyglądało na to, że dobrze orientuje się w poczynaniach Kaia. Może nawet będzie mógł mi coś o nim powiedzieć.

Ale najpierw musiałam pojechać do Peszawaru. Wśliznę się do domu i zabiorę Biblię, spakuję rzeczy, pojedę wozem do Lahore i sprzedam wszystkie tomy. Potem wyruszę Grand Trunk Road w stronę Peszawaru. Będę już daleko, zanim Glory się poruszy; wstawała dopiero późnym popołudniem.

Kiedy skończyłam dojenie, odstawiłam na bok wiaderko ciepłego, parującego mleka i zaczęłam otwierać bramę zagrody. Słyszac nagle tętent koni, cofnęłam się i ukryłam za szerokim bokiem Marty.

- Pree! - wrzasnął pułkownik, a ja przykucnęłam szybko i spod brzucha Marty przez szpary w ogrodzeniu obserwowałam, jak wjeżdża na podwórze. Ściągnął ostro cugle, przeklinając nieznanego mi chorążego, który próbował mu pomóc. Był bardzo pijany - z pewnością nie było to zamroczenie po minionej nocy. Musiał pić przez całe rano.

Trwałam bez ruchu, wstrzymując oddech. Pułkownik ruszył w stronę domu, otworzył frontowe drzwi i krzyknął coś niezrozumiałego, po czym poszedł do mojej chaty, znów wołając moje imię, a potem posypał się stek soczystych obelg. Wyszedł z chaty, trzymając w rękach krzesło, i patrzyłam z przerażeniem, jak cisnął nim o ziemię. Kruche drewno szybko się rozpadło. Na werandzie pojawiła się Glory, wołając kojącym, lecz lekko zmieszonym głosem. Ruszył w jej stronę. Kiedy weszli razem do domu, zerwałam się i wybiegłam z zagrody. Wypadłam na drogę, mijając chorążego, który spojrzał na mnie obojętnie.

Biegłam całą drogę do Tek Mandi. Wpadłam do domu Darshana i wysapałam do Sanosha, że napastuje mnie jeden

z mężczyzn, którzy odwiedzają Glory, i że nie mogę już dłużej zostać w misji. Sanosh poklepał mnie po ręce i powiedział coś cicho do synowej. Po chwili z nachmurzoną twarzą podała mi herbatę i talerz kurczaka z soczewicą. Nie mogłam jeść, bo żołądek miałam boleśnie ściśnięty. Siedziałam naprzeciwko Sanosha, skubiąc brzeg maty. Między nami stał talerz z nietkniętym jedzeniem.

- Dokąd panienka pójdzie, jeśli nie może tam zostać? -zapytał Sanosh. - Do swoich przyjaciół w Lahore? Mówiłem już panience, że nie może panienka zostać z tą kobietą. Paskudne to jej życie. Pojedzie panienka do Lahore?

Pokręciłam głową.

- Nie mam tam przyjaciół, Sanosh.

- Ale to przecież Anglicy. Na pewno panience pomogą.

- Jadę do Peszawaru - powiedziałam. Zmarszczył brwi.

- Do Peszawaru? Ale to nie jest dobre miejsce. Dlaczego tam?

- Jest tam misja, gdzie mogą mnie przyjąć. Przyjrzał mi się uważnie i wzruszył ramionami.

- Sama panienka wie, gdzie będzie jej najlepiej.

Skinęłam głową i wstałam. Przez resztę popołudnia pomagałam synowej Sanosha w zmywaniu i gotowaniu. Nie rozmawiałyśmy, nawet na mnie nie patrzyła, tylko podawała talerze i garnki.

Kiedy zapadła noc i wioska szykowała się do snu, położyłam się na podłodze w chacie. Przewracając się z boku na bok, zapadłam w pełen koszmarów sen. Wczesnym rankiem zwinęłam koc i matę i podałam je kobiecie, która wyglądała na młodszą ode mnie. Trzymała na biodrze małego chłopczyka, a kiedy jej dziękowałam, odwróciła twarz.

Wiedziałam, że ryzykuje swoją pozycję w wiosce i reputację.

- Pójdę już, Sanosh - powiedziałam.



- Do Peszawaru? - zapytał. Skinęłam głową.

- Ale najpierw muszę zatrzymać się w misji.

Nie mogłam wyjechać bez Biblii, bez Marty i wozu, bez moich rzeczy. Z drogi zobaczę, czy pułkownik jeszcze tam jest. Jeśli tak, będę się trzymać z daleka aż do jego wyjazdu.

- Wróci panienska do misji? Ale... Wpatrywałam się w wypłowiały dywan pod stopami.

- Muszę tylko zabrać potrzebne rzeczy. Skinął głową, marszcząc czoło.

- Bardzo dziękuję za gościnę, Sanosh - powiedziałam i odwróciłam się, by odejść.

- Panienska Pree? Chciałaby panienska, bym jej towarzyszył?

Spojrzałam na jego pomarszczoną twarz. Był stary i kruchy i wiedziałam, że nie będzie mógł mi pomóc, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nagle nie mogłam znieść myśli o samotnym powrocie do misji.

- Zrobiłbyś to?

- Oczywiście. Pójdziemy razem.

Wiedziałam, że coś jest nie tak, kiedy tylko zbliżyliśmy się do płotu. Z daleka widziałam, że na podwórzu nie ma wojskowych koni i początkowo poczułam ulgę. Glory na pewno śpi, więc będę mogła zrobić, co zamierzałam, bez żadnych przeszkód.

Ale w misji było zbyt cicho. W zagrodzie nie było Marty; nagle przypomniałam sobie, że gdy wybiegłam na drogę, zostawiłam otwartą bramę. Kiedy weszliśmy na podwórze, z daleka widziałam, że drzwi wejściowe do domu dziwnie zwisają. Szybko się przekonałam, że opierają się tylko na jednym zawiasie.

Wbiegłam na schody, za mną nieco wolniej podążał Sanosh. Kiedy zajrzałam do środka, otworzyłam usta z prze-

rażenia. Pokój był zniszczony: większość mebli przewracana, jedna żaluzja wyrwana z okna i wszędzie pełno rozbitego szkła. Pianino brutalnie rozbite, leżało na boku jak wypatroszone zwierzę. Struny sterczały pod dziwnym kątem, a młotki i klawisze były powykręcane. Wysoka szafka była przewrócona, a szkło w jednych drzwiczkach rozbite. Biblie wały się rozrzucone po podłodze.

Stałam bez ruchu, przyciskając dłoń do gardła. Na karku czułam świszczący oddech Sanosha. Potem usłyszałam cichy dźwięk, trochę głośniejszy niż jęk, dobiegający z jadalni.

- Nie, panienko - szepnął Sanosh, kiedy zrobiłam krok do środka. - Tu bardzo źle. Chodźmy stąd. Chodźmy - powiedział i pociągnął mnie za ramię.

- Pree. - Chrapliwy jęk był głosem Glory, a jednak brzmiał obco.

Weszłam do jadalni i wstrzymałam oddech. Cztery krzesła królowej Anny były zniszczone; miały połamane nogi i rozdarte siedzenia, jakby ktoś rozciął je ostrym nożem lub mieczem. Pod stołem w krzepnącej kałuży krwi leżała na brzuchu Glory, z twarzą odwróconą na bok. Jedno spuchnięte oko miała zamknięte, drugim z wysiłkiem patrzyła na mnie tępo.

Odsunęłam stół, żeby móc obok niej uklęknąć. Pod kolanem poczułam ostre szkło.

- Czy to sprawka pułkownika?

Nie odpowiedziała. Być może nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Spojrzałam na Sanosha, który stał z szeroko otwartymi oczami.

- Pomóż mi - poprosiłam. Kiedy spróbowaliśmy podnieść Glory, krzyknęła z bólu i jęczała przez cały czas, gdy nieśliśmy ją na łóżko. Kiedy położyliśmy ją na wznak, znów wstrzymałam oddech.

- To był pułkownik? - zapytałam raz jeszcze.

Wydała z siebie cichy odgłos, który wzięłam za potwierdzenie.

- Ale dlaczego? Co go tak rozwścieczyło? - Przypomniałam sobie, jak wykrzykiwał moje imię, miotając się po podwórzu.

Glory leżała nieruchomo, z jednej dziurki w nosie wypływała banieczka krwi, która powiększała się z każdym oddechem. Cienka suknia była rozdarta na przodzie, a jeden rękaw zwisał, wyrwany z ramienia. Sanosh pociągnął mnie za rękę. Omijając rozbite meble, wyszłam za nim na werandę.

- Musi panienka zaraz stąd wyjechać - powiedział. Skinęłam głową. - W tym miejscu dużo zła. To nie dla panienki. - Białka jego oczu były pożółkłe. - Chciałbym... - zaczął i urwał. - Chciałbym, żeby mogła panienka zostać u Darshana. Gdyby to był mój dom, byłaby panienka mile widziana.

- Wiem, Sanosh. Wiem - odparłam. - Ale masz rację. Wyjadę do Peszawaru - powiedziałam, lecz zabrzmiało to słabo. Pomyślałam o Biblii. Ile tomów zostało zniszczonych?

- Odłożyłem kilka rupii na stare lata. Ale syn o mnie dba; nie są mi potrzebne. Dam je panience.

- Nie, nie - uniosłam się. - Tyle dla mnie zrobiłeś całkiem bezinteresownie. Nie mogę wziąć twoich pieniędzy. - Próbowałam się uśmiechnąć. - Dziękuję ci, Sanosh. Nie wiem, co bym zrobiła... bez ciebie. - Żałowałam, że nie mam nic do zaoferowania. - Jak mogę ci się odwdzięczyć, choćby w najmniejszy sposób?

- Podarek niepotrzebny. Najważniejsze, żeby panienka była bezpieczna - powiedział. - Nie mogę myśleć, że panienka... - Spojrzał na dom i wiedziałam, co ma na myśli.

Zrobił gest *namaste*, a ja opadłam na podłogę i uklękłam przed nim, dotykając z szacunkiem jego stóp, jakbym była jego synową.

- Proszę, panienko - powiedział, najwyraźniej zawstydzony.

Wstałam.

- Do widzenia, Sanosh - powiedziałam. Skinął głową i odszedł, zatrzymując się, by jeszcze mi pomachać. Uniosłam rękę. Powoli wróciłam do domu i omijając rozbite szkło, podeszłam do Biblii. Większość tomów była zniszczona: strony podarte, a okładki oderwane. Zamknęłam oczy, gdy stanął mi przed nimi rozwścieczony pułkownik bijący Glory i demolujący dom.

Podniosłam oprawioną w miękką skórę Biblię, a potem mniejszą z pięknymi złożonymi stronami. Z boku leżała jeszcze jedna i serce zabiło mi mocniej, gdy uświadomiłam sobie, że nie stanowi części kolekcji. Była to Biblia, z której ojciec codziennie czytał i którą zawsze trzymał przy sobie. Nigdy o niej nie myślałam, nawet za życia ojca; stanowiła widok tak znajomy jak szczotka do włosów i wgnieciony dzbanek do herbaty na zaśnieżonej tacy i nic a nic mnie nie interesowała. Zdmuchnęłam kurz i przesunęłam dłonią po okładce. Biblia nie miała żadnej wartości, była zwykła, używana, z prostą czarną okładką. Otworzyłam ją na pierwszej stronie. Zobaczyłam nazwisko ojca, *Samuel Emmett Fincastle*, wypisane jego delikatnym, prostym pismem. Przez niemal przezroczystą kartkę dostrzegłam dalsze napisy. Przewróciłam stronę.

Ożeniony z: Eve Marion Allen, 26 stycznia 1848 roku. Poniżej ojciec zapisał daty narodzin i śmierci w rodzinie. Przeczytałam je z roztargnieniem:

Elijah Jarvis, ur. 9 września 1849; zm. 13 listopada 1851.  
Alice Ann Margaret, ur. 4 marca 1856; zm. 16 kwietnia 1856.  
Elizabeth Rebecca, ur. 21 lipca 1859; zm. 5 września 1859. Gabriel Charles, ur. 11 października 1862; zm. 27 lutego 1863.

Raz jeszcze przeczytałam listę, przesuwając palcem wskazującym po każdej linijce. Czytałam cicho, ledwo poruszając ustami.

Narodziny Kaia oczywiście nie były odnotowane. Ale moje też nie. Wróciłam palcem do Alice Ann, mojej młodszej siostry. Urodziła się czwartego marca 1856 roku. Moje urodziny przypadły siedemnastego sierpnia 1856 roku.

Usłyszałam swój oddech jakby z oddali.

- Pree.

Zamknęłam Biblię z trzaskiem, nagle zawstydzona, jakby przyłapano mnie na oglądaniu nieprzyzwoitych obrazków ze skąpo ubranymi kobietami jak te na talii kart, którą raz -niczego nie podejrzewając - wzięłam do ręki po jednym z przyjęć Glory.

- Pree - jęknęła znów Glory.

Nie odpowiedziałam. Przytuliłam Biblię do piersi, raz jeszcze rozpamiętując dwa niepokojące fakty.

Moja siostra nie mogła się urodzić w marcu, sześć miesięcy przede mną. I dlaczego ja nie zostałam wymieniona wśród prawowitych dzieci mojego ojca?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jakiś czas później - kilka minut, godzinę, nie wiem -z sypialni dobiegł szelest. A potem cichy jęk. I jeszcze jeden. I znów szelest.

- Pree - szepnęła znów Glory. Siedziałam bez ruchu, ściskając Biblię.

- Pree - zawołała cicho Glory. - Pomóż mi.

- Jestem tutaj - powiedziałam w końcu.

Nadal przyciskając do piersi Biblię, wyszłam na podwórze. Jedną ręką wyciągnęłam wodę, nalałam ją do mosiężnego lota stojącego na ocembrowaniu studni i zniosłam Glory. Okiennice były zamknięte i w sypialni panował mrok. W ciepłe poranka śmierdziało jeszcze bardziej potem i krwią. Uniosłam kilka listewek żaluzji i do środka wpadły promienie słońca. Nalałam wodę do miedzianego kubka i zniosłam ją do łóżka. Glory próbowała usiąść, ale nie dała rady. Z jękiem opadła na poduszkę i tylko podniosła głowę.

W ostrym świetle jej twarz wyglądała jeszcze gorzej, niż początkowo myślałam. Krzepnąca, lepka krew pokrywała tę stronę jej twarzy, którą oparła o podłogę. Łuk brwiowy nad zamkniętym okiem był rozcięty, a jedna kość policzkowa opuchnięta i fioletowa. Wargi pokryła zakrzepła krew, nabrzmiała górna warga wyglądała jak dziób. Prawe ucho było spuchnięte i zaognione, a dziurka w koniuszku, z której zwykle zwisał kolczyk, rozerwana.

- Proszę - powiedziałam, podając kubek.

Powoli, jakby w półśnie, wyciągnęła lewą rękę; zauważyłam, że prawy nadgarstek jest spuchnięty i czarny. Leżąca na kołdrze ręka wydawała się bezwładna.

Trzymając niezgrabnie kubek, nieco uniosła głowę, ostrożnie przykładając kubek do rozciętej dolnej wargi. Skrzywiła się. Mogłam jej pomóc, ale nie zrobiłam tego. Krople wody potoczyły się po jej brodzie i spadły na szyję, a potem w dół na piersi. Może udało się jej wypić kilka łyków.

- Zabierz to - poprosiła, zmęczona tym niewielkim wysiłkiem. Wyjęłam kubek z jej drżącej ręki. Miała gorące palce. Z jękiem położyła głowę na poplamionej teraz poduszce i zamknęła oko.

- Glory - rzekłam cicho, wpatrując się w jej twarz niemal nie do rozpoznania. Powtórzyłam jej imię, tym razem głośniej, a ona lekko poruszyła głowę.

- Nie krzycz - szepnęła w końcu. - Pomóż mi. Jestem ranna. Bardzo - dodała niepotrzebnie. - I to twoja wina. Pułkownik chciał ciebie. Obwiniął mnie, że cię tu nie ma. Jak mogłaś mi to zrobić?

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziałam. - O to. Spójrz.

Jedno oko, które mogła nadal otwierać, zamrugało i spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Na co? - Jej głos był cichszy nawet od szeptu.

- Na to.

Choć spuściła wzrok, by zobaczyć, co trzymam, jej zamglone oko patrzyło tępo.

- To Biblia mojego ojca - powiedziałam, jakby była małym dzieckiem i nie potrafiła rozpoznać książki. Zamknęła oko. - Ale muszę cię zapytać o to, co jest w niej zapisane. A co nie. Glory! - ponagliłam ją, a przez jej twarz przebiegło drżenie. - Musisz mi coś powiedzieć.

- Nie teraz. Muszę się przespać. Ty zostań tutaj i pomóż mi - wymamrotała.

Kiedy się odwróciłam, by wyjść, wydała z siebie cichy dźwięk i spojrzałam na nią.

- Jeśli pułkownik wróci, zrobisz, co każe - szepnęła. - Albo spotka cię taki sam los.

Przed oczami stanęły mi nagle potężne pięści Anglika, kark niczym u wołu, gruby, umięśniony. Poczzerwieniała twarz, kiedy uderzył mnie w chacie.

- Zrobię - skłamałam - ale tylko jeśli mi obiecasz, że później ze mną porozmawiasz. I powiesz mi prawdę.

- Prawdę - powtarzała tylko moje słowa.

- Jeśli nie obiecasz, odejdę i zostawię cię samą. Samą bez jedzenia i wody. A pułkownik wróci. Co wtedy zrobisz, a mnie tu nie będzie? Co on ci wtedy zrobi?

Powieka uniosła się, a w oku błysnęło zrozumienie.

- O jaką prawdę pytasz? - Kiedy mówiła, strup na dolnej wardze pękł i znów zaczęła sączyć się krew. Glory wysunęła koniuszek języka, by ją zatrzeć. Z jej gardła wydarł się głęboki jęk.

Rozejrzałam się po pokoju i podniosłam halkę ciśniętą w kąt. Oderwałam kawałek materiału i zanurzyłam go w kubku z wodą. Przyłożyłam go do dolnej wargi Glory, by wchłonał krew. Początkowo nie poruszyła się, lecz potem zacisnęła górną wargę na szmatce, próbując ją ssać.

Wyrwałam szmatkę.

- Mam cię zostawić? - zapytałam, bezskutecznie próbując odnaleźć w sobie odrobinę współczucia. Nic mnie nie obchodziła, ale była jedyną osobą, która знаła mnie i moją przeszłość. Woda kapiała ze szmatki na koldrę.

Otworzyła bezwiednie usta, jakby była niemowlęciem oderwanym nagle od ciepłej, pełnej piersi. Prawy górny ząb zwisał na zakrwawionym kawałku dziąsła; lewy przesunął się do ciemnej jamy.

Przyłożyłam znów szmatkę do jej warg i natychmiast zaczęła ssać.

Odsunęłam szmatkę.

- Mam odejść? - zapytałam raz jeszcze. - Czy mi powiesz? Powiesz mi o...?

O czym? Czy będzie wiedziała, dlaczego nie odnotowano moich narodzin w Biblii? Czy była to tylko pomyłka ojca - daty narodzin i śmierci Alice Ann? Czy urodziła się i zmarła rok wcześniej, w 1855 roku?



Glory będzie wiedziała. Była w misji w Allahabadzie, gdy przyjechała tam matka. Czyż nie była tam, gdy na świat przyszła Alice Ann i ja? Na pewno będzie wiedziała.

W tej samej chwili przyszła mi do głowy straszliwa myśl.

Mój ojciec spłodził z Glory Kaia. I pomimo tego, co mówiła, wierzyłam, że był też ojcem Adriany. Czy nie mógł spłodzić z Glory także i mnie? Poczułam ucisk w żołądku.

- Powiem ci wszystko, co zechcesz, Pree - powiedziała teraz. - Powiem na pewno. Ale daj mi jeszcze wody.

Znów zamoczyłam szmatkę w wodzie i tym razem pozwoliłam Gloryssać, aż odwróciła głowę. Zostawiłam ją i poszłam z Biblią do mojej chaty. Położyłam się na łóżku. Wpatrywałam się w książkę, jakby była niebezpiecznym, cicho oddychającym stworzeniem. Jakby była pulsującym, skrywającym sekrety sercem. Wreszcie przewróciłam się naznak i z szeroko otwartymi oczami obserwowałam skorpiona, który wędrował po krokwi i w końcu zniknął w gnijących gałązkach strzechy. Marta zniknęła. Przeszukałam pola i brzeg rzeki, ale na pewno zdążyła już daleko zawędrować i przemierzając pola lub idąc drogą, trafiła na czyjeś podwórze lub do jednej z wiosek. Jeśli ktoś dał jej jeść i wydoił, na pewno nie wróci do domu.

Nie mogłam też znaleźć Jassie. Wołałam i wołałam. Wrzuciłam do miedzianego garnka wysuszone kolby kukurydzy i grzechotałam nimi, przywołując ją. Chodziłam między młodymi łodygami kukurydzy i trzciny cukrowej. Ale nie znalazłam nawet jej śladu. Na pewno miała cieczkę, bo zwykle wtedy zniknęła.

Minęły całe dwa dni, zanim Glory mogła ze mną porozmawiać. W tym czasie nie martwiłam się, że pułkownik wróci; nie mogłam o tym myśleć. Poruszałam się jak we śnie, nie czułam głodu, zmęczenia ani strachu. Musiałam

się skoncentrować na czymś znacznie poważniejszym: na dziwnej informacji ukrytej na kartach Biblii ojca. Raz po raz przebiegał mnie lodowaty dreszcz, mimo że panował morderczy upał.

Pracowałam w ogrodzie, zbierałam jaja, wyciągałam wodę. Przez cały czas byłam zajęta; jeśli miałam wolne ręce, myśli nie dawały mi spokoju i bałam się, że oszaleję jak matka. Przynosiłam Glory wodę, słabą herbatę i cienką zupę z marchewki i soczewicy. Podtrzymywałam ją za ramiona i przysuwałam kubek do opuchniętych ust, by mogła mimo bólu pić i przełykać. Nie opatrzyłam jej ran ani nie pomogłam skorzystać z malowanego w kwiatki nocnika, nawet kiedy wołała, bym do niej przyszła. Była zmuszona załatwiać wszystkie potrzeby pod siebie i w pokoju szybko zaczął się unosić nieznośny fetor.

Nie obchodził mnie jej stan. Chciałam tylko, by doszła do siebie i powiedziała wszystko, co chciałam wiedzieć.

Przez dwie noce leżałam na łóżku w chacie, podczas gdy Glory jęczała w domu. Czy spałam? Nie wiem; w głowie bezustannie wirowało mi pytanie, na które musiałam uzyskać odpowiedź: czy jestem córką Glory? Od czasu do czasu słyszałam kroki lub powolny stukot końskich kopyt na drodze przed misją. Notowałam te dźwięki, lecz nie myślałam o własnym bezpieczeństwie. Zupełnie jakbym została uwięziona w kręgu moich myśli i nikt, nawet pułkownik, nie mógł się tam wedrzeć.

Zupełnie nieproszone wracały do mnie drobne wspomnienia. Pan Lang, który pomylił mnie z *ają*. Wielebny Burgess, który nie znalazł żadnej wzmianki o mnie w dokumentach ojca. Nawet ostre spojrzenie matki, które mi rzuciła, gdy po nieudanej próbie ponownego chrztu powiedziałam, że nie wiem, dlaczego nie potrafię przyjąć Pana do swego serca. Pomyślałam o matce i o tym, jak się zajmowała malutką Adrianą. Na pewno rozdzierała ją tęsknota za dzieckiem, które mogłoby zastąpić Alice Ann zmarłą zaledwie przed

czterema miesiącami. Chętnie wzięła także mnie w ramiona, nie podejrzewając, że jej własny mąż płodzi dzieci z *ają*. Zaakceptowała mnie jak własne dziecko, ponieważ miałam wystarczająco jasną skórę. Czy byłam więc naprawdę Chutney Mary, która zachowuje się jak Angielka, mimo że w jej żyłach płynie tubylcza krew?

Przypomniałam sobie, jak matka bezbarwnym głosem opowiadała, że trudno było jej oddać Kaia, gdy opiekowali się nim z ojcem przez dwa lata, zakładając, że Glory już nigdy nie wróci.

Kai. Usiadłam na pryczy. Serce waliło mi tak mocno, że aż czułam ból w piersi.

Jeśli Glory była moją matką, Kai nie był moim bratem przyrodnim, lecz rodzonym. Zakryłam twarz dłońmi. On to wiedział. Oczywiście. Miał sześć lat, kiedy się urodziłam, i był na tyle duży, by zrozumieć, że to jego matka mnie urodziła, a potem wychowywała mnie mem Fin.

Pożądałam własnego brata. Całował mnie w drukarni w Lahore. Nigdy nie zapomniałam dotyku jego ust, tak gorących i przelotnie natarczywych, bliskości jego ciała.

Było mi trudno, kiedy dowiedziałam się, że jest moim bratem przyrodnim. Ale rodzonym... Jęknęłam cicho, a potem rzuciłam się na łóżko, trąc głową o poduszkę. Próbowałam wymazać sprzed oczu obraz, który przez ostatnie lata był tak bliski memu sercu.

Tamto wspomnienie, podobnie jak całe moje życie, było kłamstwem, paskudną plamą.

W trakcie tej długiej nocy pocieszała mnie jedynie myśl, że w moich żyłach płynie również krew mojego ojca. Przynajmniej nadal byłam jego dzieckiem.

Kiedy rankiem trzeciego dnia po pobiciu Glory weszłam do domu, usłyszałam, że porusza się powoli po swoim pokoju. W końcu stanęła w drzwiach saloniku, gdzie po-

ustawiałam meble nadające się jeszcze do użytku - jedno trzcিনowe krzesło, kanapę i stolik z mosiężnym blatem. Brakowało końcówki jednej nogi stolika, ale podparłam go stosikiem zniszczonych Biblii. Pianino nadal leżało na boku.

Usiadłam na krześle z końskiego włosia. Glory stała w drzwiach, ściskając klamkę lewą ręką. Udało się jej jakoś zdjąć brudne, podarte ubranie, ale nie potrafiła się ubrać jedną ręką, więc owinęła tylko wokół siebie sari, nie zawiązując końców. Jej prawą rękę - nadgarstek był zwichnięty czy złamany? - podtrzymywał podarty pasek muślinu, który jakoś zdołała owinąć wokół ramienia. Kiedy się zbliżyła, poczułam paskudny, charakterystyczny odór choroby. Z na wpół upiętymi, na wpół rozpuszczonymi długimi włosami i opuchniętym, pokrytym zakrzepłą krwią jednym uchem wyglądała jak *churail*, czarownica-duch z pendżabskich mitów.

Moja matka, czarownica. Kusicielka, dziwka, opluwana przez porządnych mieszkańców wioski, odrzucająca wszystkich bogów, nieznająca żadnej religii. Bez duszy i bez serca.

Rankiem przyglądałam się w lustrze swojemu odbiciu. Obejrzałam wszystko: grube brwi, kształt uszu i zębów, kolor oczu, skóry, włosów. Czy widać było podobieństwo do Glory? Nie byłam pewna. Ale też nigdy nie dopatrzyłam się podobieństwa pomiędzy ojcem i Kaiem.

Glory powoli usiadła ostrożnie na kanapie naprzeciwko mnie.

- Jestem głodna, Pree. - Mówiła po angielsku dziwnie, lekko szeleszcząc i dopiero po chwili zorientowałam się, że wyrwała rozchwiane przednie zęby.

- Zrobiłam *daal* i utarłam na papkę, żeby nie bolały cię usta - powiedziałam cicho. -1 *roti* z pszenicy. Są świeżutkie. Czujesz ich zapach?

Nie spuszczałam wzroku z jej twarzy. Czy ta kobieta -moja matka - mogła pozwolić, żebym tak żyła? W brudzie

i rozwiążności? Czy nie zależało jej na mnie na tyle, by bronić mnie przed takimi mężczyznami jak pułkownik?

Oczywiście znałam odpowiedź. Glory dbała wyłącznie o siebie zarówno w przeszłości, jak i teraz.

- Przynieś mi daal - powiedziała.

- Jeszcze nie - pokręciłam przecząco głową. Próbowwała zmarszczyć brwi, lecz ten ruch najwyraźniej ją zabolął i jęknęła.

- Proszę cię o coś do zjedzenia, Pree. Bądź dla mnie dobra - powiedziała.

- Troszczę się o ciebie.

Dlaczego mówiła po angielsku z tym śpiewnym akcentem, którego używała w rozmowach z żołnierzami? Kiedy byliśmy same, zawsze rozmawialiśmy w hindi. Brak zębów sprawiał, że lekko syczała. Widać też było koniuszek jej języka.

Uśmiechnęłam się, ale tak naprawdę moje wargi jedynie rozciągnęły się w lekkim grymasie. Glory była gorszą matką niż Jassie. Nie tylko nie walczyła, by uchronić swe potomstwo przed niebezpieczeństwem, lecz również wykorzystywała je do swoich własnych celów.

- Wcale się o mnie nie troszczyłaś. I nie muszę nic dla ciebie robić. Ale zrobię, kiedy już powiesz mi, co chcę wiedzieć.

Wiedziałam, że nie mogę jej ufać, że kiedy będzie miała pełny żołądek i poczuje się lepiej, nie będę miała nad nią żadnej kontroli. Ale w tej chwili, gdy musiała poświęcić całą energię, by przejść piętnaście kroków z sypialni do saloniku, to ja trzymałam w ręce kartę atutową. Na razie ja miałam władzę.

- Podgrzeję wodę i przyniosę miednicę - powiedziałam. - Umyję ci włosy i posmaruję rany maścią. Nakarmię cię ciepłym *daal* i miękkim *rai*/.

Chciałabyś, Glory?

Patrzyła na mnie. Pod opuchniętą powieką lewego oka dostrzegłam błysk. Pochyliłam się i wzięłam Biblię z niskiego stolika przed kanapą.

- Zrobię to wszystko dla ciebie. - Otworzyłam książkę. - Mój ojciec zanotował tu urodziny moich braci i sióstr - powiedziałam. - Nie ma tu jednak mojego imienia.

Nadal wpatrywała się we mnie.

- Dlaczego? I dlaczego urodziny Alice Ann zapisane są tylko sześć miesięcy przed moimi?

Glory zamrugła, a potem powoli się uśmiechnęła. To był okropny uśmiech, brak przednich zębów i opuchnięte wargi tworzyły wrażenie o wiele gorsze niż mój grymas sprzed chwili. Gorsze niż uśmiech Kaia.

Dostrzegłam w nim też przebiegłość, a może nawet zadowolenie, i ogarnęło mnie bardzo złe przeczucie. Nagle nie chciałam poznać prawdy, którą - jak mi się zdawało - już znałam.

Gdzieś w podświadomości pragnęłam, by tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, że ojciec był roztargniony, kto wie, dlaczego popełnił taki błąd albo dlaczego nie zapisał mojego imienia. Ale widząc ten uśmiech, wiedziałam, że usłyszę coś zupełnie innego.

Mimo to milczała. Miałam wrażenie, że ryk burzowych chmur w czasie monsunów, jaki zapanował w mojej głowie, słychać w pokoju.

- Wiem, że jesteś moją matką - powiedziałam głośno, by mój głos przebił się przez gęstą atmosferę. Rozpoznałam w niej strach. Nie byłam już otepiała. Znów się bałam.

Na dźwięk moich słów uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a ja nienawidziłam jej jeszcze bardziej, niż wydawało mi się to możliwe.

- Twoją matką? - powtórzyła.

Coś w jej kpiącym, pełnym zaskoczenia tonie sprawiło, że poczułam dreszcz nadziei.

- Dlaczego tak myślisz, Pree? Przełknęłam ślinę.

- Miałaś z moim ojcem Kaia. I Adrianę. Pokręciła lekko głową.

- Adriana nie była dzieckiem twojego ojca.

- Słyszałam - odparłam. - Kiedy umierał, powiedział,

że nie wolno ci mówić o dziewczynce. Nie mów o dziewczynce.

Słyszałam to, Glory.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Tak. Powiedział to. Ale nie chodziło mu o Adrianę. Miał na myśli ciebie. To ty jesteś tą dziewczynką.

Nagle przypomniałam sobie, jak spojrzała na mnie Glory, gdy ojciec wypowiedział te słowa.

- Rozumiem - powiedziałam, unosząc podbródek. -Chciał mnie chronić. Chciał, żebym nadal wierzyła, że kobieta, która mnie wychowała, była moją matką. Ponieważ mnie kochał. Mój ojciec mnie kochał - mówiłam jeszcze głośniej.

- Twój ojciec? - zakaszłała, a jej twarz ściągnęła się z wysiłku. - Chcesz mówić o wielebnym Fincastle? Chcesz grać z Glory w grę matka-ojciec? Chętnie zagram. - Z prawej dziurki w jej nosie wyciekła strużka krwi. Znów zakaszłała, a strużka zrobiła się gęstsza.

- To nie jest gra. Chcę tylko usłyszeć prawdę. Zasługuję na prawdę, Glory.

Przynajmniej już się nie uśmiechała.

- Dobrze - powiedziała i przyłożyła knykcie zdrowej ręki do nosa. Odsunęła rękę i spojrzała na rozmazaną krew. - Nie ma powodu, by ukrywać sekrety. - Uniosła koniec sari i wytarła krew. Zamknęła oczy. - Po tak długim czasie wyrzuciłam z pamięci te rzeczy. Nie mają już znaczenia.

Nie powiedziała nic więcej i myślałam, że zasypia oparta o róg kanapy.

Gdy nie mogłam tego dłużej znieść, wybuchnęłam.

- Ale ja się domyśliłam, prawda? Jesteś moją matką? Kiedy się urodziłam, moja mat... - Jak miałam teraz nazywać kobietę, którą zawsze uważałam za swoją matkę? - Oddałaś mnie. Oddałaś, żeby mnie wychowywała jako swoje dziecko. - Przeszłam na hindi, bo chciałam, by Glory mówiła do mnie w swoim ojczystym języku. Nie znosiłam jej mizdrzącego się angielskiego głosu.

Kiedy wypowiedziałam pierwsze zdanie, otworzyła oczy. Na jej twarzy nie widać było żadnych emocji.

- Musisz poznać stare sekrety? - zapytała nadal po angielsku. Nagle utkwiała wzrok w rozbitym pianinie. Ja też na nie spojrzałam; wykrzywiona klawiatura przypominała upiorny uśmiech wyłamanych zębów Glory.

- Ajajaj. Moje bardzo piękne pianino. - Wzruszyła ramionami. - A więc Pree chce wiedzieć - ciągnęła po angielsku. - Nawet ja nie myślę o tym tak długo. Nie obchodzi mnie to. Dla mnie to nic. To było tak dawno... Ile masz lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? Tyle lat. Każesz mi przypominać stare historie. Więc ci powiem. Czemu nie? Jesteś teraz niczym. Nikt o ciebie nie dba. Nie ma sensu tak długo trzymać tego w tajemnicy. Krew pulsowała mi w uszach. Siedziałam nieruchomo, jakby w moim ciele mogła się rozbić jakaś delikatna rzecz, gdybym nagle się poruszyła. - Nikt nie dba - powtórzyła. - Nikt nie dba od dawna. Milczałam, kiedy Samuel żył, bo mi kazał. Więc dawno temu, kiedy do nas przyszedł, Samuel powiedział: jeśli powiesz, przepędzę cię. Zostawisz Kaia i wrócisz do dawnego życia. Mówię mu, Samuelu, jeśli każesz mi odejść, powiem mem Fin o Kaiu. On na to: dobrze, dobrze, powiedz memsahib. Powiedz memsahib, zostaw Kaia i idź sobie. On jest moim synem. Memsahib będzie jego matką.

Zobaczyłam wyraźnie tę scenę. Ojciec i Glory szantażowali się nawzajem, by zachować swoje sekrety. Glory oddawała się ojcu, kiedy tylko miał na to ochotę, bo wiedziała, że dzięki temu ma nad nim władzę. I wiedziała, że nigdy jej nie wyrzuci. Każde z nich grało w swoją grę, wiedząc, że drugie spełnia wszystkie potrzeby.

„Kiedy do nas przyszedł”, powiedziała.

- Kiedy przyszedł, mówię tak, zrobię, co chce, obiecuję. Mem Fin żyła w szalonym świecie, nawet wtedy. Dziecko - Alice Ann - umiera i mem traci rozum. Płacze, płacze cały dzień i noc. Samuel jest chory, długi czas. - Dotknęła swojej



lewej piersi. - Chory jak zawsze, tu w środku. Nic nie może robić. Misja w Allahabadzie niedobra: Samuel chory na ciele, mem na głowę. Chce tylko dziecka. Chłopca, dziewczynkę, obojętne, tylko dziecka. Ale nie hinduskiego. Może wziąć wiele hinduskich dzieci; małe dziewczynki wszędzie. Ale ona chce białe dziecko. Angielskie.

W pokoju panował absolutny spokój. Choć wyimaginowane odgłosy deszczu i nieba ucichły, rozlegało się prawdziwe, głośnie bzyczenie: między listewkami żaluzji utknęły muchy. Wnętrze zalewał żar południowego słońca; twarz miałam mokrą od potu. Otarłam czoło wierzchem dłoni.

Glory ostrożnie oblizwała usta.

- Zrób mi herbaty. Dużo gorącego mleka. Cukier. A potem ci powiem, jak tu przyszedłeś.

Nie mogłam jasno myśleć. „Kiedy do nas przyszedłeś”. Nie „kiedy się urodziłeś”. Powiedziała: „Jak tu przyszedłeś”. Czy mogłam wierzyć Glory, kiedy mówiła, że nie jest moją matką?

- Herbata, teraz - zażądała.

- Nie ma mleka. Marta uciekła — powiedziałam i wyszłam. Moje ręce same wiedziały, co robić. Głowa nie musiała im nic podpowiadać.

Czułam, jakby wewnątrz mojej czaszki było powleczone jakąś gęstą i lepką substancją. Trudno było mi patrzeć i słyszeć, ale moje ręce poruszały się z intensywnością osoby niewidomej, która nie zwraca na nic uwagi, tylko koncentruje się na tej jednej czynności. Jakbym robiąc herbatę, zdawała jakiś egzamin, używała klucza, by coś otworzyć i otrzymać za to nagrodę. Rozpaliłam ogień w piecu z cegieł. Nabrałam świeżej wody ze studni i nalałam ją do miedzianego garnka. Usiadłam. W końcu zobaczyłam, że woda się gotuje; nie zauważyłam pierwszych banieczek przy ściankach, powolnego bulgotania, a potem wściekłych pęcherzyków wypływających na powierzchnię.

Owinęłam wokół dłoni kawałek maty, chwyciłam rączkę garnka i wlałam wodę na liście herbaty, które wcześniej wsypałam do starego mosiężnego dzbanka.

Zaniosłam dzbanek i miedzianą puszkę na cukier do domu. Postawiłam je na stoliku przed Glory.

- Chcę porcelanową filiżankę - powiedziała w końcu w hindi - a nie ten miedziany kubek, który podsuwałaś mi przez kilka ostatnich dni.

Zauważyłam, że powoli powraca jej poczucie wyższości.

Weszłam do jadalni i znalazłam na podłodze łyżeczkę i filiżankę w kwiatki. Wróciłam z nią do sypialni i nalałam herbatę, dodając dwie czubate łyżeczki brązowego cukru, i zamieszałam. Postawiłam filiżankę przed Glory.

- Bez spodeczka? - zapytała. Nie odpowiedziałam.

Lewą ręką ujęła filiżankę, próbując zakrzywić mały palec, ale wyglądało to niezgrabnie. Podniosła do ust, dmuchając na parujący, pachnący płyn. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz jadłam lub piłam.

Wróciłam na krzesło i usiadłam. Patrzyłam, jak Glory powoli pije. Jeden łyk. Drugi. Potem trzeci i czwarty.

- Słyszałaś o sipajach i ich buncie przeciwko Anglikom? - spytała Glory, odstawiając filiżankę na stolik.

Skinęłam głową. Stare historie, którymi kiedyś straszyla mnie matka, nadal żyły w mojej pamięci.

- Nalej mi jeszcze herbaty - poprosiła. Podałam jej filiżankę.

- Sipajowie mieli swój okrzyk bojowy - powiedziała, sięgając po pełną filiżankę, którą trzymałam w wyciągniętej ręce. - Nadal go pamiętam.

*Sara lal hai*, krzyczeli. *Sara lal hai*.

Filiżanka wyśliznęła mi się z ręki i rozbiła na podłodze. Herbata oblała brzeg sari Glory i moje bosc stopy. Parzyło. Pomyślałam o mojej matce w płomieniach.

- Ajajaj. Niezgrabna dziewczyna. Nalej jeszcze jedną. Cofnęłam się tylko.

Nogi nagle zaczęły mi się trząść,

zasłoniłam oczy ręką i skuliłam ramiona, jakby w oczekiwaniu na cios.

*Sara lal hai*. Wszystko jest czerwone. Wody Rawi znów zamknęły się nad moją głową; czułam jej po-

teżny prąd, dusiłam się od miedzianego odoru, gdy woda zalewała mi nos. *Sara lal hai*, słyszałam, tracąc przytomność pod tamtą brązową wodą.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Glory. - Dlaczego... - Zdjęłam rękę z oczu i wyciągnęłam, by ją uciszyć.

- Co to znaczy? Wszystko jest czerwone. Dlaczego to krzyczeli? - Oddychałam tak ciężko, że mówienie przychodziło mi z trudem. Chyba nie dostrzegą, co się ze mną dzieje.

- Czerwony to kolor brytyjskich rządów i krwi. Sipajowie planowali powstanie kilka miesięcy przed pierwszymi atakami. Małe drukowane kartki zapiekano w *chapatti* i rozdawano wśród żołnierzy w północnych Indiach. Wiadomość brzmiała *Sub lal ho gaea hai*. Wszystko stało się czerwone - Brytyjczycy przejęli nasz kraj, a teraz my go odbierzemy. To miało przygotować wszystkich na rozlew krwi - powiedziała. -

Przynajmniej tak głosi ta historia.

Mówiła dalej coś o sipajach, ale ja już nic nie słyszałam; zupełnie jakby błotnista woda zasilonej przez monsuny Rawi wpłynęła mi do uszu i sprawiła, że zakreśliło mi się w głowie, miałam wrażenie, że wiruję zawieszona wokół pobożnego mężczyzny w Lahore.

Z dziwnym roztargnieniem wpatrywałam się w podłogę między stopami Glory i moimi. Wypaczone drewno przypominało fale napędzane przez wiatr. Szlam zatykający mi uszy coś szeptał. Poczułam w ustach słodki smak. Był znajomy, a jednak nie potrafiłam go nazwać.

Denerwujący ruch, gdy niósł mnie ktoś, kto biegł, smak w ustach, dudnienie w uszach, woda Rawi na twarzy... Pochyliłam się i zwymiotowałam, wyrzucając na podłogę garść szklistej śliny: nic nie miałam w żołądku. Ślina pociekła po mojej *kurcie* na stopy, nadal mokre od słodkiej herbaty. Przez cały czas głos nie przestawał szeptać, szeptać imienia, które brzmiało niemal jak Pree.

„Wszystko jest czerwone”.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Moja *kurta* wydzielala silny, kwaśny zapach. Znów usiadłam na krześle.  
- Brudna dziewczyna - powiedziała Glory. Spojrzałam na nią tępo. Glory, którą zawsze otaczała stęchła woń starej farby do twarzy i ostry zapach ostatniego mężczyzny między nogami. Glory, siedząca teraz w poplamionym ubraniu. I ona nazywa mnie brudną.

- Twoje imię nie jest zapisane w Biblii, bo nie jesteś dzieckiem wielebnego - powiedziała, a potem wydała z siebie cichy stłumiony dźwięk, jakby oczyszczała gardło z flegmy lub przełykała resztę krwi, która spłynęła z jej rozbitego nosa. - I nie jesteś moim dzieckiem. Mrugałam oczami, wpatrując się w nią intensywnie. W tej chwili wierzyłam jej. Mimo całej jej niemoralności, przebiegłości i kłamstw, wierzyłam jej. Nie była moją matką. Nie miała powodu, by się tego wypierać. Czyż nie poczułam ulgi?

- Ale... nie jestem dzieckiem mojego ojca.... - spojrzałam w oczy Glory. - Chcesz powiedzieć, że moja matka - zaczęłam powoli, spuszczać wzrok na kolana, bo nie mogłam na nią patrzeć, gdy wypowiadałam te niewiarygodne słowa - poczęła mnie z innym mężczyzną?

Na chwilę zapadła cisza, a potem usłyszałam dziwny dźwięk. Spojrzałam na Glory, myśląc, że dusi się swoją własną krwią. Ale ona tylko się śmiała, paskudnie przy tym bulgocząc.

- Mem Fin? Z innym mężczyzną? Nie rozkładała nóg nawet dla męża przez wiele, wiele lat. Nie rozumiesz, co do

ciebie mówię? Nie byłaś dzieckiem Fincastle'ów. Nie byli twoimi rodzicami.

- Co...

To było zbyt porażające; nie miałam dość miejsca w głowie na to wyznanie. Oparłam łokcie na kolanach i zakryłam twarz dłońmi.

Usłyszałam bulgotanie płynu i brzęk łyżeczki. Glory naląła sobie kolejną filiżankę herbaty.

- I co? Nie chcesz wiedzieć, skąd się tu wzięłaś? - zapytała.

Podniosłam wzrok.

- Walki toczyły się w całych północnych Indiach. W Delhi, Meerut, Lucknow, Cawnpore. W wielu, wielu miejscach - powiedziała, choć już o tym wiedziałam. -A kiedy się skończyły, jakaś kobieta przyniosła cię do misji w Allahabadzie - powiedziała spokojnie, jakby mówiła, że herbata, którą sobie naląła, jest za gorąca albo że potrzebuje więcej cukru. - Było to kilka miesięcy po ustaniu walk, latem 1858 roku.

Pozwoliłam, by jej słowa w pełni do mnie dotarły.

- Czy to był siedemnasty sierpnia? - zapytałam w końcu cicho. Moje urodziny. Data, którą mi podano. - Czy wtedy przyniesiono mnie do misji?

Glory wzruszyła ramionami.

- Może. Nie pamiętam. To było w czasie pory monsu-nowej. Mem Fin uważała, że musisz mieć dwa lata, trochę mniej lub trochę więcej, bo choć byłaś chorowita i niedożywiona, potrafiłaś już dobrze chodzić. Mówiłam, że masz mniej, jesteś za mała, ale mem powiedziała: Spójrz, ma wszystkie zęby.

Mówiąc to, przesunęła powoli językiem w ustach, ostrożnie dotykając pustego miejsca, gdzie jeszcze przed kilkoma dniami rosły przednie zęby.

Wydała z siebie cichy dźwięk przerażenia.

- Każę sobie wstawić złote - powiedziała w powietrze, delikatnie przykładając palec wskazujący do poranionych dziąseł. Nie wyglądała już na przerażoną, jakby

nie była ofiarą, lecz jedynie świadkiem swojej własnej tragedii.

- Kobieta, która mnie przyprowadziła - powiedziałam. - Kim była?

Glory wyjęła palec z ust.

- Miała nadzieję, że coś zarobi. Prosiła o dużo rupii jako zapłatę za oddanie angielskiego dziecka Anglikom. Ciebie, oczywiście.

Skinęłam głową.

- Ale ja mówię do mem Fin, że ta kobieta jest na pewno twoją matką.

Zadała się z Anglikiem i chciała się pozbyć ciężaru, bezużytecznej dziewczynki półkrwi. Ona sama była Hinduską z niskiej kasty.

- Hinduską? - powiedziałam, wstając powoli. - Alenie. Jestem Angielką. Jestem... jestem biała. - Wyciągnęłam rękę, jakbym chciała ją przekonać. Jednak kiedy patrzyłam na moją opaloną skórę, ogarnęła mnie taka słabość, że znów musiałam ciężko usiąść.

Glory rzuciła mi ten sam przerażający uśmiech. Jej słowa dźwięczały mi w głowie. Bezużyteczna dziewczynka półkrwi. Jak ona. Jak jej własna córka.

- Jesteś taka pewna, że jesteś Angielką, Pree? Tak mówiła mem Fin, że jesteś zaginionym angielskim dzieckiem z Wiatru Diabła, powstania sipajów. Ale myślę, że jesteś taka jak ja. Jak Kai. Jak Adriana. Jesteś po prostu mieszańcem, a nie zaginionym dzieckiem.

- Zaginionym dzieckiem?

- Oczywiście. W całym tym zabijaniu i chaosie ginęły dzieci. Zawsze giną w takich czasach. Zostają sierotami albo giną rodzicom. Po powstaniu, kiedy znajdowano żywe białe dziecko, często u boku martwych rodziców, tubylcy oddawali je Brytyjczykom i domagali się zapłaty.

- I dlatego tamta kobieta przyprowadziła mnie do misji w Allahabadzie - oświadczyłam. - A może była moja *ają*. Jestem jednym z zaginionych brytyjskich dzieci.

Glory powoli pokręciła głową.

- Nigdy w to nie wierzyłam.

- Czy ona tak nie mówiła?

- Tak. Ale była brudną żebraczką. Na pewno kłamała. Byłaś zawszona i okropnie śmierdziałaś. Byłaś owinięta w jakieś szmaty. Początkowo nic nie mówiłaś; milczałaś przez parę miesięcy. Mem Fin mówiła, że to z powodu szoku. A potem, kiedy wreszcie zaczęłaś mówić, mieszałaś angielskie, hinduskie i jeszcze jakieś słowa. Nikt z nas nie mógł cię zrozumieć. Kto mógł więc powiedzieć, czy ta kobieta była twoją matką? A jeśli nie była, nikt się nigdy nie dowie, gdzie cię znalazła ani kim byłaś. Kim byłam. Kim jestem. Cienie przesunęły się na ścianach i światło zrobiło się ziarniste. Glory opowiadała dalej, jak długo krzyczałam w nocy przerażona, lecz mój mózg znów skrył się pod ciężką chmurą. Za dużo, za dużo. Nie mogłam jasno myśleć. Bezużyteczne, niezwiązane ze sobą myśli przychodziły mi do głowy: lustro wiszące przy drzwiach spadło na podłogę, ale się nie rozbiło, duży zegar, który stał w misji, odkąd sięgałam pamięcią, już nie tykał. Gdzie jest? Pewnie leży gdzieś roztrzaskany, być może pod pianinem lub za połamaną biblioteczką. Ostatnia z filiżanek mojej matki... Eve Fincastle, rozbiła się, została już tylko ta, z której piła Glory.

Na werandzie rozległo się ukradkowe szuranie, a potem węszenie.

Pomyślałam o Jassie. Na pewno ma cieczkę i jakiś odważny bezpański pies podąża za jej zapachem.

Próbowałam znów wyciągnąć coś od Glory. Nadal popijała herbatę.

- Czy tamta kobieta powiedziała, że mam na imię Priscilla?

Glory zamknęła zdrowe oko.

- Kto to pamięta po tylu latach? Mem Fin chciała, żebyś miała tak na imię. Nie wiem, czy takie imię już nosiłaś, czy sama ci je wybrała. Otworzyła oko. - Ale teraz coś mi się przypomniało.

Czekałam.

- Nie odwracałaś się na dźwięk imienia Priscilla. Nie przychodziłaś do mem Fin, gdy tak cię wołała; mówiła, że jesteś uparta, mimo że taka mała. Ty... tak, to byłaś ty. Ty w końcu wymówiłaś swoje imię.

- Jakie? - dopytywałam się. - Jakie imię?

- Brzmiało jak Pree, a ty się tym zadowoliłaś. - Skinęła głową, jakby przypomniawszy sobie coś jeszcze. - I płakałaś, płakałaś, zawsze wypowiadając jakieś słowo. - Zmarszczyła brwi. - Ale jak mam to pamiętać po tych wszystkich latach? To coś, czego chciałaś i wyciągałaś po to rękę, zwłaszcza gdy szłaś spać. Przez długi czas nie można cię było uspokoić. - Znów zamknęła oko i opadły jej usta. - To wszystko, co wiem o tamtych czasach.

Dostrzegłam mięsisty koniuszek języka w dziurze po wyrwanych zębach.

- To dlatego przyjechaliśmy tak daleko na północ, na to pustkowie - ciągnęła, nie otwierając oka. - Mem Fin bała się, że ktoś zacznie cię szukać. Nigdy o tym nie mówiła, ale ja wiedziałam. Chciała też wierzyć, że jesteś jej dzieckiem; nikt nie mógł wiedzieć, że zabrała cię z ramion innej kobiety i tutaj nikt o niczym nie wiedział. Mogła udawać.

Glory zamilkła.

Patrzyłam na nią i byłam pewna, że nie ma już nic do dodania i że tym razem powiedziała prawdę o moim pojawieniu się w misji w Allahabadzie. Na jej opuchniętej i posiniaczonej twarzy widać było ból i wyczerpanie, ale nie oszustwo. Nie mogła nic zyskać, okłamując mnie w tej sprawie.

Zostałam w saloniku, a Glory powoli pokuśtykała do sypialni.

Co mogę powiedzieć o moich uczuciach w czasie następnych długich godzin, kiedy siedziałam sama w gasnącym świetle dnia? Jak można zareagować na wieść, że całe życie, jakie się wiodło, było jednym wielkim kłamstwem?

Myślałam o Fincastle'ach. Moich rodzicach. Oczywiście



nadal myślałam o nich jako o rodzicach; wychowali mnie przecież jak własną córkę. Podeszłam do leżącego na podłodze lustra i podniosłam je. Drut, na którym wisiało, był przerwany, ale przytrzymałam je przed sobą. W lekkim mroku wczesnego wieczoru spojrzałam na odbicie młodej kobiety. Nagle stała się obcą osobą. Tak jakby to, czego się dowiedziałam, odmieniło mnie; widziałam teraz przed sobą kobietę, która nie była ani Angielką, ani Hinduską.

Ale nie tylko moje zewnętrzne odbicie wydawało mi się zupełnie odmienne; w środku też się zmieniłam. Moja krew nie była krwią misjonarzy. Kim byłam? Nadal byłam Priscillą Fincastle, nazywaną Pree, ale również kimś innym. Kimś ukrytym przed moim wzrokiem, przed wszystkimi, którzy na mnie patrzyli. Kim byli ludzie, którzy powołali mnie na świat? Co po nich odziedziczyłam?

Odłożyłam lustro i przycisnęłam palce do szyi, czując pod nimi pulsującą krew. Czy jeśli wsłucham się uważnie, uda mi się coś usłyszeć? Jakąś wskazówkę dotyczącą mojego prawdziwego ja? Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Poznanie prawdy - a przynajmniej jej części, że nie jestem rodzoną córką Fincastle'ów - przyniosło ze sobą ból. No proszę, pomyślałam, nie wiesz, kim jesteś.

Uczucie, które przyszło po chwili, było czymś na kształt ulgi. Może teraz będę mogła przestać wszystko kwestionować, przestać podawać w wątpliwość swoje własne uczucia. Jeśli nie byłam córką misjonarzy, może teraz przestanę odczuwać wyrzuty sumienia, że tak bardzo nie spełniałam pokładanych we mnie oczekiwań i nadziei?

Może od dawna podejrzewałam, że coś mnie niepokoi, wprawia w zakłopotanie, a jednak nigdy nie było to nic namacalnego, pewnego. Próbowałam odtworzyć chwile z przeszłości, szukając niezrozumiałych uwag, wyrazów twarzy. Pojawiły się stare, rozmyte, odległe wspomnienia, które opadły mnie pod wodą Rawi i w chwili, gdy Glory wypowiedziała słowa, które skądś zapamiętałam. *Sara lal hai.*

Powoli wszystko to przyniosło poczucie dziwnej wol-

ności. Nie byłam córką misjonarzy. Nie byłam niczyją córką. Przybyłam do misji jako zaginione dziecko i nic nie wiązało mnie z moją przeszłością.

A teraz nic nie określało mojej przyszłości. Nie byłam nic nikomu winna. Nie miałam nic więcej do stracenia.

Poszłam do składziku z plecioną matą i poduszką. Zamknęłam się od środka na kłódkę.

Leżąc w ciemności na macie, znów mogłam jasno myśleć. A razem z tą jasnością powróciły obawy. Pułkownik oczywiście znowu się zjawi.

Dziwne, że jeszcze tego nie zrobił. W składziku usłyszałabym go na pewno. Mogłam wyjść przez okno i skryć się w nocy, zanim on zacząłby mnie tu szukać i otworzył kopniakiem drzwi.

Na razie byłam bezpieczna. Ale musiałam wyjechać z misji i udać się do Peszawaru. Z tą myślą usiadłam.

Kai nie był więc moim bratem. Myśl, że łączyły nas więzy krwi tak bardzo mnie niepokoiła, a jednak teraz... Czy to naprawdę miało jakieś znaczenie? Kai nie był już częścią mojego życia. Nie chciał być, bez względu na rodzaj łączącej nas zażyłości - więzy krwi, przyjaźń czy coś więcej.

Znów się położyłam. Nie będę już myśleć o Kaiu. Musiałam myśleć o wyjeździe do Peszawaru. Ten plan się nie zmienił. Mimo że nie musiałam już dźwigać ciężaru dziedzictwa moich rodziców, nadal nie miałam innego wyboru.

Powróciło wspomnienie ręki pana Langa na moim karku. Jednak po tym, co tu przeszłam, nie będzie niczym więcej jak tylko natrętą muchą.

Mogę go pacnąć i zniknie. Nie stanowił zagrożenia.

Peszawar był równie dobrym miejscem jak każde inne, a tam przynajmniej znajdę schronienie. Pojawiła się jednak nowa trudność i musiałam znaleźć sposób, jak zrealizować mój plan. Wszystkie egzemplarze Biblii były zniszczone; nie mogłam ich sprzedać. Nawet Marta zniknęła, nie mogłam więc jechać sama. Była to podróż licząca ponad czterysta

mil. Wozem zaprzężonym w wołu - czyli najtaniej - zajęłaby blisko dwa tygodnie. Musiałam wynająć wóz i woźnicę w Lahore oraz płacić za jedzenie po drodze.

Na to będę potrzebowała więcej pieniędzy niż garść ann, którą Glory mogła mieć w torebce po ostatnich zakupach w Lahore. Potrzebowałam rupii.

Leżałam w ciemnościach, spoglądając na wysokie kwadratowe okno, przez które wyglądałam podczas kary odbywanej w dzieciństwie. Zerwał się nocny wiatr i zaszeleścił liśćmi; ich rozkołysane gałęzie tworzyły osobliwe wzory na ścianach składziku.

Moje myśli poruszały się jak one, przesypując się i zmieniając. Nie miałam niczego. Nie znałam też sposobu, jak zdobyć potrzebną sumę; nawet oferta starego Sanosha, choć wzruszająca, nie przybliży mnie do wymaganej kwoty.

Nagle stanęła mi przed oczami wizja tak nieoczekiwana i wstrząsająca, że usiadłam, kręcąc głową, jakbym spierała się z niewidzialną siłą.

Znów się położyłam. Nie. Nie zrobię tego. Nie mogę. Wizja była plugawa i odrażająca.

Słuchałam wiatru w drzewach i nadal obserwowałam płynny, niemal zmysłowy taniec cieni.

Nie. Nie mogłabym.

Następnego ranka jeszcze przed wschodem słońca zagrzałam wodę. Nie mogłam w nocy zmrużyć oka, ale nie czułam zmęczenia. Cały czas zmagalam się z własnymi myślami tak mocno, jakbym walczyła z mrocznymi siłami szatana. I w końcu poddałam się. Czy nie byłam dość silna, a może byłam zbyt silna? Miałam tylko jedno wyjście, tak jak okno w składziku było kiedyś jedyną drogą ucieczki.

Aby opuścić to miejsce, muszę stawić czoło największemu strachowi.

Muszę urzeczywistnić coś, co do tej pory było jedynie straszliwą groźbą.

Umyłam się i weszłam do domu. Glory spała głęboko. Przerzuciłam jej garderobę i wybrałam piękne sari z zielonego jedwabiu, z brązowymi lamówkami. Na każdą rękę wsunęłam co najmniej tuzin bransoletek i jedną złotą na kostkę. Spoglądając w lustro, obrysowałam oczy *surmaq*. Przed ósmą byłam już na Grand Trunk Road.

Ublągałam woźnicę na przejeżdżającym wozie, żeby mnie zabrał. Kiedy dotarłam do koszar na przedmieściach Lahore, przemówiłam do jednego z dwóch chorążych, którzy stali na warcie przy bramie.

- Powiedz, proszę, pułkownikowi, że panna Pree Fin-castle chce z nim mówić.

Młody chorąży spojrzał na mnie podejrzliwie.

- O którego pułkownika pani chodzi? - zapytał. Zamrugalam oczami.

- Nie... nie wiem. Jest wysoki i ma jasnobrązowe włosy. Szare oczy. I bliznę, o tutaj. - Przesunęłam palcem pod dolną wargę.

Chorąży skinął głową. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, kiedy odwrócił się i odszedł. Zastanowiłam się, jak często młode kobiety w sari podchodziły do bramy i pytały o pułkownika.

Obserwowałam sępa, który przysiadł na poboczu drogi, trzymając w zakrzywionym dziobie martwego królika. Rozerwał go łapczywie, wyciągając wnętrzności i połykał je rytmicznymi ruchami. Kiwał głową na boki za każdym razem, gdy zbliżały się kroki lub tętent koni, a koniec wnętrzności zwisał z jego wielkiego dzioba jak gruby robak.

Pułkownik podszedł do bramy razem z chorążym. Zasłoniłam szalem dół twarzy.

- No proszę. Co za niespodzianka. - Na jego twarzy malowała się z trudem ukrywana satysfakcja. Ujął mnie pod ramię i poprowadził na dziedziniec koszar. W cieniu muru przyglądał mi się od czubka zakrytej szalem głowy po boscie stopy z pojedynczą złotą bransoletką na prawej kostce.

- Wyglądasz bardzo pięknie, Pree - powiedział. - Zu-

pełnie nie przypominasz tej zaniedbanej dziewczyny którą widywałam w domu. Ja jednak wiedziałem, co się kryje pod tym bezkształtnym, brzydkim ubraniem. Jestem znawcą kobiet. Wszelkiego rodzaju. Ale muszę przyznać, że nigdy nie podejrzewałem, że potrafisz tak zmienić swój wygląd.

Puściłam koniec przezroczystego szala i uniosłam twarz, by spojrzeć mu w oczy. Zauważyłam, jak zwięzają mu się źrenice, i wiedziałam już, że nie będzie to aż tak trudne, jak się obawiałam.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał. Uśmiechnęłam się.

- Chciałabym porozmawiać z panem o pewnym interesie.

Zmarszczył zabawnie brwi.

- Interesie?

- Możemy gdzieś pójść? W jakieś ustronne miejsce? Był jeszcze bardziej zaskoczony niż w chwili, gdy mnie zobaczył.

- Dobrze. Chodź tędy - powiedział i ruszyłam za nim. Czułam ulgę, że Eddie jest na manewrach, bo gdyby zobaczył mnie z pułkownikiem i nie znał powodów, jakie mnie tu przywiodły, czułabym się jeszcze gorzej.

Pułkownik zaprowadził mnie do rzędu oficerskich bungalów. Nie chciałam patrzeć na żołnierzy, którzy nas obserwowali. Zatrzymał się przed jednym z budynków, otworzył drzwi i czekał, żebym weszła. Ja jednak odwróciłam się twarzą do niego.

- Glory bardzo źle się czuje - oznajmiłam wprost. Przekrzywił głowę.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Co się stało biedaczce? Patrzyłam na niego uporczywie. Czy naprawdę oczekiwał, że mu uwierzę? Że nie pamięta, co się stało?

- Pan ją pobił.

Zamrugał powiekami. Coś przemknęło przez jego twarz, a potem wzruszył ramionami.

- Przyjechałaś tutaj z tak daleka i wyglądasz tak cudownie, żeby porozmawiać o Glory? - Wskazał gestem

otwarte drzwi i znów próbował wprowadzić mnie do środka. - Nie pozwólmy, by wszyscy się o tym dowiedzieli, Pree - rzekł. - Nie patrz tu przychylnym okiem, gdy sprowadza się kobiety do prywatnych kwater. Wejź do środka. Proszę - dodał. Nie ruszyłam się z miejsca.

- Jestem tutaj, bo wiem od Glory, ile pan jest skłonny za mnie zapłacić - powiedziałam. - Dwadzieścia rupii. Zapłaci pan?

Jego twarz była nieprzenikniona.

- Przyszłaś więc do mnie po pieniądze?

Uniosłam brwi i spojrzałam mu w oczy. A z jakiego innego powodu miałabym tu przyjść? Naprawdę myślisz, że cię pożądam? Tak bardzo chciałam rzucić mu te słowa w twarz, ale pomyślałam o dwudziestu rupiach i wiedziałam, że muszę odegrać swoją rolę do końca.

- Oczywiście, że to nie jedyny powód - skłamałam tak gładko, że zaskoczyłam samą siebie. - Brakowało mi pana wizyt, pułkownika. I pomyślałam o tym, co pan kiedyś powiedział... Pamięta pan? - zapytałam, przekrzywiając głowę i uśmiechając się nieznacznie. - Że powinnam przeżyć swój pierwszy raz z mężczyzną takim jak pan.

To były właściwe słowa. Ujął moje ręce i pocierał kciukami moje stwardniałe dłonie.

Mój uśmiech był tak fałszywy jak moje słowa.

- Dwadzieścia rupii to mnóstwo pieniędzy - powiedział z uśmiechem, a ja delikatnie, lecz zdecydowanie wysunęłam dłonie z jego uścisku.

- Dwadzieścia rupii - powtórzyłam. Skinął głową.

- Dobrze. Ale pod warunkiem - pochylił się w moją stronę, przysuwając usta do mojego ucha - że jesteś taka, jak twierdzisz: nietknięta. - Odsunął się i mówił mi prosto w twarz tonem już nie tak aksamitnym. - Jeśli nie, to nie dostaniesz nawet jednej rupii, ceny, jaką płacę Glory i innym takim jak ona. Nie zrobisz ze mnie durnia.

- Nigdy bym nie śmiała, pułkowniku - powiedziałam i weszłam do środka.

Ujął mnie za rękę i poprowadził prosto do sypialni. Nie zawracał sobie głowy drobiazgami i nie zaproponował mi nic do picia. W głównym pokoju zauważyłam proste meble na wytartych dywanach i zaraz stanęliśmy na środku jego sypialni. Panował w niej porządek, czyste drewniane ściany nie były pomalowane, a podłogę przykrywał dywan w paski. Pod moskitierą stało starannie zasłane pojedyncze łóżko z szarym kocem i grubą poduszką, przy jednej ścianie drewniane biurko i krzesło, przy drugiej wąska szafa. W oknie widniała żaluzja z listewek. Pokój był mroczny i zaskakująco chłodny.

- I musi pan się zabezpieczyć - dodałam.

Wzięłam kilka osłon z zapasów Glory kiedy wybierałam sari. Mówiła o nich kiedyś, a raz nawet pokazała mi jedną z cienkich osłon robionych z jelit owiec. Powiedziała, że już nigdy nie urodzi dziecka i że tak można temu zapobiec. Trzeba złapać w to nasienie mężczyzny, zanim spłodzi dziecko.

Pułkownik pokręcił głową.

- Tego nie było w umowie.

Położyłam dłoń na jego piersi gestem, którego Glory tak często używała w kontaktach z mężczyznami.

- Przywiozłam kilka ze sobą. Oczywiście w największym rozmiarze. - Rzuciłam mu przeciągłe spojrzenie, czym zaskoczyłam samą siebie. Jakże łatwo naśladowałam sposób mówienia i zachowania Glory. Nie byłam nawet zawstydzona swoją bezpośredniością. Grałam rolę, tylko grałam. Nie jestem Pree Fincastle, lecz zagubioną dziewczyną nieznanego pochodzenia, która do nikogo nie należała.

- Nie ma powodu, żebym się zabezpieczał, jeśli jesteś tak czysta, jak twierdzisz. - Jego twarz pociemniała, zniknęła z niej żądza malująca się zaledwie przed chwilą. - Jeśli jesteś czysta, nie ma takiej potrzeby - powtórzył.

- Oczywiście, pułkowniku - zgodziłam się szybko, pociągając koniec sari udrapowany na ramieniu. Spojrzał na moje piersi, a jego źrenice znów się zwężyły. Martwiłam się, że jeśli będę nalegać na osłonę, mogę go rozgniewać i stracę jedyną okazję, by uciec z misji. Moje obawy nic go

przecież nie obchodziły. Mogłam się tylko modlić, że ryzyko, które zamierzałam podjąć, nie zaowocuje dzieckiem. Modlitwa! Czy naprawdę wierzyłam w jej moc?

Nadal się we mnie wpatrywał, a ja lekko pokręciłam głową, próbując się uśmiechnąć.

- Byłam zazdrosna o Glory - skłamałam bezwstydnie. - Bałam się, że mnie wyrzuci, jeśli okażę panu zainteresowanie, że będzie mnie trzymać z dala od pana. Ale Glory nie jest już przeszkodą. Zadbaj pan o to sam, prawda pułkowniku?

Obserwowałam jego twarz. Chciałam zobaczyć na niej choć cień przyznania się do winy, wyrzutów sumienia. Jednak widziałam tylko pożądanie. Twarz mu pociemniała i oddychał ciężiej.

- A kiedy obudziłam się dziś rano i uświadomiłam sobie, że Glory straciła swą władzę, nie chciałam czekać. - Przybliżyłam się, tak że moje udo dotknęło przodu jego spodni i z tego, co wyczułam, zorientowałam się, że jest na mnie gotowy. - Śniłam o panu, wiedząc, że jedynie pan może mnie zadowolić - szepnęłam.

Przesłodzony uśmiech nie zniknął z mojej twarzy; wyrzucałam z siebie słowa napisane piórem kogoś innego. Byłam postacią w książce, której nigdy nie czytałam, ale instynktownie znałam jej treść.

- Tak, tak - mruknął, naciskając na moje udo. Gdy ocierał się o mnie, lekko kołysał biodrami. - Zadowolę cię. Ale być może odbiorę cię innym mężczyznom, bo kiedy poznasz mnie, inni będą tylko rozczarowaniem. Z trudem ukrywałam obrzydzenie, ale uśmiech nie zniknął z mojej twarzy.

- W tym stroju, z podkreślonymi oczami masz twarz pięknej hinduskiej bogini - powiedział, obejmując mnie



ramieniem i przyciskając swoją twardość jeszcze mocniej. Przez moment ogarnęło mnie przerażenie na myśl o jego rozmiarze.

- Z sercem Kali - dodałam, choć nawet w moich uszach zabrzmiało to słabo.

Ujął mnie za rękę i poprowadził do łóżka. Kim się stałam?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Bałam się, miałam spocone dłonie i serce łomotało mi w piersiach. Bałam się i byłam przerażona, choć liczyłam na to, że trzeźwy pułkownik nie skrzywdzi mnie, jeśli będę mu posłuszna. Wiedziałam też, że rozpiera go duma i chce oszołamiać swoimi umiejętnościami.

Przez wiele lat słuchałam w infirmerii, jak kobiety opowiadały o sobie, wiedziałam doskonale, czego się spodziewać. Ale zawstydzła mnie myśl, że ten mężczyzna zobaczy mnie nagą i położy swoje dłonie na moim ciele. Choć starałam się być dzielna, straszliwie upokarzało mnie to, co zamierzałam zrobić.

Kiedy siedziałam na brzegu łóżka, lekko drżałam i niemal mogłam wyczuć podniecenie pułkownika. Wypełniało powietrze jak duch. Nie miałam wyjścia, musiałam patrzeć, jak powoli, leniwie zdejmuje ubranie. Choć matka zdecydowanie próbowała mi wmówić, że nagie ciało jest bezwstydne, w świecie, w którym żyłam, trudno było uniknąć nagości i przez całe życie oglądałam nagie ludzkie ciała - zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Najpierw patrzyłam z zaciekawieniem dziecka, kiedy matka ciągnęła mnie obok pokrytych mchem wałów na przedmieściach Lahore, odwracając głowę od nagich dzieci, kobiet i mężczyzn w cienkich, mokrych *dhoti* i sari oblepiających im ciała, podczas mycia na schodach prowadzących do rzeki. Od czasu do czasu przyglądałam się nagim, pokrytym popiołem świętym mężom, którzy odrzucili wszelkie ziemskie dobra i chodzili po ulicach Lahore i wiosek, głosząc swoje przekonania. Widziałam obnażone fragmenty

ciał mężczyzn i kobiet, którzy przychodzili do misji; choć matka dbała o to, bym nigdy nie wychodziła na frontową werandę lub wchodziła do infirmerii, kiedy ojciec badał mężczyznę. Jednak jako dziecko biegałam swobodnie, często niezauważona przez nikogo.

A od czasu gdy Glory zaczęła prowadzić swój „salon”, nieraz byłam mimowolnym świadkiem, jak żołnierz wychodził bez spodni, by oddać mocz nad barierką werandy zbyt pijany lub leniwy, by iść do wygodki. Ludzkie ciało i jego funkcjonowanie nie stanowiły dla mnie żadnych tajemnic, choć inaczej miała się sprawa z samym aktem, który miał teraz nastąpić.

Potężną pierś pułkownika pokrywały ciemne włosy. Jego skóra wyglądała na dziwnie szorstką i jeszcze zanim mnie dotknął, wiedziałam, że będzie sucha i nieprzyjemna. Jego ramiona i uda były mocno umięśnione, biodra wąskie, lecz wisiał nad nimi walek luźnej skóry, a brzuch nie był tak twardy, jak wydawało się, gdy chodził w mundurze. Od brzucha biegła w dół linia ciemnych włosów i nie chciałam podążać za nią wzrokiem, ale kiedy stanął przede mną, zdejmując spodnie, nie mogłam nie zauważyć tego, co znalazło się na wysokości moich oczu. To, co wyczułam przez jego ubranie, teraz się potwierdziło; nie mogłam sobie wyobrazić, by coś takich rozmiarów wsunęło się we mnie. Na chwilę ogarnęła mnie panika i musiałam zamknąć oczy.

- Nie bądź taka nieśmiała, panno Fincastle - powiedział cicho pułkownik.  
- Z pewnością podoba ci się to, co widzisz. Kobietom zawsze się podoba. No, otwórz oczy i przyjrzyj się. Naciesz się i pomyśl o tym, co cię czeka. Jak ten mężczyzna mógł być tak pewny siebie? Jego próżność była równie odpychająca jak jego ciało. Wzięłam głęboki oddech i wstałam, otwierając oczy, by spojrzeć na jego twarz, a nie na to, co tak bardzo chciał, bym obejrzała.

- Rzeczywiście wydajesz się czysta i niewinna - powiedział z uśmiechem.  
- Jesteś bardzo skromna. Przerażam cię?

Chciałam okazać pewność siebie, a jednak pułkownik widział wyraźnie, że jestem cała rozdygotana. Zrobisz to, powiedziałam w duchu. Bo jeśli ci się uda, nie będzie takiej rzeczy, której nie mogłabyś dokonać. To ostateczny test twojej siły i woli.

- To strach czy tylko podniecenie, panno Fincastle? - zapytał znów, a ja zmusiłam usta do uśmiechu.

- Trochę tego i trochę tego, pułkowniku - odparłam, siląc się na żartobliwy ton, ale mój głos przypominał bardziej żałosne miauczenie.

- To dobrze. Strach jeszcze bardziej mnie podnieca - szepnął i objął mnie ramionami, przyciągając do nagiego ciała. Nagłość tego gestu i mocny uścisk sprawiły, że wciągnęłam powietrze za szybko, zakrztusiłam się i odwróciłam głowę na bok. Nagle zrobiło mi się niedobrze. Co się stanie, jeśli zwymiotuję właśnie w tej chwili? Oddychałam z trudem.

- No, no, nie denerwuj się, malutka - uspokajał mnie, przesuwał dłońmi po moich nagich ramionach. Ukrył twarz w moich włosach. - Chodź. Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć - powiedział i choć uznałam, że to niemożliwe, serce zaczęło mi bić jeszcze szybciej, a nudności jeszcze mocniej ścisnęły mi żołądek.

Pułkownik bardzo wolno rozwijał moje sari i coraz głośniej przy tym oddychał. Stał przede mną, powoli mnie rozbierając, a wyraz jego twarzy przypominał dziecko, które ma przed sobą obiecaną nową zabawkę, albo psa z ukradzionym kawałkiem mięsa. Jego przyjemność była wyraźna; wydawał z siebie głębokie dźwięki, a od czasu do czasu przysuwał się i lizał mnie w szyję. Dotyk jego języka był nie do zniesienia. Chciał, bym się poddała jego urokowi, który roztaczał podczas spotkań u Glory, zanim alkohol zamieszał mu w głowie.

- Jesteś piękna, taka piękna - mruknął, odsłaniając moją

prawą pierś. - Twoja skóra nietknięta słońcem przypomina jedwab. - Pochylił głowę i kiedy poczułam, że zamyka usta na moim sutku, przewróciło mi się wszystko w żołądku, a jednak nie poruszyłam się. Zrobisz to.

Odwracał mnie na wszystkie strony, zdejmując całe sari, zsuwając dźwięczące bransoletki, całując najpierw jeden nadgarstek, potem drugi. Jego wąskie raczej usta posuwały się w górę mojej ręki, aż sięgnęły ramienia. I kiedy przesuwały się po mojej skórze, zdawały się wielkie i wilgotne.

Potem znów posadził mnie na brzegu łóżka, rozsunał mi uda, uklękł między nimi i przyciskał tors do mojego ciała. Po chwili przestał, uniósł mi ręce, które zwisały bezwładnie i założył je sobie na szyję; czułam pod palcami jego gęste włosy i wdychałam zapach pomady. Był lekko słodki; pułkownik pachniał też potem, skórą i tytoniem. Przysunął mnie bliżej do siebie, a potem jednym szybkim ruchem położył na łóżku i opadł na mnie. Był taki ciężki, że nie mogłam oddychać i wiałam się pod nim, odpychając dłońmi jego pierś.

- Nie - powiedziałam nagle przerażona.

Wszystko było zbyt prawdziwe, zbyt wyraźne: jego zapach, głos, ciało. Włosy na jego piersi i pomiędzy nogami były gęste i szorstkie. Przez jedną chwilę pomyślałam o Eddiem, jego gładkim ciele i zapachu mango na dłoniach. O Kaiu z jego lekkim korzennym zapachem, jego ustach na moich.

Nie chciałam być tutaj z tym brutalnym, bezmyślnym mężczyzną; nie chciałam, żeby to się stało. Jak mogłam wyobrazić sobie, że zdołam to zrobić? Poczułam się nagle jak wtedy, gdy byłam małym dzieckiem i pierwszy raz zamknięto mnie w składziku. Lub gdy budziłam się w nocy w łóżku na dźwięk grzmotu.

- Nie - krzyknęłam głośno, próbując złapać oddech.

- Ciii, wszystko w porządku - powiedział. Spojrzał w dół i zsunął się ze mnie. - Naprawdę nikt cię nie tknął?

A może tylko jesteś świetną aktorką? - Przekrzywił głowę na bok. - Jeśli to naprawdę jest twój pierwszy raz... Nie walcz ze mną, Pree. Nie zrobię ci krzywdy. - Jego głos był protekcyjny. Wyglądał jak nauczyciel, który chce czymś zaskoczyć swego ucznia.

Oddychałam głęboko, wpatrując się w jego twarz. Wiedziałam, że nie pozwoli mi odejść. Wiedziałam też, że jeśli zacznę się za bardzo opierać, weźmie mnie siłą i może sprawić mi ból. Nie miałam wyboru.

- Rozluźnij ręce i nogi - poinstruował mnie, a ja zmusiłam się, by oddychać spokojnie i próbowałam rozluźnić ciało. Przesuwał końcami palców w górę i w dół mojej ręki. -Nie opieraj się. Zamknij oczy i pozwól mi to zrobić. - Kiedy znów ułożył się między moimi nogami i przesunął palcami po mojej nagiej skórze, mogłam tylko myśleć o tym, że te same ręce zacisnęły się w pięści i poturbowały Glory.

Oddychając wolniej, lecz nadal chrapliwie, zacisnęłam powieki i objęłam jego biodra kolanami.

Kiedy wreszcie we mnie wszedł, najpierw poczułam jedynie tępy ból i wstrzymałam oddech. Zatrzymał się. Potem wcisnął się mocniej, a ból się nasilił. Uświadomiłam sobie, że cicho płaczę, i mówiąc nie, nie, kręcę głową. Kiedy ból rósł, nagle pojawił się nowy, tak szybki, ostry i nieoczekiwany, że poczułam się, jakbym była jedną z osłon od Glory, która nagle bezlitośnie się rozrywa. Krzyknęłam głośno zduszonym głosem i otworzyłam oczy.

Słyszając mój krzyk i widząc ból, przestał. Podniosłam na niego wzrok. Też miał otwarte oczy i uśmiechał się do mnie niemrawo.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął, jakbym była Jassie. Potem zaczął poruszać się we mnie powolnymi, rytmicznymi ruchami.

Przytuliłam usta do jego ramienia, gryząc go w skórę, by nie wydać z siebie dźwięku. Czułam tak wielki niesmak i tak nieznośną odrazę do niego i do siebie samej, że bałam się, iż zacznę kwilić żałośnie jak małe dziecko. A tego

nie chciałam. Brzęczące medaliki, które nosił na szyi, ocierały się o moje czoło przy każdym jego ruchu. Jego skóra pod moimi wargami była słona. Słona i sucha.

Nie mogłam znieść myśli o tym, co się ze mną dzieje, więc zaczęłam liczyć jego pchnięcia, jakbym liczyła uderzenia młotka o główkę gwoźdźcia. Po chwili pogubiłam się jednak i zamiast tego pomyślałam o rupiach. Doliczyłam do dwudziestu kilka razy, zanim skończył, wydając z siebie przeciągły jęk zadowolenia.

Kiedy już stoczył się ze mnie i spojrzał na małą plamę krwi na prześcieradle, roześmiał się. Był to śmiech chłopca zadowolonego, że znalazł dawno zgubioną kulkę do gry. Nienawidziłam tego śmiechu.

- Nieźle sobie poradziłaś jak na pierwszy raz - powiedział. - Bez zbędnego zamieszania. Podobało ci się?

Czy mi się podobało? Ostrożnie odsunęłam nogi. Czułam pod sobą wilgoć: krwi i tego, co zostawił pułkownik. Podobało ci się? - zapytał obojętnie, podczas gdy wszystko we mnie krzyczało, że nienawidzę jego i tego, co zrobił, jego ciała i zła, które na mnie przeszło.

Nie czekając na odpowiedź, uniósł leniwie pasmo moich włosów i owinał je sobie wokół palca.

- Mógłbym się przyzwyczaić do kobiety takiej jak ty. - Uniosłam się na łokciu i spojrzałam na niego. - Mam już dość starych dziwek takich jak Glory. Brak mi cierpliwości do tych gier, których oczekują młode Euroazjatki. Mam dość prezentów i nadszyciwania. Co do Angielek, to oczywiście możemy zapomnieć o niezamężnych, bo one myślą tylko o ślubie. - Do której kategorii mnie zaliczał, a może nie mieściłam się w żadnej? - Czasem jakaś mężatka, której mąż wyjechał, ma ochotę się zabawić, ale takie związki zawsze źle się kończą. - Puścił moje włosy i położył się na wznak, uśmiechając się do sufitu. - Nie wiem właściwie, czym się od nich różnisz, ale mógłbym cię polubić.

Powiedział to tak, jakby wręczał mi prezent. „Mógłbym cię polubić”.

Potem odwrócił się na bok i przesunął palcami po moich ustach.

- Podobaś mi się. Twoje pięknie wykrojone usta, ładne oczy. - Jego palce przesuwają się po mojej twarzy, jakby był jednym ze ślepych żebraków w Lahore lub jakby nigdy wcześniej mnie nie dotykał. - Twoje ciało, choć drobne, jest zbyt silne jak na kobietę. Ale dziwnie mnie pociąga.

-Przesunął rękami po moich ramionach i ścisnął je, jakby chciał sprawdzić siłę moich mięśni, i szeptał dalej o tym, jak wielką przyjemność sprawiłoby mu, gdyby mógł mi pokazać wszystkie sposoby, jakimi mężczyzna może zadowolić kobietę, i nauczyć, jak kobieta może zadowolić mężczyznę. Choć wydawał się teraz spokojny i już mnie nie przerażał, leżałam bez ruchu.

Przesunął rękę i obrócił mnie tak, że moja głowa znalazła się na jego ramieniu. Objął mnie i znów wbił wzrok w sufit.

- Co czujesz do Glory? - zapytał obojętnym głosem.

- Glory jest dla mnie nikim - odparłam tak samo bezbarwnie. To była prawda. Nic do niej nie czułam.

- To dobrze - powiedział. - Możesz się więc jej pozbyć? - zapytał.

- Pozbyć? Jak mam to rozumieć? - Spojrzałam na niego, lecz nic nie mogłam wyczytać z jego twarzy.

- To ty powinnaś prowadzić to miejsce. Nie ona. Przydałabyś mu trochę klasy.

Zadrżałam bezwiednie, kiedy przed oczami stanęła mi zmasakrowana twarz Glory, a on przyciągnął mnie bliżej.

- Chcesz, żebym się tym zajął? - szepnął w moje włosy. - To nic trudnego. W tej chwili nie miałam wątpliwości, że bez względu na to, jak bardzo był pijany, doskonale wie, co zrobił Glory. Nie poruszyłam się.

- Pomyśl, jak świetnie moglibyśmy się bawić - rzekł - gdybyś zajęła miejsce Glory.



Usiadłam, nie potrafiąc ukryć pogardy.

- Muszę wracać do misji.

- Jeszcze nie - powiedział, przeciągając palcem wskazującym po moich nagich plecach. Znów zadrżałam, a on wybuchnął śmiechem i przyciągnął do siebie. - Przyjadę dziś wieczorem z wizytą - dodał, a ja wstrzymałam oddech.

Tego nie przewidziałam; nie pomyślałam, że będzie się chciał znów ze mną zobaczyć. Myślałam, że pragnie tylko poczuć władzę, pozbawiając mnie dziewictwa.

- Ale da mi pan teraz moje rupie - powiedziałam spokojnym, obojętnym głosem, pomimo niepokoju, który we mnie wzbudził.

- A po co ci one teraz? Przywiozę wieczorem. Albo jeszcze lepiej: ja ci coś kupię. Coś, co jest warte znaczenie więcej niż dwadzieścia rupii.

- Och nie... - Zmusiłam się do uśmiechu, wysuwając się z jego ramion.

Usiadłam przed nim i przesunęłam palcami przez zmierzwiłone włosy. W pokoju było teraz bardzo gorąco, duszno. Na szyi pułkownika widać było warstwę potu. - Chcę kupić sobie nowe ubrania. Dziś musiałam włożyć sari Glory. Nie mam własnych. Co chciałby pan, żebym włożyła?

Proszę, daj mi rupie i pozwól odejść.

- Podobasz mi się taka - powiedział, obejmując mnie dłońmi w talii. Znów próbował mnie do siebie przyciągnąć. - Bez ubrania.

- Wiem - odrzekłam z uśmiechem. - Ale chcę dla pana pięknie wyglądać.

- Moja dziewczynka - powiedział i usiadł. Odsunął mi włosy i pocałował w szyję, tuż pod uchem, nadal lekko sinym po policzku, jaki mi wymierzył przed tygodniem.

- Da mi pan teraz rupie? Kupię coś w Lahore przed powrotem do domu. - Cieszyłam się, że nadal całuje mnie w szyję i nie może widzieć mojej twarzy. - Jaki jest pana ulubiony kolor? - zapytałam, próbując ignorować jego po-

całunki. Staralam się, by w moim głosie nie zadźwięczała szybko powracająca panika.

- Niebieski - rzekł stłumionym głosem. - Musisz kupić dla mnie piękną niebieską suknię. Na dzisiejszy wieczór.

- Dobrze - powiedziałam, spoglądając na czubek jego głowy. Zmusiłam się do krótkiego śmiechu. - Ale teraz musi pan pozwolić mi odejść.

Potrzebuję czasu, by wybrać odpowiednie rzeczy. Od tak dawna nie byłam w sklepach. Będę potrzebowała pantofelków i halek. I może kupię kapelusz. - Kłamstwa wylewały się ze mnie uroczym głosikiem, o którego posiadanie nigdy się nie podejrzewałam.

Wybuchnął śmiechem i wreszcie mnie puścił. Łóżko zapadło się, gdy wstał i zaczął się ubierać.

Zrobiłam to samo, a potem odwróciłam się do niego, wyciągając rękę dłonią do góry.

- Moje rupie, pułkowniku. - Uśmiechnęłam się słodko. Przekrzywiłam głowę, jakbym lekko go beształa, a on znów roześmiał się, zachwycony. Otworzył górną szufladę biurka i wyjął zwitek banknotów. Nie przeliczył ich. Mogłam mieć tylko nadzieję, że jest tam przynajmniej dwadzieścia rupii.

- Kiedy przyjedzie pan wieczorem, będę w pięknej nie-bieskiej sukni, wybranej specjalnie dla pana - obiecałam, biorąc pieniądze i wsuwając je za stanik. - Proszę poczekać, aż się ściemni, żeby mógł mnie pan zobaczyć w świetle lamp. - Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie posuwam się za daleko.

On jednak ujął mnie pod brodę, jakbym była dzieckiem, które go zadowoliło, i wyszliśmy w popołudniowe słońce. Kazał chorążemu przyprowadzić dla mnie klacz i poinstruował go, żeby towarzyszył mi w czasie zakupów i w drodze do misji, a potem odprowadził klacz do koszar. Najwyraźniej mi nie ufał; czy obawiał się, że sprzedam konia?

W istocie przemknęło mi przez myśl, że gdyby pozwolił mi ją zatrzymać, pojechałabym na niej do Peszawaru.

Pomógł mi usiąść w siodle. Musiałam zwinąć sari pod

sobą, by rozłożyć nogi, i wciągnęłam cicho powietrze, gdy siadając, poczułam ostry ból.

- Zabierz ją, gdzie tylko zechce - powiedział pułkownik do chorążego i z uśmiechem wsunął mi pasmo włosów za ucho. - Kup też butelkę whisky - polecił.

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze. - Uśmiech nie zniknął z mojej twarzy, choć usta drżały mi z wysiłku. Uśmiechałam się do czasu, gdy się odwróciłam i wyjechałam za chorążym z koszar. Kiedy byłam pewna, że pułkownik już mnie nie widzi, kąciki ust opadły, a do oczu napłynęły gorące łzy.

Zasłoniłam twarz szalem i płakałam, nie mogąc zapomnieć o leżącym na mnie pułkowniku i nowym bólu w miejscu, gdzie moje ciało stykało się z twardym siodłem.

Stało się i nic nie mogło tego odwrócić. Powtarzałam sobie, że to było jedyne wyjście i dlatego było właściwe. To, co poświęciłam, miało mi zapewnić ucieczkę od śmierci za życia, która stałaby się moim udziałem, gdybym została w misji. Nie będę teraz rozpamiętywać tego, co zrobiłam. Muszę myśleć o nowym życiu, które rozpocznę w Peszawarze.

Kiedy odzyskałam panowanie nad głosem, powiedziałam chorążemu, że chcę wracać od razu do misji. Obejrzał się na mnie przez ramię.

- Czy nie miałem pani zabrać do sklepów w dzielnicy?

- Chcę wracać do domu. Słyszałeś, co mówił pułkownik - powiedziałam twardym, obcym głosem. - Masz mnie zabrać, gdzie zechcę.

Skinął głową i odwrócił się.

Przynajmniej podróż konno do misji była o wiele szybsza od jazdy na trzeszczącym wozie. Kiedy znaleźliśmy się za bramami miasta, narzuciłam tempo. Najpierw jechałam za chorążym lekkim kłusem, a potem zmusiłam drobną klacz do galopu. Skórzane siodło ocierało mi uda, raniło w po-

śladki i paliło nową ranę, kiedy podskakiwałam raczej bez wdzięku, ale nie była to przecież pora na przejażdżki dla przyjemności. Kiedy galopowaliśmy, pęd powietrza zerwał mi szal z głowy. Odwróciłam się, by zobaczyć, jak odlatuje falą złota i zieleni. Chorąży zawołał, czy ma go podnieść. Nie, odkrzyknęłam, przyciskając mocniej pięty do boków klaczy. Kiedy po godzinie dotarliśmy do misji, byłam cała zlana potem. Ześliznęłam się z siodła i w milczeniu podałam chorążemu wodze, nawet na niego nie patrząc. Z pewnością dziwił go mój pośpiech, ale nic nie powiedział.

Kiedy prowadził konie do studni, by je napoić, poszłam do chaty i przyjrzałam się swojemu odbiciu w małym lusterku. Brodę miałam lekko zaczerwienioną w miejscu, gdzie pułkownik ocierał się swoim zarostem, kiedy mnie całował. Poza tym wyglądałam tak samo jak zawsze, z wyjątkiem lekko rozmazanej *surmy*. Spodziewałam się, że będę wyglądać inaczej. Bo czułam się inaczej; starsza i brudna, zniesmaczona sobą i tym, co zrobiłam. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, a moje oczy lśniły niebezpiecznie: były szkliste, jakby trawiła mnie gorączka, ale nie byłam chora. Intensywność spojrzenia podkreślało połączenie gniewu i smutku, a złote plamki błyskały na brązowym tle niczym płaskorzeźba.

Byłam zła na pułkownika. W uszach ciągle mi brzmiały jego natarczywe żądania i odrażający śmiech. Ale jeszcze bardziej byłam zła na siebie. Za to, że aż tak nisko upadłam.

A to wywołało smutek; smutek z powodu tego, co utraciłam - nie tylko czystość, lecz również szacunek do samej siebie.

Wyciągnęłam rupie z za stanika. Były wilgotne od kontaktu z moją spoconą skórą. Przeliczyłam. Drżały mi palce; musiałam liczyć dwa razy. Dwadzieścia cztery.

- Dobrze - powiedziałam na głos, rzucając banknoty na łóżko, jakbym rzeczywiście była upadłą kobietą, której rolę dziś odegrałam. Usłyszałam tętent dwóch koni, gdy chorąży wyjeżdżał z misji.

Potem usiadłam ciężko na łóżku, nagle pozbawiona energii. W ciągu minionego tygodnia dzieliłam łóżko z dwoma różnymi mężczyznami; z jednym niewinnie, z po wodu samotności, z drugim kłamliwie, z powodu wykal kulowanej żądz... choć nazwana desperacją wywoływała mniejsze wyrzuty sumienia.

Byłam upadłą kobietą; tego, co straciłam, nigdy nie można będzie zastąpić. Próbowałam sprawę bagatelizować.

Jakie to ma znaczenie? - zapytałam na głos w pustej chacie. - Jakie to ma znaczenie, że nie jestem już czysta? Nie miałam wyboru - powiedziałam zbyt głośno.

Czułam zapach pułkownika unoszący się na moim ciele i ten lekko kwaśny odór spowodował, że do gardła napłynęła mi żółć. Zostawiłam rupie na łóżku i przyniosłam do chaty pełne wiadro wody. Zerwałam z siebie sari Glory i bransoletki i rzuciłam wszystko na ziemię.

Wyszorowałam się kawałkiem flaneli. Woda była zimna; czułam jej świeży dotyk na skórze, kiedy zmywałam z siebie kurz i błoto z drogi, oraz resztki tego, co pozostawił pułkownik.

Z gwoździa na ścianie zdjęłam starą halkę matki i suknię, które kiedyś przerobiłam. Były smutne i ponure; bardzo chciałam włożyć jedną z jasnych ładnych sukienek Glory ale byłaby za mała. Wciągnęłam przez głowę smutną granatową bawełnę i z westchnieniem włożyłam znienawidzony różowy kapelusz.

Kiedy opadłam na kolana, by wyjąć spod pryczy zniszczoną płócienną torbę, usłyszałam brzęk miecza. Wyjęłam go, lecz był zbyt długi, by zmieścić się do torby. Żałowałam, że nie mogę go zabrać. Co mnie czeka na drodze do Pesza-waru? Przesunęłam palcami po zdobionej rękojeści i zaraz wsunęłam miecz z powrotem pod pryczę.

Zabrałam moje ulubione powieści: *Jane Eyre*, *Młyn nad Flossą* i *Pierścień i różę*. Wzięłam też książkę Woolstonecroft, którą dostałam od Kaia, czarną Biblię ojca i moją białą. Na koniec wyciągnęłam zniszczony egzemplarz *Anatomii Graya*, *Recepty medyczne* Mary Selby Lowndes i *Domową*

*medycynę* Williama Buchana - książki z infirmerii, które miałam w domu, gdy spłonęła. Położyłam wszystkie tomy na dnie. Chętnie zabrałabym więcej książek, ale wiedziałam, że torba będzie za ciężka. Wrzuciłam resztę ubrań, a na samym wierzchu położyłam zwinięty koc z pryczy. Wsunęłam stopy w stare buty matki i schowałam zwitek rupii do małej sakiewki ze sznurka. Owinęłam jej pasek wokół talii pod suknią. Spieszyłam się, mając stale przed oczami wyraz twarzy pułkownika. Bałam się, że może przyjechać do misji wcześniej. Kiedy wychodziłam z chaty na podwórze, nie miałam zamiaru wstępować do domu, ale nagle, zaskakując samą siebie, poczułam potrzebę, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Zakradłam się po cichu, by nie obudzić Glory; nie powinna wiedzieć, co już zrobiłam i co jeszcze zamierzam. Nie chciałam nawet zacząć myśleć, co może się z nią stać, kiedy pułkownik przyjedzie po mnie.

Glory spała oparta o róg kanapy. Na stoliku przed nią stała butelka whisky z resztą bursztynowego płynu na dnie; w zdrowej ręce trzymała na wpół pełną szklankę. Z jej otwartych ust dobiegały krótkie, rytmiczne chrapnięcia, a przez szparę w zębach wydobywał się cichy świst. W niekorzystnym popołudniowym świetle jej twarz nadal wyglądała okropnie, ale niektóre rany były jaśniejsze na brzegach i powoli nabierały zielonożółtej barwy. W tej chwili poczułam, że litość i obrzydzenie, jakie do niej czułam z wielu powodów - związku z moim ojcem, braku troski o własne dzieci, złe traktowanie i oczywiście życie, do jakiego mnie zmusiła - wydawało się maleć. Być może stało się tak dlatego, że opuszczałam to miejsce, a ona nigdy tego nie robi. Jej przyszłość nie mogła się niczym różnić od przeszłości, a moja, choć nieznana, musi być lepsza. Musi, powtarzałam sobie.

Glory nagle mruknęła coś niezrozumiałego, szklanka wypadła jej z ręki i potoczyła się po kanapie. Plama z whisky w kształcie liścia eukaliptusa rozlała się po wytartym ma-

teriale. Pomyślałam o plamie podobnego kształtu - lec/ szkarłatnej - która została pode mną na prześcieradle pul kownika.

W tej jednej chwili cała litość, jaką czułam dla tej zmaltretowanej kobiety, wyparowała i powróciło dobrze znane obrzydzenie. Cieszyłam się. Jeśli miałam wykonać swój plan i przeżyć, nie mogłam sobie pozwolić na żadne słabości.

Zatrzymałam się jeszcze raz, by rozejrzeć się po pokoju, i wyszłam z domu na mały cmentarz. Uklękałam przy kruszącym się nagrobkach i przesunęłam dłonią po każdym z nich. Te małe białe kamienie były jedyną rzeczą, za którą będę tęsknić, gdy już stąd wyjadę. Czułam, jakbym ich porzucała, jakbym porzucała ich wyryte imiona, imiona czwórki dzieci, które jak się w końcu okazało, nie były moim rodzeństwem. Dwa małe ciała nawet nie leżały pod ziemią.

Bez mojej opieki już po roku kamienie przewrócą się w wilgotnej ziemi po jednym z monsunów i owiną się wokół nich zielone splątane pnącza. W końcu kamienie zapadną się. Nie zostanie żaden namacalny ślad po dzieciach, które nigdy nie miały szansy, by przeżyć, po Elijahu, Alice Ann, Elizabeth i Gabrielu Fincastle. Zostaną dosłownie połknięte przez Indie. Zamknęłam oczy i odmówiłam za nich chrześcijańską modlitwę, a potem położyłam dłoń na dwóch rzecznych kamieniach, z których obłaziła biała farba. Samuel i Eve Fincastle. Moi rodzice: jedyni, jakich znałam.

Słabość charakteru mojego ojca, która pozwalała mu miotać się pomiędzy duchowymi i cielesnymi pragnieniami, nakazywała mu stale się modlić. Zmuszał się do świętości, by móc żyć z poczuciem winy. Czy dlatego nie mogłam całym sercem zaakceptować jego modlitw i uwierzyć w jego kazania? Instynkt podpowiadał mi, że język, który je wypowiada, kłamie. Teraz lepiej rozumiałam nieustanne próby matki, by groźbą i karą ukształtować mnie i zamienić w grzeczną angielską dziewczynkę. Teraz rozumiałam cichą desperację

i strach, który czasami pojawiał się na jej twarzy, kiedy raz po raz udowadniałam, że nie można mnie okiełznać. Ze się okiełznać nie dam. Zacisnęłam powieki. Czy grzech, który popełniłam tak niedawno, nie był tego dowodem? Poczułam, że coś się porusza po mojej dłoni i otworzyłam oczy. Piękna szmaragdowa jaszczurka przebiegła w dół po kamieniu i zniknęła w brązowej wysuszonej trawie.

Chciałam płakać za smutnym zagubionym mężczyzną i kobietą, którzy przyjechali do tego kraju pełni nadziei, a zmarli w mrokach wątpliwości, poczucia winy i wstydu. Niczego po sobie nie pozostawili. Ich prochy wsiąkły w ziemię pod spaloną infirmerią - „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz” - a może uleciały razem z płomieniami w szerokie hinduskie niebo. Po śmierci stali się naprawdę częścią tego obcego kraju, jak nigdy nie byli za życia.

Zrobili, co tylko mogli, dla tubylców. I dla mnie. Czy nie mogłam nad nimi zapłakać?

Stałam, zaciskając dłonie. Tak bardzo pragnęłam odejść, że nie byłam w stanie wzbudzić w sobie żadnych uczuć. Zatrzymałam się przy figowcu na podwórzu i położyłam rękę na jego szorstkiej korze, myśląc o czasach, gdy pod nim siadywałam, bawiąc się z Rujjie lub czytając, a obok w słońcu wylegiwała się Jassie.

Kora była twarda i chropawa; kiedy przesuwałam po niej palcami, pomyślałam o dłoniach pułkownika na moim ciele i zadrżałam. Cofnęłam się, wiedząc, że nie mogę już zwlekać ani chwili. Wtedy usłyszałam ciche skomlenie dobiegające z za raso.

Jassie.

Pobiegłam do kuchennej chaty wdzięczna, że będę miała okazję ostatni raz zobaczyć psa, którego kochałam od tak dawna, i pożegnać się z nim. Ale stara Jassie nie była sama. Obok niej ujrzałam bezpańskiego, przeżartego przez parchy kundla. Po spełnionym



przed chwilą akcie stali połączeni ogonami, z opuszczonym i nisko łbami, czekając na uwolnienie.

- Jassie - powiedziałam cicho, wyciągając rękę. Gdybym tylko mogła jej dotknąć przed wyjazdem, ten jeden raz, przyniosłoby mi to ogromną pociechę.

Uniosła wąski ciemny łeb, jej zazwyczaj łagodne oczy zwięziły się, a kącik czarnej wargi uniosł z lekkim drżeniem. Ujrzałam błysk pożółkłego kła, usłyszałam warkot rodzący się w jej gardle i cofnęłam się.

Na pysku Jassie malował się wstyd i jawne pożądanie.

Przeżyje, jak zawsze.

- Do widzenia, Jassie - szepnęłam i nie oglądając się za siebie, opuściłam misję i jedyny dom, jaki kiedykolwiek znałam.

Zostawiłam za sobą dziewczynę, którą kiedyś byłam.

Teraz byłam pod każdym względem kobietą, kobietą nieznanego pochodzenia. Miałam prawo znaleźć swoje miejsce w świecie, kimkolwiek byłam.

Nigdy więcej nie pozwolę, by ktokolwiek miał nade mną władzę taką jak Glory czy pułkownik. Dotknęłam dodającego otuchy zwitka rupii pod suknią i prostując ramiona, wyszłam z podwórza.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Stałam przy płocie za misją i pomachałam na widok wozu, na którym siedziała rodzina tubylców. Kiedy się zatrzymali, powiedziałam, że jadę do Lahore. Skinęli głowami z szacunkiem, a matka kazała jednemu z chłopców wrzucić na wóz moją torbę i zrobić mi miejsce obok siebie. Drugi raz tego dnia jechałam do Lahore. Spokojnie obserwowałam drogę, wypatrując czerwonej kurtki na koniu, gotowa schylić głowę, gdyby się pojawiła. Odetchnęłam, kiedy minęliśmy koszary, nie natykając się na pułkownika.

Gdy znalazłam się po drugiej stronie miasta, podeszłam ku wozom do wynajęcia.

Przy prowadzącej na północ bramie Kaszmiru wybrałam woźnicę, który wyglądał najbardziej schludnie, powiedziałam mu w hindu i pendżabi, potem w urdu, dokąd chcę jechać, ale tylko pokręcił głową.

- Radżastani - powiedział. Przerzuciłam się na angielski.

- Rozumiesz po angielsku?

- Trochę, memsahib, trochę. Powtórzyłam moje żądanie.

- Chciałabym, żebyś zawiózł mnie na północ, do Peszawaru.

Pokręcił głową.

- Do Peszawaru? Och nie, memsahib. Nie na granicę. Bardzo złe ludzie.

Może panienka jechać do Gudjarala. Rawalpindi. Nawet do Jhelum. Tam mogę pojchać. - Wiedziałam, że wielu tubylców boi się Patanów. -

Jhelum dobre, memsahib. Peszawar zły dla panienki. Dla Anglików.

- Muszę jechać do Peszawaru.

Leżący w najbardziej wysuniętej na północ prowincji Indii na granicy z Afganistanem Peszawar znałam jedynie z opowieści Afgańczyka.

Słyszałam też, że to niebezpieczne miasto, pełne mężczyzn żyjących dzięki sprytowi i broni. Mężczyzn przybywających z Afganistanu przez przełęcz Chajber.

Mieszkało tam jednak sporo Anglików; Peszawar był najdalej wysuniętym przyczółkiem armii brytyjskiej. Po pierwszej wojnie angielsko-afgańskiej miasto znajdowało się pod brytyjskimi rządami. Woźnica, który stał przede mną i kręcił głową, miał prawdopodobnie rację; Peszawar mógł być niebezpieczny. A jednak dla mnie mógł okazać się zbawienny. Może w tym mieście, tak ruchliwym, pełnym przemieszczających się ludzi różnych naq'i, nikt nie będzie mnie krytykował ani nie zwróci uwagi na młodą kobietę, która pragnie rozpocząć nowe życie. No i oczywiście Langowie zapewnią mi dach nad głową i pracę. Peszawar leżał zbyt daleko, by mogły dotrzeć do nich informacje o moich rodzicach. I o Glory. Mogłam dla nich pracować i zacząć nowe życie w miejscu, gdzie nikt nic o mnie nie wiedział.

Woźnica wpatrywał się we mnie.

- Dlaczego memsahib jechać do Peszawaru?

- Boisz się mnie tam zawieźć? - zapytałam w nadziei, że go to zawstydzi.

- Nikt cię nie zaczepi, jeśli będziesz ze mną.

Przetrawiał to, kiwając lekko głową.

- Zapłaci więcej?

- Tak.

- Ile zapłaci?

Zanim zdążyłam rzucić rozsądną ofertę, uniósł wszystkie palce. W lewej dłoni brakowało mu koniuszka środkowego palca.

- Za jechać. - Znow pokazał palce. - Za wrócić, memsahib - powiedział. -

Jedzenie. Dla nas. I dla niego. - Wskazał

brodą wołu. Oblizwał wargi, kalkulując. - Płacić za noc w *caravanseraju*.

- Nie dwadzieścia, ale dziesięć rupii - odparłam zdecydowanie, pokazując dziesięć palców. - Pięć za jazdę tam i pięć za powrót. Kupię jedzenie i zapłacę za nocleg.

Natychmiast odwrócił wzrok.

- Dziesięć rupii tylko? - Pokręcił głową, unikając mego wzroku. - To niedużo, memsahib - powiedział, marszcząc brwi, choć w jego głosie brzmiał szacunek. - Więcej.

- To moja oferta - odparłam. - Jeśli nie chcesz, znajdę innego woźnicę.

- Dziesięć i... - mruknął coś pod nosem, a potem podniósł osiem palców. - Dziesięć i tyle.

Znów pokręciłam głową.

- Nie osiemnaście. Piętnaście. Piętnaście - powtórzyłam, pokazując na palcach. Kiedy już zapłacę za jedzenie dla nas i dla wołu i opłacę noclegi, będę miała szczęście, jeśli po dotarciu do Peszawaru zostanie mi kilka rupii.

Przeniósł wzrok z moich palców na twarz i wreszcie skinął głową.

- Jak pani uważa, memsahib. - Spojrzał w niebo. - Teraz zaraz ciemno.

Następnego dnia jedziemy...

- Nie - przerwałam. Musiałam znaleźć się jak najdalej od Lahore i koszar.

Pułkownik wyruszy w drogę do misji w każdej chwili. - Pojedziemy zaraz

- powiedziałam. - Jak masz na imię?

- Chander - odparł, biorąc moją torbę i wrzucając ją na tył wozu.

Wspięłam się na ławeczkę obok niego.

- Jestem panna Fincastle. Teraz już bez gadania, Chander. Jedziemy do Peszawaru.

Uderzył lejcami w kościsty grzbiet wołu. Siedzące tam muchy i komary odleciały, a z grubej skóry uniosła się chmura kurzu.

Wyruszyliśmy do Peszawaru.

Kiedy zostawialiśmy za sobą Lahore, obejrzałam się na malejące w oddali miasto. Jego białe wieże, gzymsy, minarety i świątynie lśniły niemal oślepiającym blaskiem i zdawały się pulsować.

Czy kiedykolwiek tu wrócę? Było to miejsce niezwykle piękne, a jednak kryło w sobie moje najczarniejsze wspomnienia: Wyndhamów i innych pełnych snobizmu mieszkańców angielskiej dzielnicy, wielbnego Burgessa z jego brakiem zrozumienia i oczywiście pułkownika.

Wydawało mi się, że nadal czuję na sobie jego zapach, choć wiedziałam, że przynajmniej na zewnątrz jestem czysta.

Nieco dalej była Glory i smutne ruiny misji oraz pochylone nagrobki na cmentarzu.

Zostawiałam za sobą wszystko, co znałam. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nie byłam osobą, za jaką kiedyś się uważałam. Pomiedzy dniem wczorajszym i dzisiejszym zagubiłam siebie, najpierw przez opowieść Glory a potem przez siłę pułkownika.

Odwróciłam wzrok i zamrugałam gwałtownie powiekami. Nie była to pora na sentymenty ani na uzalanie się nad sobą. Na szerokiej zakurzonej drodze, w świetle późnego popołudnia, zamigotał rozmyty miraż.

Przede mną roztaczało się nieznane, czyste i nowe.

Minęliśmy pola ryżowe, na których stały czaple na patykowatych nogach, a słońce odbijało się od płytkiej wody tak mocno, że musiałam osłonić oczy. Mężczyzna powoli orał pole pługiem z zaprzężonym doń wołem. Leciały za nim szare rozświergotane ptaki, nurkując w skiby świeżo odrzucone przez ostrze. Przy drodze siedział mały chłopiec, podtrzymując ogień, na którym na patelni prażyły się orzeszki ziemne; zawołał do nas w nadziei, że uda mu się zachęcić nas do kupna.

W końcu nadeszła pora, by zatrzymać się na noc. W ciągu tych ostatnich paru godzin udało mi się pozbyć resztek niepokoju. Im bardziej oddalaliśmy się od Lahore i misji, tym bardziej prostowałam ramiona, spoglądając przed siebie

w gorący zakurzony zmierzch. Nie miałam pojęcia, co mnie czeka, ale nagle ogarnął mnie spokój. Spokój i pewność siebie. Podjęłam decyzję i zaakceptuję to, co ze sobą przyniesie. Powodowana kaprysem stanęłam na wozie, wyciągając przed siebie ramiona, jakbym chciała objąć nadzieję.

Chander podniósł na mnie wzrok i choć z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że uważa mnie za lekko szaloną, jak pewnie jego zdaniem szaleni byli wszyscy Anglicy, nie obchodziło mnie to.

Uśmiechnęłam się do niego. Pokręcił głową, lecz kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

W końcu Chander skierował wóz do *caravanseraju*, jednego ze starych miejsc do odpoczynku zbudowanego dla podróżnych przy Grand Trunk Road.

Kiedy się zbliżaliśmy, dźwięki i zapachy obozu odbijały się echem od drogi jakby na powitanie. Głosy rozmawiały, śmiały się, kłóciły i śpiewały w kakofonii języków; z instrumentu stroikowego sączyła się cicha muzyka. Ryczały woły, rżały konie, kozy beczały, a do ryku wielbłąda dołączyło szczekanie psów krążących wokół *caravanseraju* w poszukiwaniu jedzenia. Unoszący się w powietrzu zapach ognia i gotowanego mięsa uzmysłowił mi, jak bardzo jestem głodna.

Wjechaliśmy przez szeroką bramę na otoczoną murem przestrzeń. Kryła w sobie pozbawiony dachu duży dziedziniec ze studnią, a wzdłuż muru znajdowały się boksy i pomieszczenia na tyle duże, by pomieścić zwierzęta i wozy. W powietrzu unosił się dym. Przed małymi wnękami siedzieli mężczyźni sprzedający żywność, herbatę i paszę. Stało tam dużo wozów; niektóre były otwarte jak nasz, inne osłonięte baldachimami i żaluzjami lub firankami. Podróżowały w nich muzułmańskie kobiety. Chander skierował wołu na wolne miejsce i zesliśmy z wozu. Dałam mu pieniądze, by zapłacił za nocleg i kupił

słomę dla wołu oraz jedzenie dla nas. Obserwowałam groźnie wyglądającą kobietę z Radżastanu w czerwono--niebieskim sari we wzory i rękami pokrytymi bransoletkami z kości słoniowej aż po łokcie. Prowadziła za rękę małą dziewczynkę w stronę osłoniętego pomieszczenia na dalekim końcu dziedzińca. Poszłam za nią na wyznaczone dla kobiet miejsce i skorzystałam z wiaderka. Kiedy sobie ulżyłam, paliło mnie ciało, nadal obolałe po pułkowniku. Zanim opuściłam suknię, zobaczyłam ciemniejące siniaki na wewnętrznej stronie ud. Szybko umyłam twarz i ręce w misce z wodą i wróciłam do wozu, chcąc szybko zapomnieć o bólu. Wiedziałam, że najpierw jedzenie, a potem sen przyniosą mi ulgę.

Chander podał mi gotowaną koźlinę w *roti* owiniętym w liście. Na ławeczce wozu stały dwa gliniane kubki z herbatą; podał mi jeden i szybko wypił zawartość swojego.

Nagle poczułam ogromne zmęczenie po długim dniu. Opierając się o wóz, jadłam żylaste mięso i tłuste *roti*, popijając słodką herbatą z mlekiem. Powieki miałam tak ciężkie, że żucie i przełykanie było dla mnie dużym wysiłkiem. Sennym wzrokiem obserwowałam lśniące ogniska, których płomienie tańczyły i falowały, wyrzucając iskry w ciemniejące niebo. Mężczyźni rozpychali się łokciami, kupując słodczyce i tytoń. W boksie obok nas jakaś kobieta skarżyła się do innej na teściową i cieszyła się bardzo, że staruszka przez następne kilka miesięcy będzie mieszkać ze swoim drugim synem.

- Jaka to ulga dla żony, gdy mąż ma brata - powiedziała.

- Dwie łyżki w garnku to zawsze lepiej niż jedna - zgodziła się druga kobieta.

Chander nakarmił i napoił wołu, zawinął się w grube płótno i położył pod wozem.

Ja wspierałam się na tył wozu, zdjęłam kapelusz i buty i rozłożyłam koc na twardym drewnie. Zrobiłam prowizoryczną poduszkę z halki, którą wyjęłam z torby, i położyłam się.

Powietrze rozdarł wybuch męskiego śmiechu, a psy zawarczały do siebie ostrzegawczo. W drzewach za murami słyszałam trajkotanie stada papug o fioletowych szyjach, które mościły się na noc. Jedyna brama *caravanseraju* zamknęła się głucho. Po chwili rozległ się szczeł ciężkich

żelaznych zasuw, kiedy ją zaryglowano. Podróżni będą bezpieczni przed złodziejami, którzy nocą grasowali na drodze.

W końcu hałas ucichł, a potem w *caravanseraju* zapanowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu kaszlem. Byłam sama pod rozgwieżdżonym niebem, otoczona obcymi ludźmi, a jednak nie martwiłam się. Nie chciałam myśleć o tym, co porzuciłam, odsuwając od siebie odrażające wspomnienia ciała pułkownika leżącego na moim, i zakryłam oczy rękami, kiedy pomyślałam, co może w tej właśnie chwili dziać się z Glory. I nie pozwalałam sobie na myśli o nowym życiu w Peszawarze.

Kiedy powoli zapadałam w sen w tę ciepłą letnią noc, szelest drzew za murem brzmiał jak cicha melodia. Ogarnęło mnie poczucie wolności i spokoju, jakiego w misji nie czułam od bardzo dawna.

*Caravanserai* ożył o świcie. Rozległy się muzułmańskie nawoływania do modlitwy, a w powietrzu unosiła się ciężka poranna mgła i dym ze świeżo rozpalonych ognisk. Małe stado kóz z dzwonkami u szyi rozeszło się po dziedzińcu, gdy usiadłam na wozie. Dzieci płakały sennie, a ptaki pogwizdywały, piszczały i wyśpiewywały swoje tryle.

Wyciągnęłam ręce nad głowę. Spałam bez ruchu, pogrążona w mrocznym śnie wyczerpania, który był miłą odmianą po wielu nocach przewracania się z boku na bok, kiedy nie czułam się bezpieczna, a spokój odbierała mi myśl o tym, czego się dowiedziałam, i decyzja, jaką podjęłam.

Chander podszedł do mnie z czajem i *roti*. Z wielką przyjemnością wypiłam słodki, pachnący przyprawami płyn i zjadłam gorące *roti*.

Poszłam potem do pomieszczenia na



końcu dziedzińca, a kiedy wróciłam, Chander siedział już na wozie. Nigdy dotąd nie oglądałam żadnych widoków poza okolicą i wioskami pomiędzy misją i Lahore. Teraz kołysałam się na wozie obok Chandra, kiedy jechaliśmy ruchliwą drogą, i chłonełam dosłownie wszystko. Po obu stronach rozciągały się pola. W niektórych miejscach, dzięki systemowi płytkich kanałów, które dostarczały wodę, były jeszcze bardziej urodzajne niż te otaczające Lahore. Rozpoznałam pszenicę, trzcinę cukrową, kukurydzę i gorczycę. Pojawiły się też rośliny, których nie znałam; kiedy wskazałam je Chandrowi, powiedział, że to tytoń. Jechaliśmy Grand Trunk Road przez cały dzień; zeskakiwałam z wozu, by znaleźć ustronne miejsce w krzakach lub za potężnymi figowcami przy drodze, podczas gdy Chander jedynie się odwracał i oddawał mocz na jedno z kół. Mijaliśmy kobiety niosące mosiężne *lotah* na splecionych gałązkach ułożonych na głowie i mężczyźni zgiętych wpół pod ciężarem drewna i gałęzi, które nieśli na plecach. Kozy leżały w cieniu ciemnych krzewów, a na polach odpoczywały bawoły, opierając się na kolanach i nieustannie poruszając szczękami.

Od czasu do czasu przy drodze wyrastały małe wioski ze ściśniętymi chatami i kilkoma sklepami. Wszystkie były do siebie podobne: sprzedawcy kucali oparci plecami o ścianę i gawędzili leniwie ze sobą, zachwalając ziarno, olej, ryż, owoce lub przyprawy. Na porośniętym chwastami polu grupka rozkrzyczanych, obdartych chłopaków grała w kry-kieta płaskimi kawałkami drewna.

Czasami miałam już dość siedzenia; zsiadałam z wozu i szłam obok. Podniosłam łądę trzciny cukrowej, która wypadła komuś z wiązki, obrałam ją i żułam słodki miąższ, wypluwając na ziemię kawałki włókna. Od czasu do czasu jakby znikąd pojawiała się małe dziecko, nagie lub w krótkiej *kurcie* z trudem zakrywającej mały brzuch, przez chwilę truchtało obok mnie, wyciągając rączki.

Kilka razy usłyszałam za sobą rytmiczny, przyspieszony oddech i kiedy się odwróciłam, zobaczyłam czterech tragarzy, którzy trzymając drągi osłoniętego palankinu, przebiegali szybko ze swymi zasłoniętymi pasażerami.

Nie próbowałam nawiązać z Chandrem rozmowy; on wpatrywał się w drogę i trzymał w dłoniach lejce z wyjątkiem tych kilku chwil, kiedy wyjmował małe okrągłe pudełko *paan*, zgrabnie ugniatając betel, przyprawy i tytoń, które znajdowały się w lódkowatych przegródkach. Wsuwał potem grudkę pod dolną wargę i ssał przez jakiś czas, na koniec strzykając długimi, brązowymi strumieniami.

Kiedy zmieniło się światło, a nad polami zaczęła gromadzić się mgła, zapach palonego drewna i gotowanego mięsa sprawił, że zaburczało mi w brzuchu. Mroczniejący krajobraz znaczyły małe ogniska. Chander zatrzymał się w następnym *caravanseraju*, gdzie spędziliśmy kolejną noc.

I tak było przez parę kolejnych dni. Cieszyło mnie, że jestem częścią tego wielkiego ruchomego łańcucha i było mi coraz lżej na duchu. Podróż była pełna nadziei, którą czuje się, gdy ktoś zdejmie nam z pleców ciężar. Nie wiedziałam, co znajdę w Peszawarze. Czy zastanę tam Langów?

Oczywiście musiałam przygotować się na to, że mogli już opuścić swoją amerykańską misję, lecz nawet w takim wypadku na pewno znajdę jakąś chrześcijańską kapelanię, która mnie przyjmie i da pracę za dach nad głową i utrzymanie. Nie mogą przecież odrzucić jednej ze swoich.

Mijaliśmy niekończące się wioski i małe miasteczka, a kiedy na drogach zapanował większy ruch, wiedziałam, że zbliżamy się do miasta.

Zobaczyłam przed sobą Gurjanwala ze słońcem igrającym na minaretach i kopułach, a ósmego dnia Chander zatrzymał wóz, wskazując na rysujące się w oddali miasto.

- To Rawalpindi, memsahib - powiedział. - Czyste. Dużo białych. Może pojechać do Pindi?

Wiedziałam, że nadal boi się jechać do Peszawaru. Pokręciłam jednak głową.

- Peszawar, Chander - odrzekłam.

Zmarszczył brwi, pokręcił głową i trzasnął lejcami.

W ciągu kilku następnych dni okolica stawała się coraz bardziej skalista. Jechaliśmy przez doliny, w których rosły pszenica, bawełna i tytoń, lecz również jęczmień. Czwartego dnia po Rawalpindi w oddali pojawił się Peszawar na tle majestatycznych brązowych gór, które wyglądały na zupełnie nagie. Było późne popołudnie. Podróżowaliśmy prawie dwa tygodnie i czułam się okropnie brudna.

Kazałam Chandrowi zatrzymać się przy następnej kępie drzew i zmieniłam poplamioną suknię, którą miałam na sobie przez całą podróż, na brązową *peau de soie*, która była kiedyś dobrą suknią mojej matki. Brzegiem koca wytarłam buty z kurzu. Włożyłam różowy kapelusz i białe rękawiczki, które trzymałam w torbie, bo nie chciałam, by ubrudziły się w czasie podróży.

Nagle ogarnął mnie niepokój. Czy znajdę misję Langów? Wierciłam się nerwowo, gdy zbliżaliśmy się do miasta.

I nagle miałam je przed sobą. Miasto krwawej historii, pięknych kwiatów, zdesperowanych mężczyzn i żyjących w zamknięciu kobiet. Dotarliśmy na miejsce. Dokonałam tego sama: kłamałam i oszukiwałam, poniżyłam się, by dojechać do miasta, które było moją przyszłością. Nieoczekiwanie łzy napłynęły mi do oczu - łzy ulgi, strachu, nadziei i zwykłego zmęczenia.

Przejechaliśmy przez bramę i natychmiast znaleźliśmy się w plątaninie uliczek z mrocznymi wejściami do sklepów. Alejki były tak wąskie, że z trudem mieściła się tam dwójka ludzi idących obok siebie. Jak wszędzie mnóstwo było bezpańskich psów i stadek kóz prowadzonych przez chłopców z krótkimi patykami. W powietrzu unosiły się okrzyki handlarzy i woźniców kierujących wozami zaprzężonymi w muły i woły. Podobnie jak w Lahore były tam kręte wąskie ulice i zdobione domy bogaczy z wykuszowymi oknami i misternie rzeźbionymi ornamentami na wysokich balkonach.

Riksze pędziły we wszystkie strony, dzwoniąc ostrzegawczo dzwoneczkami. Zobaczyłam też lekki powóz na dwóch kołach ciągnięty przez kucyka.

Wiedziałam, że te szybko poruszające się powozy nazywają się tonga; niedawno pojawiły się też w Lahore.

- Gdzie, memsahib? - zapytał Chander, a ja wzięłam głęboki oddech.

- Po prostu jedź - odparłam, a Chander dość ospale skierował wóz przed siebie.

Obok nas jechała przez chwilę Angielka w tondze, na tylnym siedzeniu siedziały dwie małe dziewczynki. Kobieta ściągnęła lejce rozbrykanego kucyka, kiedy przewrócił się jadący tuż przed nią wóz wypełniony nieznaną mi odmianą dyni. Ucieszyłam się na widok kobiety, która jechała sama w otwartym powozie. W tym mieście, choć nie tak pięknym i zachwycającym jak Lahore, panowała rzeczywiście większa swoboda.

- Przepraszam - zawołałam, a kobieta obejrzała się. - Szukam misji chrześcijańskiej.

- Jest tu Prezbiteriański Zarząd Misji Zagranicznych, jak również Misja Anglikańska - powiedziała.

- A misja prowadzona przez państwa Langów? Amerykańska? - zapytałam.

- Tak - odparła obojętnym głosem i przyjrzała się mojej twarzy.

- Langowie mieszkają niedaleko stąd, w angielskiej dzielnicy. To tylko dziesięć minut drogi tongą lub riksą; woźnica będzie wiedział.

- Dziękuję - powiedziałam. Reakcja kobiety lekko mnie zaniepokoiła.

Woźnica przed nią postawił już swój wóz i ułożył na nim ostatnie dynie. Kucyk kobiety wierzgał, niecierpliwie szarpiąc lejce, i powóz gwałtownie ruszył do przodu.

Małe dziewczynki odwróciły się i pomachały do mnie.

Kazałam Chandrowi zatrzymać się na poboczu. Kiedy zsiadałam, wziął z tyłu wozu moją torbę.

- Nie. Zostaw ją tutaj i poczekaj na mnie - poleciłam mu.

- Tutaj Peszawar, memsahib - powiedział zakłopotany.

- Wiem, ale muszę znaleźć moich... przyjaciół, zanim wezmę torbę.

Nie chciałam zjawiać się u Langów, wyglądając na tak zdesperowaną, jak w istocie byłam. Musiałam z nimi porozmawiać i zmusić, by mnie zaprosili. To była kwestia dumy.

Chander odstawił torbę. Wiedziałam, że się stąd nie ruszy, bo jeszcze mu nie zapłaciłam.

- Poczekaj tu na mnie - powtórzyłam, a on skinął głową, rozglądając się niespokojnie. Na ulicach roilo się od najróżniejszych ludzi, a część z nich

- co zrozumiałe - wydała się Chandrowi groźna. Mijali nas byle jak ubrani mężczyźni z twarzami na wpół zasłoniętymi luźnymi końcami czarnych turbanów i ludzie o azjatyckich rysach z okrągłymi twarzami i oczami jak szparki. Inni wysocy, groźnie wyglądający brodaci członkowie różnych plemion, ukrywali dłonie pod lekkimi szalami owiniętymi wokół ramion; niektórzy mieli zarzucone na ramię muszkiety, a na piersiach skrzyżowane pasy z nabojami.

- Memsahib szybko wraca. - Chander marszczył brwi.

- Tak, tak - powiedziałam, zatrzymując przejeżdżającą riksę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Dom, do którego przywiózł mnie riksarz, stał przy szerokiej ulicy przypominającej dzielnicę w Lahore. Wszystkie domy zbudowane tu zostały w stylu angielskim, z białego kamienia, a oddzielały je od siebie bujne ogrody. Przy drodze rosły wysokie cyprysy. Zastanowiło mnie, że misja znajduje się w tak bogatej dzielnicy, ale przypomniałam sobie, jak pani Lang opowiadała, że zaczęła działalność za odziedziczone pieniądze. Nie była uzależniona od funduszy kapelanii. Riksarz zatrzymał się przed jednym z pięknych bungalowów i kazałam mu poczekać.

Po obu stronach szerokich schodów stało dwóch *chow-kidarów*. Mijając ich, skinęłam głową, a potem zastukałam do drzwi. Na jednym skrzydle wisiała lśniąca plakietka i z ulgą przeczytałam wygrawerowany na niej napis: „Amerykańska Chrześcijańska Misja Kobieta”. Dwie identyczne flagi - po paskach i gwiazdach poznałam, że amerykańskie - wisiały po obu stronach drzwi, nie poruszając się w gorącym powietrzu.

Drzwi otworzył *chuprassi* w typowym białym uniformie. Byłam lekko zaskoczona; wyobrażałam sobie, że drzwi w misji, która ma w nazwie słowa „Chrześcijańska” i „Kobieta”, otworzy ktoś posiadający obie te cechy.

- Ma pani wizytówkę? - zapytał po angielsku, wyciągając rękę w białej rękawiczce.

Pokręciłam głową.

- Proszę powiedzieć państwu Langom, że przyszła panna Fincastle.

Wpuścił mnie do środka, kręcąc niemal niezauważalnie głową, najwyraźniej zaniepokojony faktem, że nie mam wizytówki. Zostawił mnie we frontowym holu z grubym dywanem i lśniącymi drewnianymi meblami. Na ścianie wisiał obraz przedstawiający mężczyznę w trójgraniastym kapeluszu i mundurze, który stał dumnie na dziobie łodzi płynącej przez wzburzoną wodę. Przy wiosłach siedzieli inni żołnierze. Obraz był ciemny i nieco złowieszczy: mężczyźni byli smagani przez wiatr, a łódź wyglądała na dość kruchą. Misja - choć na mnie sprawiała wrażenie raczej luksusowego domu - była dziwnie cicha. Ale przecież nie znałam innych poza tą, w której się wychowałam. Nic dziwnego, że pani Lang zarzuciła naszej, że jest zacofana.

Po chwili pojawił się w holu pan Lang, który z szerokim uśmiechem kroczył przed *chuprassim*. Te okropne szare zęby, zupełnie o nich zapomniałam.

- No proszę. Droga panna Fincastle. To wielka radość znów panią zobaczyć. - Zakołysał się na piętach. - Wygląda pani uroczo - powiedział, lecz wyczułam, że zrobił to wyłącznie z grzeczności. Nawet w najlepszej sukni, z opaloną twarzą i zakurzonymi włosami wsuniętymi pod kapelusz, który do niczego nie pasował, wiedziałam, że wyglądam mniej niż przyzwoicie. A jednak jego szczerą radość ze spotkania wzbudziła we mnie nadzieję.

Sięgnął po moją dłoń i ucałował rękawiczkę. Podniósł głowę, ale nadal trzymał mnie za rękę. Jego dłoń była ciepła, a twarz zbliżała się do mojej zbyt blisko. Cofnęłam się lekko i wysunęłam dłoń z jego uścisku.

Martwiłam się, że Langów już tu nie będzie lub że jeśli będą, zdążyli już o mnie zapomnieć. A jednak widać było wyraźnie, że pan Lang mnie pamiętał. Powitał mnie tak ciepło, że subtelny cień wątpliwości przemknął przed moimi oczami.

- Tędy, moja droga, tędy. Razem z panią Lang rozkoszujemy się chłodnym drinkiem w to ciepłe popołudnie - powiedział.  
Chciało mi się pić i byłam głodna. Zbliżała się pora, kiedy razem z Chandrem zatrzymaliśmy się na noc w *caravanseraju*. Zjadłam tylko *roti* i wypiałam czaj dziesięć godzin temu.

- Spójrz, kogo tu mamy - powiedział pan Lang i odsunął się na bok, bym mogła wejść do jasnego, przestronnego salonu. - Uroczą małą ptaszyną, panna Fincastle z misji w Lahore.

Pani Lang nie wstała ze swego miejsca po drugiej stronie salonu, więc ruszyłam w jej stronę z uśmiechem, wyciągając rękę. Kiedy przed nią stanęłam, znacząco zignorowała moją dłoń i sięgnęła po pełną szklankę stojącą na stoliku obok krzesła. Moja ręka zawisała w powietrzu i w końcu opadła.

Pani Lang tylko na mnie spojrzała i upija łyk ze szklanki. Pan Lang położył mi dłoń na karku. Czułam jej ciepło.

- Usiądź, moja droga. - Poprowadził mnie do małego, obitego zielonym aksamitem krzesła naprzeciwko pani Lang. Usiadł obok mnie na szerokim drewnianym krześle z zaokrąglonymi poręczami i siedziskiem z sitowia, które jęknęło, gdy sadowił się wygodnie.

Spojrzałam na niego; utkwiał wzrok w moich kolanach. Powróciłam spojrzeniem do pani Lang. Patrzyła na męża.

- Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa - odezwałam się, z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Prawdę mówiąc, wcale nie wyglądała dobrze. Jej policzki pokrywała pajęczyna naczynek, a włosy, które zapamiętałam jako jasne, teraz mocno wyblakły. Lekko fioletowy nos też wydał mi się większy.

- Myślałam, że spróbuje się pani z nami skontaktować zaraz po naszym zaproszeniu - powiedziała, przenosząc wzrok z męża na mnie. Skinęłam głową.



- Tak. Minęło już sporo czasu, prawda? - odparłam lekkim i radosnym głosem, choć przychodziło mi to z trudem. Byłam zaniepokojona i trochę podenerwowana, że przyjęła mnie tak chłodno. - Rzeczywiście, dość dawno odwiedziliście państwo naszą misję. Ale nie zapomniałam tego, co mówiliście o moim talencie do nauki języków, leczeniu i, oczywiście, że jako córka misjonarzy... - przełknęłam ślinę, co zabrzmiało zbyt głośno w cichym pokoju - ...bardzo dobrze znam Biblię. Mówiliście państwo, że wszystkie te umiejętności mogą się wam przydać w Peszawarze.

Państwo Lang milczeli. Po plecach pociekła mi strużka potu. W pokoju było bardzo gorąco, a w gardle zaschło mi z pragnienia i zdenerwowania.

- Sugerowaliście państwo, że mogłabym się tu przydać -powtórzyłam. - W waszej misji - dodałam niepotrzebnie, kiedy milczenie się przeciągało.

- Czy mogłabym pomagać uczyć misjonarki, które zatrudniacie? - rzekłam w końcu, choć zabrzmiało to jak słabe pytanie.

Dlaczego się nie odzywali? Czułam rosnące pod pachami plamy potu. Oczekiwałam, że przyjmą mnie bardzo ciepło.

- Nie widzę tu żadnych kobiet - powiedziałam, próbując wypełnić gorącą, ciężką ciszę i nawiązać rozmowę. - Czy wszystkie pracują?

- Mieszkają gdzie indziej - odparł pan Lang. - W starym mieście. My stąd kierujemy interesami misji. To jest nasz dom.

Skinęłam głową i odwróciłam się do pani Lang. Wiedziałam, że to do niej muszę się zwrócić. Nadal popijała, jej szklanka była prawie pusta.

Powoli docierało do mnie, że nie mogę liczyć na żadną propozycję. Nie miałam wyjścia, musiałam postawić sprawę jasno.

- Jestem teraz sama, proszę pani. Nie wiem, czy słyszała pani... chyba jednak nie... że moi rodzice zmarli. I miałam nadzieję, że być może... mogłabym zamieszkać

z wami. Oczywiście razem z innymi kobietami. I pracować dla państwa.  
- Postąpiłaś słusznie, przyjeżdżając do nas, moja droga - rzekł pan Lang, wyciągając rękę, by poklepać mnie po kolanie. Miał grube, spłaszczone na końcach palce.

- Nie bądź śmieszny, Henry - zaproponowała pani Lang. Spojrzałam na nią zaskoczona nie tylko jadem w jej głosie, lecz również tym, że w mojej obecności zwróciła się do męża po imieniu. - Wszyscy o pani słyszeli, panno Fin-castle - cedziła wolno i ostrożnie, jakby coś przykleiło się jej do języka.

Wiedziałam zbyt dobrze, że jest mocno wstawiona. Przy naszym pierwszym - i jedynym spotkaniu - nie rozumiałam jej uzależnienia. Jednak ostatnie tygodnie w misji sporo mnie nauczyły. W większości rzeczy, których nie chciałam znać.

- Ten burdel, który pani prowadziła - prowadzi? - jest znany w całym Pendżabie - powiedziała, a ja wzdrygnęłam się na dźwięk tego wulgarnego słowa. W ciepłym, zalanym słońcem pokoju nagle ogarnął mnie chłód. Otworzyłam usta, by odetchnąć, bo nagle zabrakło mi powietrza. - Ka-pelania w Lahore umyła ręce i nie chce mieć nic wspólnego z tym skażonym kawałkiem ziemi - ciągnęła tym samym ostrym tonem. - Chyba nie wierzy pani, że moglibyśmy ją tu przyjąć. Nikt w Peszawarze pani nie przyjmie. Takiej kobiety jak pani, która chce uchodzić za wysoce moralną misjonarkę... To śmieszne, nieprawdaż? Byłam tak wstrząśnięta, że nie mogłam wydusić słowa. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś spoza Lahore będzie wiedział, co się teraz dzieje w misji. Próbowiałam oblizać wargi, ale miałam zupełnie suchy język. Spojrzałam na pana Langa; przyglądał się ścianie naprzeciwko nas, dziwnie zamglonymi oczami.

Pani Lang przechyliła się na bok, nadal trzymając szklanek końcami palców.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale musiałam je zamknąć i raz jeszcze zwilżyć śliną.

- Glory, tak, przyznaję, że Glory, *aja*, która została w misji, kiedy moi rodzice... - Słowa wypadały mi z ust krótkimi, urywanymi seriami - tak, ona miała gości. Ale to byli jej goście. Jej, nie moi - tłumaczyłam.

- Naprawdę chce mi pani powiedzieć - odparła pani Lang wolno i ostrożnie, tylko nieznacznie się jękając - że mieszkała tam pani, z tą dumną twarzą i wszystkowiedzącymi oczami, że mieszkała pani w domu o podejrzanej reputacji i jest niewinna? - Położyła dłoń na piersi i zakaszła, pochylając się, jakby poczuła ból; przemknęło mi przez myśl, że ma początki gruźlicy. Kiedy podniosła głowę, dostrzegłam, że to nie był kaszel, lecz śmiech. -1 co? - zapytała całkiem wesoło.

Nie potrafiłam odpowiedzieć. „Z dumną twarzą i wszystkowiedzącymi oczami”? Tak opisałabym Glory. Nie siebie.

- To co pani tam robiła? Czy odmawiała pani codziennie modlitwę z... gośćmi, jak ich pani nazywa? Odwiedzała chorych i biedaków w pobliskich wioskach? Głosiła słowo Boże? - Znow ten przekłety śmiech. Wiedziałam, że ludzie plotkują w Lahore, ale fakt, że wieści o moim życiu z Glory dotarły aż tutaj, do Peszawaru, był niczym bolesny cios. Płonęły mi policzki. Przyłożyłam do nich dłonie. Ależ tak, uświadomiłam sobie nagle, zdumiona moją naiwnością, nie - poprawiłam się - moją głupotą. Grand Trunk Road była bezpośrednią linią komunika-.

Opuściłam dłonie. Czyż nie słyszałam wielu opowieści o miłości, nienawiści i zemście, plotek z całych północnych Indii, kiedy przez ostatnie dwa tygodnie zatrzymywałam się na noc w *caravansera)u*? Wstałam i szybko przeszłam przez pokój. Stałam przed panią Lang, ujmując jej dłonie w swoje, zanim zdołała mnie powstrzymać.

Natychmiast je wyrwała, jakbym była niedotykalną, i wytarła je w suknię.

- Ja tylko... żyłam moim życiem - powiedziałam cicho. -Nie miałam nic wspólnego z mężczyznami, którzy przyjeż-

dżali do Glory - powtórzyłam, starając się nie przywoływać wspomnień leżącego na mnie pułkownika, jego zmysłowo poruszających się bioder i rytmicznie uderzających o moją twarz srebrnych medalików. Zacisnęłam powieki. - Nie żyłam tak jak Glory. Musi mi pani uwierzyć.

- To dlaczego tam pani została?

Na to pytanie ogarnęła mnie dziwna słabość. Zaburczało mi w brzuchu, pustym, a jednocześnie dziwnie ciężkim. Za to moja głowa wydawała się o wiele lżejsza. Jakby mogła odpłynąć z szyi. Obejrzałam się za siebie na zielone miękkie krzesło. Musiałam usiąść. Pan Lang nie poruszył się, siedział z otwartymi ustami. „Dlaczego zostałam?”. Doszłam do krzesła, jakbym płynęła przez wezbrane wody, i usiadłam, znów patrząc na panią Lang.

- Ja... Misjabyłam o imdome - mówiłam niepewnie. -

Nie wiedziałam, dokąd pójść.

- Mogła pani przyjechać tu zaraz po śmierci rodziców. Albo w chwili, gdy zobaczyła pani, jak ta kobieta - Glory? - zachowuje się lubieżnie. Czy zatrzymano tam panią siłą?

Spojrzałam na palce rozłożone na sukni i pokręciłam głową.

- Czyli chciała pani zostać. Życie w grzechu, w takim brudzie i upadku musiało pani odpowiadać.

Podniosłam wzrok. Trudno było wytrzymać spojrzenie pani Lang. Gdyby tylko zaproponowali mi szklankę wody, zwykły herbatnik. Tak bardzo chciało mi się pić i jeść. Nie mogłam jasno myśleć.

- Nie odpowiadało mi to, proszę pani. Naprawdę. Ale... to był mój dom - powtórzyłam słabo - i... i chyba myślałam, że Glory w końcu odejdzie, a z nią ci mężczyźni, a ja będę...

- Co? Co dokładnie?

Zupełnie jakby pani Lang, nawet wstawiona, potrafiła zajrzeć do mojej głowy.

- Czym pani będzie? Młodą kobietą mieszkającą samotnie w misji na pustkowiu? Czy chce pani, żebym w to uwierzyła?

To bzdura. Czysta bzdura. Przyjechała pani tutaj, pragnąc wykorzystać nas i naszą dobrą reputację. Z jakiegoś powodu znudziła panią ta gra i teraz chce pani znaleźć schronienie w przyzwoitym miejscu. To proste. Przechyliła głowę, by wypić resztkę drinka, a potem wstała, bardzo ostrożnie stawiając pustą szklankę na wypolerowanym stoliku. Mokra szklanka lekko się przesunęła.

- Może pani wierzyć, że przebyła pani drogę do Damaszku - powiedziała.

- Ze otworzyły się pani oczy na dawne grzechy. Ale ja sądzę, że przyjechała pani tutaj, bo znudziła już panią ta bezbożna egzystencja. Albo znalazła się pani w niebezpieczeństwie. Z jakiegokolwiek powodu postanowiła tu pani przyjechać, jasne jest, że wcale się pani nie zmieniła i że sprowadzi pani swoje grzechy do naszej misji. - Uniosła brodę i lekko opuściła powieki. - Chyba już pora, żeby pani sobie poszła - powiedziała, przechodząc przez pokój, jakby walczyła z monsunowym wiatrem i z trudem utrzymywała równowagę. Otworzyła drzwi.

- Po co ten pośpiech, pani Lang - sprzeciwił się jej mąż, również wstając. Pozostałam na miejscu, nie ufając własnym nogom. Wiedziałam, że nieszczerze współczucie pana Langa nie zrodziło się z troski o mnie, lecz z jego własnych skłonności.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

- Zamilcz, Henry - rzekła bezbarwnie cichym, łamiącym się głosem.

- Naprawdę, moja droga - wybuchnął, bawiąc się guzikami kamizelki. - Nie ma potrzeby...

- Proszę wyjść, panno Fincastle - powiedziała pani Lang dość uprzejmie, nadal nie podnosząc głosu. - Proszę ruszać swoją drogą. - Gdyby służący za drzwiami nie rozumiał angielskiego, mógłby pomyśleć, że pani Lang wyraża radość z powodu naszego spotkania i zaprasza do ponownych odwiedzin. - W Peszawarze nic pani dla siebie nie znajdzie. Proszę poszukać podobnych sobie ludzi.

- Podobnych mi ludzi? - powtórzyłam słabo.

Pokręciła wolno głową, wyraźnie rozdrażniona.

- Doskonale mnie pani rozumie. Jest pani bystrą dziewczyną.

Zauważyłam to już przy naszym pierwszym spotkaniu. Proszę więc nie udawać, że nie ma pani pojęcia,

0 czym mówię. Takie domy, do jakich pani przywykła, znajdują się w pobliżu koszar w każdym mieście w Indiach.

Oprzytomniałam w jednej chwili. Wstałam i poczułam, że zaczyna ogarniać mnie gniew. Pragnienie i głód zniknęły. Jak ona śmie traktować mnie tak protekcyjnie i tak otwarcie obrażać? Stałyśmy naprzeciwko siebie przez kilka chwil. Zbierałam siły. Przypomniałam sobie, jak przed pułkownikiem udawałam, że jestem kimś innym. Przyszły mi do głowy słowa, które po chwili spłynęły z moich ust.

- Rozumiem, oczywiście, pani obawy. Ale jako chrześcijanka - powiedziałam, przywołując na twarz błagalny uśmiech - czy nie chciałaby mi pani pomóc przewyciężyć moje... złe skłonności? Czyż nie jest pani chrześcijańskim obowiązkiem przyjąć każdego, kto pragnie zobaczyć światło? Czyż nie taki jest cel pańskiej misji?

Prychnęła.

- Sądzę, że nie warto podejmować żadnych wysiłków. Jest pani podobna do tubylców z ich fałszywymi uśmiechami i kłamstwami. Oni też robią wszystko, by tylko osiągnąć swój cel. Proszę więc wyjść.

Machnęła ręką i cofnęła się. Wzięła pustą szklanekę i podeszła do bocznego stolika, na którym stała taca z wysokimi butelkami.

Wyprostowałam ramiona. Pomimo zamroczenia pani Lang przejrzała moją grę, przeciwnie niż pułkownik zaślepiony pożądaniem i wysokim mniemaniem o sobie.

Wyszłam z pokoju. Pan Lang kroczył za mną w milczeniu szerokim korytarzem. Na schodach wejściowych ujął moje dłonie w swoje.

- No to mieliśmy niezły pasztet, jak mawiacie wy, Anglicy. - Błysnął szarym uśmiechem. - Przepraszam za moją

żonę. Jest przeciążona pracą, którą wykonuje. I ostatnio zu pełnie nie jest sobą.

Na dźwięk ostatnich słów wykrzywiłam usta.

- Ale nie może pani tak odejść. Gdzie się pani zatrzyma?

- Poradzę sobie, proszę pana.

Przemawiała przeze mnie duma. Przecież nie wiedziałam, gdzie się zatrzymam i co pocznę.

- Jestem pewny, że coś da się zrobić. Możemy coś wymyślić - szepnął, ściskając mocniej moje dłonie. - Taka urocza młoda kobieta... Nie mogę pozwolić, by snuła się pani po mieście całkiem sama. Tyle wokół niebezpieczeństw.

Wpatrywałam się w niego.

- Mógłbym być pani protektorem - powiedział. Pot spływał mu ze skroni po szerokich policzkach. Spojrzałam mu prosto w oczy, a on uznał to za zachętę. - Tak, mógłbym znaleźć dla pani miejsce w starym mieście, gdzie nikt by pani nie zaczepiał. Mógłbym panią regularnie odwiedzać tylko po to, by się upewnić, że wszystko jest w porządku - ciągnął tak szczerze, jakbym nie rozumiała, co proponuje. - I proszę cię, moja droga, nie zwracaj uwagi na panią Lang. - Prychnął cicho i pochylił się w moją stronę. Fakt, że nie znajdował się już w obecności żony, wyraźnie dodawał mu odwagi. - Ona nie jest sobą - powtórzył. - Ten kraj...

Poczułam zapach curry i tytoniu w jego oddechu. Jakże go nienawidziłam. Wyszarpując dłonie z jego uścisku, pomyślałam o pani Lang, o jej pijackim spojrzeniu i torebce z rupiami, które musiałam zapłacić Chandrowi. Zakryłam usta dłonią.

Na twarzy pana Langa pojawił się wyraz współczucia; uznał chyba, że wybuchnę płaczem. Jakże się mylił. Zakrywałam uśmiech, nad którym nie mogłam zapanować, uśmiech będący prawdopodobnie historyczną reakcją. Położył grubą, gorącą rękę na mojej talii, jakby chciał mnie pocieszyć.

- Och, moje biedactwo... - zaczął.

Spojrzałam w dół na jego rękę i histeria minęła. Zastąpił ją gniew, który czułam zaledwie przed chwilą. Był tylko głupcem, niewartym nawet mojego gniewu.

Cofnęłam się daleko od niego.

- Dziękuję za pańską troskę - powiedziałam. - Mogę pana zapewnić, że świetnie sobie poradzę.

W chwili, gdy odwróciłam się od pana Langa i minęłam *chowkidarów*, ogarnęła mnie panika. Dokąd miałam pójść? Rikszarz czekał na mnie na podjeździe. Wsiadłam i tęnym wzrokiem obserwowałam jego bose stopy, gdy biegł do taktu dzwoniącego dzwonka. Wyjechaliśmy z szerokich ocienionych bulwarów i wróciliśmy na zatłoczone, wąskie uliczki.

Rikszarz zgrabnie mijał zwierzęce łajno, obiegał czarno-białe krowy przeżuujące resztki warzyw i minął kruchego staruszka, który leżał na boku z wyciągniętą ręką. Patrzyłam na to wszystko z głęboką apatią. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zapłaciłam rikszarzowi, a potem powoli wspięłam się na wóz i usiadłam obok Chandra.

Siedziałam tam przez kilka chwil, rozglądając się tęnym wzrokiem. Mijały nas konie, krzyczeli ludzie, płakały dzieci. Gdzieś zapiał kogut. Wreszcie Chander dotknął mego ramienia, spojrzałam w dół na jego rękę.

- Memsahib - powiedział i słysząc naleganie w jego głosie, zorientowałam się, że już od jakiegoś czasu próbował zwrócić moją uwagę. - Teraz ja wracam do Lahore, memsahib? - zapytał. - Panienska mówi, żeby zabrać ją do Peszawaru. No to teraz jest w Peszawarze.

Odwróciłam się do niego.

- Memsahib? Da mi pieniądze. Chcę już wracać.

Skinęłam głową, nie mogąc wydusić ani słowa. Otworzyłam sakiewkę i wręczyłam Chandrowi piętnaście obiecanych rupii. Drżały mi ręce, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Bardzo chciał już jechać; ledwo zdążyłam zsiąść z wozu i ściągnąć torbę, kiedy krzyknął na wołu i ruszył. Zniknął mi z oczu na ruchliwej ulicy, a ja stałam, trzymając w rękach torbę.

Byłam sama w obcym mieście z jedną rupią w sakiewce ze sznurka.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Przez jakiś czas snułam się po ulicach, a torba ciążyła mi coraz bardziej. Znów ogarnęła mnie słabość, którą poczułam u Langów, i postanowiłam coś zjeść. Z trudem rozstałam się z kilkoma annami, by kupić trochę jedzenia i czaj od jednego z handlarzy. Z torbą u stóp stałam przy kramie, przeżuwając pieczone mięso i wypijając dwa kubki herbaty i prawie nie czując smaku.

Powoli zapadał wieczór, zamykano sklepy i kramy. Wszędzie wokół mnie słychać było krzyki i nawoływania i od czasu do czasu ktoś mnie potraçał. Przesunęłam się na bok wąskiej alejki i przyciskając plecy do zimnego muru, starałam się zapanować nad rosnącą paniką.

Byłam samotną kobietą w obcym i niebezpiecznym mieście. Będę musiała znaleźć jakieś miejsce, by spędzić tam noc, gdzie nikt mnie nie zauważy. A co potem? Co się zmieni, gdy jutro wstanie słońce? Nadal będę sama, niemal bez grosza przy duszy, w mieście, w którym nie znałam nikogo.

Nagle zauważyłam młodego mężczyznę po drugiej stronie zaułka, który wbijał wzrok w moją torbę. Stałam w rozkroku, by znalazła się między moimi stopami, i mocno zacisnęłam kostki. Obserwowałam go. Podniósł oczy, by spojrzeć mi prosto w twarz, i uciekłam wzrokiem przed jego badawczym spojrzeniem. Nie mogłam zostać sama w tym wąskim zaułku, było to zbyt niebezpieczne.

Pomyślałam o Prezbiteriańskim Zarządzie Misji Zagranicznych i Misji Anglikańskiej, o których mówiła kobieta w powozie. A jednak nie mogłam tam iść, bo wciąż dźwięczały mi w uszach słowa pani Lang: „Ten burdel, który pani

prowadziła - prowadzi? - jest znany w całym Pendżabie... Chyba nie wierzy pani, że moglibyśmy ją tu przyjąć. Nikt w Peszawarze pani nie przyjmie".

Przez jedną samotną, przerażającą chwilę zapragnęłam znaleźć się znowu w dawnej misji, choć już przestała nią być; żałowałam, że nie jestem w Lahore, gdzie przynajmniej ulice były znajome.

Niestety tam też nie miałam sojuszników.

Nigdzie nie miałam nikogo, kto by o mnie myślał i przejmował się moim losem. Gdybym zginęła z ręki pozbawionych skrupułów złodziei - być może z ręki tego młodego człowieka stojącego kilka kroków ode mnie - właśnie tej nocy, na tej ulicy, nikogo by to nie obeszło. Nikt by po mnie nie zapłakał ani nie odmówił za mnie modlitwy.

Wzięłam głęboki oddech i wyprostowałam ramiona. Nie spotka mnie taki los. Przebyłam zbyt długą drogę i zapłaciłam zbyt wysoką cenę, by pograżać się w takich żalonych myślach. Obejrzałam się w lewo, potem w prawo, podniosłam torbę i ruszyłam zwawym krokiem.

Szłam z determinacją z uniesioną brodą, patrząc prosto przed siebie, jakbym zmierzała w stronę kogoś, kto na mnie czeka. Skręcałam tu i tam, krążąc po wąskich uliczkach. Tłum rzedniał i w końcu minął mnie tylko jeden samotny mężczyzna i dwie zasłonięte kobiety. Czułam skurcze w brzuchu i bolesny ucisk w pęcherzu. Przeklełam swoją decyzję, by wypić dwa kubki herbaty; musiałam teraz znaleźć wygodkę. Nawet ten prosty fakt wzmagał moją panikę. Przecież tu nie będzie żadnej wygodki.

Znajdowałam się w środku miasta. Zaglądałam w każdą ciemną, krętą alejkę i byłam coraz bardziej zdesperowana.

Wreszcie minęłam krótki zaułek, zamknięty z trzech stron przez ciemne budynki; nie było stamtąd wyjścia z wyjątkiem miejsca, w którym stałam. Siedział tam tylko szary kot, który delikatnie lizał sobie łapy. Pod jedną ze ścian leżał stos czegoś, co wyglądało jak połamane wozy. Ruszyłam szybko w tę stronę i wcisnęłam się między rozpadające się

drewno i zniszczone ściany budynku. Tam, ukryta za wozami, zrobiłam to, co musiałam.

Było mi niemal niedobrze ze wstydu i czułam się prawie jak zwierzę w tym ciemnym, opuszczonym miejscu. A jednak kiedy kucałam za wozami, dotarło do mnie, że wydarzyła się jedna pozytywna rzecz.

Mogłam zapomnieć o niepokoju, który towarzyszył mi od czasu spotkania z pułkownikiem. Powodem skurczów była moja miesięczna przypadłość. Poszukałam w torbie zapasu szmatek.

Pułkownik pozostawił więc po sobie jedynie paskudne wspomnienia i byłam mu za to ogromnie wdzięczna.

Spędziłam noc w tym okropnym miejscu. Przeniosłam się do najdalszego kąta, rozłożyłam na ziemi dodatkową halkę i próbowałam zasnąć oparta plecami o ścianę, trzymając na kolanach torbę. Czoło oparłam na torbie i spałam niespokojnie. Nocą chwilami wpatrywałam się w ciemność, słysząc jakieś szuranie i szmery - z pewnością koty polowały na szczury - i odpływałam w niespokojny sen, po czym zaraz podnosiłam głowę i nerwowo rozglądałam się dookoła.

Kiedy wreszcie nastał świt, potarłam oczy brzegiem sukni, znów wsunęłam włosy pod kapelusz, a potem opuściłam to cuchnące miejsce i wyszłam na ulicę Peszawaru.

Wydałam kolejną annę na *roti*; choć byłam spragniona, nie zamierzałam nic pić. Jednak ciepłe *roti* w połączeniu z jasnym słońcem wpadającym w wąskie uliczki znacznie podniosło mnie na duchu.

Postanowiłam spróbować szczęścia w innych misjach; w najgorszym wypadku mogli mnie tylko wyrzucić. Pytając o drogę, znalazłam Misję Anglikańską. Kiedy zapukałam, drzwi otworzyła sympatyczna Angielka w średnim wieku w burej sukni misjonarki. Jej stalowoszare włosy były ściśnięte w mocny kok.

W powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty. I panowała niesamowita cisza.

- W czym mogę ci pomóc, moja droga? - zapytała kobieta. Na dźwięk jej uprzejmego tonu serce zabiło mi mocniej.

- Ja... Szukam... - urwałam, nagle bojąc się powiedzieć prawdę, powiedzieć, jak się nazywam. Czy wtedy wyraz jej twarzy nie zmieni się, a ona nie stanie się nagle chłodna, jak przewidywała pani Lang? -

Potrzebuję pomocy - powiedziałam w końcu. - Przyjechałam z... południa i mam nadzieję znaleźć tu schronienie. W chrześcijańskiej misji. Mogę pracować - dodałam podniesionym głosem.

Nadal stałyśmy w drzwiach; nie zaprosiła mnie do środka.

Skinęła głową, a z jej twarzy nie zniknął wyraz troski, choć teraz uważniej przyjrzała się mojej twarzy, a potem przeniosła wzrok na kapelusz i suknię. Wstydziłam się bardzo mojego wyglądu. Wiedziałam, że jestem brudna i po długiej podróży nieprzyjemnie pachnę. A na dodatek cuchnę miejscem, w którym spędziłam ostatnią noc.

- Oczywiście - powiedziała. Wstrzymałam oddech. -Skieruję cię tam, gdzie znajdziesz potrzebną pomoc.

Jej słowa zaskoczyły mnie. Położyła mi dłoń na ramieniu i łagodnie odwróciła, tak że stanęłam twarzą do ulicy.

- To niedaleko. Jakieś piętnaście minut stąd. Skręć w lewo, a potem idź prosto ulicą. Zapytaj, jeśli nie będziesz mogła trafić.

Wpatrywałam się w nią.

- Myślałam... Czy to nie jest misja? Jestem córką misjonarzy. Przeszłam przeszkolenie medyczne.

Skinęła głową, nadal z wyrazem troski na twarzy.

- Oczywiście. Ale miejsce, którego szukasz, moja droga, to Misja *Zenona*. Przyjmują tam kobiety - powiedziała - zarówno tubylki, jak i Euroazjatki. Na pewno zaoferują ci schronienie.

Teraz ja otworzyłam usta.

- Ale ja...

- Najpierw w lewo, jak mówiłam - odparła z uśmiechem i i wyprowadziła mnie na schody. - Wszystkiego dobrego, moja droga - dodała i zamknęła drzwi.

Stałam tam przez całą minutę, powoli trawiając jej słowa. Obejrzałam się na ciężkie zamknięte drzwi. A potem wyszłam na ulicę i skręciłam w lewo.

Dwadzieścia minut później stałam w ciemnym, zatłoczonym zaułku.

Przed sobą widziałam krzyż przybity do drzwi, a pod nim wyblakły napis: „Misja *Zenana* w Peszawarze”. Fasada budynku kruszyła się, a drewniana framuga i balkon na drugim piętrze wymagały naprawy.

Zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Kiedy mocno załomotałam, wreszcie usłyszałam kroki. Drzwi otworzyła młoda kobieta, chyba kilka lat starsza ode mnie. Lewa strona jej twarzy była zupełnie zniekształcona, skóra ściągnięta i pomarszczona, a powieka opadała tak mocno, że widać było spod niej tylko niewielki błysk.

- Ja ci pomóc? - zapytała. Była tubylką i miała na sobie prostą, szarą suknię ze zniszczonym i pożółkłym, lecz starannie wyprasowanym kołnierzykiem.

- Właśnie przyjechałam do Peszawaru - powiedziałam podobnie jak w Misji Anglikańskiej. Nie miałam zamiaru wyjawiać nikomu, skąd pochodzę. Ani niczego więcej poza kilkoma faktami. - Chciałabym z kimś porozmawiać. Z kimś z kierownictwa - dodałam. Trudno było patrzeć na jej twarz. Jej ucho było zupełnie spalone; pozostała tylko dziura pod czarnymi, zaczesanymi do góry włosami.

Uświadomiłam sobie, że się gapię, i spuściłam wzrok.

- Tak - odparła kobieta. - Proszę, wejdz.

Weszłam do holu. Stłumione głosy śpiewały pieśń. Melodia była dobrze znana: *Zbawienie mieszka w Chrystusie*. Z innej części budynku dobiegały ciche śpiewy. Mały chłopczyk wszedł do holu na chwiejnych nóżkach. Trzymając w ręce na wpół zjedzoną marchewkę, oglądał się roze-

śmiany za siebie. Za nim przybiegła może sześciolatka dziewczynka. Klaskała w ręce i głośno się śmiała. Natychmiast poczułam się lepiej. Miejsce, w którym biegają zadowolone, roześmiane dzieci, nie mogło być złe. Pomyślałam o eleganckim, wspaniałym domu Langów i przejmującej ciszy Misji Anglikańskiej.

- Proszę za mną - powiedziała kobieta.

W jej angielskim słychać było silny akcent; byłam pewna, że jej ojczystym językiem jest hindi. Zaprowadziła mnie do małego pokoju dziennego z prostymi drewnianymi krzesłami, dużymi haftowanymi poduszkami i kilkoma małymi stolikami. Pokój był jasno oświetlony przez wysokie okna wychodzące na podwórze. Siedziały tam dwie młode kobiety, cicho ze sobą rozmawiając. Nie miałam pewności, czy są Hinduskami, czy Euroazjatkami; miały na sobie podobne proste suknie i upięte wysoko czarne włosy.

- Rohana - rzekła moja przewodniczka - proszę, przynieś herbatę dla gościa.

Obie kobiety natychmiast wstały. Kiedy mnie mijały, uśmiechnęły się szeroko, lecz nie poruszyłam się. Nie mogłam ufać moim ustom. Z powodu tych drobnych uprzejmości - zaoferowanej herbaty, przyjaznego uśmiechu - byłam bliska płaczu.

- Proszę - powiedziała kobieta. - Siadaj. - Prawą ręką wskazała krzesło. Dostrzegłam wówczas, że lewa ręka, którą trzymała przyciśniętą do boku, jest zupełnie uschnięta. Oparzenia stopiły razem palce. - Helena jest panią tego Towarzystwa. Zaraz tu przyjdzie. - Uśmiechnęła się jak tamte kobiety, choć uniosła się tylko połowa jej ust, i zostawiła mnie w pokoju. Usiadłam, postawiłam torbę z boku krzesła i nasłuchiwałam odgłosów domu. Muzyka, śpiewy i głosy dzieci. Nade mną rozległy się kroki; podniosłam wzrok na sufit, a potem opuściłam go na leżące na kolanach ręce. Rękawiczki były bardzo poplamione; zdjęłam je i ułożyłam na kolanach tak, by nie było widać brudu.

Po kilku minutach do pokoju weszła starsza kobieta, Angielka, i skinęła uprzejmie głową.

Wstałam, lecz zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, pokazała mi gestem, bym znów usiadła.

- Witaj. Jestem Helena. Czy zaproponowano ci coś do picia?

- Tak. Dziękuję - Nigdy nie znałam żadnej Angielki, która przedstawiałaby się samym tylko imieniem.

Usiadła obok mnie, przysuwając krzesło bliżej, niż zwykle robią to obcy ludzie, i przyglądała się mojej twarzy.

- Aimée powiedziała mi, że właśnie przyjechałaś do naszego miasta. Jaki jest cel twojej wizyty? - zapytała.

- Miałam nadzieję, że... znajdę tu pracę. Jestem córka misjonarzy. I znam się na sprawach medycznych.

Kobieta wydała z siebie dźwięk zaskoczenia.

- Sprawach medycznych? Jakich?

Zaciskałam i rozluźniałam dłonie. W końcu je uspokoiłam.

- Nastawianie kości, zaszycanie i opatrywanie ran. Znam się też na infekcjach - oczu, ust i skóry. Na pewnych schorzeniach wewnętrznych piersi, żołądka i pęcherza. Mówię też w hindi, urdu i pendżabi i trochę po persku. - Słyszałam swój własny głos, zbyt szybki i niespokojny.

Urwałam i wzięłam głęboki oddech, próbując mówić z mniejszą desperacją. Wiedziałam, że to moja ostatnia szansa. Jeśli wyrzucą mnie z tej misji, co pocznę, mając w torebce niecałą rupię?

Przed oczami stanęła mi wizja nocy spędzonej z plecami opartymi o ścianę w pustym, ciemnym zaułku i wzdrygnęłam się bezwiednie.

Zaburczało mi w brzuchu. Zażenowana poruszyłam nogami i przycisnęłam ukradkiem ręce do żołądka.

- Paszto? Spojrzałam na nią.

- Mówisz w paszto?

Pomyślałam o Afgańczyku na złocistym ogierze.

- Nie. Ale jestem pewna, że mogę się szybko nauczyć. Potrafię też czytać i pisać w hindi i urdu.

W końcu Helena uśmiechnęła się.

- No cóż. Nieczęsto ktoś taki jak ty puka do naszych drzwi. Większość naszych kobiet przychodzi z chrześcijańskich misji, gdzie się wychowały i wykształciły - dodała. - Ale sądząc po twoim angielskim, z tobą było inaczej.

Przełknęłam ślinę.

- Wychowałam się w chrześcijańskiej misji i jak wspominałam, jestem córką misjonarzy. Angielskich misjonarzy medycznych. Nauczyłam się zabiegów chirurgicznych, obserwując ich przy pracy i pracując razem z nimi, gdy byłam starsza. Ale całe życie spędziłam w Indiach.

- Nie uczyłaś się w Anglii? Pokręciłam głową.

- Uczyli mnie rodzice.

- Ale jesteś Angielką.

To było pytanie czy stwierdzenie? Przyglądała mi się badawczo i poczułam się nieswojo. Kobieta w Misji Anglikańskiej wzięła mnie za Euroazjatkę. A teraz przepytowała mnie Helena. Wiedziałam, że mam ciemną twarz i ręce po pracy na słońcu i wielu dniach spędzonych w podróży. A jednak... To jeszcze pogłębiło moją niepewność. Musiała pozwolić mi zostać.

- Chciałaby pani, żebym coś zademonstrowała? Proszę zapytać mnie o cytat z Biblii. O cokolwiek - wyrzucałam z siebie. - Tyle ich znam na pamięć. A może wyjaśnię wykorzystanie pastylek z pączyzny w leczeniu gorączki albo korzyści w podawaniu słodzonej wody dzieciom chorym w lecie na biegunkę. Nie żeby leczyć samą biegunkę, lecz żeby dzieci się nie odwodniły.

Helena skrzyżowała ręce na piersi i roześmiała się. Jej śmiech był szczery i radosny i teraz zobaczyłam, że nie jest tak stara, jak początkowo sądziłam.

- Wielkie nieba, nie. Jestem pewna, że doskonale znasz Pismo Święte i masz doświadczenie w leczeniu. Mogę cię



zapewnić, że bardzo nam się tu przydasz. Rozpaczliwie potrzebujemy lepiej wykształconych kobiet, nie tylko po to, by uczyły inne, lecz również, by leczyły mniej skomplikowane przypadki i udzielały porad. Większość naszych opiekunek potrafi uczyć angielskiego. Bardziej postępowi muzułmańscy mężowie w mieście nie mają nic przeciwko temu, by ich żony i dzieci uczyły się angielskiego. Dzięki temu możemy też głosić Ewangelię. Ale czasami mężczyźni chętniej widzą kobiety z zewnątrz, by pomagały rozwiązywać problemy zdrowotne. Wiele kobiet w *pardah* ma problemy ze zdrowiem, ale oczywiście nie mogą ich leczyć mężczyźni.

- Podobnie było w infirmerii w naszej misji. Helena znów przyjrzała się mojej twarzy.

- Czy twoi rodzice zaaprobowali twój wyjazd?

- Odeszli do Pana. Nie tak dawno.

Twarz Heleny znieruchomiała. Wyciągnęła ręce i ujęła moje dłonie w swoje.

- Tak mi przykro z powodu twojej straty, kochana. Tak przykro.

Jej dłonie były ciepłe, większe od moich. Odpowiedziałam jej uściskiem. Byłam bliska płaczu.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne - rzekła tym samym ciepłym głosem.

Łzy napłynęły mi do oczu i wzięłam głęboki oddech. Płakałam ze względu na rodziców czy na samą siebie, bo byłam taka samotna, głodna i przerażona? Zamknęłam oczy i łzy popłynęły spod zaciśniętych powiek.

- No już, już, moja droga. Helena jednym szybkim ruchem objęła mnie ramionami.

Poczułam zapach mydła karbolowego, a ponieważ wydawało mi się to tak naturalne, pochyliłam się na krześle i położyłam jej głowę na ramieniu.

Nigdy nie obejmowała mnie żadna kobieta, nawet moja matka. Eve Fincastle. Nie chciałam się ruszyć. Chciałam zamknąć oczy i zapaść się w sen.

Helena poklepała mnie po plecach i odsunęłam się. Wyjęła z rękawa chusteczkę i podała mi. Wytarłam oczy.

- Mogę cię zapewnić, że wspaniale będzie mieć wśród nas osobę z wiedzą medyczną. Rozumiesz, że większość pracy wykonujemy w *zenanachl*

Skinęłam głową.

- I nie masz nic przeciwko temu? Masz doświadczenie z muzułmanami i ich zwyczajami? *Purdah* i tak dalej?

- Tak.

- To dobrze. Jeśli masz tu pracować, powiedz, jak możemy cię nazywać?

- zapytała.

Czy to oznaczało, że zostaje? Chyba że zareaguje jak pani Lang, kiedy usłyszy, kim jestem. Ale wiedziałam instynktownie, że Helena w niczym nie przypomina pani Lang. Albo pani Wyndham lub Rollings-Smythe.

Choć była skromnie ubrana i uczesana, w jej spokojnym, bezpośrednim spojrzeniu kryła się godność.

- Z pewnością przydadzą nam się dodatkowe ręce do pomocy - powiedziała, jakby chciała mnie zachęcić. - Jak się nazywasz?

Wzięłam głęboki oddech. Zastanawiałam się, czy nie podać fałszywego nazwiska, ale się rozmyśliłam. Byłam już zmęczona tą nieustanną obroną. I straciłam większą część swojej tożsamości. Zostało mi tylko imię i nazwisko. Mimo to zawahałam się.

- Pree Fincastle - odparłam cicho, patrząc jej prosto w oczy.

- Urocze imię.

Nie zauważyłam zmiany w wyrazie jej twarzy.

- Pree Fincastle - powtórzyła. - Czy Pree to twoje imię nadane ci na chrzcie?

- Tak naprawdę mam na imię Priscilla.

- Ale wolisz Pree? - zapytała.

W końcu pozwoliłam sobie na uśmiech, niewielki i drżący.

- Wolę Pree - zgodziłam się.

- Nie zwracamy sobie głowy nazwiskami ani zbytnimi formalnościami. Wszystkie mówimy tu sobie po imieniu. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Jest jednak kilka rzeczy które muszę wyjaśnić do końca. I coś, o co muszę cię spytać.

- Tak? - zapytałam znów ogarnięta niepokojem. Kobieta o imieniu Rohana weszła do pokoju z herbatą na tacy. Postawiła ją na stoliku obok Heleny.

Helena podziękowała jej, gdy wychodziła, po czym nalała dwie filiżanki herbaty i podała jedną mnie.

- Dziękuję. - Mocno chwyciłam spodeczek.

- Może herbatnika? - zapytała, wyciągając w moją stronę mały mosiężny talerzyk.

Choć byłam bardzo głodna, wiedziałam, że nie będę w stanie nic przełknąć. Byłam tak zdenerwowana, że z trudem mówiłam. O co chciała zapytać? Czy będę mogła odpowiedzieć szczerze, czy też zostanę zmuszona do kłamstwa?

Pokręciłam głową.

- Co miałam... ach, tak - rzekła Helena. - Jest kilka rzeczy o których muszę porozmawiać z każdym, kto chce zostać członkiem naszej rodziny. Bo tak tutaj jest, Pree. Jesteśmy jedną wielką rodziną.

Skinęłam głową i drżącymi rękami uniosłam filiżankę do ust i wypiałam łyk herbaty. Poczułam, jak spływa przeze mnie słodkie ciepło.

- Czy masz jakąś inną rodzinę teraz, gdy rodzice odeszli? Rodzeństwo lub dalekich krewnych gdzieś w Indiach? A może nawet w Afganistanie?

W Afganistanie? Oczywiście; przecież był tuż za granicą. Znów pokręciłam głową. Na mojej twarzy musiało jednak pojawić się wahanie, bo Helena pochyliła się jeszcze bliżej.

- I nie jesteś zaręczona? Lub związana... w inny sposób? Z mężczyzną? Pokręciłam głową, wpatrując się w filiżankę. Przed oczami stanął mi Kai. A potem Eddie. I pułkownik. Znów zamknęłam oczy.

- Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego przyjechałaś do Peszawaru z... - Zawiesiła głos i wiedziałam, że oczekuje, bym wyznała, skąd przyjechałam. Otworzyłam oczy, lecz nie odpowiedziałam. Piłam herbatę, nadal wpatrując się w filiżankę, jakby ta czynność wymagała skupienia całej mojej uwagi.

- Peszawar nie jest miejscem, do którego przybywa się bez przyczyny - ciągnęła Helena, gdy stało się jasne, że nie odpowiem. - Zwłaszcza teraz. Wiesz o tym? Sytuacja polityczna jest dość trudna i dochodzi do zamieszek pomiędzy Hindusami i Brytyjczykami oraz Rosjanami z powodu Afganistanu. Wielu Europejczyków wyjeżdża, a ty się tu zjawiasz. - Spuściła wzrok na moją talię, a ja podążyłam za jej wzrokiem. - Czasami młode kobiety przychodzą do nas, gdy są w potrzebie. Kiedy znajdują się w pewnym stanie. Zawsze im pomagamy, Pree. Nie ma potrzeby utrzymywać tego w sekrecie; prawdę mówiąc, wolę wiedzieć zawczasu.

Skinęłam głową, rozumiejąc wreszcie, o co jej chodzi.

- Dzieci, które przychodzą tu na świat, zostają ze swoimi matkami. Jak powiedziałam, jesteśmy ich rodziną, jeśli tylko szanują nasze zasady i wykonują swoją pracę. Kobiety i ich dzieci nigdy nie muszą się bać, że będą musiały stąd odejść -ciągnęła, jakbym potrzebowała podpowiedzi. - Oczywiście, niektóre po pewnym czasie postanawiają odejść. Wychodzą za mąż albo decydują się mieszkać gdzie indziej z różnych powodów. Ja wymagam tylko, żeby się zastanowiły. Jedyne kobiety, jakie kiedykolwiek poprosiłam o opuszczenie tego domu, to te, które zachowują się nieżyczliwie w stosunku do innych. Jesteśmy w stanie wypłacać każdej co miesiąc niewielką sumę pieniędzy. Jednak mieszkając tutaj, nie będziesz musiała ponosić żadnych wydatków, wszystko jest zapewnione. Oprócz pracy w *zenana'ch*, wszystkie zajmujemy

się domem, na zmianę gotujemy, sprzątamy i pomagamy w opiece nad dziećmi. Nie zatrudniamy służby; służymy sobie nawzajem z taką samą miłością, z jaką służymy naszemu Panu.

Nie mogłam mówić. Moja filiżanka była pusta, ale nadal trzymałam ją przy ustach, by ukryć ich drżenie. Czułam piekący ból w gardle. Nie mogłam się znów rozplakać, bo Helena mogłaby mnie uznać za nieźrównoważoną. Nie miała jednak pojęcia, co czuję. Załedwie przed godziną nie miałam nikogo i nie miałam dokąd pójść. Teraz mówiła do mnie z taką ufnością, jakbym już była członkiem jej rodziny w Misji *Zenana*.

- Zachęcam wszystkich, by jak najwięcej mówili po angielsku.

Oczywiście wiele kobiet przechodzi na swój ojczysty język, gdy rozmawiają między sobą, i dobrze. Chodzi tylko o to, by ich angielski był na tyle poprawny, by mogły go uczyć. Jest tu kilka kobiet, które jeszcze nie w pełni go opanowały. Na przykład Aimée, która cię wpuściła, zaczęła się uczyć angielskiego późno w przeciwieństwie do większości dziewcząt, które dorastały w chrześcijańskich misjach. Możesz pomagać codziennie komuś takiemu jak Aimée; ważne, by rozmawiała z kimś, dla kogo angielski jest ojczystym językiem.

Pomyślałam o twarzy biednej Aimée.

- Kobiety nie mogą tu zostać również wtedy, gdy zachowują się w sposób nieprzystający do chrześcijańskiego domu. Jeśli któraś... zwiąże się... z mężczyzną, nalegam na małżeństwo. Jeśli do niego nie dochodzi, kobieta nie może zostać. Nie można dawać złego przykładu. Żadnych sekretów - powtórzyła z emfazą.

- Oczywiście - przytaknęłam, choć miałam sekrety. Paskudne sekrety - Na pewno nie jestem... w stanie... który może się okazać z czasem oczywisty - powiedziałam. Od wczoraj mogłam być tego absolutnie pewna. - I chcę tylko... - Czego chciałam? - Zacząć na nowo. Chcę wykonywać pracę, na której się znam. I chcę mieć dom, Heleno.

Naprawdę. - Postawiłam filiżankę na stoliku. - Nie mam żadnej rodziny. Gdybym mogła znaleźć ją tutaj, to... - Nagłym ruchem przyłożyłam chusteczkę do nosa i ust, nie mogąc powstrzymać łez.

- Przepraszam, przepraszam. - Nadal zakrywałam usta chusteczką. Pomyślałam o matce, mówiącej przez chusteczkę, i rozplakałam się jeszcze bardziej. - Heleno, płaczę tylko dlatego, że... to była długa podróż i...

Poklepała mnie po ręce.

- Wiem - szepnęła. - Wiem, Pree.

Wiedziałam, że mnie rozumie. Skąd czerpała to współczucie? Jakie ciężkie chwile przeżyła, by mieć aż taką empatię?

Siedziałyśmy w milczeniu. Trzymała mnie za rękę, i dopiero gdy byłam w stanie wziąć głęboki oddech i wytrzeć twarz, uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Witaj, Pree. Przedstawię cię innym przy obiedzie. - Jej dłoń była taka ciepła. Odwróciła moją. Przyjrzała się głębokiej bliznie na lewym kciuku - pozostałości po wypadku z sierpem - i odciskom pod palcami.

- Przywiozłaś coś z sobą? - zapytała, puszcżając moją rękę.

- Tylko to. - Spojrzałam na torbę.

- Dobrze.

Wstała i podeszła do drzwi. Otworzyła je i powiedziała coś cicho. Po chwili zjawiała się Aimée. Helena przemówiła do niej tym samym przytłumionym głosem. Nie słyszałam, co mówiła, lecz Aimée odwróciła się do mnie i uśmiechnęła tym swoim półuśmiechem. Odwzajemniłam uśmiech, mrugając szybko powiekami.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Aimée pokazała mi mój pokój na drugim piętrze, który miałam dzielić z nią i Rohaną. Stały tam trzy wąskie łóżka oddzielone zasłonami. Jedno okno wychodziło na podwórze. Ściany były pobielone, a na podłodze z surowych desek leżały proste dywaniki. Obok drzwi stała szafa, a w rogu znajdował się mały kominek. Zastanowiłam się, jakie temperatury panują zimą tak daleko na północy. Zajrzałam za parawan w drugim rogu i zobaczyłam umywalkę i nocnik.

- Jest pokój do mycia w holu - wyjaśniła Aimée. - Z wygodką. Helena mówi, że będę z tobą - powiedziała. - Pokażę ci Peszawar i zabiorę do *zenan*.

- Dobrze - odparłam, rozglądając się po skromnym pokoju.

Byłam bardzo zmęczona, lecz Aimée wyglądała na podnieconą i chciała mi wszystko pokazać, więc zmusiłam się do okazania entuzjazmu.

Na jednej ścianie wisiał duży obraz bez ram przedstawiający Jezusa i Marię Magdalenę, która myła mu stopy; na drugim Jezus z dziećmi. Pod nim stał prosty drewniany stolik. O ścianę opierał się biały krzyż bez ozdób, a obok płonęła mała świeca, mimo że w pokoju było jasno.

Aimée pokazała palcem na obraz Jezusa z dziećmi.

- Rohana maluje. To artystka - powiedziała z dumą. - Robi cały dom ładny.

Skinęłam głową, patrząc tęsknie na wąskie łóżko przykryte hinduską bawełnianą narzutą. Tak bardzo chciałam się wykapać i zdjąć brudne ubranie. Chciałam, żeby był już

wieczór, żebym mogła włożyć czystą koszulę nocną, położyć się w łóżku przy zapalanej lampie i czytać. Pomyślałam o trzech powieściach w torbie; czytałam je tak wiele razy.

- Czy na bazarze jest dużo kramów z książkami? - zapytałam. - Może na bazarze w angielskiej dzielnicy?

Aimée spojrzała na mnie zaskoczona.

- Kramy z książkami?

Przypominając sobie słowa Heleny, zwalczyłam pokusę, by mówić do niej w hindi.

- Żeby kupić książki. Angielskie książki.

Aimée wzięła małą czarną Biblię z poduszki na swoim łóżku.

- Mamy Biblię. Ty masz Biblię?

- Tak. W torbie. - Miałam czarną Biblię ojca i moją białą.

- Teraz modlimy się - powiedziała Aimée i ukłękła przy małym stoliku, podnosząc na mnie wzrok.

- Och. Jeśli... jeśli chcesz...

Oczywiście nadal odmawiałam w myślach moje własne pogmatwane modlitwy. Ale nie pamiętałam, kiedy ostatni raz odmawiałam - lub słyszałam - prawdziwą modlitwę. Na pewno nie od czasu śmierci ojca. Ukłękłam obok Aimée.

- Drogi Boże w niebie - zaczęła, zaciskając jedno oko i owijając dłoń wokół uschniętej ręki w talii - Dziękuję Ci za Twoją rękę na Pree, bo przysłała ścieżką do naszych drzwi. Dziękuję Ci, bo będzie miała z nami nowe życie. Modlimy się do Ciebie, proszę, będzie bezpieczna i zobaczy wszystko piękne w Peszawarze, a Ty ją kierujesz, żeby pomagała, którym potrzebują pomocy, jak pomagasz nam w potrzebie. Drogi Ojczy w niebiosach, dziękuję Ci za twój dar, Pree. Amen.

- Amen - powtórzyłam cicho.

Aimée otworzyła oko, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Nawet mnie nie znała, a jednak łamaną angielszczyzną dziękowała Bogu za to, że sprowadził mnie do jej domu.

Nie mogłam pozwolić, by ona - ani żadna z tutejszych



kobiet - kiedykolwiek się dowiedziała, jaka jestem naprawdę i co zrobiłam.

Z podwórza dobiegł głośny dźwięk gongu.

- Obiad - oznajmiła Aimée. - Chodź. - Wyciągnęła zdrową rękę, jakbyśmy były dziećmi.

Ujęłam jej dłoń i razem zeszyliśmy po schodach.

- Twoje imię Priya? - zapytała. - Podoba mi się Priya. I naprawdę jesteś ładna - dodała.

- Dziękuję. Ale Pree to zdrobnienie od Priscilla - odparłam, spoglądając na nią.

Jej twarz z przodu budziła niepokój, ale kiedy szła obok mnie, widziałam tylko tę zdrową część. Byłaby bardzo ładna... Pomyślałam o jej powitaniu i szczerzej modlitwie w naszym pokoju. Ona była urocza. Powtarzałam sobie, że muszę się postarać być dobrą i życzliwą.

- Helena mówi do mnie moje imię znaczy przyjaciel - powiedziała Aimée.

- W innym języku, nie angielski.

- To bardzo do ciebie pasuje - odparłam szczerze.

- Nie lubię moje hinduskie imię. Aimée chrześcijańskie - ciągnęła. -

Niektóre Euroazjatyckie kobiety tutaj lubią hinduskie imię, niektóre hinduskie kobiety lubią chrześcijańskie imię. Co ty jesteś, Pree? - zapytała z taką szczerością, że zatrzymałam się. Odwróciła się do mnie, czekając na odpowiedź.

Nagle ogarnęło mnie tak wielkie zmęczenie, że musiałam się oprzeć ręką o ścianę. Nie chodziło tylko o podróż i ostatnie straszliwe dwadzieścia cztery godziny w Peszawarze, lecz o wszystko, co wydarzyło się wcześniej. Niebezpieczeństwo, jakie groziło mi w misji. Niepokojące szczegóły o moim nieznanym pochodzeniu, które zdradziła mi Glory, i o to, jak nisko upadłam, by wydostać się z misji.

- Ja... Ja jestem... - Patrzyłam na jej pełną oczekiwania twarz, opierając się ramieniem o ścianę.

- Ty chora, Pree? - zapytała, spoglądając na mnie ze zmarszczonymi brwiami. - Wyglądasz chora. Potrzebujesz ja ci pomagać?

Pokręciłam głową, choć słabo.

- Nie. Nie jestem chora. Ale... - osłabienie ogarniało mnie falami. Jej proste pytanie: „Co ty jesteś, Pree?” uświadomiło mi, że nie znam prostej odpowiedzi. Nie wiedziałam, czym jestem, kim jestem. Tak, byłam Pree Fincastle, ale kim naprawdę? - Nie... nie wiem - powiedziałam w końcu. - Nie wiem.

Aimée kiwnęła głową w swój nieskomplikowany sposób. Moja odpowiedź jej wystarczyła.

W jadalni stały długie drewniane stoły, a po obu ich stronach ławki. Kobiety i dzieci kręciły się, zajmując miejsca, a kilka innych kobiet wniosło wielkie drewniane talerze i miski przez drzwi, które prowadziły na podwórze.

Usiadłam obok Aimée, a kiedy wszyscy już zajęli miejsca, zapadła cisza.

- Aimée - powiedziała Helena - przedstaw teraz Pree. Aimée wstała i przemówiła bardzo głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

- Oto Pree. Ona wejść do naszej rodziny.

Dotknęła mojego ramienia i wstałam. Nie mogłam podnieść wzroku, kiedy w powietrzu uniósł się chór powitań. Wydawało mi się - miałam nadzieję - że się uśmiechnęłam, lecz zaraz wbiłam wzrok w blat stołu i szybko usiadłam. Po odmówieniu modlitwy zaczęłyśmy jeść. Jedzenie było proste, lecz sycące: gęsta zupa jarzynowa, *roń* i duże kawałki koziego sera.

Włożyłam łyżkę do zupy, lecz nie podniosłam jej do ust. Czułam, że wszyscy mnie obserwują, osądzają, i siedziałam ze spuszczoną głową, dopóki Aimée delikatnie nie dotknęła mnie w ramię. Spojrzałam na nią.

- Jedz - powiedziała.

Rozejrzałam się na boki, podniosłam wzrok i przekonałam się, że wszyscy zajęci są jedzeniem. Pomagają młodszym dzieciom i rozmawiają o codziennych sprawach. Źródłem mojego niepokoju był mój własny strach.

Nabrałam łyżkę zupy. Była gęsta i pyszna. Jadłam szybko, starając się kontrolować swoje ruchy, ale byłam bardzo głodna. Po kilku chwilach mój talerz był pusty, a głowa zaciężała mi równie mocno jak pełny żołądek. Przytłacza I mnie hałas, rozmowy, śmiech i ruch. Wstałam razem ze wszystkimi i poinstruowana przez Aimée pomogłam pozmywać i posprzątać jadalnię.

Potem siedziałam na podwórzu i kroiłam stosy owoców. Dookoła mnie kobiety śmiały się i rozmawiały; moje ręce poruszały się bezmyślnie i obserwowałam palce trzymające długi nóż, jakby należały do kogoś innego.

Kiedy skończyłyśmy, Aimée zabrała mnie do pokoju, w którym rozmawiałam z Heleną. Dała mi Biblię i podczas gdy ona pracownicy czytała, przesuwał palcem po liniach tekstu, ja tylko siedziałam. Biblia leżała otwarta na moich kolanach, ale nie mogłam się skupić. Być może zdrzemnęłam się. Nagle Aimée wypowiedziała moje imię. Wstałam, a Biblia spadła na podłogę.

Znów poszliśmy do jadalni na skromny wieczorny posiłek złożony z *roti*, sera i owoców, które pomogłam przygotować. Potem w dużym pokoju odmówiono wieczorna modlitwę. Kobiety - niektóre z dziećmi na kolanach - siedziały na prostych krzesłach, a kilkoro starszych dzieci rozłożyło się na podłodze przed matkami. Z trudem utrzymywałam otwarte oczy. Miałam nadzieję, że po ostatnim „amen” wszyscy się rozejdą, lecz jedna z kobiet wstała i dmuchnęła w małą piszczałkę.

- Naszym pierwszym hymnem będzie *Łaska kieruje naszymi stopami wędrowców* - oznajmiła i ogarnęła mnie rozpacz na myśl o kolejnej godzinie śpiewania - lub przynajmniej poruszania ustami - znanych dobrze hymnów, których od tak dawna nie śpiewałam.

Na mojej twarzy musiało malować się zmęczenie, bo kiedy głosy podjęły śpiew, podeszła do mnie Helena.

- Na pewno jesteś zmęczona po niedawnej podróży - powiedziała. - Możesz już udać się na spoczynek.

- Dziękuję - odparłam i poszłam na górę. W ciemnym korytarzu odnalazłam swój pokój. Poczułam ulgę, że mam dla siebie choćby tylko godzinę. Skorzystałam z łazienki, wdychając z radości na widok świeżo wyszorowanej skóry i umytych włosów. Włożyłam zmiętą, lecz czystą koszulę nocną. W pokoju zapaliłam lampę i położyłam się do łóżka, powoli rozczesując palcami i zaplatając mokre jeszcze włosy. Materac był płaski i twardy; przypominał mi moje łóżko z dzieciństwa.

Wolałabym spać na plecionym, które stało w chacie.

Piekły mnie oczy i wiedziałam, że nie dam rady czytać. Zostawiłam zapaloną lampę dla Aimée i Rohany i przewróciłam się na bok.

Spoglądając na otwarte okno, słyszałam odgłosy miasta szykującego się na spoczynek. Z łóżka widziałam cztery minarety. Cztery to dobra liczba. Myślałam, że wypłakałam już wszystkie łzy, a one znów napłynęły mi do oczu. Znalazłam miejsce, gdzie zapewnią mi dach nad głową i nakarmią. Gdzie nie muszę się obawiać o własne bezpieczeństwo.

Czy płakałam z ulgi? Nie wiem.

Następnego ranka po modlitwie i skromnym śniadaniu Aimée zabrała mnie na ulice Peszawaru. Szłam za nią krętymi zaułkami i wąskimi uliczkami, przez bazyry pachnące dojrzałymi owocami, pieczonym mięsem i dymem tytoniowym. Była zachwycona, że może mi wszystko pokazać, i z trudem odnajdywała właściwe angielskie słowa; poprawiałam ją delikatnie, kiedy się myliła, a ona zawsze dziękowała mi z uśmiechem.

- Jutro idziemy do *haveli* - powiedziała, gdy szłyśmy krętymi alejkami bazaru Qissa Khawani. Nosiciele wody spryskiwali ulice wodą, by nie unosił się kurz; po nich pojawili się zmiatacze z dużymi miotłami. Patrzyłam na kramy z jedzeniem, z kolorowymi piramidami fig, moreli, granatów, bananów i pomarańczy. Były tam też małe kosze

ze wspaniałymi przyprawami i większe, już nie tak ładne, z ciecierzycą i orzeszkami ziemnymi. Sprzedawcy branso letek wystawiali szklane lub srebrne obręcze na długich prętach. Mali chłopcy pędzili w różne strony z długimi kijami i na ramionach, na których kołysały się klatki z gładzącymi i piszczącymi kurczętami. Widziałam małe mosiężne fiołki wypełnione najprawdopodobniej świętą wodą z Gangesu z Benares i szkatułki zdobione szlifowanymi półszlachetnymi kamieniami z Agry. Wisiały tam też delikatnie haftowane makatki i dywaniki do modlitwy. Dotykałam wielu rzeczy, a sprzedawcy zrywali się z ziemi lub niskich stołków, by ochoczo zachwalać swoje towary; za każdym razem kręciłam przepraszająco głową.

- Chodź, chodź, memsahib - powiedział bezzębny mężczyzna, wyciągając belę wspaniałego morskiego jedwabiu. Kiedy ją rozwinął, materiał załopotał niczym samotne skrzydło. - Najlepszy jedwab dla ciebie - powiedział, kiwając energicznie głową, a kiedy zaprotestowałam, rozwinął inną, tym razem jaskraworóżową. Pokręciłam głową i ruszyłam dalej. Aimée szczebiotała obok mnie. Pokazywała mi różnych ludzi, którzy przybyli do Peszawaru z Afganistanu. Można ich było odróżnić dzięki wyrazistym rysom twarzy: Hazarów z Mongolii, których widziałam wczoraj, z ich charakterystycznymi opadającymi powiekami; śniadych Uzbeków; Tadżyków, wysokich i szczupłych, z jasną skórą i oczami, wyglądających na Europejczyków, i oczywiście Pasztunów, jak nazywała ich Aimée.

- Tak o sobie mówią. Patani to angielskie słowo - wyjaśniła. Mężczyźni nie wyróżniali się charakterystycznym strem, lecz większość tubylek, które mijałam, to muzułmanki, miały więc zasłonięte twarze i przesuwały się bezszelestnie w swoich burkach.

- Znasz nazwę? Qissa Khawani? - zapytała. Pokręciłam głową. - Ulica do opowiadania historii - powiedziała. - Dawno temu. Ulica, gdzie mężczyźni opowiadają o wojnie. O kobietach. Dwie ulubione historie dla mężczyzn. Inni mężczyźni słuchają, słuchają. Wiele historii, Helena mówi.

Podniosłam wzrok; nad ulicami wznosiły się wysokie, wąskie, dwu- lub trzypiętrowe budynki wzniesione z nie-wypalanych cegieł osadzanych w drewnianych ramach. Wiele miało rzeźbione balkony. Wszystkie dachy były płaskie. Odsunęłam się na bok, kiedy pojawił się mały pasterz, poganiając krzykiem trzy bawoły.

- To *haveli* dla bogatych muzułmanów - powiedziała Aimée. - Jutro idziemy - powtórzyła. - Chcesz herbaty? Helena dała mi anny, mówi ty pijesz herbatę. Pierwszy raz w Peszawarze specjalny, Helena mówi. Spojrzałam na herbaciarnię z wielkimi mosiężnymi samowarami, wiszącymi na hakach imbrykami i małymi glinianymi filiżankami. Na zewnątrz mężczyźni, siedząc w kucki, popijali herbatę. Jeden jadł coś, co wyglądało jak pieczona koźlina z cebulą na chrupiącej kromce chleba.

- Tak, tak, proszę - powiedziałam i znów pomyślałam o Helenie. Była taka miła. Powinnam się cieszyć, że tu trafiłam.

- Pijemy pasztuńską *khawę* - powiedziała Aimée, kupując dwie filiżanki. Stałyśmy pod podartym daszkiem, który przykrywał labirynt alejek bazaru, i popijałyśmy gorącą, słodką zieloną herbatę. Przez daszki i balkony stojących tuż obok siebie budynków wpadały jedynie plamki słońca.

- Znasz paszto? - zapytała Aimée jak wczoraj Helena.

- Nie.

- Szybko się nauczysz. Ja się uczę. Uczę angielski, uczę paszto. Po trochu. Lepiej znać więcej, nie tylko hindi i urdu, Helena mówi.

Uświadomiłam sobie, że niemal każda wypowiedź Aimée kończy się słowami „Helena mówi”. Zastanowiłam się, dlaczego jest tak okaleczona i jak trafiła do Misji *Zenana*. Zeszłego wieczoru, kiedy przyglądałam się twarzom kobiet przy kolacji, uzmysłowiłam sobie, że każda z nich ma swoją własną historię.

Leżąc w nocy w łóżku, powtarzałam sobie, że powodem dziwnego uczucia, które towarzyszyło mi wczoraj, było tylko > nowe otoczenie. Chciałam czuć, że teraz wszystko będzie dobrze. Powtarzałam sobie, że niebawem przywyknę do stylu życia misji.

Nie chciałam przyznać, że jedna myśl nie daje mi spokoju. Bo choć poczułam wielką ulgę, że znalazłam bezpieczne miejsce u boku szczerych i sympatycznych kobiet, niepokoiło mnie, że od teraz ktoś będzie mi mówił, kiedy mam jeść, a kiedy spać. Będzie kierował moim życiem za dnia i w nocy. Ze nigdy nie będę mogła liczyć na prywatność, nawet w czasie snu.

Zaledwie po dwóch spędzonych tu dniach dobrze już wiedziałam, jak wygląda życie w misji. Każdy dzień będzie podobny do poprzedniego. Jedzenie, modlitwa, wizyta w *zenanach*. Powrót do misji i znów jedzenie, modlitwa, spanie.

Nie będę już miała takiej swobody, jaką cieszyłam się przez większość życia. Zanim Glory przejęła misję, byłam wolna i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ciężko pracowałam, ale zawsze znajdowałam czas, by pospacerować nad Rawi lub iść drogą do wiosek. Mogłam siedzieć pod figowcem i czytać. Jeśli nie udało mi się zasnąć, szłam na werandę i kołysałam się w nocnym powietrzu. Przez większość życia byłam sama i lubiłam to. Marzyłam, wymyślałam historie, wyobrażałam sobie przyszłość. Przypomniałam sobie marzenia o Kaiu, o jego dotyku. Jak pragnęłam, by ten dotyk znaczył coś więcej, i byłam pewna, że on też czuje podobnie.

Uświadomiłam sobie, że myślę tylko o szczęśliwych chwilach i że były to myśli młodej, naiwnej kobiety. Ale teraz choć nie byłam stara, nie byłam już naiwna. Misja po śmierci moich rodziców stała się budzącym grozę miejscem. Kaia już nigdy więcej nie zobaczę.

Pree, powiedziałam sobie, musisz zawsze poświęcać jedną rzecz dla innej. Musisz być wdzięczna za to nowe życie.

Rozwazałam, czy nie odmówić dziękczynnej modlitwy, ale nie byłam w stanie znaleźć właściwych słów. Wyglądało na to, że będę musiała ponownie nauczyć się modlić.

Misja *Zenona* w Peszawarze stała się teraz moim domem. Wyrosłam już z czasów, kiedy marzyłam o przyszłym życiu.

Teraz to miejsce było moim życiem.

I, jak powiedziała Helena, to była moja nowa rodzina.

Następnego dnia, zgodnie z obietnicą, Aimée zabrała mnie do pierwszej *zenany* w *haveli* Abdura Jana.

- Najlepsza *zenana* - powiedziała. - Mąż, Abdur Jan, bardzo dobry Pasztun. Chce żony - cztery i wiele dzieci -uczyć angielski. Ale najmłodsza żona bardzo chora. On jest smutny. Akuszerka nie wie, co robić na chorobę. Helena mówi, że ty się znasz, Pree. Zobacz jego żonę, może wiesz.

Podeszłyśmy do łukowatego wejścia pokrytego reliefami. *Haveli* była naprawdę wspaniała; drewniane balkony były jeszcze piękniej zdobione niż w większości domów. Za nimi widać było wysokie zakratowane okna. Kiedy się zbliżyłyśmy, dostrzegłam przelotnie kilka poruszających się tam postaci: kobiety z *zenany*. Przez kraty mogły oglądać ulice, lecz ich nie można było zobaczyć.

Do środka wpuścił nas muzułmanin o surowym wyglądzie, który skinął głową Aimée i odsunął się, by nas przepuścić. Najwyraźniej dobrze zaznajomiona z rozkładem *haveli* Aimée pewnie prowadziła mnie mrocznymi przejściami, a potem przez wysokie drzwi weszłyśmy do pięknego ogrodu na dziedzińcu. Na wszystkich trzech piętrach dziedziniec otaczały balkony.

Ogród zapierał dech w piersiach, pełen drzew, zieleni i kolorów z szmerzącą fontanną na środku. W powietrzu słychać było pokrzykiwania papug i pawi oraz słodki zapach kwitnących krzewów i bujnych roślin.



- Jakie to urocze - szepnęłam, a Aimée skinęła głową.

- Abdur Jan to potężny człowiek - powiedziała. Chodź. - Przykro było mi opuszczać zacienione pachnące ścieżki i znów wejść do *haveli*.

Aimée zaprowadziła mnie na drugie piętro, gdzie na długiej sofie leżała nieruchomo młoda kobieta na wpół przykryta złocistym brokatem. Obok niej siedziała służąca, nacierając jej dłonie perfumowanym olejkim. Przez niemal koronkowe kraty do środka wpadały promienie słońca.

- *Assalamu alaikum* - mruknęła Aimée, a służąca powtórzyła jej pozdrowienie. Młoda kobieta, mniej więcej w moim wieku, otworzyła oczy.

Aimée powiedziała coś w paszto i kobieta spojrzała na mnie. Widać było wyraźnie, że jest bardzo chora. Miała ściągniętą twarz, była wychudzona, a gęste włosy miejscami mocno się przerzedziły. Wzrok miała zamglony.

- Czy mogę do pani mówić w urdu, *bibi*? - zapytałam, używając grzecznościowego zwrotu, którym zwracano się do żony lub pani domu. Skinęła lekko głową i szepnęła *ha*.

- Jak długo jest pani chora? Powoli unosiła powieki.

- Nie pamiętam. Zaczęło się po narodzinach dziecka. Ale powoli. A teraz jest coraz gorzej.

- Od jak dawna ma pani dziecko?

- Prawie rok.

- Czy boli panią głowa?

- *Nahi* - szepnęła. - Brzuch. Nie mogę już jeść, tylko trochę piję, choć i to staje się trudne. - Słabym gestem wskazała stojący na podłodze obok sofy ciężki biały kielich ze srebrnym brzegiem wypełniony pomarańczowym płynem.

- Czy mogę panią dotknąć? - zapytałam i zgodziła się słabo. Nacisnęłam skórę na nagim ramieniu, a potem podniosłam bezwładną rękę i nacisnęłam paznokcie u nasady. Jej drobne miękkie dłonie drżały niemal niezauważalnie i pachniały jaśminowym olejkiem. Obserwowałam, jak

szybko krew powraca do paznokci, myśląc o problemach z krążeniem. Poprosiłam, by wysunęła język; był lekko obłożony i szary, ale to jest normalne dla osoby chorej na żołądek.

- Czy miesięczne przypadłości są regularne?

- *Ha* - powiedziała. - Tak samo teraz jak przed dzieckiem.

- Czy czuje pani w żołądku coś twardego? - zapytałam, myśląc o guzach, które z pomocą matki wyczuwałam pod skórą kobiet. Jeśli guz znajdował się w piersi lub brzuchu, kobiety zazwyczaj umierały.

- Nie, nie - mruknęła. - Proszę zobaczyć. Naciskałam delikatnie jej brzuch przez jedwabną suknię.

Nic nie wyczułam. Uśmiechnęłam się, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić, a ona rzuciła mi w odpowiedzi drżący uśmiech. Położyłam jej rękę z powrotem na brokatowej narzucie. Zostawiłam ją ze służącą i poszłam z Aimée zobaczyć dzieci na najwyższym piętrze.

- Znasz jej chorobę? - zapytała Aimée.

- Nie - odparłam, myśląc o nienormalnie ciemnych dziąsłach, kiedy próbowała się uśmiechnąć, i krwawiących, zniszczonych ustach matki.

Jednak w oddechu *bibi* wyczułam tylko zapach mango.

Nie mogłam się dalej nad tym skupiać, kiedy weszliśmy do części domu przeznaczonej dla dzieci. Był to ogromny, jasny pokój, wypełniony zabawkami z malowanego drewna, satynowymi narzutami i miękkimi wałkami. Jedno małe dziecko i niemowlę spały na narzutach wachlowane przez niańkę, a inne miały od dwóch do pięciu lat. Jedno uczyło się chodzić. Szybko je policzyłam: trzynaścioro. Wiedziałam, że w innym miejscu *haveli* mieszkają starsze dzieci, gdyż kiedy razem z Aimée mijaliśmy na wpół otwarte drzwi, usłyszałam monotony śpiew młodych głosów, który był odpowiedzią na instrukcję uczonego *munshi*. Abdur Jan był w istocie nie tylko płodny i postępowy, ale również bogaty, skoro mógł utrzymywać w luksusie tak liczną rodzinę.

Kilkoro dzieci podbiegło, by przywitać się z Aimée Chwytały ją za spódnice i wołały po angielsku: „Witaj, panno Aimée”. Widać było, że dobrze ją znają.

- To panna Pree - powiedziała do nich po angielsku. Powiedzcie: „Witaj, panno Pree”.

Dzieci zgodnie powtórzyły jej słowa, a ja pozdrowiłam je ciepło. Miałam nadzieję, że inne kobiety z misji równie/ rozmawiają z dziećmi; nie wyszłoby im na dobre, gdyby nauczyły się angielskiego od Aimée.

- Powiemy pannie Pree o kołeczku - zarządziła Aimée, a dzieci kiwnęły główkami. Podniosła zdrową rękę i zaczęła mówić wolno i rytmicznie - Koteczku, koteczku, gdzie drogi cię wiodą? - Jej ręka unosiła się rytmicznie przy każdej sy labie, a dzieci powtarzały chórem wierszyk, tym samym, raczej tragicznym tonem. - Byłem w Londynie odwiedzić królową.

Aimée odwróciła się do mnie z uśmiechem, a dzieci się rozpromieniły. Przyłożyłam dłoń do ust, by ukryć uśmiech. Jak dobrze było się znów uśmiechać. Kochana Aimée. Kochane dzieci. Cofnęłam rękę i zadrżały mi wargi, gdy musiałam walczyć z nieoczekiwanymi łzami.

Przykucnęłam, by znaleźć się na poziomie dzieci, zaczęłam klaskać w dłonie. Wszystkie klaskały razem ze mną.

Zanim nadeszła pora, by zgasić wieczorem światło, ślęczałam nad książkami medycznymi, próbując znaleźć przyczynę choroby młodej żony. Objawiała się nudnościami, utratą włosów, drżeniem rąk. Znów myśląc o matce, otworzyłam książkę na dziale z zatruciami.

Czytając wyniki różnych badań, zaczęłam oddychać szybciej, gdy znalazłam jeden szczególny artykuł. Objawy, które dziś zaobserwowałam, oraz kilka innych, w tym zasinienie dziąseł, mogły wskazywać na zatrucie ołowiem.

Następnego dnia wróciłam do *haveli* znów w towarzy-

stwie Aimée. Zapytałam chorą, czy zażywała jakieś ziołowe lekarstwa. Żadnych, odparła. Nie wiedziałam, czy pożywienie może zawierać ołów, ale kiedy zapytałam ją o jakiegokolwiek zmiany w diecie, powiedziała, że nie jadła nowych potraw od czasu, gdy mogła jeszcze utrzymać jedzenie w żołądku.

Oblizła spierzchnięte wargi i powiedziała coś w paszto do służącej. Kobieta podeszła do stolika i nalała z dzbanka soku z granatów do tego samego kielicha, który widziałam poprzedniego dnia. Dzbanek pasował do kielicha, był bogato zdobiony, miał srebrną rączkę i taki sam srebrny brzeg. Kiedy służąca pomagała kobiecie pić, przyjrzałam się dzbankowi, a potem podeszłam i wzięłam go do ręki. Był bardzo ciężki.

- Czy zawsze pije pani z tego? - zapytałam, nadal trzymając dzbanek i pokazując kielich.

Skinęła głową.

- To prezent od męża po narodzinach naszego syna - powiedziała. -

Trzymam w nim zawsze sok; jest gruby

I dzięki temu sok pozostaje chłodny. Przywiózł go dla mnie z Dalekiego Wschodu.

Spojrzałam na nią. Jej słowa przypomniały mi coś, co nasunęło mi pewne skojarzenia.

- Dlaczego pyta pani o dzbanek? - zapytała. Przesunęłam dłońmi po gładkiej powierzchni, a potem

podniosłam do nosa i powąchałam. Czulałam jednak tylko słodki zapach granatu, ale zauważyłam, że wewnątrz jest również pokryte grubą warstwą gładkiego białego lakieru. I wtedy przypomniałam sobie opowiadania Charlesa Dickensa *Uncommercial Traveller*. W jednym z nich, *Mała gwiazda na wschodzie* czytałam o zatruciu kobiet pracujących w zakładach przy produkcji białego ołowiu. Pomyślałam o Pavicie i paście z tamaryndowca w miedzianym naczyniu. O matce i jej kalomelu. O różnych sposobach, w jakie trucizna może trafić do ciała - jednorazowo lub zatruwając je bardzo powoli i przez długi czas.

Szansa była niewielka, ale nie przychodziło mi do głowy nic innego, co mogłoby wywołać podobne objawy.

- Czy mogę prosić cię, *bibi*, żebyś odstawiła ten dzbanek i kielich? - powiedziałam, a ona spojrzała na kielich w ręce służącej.

- Dlaczego?

- Nie mam pewności - odparłam i nagle ogarnęły mnie wątpliwości, że moja niefachowa opinia może wzbudził jakieś podejrzenia - ale wydaje mi się, że zostały wykonane z trującego materiału.

Otworzyła szeroko oczy.

- Mój mąż chce mnie otruć?

- Ależ skąd. - Skrzywiłam się. Nie powinnam była mówić tak otwarcie. Ale nie miałam innego pomysłu. - Czasami niebezpieczeństwo kryje się w samym naczyniu. Zupełnie niezamierzone. Dzbanek jest piękny, ale... W pokoju zapadła cisza. *Bibi* powiedziała coś w paszto do *Aimée* i z jej tonu wywnioskowałam, że pyta, czy można mi ufać. *Aimée* odpowiedziała jej kojącym głosem i skinęła głową.

- Dobrze - rzekła młoda kobieta. - Ale nie mogę powiedzieć o tym mężowi. Byłby bardzo zły.

- Oczywiście. Proszę tylko przez następny tydzień pić z innego naczynia i zobaczymy, czy poczuje się pani lepiej.

Skinęła słabo głową, a służąca przykryła ją narzutą i odstawiła kielich na tacę.

Po dwóch tygodnia młoda żona poczuła się lepiej. Pewnego popołudnia przyszła do pokoju dzieci, gdy zapuszczałam ciepły olejek w bolące ucho jednego z nich. Choć była jeszcze słaba i poruszała się wolno, nie była już tak blada i uśmiechnęła się do mnie, siadając na podłodze i opierając się o atlasowy wałek. Jej mały synek podszedł do niej na czworakach, a ona wzięła go na kolana.

- *Allah hu Akbar* - rzekła. - Bóg jest wielki. Skinęłam głową.
- Wierzę, że mówisz prawdę - ciągnęła. - Mogłam coś zjeść i nie boli mnie już brzuch. Zadbam o to, by cię wynagrodzono. Mój mąż jest bardzo zadowolony, że nie czuję się już źle. Choć nie wyznałam mu, co było przyczyną choroby, powiedziałam, że to ty mnie wyleczyłaś. Pokręciłam głową.
- Nie, *bibi*. Ja tylko powiedziałam, co podejrzewam. Niczego nie zrobiłam.
- Być może ocaliłaś mi życie - odparła. - Jeśli możemy coś dla ciebie zrobić razem z mężem, powiesz mi.
- Dobrze. - Pochyliłam się nad główką dziecka leżącego mi na kolanach.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

W ciągu następnych pani miesięcy ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu towarzystwo innych kobiet w Misji *Zenatui* powoli zaczynało sprawiać mi przyjemność. Nie podobał mi się rozkład dnia i wiedziałam, że nigdy mi się nie spodoba, ale uświadomiłam sobie, że jest niezbędny, kiedy pod jednym dachem mieszka ponad trzydzieści kobiet i dzieci. Wciągnęłam się w codzienne obowiązki, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Helena zawsze miała wieści z Anglii i czasami podczas kolacji opowiadała nam o najnowszych wydarzeniach. Żadna z nas oprócz niej nie była nigdy w Anglii i choć wiele kobiet miało w żyłach domieszkę angielskiej krwi, decyzje podejmowane w tamtym kraju, tak daleko stąd, wydawały się mało realne i nie miały na nas bezpośredniego wpływu. A jednak Helena starała się, byśmy były dobrze poinformowane.

Niedawno opowiadała, że premier Benjamin Disraeli wysłał w zeszłym roku nowego wicekróla, lorda Lyttona do Delhi. Wicekról zażądał, by w Kabulu, stolicy Afganistanu, powstała brytyjska misja wojskowa. Jednak emir Afganistanu, Sher Ali, odmówił twierdząc, że Rosjanie mogą domagać się tego samego. Helena powiedziała nam, że pomiędzy Rosją leżącą za północną granicą Afganistanu i Anglią zapanowało wielkie napięcie. Oba kraje chcą wejść do Afganistanu.

- Krążą pogłoski o wielkiej opozycji - powiedziała, kręcąc głową. - I Peszawar znów znalazł się w trudnej sytuacji, podobnie jak podczas ostatniej wojny angielsko

-afgańskiej, gdyż leży na granicy Indii Brytyjskich i Afganistanu. Lubiłam Helenę; była inteligentna i troszczyła się nie tylko o kobiety i dzieci w swojej własnej *zenanie*, lecz również o kraj i miasto. Zaczęłam odczuwać pewną łączącą nas więź. Powoli zbliżałyśmy się coraz bardziej. Czasami po południu przesiadywałyśmy same w pokoju dziennym i rozmawiałyśmy. A raczej ona mówiła, a ja słuchałam. Nadal czułam się nieswojo - i być może zawsze już tak będzie - rozmawiając o swoich przeżyciach.

- Co cię skłoniło do przyjazdu do Peszawaru, Heleno? -zapytałam ją pewnego popołudnia.

- Kochałam mężczyznę - odparła po prostu.

Jej słowa zaskoczyły mnie. Myślałam, że przez całe życie była panną i misjonarką i poświęciła się czynieniu dobra, nie mając zbyt wiele czasu na życie osobiste.

- Pobraliśmy się w Anglii. Wysłano go do Indii - był żołnierzem - a ja przyjechałam tu za nim. Mieszkaliśmy w Murree i urodziłam dziecko. Ale nie chciałam utracić Anglii i byłam tu nieszczęśliwa. Często głośno narzekałam. Kiedy byłam młodsza, nie miałam zbyt łagodnego charakteru. - Mówiła zupełnie bezbarwnym głosem, jakby opowiadała o innej kobiecie. - Podczas powstania sipajów mój mąż został ciężko ranny. Wyglądało na to, że nie przeżyje. Przed powstaniem... powiedziałam mu niewybaczalne rzeczy, że zrobię wszystko, by wyjechać z tego kraju. A potem, kiedy wydawało się, że umrze z powodu odniesionych ran, miałam wyrzuty sumienia, że wszystko stało się za moją sprawą. On umrze, a ja będę mogła wyjechać. Padłam na kolana i złożyłam Bogu obietnicę: jeśli pozwoli mojemu mężowi żyć, poświęcę życie Jego nauce i będę głosić Jego słowo wśród mieszkańców tego kraju. I pozostanę tutaj do końca moich dni.

Nie spuszczałam wzroku z jej twarzy.

- Krótko po mojej modlitwie i złożonej Bogu obietnicy mąż zaczął wracać do zdrowia. Przeżył - powiedziała po



długiej chwili milczenia. - Ale wtedy on postanowił wrac.u do Anglii. Nie mógł już służyć w wojsku i chciał zacząć nowe życie. Miałam nadzieję, że gdy usłyszysz, co mnie tu trzyma, zrozumie i zostanie.

Urwała i spojrzała w okno za moimi plecami.

- Ale tak się nie stało. Zabrał nasze dziecko i... - znów urwała i na ułamek sekundy zamknęła oczy - i wrócił do Anglii. Ja zostałam, by wypełnić obietnicę.

- Czy... czy żałujesz podjętej decyzji? - zapytałam w końcu.

Przez jej twarz przemknął cień, a potem wyprostowała ramiona.

- Nie powinno się składać obietnic, których nie zamierza się dotrzymać.

W pełni rozumiałam, co robię. Moje modlitwy zostały wysłuchane. Bóg okazał się dla mnie miłosierny. O tym muszę zawsze pamiętać.

Jej twarz była spokojna i pełna godności, ale wyczułam, że nie jest taka twarda, za jaką chce uchodzić, i poczułam ogarniające mnie współczucie.

- Nigdy jednak nie mogę przestać myśleć o moim dziecku - powiedziała bardzo cicho. - Teraz jest już oczywiście mężczyzną. Ale to nadal bardzo boli. Nie ma nic gorszego od utraty dziecka.

Siedziałyśmy potem w milczeniu, a ja pomyślałam o innych rodzicach - mężczyźnie i kobiecie, których nigdy nie znałam. A przynajmniej nie pamiętałam. Wizje były pozbawione koloru i kształtu, niewyraźne, bo nie mogłam ich sobie wyobrazić. Nie wiedziałam, czy byli Europejczykami, czy też jestem „mieszkańcem”, jak sugerowała Glory.

Czy nadal żyją? I czy nadal opłakują stratę swego dziecka?

Nawet jeśli tak było, byli dla mnie martwi, a ja dla nich. Myśli o tym nieznanym mężczyźnie i kobiecie towarzyszyły mi coraz częściej.

Kiedy nie przypadała moja kolej, by gotować, sprzątać, uczyć lub zajmować się dziećmi w *zenanie*, z radością oczekiwałam wizyt w różnych *haoeli*, które otwierały przed nami swoje podwoje. Helena dała mi rupie na zakup potrzebnych środków medycznych w dzielnicy angielskiej i teraz nosiłam ze sobą małą torbę. Choć większość kobiet w *zenanach* mówiła w urdu, a inne paliły się, by ćwiczyć angielski, którego się uczyły, powoli coraz lepiej radziłam sobie w paszto. Chętnie zostawiałam ewangelizację jednej z kobiet z *zenany*, która mi zawsze towarzyszyła, i zajmowałam się drobną opieką medyczną. Bardzo lubiłam opiekować się dziećmi: uczyłam je czasami słów prostego hymnu.

W Peszawarze czułam się coraz lepiej. Miasto nie było tak duże jak Lahore i z pewnością nie miało tak pięknej architektury, ale mimo to unosiła się w nim aura tolerancji i czułam się tu swobodniej niż w Lahore. Zrozumiałam, dlaczego kiedyś nazwano je Klejnotem Patanów. Ruchliwe i pełne energii pulsowało intrygami Środkowej Azji i tajemnicami Indii. A jednak, jak ostrzegali mnie wszyscy, począwszy od Chandra, a na Helenie skończywszy, w Peszawarze nie było bezpiecznie. Gdziekolwiek się udałam, słyszałam mężczyzn dyskutujących przy czaju o niepokojach budzących się w Afganistanie, do którego wjazd znajdował się zaledwie kilkanaście kilometrów od Peszawaru.

W mieście mieszkało dużo Brytyjczyków. A niechęć do nich stale rosła. Helena ostrzegała nas, byśmy bardzo uważały podczas wędrówek po mieście; zanim wychodziłyśmy rankiem, ostrzegała nas przed dzielnicami, w których doszło do bójek pomiędzy Pasztunami i Brytyjczykami; od czasu do czasu pojawiały się doniesienia o zabójstwach zarówno Brytyjczyków, jak i Afgańczyków.

Jak zwykle myślałam o Kaiu i jego zaangażowaniu w działalność przeciwko Brytyjczykom. Ale on był w Madrasie, na drugim końcu Indii.

Podczas wędrówek przez miasto do różnych *haveli*, miałam czas, by zaznajomić się z każdym zakątkiem licznych bazarów - Qissa Khawani, Mochilara lub uliczka Szewców, Bater-Bazan lub uliczką Wielbicieli Przepiórek. Wisiały tu setki plecionych stożkowatych klatek z czarnymi przepiórkami, szczególnie ulubionymi przez muzułmanów, którzy wierzyli, że swoim śpiewem ptaki sławią potężnego Allaha. Wysokie tryle ptaków współzawodniczyły z pobliskimi uderzeniami młotków rzemieślników.

Choć rzadko coś kupowałam, wiedziałam, co sprzedają na każdym bazarze, począwszy od misternie rzeźbionych przedmiotów z mosiądzu i miedzi, przez skórzane pasy i sandały znane jako *chappal*, koce i szale z ręcznie przedzonej wełny po długoogoniaste owce z Kaszmiru. Były bazary z materiałami i ceramiką; bazary, na których sprzedawano koraliki, dzwonki i koszyki.

Pewnego popołudnia zauważyłam pana Langa wyklócającego się z jednym z handlarzy o cenę srebrnego dzbanka. Podczas pierwszych dni pobytu w Peszawarze bałam się, że mogę się natknąć na pana lub panią Lang, którzy na pewno zrobiliby wszystko, by mi się nie powiodło. Jednak obserwując z oddali pana Langa, który próbował zastraszyć handlarza, poczułam, że stałam się częścią miasta i że nie muszę się już niczego bać. Zostałam w pełni zaakceptowana w Misji *Zenona* i wiedziałam, że Helena nigdy nie ulegnie naciskom innych osób. W oddali na niewielkim wzgórzu na północnym zachodzie Peszawaru wznosił się potężny fort Bala Hisar, majestatyczny i imponujący. Zbudowany z cegieł, z szańcami i murami obronnymi mieścił teraz dowództwo armii brytyjskiej i garnizon. Perskie słowo *balahisar* oznaczało wysoki fort. I oczywiście, jak w każdym indyjskim mieście, znajdowała się tu nowsza dzielnica angielska, którą widziałam pierwszego dnia podczas wizyty u Langów. Jednak tamtego dnia byłam tak rozdygotana, że nie mogłam jej dokładnie

obejrzeć. Teraz podziwiałam dostojne budynki, obszerne bungalowy i piękne ogrody.

Pewnego wietrznego popołudnia w drodze do domu z jednej z *haveli* udało mi się namówić towarzyszącą mi kobietę, Mariannę, do odwiedzenia dużego chrześcijańskiego cmentarza w dzielnicy. Mariannę nie chciała tam wejść i czekała, a ja przeszłam przez elegancką bramę porośniętą bugenwillą. Urok miejsca podkreślały wysokie drzewa *sheesham* i stare figowce, których liście szeleściły jak papier, zwiastując nadejście chłodniejszych dni. Czytałam słowa wyrzeźbione na nagrobkach z kamienia i marmuru, na krzyżach i obeliskach, coraz lepiej rozumiejąc rolę, jaką odegrali Brytyjczycy w zapisanej tu historii miasta. Napisy dotyczyły nie tylko nazwisk i dat, lecz również przyczyn śmierci. Leżeli tu żołnierze, którzy zginęli w walce podczas pierwszej wojny angielsko-afgańskiej i niezwiązanych z nią potyczkach: *Oddał życie dla kraju; Śmiertelnie ugodzony nożem lub Zastrzelony przez tubylców*. Leżeli tu też mężczyźni, którzy pracowali w administracji i zmarli mniej gwałtowną śmiercią: *Utonął, Tragiczny upadek z konia, Wypadek w górach*. Przyczyną śmierci wielu z nich były też choroby, na które w Indiach cierpiało wielu Europejczyków: *Gorączka jelitowa, Wyczerpanie z gorąca, Malaria, Dyzenteria*. Opowiedziane w kilku słowach znajdowały się tu również historie żon i dzieci, które przyjechały za swoimi mężami i ojcami do tego dalekiego kraju: *Moja najdroższa Sally, była dzielna, i rozdierające serce: Nasz Seth miał dwa lata. Bardzo Go kochaliśmy, lecz Bóg kochał Go bardziej*. Pobiegłam myślami do małego cmentarzyka za misją i dzieci tam pochowanych.

Nagle uświadomiłam sobie, że coraz rzadziej myślałam o pułkowniku i Glory. Trudniej mi było zapomnieć o Kaiu, zwłaszcza kiedy widziałam wysokiego, szczupłego mężczyznę idącego przez bazar.

Wiele razy wydawało mi się, że dostrzegam mojego Afgańczyka, bo na tutejszych ulicach roilo się od podobnie ubranych Pasztunów. Zdarzało mi się nawet klepnąć któ-

regoś z nich w ramię, lecz kiedy się odwracał, nigdy nic widziałam przed sobą znajomej twarzy.

Nieraz wyrzucałam sobie, że nie zapytałam, jak się na żywa. Miło byłoby zobaczyć kogoś, kto mnie kiedyś znał i nie osądzał. I był przyjacielem Kaia.

Wraz z późną jesienią nadszedł ramadan i muzułmanie pościli za dnia. W *haveli* zapanowała cisza; dzieci dłużej spały, czekając na zachód słońca. Tylko chore i najmłodsze, karmione piersią, były zwolnione z postu, gdy na niebie świeciło słońce. Kiedy minęło trzydzieści dni, rozpoczęło się wielkie święto. Wszystkie kobiety z misji zostały zaproszone do różnych *haveli*, które odwiedzałyśmy, by uczestniczyć w ucztach. Razem z Aimée, Marianne i Rohaną znalazłam się pewnego popołudnia w *haveli* Abdura Jana.

W zamkniętej części domu rozmawiałyśmy cicho z kobietami, bawiłyśmy się z młodszymi dziećmi, słuchałyśmy śpiewów i recytacji w paszto i urdu w wykonaniu starszych córek. Podano nam pyszne różności do jedzenia, a spędzone tam godziny sprawiły mi ogromną przyjemność. Kiedy popołudnie dobiegało końca, służące krążyły z ostatnią potrawą na ogromnych mosiężnych tacach.

Wzięłam łyżeczkę i małą srebrną miseczkę od kobiety, która uklękła przede mną z tacą, i zanurzyłam łyżeczkę w jasnej, kremowej masie.

Kiedy poczułam słodycz na języku, zamknęłam oczy.

- Mmmm. Pycha. Jak się to nazywa, Marianne?

- To specjalny deser; wszyscy Pasztuni go uwielbiają. Nazywają go po prostu *Peshavari kulfi*.

Nabrałam kolejną łyżeczkę. Deser był bardzo gęsty i sycący.

- *Rozpoznaję faloodę*. - Kluski cienkie jak nitka, gotowane krótko w mleku, były bardzo popularne w Lahore. - Ale wyczuwam też inny smak. Orzechowy.

Skinęła głową i oblizwała łyżeczkę.

- Mielone pistacje. Woda różana i miód.

Nagle po trzeciej łyżeczce słodycz zaczęła mi zatykać usta. Przewróciło mi się w żołądku i postawiłam miseczkę na niskim stoliku.

- Dobrze się czujesz, Pree? - zaniepokoiła się Marianne.

Skinęłam głową. Wytarłam usta palcami i wstałam.

- Tak. Tak. Muszę tylko umyć ręce.

Poszłam do małego pokoju, z którego kobiety korzystały podczas ablucji. Odetchnęłam głęboko, stuliłam dłonie i napiłam się zimnej wody. Coś w smaku tego deseru sprawiło, że zrobiło mi się niedobrze. Przywołał jakieś stare wspomnienie, którego nie potrafiłam nazwać.

Po kilku minutach poczułam się lepiej. Spryskałam wodą rozpalone policzki i wróciłam do kobiet.

Jednak nawet już leżąc w łóżku po starannym umyciu zębów, czułam w ustach smak *Peshavari kulfi*.

Nadeszła zima. Nie spodziewałam się, że będzie aż tak zimno. Z pokrytych śniegiem szczytów gór wiał silny wiatr, jęcząc w kominach i zmuszając ludzi, by przyspieszali kroku na ulicach. W niektóre poranki na ulicach zamarzały nawet kupy zwierzęcego łajna, lecz klimat był zbyt suchy, by padał śnieg. Choć raz byłam zadowolona, że noszę pończochy i ciężkie buty. Helena dała mi ciepły szal, który okręcałam wokół głowy, wychodząc z misji. Mieszkańcy Peszawaru owijali się grubymi kaszmirowymi kocami i szalami, a mężczyźni wkładali grube, czarne, filcowe buty i mocno przytupywali, stojąc w grupkach przed kramami z herbatą. Popijali parujący zielony czaj z migdałami i cynamonem, wierząc, że jeszcze bardziej ich rozgrzewa. Zasłony i burki kobiet powiewały w ostrym wietrze.

Podczas uroczystych obchodów Bożego Narodzenia każde dziecko dostało mały prezent i owinięte w papierek angielskie toffi, które Helena gdzieś zdobyła. Zjadłyśmy spe-

cialny posiłek, a ja poprowadziłam śpiew hymnów, podczas którego wykonałyśmy oczywiście mój ulubiony *Chrześcijananie, przebudźcie się, witajcie szczęśliwy ranek*. I dzień naprawdę by I szczęśliwy. Za tyle rzeczy musiałam dziękować.

Wieczorem siedziałam na łóżku, myśląc o ludziach, któ rych kochałam. Czy stary Sanosh nadal żył? Miałam na dzieję, że tak. A Adriana? Czy mieszkała z chrześcijanami, którzy świętowali ten dzień? Jeśli tak, czy dostała słodycze albo nową zabawkę? A może wychowywała się wśród Hindusów? W ten szczególny dzień pozwoliłam sobie myśleć, że jest szczęśliwa. Pozwoliłam sobie myśleć, że żyje.

I Kai: oczywiście Kai gdzieś żył i świetnie sobie radził, może w Madrasie, a może gdzie indziej. Czy myślał dziś o mnie? Czy pamiętał nasze święta sprzed lat, kiedy przyniosłam mu do chaty talerz pieczonej gęsi i słodycze?

- O czym myślisz, Pree? - zapytała Aimée. Zasłona oddzielająca nasze łóżka była rozsunięta i odwróciłam się do niej. - Ty uśmiechasz - ciągnęła - ale nie jak zawsze. O czym myślisz?

- Myślę... o domu. I innych świętach - odrzekłam, patrząc jej w twarz. Skinęła głową z melancholijnym wyrazem twarzy.

- Czy ty... - zawahałam się. - Czy masz szczęśliwe wspomnienia, Aimée? Jej twarz posmutniała jeszcze bardziej i uświadomiłam sobie, że byłam bardzo nietaktowna.

- Przepraszam - zareagowałam szybko, lecz ona pokręciła głową.

- Nie być smutna. Mam wiele myśli. Niektóre... tak, szczęśliwe. Z dawna, bardzo dawna. - Próbowwała się uśmiechnąć. - Proszę, trzymaj szczęśliwe myśli - powiedziała, zaciągając zasłonę. - Trzymać szczęśliwe myśli jest dobrze, Pree.

Zgodziłam się z nią w milczeniu i zasnęłam, myśląc o Kaiu, próbując przypomnieć sobie jego twarz.

Obudziły mnie krzyki. Usiadłam przekonana, że jestem

w misji w Lahore i słyszę szalone wycie matki. Odrzuciłam przykrycie i szeroko otwartymi oczami rozglądałam się w ciemnościach.

Krzyczała Aimée po drugiej stronie zasłony.

Podbiegłam do niej. Rohana zapaliła lampę.

- Ciii - uspokajałam Aimée, pochylając się nad nią i odgarniając jej mokre od potu włosy. Klęczała cała drżąca, a jej zdrowe oko ciskało szaleńcze błyski.

Rohana usiadła z drugiej strony.

- Wszystko dobrze, Aimée - mówiła cicho. - Jesteś bezpieczna. Wszystko dobrze. - Spojrzała na mnie. - Czasami dręczą ją koszmary.

Przyniosłam Aimée szklanek wody. Wzięła ją, ale ręka trzęsła się jej tak bardzo, że musiałam pomóc jej podnieść szklanek do ust. Po kilku minutach zaczęła oddychać normalnie.

- Dziękuję - powiedziała, przebiegając wzrokiem ode mnie do Rohany, a potem położyła się.

- Zostawić lampę? - zapytała Rohana.

- Tak, proszę. Tylko na kilka minut - odrzekła Aimée. Wróciłyśmy do łóżek. Kiedy obudziłam się rano, Aimée

była już ubrana i upinając włosy, nuciła pod nosem *Dzięki składajmy Najwyższemu*. Ani słowem nie wspomniała o koszmarze.

Kilka miesięcy później koszmar znów się powtórzył. Kiedy obudziły mnie krzyki Aimée, rzuciłam się do jej łóżka. Rohany nie było w pokoju; siedziała przy jednym z dzieci, które chorowało od tygodnia, by jego matka mogła się przespać.

Owinięłam ramiona Aimée szalem i masowałam jej plecy. Milczała, lecz drżała na całym ciele.

- Czy to hymn? - szepnęła w końcu.

Przestałam ją masować. Nie byłam świadoma, że śpiewam coś pod nosem. Była to jedna z żołnierskich piosenek



z czasów spędzonych z Glory Nie miała nic wspólnego z dobrocią.

- Nie. Powiesz mi, dlaczego dręczą cię koszmary? - zapytałam.

Pokręciła głową.

- Proszę, Pree, zostań tu ze mną - powiedziała, a ja wcisnęłam się na jej wąskie łóżko. W ciemnościach zaczęła wolniej i spokojniej oddychać; gdzieś w domu rozległ się płacz dziecka, które natychmiast uciszono. Pomyślałam, że Aimée zasnęła, i już miałam wrócić do swojego łóżka, gdy nagle przemówiła.

- Moje spalenie - powiedziała w hindi - czasami wraca do mnie we śnie. Usiadłam i spojrzałam na nią. W blasku księżyca widziałam jej białe blizny.

- Mieszkałam w małej wiosce, daleko na południu. Jak inne dziewczęta, zostałam zaręczona tuż po narodzeniu. Kiedy miałam sześć lat, wyszłam za mąż, lecz przeniosłam się do męża dopiero wtedy, kiedy można było skonsumować małżeństwo. Miałam dwanaście lat.

Byłam wstrząśnięta. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by Aimée mówiła w hindi; w swoim ojczystym języku mówiła szybko i płynnie.

Uświadomiłam sobie, że uważałam ją za trochę ograniczoną, ponieważ słabo mówiła po angielsku.

- Urodziłam dwóch synów. I córkę. - Uśmiechnęła się przelotnie drżącymi wargami. Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. -

Kiedy miałam osiemnaście lat, mój mąż był w polu i ścinał trzcinę cukrową. Wiesz, że między łądygami lubią ukrywać się kobry. Jedna go ukąsiła. Mimo że wszyscy się za niego modliliśmy i przez dwa dni i dwie noce składaliśmy *puja*, bardzo cierpiał i umarł. - Urwała i zamknęła oczy.

- Był dobrym człowiekiem. Dbał o mnie, a ja o niego. Gdyby tamtego dnia nie poszedł na pole... - Wzięła głęboki oddech, a jej zdrowe oko zaszło łzami. - Jego matka powiedziała, że to moja wina; byłam godną pogardy *gharjalani*. Powiedziała, że się nie zmienię i nadal będę przynosić rodzinie nieszczęście i śmierć. Zły los można odwrócić tylko wtedy, kiedy popełnię *sati* na stosie pogrzebowym męża. Powiedziałam: „Nie, proszę” - podniosła głos. - Błagałam: „Nie, nie”. - Ostatnie słowa

wykrzyczała rozpaczliwie, po czym ciągnęła normalnym głosem: - Ale nie dla mnie. Błagałam dla moich dzieci, Pree. Nie chciałam ich zostawić, by wychowywała je teściowa. Przysięgam, że będę dobrą wdową: ogolę głowę, będę się ubierać tylko na białe i spać na podłodze. Będę wykonywać wszystkie prace niedotykalnych. Ale teściowa uważała, że jeśli nie wypełnię swojego obowiązku, dusza mojego męża nie zazna uwolnienia. -Bezwiednie potarła pokrytą bliznami twarz zdrową ręką. Dostrzegłam jak mocno drży, raz jeszcze przeżywając te straszliwe chwile. - Tak bardzo się bałam. I nie chciałam umierać. Nie obchodziło mnie, że będę musiała żyć jako wdowa; nie chciałam zostawić dzieci. Skinęłam głową, choć nie patrzyła na mnie.

- Teściowa i ciotki męża ubrały mnie w moje ślubne sari i ozdobiły stopy i dłonie, jakbym znów była panną młodą. Namaściły mi też włosy najśłodszymi olejkami. Pamiętam, że trzęsłam się cała tak straszliwie, że wymierzyły mi policzek, bo teściowa nie mogła mi obrysować oczu *surmq*.

- A twoi rodzice? Czy... nie próbowali tego powstrzymać?

Nagle odwróciła głowę, by spojrzeć na mnie. Na jej twarzy malował się nieruchomy, twardy wyraz, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Co masz na myśli? Córka nigdy nie należy do domu, w którym przychodzi na świat, wiesz o tym. Jest tylko gościem. Nie ponosili już za mnie odpowiedzialności; należałam do rodziców męża.

- Oczywiście - mruknęłam.

- Próbowałam się wyrwać, ale mocno mnie trzymały. A potem położyli mnie na niezapalonym jeszcze stosie. Krzyczałam i znów próbowałam się wyrwać. Widziałam

wpatrzone we mnie małe twarzyczki dzieci. Nigdy tego nie zapomnę. - Zamilkła, a gdy znów zaczęła mówić, jej głos był pozbawiony wszelkich emocji. Mówiła szybko, jakby chciała zaraz skończyć, jakby żałowała, że wyjawiała mi swoją historię. - Potem ktoś ogłuszył mnie, uderzając w głowę kawałkiem drewna. Zapalono ogień i po kilku minutach odzyskałam przytomność; poczułam dym i usłyszałam syk płomieni. Przez kilka pierwszych chwil próbowałam leżeć nieruchomo, być posłuszna i przyjąć swój los, ale nie mogłam tego zrobić. Kiedy ogień sięgnął sari, zerwałam się i pobiegłam tak szybko i zwinnie, jakbym była kotem. Ale moje sari już płonęło. Zapaliły się również namaszczone olejkiem włosy.

Musiałam zamknąć oczy i zakryć twarz rękami, gdy wyobrażałam sobie tę scenę.

- Myślę, że początkowo mnie gonili. Ale nie jestem pewna. Nie wiem, czy słyszałam za sobą głosy, czy był to tylko ogień trawiący moje włosy. Pozwolili mi uciec, bo nie przypuszczali, że to przeżyję.

Otworzyłam oczy i znów na nią spojrzałam. Obserwowała mnie.

- Pamiętam, jak upadłam. Widziałam zasłonę owiniętą wokół ręki i dłoni, jedwab stapiał się z moją skórą. - Uniosła chorą rękę, by mi ją pokazać. - Przez długi czas wisiałam między niebem i ziemią - powiedziała. - Nie wiem, jak długo to trwało. Wiem tylko, że wiele razy opuszczałam swoje ciało i unosiłam się nad nim, nie czując bólu. Potem jednak ból wracał, jeszcze silniejszy, i słyszałam swój krzyk. Wiedziałam, że nie jestem martwa. Ale bardzo pragnęłam umrzeć; żałowałam, że nie umarłam szybko, na stosie. Wiedziałam, że zasłużyłam na cierpienie. Nie przyjąłam swego losu.

- Ale byłaś tylko...

- Zajął się mną mężczyzna - przerwała mi. - Pewnie usłyszał mój krzyk. Miał białą skórę i długą, czarną suknię. Na sznurze w pasie nosił krzyż; wtedy po raz pierwszy zo-

baczyłam krzyż. *Aimée, petite Aimée*, powtarzał, przykładając coś mokrego - błoto, liście, nie wiem - do mojej poparzonej skóry. Dał mi też wodę. Kiedy wreszcie mogłam jeść, karmił mnie. Próbował mnie pocieszać. Śpiewał mi i zawsze siedział obok i coś mówił. Teraz myślę, że się modlił. Nigdy nie zapomnę jego głosu, mimo że nie rozumiałam ani słowa.

Pewnego dnia, kiedy nie krzyczałam już z bólu i mogłam się poruszyć, przywiózł mnie tu na wozie i zostawił z Heleną. Znał Helenę. - Urwała i spojrzała na obraz przedstawiający Jezusa z dziećmi. - Straciłam dzieci tak samo, jakbym umarła, z tą tylko różnicą, że teraz były okryte hańbą. Moje biedne dzieci. - Głos zadrżał jej nagle i uderzyła się pięścią w piersi. - Moje dzieci - powtórzyła i łzy popłynęły z jej zdrowego oka. - Moje dzieci - szepnęła.

Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, którymi mogłabym ją pocieszyć. Potem wzięła głęboki oddech i wytarła twarz rękawem.

- Mieszkam tutaj od tamtej pory. Minęło już osiem lat. To dobre miejsce dla mnie. Zerwałam z hinduskim życiem. W tamtym życiu byłam zła.

- Nie byłaś zła tylko dlatego, że nie chciałaś umrzeć, *Aimée*.

Pokręciła głową.

- Moim obowiązkiem była ofiara. Takie było moje przeznaczenie. A ja je zmieniałam i moja karma też się odwróciła.

- Nie uważam, by *sati* było komukolwiek przeznaczone. - Pomyślałam o mojej matce. - Dlatego zostało zakazane.

- Przez Anglików. Nie przez moich ludzi. Tak nakazuje honor. A ja uciekłam od tego obowiązku i od honoru i wiem, że przez całe życie będę dźwigać ciężar. Ale pewnego dnia, słuchając tego, co raz po raz powtarzała mi Helena, wiedziałam, że nie chcę go już dłużej dźwigać.

Wiedziałam, że mogę go ofiarować naszemu Panu, a On poniesie go za mnie. I tak zostałam chrześcijanką. Ale zostałam nią z tchórzostwa.

- Nie byłaś tchórzem, Aimée. - Poglądziłam ją po kołanie przez cienki materiał koszuli nocnej. - Walka o życie nie jest...

- Nie chodzi o to, że bałam się umrzeć. Bałam się, że jeśli się nie nawrócę, narodzię się ponownie jako najgorszy z gadów. Może jako oślizła żaba, która wykrzykuje z błota swoją samotność. Albo jaszczurka, której jedyną przyjemnością w życiu, zanim pożre ją kameleon, jest wygrzewanie się na słońcu. Może nawet jako coś gorszego. Może narodzię się ponownie jako żuk gnojak. - Spojrzała na moją rękę na swoim kolanie, a potem na moją twarz. - Nie chciałam tego, Pree.

- Wiem - odrzekłam.

- Odrzuciłam więc swój ciężar i Pan mnie uwolnił. Nigdy więcej nie wyjdę za mąż i nie zobaczę swoich dzieci. Towarzyszy mi miłość kobiet, które tu mieszkają, i znam radość płynącą z przytulania dzieci innych. A kiedy umrę, pójdę do nieba i usiądę u stóp Pana. I nie będę już okaleczona. Znowu będę zdrowa.

- Tak - odparłam, wycierając nos wierzchem dłoni.

- Nie płacz przede mną, Pree. Jestem szczęśliwa. Siedziałyśmy w milczeniu i w końcu Aimée położyła się.

- Teraz mogę zasnąć - powiedziała, przewracając się na bok. - Dziękuję, Pree. Pan pobłogosławi cię za twoją dobroć dla mnie.

Otuliłam ją kocem i dorzuciłam polano do ognia. Potem zdjęłam koc ze swojego łóżka, owinełam się nim i usiadłam przed kominkiem.

Opowieść Aimée, a potem jej pełne wiary wyznanie, że zaufała Bogu, mocno mną wstrząsnęły. Była prawdziwą misjonarką. Całym sercem wierzyła w Pismo Święte, które czytała, i w modlitwy, które wypowiadała. Zaakceptowała swój los i wiedziała, co przyniesie jej dalsze życie. I była za to wdzięczna.

Okaleczona żyła ze świadomością, że do końca swych

dni będzie pomagać innym, nie mając nic swojego, i czuła się spełniona. Moje myśli były bardzo ludzkie i przyziemne. Myślałam z tęsknotą o ładnych sukienkach, które widziałam w angielskich sklepach w dzielnicy. Zamiast wydawać zarobione anny na traktaty biblijne, kupowałam angielskie powieści. Byłam tak pochłonięta sobą, że starałam się znaleźć w określonej *zenanie* podczas popołudniowego posiłku, żeby zjeść coś lepszego niż nasz skromny posiłek w misji. A co najgorsze, nadal marzyłam o dotyku ust Kaia. I nie tylko o tym. Marzyłam o jego ciele na moim i w moim.

Być może byliśmy z Aimée podobne, bo obie poświęciłyśmy część siebie, by zdobyć wolność. Ale tego, co uważałam za moje cierpienia, nie można było żadną miarą porównywać ze strasznymi przejściami Aimée. To, co ja utraciłam, nigdy nie będzie się mogło równać z jej stratą. Podziwiałam ją za to, że uciekła przed niechybną śmiercią, a potem żyła jedynym możliwym życiem, i nie skarżyła się na swój los, mimo ogromnego fizycznego i psychicznego bólu.

A ja jednak... nie mogłam zaakceptować życia w *zenanie* jako ostatniego przystanku. Jako mojego domu i mojej przyszłości. Nadal na coś czekałam, nadal czegoś pragnęłam. Potrzebowałam czegoś znacznie więcej niż moje obecne życie.

Moje serce nie było pełne wdzięczności. Przepęłniała jej chciwość, żal nad sobą i wyrzuty za los, który przypadł mi w udziale.

Byłam beznadziejna jako misjonarka i wcale nie byłam dobra.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zima powoli przeszła w wiosnę. Wszędzie było pełno kwiatów; teraz wiedziałam już, dlaczego Peszawar wywodzi swoją nazwę od sanskryckiego słowa *pushpapura* oznaczającego miasto kwiatów. Kwitły wszędzie, pozbawiając miasto szarej codzienności. Czułam zapach kwiatów pomarańczy i znów pomyślałam o Afgańczyku i o jego opowieści o Pe-szawarze dawno temu w misji.

Pewnego pięknego popołudnia siedziałam na balkonie *haveli* Abdura Jana z czwórką jego małych dzieci - trzema chłopcami i jedną dziewczynką - wdychając słodkie wiosenne powietrze powiewające znad Himalajów, i uczyłam je prostych angielskich słów. Nagle przypomniałam sobie piosenkę o majowym słupie i zaśpiewałam im kilka linijek, a one szybko się jej nauczyły.

Kilka dni później, kiedy pracowałam na podwórzu, przyszła do mnie Helena. W tym tygodniu przypadała moja kolej na pomaganie w gotowaniu i mieszałam wielki gar z warzywami.

- Pree. Przybył posłaniec z *haveli* Abdura Jana. Wzywają cię tam natychmiast.

Wytarłam ręce w fartuch.

- Czy ktoś zachorował?

- Nie wiem. Posłaniec czeka.

Zdjęłam fartuch i wzięłam torbę medyczną, po czym wsiadłam do stojącej przed domem tongi z wysokim muzułmaninem.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, otworzyła nam służąca.

- Kto zachorował? - zapytałam ją w paszto, ale tylko pokręciła głową.

Weszłam przed nią na schody i ruszyłam korytarzem w stronę pokoi kobiet, lecz ona dotknęła mnie w ramię i skierowała w drugą stronę.

Otworzyła drzwi i gestem wskazała, żebym weszła do środka. Nigdy wcześniej nie byłam w tym pokoju. Nie był przeznaczony dla kobiet; nie było tam koronkowych krat w oknach. Leżało za to dużo grubych brokatowych poduszek, a meble były zrobione z drewna sandałowego.

Po mroku korytarza oślepił mnie blask słońca wpadający przez otwarte okna. Zamrużałam oczami, by lepiej widzieć, i dostrzegłam niańkę Ibę z jednym z młodszych dzieci, słodką mniej więcej czteroletnią dziewczynką. Siedziała na ozdobionej frędzlami poduszce i jadła *jalebi*. Na mój widok rozciągnęła w uśmiechu umazane miodem usta i podniosła chrupiące słodycze.

- *Salaam*, Anjum - odpowiedziałam jej uśmiechem. Zupełnie nie wyglądała na chorą.

- Panna Pree - wykrzyknęła i podbiegła do mnie. Uklękłam, stawiając na podłodze torbę, a ona objęła mnie za szyję.

- Witaj, moja gwiazdeczko - powiedziałam po angielsku, tłumacząc jej imię, a ona powtórzyła moje słowa jak papużka. Była moją ulubienicą wśród dzieci, choć starałam się nie poświęcać jej dodatkowej uwagi.

Wiedziałam, dlaczego ją wyróżniam: tak mogłaby wyglądać w jej wieku Adriana. Kiedy uklękłam i objęłam ją ramionami, nagle uświadomiłam sobie, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Przy oknie stał wysoki mężczyzna i spoglądał na podwórze. Widziałam tył jego głowy i gęste, falujące, czarne włosy opadające na śnieżnobiały kołnierz. Jego czarne spodnie i długa biała *kurta* były uszyte z dobrego materiału; na nogach miał połyskujące buty do konnej jazdy.

Krew odpłynęła mi z głowy z gwałtownym szumem



i na moment zrobiło mi się słabo. Anjum zaciążyła mi w ramionach.

- *Ji* - zwróciła się z szacunkiem do mężczyzny *łba*. - Jesli ta kobieta.

Mężczyzna nadal się nie odwracał. Ale nie musiał.

Przez otwarte okno wpadały odgłosy z ogrodu: fałszywy śpiew służącej, cichy szmer fontanny, nagły krzyk pawia. Kiedy cisza w pokoju przedłużała się, *łba* powiedziała cicho za moimi plecami:

- To jest memsahib, którą chciałeś widzieć, *ji*. Postawiłam Anjum na podłodze i przeszłam przez pokój,

poruszając się zdecydowanie, a jednak wolno, jakbym walczyła z prądem rzeki. Kiedy znalazłam się obok mężczyzny, zatrzymałam się, a on się odwrócił.

Oparł dłonie na piersi, składając palce jak do modlitwy. Przed laty w misji zmuszał go do tego mój ojciec. Przyglądał się mojej twarzy, nie okazując żadnych emocji, a potem sięgnął za siebie, opierając drżącą rękę na parapecie, jakby chciał się podtrzymać. Była to jedyna oznaka, że jest poruszony.

- Nie miałem pewności. Inni też mogą znać tę piosenkę. Piosenkę mem *Fin* - powiedział.

Wpatrywałam się w jego twarz. Nie zmienił się, lecz nie był już przeraźliwie chudy. Jego oczy były jak dawniej, barwy morza, choć kryło się w nich coś mrocznego, co nie miało nic wspólnego z ich kolorem.

Otworzyłam usta, lecz zaraz je zamknęłam. *Kai*? Tutaj?

Wreszcie odzyskałam głos.

- Czy usłyszałeś, jak Anjum śpiewa piosenkę o maju? -zapytałam, spoglądając znów na malutką.

Skinął głową i oboje zamilkliśmy. Anjum nuciała coś pod nosem.

- *łba* - powiedział *Kai* cicho w urdu - zabierz dziecko i zostaw nas.

Zostaliśmy sami w pokoju pachnącym drewnem sandałowym i miodem.

Nie dotykaliśmy się, chociaż instynkt przyciągał mnie

do Kaia tak bardzo, że czułam, jak gdyby wibrowało mi całe ciało. Dlaczego nie wyciągnął ramion, choćby tylko po to, żeby mnie przytulić jak stary przyjaciel?

- Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczę - powiedziałam, wpatrując się w jego opartą o parapet rękę. W poprzek knykci prawej ręki biegła blada blizna. Zupełnie jakby był zrobiony z kamienia lub stanowił część zdobionego parapetu. Chciałam podnieść tę rękę i przyłożyć do policzka.

- Załatwiam pewne sprawy z Adburem Janem. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. - Skinął ręką na poduszki. - Usiądź, Pree. Proszę.

Usiadłam na poduszce, którą zajmowała wcześniej Anjum; na frędzlach w rogu pozostała duża kropla miodu. Jak w transie dotknęłam jej palcem wskazującym, a potem przyłożyłam do niego kciuk i zaczęłam sklejać i rozklejać palce. Kai został przy oknie.

- Dlaczego przyjechałaś do Peszawaru? - zapytał. - Tu nie jest bezpiecznie. Zwłaszcza teraz, gdy dookoła tyle niepokoju.

Czy misja była bezpiecznym miejscem? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Myślałem, że jeśli kiedykolwiek opuścisz misję, pojedziesz na południe, do Delhi. Albo do Bombaju. Mówiłaś, że chcesz zobaczyć ocean - rzekł.

- Nie zawsze udaje nam się przewidzieć, jaką drogą podążymy. Albo dlatego. Nigdy nie marzyłam o Peszawarze, a jednak tu jestem - odparłam. Zapadła cisza. - Przyjechałam tutaj, gdy nie miałam się gdzie podziąć. - Znowu cisza. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. - Mieszkasz tu?

Czy to możliwe, że byłam tu przez wszystkie te miesiące i nigdy go nie widziałam? Pokręcił głową.

- Przyjeżdżam i wyjeżdżam. - Przypomniałam sobie, że coś podobnego mówił mi Afgańczyk, kiedy widziałam go

ostatni raz. - Dużo podróżuję po Indiach - ciągnął - i od czasu do czasu przyjeżdżam do Peszawaru.

Jego głos przykuł mnie do poduszki, na której siedziałam. Był dziwnie stłumiony; brakowało w nim ciepła, które za wsze tam było, gdy o nim myślałam. Zachowywał się jak uprzejmy nieznajomy. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, wymierzyłam mu policzek i powiedziałam, że go nienawidzę. Ale on na pewno zrozumiał; przecież stało się to w chwili, gdy poznałam wstrząsającą prawdę. Chyba nic uwierzył, że mówiłam poważnie, że naprawdę go nienawidzę. Ale dlaczego teraz zachowuje się z taką rezerwą, dlaczego traktuje mnie tak chłodno?

Żadne z nas się nie uśmiechało.

Kai spojrzał na ozdobny dywan pod jego wysokimi, połyskującymi butami.

Nie mogłam już dłużej powstrzymać pytania, które krzyczało mi w głowie od chwili, gdy zobaczyłam go przy oknie. Pytania, które domagało się odpowiedzi, od dnia, gdy odjechał, kiedy człowiek, którego uważałam za ojca - i który był też jego ojcem - leżał na łożu śmierci.

- Dlaczego nigdy nie wróciłeś, żeby się ze mną zobaczyć? - Słowa wystrzeliły z moich ust jak salwa karabinu. - Żeby sprawdzić, jak się miewam? Czy nie potrzebuję pomocy? Dlaczego, Kai? Dlaczego? - Sama usłyszałam, że podnoszę głos, niemal krzyczę. Pomyślałam o jego matce, o Glory. Mówiłam zupełnie jak ona i zakryłam usta rękami.

Kai nic nie mówił, nie patrzył też na mnie, nadal wpatrując się w buty.

Blask lata barwy miodu pomiędzy moimi palcami oświetlał jego postać.

Odsunęłam dłonie od ust i uspokoiłam się.

- Myślałam, że zależy ci na mnie choć trochę - powiedziałam już ciszej. - Myślałam, że choć raz przyjedziesz do misji.

Podniósł twarz, wbijając wzrok w sufit. Miał długą i gładką szyję.

Przełknął ślinę, a jego słowa były dla mnie prawdziwym wstrząsem.

- Wróciłem.

- Przecież nie wróciłeś.

- Wróciłem. Pokręciłam głową.

- O czym ty mówisz? Myślisz, że bym tego nie zapamiętała?

Przeniósł wzrok z sufitu na moją twarz i wziął głęboki oddech.

- W dniu mojego wyjazdu z misji, kiedy twój... mój... ojciec leżał chory, twoja matka krzyczała jak... - Zwilżył językiem usta... - a moja okazywała brak jakichkolwiek wyrzutów, brak sumienia w ogóle... chciałem jak najdalej stamtąd wyjechać. Myślałem tylko o sobie i chciałem na dobre porzucić to miejsce, w którym zaznałem tyle zła.

Nawet teraz jego słowa sprawiały mi ból. „Myślałem tylko o sobie”.

- Od dawna misja nie była dla mnie domem. Może nigdy nim nie była.

Ale była twoim domem. Tam było twoje miejsce.

- I naprawdę nie myślałeś o mnie? Wcale?

- Pree. - Wyglądał na rozgniewanego, w jego głosie też było słycać gniew, lecz wiedziałam, że jest zły na siebie. - Byłem ogarnięty

własnymi... własnymi myślami. Nie wiedziałem, czy mój ojciec umarł, czy przeżył, i byłem wściekły. Myślałem, że nic mnie to nie obchodzi.

Nie miałem jak się dowiedzieć, co się stało z twoją matką. - Odwrócił ode mnie wzrok. Czego się dowiedział? - Myślałem, że mieszkasz dalej w misji.

Kai nadal myślał, że mamy tego samego ojca.

- Nie dbałem wcale o własną matkę; dla mnie była jak martwa. Nie jestem dobrym synem, Pree.

- Ona nie była dobrą matką...

- I nie jestem dobrym człowiekiem - przerwał mi. - Rozumiesz, co mówię?

Patrzyłam na niego.

- Pomimo wszystko, moim obowiązkiem było się nią

zając. A ja myślałem tylko o sobie i o tym, co dla mnie naj lepsze.

- Jeśli ktoś pragnie żyć własnym życiem, wcale nie jest egoistą - powiedziałam.

Czy nie mówiłam podobnie do Aimée zaledwie przed kilkoma miesiącami? Czy broniłam jego czynów - podobnie jak broniłam jej - ponieważ postąpiłam podobnie? Jak nisko upadłam, by wyrwać się z misji?

Wreszcie odszedł od okna i usiadł na poduszce naprzeciwko mnie.

- Nie miałem pojęcia, co się stało z państwem Fincastle i że misja zamieniła się w... - Urwał. - Nie wiedziałem, że zostałeś sama.

Czy przyjechałbyś, gdybyś wiedział? - chciałam zapytać.

- Wróciłem, Pree. Do Lahore. I byłem w drodze do misji, by sprawdzić...

Nie rozumiałam jego wahania. Czekałam. Nagle wydało mi się, że jest zniecierpliwiony lub rozgniewany. Na siebie czy na mnie?

- Planowałem pojechać do misji, by zawieźć matce pieniądze. I... nie mogłem przestać o tobie myśleć, Pree. Musiałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Rozstaliśmy się w tak przykry sposób.

Łzy napłynęły mi do oczu. Teraz mówił Kai, którego znałam. Wytarłam oczy dłońmi.

- Ale w Lahore dowiedziałem się o śmierci wielebnego i pani Fincastle. I o innych rzeczach.

Skinęłam głową, oddychając ciężko.

- Nie uwierzyłem w to, co usłyszałem. Nie mogłem w coś takiego uwierzyć! Moja własna matka... no tak, to mogłem sobie wyobrazić. Ale ty, Pree? Ty? - Potarł blizny na knykciach lewą ręką. - Musiałem na własne oczy stwierdzić, że to nieprawda, co ludzie opowiadają.

Siedziałam bez drgnienia, wpatrując się w jego poruszające się usta.

- Pojechałem do misji. - Znów odwrócił wzrok, nadal pocierając knykcie rytmicznym ruchem. - Zobaczyłem konie. Konie pułku brytyjskiego.

Usłyszałem muzykę i śpiewy. -Puścił rękę i obie opadły bezwładnie na uda. - Misja wyglądała okropnie. Spalona infirmeria, zarośnięty ogród, niepobielony dom i zapadająca się w wielu miejscach strzecha.

Wszedłem do domu i zobaczyłem moją matkę - powiedział. -  
Zobaczyłem, jak żyje i co robi.

Milczenie przeciągało się. W końcu nie mogłam go już dłużej znieść.

- Mnie też zobaczyłeś? - zapytałam szeptem. Czy widział mnie, lecz nie dał znaku, że przyjechał? Wpatrywałam się w niego. - Kiedy, Kai? Kiedy tam byłeś?

- Ty już wyjechałaś - odparł, a ja zamknęłam oczy z ulgą. - Matka nie chciała o tobie rozmawiać. Powiedziała mi tylko, że dla niej pracowałeś. Jako jedna z jej... kobiet. Ale pewnego dnia wszystko jej ukradłaś i uciekłaś. Oczywiście nigdy nie uwierzyłem w żadne słowo matki. Lecz inni, w Lahore...

- Ale Kai... chyba nie sądzisz, że pogodziłam się z takim życiem, jakie prowadziła twoja matka - powtórzyłam. - Wyjechałam, kiedy... sytuacja zrobiła się dla mnie niebezpieczna. Kiedy nie mogłam się już dłużej bronić.

Patrzyłam na niego uważnie. Nagle przypomniałam sobie, jak potraktowali mnie Langowie, kiedy próbowałam wytłumaczyć im moją sytuację. Tylko że Kai nie jest lubieżnym panem Langiem ani pijaną panią Lang. On mnie zna. Zrozumie.

- Chyba nie sądzisz... - powtórzyłam bardziej natarczywie, kiedy znów odwrócił ode mnie twarz - że nie mogłabym tak się zachować.

Zamrugnął oczami.

- Tak, Pree. Znam cię. - Kiedy na mnie spojrzał, poczułam, że się rumienię. Wierzył mi, a ja go okłamałam. Mówiłam, że jestem niewinna, a ja tego jednego ranka świadomie weszłam do obrzydliwego świata jego matki.

Łatwo było okłamywać innych. Może nawet siebie samą. Ale jak mogłam oszukać Kaia... Spuściłam wzrok.

- Pree. Spójrz na mnie. - Podniosłam głowę. - Myślisz, że nie rozumiem, jak działa świat?

Co chciał przez to powiedzieć?

- Wiem, że poszukujesz prawdy. Mówiłeś mi to kiedyś, dawno temu. Że poszukujesz prawdy i wierzysz tylko w to, co wiesz, że nią jest.

Zapadła cisza. Nagle poczułam się bardzo zmęczona.

- Tyle się wydarzyło - powiedział. - Nie pamiętam, żebym poruszał z tobą taki temat. Jeśli rzeczywiście tak było, to bardzo dawno temu, gdy byłem młodszy, pełen ideałów] kiedy uważałem, że mam prawo wypowiadać się w tak doniosłej kwestii. Ale od tamtej pory nauczyłem się...

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Aimée. Kai wstał.

- Pree? - powiedziała, przebiegając wzrokiem od Kaia do mnie. - Co robisz?

Wstałam.

- To... to jest stary przyjaciel - wyjąkałam, a Kai skinął głową. - Pan da Silva. A to panna Aimée z Misji *Zenana*.

- Miło pana poznać - powiedziała Aimée bezbłędną angielszczyzną po króciutkiej chwili wahania.

- Bardzo mi miło - odparł Kai.

- Szukałaś mnie? - zapytałam splotniona i zakłopotana, jakby przyłapano mnie na czymś niestosownym.

- Helena przysłała mnie. Powiedziała może jest jakiś problem i potrzebujesz pomocy. Najpierw patrzę do dzieci, ale cię nie widzę, lba mówi mi, że tu jesteś.

- Tak. - Poprawiłam kołnierzyk sukienki, choć byłam pewna, że jest na miejscu.

- Teraz idę zobaczyć kobiety. Idziesz?

Czy usłyszałam nieco zmieniony ton? Z pewnością nie mogła się dopatrzeć niczego złego w mojej rozmowie z dawnym przyjacielem.

- Zaraz tam do ciebie przyjdę - odparłam.

Skinęła powoli głowę, a potem znów spojrzała na Kaia.

- Do widzenia, sir - powiedziała.

- Do widzenia, panno Aimée.

Spojrzała na mnie raz jeszcze, a potem cicho zamknęła za sobą drzwi.

Co mówił Kai? Coś ważnego. Chciałam powrócić do tamtej chwili, lecz czar prysnął. Staliśmy naprzeciwko siebie.

- Co teraz, Kai? - zapytałam. Co teraz?

- Zobaczysz się ze mną jutro? Skinęłam głowę, może zbyt ochoczo.

- Mam tu do wykonania pracę - rzekł. Otworzyłam usta, by zapytać, co takiego przywiodło go do Peszawaru, lecz zanim zdążyłam powiedzieć choćby jedno słowo, dodał: - Mogę zostać w mieście tylko tydzień.

Siedem dni.

- Dlaczego byłaś tak pilnie wezwana? - zapytała Helena, kiedy wróciłam z Aimée. - Czy ktoś poważnie zachorował?

Po wyjściu Kaia próbowałam się uspokoić i dołączyłam do Aimée. Nie rozmawiała ze mną o Kaiu. Teraz stała obok mnie.

- Czy zachorowało jakieś dziecko? A może któraś z kobiet? - dopytywała się Helena.

- Jedno z dzieci źle się poczuło. Nic poważnego - odparłam. - Zajrzę tam jutro. - I tak znów zaczęłam kłamać. Nie wiem, dlaczego nie wyznałam prawdy: że powrócił ktoś z mojej przeszłości, i chciałam - musiałam - znów go zobaczyć. Ale przez blisko rok spędzony tutaj nie wspominałam ani słowem o moim dawnym życiu; nie wiedziałabym, od czego zacząć. Kiedy mówiłam, spojrzałam na Aimée, błagając ją wzrokiem, by milczała.

Helena skinęła tylko spokojnie głowę, a ja poczułam się jeszcze gorzej na myśl, że ufa mi tak bezgranicznie.



Nie chciałam zostać sama z Aimée i popędziłam do sypialni przed nią. Zasunęłam zasłonę i zgasiłam lampę, żebym mogła udawać, że śpię, kiedy przyjdzie.

Ale nie potrafiłam zasnąć. Oczekiwanie na spotkanie z Kaiem napęłniło mnie podnieceniem, którego nie mogłam opisać, nawet samej sobie. Ale musiałam je ukrywać, nie chciałam, by Aimée coś zauważyła.

Następnego ranka Aimée stanęła przy mnie z Bibli.) w ręce, kiedy wkładałam kilka buteleczek do torby.

- Ja też idę do *haveli* Abdura Jana - powiedziała. - Mówię dziś dzieciom o Jezusie.

- Porozmawiam z nimi, kiedy już zajrzę do chorego dziecka. Pójdź dziś do *haveli* Hamida Kanna. Nie ma potrzeby, byśmy obie były w tym samym miejscu.

- Które dziecko chore u Abdura Jana? To, co mówiłaś wczoraj Helenie? Dlaczego zmuszała mnie do kłamstwa? Czy nie mogła się zająć swoimi sprawami?

- Anjum.

- Co jest chore?

- Tylko wysypka.

- Wysypka? Nie ospa? Ospa bardzo niedobra. Pochyliłam się szybko nad torbę.

- Nie. Nie ma żadnych innych objawów.

- Dlaczego dziś taka dobra suknia?

- Aimée! - Odwróciłam się gwałtownie. - Idź już. Zobaczymy się przy obiedzie. - Nie chciałam dostrzec zaskoczenia i urazy w jej oczach.

Wyszła, a ja szybko wybiegłam z misji.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Umówiliśmy się z Kaiem w dzielnicy tubylców w herbaciarni odwiedzanej przez Euroazjatów. Wyglądał jeszcze bardziej przystojnie w innym świetnie uszytym stroju hinduskim i długich butach. Czy podobnie jak ja postanowił na nasze spotkanie włożyć najlepsze ubranie?

- Witaj - powiedziałam, przechodząc przez salę, nagle zawstydzona.

Wstał z uśmiechem i wyciągnął rękę przez stół, by uścisnąć moją dłoń.

Jego dotyk nappełnił mnie radością. Ale wiedziałam, że jest niespokojny.

A może zdenerwowany.

- Mam tylko godzinę. - Puścił moją rękę i radość ustąpiła miejsca przygnębieniu. Zupełnie jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jego czas jest bardzo cenny i może mi poświęcić tylko jego drobny ułamek.

Zawołał do jednego z kelnerów, by podał nam czaj.

W herbaciarni było dziewięć stolików. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, i poczułam ulgę, gdy Kai się odezwał.

- Wyglądasz, jakby to życie ci odpowiadało. Życie misjonarki. Choć nigdy nie sądziłem... - Znów się uśmiechnął, nawet jeszcze cieplej. - Nie sądziłem, że będziesz kontynuować dzieło rodziców.

Chciałam mu wyznać, że oni nie byli moimi rodzicami. Chciałam, żeby wiedział, że mój ojciec nie był jego ojcem. Nie byliśmy ze sobą w żadnym stopniu spokrewnieni. Ale na to było jeszcze za wcześnie.

- Chcę wykorzystać moją wiedzę, Kai - odparłam. - Kiedy odwiedzam w *zenanach* kobiety i dzieci, leczę je, jeśli

zajdzie taka potrzeba, albo uczę angielskiego. Ewangelizację zostawiam moim siostrzom z Misji *Zenona*. Masz rację. To nigdy nie była moja mocna strona. - Skrzywiłam się. - AU' czuję się bezpiecznie, mieszkając w misji i odwiedzając *ze nany*. Chociaż...

- Chociaż?

- Kobiety z misji traktują wszystkich mieszkańców jak rodzinę.

- A ty nie?

Wzruszyłam ramionami.

- Ja miałam prawdziwą rodzinę, a większość z nich to sieroty przygarnięte przez misję i... - Urwałam. Ja też byłam sierotą, a przynajmniej zaginionym dzieckiem wychowanym w misji. - Dorastały bez rodziców - powiedziała niezgrabnie. - Żyją więc w dobrze sobie znanych warunkach. Mnie brakuje prywatności, nie mogę być nigdy sama z moimi myślami. Nigdy nie jestem sama. Ale nie narzekam. To życie jest... - szukałam właściwego słowa ...czyste, bardzo. Zwłaszcza po... - zawiesiłam głos.

Wyraz twarzy Kaia zmienił się nieznacznie i dziwiłam się swojej głupocie. Po co poruszałam ten temat?

- Kiedy spłonęła infirmeria, brakowało mi pracy z ludźmi - ciągnęłam szybko. - Lubię pomagać dzieciom i kobietom.

Dlaczego czułam się tak nieswojo? Próbowałam wymyślić coś, o czym jeszcze mogłabym mówić; dlaczego brakowało mi tematów? Może zapytać o pracę.

- Co robisz... - zaczęłam i w tej samej chwili Kai powiedział:

- Jak tu... - i uśmiechnęliśmy się.

- Mów dalej, proszę - zachęciłam go, gdy mężczyzna, który cicho się pojawił i równie cicho zniknął, postawił na stoliku czaj i grube kawałki orzechowego ciasta. Wydawało mi się, że nie będę mogła nic przełknąć; czułam w żołądku ucisk wywołany spotkaniem z Kaiem.

- Miałem cię zapytać, dlaczego postanowiłaś przyjechać do Peszawaru - rzekł.

Nie chciałam wspominać Langów i przywoływać nieprzyjemnego

spotkania z nimi. O czym mogłam rozmawiać, by nie mieć negatywnych skojarzeń?

Oczywiście.

- Twój przyjaciel Afgańczyk z Grand Trunk Road powiedział mi, że tu mieszka. Opisał mi miasto i bardzo mi się spodobało.

Kai siedział nieruchomo.

- I wydawało mi się, że to dobre miejsce, by... zniknąć. Kai?

Wpatrywał się we mnie uporczywie.

- Widziałas go? Zamrugałam powiekami.

- Af gańczyka? Nie. Nawet nie wiem, czy jeszcze tu jest. -Nie mogłam zrozumieć wyrazu twarzy Kaia. - A jest?

Nie odpowiedział.

- Gdybym znała jego nazwisko, być może mogłabym go odnaleźć. Jak on się nazywa?

Odwrócił wzrok.

- Kiedy tu przyjechałam - zmieniłam temat, gdy dotarło do mnie, że nie odpowie na moje pytanie - usłyszałam o Misji *Zenona*. Przyjęli mnie i mieszkam tam już prawie rok.

- I będziesz tu nadal mieszkać i pracować jako misjonarka?

Patrzyłam na nietknięte ciasto, a jego pytanie wzbudziło we mnie niepokój. Teraz kiedy już tu był, kiedy znów się odnaleźliśmy... dlaczego mnie o to pyta? Czy sądzi, że z radością poświęcę życie tej pracy jak Helena lub Aimée? Nie. Chciałam mieć coś swojego. Chciałam mieć to, co kiedyś miałam. Rodzinę. Nawet pod koniec tamtego życia, kiedy wszystko się rozpadło, a moi rodzice tak bardzo cierpieli, miałam dom i bliskich. Swoje miejsce na ziemi. Kogoś, do

kogo należałam, choć łącząca nas więź nie była taka, za jak.) ją przez całe życie uważałam.

I chciałam to odzyskać; chciałam wiedzieć, że jestem dla kogoś ważna, nie z powodu moich umiejętności i wiedzy, lecz dlatego, że jestem sobą. Dopóki wczoraj nie spotkałam się z Kaiem, nie wiedziałam, gdzie jest moje miejsce. Nic miałam nikogo. Ale teraz on tu był. Podniosłam na niego wzrok znad ciasta.

- Planujesz ułożyć tu sobie życie? - zapytał ponownie.

- Nie wiem - odparłam, kręcąc głową.

Kai odłamał kawałek ciasta i podniósł go do ust, lecz zaraz znów odłożył na talerzyk. Wyglądało na to, że on też nie może jeść. Bez trudu można było wyczuć panujące między nami napięcie. Wypiłam łyk herbaty. Była bardzo słodka.

- Przykro mi z powodu twoich rodziców, Pree. To musiało być dla ciebie straszne.

Nadeszła odpowiednia pora, by o nich porozmawiać; o ludziach, których uważałam za moich rodziców. Obserwowałam jego usta. Znów powróciły wspomnienia: nasz pocałunek na zagraconym podwórzu drukarni w Lahore, moja próba, by się do niego przytulić podczas ostatniej rozmowy w misji.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziałam, a on skinął głową, krusząc ciastko na talerzyku.

- Czy odwracałeś się ode mnie, gdy próbowałam być... blisko ciebie, bo myślałeś, że jestem twoją przyrodnią siostrą? Ze mamy tego samego ojca?

Jego ręka znieruchomiła wśród okruchów. Chciałam go dotknąć i chciałam, by on znów mnie dotknął.

- Odwracałem się od ciebie?

- Tak. Kiedy... kiedy przyjechałam do ciebie do Lahore i dałeś mi książkę Woolstonecraft. A nawet podczas twojej ostatniej wizyty w misji.

Nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy.

- Zapomniałem o tej książce - rzekł.

Czy chciał przez to powiedzieć, że zapomniał też o mojej wizycie w Lahore? Że nie pamięta, jak mnie pocałował, choć przelotnie, na podwórzu?

- Czy to właśnie było powodem? - zapytałam. Podniosłam filiżankę i okręciłam ją w dłoni. Patrzyłam na zataczający kręgi gorący płyn. - Ponieważ... - wzięłam głęboki oddech, nie odrywając wzroku od filiżanki - wielebny nie był moim ojcem. A ona... moja matka... nie była moją rodzoną matką. Nie byli wcale moimi rodzicami. Przygarnęli mnie tylko. A to oznacza... - nadal obserwowałam gorący płyn - że ty i ja nie jesteśmy spokrewnieni. Wielebny nie był moim ojcem - powtórzyłam niepotrzebnie. - Mam dowody - dodałam, być może zbyt szybko, myśląc o Biblii ojca w moim pokoju w misji.

Wreszcie odważyłam się podnieść wzrok.

Spodziewałam się jakiegoś okrzyku, zdziwionego spojrzenia lub wstrząsu. Ale on tylko siedział i patrzył na mnie.

- Dowiedziałam się od twojej matki - ciągnęłam szybko - że przywieziono mnie do misji, gdy miałam dwa lata. Że nikt nie wiedział... kim byłam. - Znow czekałam na coś, na wyraz niedowierzania, zdziwienia. Jednak Kai odsunął tylko talerzyk na bok i podniósł filiżankę.

- Kai? Rozumiesz, co do ciebie mówię? Państwo Fincastle przygarnęli mnie i wychowali jak swoją córkę. Ale... teraz nie wiem nawet, czy jestem Angielką. Wiele osób widzi we mnie... - Urwałam. - Nie wiem, skąd pochodzę. Kai? Dlaczego nic nie mówisz?

Wypił łyk herbaty i odstawił filiżankę.

- Zawsze wiedziałem, że nie jesteś dzieckiem państwa Fincastle.

Teraz ja zamilkłam.

- Miałem prawie osiem lat, kiedy zjawiałaś się w misji w Allahabadzie.

Jasne, że wiedziałem.

Pomyślałam o śmierci mojego braciszka Gabriela. Miałam tylko sześć lat, a jednak doskonale pamiętałam ten dzień.

Dlaczego nie pomyślałam o tym, kiedy Glory opowiadała mi o moim przybyciu do misji?

- Ale... Nigdy nie mówiłaś...

- Pree. Byłem wtedy dzieckiem, często pozostawianym bez opieki. Miałem dość własnych problemów.

Matka go zostawiła, wróciła i znów wyjechała. Miał świadomość, że wielebny jest jego ojcem, ale nigdy się do tego otwarcie nie przyznał. Wszystko to musiało wywołać zamęt w jego głowie.

- Tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Byłaś po prostu małą Pree, a wielebny i mem twoimi rodzicami. Dopiero kiedy się zbuntowałaś przeciwko nim, kiedy byłaś starsza, nagle pomyślałem, że pewnie jest jakiś powód twojego zachowania. Szczególnie w dniu, kiedy wielebny próbował cię ochrzcić podczas monsunu. Nie byłaś łagodną panienką, jaką zwykle bywają córki misjonarzy. Podejrzywałem, że może to nie twoja wina; kto wie, jaka krew płynie w twoich żyłach? Ale oczywiście nie rozmawiałem o tym z tobą ani z nikim innym. To nie była moja sprawa i nic dobrego by z tego nie wynikło.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Kai zachowywał ten sekret w tajemnicy przez całe swoje dzieciństwo i młodość aż po wczesny wiek męski.

Wiedział, że wielebny jest jego ojcem i że ja nie jestem dzieckiem Fincastle'ów. Zawsze wiedział, że nic nas nie łączy.

Teraz wyjął z fałd koszuli okrągły złoty zegarek i otworzył! wieczko.

Byłam oszołomiona, pomyślałam: Jakie to dziwne, że nosi zegarek kieszonkowy. To było takie angielskie. A z taką nienawiścią wypowiadał się o Brytyjczykach.

Spojrzałam na swoją rękę, leżącą dłonią do góry na stole. Odciski zniknęły.

Kai zamknął zegarek.

- Muszę już iść, Pree. I tak byłem tu dłużej, niż zamierzałem.

Nadal myślałam o tym, co mi przed chwilą powiedział. Nie byliśmy spokrewnieni, a on wiedział o tym od zawsze.

- Pree?

Podniosłam głowę, stał.

- Och - powiedziałam, wstając z miejsca. - Idziesz... Dokąd?

- Mam sprawy do załatwienia. Dlatego przyjechałem do Peszawaru. - Mięsień na jego lewym policzki drgał nerwowo. Przesunął po ustach wierzchem dłoni. Czy go denerwowałam? A może chodziło o coś innego?

- Jakie sprawy?

- Potrzebujesz tongi, by wrócić do misji? - zapytał. Kai nadal był tajemniczy.

Wzięłam go za rękę.

- Poczekam na ciebie. Tutaj.

- Nie - odparł. - Nigdy nie mam pewności, jak długo to potrwa. Nie chcę, żebyś tu siedziała całymi godzinami. Chyba już musisz wracać do domu? Skinęłam głową.

Uścisnął mi rękę nad stołem, jak wcześniej przy powitaniu, i puścił.

Poczułam nagle, że jest zimna i pusta.

- Kai, czym się zajmujesz?

- To skomplikowane.

Przysunęłam się do niego. W sali były jeszcze dwie inne pary; nie obchodziło mnie, co sobie pomyślą. Chciałam, żeby został. Nie mogłam znów pozwolić mu odejść z mojego życia, jak już raz to zrobił.

- Jutro. Spotkajmy się jutro - powiedziałam.

Nic nie odpowiedział ani nie spojrzał na mnie. Znów wyjął zegarek i uważnie mu się przyglądał.

- Nie powinieneś przychodzić do Misji *Zenana*. - Czekałam. - Czy mogę przyjść do ciebie?

Nie było wątpliwości, o co proszę. Nie zgodził się ani nie zaprotestował od razu, lecz w końcu spojrzał na mnie.

- Pozwól mi do siebie przyjść - powiedziałam cicho. - Proszę. -

Nienawidziłam swojego głosu. Myślałam o tym, jak mówiłam do pułkownika. Jednak tym razem w moich słowach dźwięczała straszliwa nuta desperacji.



Odwrócił wzrok, spoglądając gdzieś nad moją głową.

- Nie wiem, Pree. Ta praca wymaga ode mnie pełnej koncentracji. Nie mogę...

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Proszę - powtórzyłam tym samym błagalnym głosem. Obiecuj, że się spotkamy. Jutro po południu. Nie mogę wy chodzić z domu po zmroku. Nerwowo tik powrócił.

Uścisnęłam go w ramię i spojrzał na moją dłoń.

- Zatrzymałam się w *haveli* przy tej ulicy - powiedzia I tonem, jakby proponował herbatę i ciasto. - Drzwi na podwórzu pomalowane są na turkusowe

- Dobrze - szepnęłam, choć sama nie wiedziałam dlaczego zniżam głos. - Przyjdę o pierwszej - powiedziałam i zostawiłam Kaia stojącego z zegarkiem w ręku.

Wróciłam do misji, odłożyłam torbę i poszłam do pokoju. Aimée siedziała z otwartą Biblią. Umiała czytać po angielsku, ale szło jej to bardzo wolno.

- Chodź pomóc mi, Pree. Znajduję historie dla dzieci - powiedziała i usiadłam przy stole obok niej.

- Wysypka Anjum już dobrze? - zapytała, a ja patrzyłam na nią o sekundę zbyt długo.

- Och. Tak. No cóż - powiedziałam z wahaniem, myśląc o jutrze. - Nie całkiem. Zajrzę do niej znowu. Jutro po południu.

- Czy ta dobra dla dzieci? - Powoli czytała fragment z Biblii. Patrzyłam na jej pochyloną głowę. Nagle urwała. - Coś źle dla ciebie, Pree? - zapytała, nie podnosząc wzroku.

- Nie. Dlaczego?

- Stukasz, stale stukasz - powiedziała z głową pochyloną nad książką. Ściągnęłam palce.

- Przepraszam - powiedziałam.

Rankiem odwiedziłam *haveli* Abdura Jana, choć powiedziałam Helenie, że rano idę do innej, a do Abdura Jana dopiero po południu. Gdy tylko tam się zjawiłam, wezwano mnie do pokoi kobiet, gdzie zbadalam najstarszą żonę, która skarżyła się na bóle brzucha połączone z silnymi wiatrami. Kiedy powiedziała, że poprzedniego wieczoru zjadła bardzo dużo suszonych moreli, dałam jej krople i zaleciłam, by żuła nasiona kardamonu i pościła do wieczora. Jak przetrwam ten dzień do pierwszej? Poszłam do pokoi dzieci i bawiłam się z nimi, choć byłam roztargniona. Nauczyłam je prostego wierszyka, a potem pomogłam podać im południowy posiłek. Wreszcie nadeszła pora, by iść na umówione spotkanie. Zbiegłam po schodach, a kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam przed sobą Aimée.

- Pree? Co robisz?

- Przecież ci mówiłam... że tu będę. Nie spodziewałam się ciebie.

- Mówisz mi, że będziesz po południu. Więc przyszłam do ciebie.

- Zajął się już pierwszą żoną - powiedziałam, może zbyt głośno. - Bolał ją brzuch.

- Anjum teraz dobrze? Wysypka już nie?

- Tak - odparłam i oblizyłam usta.

- Gdzie idziesz teraz?

- Do... innej *zenany* - odparłam.

- Której?

Spojrzałam na nią. Nie chciałam znów jej okłamywać, więc odwróciłam się i wybiegłam na ulicę. Kiedy tylko znalazłam się poza zasięgiem jej wzroku, zatrzymałam tongę, by nie tracić czasu na chodzenie piechotą.

Było gorące, wietrzne czerwcowe popołudnie; pasma włosów, które wymknęły się spod kapelusza, owiewały mi twarz.

Wysiadłam z tongi przed turkusowymi drzwiami.

Kiedy weszłam na podwórze, Kai już na mnie czekał.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, a ja nie mogłam wy-

dusić słowa, nawet się przywitać. Usta drżały mi z nerwów i napięcia. Przemierzyłam za nim kwadratowe podwórze otoczone ze wszystkich stron przez drzwi i okna. Po drewnianych schodach weszliśmy na drugie piętro; jedne drzwi były uchylone. Kai otworzył je szeroko i przepuścił mnie przodem. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zamknął drzwi i odwrócił się do mnie.

Otarłam pot z czoła dłonią w rękawiczce. Przez otwarte na podwórze okno wpadało słońce. Pokój był duży i przyjemny, wyposażony w najpotrzebniejsze rzeczy. Stało tam szerokie plecione łóżko, obok niego rzeźbiona drewniana komoda, na której leżała otwarta książka, pióro z dobrej jakości stalówką i butelka atramentu. W ścianę były wbite haczyki, na których wisały ubrania Kaia, a w rogu leżała sakwa z odrzuconą pokrywą. Przy jednej ścianie stał niski prostokątny stół z takiego samego drewna jak komoda, a na nim lampa, gliniany dzbanek pokryty kroplami wilgoci i dwa kubki.

- Jest tu skromnie, ale niczego więcej nie potrzebuję - powiedział Kai. - Chcesz trochę wody? - zapytał, a ja skinęłam głową z walącym sercem. Chciałam tu być. Tu by! Kai. Wszystko będzie dobrze.

Oboje wypiliśmy po kubku wody. Kiedy oddawałam mu swój, dotknęłam palcami jego palców. Pierś unosiła mi się i opadała; nie mogłam uspokoić oddechu.

Kai postawił kubki na stole i odwrócił się do mnie. Przez chwilę tylko na siebie patrzyliśmy, a potem podeszłam do niego, nie mogąc dłużej ustać w miejscu. Objęłam go.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - powiedziałam. Moja głowa spoczywała na jego piersi. Słyszałam bicie jego serca. - Jesteś jedyną osobą, jaką mam na tym świecie.

Serce zaczęło mu bić mocniej.

- Pree. Powinienem ci powiedzieć...

- Nie. - Wyczułam, że powie coś, czego nie chciałam usłyszeć.

Podniosłam głowę i pocałowałam go w usta. Nie

chciałam, by mówił cokolwiek. Miał tyle sekretów. Dlaczego miałby wyjawiać jeden z nich właśnie teraz? Nie chciałam, by cokolwiek popsuło tę chwilę. Rozchyliłam lekko usta, naciskając jego wargi.

Odpowiedział mi tym samym, lecz zaraz się odsunął. Mimo to nadal obejmował mnie ramionami.

Nie tak miało być. Nie powinien przerywać; miał mnie pragnąć bardziej niż czegokolwiek na świecie. Znów pomyślałam o pułkowniku.

- Nie pragniesz mnie? - szepnęłam, jak kiedyś szeptałam do Eddiego.

Dlaczego stale myślałam o innych mężczyznach?

- Nie o to chodzi.

- To o co? Nie zależy ci na mnie, Kai? Wiem, że tak jest.

- Oczywiście, że zależy. - Odgarnął mi włosy i patrzył prosto w oczy. - Ale...

- Nic nas nie powstrzymuje - powiedziałam.

- Nic? - zapytał. Nagle zawstydziałam się.

- Czy uważasz, że jestem... - Nie przychodziło mi do głowy właściwe porównanie. Jak twoja matka? - Niemoralna? Dlatego, że chcę być z tobą?

Uśmiechnął się, lecz był to twardy uśmiech.

- Nie jestem odpowiednią osobą do wypowiedzania się na temat moralności.

Zrozumiałam i poczułam, że robi mi się słabo. Cofnęłam się i usiadłam na łóżku; musiało zostać niedawno naciągnięte, bo nie ugięło się pode mną.

Jak mogłam być tak ślepa? Jak mogłam nie dostrzec, że coś jest nie tak?

- Masz już kobietę? - zapytałam. - Jesteś w kimś zakochany?

Przez chwilę nie odpowiadał, spoglądając na okno za mną.

- Nie mam jednej kobiety, Pree. Ale znałem wiele. Nie wiedziałam, co chcę usłyszeć. Co zraniłoby mnie

bardziej: fakt, że jest już zakochany i chce być jej wierny,

czy też że zadawał się z różnymi rozwiązłymi kobietami, które mu się ofiarowały? Jak ja teraz.

Czy mógł pragnąć mnie? Jeszcze tak niedawno zarzekałam się, że nie jestem podobna do jego matki. Zaprzeczałam, jakby mnie obraził, a jednak... wystarczyło teraz na mnie spojrzeć.

Kim byłam? I kim był on?

Nadal wyglądał przez okno. To jasne, że znał wiele kobiet. Czy naprawdę sądziłam, że myślał o mnie, jak ja myślałam o nim przez te wszystkie lata? Nie powiedział i nie zrobił nic, bym mogła sądzić inaczej.

Rozczarowana i zawstydzona spuściłam głowę. Wszystko poszło nie tak. Nie tak, jak sobie wyobrażałam.

Szybko jednak przestałam uzalać się nad sobą i poczułam, że ogarnia mnie gniew. Jak śmiał o mnie nie myśleć? Opuściłam ręce i patrzyłam na niego.

- I nigdy nie kochałeś? Nawet jednej z tych wielu kobiet? - Nie mogłam powstrzymać szyderstwa w głosie.

Pokręcił głową.

- To jesteśmy podobni - powiedziałam głośno pewnym głosem. - Bo ja też nigdy nie czułam niczego choć trochę zbliżonego do miłości. Do żadnego mężczyzny.

Zapadła cisza. Nieoczekiwanie uklęknął przede mną.

- Przepraszam, Pree. Przepraszam, że jestem taki roz-kojarzony. -

Uśmiechnął się i ujął moje dłonie. - Jak można nie pragnąć być z tobą? Spojrzałam na niego spod rzęs.

- Więc pragniesz?

Wyglądał na zmęczonego, a na lewym policzku znów pojawił się nerwowy tik.

- Przepraszam - powtórzył. - Przepraszam, że jestem taki niezręczny w tych sprawach. Nie mogę ci tego wytłumaczyć. Ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Wiem - szepnęłam i przyciągnęłam go do siebie. Znów przytuliłam policzek do jego piersi. - Już dobrze. Wiem. - Nic nie wiedziałam, ale wydawało mi się, że to właśnie

należy powiedzieć. Powoli przesuwałam dłońmi po jego plecach. - Wiem - szepnęłam.

Oparł policzek o moją głowę i westchnął. Ze zmęczenia czy radości?

- Twoje włosy nadal pachną tak cudownie dziko - rzekł nagle i tymi kilkoma słowami dał mi do zrozumienia, że chciał mnie w przeszłości przytulić. Niczego więcej nie potrzebowałam.

- Nie myśl teraz o niczym - mruknęłam i wspięłam się na palce, by moje usta znalazły się na wysokości jego szyi. Już raz czułam jego puls pod ustami; teraz całowałam pulsującą żyłę. - Nie myśl o niczym - powtórzyłam, a on przytulił się do mnie.

Uwodziłam go tak, jak uwiodłam pułkownika.

Jednak tym razem chciałam być blisko niego. Chciałam wiedzieć, jak to jest, gdy się do kogoś należy. Może poczuć coś zbliżonego do miłości. A może po prostu poczuć... cokolwiek.

Kiedy we mnie wchodził, zatrzymał się jak pułkownik. Ale zrobił to z innego powodu: jak powiedziałam wcześniej, nic go nie powstrzymało. Teraz znał prawdę.

Wstrzymałam oddech i otworzyłam oczy. Podniosłam na niego wzrok. Miał jednak zamknięte oczy i po chwili robił to dalej.

Kiedy poruszaliśmy się w zgodnym rytmie, zaczęłam się unosić. Nie jak za tamtym razem, gdy opuściłam moje ciało, bo nie mogłam znieść tego, co się ze mną dzieje. Tym razem sama dokonałam wyboru, tym razem wszystko było jak należy. Odpłynęłam.

Byłam z kimś, kto mnie znał, wiedział o mnie więcej niż ktokolwiek inny, wiedział, jak zostałam ukształtowana. Czyż nie kształtowały nas te same umysły, te same ręce, te same pieszczoty i bolesne klapsy? Żył moim życiem; dorastał w misji z tymi samymi ludźmi. Rozumiał. Byłam pewna,

że wie, czego potrzebuję. A ja mogłam mu dać to, czego on potrzebował. Zobaczyłam siebie z tych ostatnich lat: unoszący się bezładnie w powietrzu latawiec z urwanym sznurkiem, którego nikt nie trzymał w dłoni. Kruchy sznurek pokrywały dodatkowo kawałki szkła gotowe zranić każdego, kto tylko go dotknie. Unosiłam się bez celu, czasami zbliżając się zbyt do niebezpieczeństwa - do wierzchołków drzew, balustrad, minaretów i kopuł.

Ale był przy mnie Kai, mój Kai. Trzymając mnie i nie zważając na szkło, zatrzymał mój bezładny taniec na wietrze. Ściągnął mnie z nieba i sprowadził z powrotem na ziemię.

Zraniona, lecz cała i zdrowa wróciłam do domu. Wiedziałam, że z pewnością Kai czuje to samo.

- Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pragnęłam - wyszeptałam później, leżąc z głową opartą na jego ramieniu.

Odwrociłam głowę, by spojrzeć na jego twarz. Otworzył usta, jakby chciał zacząć mówić, lecz zaraz je zamknął. Powie to samo. Powie, że on też mnie pragnął.

- Co, Kai? - zachęciłam go. - Co chciałeś powiedzieć? Wahał się przez chwilę.

- Jestem jedynym, jakiego pragnęłaś, ale nie jedynym, jakiego miałaś.

Wpatrywałam się w sufit. Nie chciałam patrzeć na jego twarz, bo wiedziałam, że muszę wyznać mu prawdę. Nieproszone przypląnęły do mnie słowa z Księgi Powtórnego Prawa: „Lecz jeśli oskarżenie to okaże się prawdziwym, bo nie znalazły się dowody dziewictwa młodej kobiety, wyprowadzą młodą kobietę do drzwi domu ojca i kamienować ją będą mężowie tego miasta”.

Kai leżał nieruchomo, obejmując mnie ramieniem.

- To było tylko raz - powiedziałam.

- Wziął cię wbrew twojej woli? W misji? Jeden z mężczyzn, którzy tam przyjeżdżali? - mówił niskim, pełnym emocji głosem i wzruszył mnie, bo usłyszałam w nim smutek.

Jakże pragnęłam utonąć w tym jego smutnym głosie, powiedzieć tak, tak, próbowałam z nim walczyć, ale on mnie zgwałcił. Byłoby o wiele łatwiej; Kai zrozumiałby i próbował mnie pocieszyć.

Ale zbyt długo już żyłam w kłamstwie. Nie mogłam - nie chciałam - go teraz okłamać. Odwróciłam się, by znaleźć się twarzą do niego.

- Nie. - Usiadłam i jego ramię opadło. Patrzył na moje usta. - Ale to było zupełnie pozbawione uczuć. Zrobiłam to dla... - Czy mogłam wypowiedzieć te słowa? Czy mogłam powiedzieć, że zrobiłam to dla pieniędzy? Że byłam prostytutką jak jego matka? - Musiałam się wyrwać z misji. Nie miałam nic i nikogo. Wiesz o tym.

Nadal na mnie patrzył.

- Ten... - Nie mogłam wymówić jego imienia - mężczyzna dał mi dość pieniędzy na wyjazd. Nie miałam innego sposobu. Mogłam zostać z twoją matką w misji. Wykorzystałby mnie nie tylko on, lecz również wielu mężczyzn. Twoja matka miała nadzieję, że tak się stanie, bo mogła na tym zarobić. Albo mogłam pójść do łóżka z tym jednym mężczyzną, by odzyskać wolność.

- Wzięłaś więc pieniądze, by kupić sobie wolność - powiedział.

- Tak. Wybrałam wolność, a nie życie w więzieniu. Dokonałam wyboru, Kai. - Przyglądałam się jego twarzy. - Rozczarowałam cię? Gardzisz mną za to?

Usiadł, zasłaniając światło. Jego twarz ukryła się w cieniu, ale wiedziałam, że moja jest oświetlona.

- Kai? Powiedz mi, że...

- Nie mam prawa osądzać twoich wyborów - przerwał mi bezbarwnym głosem. - Często wątpię w swoje.

Chciałam, by powiedział coś więcej, coś o swoich uczuciach do mnie.

Chciałam, żeby znów mnie objął.



- Połóż się - rzekł tylko. - Odpocznij chwilę przed wyjściem. - Obrócił się na bok.

Patrzyłam na jego poruszające się z każdym oddechem plecy.

Zaledwie przed chwilą czułam, że wszystko jest idealne, że ja jestem idealna, że od teraz wszystko będzie już dobrze, bo Kai uświadomił sobie, że muszę być częścią jego życia... Patrząc na jego plecy, powoli wyzbywałam się złudzeń.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Kiedy się ubierałam, Kai spał. Cienie w pokoju wydłużały się i wiedziałam, że muszę wracać do domu na kolację. Pochyliłam się, by pocałować go przed wyjściem w policzek, a on poruszył się i spojrzał na mnie.

- Idziesz?

- Muszę. Spóźnię się.

- Dobrze. - Usiadł i przesunął dłonią po włosach. Wziął zegarek leżący na komodzie obok łóżka, spojrzał na tarczę i też wstał.

- Ja też muszę iść.

- Dokąd? - zapytałam, gdy wciągał spodnie i koszulę. Podniósł jeden but.

- Powinnaś już iść - rzekł z roztargnieniem, rozglądając się za drugim butem.

- Ale... spotkamy się jutro? Siegnął pod łóżko i wyjął but.

- Jutro? - Wsunął stopę do buta. - Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? Ale przecież nie wyjeżdżasz jeszcze z Peszawaru - odrzekłam, podnosząc głos. - Nie teraz. Nie po...

- Nie. Nie wyjadę bez słowa. - Podeszedł do mnie, ujął moją twarz w dłonie i szybko pocałował w usta. - Cieszę się, że dziś przyszedłeś, Pree. Dziękuję.

Dziękuję? Powiedział to tak, jakbym przyniosła mu pranie.

- Jesteś urocza - dodał i z uśmiechem odsunął dłonie od mojej twarzy, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Zupełnie jakby mnie odprawiał.

- Zobaczymy się więc jutro? - zapytałam raz jeszcze.

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, Pree - powtórzył. - Będę z tobą w kontakcie. Prześlę ci wiadomość do misji. Mogę to zrobić?

Skinęłam głową niepewna, jak to zostanie przyjęte. Ale nie było innego sposobu. Jakoś poradzę sobie z Heleną.

Nie zostało mi już nic do powiedzenia ani zrobienia. Uśmiechnęłam się do niego promiennie, choć całe światło, cała radość, którą czułam, kiedy się obejmowaliśmy uleciała. Wyszłam i wróciłam do misji w chwili, gdy podawano kolację.

Wsunęłam się na moje miejsce przy stole. Aimée spojrzała na mnie, lecz podczas całego posiłku była dziwnie milcząca. Ucieszyłam się.

Zważywszy na to, co się wydarzyło, nie miałam ochoty na pogawędkę o błahostkach. Chciałam tylko położyć się do łóżka, by rozpamiętywać każdy szczegół, powracać myślami do tego, co przeżyłam.

Jednak kiedy posiłek dobiegł końca i ruszyłam w stronę mojego pokoju, stanęła przede mną Helena.

- Możesz przyjść do pokoju dziennego? - zapytała, a ton jej głosu zaniepokoił mnie. Poszłam za nią korytarzem. W pokoju dwaj mali chłopcy bawili się bąkami na podłodze.

- Biegnijcie - powiedziała Helena, otwierając drzwi. Chłopcy zabrali bąki i wyszli. - Usiądź, proszę - zwróciła się do mnie. Wyczułam, że wie, co robiłam; skąd mogła to wiedzieć? Czy wyglądałam inaczej? Czy miałam grzech wypisany na twarzy?

- Gdzie byłaś dziś po południu, Pree? - zapytała, siadając blisko mnie, jak tego pierwszego dnia. - Aimée powiedziała, że zmieniłaś plany; byłaś w *haveli* Abdura Jana, ale potem wyszłaś.

Spojrzałam w jej szczerą twarz.

- Kiedy poszła do innych *zenan*, nikt cię tam nie widział. Powiadomiła mnie o tym, bo się bała, że coś ci się stało.

Czekała na moją odpowiedź. Czy Aimée wspomniała, że widziała mnie z Kaiem?

- Ja... spędziłam czas z dawnym przyjacielem. Z dzieciństwa. Wpadłam wczoraj na niego w *haveli* Abdura Jana. I poszliśmy po południu na herbatę. Rozmawialiśmy. Straciłam poczucie czasu.

Nienawidziłam siebie. Helena tak bardzo mi ufała. Wiedziałam, że w tym domu panują tylko dwie zasady. Dobre uczynki w stosunku do innych i życie w czystości. Byłam tutaj krócej niż rok i zdążyłam już złamać tę drugą. Może obie. Przez ostatnie dni nie byłam wcale dobra dla Aimée, gdyż drażniły mnie jej pytania i sama obecność. Próbowałam zachować obojętny wyraz twarzy, lecz z pewnością wyglądałam na winną.

Helena przyglądała mi się przez chwilę.

- Poinformuj, proszę, kogoś, jeśli nie zamierzasz być tam, gdzie cię oczekują - powiedziała. - Martwimy się, jeśli ktoś znika na całe godziny. Skinęłam głową.

- Oczywiście. Przepraszam - odparłam szczerze. Naprawdę było mi przykro. Ale czy spotkam się znów z Kaiem? Czy pójdę z nim do łóżka? Tak.

Tej nocy nie spałam dobrze. Moje ciało przebudziło się i znów chciałam być z Kaiem. Nie mogłam przestać myśleć o jego dotyku i jego dłoniach na moim ciele. O tym, jak bardzo do siebie pasowaliśmy, o czym od dawna wiedziałam.

Nie mogłam też przestać się martwić, że Helena może odkryć prawdę. Jeśli to zrobi, nie będę już mile widziana w Misji *Zenana*. Jednak jeśli mnie wyrzucą, Kai będzie przy mnie. To dla niego podejmowałam ryzyko utraty domu i pracy.

Czy gdzieś w głębi serca chciałam, żeby wszystko się wydało i żebym mogła być z nim? Nie mógł mnie tera/ porzucić. Na pewno by tego nie zrobił.

Kiedy skończy już pracę, która przywiodła go do Pc szawaru, przestanie być taki tajemniczy. Teraz, kiedy już byliśmy razem, na pewno będzie chciał mnie przy sobie zatrzymać. Oddałam mu się, a on mnie wziął. Czy to nie było jak obietnica?

Usiadłam i wyrzesałam przez okno. Przez jedną straszną chwilę pomyślałam o Glory i moim ojcu. Jak każde z nich spełniało potrzeby drugiej osoby.

Położyłam się. Co mi chodziło po głowie? W niczym nie przypomiinałam Glory, a Kai mojego - swojego - ojca. Z nami było inaczej. Założymy rodzinę. Będziemy mieli dzieci. Zacisnęłam powieki, wyobrażając sobie różne sceny - historie - które zawsze przychodziły do mnie bez trudu, gdy tylko im na to pozwalałam. Nie myślałam o rzeczywistości, o pracy, której tak bardzo poświęcał się Kai, o jego podróżach po Indiach i o tym, jak to wpłynie na nasze życie.

Moje marzenia były szczęśliwe i radosne. Przecież były tylko marzeniami.

Następnego ranka nie chciałam wychodzić z *zenany*. Miałam nadzieję, że dostanę obiecaną wiadomość od Kaia. Ociagałam się, pomagając w sprzątaniu po śniadaniu, robiąc pranie i zachowywałam się, jakby te czynności były niezwykle ważne. Jednak o dwunastej, kiedy niczego nie otrzymałam i skończyliśmy nasz południowy posiłek, Helena kazała mnie i Aimée wyruszyć na obchód po *zenanach*. Wiedziałam, że poinstruowała Aimée, by cały czas mi towarzyszyła, i byłam zła na nie obie. Kiedy szłyśmy ruchliwymi ulicami, starałam się ignorować nieznośne trajkotanie Aimée. Alejki i zaułki były bardziej zatłoczone niż zazwyczaj, a mężczyźni stali w grupkach i omawiali dwa ostatnie akty przemocy i buntu: zamordowano dwóch brytyjskich dyplomatów z Kalkuty. Jechali do Kabulu, by spotkać się z emirem Afganistanu, Sher Alim. Wcześniej mieli się zatrzymać na kilka dni w Peszawarze.

- Takie to straszne - powiedziała Aimée. - Zawsze człowiek chce tego, co ma inny człowiek. Za dużo chciwości. Ludzie muszą słuchać Boga. Hinduskie bogi, Allah, chrześcijański Bóg, wszyscy mówią dobro i litość. Dlaczego ludzie nie słuchają?

Spojrzałam na nią. Pomimo okropieństw, które przeżyła, nadal pozostała naiwna.

Odwiedziłyśmy dwie *zenany*. Pracowałam jak zwykle, rozmawiając z kobietami i dziećmi i pomagając w różnych dolegliwościach, podczas gdy Aimée próbowała je wciągnąć do rozmowy o religii.

Kiedy szłyśmy w stronę trzeciej *zenany*, zatrzymałam się.

- Idź przodem, Aimée. Ja przyjdę trochę później. - Nie patrzyłam na nią.

- Nie. Dzisiaj idę z tobą. Helena mówi - odparła powoli.

Ruszyłam szybko przodem, nie dbając wcale o to, czy trudno jest jej za mną nadążyć.

Spędziłyśmy ponad godzinę w pokojach dzieci w następnej *zenanie*.

Aimée pokazywała im małe obrazki przedstawiające Jezusa jako niemowlę w ramionach matki, a potem na osiołku jadącego pod baldachimem z liści palmowych. Siedziałam obok niej, lecz nie mogłam się skoncentrować i milczałam. Wierciłam się nerwowo i bardzo chciałam pójść na podwórze z turkusowymi drzwiami.

- Co jest źle, Pree? - zapytała w końcu Aimée, kiedy dzieci zawołano na posiłek, a my zbierałyśmy się do wyjścia. - Jesteś teraz inna. Coś się zmieniło. Kiedy przyszedłaś do domu pierwszy raz, widziałyśmy, że nie jesteś szczęśliwa.

Ale trochę czasu mija i ty znajdujesz szczęście. Uśmiechasz się, śmiejesz. Ale teraz...

Schodziłyśmy po schodach. Zatrzymałam się i opuściłam ramiona. Na zdrowej części twarzy Aimée malowała się troska. Znów przypomniano mi, jaka jest dobra. W przeciwieństwie do mnie.

- Przepraszam, Aimée. - Nie mogę wytłumaczyć. Jestem czymś bardzo zaprzątnięta - mówiłam zupełnie jak Kai.

- Muszę mówić w hindi, Pree - powiedziała, przechodząc na ojczysty język. - Nie mogę powiedzieć tego, co chcę, po angielsku. Znów jesteś zagubiona?

- O co ci chodzi? — Odwróciłam się i spojrzałam na nią. -Zagubiona? O co ci chodzi? - powtórzyłam. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie mówiłam przez sen o mojej przeszłości.

- Nie gniewaj się na mnie, Pree. Ale Helena powiedziała, że kiedy do nas przyszłaś, byłaś jak błakająca się dusza. I znów się tak zachowujesz. - Położyła mi rękę na ramieniu. - Ja też byłam zagubiona i mężczyźnie, który nazwał mnie Aimée, zawdzięczam ocalenie. A potem przyjęła mnie Helena. Zawsze znajdują się dobrzy ludzie, jeśli tylko pozwolisz im się zbliżyć. Tym ludziom na tobie zależy Pree - powiedziała. - Szczególnie Bogu. Jemu zależy na tobie najbardziej. On zawsze na ciebie spogląda, obserwuje. Widzi wszystko.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam je ręką. Nie chciałam myśleć o Bogu, który mnie obserwuje i widzi wszystko, co robię.

- Choć czujesz się zagubiona, to nie jesteś. Kocha cię Bóg i ja, Pree. Kochamy cię tak samo jak dzieci tutaj i chcemy, by one też poznały Bożą miłość. Ty zawsze byłaś chrześcijanką, więc Bóg kocha cię od czasu, gdy byłaś malutka.

Nie otwierałam oczu. Nagle zobaczyłam siebie jako dziecko, które biega po dziedzińcu misji i bawi się wesoło. Na tych ciemnych schodach poczułam, że nie przygniata mnie już ciężar, jakbym była wołem, któremu zdjęto z grzbietu jarzmo.

Od czasu, gdy Glory opowiedziała mi, jak znalazłam się w misji, czułam

się oszukana. Przepęłniał mnie gniew z tego powodu. Czasami nienawidziłam za to Fincastle'ów. Pierwszy raz od tamtego strasznego popołudnia, gdy Glory z poranioną twarzą opowiadała mi moją historię, pomyślałam o tym, co mogłoby się ze mną stać, gdyby państwo Fincastle mnie nie przygarnęli. Gdyby nie troszczyli się o mnie, jakbym była ich własnym dzieckiem.

- Pree?

Zdjęłam rękę z oczu.

- Co się stało? Ty... płaczesz?

Zaskoczona pokręciłam głową i przesunęłam dłonią po policzkach. Były mokre.

- Myślałam o moim dzieciństwie - powiedziałam. Aimée skinęła głową z powagą.

- Nie było wcale dobrze. - Znów przeszła na angielski. - Ty wiesz, jak cierpieć. Wiem, że masz dużo smutne wspomnienia.

To mnie zaskoczyło. Czy moja niepewność i ból związane z odkryciem prawdy i oddaniem się pułkownikowi były aż tak wyraźne dla wszystkich? Czy tak łatwo było mnie przejrzeć?

- Nie. Nie mogę tego uważać za nieszczęście. Nie, kiedy byłam mała. - Patrzyłam na nią i wiedząc, przez co przeszła, poczułam wstyd. - Pomimo wielu rzeczy, o których nie chcę myśleć, kochano mnie, Aimée - powiedziałam. - Ludzie, którzy mnie wychowali, kochali mnie, jak umieli.

Znów ruszyła w dół, a ja podążyłam za nią.

- Helena mówi, zawsze musi się kochać dzieci. Helena mówi do mnie, że miłość jest jak jedzenie. Smakujemy ją. Widzimy, czujemy i dotykamy. Uczymy się jej, kiedy jesteśmy mali, bardzo mali. Jeśli się nie uczymy, nie możemy jej znać, gdy jesteśmy starzy. Jeśli jej nie znamy, nie możemy



jej brać ani dać. - Skinęła głową na potwierdzenie swoich słów. - Uczymy kochać. Najpierw Boga, potem ludzi.

Słuchałam jej zaskoczona. Zaledwie dziś rano uznałam, że nie ma pojęcia o świecie, a teraz udowadniała, że naprawdę wie, jak leczyć słowa Ewangelii. Wyrwała mnie z mojego egoizmu, w którym pogrążyłam się z powodu Kaia i życia, które uznałam za beznadziejne.

Objęłam ją ramieniem.

- Dziękuję, Aimée.

Uśmiechnęła się jakby do siebie.

Wróciłyśmy do domu. Słowa Aimée pocieszyły mnie na jakiś czas, ale kiedy położyłam się do łóżka, powróciły dawne obawy.

Kai nie przysłał obiecannej wiadomości.

Drugi i trzeci dzień minął bez żadnych wieści od Kaia. Helena nie pozwalała mi wychodzić; powiedziała, że przypada moja kolej na sprzątanie domu, i wyznaczała mi jedną pracę po drugiej. Za każdym razem, gdy słyszałam otwierane drzwi lub głosy zatrzymywałam się w nadziei, że to wiadomość od Kaia. Może nawet on sam. Wiedział, gdzie mieszkam. Z każdą mijaną godziną ucisk w żołądku stawał się coraz bardziej bolesny.

Jak to się stało? Dlaczego się ze mną nie skontaktował? Kiedy szorowałam podłogi, raz jeszcze odtwarzałam wszystko w głowie, miotana na zmianę smutkiem i gniewem.

Oddałam mu się zbyt szybko. Wiedziałam o tym. Uwiodłam go, choć dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie uważa tego za właściwe. Nie myślałam o jego delikatnych dłoniach, kiedy mnie dotykał, ani o kilku wyszeptanych czułych słówkach, lecz o zaskoczeniu na jego twarzy, kiedy we mnie wszedł. Ale czy było to zaskoczenie? Może odraza. Nie mogłam odtworzyć wyrazu jego twarzy ani nawet przypomnieć sobie widoku jego twarzy nad moją.

Dni zdawały się nie mieć końca. Z trudem przeżywałam

jedzenie. Nocą rzucałam się w upale, pewna, że Kai wyjechał z Peszawaru.

I znów ogarniał mnie wstyd i jeszcze większy gniew.

Był poniedziałek. Ostatni raz widziałam Kaia - i byłam z nim - w czwartek po południu. W końcu Helena pozwoliła mi wyjść na obchód po *zenanach*, lecz znów towarzyszyła mi Aimée. Najpierw poszliśmy do *haveli* Abdura Jana.

Kiedy podeszła do mnie Anjum, wzięłam ją na ręce. Instynktownie przytuliłam twarz do jej szyi, wdychając ciepły zapach i czując dotyk atlasowej skóry. Myślałam o Adrianie, siostrze Kaia.

- Chodź - powiedziała Aimée, wyciągając ramiona, i podałam jej Anjum. Aimée usiadła, trzymając dziewczynkę na kolanach i zaczęła czesać jej włosy.

- Pamiętasz tego mężczyznę, któremu śpiewałaś piosenkę, Anjum? - zapytałam. - Piosenkę o maju?

Skinęła głową.

- Przyszedł tu jeszcze? Widziałaś go? - Byłam zła, że w swojej desperacji posuwam się do przesłuchiwania małego dziecka.

- *Ji-nahi* - odparła Anjum, kręcąc głową i przechylając ją w moją stronę. Aimée łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem przekręciła główkę dziewczynki i dalej ją czesała. Nagle przerwała i spojrzała na mnie, jakby czekała, że coś powiem.

- On... był bardzo droгим, starym przyjacielem, Aimée - powiedziałam. - Ten mężczyzna, którego widziałaś w zeszłym tygodniu. Znałam go przez całe życie.

Skinęła głową.

- Mieszka w Peszawarze?

- Nie. Zdziwiłam się, gdy go tu zobaczyłam. Nie widziałam go od dawna.

- I teraz chcesz go widzieć więcej?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Helena wyraziła się

jasno, że nie wolno nam się wiązać z żadnym mężczyzną. Milczałam.

- Może stary przyjaciel już wyjechał z Peszawaru - powiedziała Aimée.

Jej głos był zupełnie pozbawiony emocji. Znowu zajęła się czesaniem.

- Panno Aimée-jj - zapiszczała Anjum. - Boli. Aimée podniosła grzebień i patrzyła na mnie z dziwnym

wyrazem twarzy. Anjum też lekko się do mnie odwróciła.

- Jesteś jego... - Aimée zawiesiła głos. - Spełną przyjaciółką? - powiedziała w hindi. - Jego powiemniczką?

Wyczuła z pewnością, że Kai jest kimś więcej niż tylko starym przyjacielem. Czy podejrzewała, co się między nami wydarzyło?

- Skończyłam, Anjum - powiedziała, przechodząc na urdu. Wstała i wzięła małą za rękę. - Pójdziemy na dziedziniec nakarmić pawie.

Opowiem ci piękną historię.

- Ale nie dużego tatę pawia, panno Aimée. On jest niedobry.

- Tak - odparła Aimée, nie patrząc na mnie. - Musimy uważać. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś cię ugryzie. - Czy myślała o swoim zmarłym mężu ukąszonym przez węża? Czy o czymś innym?

Aimée i Anjum wyszły. Zostałam sama na środku dziecinnego pokoju, a dzwoneczki wiszące w oknie dźwięczały cicho w popołudniowym wietrze.

Pobiegłam ulicą do turkusowych drzwi. Na szczęście były otwarte.

Weszłam na podwórze i po schodach do pokoju Kaia. Przez chwilę nasłuchiwałam, a potem zapukałam, choć w środku panowała absolutna cisza.

Otworzyłam drzwi z żołądkiem ściśniętym z niepokoju. A jeśli jego rzeczy zniknęły?

Na haczykach nie było ubrań. Pokój wydawał się niezamieszkały... lecz nie. W rogu leżała pękata sakwa. Wypuściłam powietrze; przez cały czas wstrzymywałam oddech.

Nadal jest w Peszawarze. Łóżko było starannie zasłane; zobaczyłam, że coś pod nim błyszczy. Pochyliłam się i podniosłam kieszonkowy zegarek Kaia.

Złoto było zimne; najwyraźniej długo leżało na podłodze. Otworzyłam wieczko. Zegarek zatrzymał się na siódmej pięćdziesiąt trzy. Nie wiadomo, kiedy Kai nakręcił go ostatni raz.

Położyłam go na komodzie przy łóżku i wyszłam. Kiedy przechodziłam przez podwórze, z największych zwieńczonych łukiem drzwi wyszła chuda starsza kobieta. Dół twarzy miała zasłonięty.

- Znów przyszedłeś? - zapytała w urdu, unosząc podbródek w stronę drzwi pokoju Kaia. Widziała mnie więc, kiedy byłam tu w zeszłym tygodniu.

- Tak - odparłam. - Ale jego nie ma.

- Wiem.

Przysunęłam się bliżej.

- Wiesz, gdzie jest Kai?

- Nie znam nikogo o imieniu Kai. Ale mężczyznę, który wynajmował tamten pokój, zabrali w czwartek wieczorem. Przyszli tutaj i wyciągnęli go z pokoju. Nie jestem zadowolona. To nie jest dobre dla moich interesów.

Otworzyłam usta. Patrzyłam na dużą, pokrytą włosami brodawkę na jej skroni.

- Zabrali? Co masz na myśli? Dokąd?

Kobieta uniosła brwi, jakby zaskoczyły ją moje pytania.

- Tam, gdzie żołnierze zabierają wszystkich aresztowanych z powodów politycznych. Do więzienia w forcie Bala Hisar.

- Do więzienia? Zabrali go do więzienia? Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? Widziałam tylko mężczyzn - angielskich żołnierzy

- którzy go zwięzali i rzucili na wóz.

Przycisnęłam dłoń do piersi; serce łomotało mi tak mocno, że z trudem łapałam oddech. Odwróciłam się gwałtownie, by wybiec. Kobieta złapała mnie jednak za tył sukni.

- Nie zapłacił za pokój w tym tygodniu. Termin minął wczoraj.

Wyciągnęła rękę dłonią do góry.

- Zapłać za swojego mężczyznę. Podałam ci informacje i pozwoliłam tu myszkować - powiedziała. - Wiem wszystko, co się dzieje w moim domu.

- Poruszyła palcami. - No już. Potrzebuję pieniędzy za pokój. I jego jedzenie.

Sięgnęłam do torebki i położyłam jej na dłoni kilka ann. Spojrzała na nie i skinęła głową. Podejrzewałam, że dałam jej więcej, niż się spodziewała.

- I zabierz jego torbę. Muszę mieć wolny pokój dla następnego gościa, który zapłaci.

- Ja... wrócę po nią później - powiedziałam. - Później. - Wybiegłam na alejkę, a potem na główną ulicę. Zatrzymałam tongę i kazałam woźnicy wieźć się do Bala Hisar.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Droga do położonego na przedmieściach fortu Bala Hisar zajęła nam dwadzieścia minut. Wskoczyłam z tongi i dołączyłam do tłumu kłębiącego się wokół zewnętrznych murów fortu. Wiele osób rozmawiało i śmiało się głośno. Dostrzegłam sprzedawcę herbaty z mosiężnym samowarem i tacą z kubkami. Przepchnęłam się przez tłum, zastanawiając się, co ci ludzie tu robią, i w końcu stanęłam przed rudym mężczyzną w angielskim ubraniu.

- Co się tu dzieje? Dlaczego jest tu tyle ludzi? - zapytałam.

Jeździłam już wcześniej z innymi kobietami drogą biegnącą obok Bala Hisar, lecz wtedy panowała tu cisza, a przy głównej bramie stało tylko kilku wartowników. Dziś panował tu tumult jak na bazarze.

- Czekają na wieszanie - rzekł z roztargnieniem mężczyzna, patrząc gdzieś nad moją głową.

Chwyciłam go za klapę marynarki.

- Wieszanie? Dzisiaj?

Był blady, nieogolony, a topi na jego głowie było lekko przekrzywione.

- Przepraszam panią - powiedział, spoglądając na klapę. Zmarszczył brwi. Cofnęłam rękę.

- Kogo będą wieszać? Już to zrobili? - Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem opuścił powieki i zacisnął szczęki. - Nie, proszę pani. Nic pani nie straciła. - Jego głos był zimny, ostry. - Przybyła pani w samą porę.

Zdziwił mnie jego ton i wyraz twarzy a potem w jednej chwili uświadomiłam sobie, o co mu chodzi.

- Nie przyjechałam tu dla rozrywki, proszę pana. Szukam kogoś. Przyjaciela.

- W tym tłumie? - Znów spojrzał nad moją głową; nie widziałam tu nikogo z Anglików. - Kim jest pani przyjaciel?

- Nie. - Poczułam nagle, że drgają mi mięśnie twarzy. Przyłożyłam dłonie do policzków, by je uspokoić. - Nie w tym tłumie. Jest w więzieniu. Ale... muszę zobaczyć, zorientować się...

Na te słowa mężczyzna na moment zamknął oczy.

- Przepraszam. Jestem roztrzęsiony. Mój znajomy zawiśnie dziś na stryczku. Zdezzerterował - rzekł i nagle przypomniałam sobie ojca, który też rzucał takie spokojne, absurdalne uwagi w środku totalnego chaosu. - Jest jedynym Anglikiem, który dziś zginie. Mam nadzieję, że to nie pani przyjaciel. Czy on też zdezzerterował z armii?

Pokręciłam głową.

- Nie. I nie jest Anglikiem - powiedziałam ze świadomością, że to tylko połowa prawdy, ale nawet w europejskim ubraniu Kai nie mógł uchodzić za Anglika.

Wyraz twarzy mężczyzny znów lekko się zmienił.

- Na dziś wyznaczono też egzekucję dwóch tubylców. Wywiesili ich nazwiska na bramie. - Wskazał gdzieś za mną.

Skinęłam głową, odwróciłam się i zaczęłam przepychać przez tłum. Cała rozedrgana stanęłam przed główną bramą fortu. Pod napisem wyrzeźbionym w marmurze nad jednym z wejść do ramy przybito kartkę papieru. Przesunęłam palcem po nieznanym mi angielskim nazwisku, Martin Sinclair, a potem po dwóch w urdu: Kavinder Singh, był sikhem, a drugi z perskim imieniem Nusli i gudżarackim nazwiskiem Tata - być może był Parsem. Przelykając z trudem ślinę, oparłam się o wyszczerbione drewno.

Rozległ się wystrzał - najwyraźniej sygnał - bo tłum

zaryczał i rzucił się do przodu. Brama otworzyła się, a tłum wciągnął mnie i uniósł ze sobą.

- Nie - krzyknęłam, próbując się precyzyjnie, żeby wydostać się z fortu, ale otaczały mnie setki kobiet i mężczyzn. Część z nich przybyła, by opłakiwać tych, którzy niedługo zginą, inni, by sycić oczy widowiskiem. Znalazłam się w środku tłumu bezradna jak ryba, która próbuje płynąć pod rwący prąd strumienia.

Wreszcie zatrzymaliśmy na ogromnym dziedzińcu naprzeciwko szubienicy. Wyprowadzono już skazańców. Szli, szurając stopami zakutymi w kajdany, z rękami związanymi na plecach. Żołnierze poganiali ich kolbami muszkietów. Choć z daleka nie widziałam twarzy mężczyzn, było jasne, że żaden z nich nie przypominał Kaia wzrostem, sylwetką lub postawą. Przeczytałam nazwiska, a jednak w tej chwili poczułam ogromną ulgę, że mogłam się na własne oczy przekonać, iż Kai nie znalazł się wśród skazanych.

Co takiego zrobił? Dlaczego go tu przywieźli?

Anglik był w brudnej, podartej białej koszuli, wojskowych spodniach i butach. Sikh zgubił turban, a włosy rozplotły się i opadły na plecy. Trzeci mężczyzna nadal miał na głowie okrągłą białą czapkę.

Okrzyki tłumu przycichły, przez chwilę rozlegały się jeszcze pomruki, a potem zapadła cisza. W nieruchomym, upalnym powietrzu nikt nie kaszlał ani nie przestępował z nogi na nogę. Wysoko, na rozpalonym białym niebie krążyły dwa sępy. Szybowały w kółko, nie poruszając skrzydłami, jakby one też były widzami i czekały na przerażający spektakl. A może na coś więcej. Pomyślałam o Wieży Ciszy w Bombaju: sępy czekały na porzucane tam ciała, wydane na pastwę żywiołów zgodnie z zoroastriańskimi wierzeniami.

Żołnierze zdjęli skazańcom kajdany z nóg i poprowadzili ich schodami na szubienicę, gdzie wisiały trzy stryczki. Nie sądziłam, że to wszystko wydarzy się tak szybko. Czego się spodziewałam? Jakiegoś oświadczenia, modlitwy... ale nie,



wszystko odbędzie się natychmiast. Żołnierze naciągnęli worki na głowy skazańców.

Nie mogłam stać i być częścią tego widowiska. Odwróciłam głowę, zamknęłam oczy i zakryłam uszy dłońmi, gdy zakładano skazańcom stryczki na szyje. Nie. Musiałam stamtąd się wydostać. Znów próbowałam precyzyjnie się przez tłum, ale był zbyt gęsty; stanowił nieprzeniknioną ścianę poważnych mężczyzn i ukrytych za zasłonami kobiet.

Odsuwałam ręce blokujące mi przejście, szepcząc: proszę, proszę się odsunąć, proszę mnie przepuścić, w hindi, urdu i pendżabi, po persku, w paszto i po angielsku. Proszę, proszę, we wszystkich językach, jakie znałam, a jednak nikt nie reagował. Czy dlatego, że miałam na sobie angielskie ubranie, a jeden ze skazańców był Anglikiem? Czy dlatego ci ludzie chcieli, żebym została i wszystko oglądała? Nagle każda twarz, w którą spoglądałam, była wroga, rozgniewana i po raz pierwszy w życiu poczułam się obco w moim własnym kraju. Jakże chciałam mieć burkę, by ukryć twarz, ukryć się przed spojrzeniami ludzi. Oddychałam coraz szybciej i byłam cała spocona. Przez jedną straszliwą chwilę poczułam, jakbym to ja stała na szubienicy, bezradna i przestraszona. Tak bardzo przestraszona.

W tej właśnie chwili rozległ się straszliwy świst i głuchy odgłos upadających ciał. A potem ukradkowy szelest, gdy ciała poderwały się w górę. Zakryłam twarz dłońmi i otwierając pod nimi usta, próbowałam oddychać. Pod okrutnym słońcem minęły długie minuty; mogłam sobie tylko wyobrazić roztańczone palce u nóg i wirujące torsy, kiedy stryczki dopełniały swego dzieła. W końcu z tłumy wyrwało się zbiorowe westchnienie; skończyło się. Ja jednak nadal byłam uwięziona i gdy tłum rzucił się do przodu - czy chciał jeszcze bardziej zbliżyć się do szubienicy? - musiałam ruszyć w tym samym kierunku, by uniknąć zdeptania. Poczułam gorący oddech na szyi, nacisk męskiego ciała na plecach. Ramiona przyklejał mi do ciała z jednej strony wysoki

brodaty sikh, a z drugiej krępa kobieta w ciemnobrązowej burce. Nie mogłam nawet podnieść rąk, by znów zasłonić oczy. Stałam więc i patrzyłam, jak odcinano ciała i wsuwano je do podartych worków. Potem rzucono je na stos suchych patyków. Płonąca pochodnia dotknęła pierwszego worka i natychmiast przesunęła się do drugiego. Teraz nie mogłam już oderwać wzroku. Zupełnie jakby moje oczy były pozbawione powiek, patrzyłam urzeczona płomieniami, kiedy ciała zaczęły płonąć. Czulałam się tak, jakby gorące powietrze wiejące przez dziedziniec paliło moje nagie gałki oczne. Pomyślałam o młodej żonie popelniającej *sati* w Lahore i o jej skulonym w geście akceptacji ciele. Pomyślałam o ogarniętej szaleństwem matce, która spłonęła żywcem z ciałem ojca. I o płonącym ciele i włosach Aimée, która uciekała przed nakazaną jej śmiercią. Patrzyłam, jak wędrujące płomienie ochoczo pochłaniają splątane ciała w ich żalonych całunach. Wiedziałam, że Anglik nie będzie miał grobu na cmentarzu, a rodzina i przyjaciele nie będą mieli gdzie go opłakiwać. Wiedziałam, że dusza Parsa nie zazna spokoju. Nie zaniecono go do Wieży Ciszy, jak nakazywała jego religia, i nagle zaczęłam płakać.

Drżały mi ramiona, gdy opłakiwałam śmierć tych nieznanym mężczyznom. Nie wiedziałam, co zrobili, by zasłużyć na taki los, ale płakałam nad ich zmarnowaną przyszłością. Płakałam, gdy tłum zaczął wznosić okrzyki; nienawidziłam go za bezmyślną żądzę wrażeń, lecz go rozumiałam. Wiedziałam, że przez te kilka chwil cieszyli się, bo nadal żyli, a przyszłość miała dla nich swoje obietnice. I nie dbali o to, że mogą być maleńkie i podszyte bólem.

Zastanawiałam się, jak tu trafiłam. Nie tak sobie wyobrażałam moje nowe życie.

Kiedy tłum się rozszedł, na kilka chwil musiałam oprzeć się o mur. Wreszcie nogi przestały mi się trząść i podeszłam do jednego z angielskich żołnierzy, którzy stali na warcie.

- Chciałabym się dowiedzieć czegoś o jednym z więźniów. - Mój głos zabrzmiał ochryple. Znowu pomyślałam o sępach.

- Proszę iść do biura naczelnika - odparł, ciągle wyprostowany jak struna z muszkietem przy boku. Prawie nic poruszał wargami.

Rozejrzałam się po ogromnym dziedzińcu.

- Na lewo, proszę pani - dodał.

Znalazłam biuro z tabliczką na drzwiach i żołnierzem na warcie.

- Chciałabym rozmawiać z naczelnikiem - powiedziałam.

- W sprawie?

- Chcę zapytać o jednego z więźniów.

Skinął głową i wszedł do środka. Po chwili wrócił i gestem dał mi znak, żebym weszła. Mężczyzna w mundurze, z wąskim kółkiem cienkich siwych włosów siedział za owalnym biurkiem. Wstał; był niższy ode mnie. Pochylił się lekko w parodii ukłonu.

- Kapitan Gimble do pani usług. Czym mogę służyć?

- Muszę dowiedzieć się czegoś o kimś, kto jest tu przetrzymywany.

- Nazwisko? Proszę usiąść. - Usiadł za biurkiem, przyciągnął do siebie księgę i otworzył ją. - Anglik czy Euroazjata?

- Euroazjata.

Przyglądał mi się przez chwilę i z jakiegoś powodu zirytowało mnie to. Otworzył inną część księgi, przerzucając strony rozpaczliwie wolno. Z trudem utrzymywałam się na miejscu. Obiema rękami mocno ścisnęłam torebkę.

- Dobrze - powiedział, gdy dotarł do strony, której szukał. - Nazwisko?

- Da Silva. Kai da Silva.

Przesunął palcem w dół strony, poruszając ustami.

- Nie ma tu więźnia o takim nazwisku.

Oparłam się o krzesło. Ta stara kobieta nie miała pojęcia,

o czym mówi. Zdołałam się nawet uśmiechnąć do kapitana Gimble'a.

- Co za ulga. Nie ma go tu. To dobrze - powiedziałam, wstając.

Kapitan zamknął księgę i też wstał zza biurka.

- Dlaczego sądziła pani, że tu jest?

- Ktoś mi powiedział... nie widziałam go... od czwartku...

Zmienił się na twarzy.

- Od czwartku?

- Tak - odparłam.

- I jest Euroazjata czy tubylcem?

- Euroazjata - powtórzyłam.

- Mówi pani, że on nazywa się da Silva. Jest pani pewna?

Znów się uśmiechnęłam, lekko kręcąc głową.

- Oczywiście. Sądzi pan, że nie wiem, jak się nazywa mój przyjaciel? -

Uśmiech zniknął z mojej twarzy, kiedy kończyłam zdanie. Ta stara

kobieta też nie знаła nazwiska Kaia. - Dlaczego pan pyta?

- W ciągu ostatnich dziesięciu dni aresztowano tylko dwóch mężczyzn, tubylców. Przywieziono ich tu we czwartek wieczorem.

Przełknęłam ślinę.

- Rozumiem. - Spuściłam wzrok na torebkę, którą ściszałam w rękach. -

Czy może mi pan podać ich nazwiska?

Co spodziewałam się usłyszeć?

- Tak.

Patrzyłam na niego, sądząc, że kapitan znów otworzy księgę. Nie zrobił tego. Patrzył prosto na mnie.

- Jeden to Sanat Patel. Drugi podał tylko nazwisko Pavit. Obu przywieziono... Ale o co chodzi?

- Znam jedno z nich - powiedziałam, szukając za sobą krzesła. Usiadłam.

- Pavit to dość rzadkie nazwisko.

Kapitan też usiadł.

- Ale mówiła pani, że szuka Euroazjaty. Ci mężczyźni powiedzieli, że są tubylcami.

- Czy... widział go pan?

- Oglądam wszystkich nowych więźniów.

- Czy miał zielone oczy? Kapitan zmarszczył brwi.

- Nie mam zwyczaju patrzeć im w oczy.

- Jeśli to mężczyzna, którego szukam, na pewno by pan zauważył. Są bladozielone.

Patrzył na moją twarz, a potem zamknął księgę.

- Chyba zauważyłem. Tak. Ten wyższy miał zielone oczy.

Przełknęłam ślinę i odetchnęłam głęboko.

- To na pewno on.

- Jaki jest pani związek z więźniem? - zapytał kapitan.

- Związek? Jestem jego przyjaciółką.

Kapitan lekko opuścił powieki i nienawidziłam go za to, co insynuował wyraz jego twarzy. Mimo że była to prawda.

- O co został oskarżony? - zapytałam.

- Wie pani, że wszyscy przetrzymywani tu więźniowie mają na sumieniu jakiś rodzaj zdrady lub przestępstwa natury politycznej? I że nikt nie ma wglądu w ich sprawy?

- Ale czy mogę go zobaczyć? Kiedy odbędzie się proces?

- Proces? - Kapitan Gimble delikatnie gładził łysinę koniuszkami palców, jakby szukał czegoś pod lśniąca skórą. - Jest pani od niedawna w Peszawarze?

- Tak. Od niedawna. Ale nie wiem, dlaczego...

- Gdyby znała pani lepiej nasze miasto i nasz system prawny, wiedziałaby pani, że nie ufamy tu zbyt wiele procesom. Zwłaszcza w przypadku tubylców oskarżonych o zbrodnie przeciwko Brytyjczykom. Ten Pavit, pani przyjaciel, ma sporo na sumieniu. Kto wie, za co jeszcze był aresztowany w innych miastach i pod innymi nazwiskami?

Ale mamy dość powodów, żeby go zatrzymać. Na pewno nie przysporzy już więcej kłopotów. - Wstał, jakby nasza rozmowa dobiegła końca. Siedziałam na miejscu, starając się wyglądać godnie, by kapitan przekonał się, że jestem kobietą, która oczekuje - nie, domaga się - wyjaśnień. Nie dam się tak łatwo zbyć.

- Co mogę zrobić, by mu pomóc?

- Jemu nie można już pomóc. Ten gnojek nie zasługuje na to, by żyć. - Nie przeprosił mnie za swój język, i wiedziałam, że użył tego słowa celowo.

- Co pan ma na myśli? - zapytałam pewnym, spokojnym głosem.

Patrzyłam na niego, nie mrugając powiekami.

Wyszedł zza biurka, wyraźnie podenerwowany, może nawet rozgniewany.

- Dajemy tubylcom wodę i słomę do spania. Reszta: jedzenie, czyste ubranie, koce to sprawa rodziny i przyjaciół. Ci, którzy nie mają nikogo, muszą liczyć na hojność współwięźniów.

Nie poruszyłam się, kiedy stanął obok mnie.

- Dobrze, zajmę się tym. Przyniosę mu wszystko, czego potrzebuje. Ale jak mogę pomóc go uwolnić? Albo przynajmniej zapewnić mu sprawiedliwy proces? To na pewno straszna pomyłka. Jestem pewna, że istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie...

Twarz kapitana pociemniała.

- To wszystko, co mogę dla pani zrobić.

- Kiedy mogę go odwiedzić?

- W każdy ostatni poniedziałek miesiąca przeprowadzamy egzekucje.

Więźniów można odwiedzać w każdy czwartek od dziesiątej do dwunastej. Strażnicy w części dla tubylców też są tubylcami, więc trzeba im zapłacić, by wejść. A teraz mam inne obowiązki. - Przeszedł obok mnie i otworzył drzwi. - Do widzenia pani - powiedział zimno.

Nie miałam wyboru, musiałam wyjść i wrócić na dziedziniec.

Nie chciałam patrzeć na dymiący stos. W powietrzu

wisiał odór tego, co pochłonał ogień. Przyłożyłam dłoń w rękawiczce do nosa i ust, mimo że usta wypełniała mi kwaśna ślina i chciałam ją wypluć, wypluć smak tego, co dziś zobaczyłam i usłyszałam.

Kiedy odebrałam sakwę Kaia i wróciłam do misji, było już po kolacji.

Helena czekała na mnie; gdy mijałam pokój dzienny, zawołała mnie.

Weszłam do środka i usiadłam na krześle naprzeciwko niej.

- Przykro mi, Pree - powiedziała, patrząc na sakwę, którą postawiłam przy krześle. - Tak nie można. Mówiłam ci... - Zawiesiła głos. Wiedziałam, że jest to dla niej trudne. Wstydziałam się, że postawiłam ją w takiej sytuacji, a jednak... na pewno mnie zrozumie. - Tu chodzi oczywiście o inne kobiety. Panują u nas pewne zasady, wiesz o tym. Rozmawiałyśmy o twoim zachowaniu, ale ty... Powiedziałam ci wyraźnie, że nie możesz wychodzić sama. - Znów spojrzała na sakwę.

Milczałam.

- Myślałam, że ci się tu podoba - powiedziała ze smutkiem i rozczarowaniem w głosie. - Wyglądało na to, że praca w *zenanach* ci odpowiada. - Pokręciła głową. - I tak bardzo pomogłaś kobietom i dzieciom. Świetnie sobie radziłaś. Dlaczego to wszystko chcesz popsuć? Nadal milczałam. Nie wiedziałam, co mogę jej powiedzieć, w co uwierzy lub nie. Okazałam się niegodna zaufania.

- To ten młody człowiek, z którym Aimée widziała cię w *zenanie*, prawda? Widziałaś się z nim?

Wreszcie skinęłam głową.

- Ale... właśnie wróciłam z Bala Hisar. Zmarszczyła brwi.

- Cóż tam...

- Został uwięziony.

- Za co?

Zwilżyłam językiem usta.

- On jest niewinny, Heleno. On nigdy...

- Za co? - powtórzyła.

- Nie wiem. Nie chcieli mi powiedzieć. Ale o cokolwiek go podejrzewają, to pomyłka. Znam go, Heleno. Znam go od dziecka.

Czekała. Mówiłam z przekonaniem w głosie i sama chciałam wierzyć w swoje słowa. A jednak nie mogłam zaprzeczyć, że kawałki układanki zaczęły do siebie pasować. Brak reakcji Kaia na pytania o jego pracę i powód przyjazdu do Peszawaru. Wyraźne oznaki niepokoju. I oczywiście słowa kapitana Gimble'a, że Kai miał już kłopoty z władzą w Peszawarze. I pewnie gdzie indziej też.

Powróciły wspomnienia z przeszłości. Wiedziałam, jakim Kai jest człowiekiem; zawsze wiedziałam. Był pełen gniewu i nienawiści - w stosunku do matki, ojca, władzy. Chciał naprawiać zło, nie potrafił zaakceptować rządów Brytyjczyków i walczył z represjami tubylców. Był pełen pasji, odważny i zdesperowany. Gotów walczyć o to, w co wierzył; nie miał czasu, by go marnować na swoje własne potrzeby. By kogokolwiek do siebie dopuścić.

Dlatego odsunął mnie. I dlatego ja nie mogłam do niego dotrzeć.

- Jakkolwiek było - powiedziała Helena, przerywając bieg moich myśli - nie wiem, co robić, Pree. Nie chodzi tylko o to, że związałaś się w tajemnicy z tym mężczyzną, lecz również o to, że ma on coś na sumieniu. Bardzo mnie to boli. Widziałam, że różnisz się od innych kobiet, ale nie że łączy was nic bolesnych wspomnień, choć nie mam pojęcia, co to za wspomnienia. Jednak postawiłaś mnie w okropnym położeniu. Jeśli pozwolę ci zostać, inne kobiety mogą odnieść wrażenie, że pochwalam zachowanie, któremu misja się sprzeciwia. Muszę...

Zerwałam się z miejsca.

- Rozumiem twoją sytuację, Heleno. Ale proszę, pozwól mi spróbować mu pomóc. A jeśli go powieszają? On nie może umrzeć. Nie wolno mi błagać, żebyś pozwoliła mi zostać, ale



proszę, proszę tylko, żebym mogła tu zostać na tyle długo, żebym mogła mu pomóc. A ty, Heleno... - ciągnęłam, wiedząc, że to nie w porządku, zważywszy na jej dobroć, cierpienie i wspomnienia - ...rozumiesz, co to znaczy stracić ukochaną osobę.

Nigdy nie wypowiedziałam słowa miłość w odniesieniu do Kaia. Czy kiedykolwiek przyszło mi to do głowy?

- Muszę tu zostać, dopóki nie znajdę sposobu, by mu pomóc.

Siedziała nieruchomo. Wiedziała, w jak straszliwej postawiłam ją sytuacji.

- A kiedy będzie już wolny - powiedziałam, bo nie dopuszczałam do siebie myśli, że może być inaczej - opuszczę misję i wyjadę z nim z Peszawaru. - Słowa spływały mi z ust tak łatwo, choć wiedziałam, że to może być kłamstwo. Kłamstwo albo tylko moja nadzieja, wypowiedziana na głos po raz pierwszy, podobnie jak miłość. - Ale teraz nie mam dokąd pójść. - Cisza przedłużała się. - Heleno? - zapytałam w końcu.

W blasku wieczoru wpadającym przez okna twarz Heleny była blada i napięta.

- Jeśli pozwolę ci tu zostać na krótko, nie będziesz mogła pracować w *zenanach*. Nie możesz nas reprezentować jako kobieta pracująca dla Pana. Zostaniesz tutaj, w budynku, i zrobisz to, co musisz, żeby pomóc temu człowiekowi, który najwyraźniej wiele dla ciebie znaczy. Ożeni się z tobą, jeśli zostanie zwolniony?

Wiedziała, że Helena myśli tylko w ten sposób. Nie umiałam jej odpowiedzieć. Wstałam i podeszłam do niej, ujmując jej dłonie w swoje.

- Dziękuję, Heleno. Bardzo dziękuję. Nie wiesz, co... Wstała.

- Dobrze. Ale nie mów o tym nikomu. To może zrujnować dobre imię misji, na które tak ciężko pracowałam. Nikomu ani słowa.

Skinęłam głową.

- Oczywiście.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Wieczorem zaciągnęłam zasłonę przy łóżku. Przy świetle lampy wyjęłam ukrytą pod łóżkiem sakwę Kaia, nie chcąc, by zobaczyła ją Aimée lub Rohana. Nie chciałam okazać się wścibska ani szperać w jego rzeczach, ale przejrzałam jej zawartość w nadziei, że coś odkryję. Powtarzałam sobie, że szukam wskazówki związanej z tym, co mógł zrobić, lecz być może tylko pragnęłam zrozumieć, kim naprawdę jest Kai.

W sakwie znalazłam książki zarówno po angielsku, jak i w urdu dotyczące politycznych spraw Indii oraz kilka zrolowanych map. Rozłożyłam jedną na łóżku; przedstawiała północną część Indii ze znaczkami - krzyżykami i gwiazdkami - w różnych miejscach. W blaszanej puszcze były pióra i atrament. Kiedy pociągnęłam złożoną koszulę, by sprawdzić, co się pod nią znajduje, okazała się dziwnie ciężka. Wsunęłam obie dłonie, by ją chwycić i okazało się, że koszula jest owinięta wokół pięknie rzeźbionej szkatułki z drewna sandałowego. Położyłam ją na kolanach, przesunęłam dłońmi po rzeźbionym wieczku i uniosłam je.

W środku znajdowała się mała Biblia oprawiona w cielecą skórę. Na pierwszej stronie widniała dedykacja wypisana pełnym zawijasów pismem ojca: *Dla Kaia, z okazji Bożego Narodzenia 1862 roku*. Były to święta, kiedy trzynastoletni Kai był sam. Potem wyjęłam zwitek pasków materiału pofarbowanych na czerwono. Rozpoznałam je dopiero po chwili: były to wstążki z majowego pala. Znalazłam też wyblakły papierowy latawiec, który zrobiłam dla Kaia, kiedy miałam osiem czy dziewięć lat; pamiętam, jak długo nad nim praco-

wałam, topiąc żółty wosk i malując nim wzory na szorstkim brązowym papierze.

Była tam też malutka marszczona sukienka z białej bawełny: nosiła ją Adriana, gdy miała miesiąc.

Siedziałam bez ruchu. Szkatułka kryła w sobie cenne wspomnienia i pamiątki z przeszłości Kaia. Pamiątki po człowieku, który był jego ojcem i który nigdy nie uznał go za swego syna. Po kobiecie, która jako jedyna pokazała mu, czym jest troska. Po mnie, kiedy byłam dla niego małą siostrzyczką. I po jego jedynej prawdziwej, malutkiej siostrze.

Łzy napłynęły mi do oczu. Czy człowiek przechowujący tyle znaczących wspomnień mógł być zdolny do czynów, które miały go zawieść na szubienicę? Czy naprawdę mógł zaprzeczać, że nie chce i nie potrzebuje w swoim życiu nikogo?

Przesunęłam palcami po czerwonym jedwabiu, który wyścielał szkatułkę. Nie był jednak przymocowany do dna i udało mi się go wyciągnąć. Wyraźnie coś owijał. Czy była to pamiątka po Glory? Z pewnością zachował coś po niej.

Wewnątrz znajdował się jednak tylko oddarty kawałek kocyka, miękkiego i białego. Na dole wyhaftowane zieloną nicią widniały litery PRL Reszta kocyka była podarta, a wełniane nici wisiąły jak poplątana pajęczyna.

Przesunęłam palcami po literach, początku mojego imienia. To musiał być mój kocyk. Przytuliłam go do twarzy, zastanawiając się, czy przywoła jakieś wspomnienia. Pomyślałam o palcach mojej matki - jedynej matki, jaką znałam - grubych i stwardniałych, które nie radziły sobie z nicią i igłą. Ona nigdy nie byłaby w stanie wyhaftować czegoś tak delikatnego. Nawet kiedy zszywałam ranę Lalasy - robiąc pierwsze w życiu szwy na żywym ciele - wiedziałam, że robię to lepiej od niej. Moja matka nie mogła zrobić tego kocyka na drutach cienkich jak nóżki jaskółki i wyhaftować go tak delikatnie. Ta praca wymagała wielkiej cierpliwości i miłości. Kto go dla mnie zrobił? I dlaczego przetrwał tylko

jeden róg? Przesuwałam palcami po literach raz po raz, jakbym chciała czegoś się od nich dowiedzieć, zachęcić, by do mnie przemówiły. Przez następne dwa dni pracowałam w domu bez przerwy, sprzątając, gotując i pomagając w opiece nad dziećmi. Choć czasami niepokój zapierał mi dech w piersiach, musiałam wytrwać do czwartku, dnia odwiedzin w Bala Hisar.

Traktowano mnie jak zwykle, lecz kilka kobiet rzuciło mi zaciekawione spojrzenia, kiedy myślały, że tego nie widzę. Aimée i Rohana prawie się do mnie nie odzywały. Co powiedziała im Helena? Niewiele mnie to obchodziło; byłam pogrążona we własnych myślach. Wiedziałam, że nie mogę pomóc Kaiowi, dopóki nie porozmawiam z nim we czwartek i razem nie postanowimy, co mogę zrobić. Czy jeszcze ktoś w Peszawarze wiedział, co się z nim stało? Abdur Jan? Jeśli nie, to czy ktoś przynosił mu jedzenie? Co w ogóle jadł?

O wschodzie słońca we czwartek już nie spałam. Pomogłam przygotować śniadanie i obsługiwałam innym kobietom. Kiedy w domu wreszcie zapadła cisza i większość kobiet wyszła, skończyłam ostatnią pracę i pobiegłam do swojego pokoju. Wyjęłam czyste ubranie z sakwy Kaia i owinęłam je w koc z mojego łóżka. Poszłam potem do kuchni na dziedzińcu i wypakowałam kosz taką ilością jedzenia, jaką tylko mogłam unieść, wstawiłam jeszcze dzbanek z wodą i wyruszyłam do Bala Hisar. Zapłaciłam strażnikowi przy wejściu i czekałam, kiedy rozwijał koc i brudnymi rękami przekopywał czyste ubranie. Potem otworzył kosz. Miał na tyle tupetu, by podnieść go do nosa i powąchać zawartość, potem zatrzasnął pokrywę i oddał go mnie.

Szłam za nim, mijając więźniów za grubymi kratami na parterze; z pewnością ich zbrodnie nie były poważne i miałam

nadzieję, że znajdę wśród nich Kaia. Z ich wyglądu wywnioskowałam, że są tu już od dłuższego czasu. Chodzili bezmyślnie w kółko lub leżeli na słomie z wyrazem rozpaczony na twarzy, wielu z nich kaszlało, a wszyscy byli bladzi, niektórzy wycieńczeni przez choroby lub po prostu głód. W innym pomieszczeniu, większym i bez słomy na podłodze, w kolt' siedzieli starsi mężczyźni. Przez wysokie okno wpadało blade światło, a mężczyźni pochylali głowy nad haftem. Zauważyłam, że wypływające spod ich palców wyszukane wzory tworzą replikę dywanu z czasów panowania dynastii Safa-widów. Wiele tych starych oryginalnych perskich dywanów przykrywało podłogi w bogatych *haueli*.

Wiedziałam, że ich repliki cieszą się w Anglii ogromną popularnością. Nawet w półmroku dostrzegałam piękno więziennych dywanów i patrzyłam na czubki brudnych turbanów i czapek mężczyzn. Po latach takiej pracy niektórzy z pewnością tracili wzrok. Było mi ich żal, ale uświadomiłam sobie, że w porównaniu z młodszymi mężczyznami, których widziałam przed chwilą, oni mieli szczęście. Mieli jakiś cel, choć sami go nie wybrali, a praca musiała łagodzić rozpacz, pustkę i oczekiwanie. Na zwolnienie lub śmierć.

Wchodziłam za strażnikiem coraz głębiej po wilgotnych kamieniach; choć na zewnątrz panował upał, słońce ani ciepło nie docierały tak głęboko za więzienne mury i wilgoć była niemal namacalna. Zmusiłam się, by patrzeć prosto przed siebie, i oddychałam przez lekko rozchylone usta. Nie mogłam jednak uciec przed smrodem, jękami i krzykami i głębokim, suchym kaszlem wywołanym bez wątpienia przez gruźlicę. Instynktownie podniosłam dłoń do ust i nosa, by nie czuć odoru rozpaczony i śmierci. Więzienie w Bala Hisar było piekłem Dantego.

Strażnik poprowadził mnie do celi na końcu korytarza. W małym zakratowanym pomieszczeniu tłoczyło się chyba piętnastu mężczyzn. Brudną podłogę pokrywała zgniła słoma. Przy kratkach stały trzy osoby: kobieta w hinduskim

stroju i dwóch muzułmanów. Rozmawiali cicho z tymi, których przyszły odwiedzić.

Kobieta płakała z twarzą ukrytą w dłoniach; mężczyzna po drugiej stronie krat stał tylko z rękami zwisającym wzdłuż boków.

Sądząc po długości zmierzwionych włosów i bród wiedziałam, że wielu tych mężczyzn siedzi tu bardzo, bardzo długo.

Stałam przy kracie. Bardzo chciałam zobaczyć Kaia, ale jednocześnie bałam się tej chwili. Serce waliło mi jak oszalałe. Więźniowie nie odzywali się ani słowem; nie mieli energii czy po prostu byli pogrążeni we własnych myślach? Niektórzy opierali się o wilgotne ściany, inni kucali, jeszcze inni leżeli owinięci kocami, a ich ciała przyjmowały kształt beznadziejnego smutku. Nagle jeden z mężczyzn siedzących w cieniu wstał, znieruchomiał i spojrzał na mnie, a moje niespokojne serce zabiło jeszcze mocniej.

Kiedy wyszedł z ciemności w moją stronę, zauważyłam, że zmienił się od czasu naszego ostatniego spotkania. Minął dokładnie tydzień, a jednak kształt jego podbródka był ostrzejszy, a kości policzkowe bardziej wyraziste. Oczy płonęły nawet w mroku - z powodu gorączki czy tylko z powodu tego, co mu się przydarzyło? Coś przemknęło przez jego twarz. Co to było? Ulga? Radość? Nie wiedziałam. Podszedł do mnie i uświadomiłam sobie, że jest zaszokowany.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Poszłam do ciebie. Kobieta, która wynajęła ci pokój, powiedziała, że cię tu zabrali.

Przez kraty podałam mu koc z ubraniem, koszyk i dzbanek z wodą.

Wziął wszystko z roztargnieniem. Wsunął koc pod ramię, a koszyk i dzbanek postawił na podłodze pomiędzy swoimi stopami.

- Dopiero w poniedziałek dowiedziałam się, że tutaj jesteś. I nie wolno mi było przyjść aż do...

Przyłożył dłoń do skroni i skrzywił się. Jego palce, które

niedawno dotykały mnie w tak intymnych okolicznościach -długie i szczupłe, z brudnymi teraz paznokciami - były mi tak drogie, że marzyłam, by wsunąć ręce przez kraty i je chwycić. Niesamowite, ale pomyślałam o ich dotyku na moich piersiach. Że też w takiej chwili coś takiego chodziło mi po głowie...

- Co mogę zrobić, Kai? - Nie zapytałam, o co go oskarżyli. I nie pytałam, dlaczego używa nazwiska Pavita.

Opuścił rękę i przysunął się bliżej. Jego oczy miały czerwone obwódki, a zielone tęczęwki były mętne i nie odbijały światła.

- Jest jeden człowiek, który może mnie uwolnić - powiedział tak cicho, że musiałam pochylić głowę w jego stronę, by go usłyszeć.

- Abdur Jan?

- Nie. - Sięgnął przez kraty i wziął mnie za rękę. Brudnym kciukiem przesunął po wierzchu mojej dłoni. Jego ręka była bardzo gorąca. Z oczu wyczytałam, że ma gorączkę. A jeśli już nigdy nie poczuję dotyku jego dłoni na swoim ciele? Musiałam na chwilę odrzucić te myśli.

- Pij dużo wody - szepnęłam. - Jesteś chory.

- Tak, tak - odparł z roztargnieniem. - Nie mam dużo czasu. Musisz słuchać. Jesteś jedyną osobą, która może zrobić to, co trzeba. Niektórzy z tych mężczyzn czekają całymi latami, zanim ktoś zadba o to, by zrobić coś w ich sprawie. Ale w moim przypadku... musisz zrozumieć. Nie dadzą mi kolejnej szansy. Jestem pewny, że władze zechcą jak najszybciej mnie powiesić. Wykorzystałem już wszystkie możliwości, Pree.

Pomyślałam o krążących na niebie sępach z zakrzywionymi szyjami.

- Zrobię, co każesz - powiedziałam.

- Jest coraz mniej czasu.

- Powiedz mi, co mam robić.

- Znajdź Davida Ingrama.

- Davida Ingrama? Kto to?

Przyjrzał mi się uważnie.

- Nie wiem, czy jest teraz we Peszawarze. Jeśli jest, można go znaleźć w Biurze Tłumaczeń w budynku administracji. W dzielnicy angielskiej. Idź tam i porozmawiaj z nim, kiedy tylko stąd wyjdiesz. Powiedz mu, co się stało.

Stojący za nami strażnik warknął ostro. Kai puścił moją rękę i cofnął się.

- Idź tam zaraz - powiedział. - Nie trać czasu.

- Dobrze. Ale jeśli tego Davida Ingrama nie ma w Peszawarze?

Kai patrzył na mnie.

- To nie ma dla mnie nadziei.

- Pójdę do niego natychmiast. I znów tu przyjdę, w następny czwartek.

Przyniosę ci jedzenie i ubranie.

Patrzył mi prosto w oczy, potem spojrzął na nos i usta.

- Do widzenia, Pree - powiedział. - Dziękuję. Zmroziło mnie na sekundę.

Powiedział to tak samo jak

wtedy, gdy się kochaliśmy, zaledwie tydzień temu.

- Tylko ty wiesz, że tutaj jestem - powiedział po raz drugi. - Nie miałem nadziei. Ale teraz...

Skinęłam głową. Jego przyszłość zależała ode mnie, a ja uzależniałam swoją od niego.

Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz stanął przy nim mężczyzna, pochylając twarz w stronę krat. Zamknął oczy, uniósł brodę i w skupieniu dotknął ramieniem Kaia. Kai odwrócił się ode mnie, odepchnął mężczyznę łokciem i pochylił się, by podnieść jedzenie i wodę, opierając się jedną ręką o kraty, by utrzymać równowagę.

Odwróciłam się i odeszłam. Później uświadomiłam sobie, że ten mężczyzna nie próbował odebrać Kaiowi jedzenia. Oddychał głęboko, zwrócony w moją stronę w nadziei, że uchwyci mój zapach. Być może miał mu przypomnieć kobietę, którą kiedyś tulił.



Nie mogłam iść prosto do biura, o którym wspominał Kai; musiałam się zaprezentować nieznanemu panu Ingramowi w jak najlepszym świetle. Po wizycie w więzieniu byłam brudna, brzeg sukni był ubłocony i śmierdzący po kontakcie z pokrytą gnijącymi resztkami podłogą. Wróciłam do misji i szybko przebrałam się w najlepszą suknię i kapelusz. Żałowałam, że moje jedyne czyste rękawiczki są na kciuku rozdarte na szwie.

Pojechałam do dzielnicy angielskiej tongą i zgodnie z instrukcjami Kaia znalazłam budynek administracji. W środku zobaczyłam podwójne drzwi z czarnym napisem „Tłumaczenia”. Kiedy je popchnęłam, znalazłam się w recepcji z wysoką ladą. Dookoła znajdowały się inne drzwi, każde z nazwiskiem wypisanym na złotej tabliczce. Za ladą stały dwa kwadratowe biurka: przy jednym siedział młody mężczyzna, przy drugim młoda kobieta. Mężczyzna był wysoki i szczupły, z prostymi brązowymi włosami, ubrany w znoszony tweedowy garnitur. Kobieta miała na sobie nijaką szarą suknię, a jej niemodnie upięte jasnobrązowe włosy nie dodawały jej uroku. Ozdobne grzebienie przytrzymały je z tyłu tak mocno, że jej lekko wypukłe czoło wydawało się jeszcze wyższe. Oboje śmiali się z czegoś, lecz kiedy weszłam do środka, umilkli.

Podeszłam do lady.

- Dzień dobry - powiedziałam.

Mężczyzna - pan Hooper, jak wyczytałam na prostokątnej mosiężnej plakietce, która stała na jego biurku - podszedł do lady.

- W czym mogę pani pomóc? - Nie uśmiechał się już; na jego twarzy malował się chłodny wyraz, który pasował do tonu głosu.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Ingramem. Natychmiast - dodałam.

Pan Hooper spojrzał na mój kołnierz. Podniosłam rękę i wygładziłam zadarty róg; musiał się podnieść na wietrze.

Zwilżyłam językiem usta; chciało mi się pić, zarówno z gorąca, jak i z niepokoju.

- Jest pani umówiona? - zapytał.

- Umówiona? Nie.

Uniósł brwi i obejrzał się przez ramię na kobietę. Odpowiedziała mu uniesieniem brwi.

- Jaki jest powód pani wizyty? - zapytał. Spojrzałam mu prosto w twarz.

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć. W sprawie osobistej. I bardzo pilnej.

- Osobistej? - zapytał, lekko marszcząc brwi.

- Tak - odparłam głośniejszym głosem, niż było trzeba, bo przecież stał tuż przede mną. - Czy mogę z nim teraz porozmawiać?

- Proszę usiąść. - Nie zapytał, jak się nazywam, jego głos też nie brzmiał zbyt uprzejmie. - Jest w biurze, ale jest teraz zajęty. Może pani poczekać.

Usiadłam na brzeжку jednego z twardych drewnianych krzeseł, wygładziłam suknię i położyłam dłonie na kolanach, zakrywając kciukiem lewej ręki małą dziurkę na kciuku prawej. Spojrzałam na oszklone drzwi i na jednych z nich przeczytałam nazwisko pana Ingrama. Pan Hooper wrócił na miejsce, odwrócił się do mnie tyłem, a przodem do kobiety - panny Wells, jak przeczytałam.

Mówił coś do niej cicho, a ona obejrzała się i spojrzała na mnie, kwitując jego słowa kiwnięciem głowy.

- Czy pan Ingram mnie przyjmie? - zawołałam. - Jak mówiłam, sprawa jest bardzo pilna...

- Kiedy będzie wolny - odparł pan Hooper, oglądając się przez ramię, jakbym go rozgniewała.

Odwrócił się do panny Wells, mruknął coś pod nosem, a ona znów na mnie spojrzała. Coś w wyrazie jej twarzy kazało mi wstać i powiedzieć bardzo uprzejmie:

- Nazywam się Priscilla Fincastle i przyszłam zobaczyć się z panem Ingramem w sprawie życia i śmierci.

Wiedziałam, że popadam w melodramat, ale musiałam dać im do zrozumienia, że sprawa jest w istocie bardzo

ważna. I była rzeczywiście sprawą życia i śmierci. Próbowałam nie myśleć o Kaiu w śmierdzącej celi. Nigdy wcześniej nie mówiłam o sobie Priscilla, ale w tej chwili czułam, że brzmi to bardziej godnie niż Pree.

- Nie mogę tu siedzieć i czekać.

- Panna Priscilla Fincastle? - powtórzyła kobieta, a potem pochyliła się i szepnęła coś do mężczyzny. Usłyszałam słowa „kobieta ze wzgórz”. Szeptana uwaga i wyraz jej twarzy przeniosły mnie nagle do salonu pani Wyndham w Lahore, gdzie siedziałam upokorzona obok idealnej Eleanor, i wstrzymując oddech, wstydziłam się swojego i matki wyglądu. Ale w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że już o to nie dbam, bo nie jestem już tamtą Pree Fincastle. Zbyt wiele wydarzyło się w moim życiu. Nie wiedziałam, kim naprawdę jestem, ale wiedziałam na pewno, że kobiety takie jak panna Wells nie mogą już wzbudzić we mnie poczucia niższości.

I miałam o wiele poważniejsze zmartwienia niż to, co ona lub pan Hooper o mnie myślą.

Podeszłam do lady. Bałam się o Kaia i byłam zła, że jestem tak bezradna i nie mogę mu pomóc. Czułam, że krew w moich żyłach zaczyna niebezpiecznie pulsować, jakby zaraz miała wystrzelić. Choć oboje na mnie patrzyli, nie wstali ani nie odezwali się. Wygładziłam stanik sukni i weszłam za ladę. Serce zabiło mi z radości, gdy zobaczyłam, jak panna Wells prostuje się na krześle, a jej cienkie gardło ściska się, gdy przełyka ślinę.

- Nikomu nie wolno wchodzić za ladę - powiedział pan Hooper, wstając. Stał twarzą do mnie, jakby chciał zablokować przejście.

Zignorowałam go i przesunęłam się na bok, by panna Wells też mogła mnie widzieć.

- Jestem pewna, że wasz przełożony, pan Ingram, nie będzie zachwycony, kiedy wspomnę, jak zostałam potraktowana, czekając, by z nim porozmawiać - powiedziałam. - Panno Wells? - Zmusiłam się do lekkiego

uśmiechu. - Czy chce mi pani coś powiedzieć albo o coś mnie zapytać?  
Potrząsnęła głową, zaciskając niepewnie wargi.

- Nie, panno Fincastle.

- Wydawało mi się, że określiła mnie pani jako „kobietę ze wzgórz”. -  
Patrzając na nią, przekrzywiłam lekko głowę.

- Och, z pewnością źle pani usłyszała...

- Mam doskonały słuch, a pani mówiła bardzo wyraźnie. Czy chciała  
mnie pani obrazić?

Panna Wells spojrzała na pana Hoopera, który podniósł na mnie wzrok, a  
potem odchrząknął. Wziął plik papierów z biurka i stuknął nimi o blat,  
jakby chciał je wyprostować, mimo że były idealnie ułożone.

- Jestem pewny, że nie ma pani powodów do zdenerwowania, panno  
Fincastle - powiedział.

Panna Wells milczała, choć jej policzki lekko poróżniały.

- Oczywiście widujemy sporo kobiet ze wzgórz - ciągnął pan Hooper -  
które przechodzą przez przełęcz Chajber ze swoimi mężczyznami. Są  
powalające, wiele z nich ma aryjskie rysy i są pełne godności - mówił  
szybko, cały czas kiwając głową. - Całymi dniami mogą nosić duże  
ciężary, nie znają zmęczenia, a swoją postawą moralną mogą podobno  
dorównać każdemu mężczyźnie. Nie żeby... Chodzi mi o to... - urwał.  
Podczas całej jego przemowy nie przestawałam się uśmiechać.

- Mieszkam w Indiach od urodzenia. Jestem córką misjonarzy z Lahore -  
powiedziałam. - A w Peszawarze przebywam od blisko roku. Nie  
potrzebuję żadnych wyjaśnień. Doskonale znam kobiety ze wzgórz.

Panna Wells wpatrywała się we mnie, a na jej szyi pojawiły się czerwone  
plamy.

Spojrzałam na nią, unosząc lekko brwi, jakbym czekała na dalsze uwagi.

Ona jednak pochyliła głowę nad kartką papieru i natychmiast rozległo się przesadne skrzywienie stalówki.

- A teraz, panie Hooper, jeśli nie pozwoli mi się pan zobaczyć z panem Ingramem, sama wejdę do jego biura. Sprawa naprawdę jest niezwykle pilna.

Odwrociłam się, prostując plecy i podeszłam do drzwi z wypisanym na nich nazwiskiem pana Ingrama. Usłyszałam za sobą pospieszne kroki pana Hoopera i wiedziałam, że będzie próbował mnie powstrzymać, ale drzwi otworzyły się, kiedy tylko do nich podeszłam.

Zatrzymałam się i usłyszałam, że pan Hooper też się zatrzymał.

W drzwiach stał mężczyzna. Wpatrywał się we mnie bez słowa. Był po czterdziestce, wysoki i szeroki w ramionach. Oczy i brwi miał bardzo ciemne, choć włosy były nieco jaśniejsze; kasztanowate, gęste i dość długie, trochę nieporządnie opadały na kołnierz. Przy kołnierzyku brakowało mu jednej spinki. Nawet z odległości kilku kroków widać było ciemny zarost na policzkach i brodzie. Najwyraźniej spędził większość życia pod słońcem Indii; w kącikach oczu i wokół ust pojawiły się głębokie zmarszczki. Swoim wyglądem różnił się bardzo od zadbanego, choć raczej sztywnego pana Hoopera.

Jego twarz wydawała mi się dziwnie znajoma, choć nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie mogłam go spotkać w Peszawarze.

Podeszłam do niego świadoma, że pan Hooper i panna Wells bacznie mi się przyglądają.

- Panie Ingram - powiedziałam - Nazywam się Priscilla Fincastle.

Wyciągnęłam rękę. Było mi przykro, że musiałam pokazać rozdartą prawą rękawiczkę. Dziwne, że do głowy przyszła mi taka błahostka, gdy zjawiałam się tu w sprawie tak wielkiej wagi. Jednak pan Ingram zdawał się nie zauważać mojej

rękawiczki ani nawet mojej ręki. Stał dalej jak wmurowany i nie spuszczał ze mnie wzroku. Opuściłam rękę.

- Przepraszam, że przychodzę bez wcześniejszej zapowiedzi. Czy możemy wejść do pańskiego biura? Muszę z panem porozmawiać w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Odsunął się, pozwalając, bym przeszła obok niego. Kiedy znaleźliśmy się w środku, zamknął drzwi, lecz nie powiedział ani słowa; stał tylko z ręką na gałce.

Czy to był człowiek, który mógł pomóc Kaiowi?

- Proszę usiąść - powiedział w końcu uprzejmie. Usiadłam na krześle przed biurkiem. Przeszedł za biurko i również usiadł, lecz natychmiast wstał. Wydawał się zdenerwowany; odwracał wzrok, potem znów na mnie patrzył. Musiałam mu jak najszybciej opowiedzieć o Kaiu. Zmarnowałam już dość czasu, by się przebrać się, a potem długo czekałam w recepcji z panem Hooperem i panną Wells.

Pan Ingram podszedł do wąskiego stolika pod oknem, gdzie na srebrnej tacy stał ciężki kryształowy dzbanek z wodą otoczony czterema pasującymi szklankami. Trzęsły mu się ręce, dzbanek zadzwieczał o brzeg szklanki, a woda rozlała się na lśniąca powierzchnię tacy.

- Napije się pani wody? - zapytał.

Co z nim było nie tak? Miałam powody do niepokoju; od poniedziałku, gdy dowiedziałam się o Kaiu, byłam roztrzęsiona. A jaki on miał powód?

- Tak, bardzo proszę - odparłam, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

Drżącą ręką podał mi szklankę, woda lekko falowała. Nagle pomyślałam o pani Lang i jej trzęsących się rękach, gdy musiała się napić. Miałam nadzieję, że pan Ingram nie ma podobnego problemu.

Podziękowałam mu. Wypiłam kilka łyków i trzymałam szklankę w dłoniach. Pan Ingram wrócił na miejsce naprzeciwko mnie. Jego woda stała nietknięta na biurku. Obserwował mnie z nieprzeniknionym wyrazem twa-

rzy. Wydawało mi się, że niemal boi się tego, co zaraz usłyszy

- Chodzi o Kaia. Kaia da Silvę. Przysłał mnie, żeby pan mu pomógł.

Pan Ingram wstał, a z jego twarzy zniknęła część napięcia.

- O Kaia? Przyszła tu pani w sprawie Kaia? Co się stało? Jest tutaj, w Peszawarze? Wróciłem zaledwie przed kilkoma dniami. Przez ostatnie osiem miesięcy pracowałem w biurze w Kalkucie. Co się stało? - powtórzył.

- Został aresztowany - powiedziałam. Postawiłam szklanke na biurku i pochyliłam się. - Wracam właśnie z Bała Hisar. Ja... Nie wiem, dlaczego go uwięziono. Ale mówił, podobnie jak naczelnik, że... Czy to prawda? Czy mogą go powiesić bez procesu?

Pan Ingram zbladł. Nagle dostrzegłam starą bliznę biegnącą od nasady nosa pod okiem aż do kości policzkowej. Pomyślałam, że rana musiała zostać dobrze zaszyta, skoro pozostała po niej blizna cienka jak pajęczyna. Jego usta zacisnęły się w wąską linię. Nic nie powiedział.

- Mogą?

Zamrugał oczami, jakby nagle się przebudził.

- Hmm... Przepraszam. Czy co mogą?

- Powiesić go bez żadnego procesu? Powiedział, że pan może mu pomóc. Dlatego przyszłam od razu do pana. Może pan mu pomóc? - zapytałam, starając się powstrzymać rozpacz. Ale byłam zrozpaczona. A on był jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić.

- Ja... muszę się nad tym zastanowić. Jak najlepiej to załatwić. Muszę... - Przejechał włosy jedną ręką, wyraźnie zasmucony. Jego ręka zdumiała mnie. Widniało na niej sporo blizn, a na palcu wskazującym nie było paznokcia. Nie wyglądała na rękę człowieka, który zarabia na życie piórem. Opuścił rękę i spojrzał mi w oczy.

Znów ogarnęło mnie niepokojące poczucie, że gdzieś go już widziałam.

- Oczywiście. Zrobię, co tylko w mojej mocy. Co za bałagan. - Pokręcił głową. - Kai - powiedział ostro, z gniewem. - Tyle razy go ostrzegałem...
  - zawiesił głos.
  - Używa nazwiska Pavit - powiedziałam. Skinął głową, jakby już o tym wiedział.
  - Nie jestem pewna, dlaczego ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem - powiedziałam, choć oczywiście wiedziałam. A to wcale nie napawało optymizmem. Czyż ukrywanie swojej prawdziwej tożsamości nie było przyznaniem się do winy? Wstałam. - Dziękuję panu. Mieszkam w Misji *Zenana*.
  - Ach - odparł. - Oczywiście. „Oczywiście”? Czy wyglądałam jak misjonarka?
  - Może się pan tam ze mną skontaktować. Będę z niepokojem czekała na wieści od pana. Jeśli mogę coś zrobić, cokolwiek, proszę mi powiedzieć. Skinął głową.
  - Tak, tak. - Wyszedł zza biurka. - Jak długo jesteś w Peszawarze, Pr... - urwał.
- Zmrużyłam oczy.
- Prawie rok. Czy myśmy się już kiedyś spotkali? Milczał przez chwilę, a potem odwrócił wzrok.
  - Skontaktuję się z panią w misji, jeśli będę miał jakieś wiadomości.
- Znów wyciągnęłam rękę.
- Dziękuję. Musimy wydostać Kaia z tego straszego miejsca. Tym razem pan Ingram ujął moją dłoń. Opuścił na nią wzrok, a ja szybko ją wyrwałam, nie chcąc, by zauważył dziurę w rękawiczce.
  - Tak - powiedział. - Musimy.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Przez następne kilka dni pan Ingram nie odezwał się. Spodziewałam się liściku, w którym wyjawiliby mi swoje plany albo powiedział, co zrobił, by wydostać Kaia z więzienia. Ale niczego nie dostałam. Prawie nie mogłam jeść i źle spałam, martwiąc się o Kaia i wiedząc, że nie mogę go odwiedzić przed czwartkiem. Atmosfera w domu stała się jeszcze bardziej napięta. Helena nie powiedziała innym kobietom, dlaczego nie wychodzę na obchód *zenan* i choć w mojej obecności mówiły tylko o codziennych sprawach, wyczuwałam, że rozmawiają o mnie i mnie obserwują.

Po czterech dniach, nie mogąc już czekać ani chwili dłużej, wróciłam do Biura Tłumaczeń, lecz pan Hooper - tym razem trochę bardziej uprzejmy - poinformował mnie, że pana Ingrama nie ma.

Odwróciłam się, by spojrzeć na jego zamknięte drzwi.

- Nie wyjechał chyba z Peszawaru? - zapytałam, powstrzymując panikę, która ogarnęła mnie na samą myśl o takiej ewentualności.

- Nie, nie. Dziś po prostu nie ma go w biurze. Jutro na pewno zastanie go pani.

Mogłam tylko mieć nadzieję, że jego nieobecność ma coś wspólnego z Kaiem. Czy wyraz napięcia na jego twarzy, kiedy powiedziałam mu o aresztowaniu Kaia, nie był na to najlepszym dowodem? Panna Wells w ogóle nie patrzyła w moją stronę. Odwróciła krzesło tyłem do mnie i przerzucała papiery w drewnianej szafie.

- Dziękuję - powiedziałam do pana Hoopera. - Proszę

mu powiedzieć, że tu byłam i pytałam o sprawę, którą omawialiśmy.  
- Oczywiście, panno Fincastle - powiedział. Dziś wyraźnie traktował mnie z większym szacunkiem.

Nareszcie nadszedł czwartek. Nadal nie miałam żadnych wieści od pana Ingrama. Zabrałam jedzenie i czyste ubranie dla Kaia.

Szłam szybko po brudnych śmierdzących kamieniach za tym samym strażnikiem, a kiedy zjawiłam się przed celą Kaia, zobaczyłam, że leży przy ścianie, zawinięty w koc. Nie był to ten sam koc, który mu przyniosłam, lecz grubszy, w ciemne pasy. Choć był zwrócony twarzą do kraty, nie widziałam, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Bałam się zawołać go po imieniu. Nie wiedziałam, czy jego prawdziwe imię nie wpędzi go w jeszcze większe kłopoty, ale wątpiłam, by brudny, ordynarny strażnik stojący za mną i przerzucający w dłoni monety, które mu przed chwilą wręczyłam, dbał o coś więcej niż tylko o swoje pieniądze.

Jeden z więźniów spojrzał na mnie - czy był to ten, który ostatnim razem przycisnął twarz do krat? - i szturchnął Kaia stopą w nogę. Kai usiadł; przesunęłam się, by znaleźć się w zasięgu jego wzroku. Wstał i podszedł do mnie. Po drodze zachwiał się i wpadł na innego mężczyznę, który warknął coś i go odepchnął.

Kai wyglądał na jeszcze bardziej chorego, w wymizerowanej twarzy oczy lśniły gorączką.

- Czy już niedługo? Czy niedługo mnie wypuszczą? - zapytał, nie witając się ze mną.

- Tak, oczywiście - powiedziałam, podając mu, co przyniosłam. - Pan Ingram robi wszystko, co w jego mocy - dodałam, mając nadzieję, że to prawda.

Kai przycisnął jedzenie i ubranie do piersi. Drżał lekko na całym ciele i szczął zębami.

- Co zrobił? Z kim rozmawiał?

- Nie wiem. Nie jestem pewna - powiedziałam.

Nie chciałam mu mówić, że nie widziałam Ingrama i nie miałam od niego żadnych wiadomości przez cały tydzień.

- To niedobrze. Niedobrze - mruknął Kai. - Myślałem, że już... Jaki dziś jest dzień?

- Czwartek. Dzień odwiedzin.

- A tak, czwartek. - Zamrugnął ciężko oczami. - Jak długo już tu siedzę?

- Dwa tygodnie.

- Dwa tygodnie?

Wydawał się zaskoczony; nie wiedziałam, czy sądzi, że siedzi tu dłużej czy krócej. Widać było wyraźnie, że traci kontakt z rzeczywistością.

- Zjadłeś to, co ci przyniosłam? - zapytałam.

- Zjadłem?

- Jedzenie. Zjadłeś je? - Martwiłam się, że skoro był w takim stanie, ktoś mógł je zabrać.

Spojrzał na rzeczy, które przyciskał do piersi.

- Był tutaj wczoraj wieczorem. Powiedział, że ma dla mnie innego konia. Odparłem, że mam tego, którego dał mi ostatni raz. Jabłkowitzą klacz. Jest dobra i silna.

- Musisz teraz coś zjeść, Kai - powiedziałam łagodnie, zmartwiona jego stanem. - Zjedz, a potem się prześpij. - Nie było sensu, żebym zostawała.

- Znów cię odwiedzę. Znów tu przyjdę, Kai - powtórzyłam. - I wyciągniemy cię stąd. Razem z panem Ingramem. Wyciągniemy cię.

- Tak. Powiedział, że będzie dla ciebie dobry. Że się tobą zajmie - mamrotał bez sensu.

- Do widzenia, Kai - powiedziałam i wyszłam. Załam skrzyłam za róg, obejrzałam się. Kai nadal stał przy kracie i poruszał ustami w rozmowie z niewidzialną osobą.

Wróciłam do Biura Tłumaczeń. Tym razem pan Ingram był u siebie.

Wstał, kiedy pan Hooper wprowadził mnie do jego gabinetu.

- I co? - zapytałam, nie dbając o to, że zachowuję się niegrzecznie. - Co pan zrobił? Dlaczego się pan ze mną nie skontaktował? Byłam przed chwilą u Kaia. Jest bardzo chory.

- Wiem - odparł.

- Skąd pan wie?

- Widziałem go dziś rano. No tak, koc.

- Och. To wie pan, dlaczego musimy coś zrobić bardzo szybko. On... nie pożyje długo w tym stanie. Jest bardzo chory.

Ingram skinął głową.

- Uruchomiłem pewien plan, panno Fincastle - powiedział. - Nie mogę o tym mówić, dopóki nie zyskam przekonania...

- Ale ja mogę pomóc - powiedziałam szybko. - Powiem, że był ze mną tamtej nocy lub w czasie, kiedy popełniono zbrodnię. Złożę oświadczenie, cokolwiek, przysięgnę, że Kai był ze mną i że nie mógł...

- To nie będzie konieczne - powiedział Ingram. - I na nic się nie zda.

Patrzyliśmy na siebie przez biurko, nadal stojąc. Jego ton i sposób, w jaki na mnie patrzył, nagle mnie zawstydziły. Uświadomiłam sobie, że moja głupia propozycja rzeczywiście nie ma sensu. Który z mężczyzn u władzy potraktowałby mnie poważnie albo uwierzył w moją historię?

Spojrzałam na Ingrama.

- O co on jest oskarżony? Powinnam to wiedzieć.

Pan Ingram usiadł ciężko, nie czekając, bym zrobiła to pierwsza.

- Panno Fincastle. Naprawdę robię wszystko, co w mojej mocy. Proszę mi uwierzyć. Bardzo zależy mi na Kaiu i nie chcę, by stała mu się

jakakolwiek krzywda. - Westchnął. - Nie muszę chyba niczego ukrywać.

Nie przed panią.

Usiadłam.

- Wiem, że Kai jest pani bardzo bliski - powiedział. - Od

dawna już zaczął wpadać w niemale... miałem powiedzieć tarapaty, ale jego czyny były o wiele bardziej poważne. -Wziął do ręki mały globus, który leżał na szklanej podstawce na biurku. Obracając go w dłoniach, powiedział: - Kai od dawna walczy przeciwko Brytyjczykom.

Wiedziałam o tym.

- Zaangażowała się w to grupa młodych Hindusów, którzy jeżdżą po całym Pendżabie, rozprowadzają literaturę wywrotową i przekazują wiadomości tym, których uważają za swoich zwierzchników w grupie. Skinęłam głową.

Pan Ingram delikatnie odłożył globus na podstawkę i potrząsnął głową.

- Jest za młody, by pamiętać zniszczenia i chaos buntu sipajów... ale zawsze znajdą się młodzi ludzie, którzy... -Znów pokręcił głową. - Jego postępowanie niewiele zmieni, panno Fincastle. Działalność, którą Kai prowadzi od kilku lat, nie przyniesie żadnych efektów. Brytyjczycy rządzą w Pendżabie. Nie ma prawdziwej hinduskiej władzy, która mogłaby te rządy przejąć. A jednak w każdym kraju zawsze znajdzie się grupa młodych zapaleńców, którzy są wściekli i pragną zmienić coś, czego zmienić się nie da. I nie chcą przyjąć tego do wiadomości.

- Ale on nikogo nie skrzywdził? - zapytałam. To martwiło mnie najbardziej: że Kai został zaaresztowany za przemoc.

Pan Ingram znów spojrzał na globus.

- W zeszłym roku łączono go z ładunkami wybuchowymi, które podłożono na torach na przedmieściach Delhi. Miała przyjechać z południa grupa bardzo ważnych brytyjskich przedstawicieli rządowych. Nigdy nie udowodniono, że Kai był bezpośrednio w to zaangażowany, ale razem z paroma innymi siedział tam w więzieniu przez kilka miesięcy. Odczekałam chwilę, zanim się odezwałam.

- Ale niczego mu nie udowodniono.

Pan Ingram tylko na mnie spojrzał i z wyrazu jego twarzy wyczytałam, że Kai nie był niewinny.

- Na szczęście ładunki odkryto, zanim nadjechał pociąg - powiedział. - Gdyby plan się powiódł, wiele osób zostałoby zabitych lub rannych. Ale teraz widzę, że nic Kaia nie powstrzyma. Od dawna próbuję go przekonać, że może zrobić o wiele więcej dla kraju, jeśli skieruje swoją energię na bardziej wartościowe projekty, które pomogą tubylcom, \* a nie będą ich niszczyć w walce przeciwko Anglikom.

- Ale Kai jest półkrwi Anglikiem! Jego ojciec był Anglikiem - powiedziałam głośno, pochylając się w stronę pana Ingrama. Musi wiedzieć, że Kai jest Euroazjata. Choć podawał się za tubylca. Co za ironia: jego matka przez całe życie odcinała się od swoich hinduskich korzeni i chciała uchodzić za Angielkę, a jej syn postępował dokładnie odwrotnie. - Jego ojciec był Anglikiem - powtórzyłam ciszej.

Pan Ingram skinął głową.

- Wiem. I przypuszczam, że to jest właśnie powodem, dla którego Kaia przepełnia pragnienie zemsty.

Oparłam się o krzesło.

- Kiedy ostatni raz wyjeżdżał z misji, powiedział mi, że będzie pracował jako tłumacz w Madrasie.

Pan Ingram milczał.

- Nie pojechał tam? - W tej chwili wiedziałam już, że Kai mnie okłamał. Wróciłam myślami do różnych znaków na mapie w jego chacie tak dawno temu. Tajna działalność na tyłach sklepu z sandałami w Lahore, drukowanie ulotek pełnych nienawiści i wezwań do powstania przeciwko białym, którzy ciemiężą tubylców.

- A tym razem... - urwał. - Czy słyszała pani o niedawnych morderstwach, panno Fincastle? Brytyjskich dyplomatów?

Zamknęłam oczy. Jeśli Kai był w to zaangażowany, na pewno tylko wydawał rozkazy. Nie mógł sam wykonać...

- Udało mi się przekonać władze, by za moim poręczeniem uwolniły go za pierwszym razem, gdy aresztowano go

tutaj, w Peszawarze - powiedział i otworzyłam oczy - Na szczęście jego ostatnie próby spełzły na niczym. Wpatrywałam się w jego twarz.

- Znam wielu ludzi w Peszawarze i pracowałam tu w różnych miejscach. Ale on mnie zawiódł. Dałam słowo, że nie będzie już sprawiał kłopotów. Zapadła cisza. Przez chwilę wpatrywałam się w moje dłonie na kolanach.

- Cokolwiek on zrobił... - powiedziałam, wstając. - Nie może pan pozwolić, żeby go powiesili. Nie może pan.

Podniósł się z krzesła.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Wszystko. I skontaktuję się z panią, jeśli tylko czegoś się dowiem. Daję pani moje słowo - powiedział.

- Dziękuję panu. - Zaczęłam się zbierać do wyjścia, gdy zapytał niespodziewanie: - Lubi pani pracę w *zenanach*? Jest tam pani szczęśliwa?

- Słucham?

- Kobiety z misji robią dużo dobrego.

- Tak - odparłam i podeszłam do drzwi.

Uświadomiłam sobie, że nigdy nie spytałam pana Ingrama, skąd zna Kaia, i odwróciłam się z pytaniem na ustach. On jednak szedł za mną tak blisko, że niemal na mnie wpadł, gdy się zatrzymałam. Cofnął się natychmiast i znów ogarnął mnie trudny do określenia niepokój.

- Jest pan pewny, że nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy? - zapytałam. Cofnął się jeszcze bardziej. Zmarszczył brwi, a potem je uniósł, jakby spierał się ze sobą.

- No cóż. Nie w takim jiejscu jak dzisiaj - powiedział.

- Co pan ma na myśli?

- Byłem w innym stroju - powiedział. Przyjrzałam mu się jeszcze uważniej. Jego wzrost, wyprostowane ramiona, ciemne oczy.

- Znam panią z misji. Misji na przedmieściach Lahore.

Jego odpowiedź była tak nieoczekiwana, że ogarnęła mnie fala przerażenia. Serce zabiło mi mocniej.

- Z misji? - Przełknęłam ślinę. - Czy był pan... kiedyś w wojsku? - Próbowałam oddychać spokojnie. Czy był jednym z gości Glory? Pokręcił głową.

- Nie.

- Czy zna pan Glory da Silva, matkę Kaia... w jakikolwiek sposób? Znów pokręcił głową, a ja odetchnęłam spokojnie.

- Och. Znał pan moich rodziców? Wielebnego i panią Fincastle? - Nawet zadając to pytanie, wiedziałam, że pamiętałabym, gdyby kiedykolwiek nas odwiedził. Ale może mieszkał w Lahore...

Pokręcił głową.

- Chodzi o Kaia. Znam go od czasu, kiedy miał dwanaście lat.

Przyglądałam mu się uważnie, ale zanim cokolwiek zrozumiałam, powiedział:

- Czasami tam zaglądałem. Na złocistym arabie. Otworzyłam usta.

- Ale... - Nie chciałam powiedzieć: Ale tamten mężczyzna był Af-  
gańczykiem. Stojący przede mną mężczyzna był Anglikiem, nawet jeśli dość nieokrzęsany. Choć miał dziwne oczy, słyhać było wyraźnie, że jego ojczystym językiem był angielski. Mówił z głębokim akcentem, który jak wiedziałam, porównując jego głos z gośćmi w salonie pani Wyndham, był efektem starannego wychowania. Af-gańczyk - mój Afgańczyk - mówił w urdu. A jednak... jego oczy. Były tak samo inteligentne. I tak samo smutne.

- Ostatni raz byłem tam przed paroma laty - powiedział. .

- Trzy lata temu - odparłam, kiwając głową. Adriana była malutka. - Przepraszam, nie poznałam pana. Ale... nie rozumiem. Dlaczego... Wszystko było zbyt pogmatwane.



- Wygląda pani tak samo - rzekł, nie spuszczać zimnie wzroku.

- Kiedyś... zastanawiałam się, zanim dowiedziałam się o... pewnych wydarzeniach... czy jest pan ojcem Kaia, choć on zapewniał mnie, że tak nie jest - powiedziałam.

- Mówił prawdę.

- Tak. Teraz już wiem.

- Jestem Euroazjatą. - Nie wiem, dlaczego sądził, że musi mi to wyznać. Czy zrozumiał wcześniejszy wyraz zakłopotania na mojej twarzy? - Anglikiem i Afgańczykiem z plemienia Pasztunów. Urodziłem się tutaj, w Indiach, ale uczyłem się w Anglii.

Nadal patrzył na mnie, jakby czekał, żebym coś powiedziała.

Skinęłam głową.

- Rozumiem. Ale jest pan chrześcijaninem? - Niewiele mnie to obchodziło; zapytałam tylko dlatego, że czułam się nieswojo. Nie mieliśmy zbyt wielu wspólnych tematów, ale wyglądało na to, że on chce ze mną dłużej rozmawiać.

- Nie wierzę w żadną religię. Chociaż moja... - zawiesił głos. - Perski poeta Rumi napisał, że są setki sposobów, by uklęknąć i ucałować ziemię.

Skinęłam głową.

- Mam nadzieję, że to pani nie szokuje jako córki misjonarzy i misjonarki. Fakt, że nie wyznaję jednej oficjalnej religii.

- To nie moja sprawa, w co pan chce albo nie chce wierzyć - odparłam i znów ruszyłam w stronę drzwi. Nie była to moja sprawa i wcale mnie to nie interesowało. Ale odwróciłam się raz jeszcze. - Przepraszam. Ale nie mogę się już dłużej powstrzymać. Kim jest pan dla Kaia? Dlaczego zawsze się pan nim interesował?

Przesunął wierzchem dłoni po górnej wardze; spocił się. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy mogę mu ufać. Dlaczego Kai wierzył, że pan Ingram mu pomoże.

- Jak już mówiłem, znam go od dawna. Od czasu, gdy był małym chłopcem.

Pomyślałam o mężczyźnie w przebraniu Afgańczyka na Grand Trunk Road lub za płotem w misji, kiedy rozmawiał z Kaiem i pozwolił mi usiąść na swoim koniu.

- Ale nie znał pan jego matki? - zapytałam ponownie.

- Nie - odparł i cofnął się, siadając na krześle, które przed chwilą zajmowałam. Jego ruch był gwałtowny, ciężki, jakby nagle ogarnęła go słabość i nie mógł dłużej stać. Przez jedną straszną chwilę przypominałam sobie ojca i jego ataki.

Zasłonił oczy ręką.

- Jest pan chory? Czy mam kogoś sprowadzić? Pana Hoopera?

- Nie. Najlepiej będzie, jeśli wyjdiesz, Pree - powiedział, a ja przyglądałam się jego zakrytej twarzy. Bezwiednie nazwał mnie Pree. Stałam jeszcze przez chwilę, a potem wyszłam, jak prosił.

Zaniepokoiło mnie, że pan Ingram to Afgańczyk z Grand Trunk Road. Ale wracając tongą do misji, nie mogłam przestać myśleć o Kaiu: o jego rozpalonej twarzy, przerażającej chudości, dziwnej rozmowie jak w delirium. Jeśli gorączka szybko minie, to...

Byłam w domu zaledwie od godziny, kiedy jedna z kobiet przyniosła mi wiadomość, którą dostarczono do drzwi. Przysłał ją pan Ingram.

„Muszę koniecznie z panią porozmawiać - napisał. -Proszę przyjść do mnie do domu dziś wieczorem" - dodał jedynie. Wiadomość zawierała jeszcze podpis i wskazówki, jak dotrzeć do jego domu.

Nie podobało mi się to. Żeby mężczyzna wzywał kobietę do swojego domu o jakiegokolwiek porze dnia, nie wspominając już o wieczorze?!

Uświadomiłam sobie, jak niewiele

o nim wiem. Czy jest żonaty? Ma dzieci? Był dziwny i nie czułam się przy nim bezpiecznie.

Wyglądając kartkę, pomyślałam, że jego prośba jest dowodem braku szacunku. Ale na pewno chciał porozmawiać o Kaiu, być może o tym, jak mogę mu pomóc. I z tego powodu rozumiałam potrzebę prywatności i tajemnicy.

- Heleno - powiedziałam, gdy przyszłam do niej, trzymając w ręce wiadomość. - Chodzi o pomoc dla mojego przyjaciela. Muszę wyjść dziś wieczorem.

- Wieczorem? Wiesz, że to niedozwolone...

- Może Aimée mogłaby ze mną pójść?

Byłam pewna, że kobiety już patrzą na mnie podejrzanie. Ale nie Aimée. Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że martwi się z powodu mojego zdenerwowania; zwierzyłam się jej, że bez mojej pomocy przyjaciel, którego poznała, może Umrzeć. Skinęła głową i co wieczór modliła się głośno za mnie i za Kaia, choć nigdy nie wypowiadała jego imienia.

- Jeśli Aimée będzie mi towarzyszyć, przekonasz się, że moja wizyta jest zupełnie niewinna. Jeśli nie pójdę, może się to źle skończyć dla mojego przyjaciela...

Pokręciła głową, jakby zrozpaczona moją prośbą, lecz powiedziała:

- Poproś więc Aimée. Udzielam pozwolenia wam obu. Ale musicie wziąć tongę. Nie możecie chodzić po mieście w ciemnościach. I musicie wrócić najpóźniej za dwie godziny. Musicie. Rozumiesz, Pree? - Potarła dłonią skroń. - Zakłóciłaś spokój tego domu.

- Wiem. Wiem, Heleno. Ale dziękuję ci.

- Jeśli Aimée nie będzie chciała z tobą pójść, ty też nie pójdziesz.

- Wiem - powiedziałam i pobiegłam poszukać Aimée. Nie miałam wątpliwości, że nie odmówi.

Wysłałam wiadomość do pana Ingrama, że będę o siódmej.

Dom pana Ingrama nie stał w angielskiej dzielnicy, jak myślałam. Ale on był przecież Euroazjata. Musiałam sobie stale o tym przypominać: ubierał się jak Anglik, a słuchając jego głosu, nie podejrzewało się, że w jego żyłach płynie afgańska krew.

Mieszkał na obrzeżach angielskiej dzielnicy w małym, ładnym bungalowu z szeroką, przyjemną werandą, na której stały dwa wiklinowe bujane fotele z miękkimi poduszkami. W ogrodzie przed domem rosło kilka bujnych drzew *doda* - mydlanych, jak nazywali je Anglicy. Poczulałam ich mocny, lecz kojący zapach, kiedy tylko tonga zatrzymała się przed domem. Pan Ingram czekał na werandzie. Ubrany był inaczej niż podczas dwóch naszych spotkań: tym razem miał na sobie strój hinduski: białe bawełniane spodnie, długą białą koszulę i plecione sandały. Kiedy wysiadłyśmy z Aimée z tongi, stanął na najwyższym stopniu schodów. Spodziewałam się, że powita nas służący, który wprowadzi nas do środka. Euroazjaci tacy jak pan Ingram z pewnością wiedli bardziej angielski styl życia.

- Dziękuję, że pani przyszła - powiedział, patrząc na Aimée.

- To jest panna Aimée. Zostanie ze mną - powiedziałam zdecydowanym tonem. - Aimée, przedstawiam ci pana Ingrama.

Uczynił gest *namaste*.

- Miło mi panią poznać, panno Aimée.

- Dobry wieczór, panie Ingram - powiedziała.

- Wiem, panno Fincastle, że to nie w porządku prosić panią, by przyjechała pani do mnie do domu. Ale muszę z panią porozmawiać, a nie mogłem tego zrobić w biurze. Nie w biurze - powtórzył. - I byłem pewny, że mężczyźni nie mają wstępu do Misji *Zenona*. Proszę wejść, proszę - powiedział i razem z Aimée weszłyśmy za nim do wygodnego salonu.

- Co się stało? Czy z Kaiem wszystko w porządku? - zapytałam, stając na środku pokoju.

Pan Ingram znów spojrzał na Aimée, potem na mnie.

- Nie mam żadnych nowych wieści o Kaiu. Proszę, siadajcie. Panno Fincastle, panno Aimée.

Przynajmniej znów nazywał mnie panną Fincastle, a nie Pree, jak zrobił to w biurze.

Jeśli nie miał żadnych wiadomości o Kaiu, dlaczego nalegał na spotkanie? Być może chciał mi opowiedzieć o łączących ich relacjach, co mogło mieć jakieś znaczenie. Powoli opadłam na klubowy fotel. Aimée usiadła na drugim obok mnie, a pan Ingram zajął miejsce na skórzanej kanapie naprzeciwko nas. W pokoju robiło się coraz ciemniej. Poczulałam zapach gotowanej koźliny i szafranu. Gdzie byli jego służący?

Dżentelmen taki jak pan Ingram na pewno ma służbę.

Nagle, nawet mając Aimée u boku, nie chciałam siedzieć w zapadających ciemnościach z tym mężczyzną, który choć nie był całkiem obcy - czyż nie znałam go przez całe moje dotychczasowe życie? - był teraz kimś innym. Wiedziałam o nim na pewno tylko to, że znał Kaia. Wokół panowała cisza i choć dom był urządzony ze smakiem w angielskim i hinduskim stylu, nie było nigdzie widać śladu kobiety: żadnych wazonów z kwiatami, krosien z na wpół ukończonym kilimem ani koszyczka z robótką, żadnych kobiecych akcentów.

- Czy jest pan żonaty?

- Nie. Moja... zmarła. Jakiś czas temu.

- Powiedział pan, że jest Anglikiem i Afgańczykiem.

- Tak.

- Czy pańska matka mieszka z panem? Zakładałam, że afgańscy synowie tak samo jak hinduscy opiekują się matkami.

- Nie. Mieszka w Anglii.

- Och - powiedziałam zaskoczona. - Pojechała tam z pańskim ojcem?

- Nie, nie - pokręcił przecząco głową. - Tam jest jej dom. Jest Angielką. Kątem oka widziałam, jak Aimée patrzy to na mnie, to na niego, śledząc naszą rozmowę.

- Pańska matka jest Angielką? To w takim razie pański ojciec jest Afgańczykiem?

Skinął głową.

- Trudno to uznać za zwyczajną historię. Przyglądałam mu się uważnie. Wydało mi się to dziwne.

Nigdy nie słyszałam o związku Angielki z tubylcem. Zawsze było na odwrót.

- Ale też moja matka nie była zwyczajną kobietą - dodał.

- A pański ojciec mieszka... tam? Czy tutaj?

- Nigdy go nie znałem. Ale z tego, co wspominała mi matka, wiem, że został w Afganistanie.

- Rozumiem. - Milczenie przeciągało się. - Nie ma pan dzieci?

Czułam się dziwnie, zadając te wszystkie osobiste pytania, zwłaszcza że on nie wyglądał na to, by był gotowy, żeby porozmawiać o powodach, dla których poprosił mnie o wizytę. Być może czuł się nieswojo z powodu obecności Aimée.

- Mieszkam tutaj sam - powiedział. - Choć obecnie na kilka dni przyjechał do mnie przyjaciel; jest w drodze z Dżalalabadu w Afganistanie na południe.

Nie interesowało mnie życie pana Ingrama, ale otaczała go dziwna aura. Nadal nie byłam pewna, czy mogę mu ufać. W domu panowała cisza; jeśli byli tu jacyś służący, na pewno już bym ich zobaczyła albo usłyszała.

Czy Aimée myślała to samo co ja? Coś było nie tak. Siedziałyśmy z nim same w zapadających ciemnościach.

Słyszałam bicie swojego serca; z pewnością stanik mojej sukni drżał z każdym jego uderzeniem. Spojrzałam na Aimée. Nadal wpatrywała się w twarz pana Ingrama z lekko otwartymi ustami.

Ja oddychałam z trudem.

Instynkt podpowiadał mi, by wyjść. A jednak nie zrobiłam tego.

Miałam pewność, że pan Ingram przygotowuje się, by coś mi powiedzieć.

Coś, co jego zdaniem, powinnam wiedzieć. A we mnie wzrastał niepokój.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

- Czy mógłby pan zapalić lampę? - zapytałam głosem trochę wyższym niż zazwyczaj.

Pan Ingram natychmiast wstał i zapalił lampę na stole, drugą na biblioteczce, trzecią na biurku, a kiedy mroczne kąty pokoju zalało światło, poczułam się swobodniej. Spojrzałam na książki na półce za mną były zarówno w języku urdu, jak i angielskim. Przeczytałam tytuły stojących najbliżej: *Wybór poezji afgańskiej od szesnastego do dziewiętnastego wieku*. Obok niej stała *Gulistan-i-Roh: Afgańska poezja i proza*.

- Lubi pani poezję, panno Fincastle? Z radością pożyczę pani moje książki; są...

- Dziękuję panu - odparłam trochę speszona, że zauważył moje zainteresowanie tytułami. - Nie mogę tu zostać zbyt długo. O czym chciał pan ze mną porozmawiać?

- Czy mogę zaproponować paniom coś do picia? - Nieświadomym gestem pocierał dłonie o siebie.

- Nie - odparłam za Aimée i siebie. - Proszę tylko powiedzieć, co ma mi pan do powiedzenia.

- Czy ja mogę się czegoś napić?

- Oczywiście.

Starłam się powstrzymać irytację. Chciałam, żeby w końcu wyjawiał, po co mnie tu ściągnął, a co wprawiało go wyraźnie w zakłopotanie. Czego się dowiem o Kaiu?

Nalał sobie drinka z butelki stojącej na stoliku przy ścianie i wrócił na miejsce.

- Chciałem tylko porozmawiać z panią o... - urwał. Słyszałam oddech Aimée.



Pan Ingram wypił łyk drinka i otulał dłońmi szklanekę, jakby to ona utrzymywała go na krześle.

- Pani życie w misji z wielebnym i panią Fincastle - zaczął. - Z pani rodzicami. Czy... dawało pani satysfakcję?

Dlaczego pyta o moją przeszłość?

- Moja praca w infirmerii bardzo mi odpowiadała. Zajmowałam się opieką medyczną, podobnie jak tutaj.

- Tak, tak - odparł.

Nagle pożałowałam, że odmówiłam, gdy zaproponował mi coś do picia. Dziwnie było tak siedzieć.

- Być może, proszę pana - spojrzałam na Aimée - mogłybyśmy się napić czegoś chłodnego.

Aimée skinęła głową.

Zerwał się, jakby poczuł wielką ulgę.

- Mam sherry albo...

- Żadnego alkoholu. Wystarczy woda...

- Sok? Sok z limetki? - Wydawał się taki przejęty.

- Bardzo proszę - powiedziała Aimée, a ja skinęłam głową.

Napełnił dwie małe szklaneczki na nóżkach i przyniósł je nam na tacy.

Podobnie jak pierwszego dnia w biurze drżały mu ręce.

- Dziękuję - powiedziałam, biorąc szklanekę. - Panie Ingram, o czym chciał pan ze mną porozmawiać? Na pewno nie o moim dawnym życiu.

- To dość delikatna sprawa.

Nie patrzył na Aimée, ale wiedziałam, że robi aluzję do jej obecności.

- Aimée jest moją dobrą przyjaciółką. Wie o Kaiu. Może pan przy niej mówić o wszystkim.

- Tu nie chodzi o Kaia. Raczej o misję w Lahore i czasy, gdy pani tam dorastała.

Zmarszczyłam brwi.

- Dlaczego to pana obchodzi?

W tej chwili obok salonu przeszedł mężczyzna, który wszedł przez frontowe drzwi. Wszyscy spojrzeliśmy na

niego, choć on nie odwrócił głowy. Widać było, że jest Pasztunem.

- To przyjaciel, o którym wspominałem. Jest dość skryty - powiedział pan Ingram.

Teraz byliśmy z Aimée same w domu z dwoma mężczyznami.

- Ale rozmawialiśmy o pani rodzicach - powiedział.

- Czyżby?

- Nadal mieszkają w misji? Chwyciłam szklaneczkę za nóżkę.

- Nie. Oboje odeszli do Pana. Prawie dwa lata temu. Uniósł brwi.

- Rozumiem. Bardzo mi przykro. Czekałam.

- Proszę pana, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytałam w końcu.

- Wyjaśnię, panno Fincastle. Próbuję tylko zrobić to w odpowiedni sposób. Byli... dobrymi i kochającymi rodzicami?

Zmarszczyłam brwi.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale nie rozumiem, dlaczego pan się tym interesuje.

Wychylił zawartość szklanki.

- Nie przypominam sobie, żeby w misji były jakieś sieroty, kiedy tam przyjeżdżałem, żeby odwiedzić Kaia.

Znów zmarszczyłam brwi.

- Nie. Nie było żadnych sierot.

- Dlaczego, panno Fincastle? Każda inna znana mi misja przyjmowała sieroty. Przybliżała je do Jezusa, jeśli można to tak ująć, uczyła ich angielskiego i zapewniała pobieżną edukację.

Moja twarz była pozbawiona wyrazu. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Przyjechałam tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o Kaiu, a nie odpowiadać na pytania dotyczące mojego życia.

Zwłaszcza nie na takie pytania. Nagle poczułam się nieswojo.

- Nie mam pewności. Ale nasza misja była misją medyczną i podejrzewam, że rodzice nie mieli czasu, by opiekować się sierotami i je uczyć. - Wiedziałam, że w moim głosie słyhać zniecierpliwienie. - Ich praca dla Pana polegała na leczeniu. Ale... panie Ingram, naprawdę, nie rozumiem celu tej rozmowy. I przykro mi, ale nie możemy tu długo zostać.

Przyłożył szklanę do ust, a potem odsunął ją zaskoczony, że jest pusta.

- Potwierdzam tylko pewne fakty Nie było więc żadnych sierot? Ani znajd? - Wpatrywał się we mnie, wypowiadając z naciskiem ostatnie słowo.

Na moją suknię spadła jasnozielona kropla. Postawiłam szklanę na stole i wstałam.

- Jeśli nie ma pan dla mnie żadnych informacji o Kaiu, nie ma powodu, byśmy pozostawały tu dłużej. Chodź, Aimée - powiedziałam, a ona posłusznie wstała.

- Nie. Proszę poczekać! - Pan Ingram zerwał się z miejsca. Wyglądał tak... bezradnie. Stojąc przede mną, wydawał się zdesperowany, więc usiadłam.

Aimée poszła w moje ślady.

- Czy mogę opowiedzieć pani moją historię? - zapytał. -Proszę. To ważne. Spojrzałam na Aimée.

- Czy ma to związek z Kaiem?

- Proszę - powtórzył Ingram. - Czy może pani posłuchać przez krótką chwilę?

Aimée nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Dobrze - odparłam. - Ale za godzinę musimy wrócić do misji.

- Dwa lata po zakończeniu powstania w 1860 roku - zaczął natychmiast pan Ingram, siadając - były najgorszym okresem w moim życiu.

Patrząc na jego twarz, zastanawiałam się, jakie wspomnienia dręczą go tak straszliwie, nawet teraz. Co takiego widział? Albo zrobił?

Przypomniałam sobie starą, prze-

rażającą opowieść matki o Cawnpore. W białym ubraniu z delikatnej bawełny, z włosami podwijającymi się na kołnierzu pan Ingram wyglądał na dżentelmena i był dość atrakcyjny jak na starszego mężczyznę. Ale kiedy myślałam o dawnych czasach, kiedy na grzbiecie konia przyjeżdżał do misji w turbanie, prostym ubraniu i butach do konnej jazdy, mając skórę spaloną słońcem i wiatrem, zastanawiałam się, czy odegrał jakąś rolę w powstaniu sipajów, tym okropnym wydarzeniu określanym przez Europejczyków jako „Diabelski wiatr” i jako „Głupota” przez tubylców? Mówił o nim po prostu jako o powstaniu. Czy na jego twarzy malował się smutek, czy poczucie winy?

- Mieszkałem w Indiach, lecz po powstaniu pojechałem do Afganistanu, w góry, i przez jakiś czas żyłem zupełnie sam. Stałem się... Nie wiem, jak opisać to, czym się stałem. Być może „niecywilizowany” jest tu najlepszym słowem. Rozpacz potrafi zrobić z człowiekiem coś takiego - powiedział.

Patrzyłam na jego posępną twarz.

- Wiem - wykrztusiłam, myśląc o matce i o tym, do czego doprowadziła ją rozpacz wspomagana przez ka-lomel. - Wiem - powtórzyłam. - Po czym... po kim pan rozpaczał?

- Po kobiecie, którą kochałem - odparł, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Umarła krótko przed końcem powstania. - Zanim zdążyłam cokolwiek wydusić, wstał i odstawił szklankę. -1 po naszej małej córeczce. Miała tylko dwa lata. Myślałem, że ona też umarła.

- Myślał pan, że umarła? - powtórzyłam jak echo, patrząc na niego przez pokój. Coś poruszyło się we mnie; coś, co uderzało powoli, lecz mocno. Tym razem nie było to serce, lecz coś, czego nie potrafiłam nazwać.

- Tak. Utrata ich obu była nie do zniesienia. Po dwóch latach samotnego życia, pełnego rozgoryczenia i smutku, wróciłem do Indii. A potem zupełnie przypadkiem spotkałem kogoś, kto twierdził, że widział naszą dawną *aję*.

Skinęłam głową.

- Zawsze uważałem, że zginęła razem z naszą córką. -Zawahał się. - To była moja wina. Moja rodzina zginęła przeze mnie.

- Dlaczego się pan obwinia?

- Zostawiłem je w Gwalior, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Pojechałem na południe do Jhansi oddalonego niecałe dwieście kilometrów, gdyż wezwano mnie z brytyjskiego konsulatu. Wtedy dla nich pracowałem. Dlaczego pojechałem? Od tamtej pory zadaję sobie to pytanie codziennie. Jak mogłem zostawić rodzinę bez obrony w tak niespokojnych dla kraju czasach? - Zacisnął dłonie w pięści. - Ale wszystkie główne walki ustały przed kilkoma miesiącami. Nie było już żadnych potyczek i nie było też ostrzeżenia o ataku na Gwalior. Wierzyłem, że moja rodzina będzie bezpieczna. Wierzyłem - powtórzył cicho, a jednak z goryczą. - To była ostatnia bitwa i ostatni powstańcy, którzy potem się poddali. Ósmego lipca oficjalnie ogłoszono pokój. Ale dla mnie był to początek czasu, w którym już nigdy spokoju nie zaznałem.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Kiedy dotarła do mnie wiadomość o ataku na Gwalior - powiedział - wróciłem, jak najszybciej mogłem. Darya nie została ranna.

- Darya to pańska córka? Pokręcił głową.

- Nie. Darya była jej matką.

- Pańską żoną - oświadczyłam. Przez chwilę milczał.

- Nie mieszkaliśmy w angielskiej dzielnicy, lecz w części miasta zajmowanej przez Euroazjatów. Ta część nie została zaatakowana.

- Pańska żona też była Euroazjatką? - zapytałam. Jego twarz rozjaśniła się, prawie się uśmiechnął.

- Nie. Była Afganką, Tadżyjką. - Na jego twarzy znów pojawił się smutek. - Ale nasza córka... *aja* zabrała ją do

innego domu, do domu naszych angielskich przyjaciół, żeby pobawiła się z dziećmi. A kiedy nastąpił atak... -urwał.

Spojrzałam na Aimée. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- Co się stało? - zapytałam cicho. Odpowiedział dopiero po długiej chwili.

- Nigdy się nie dowiedzieliśmy. *Aja* nie wróciła. Nie wróciła do Daryi, do naszego domu - powtórzył. - Po wycofaniu się sipajów, których odparli angielscy żołnierze, znów można było wyjść na ulice. Darya popędziła do domu, do którego *aja* zabrała naszą córkę. Wszyscy przebywający tam Anglicy zostali zabici, ich ciała nadal tam leżały. Nie było jednak *ai* ani naszego dziecka. Zrozpaczona Darya szukała wszędzie, pytała wszystkich, którzy pozostali przy życiu. Kiedy ja wracałem dniem i nocą do Gwalior, nadal nie było ani śladu ani *ai*, ani naszej córki.

- Ale... ona przeżyła? - Czyż nie powiedział, że tylko sądził, że zginęła? Odwrócił się ode mnie.

- W końcu ktoś powiedział, że na pewno widział, jak wrzucano ciało naszej *ai* na wóz razem z innymi tubylcami, którzy stali się przypadkowymi ofiarami ataku, by zawieźć je na miejsce kremacji. Uwierzyłem wtedy, że moja córka zginęła razem z nią i jej ciało też zostało skremowane. Nie mogłem myśleć inaczej. Dookoła panował totalny chaos; jeśli ktoś nie przeżył tak straszliwych wydarzeń, nigdy nie będzie w stanie wyobrazić sobie, co się wtedy działo. Opłakiwaliśmy utratę naszej córki. Kilka tygodni później Darya zachorowała na zapalenie oskrzeli i nie potrafiła go zwalczyć. Nie chciała żyć, ponieważ... - urwał.

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki i brzęk talerza. Pan Ingram znów odwrócił się w moją stronę.

- Nie mogłem stawić czoła temu, co się wydarzyło, ani spojrzeć sobie w twarz. Byłem za to odpowiedzialny - powtórzył. - Gdybym z nimi został, być może... - Potrząsnął

głową. - Wtedy właśnie wyjechałem z Gwalior i z Indii i żyłem samotnie w górach daleko od Kabulu.

Stał teraz obok lampy na stole; kiedy w pokoju panował coraz większy mrok, jego twarz była oświetlona, oczy lśniły.

- Po dwóch latach takiego życia, nękany wyrzutami sumienia, wróciłem do Gwalior. Darya jest tam pochowana, była muzułmanką. Odwiedziłem starych przyjaciół, którzy przeżyli atak na miasto. Zupełnie przypadkiem jedna z nia-niek ich dzieci powiedziała, że widziała kobietę, która była naszą *ają*. *Żywą*. Została kaleką, ale przeżyła. Odnalazłem ją. Kuła przeszła jej kręgosłup i od tamtej pory była przykuta do łóżka; nie mogła chodzić, a nawet usiąść, tylko trochę poruszała rękami. Opiekowała się nią synowa. Kiedy mnie zobaczyła, jej twarz rozjaśniła się. Zapytała o Daryę i naszą córeczkę. Ona o niczym nie wiedziała... Błagałem ją, by opowiedziała mi wszystko, co pamięta. To było dla niej bardzo przykre. Aimée wzięła głęboki oddech.

- Mówiła mi, że kiedy poczuła ostry ból w plecach, upadła, nadal trzymając dziecko. „Trzymałam ją, sahibie Ingram. Trzymałam ją mocno. Nigdy jej nie puściłam”, powtarzała w kółko. Była dobrą, wierną kobietą. Nie pamiętała wiele więcej. Kiedy wreszcie znów mogła mówić, zapytała o dziecko, nikt nie miał pojęcia, co się stało. W końcu powiedziano jej, że nie ma nas już w Gwalior, i myślała, że odzyskaliśmy dziecko.

- Więc pańska córka nie została zabita?

- Nadal nie wiem. „Nie została ranna, sahibie”, powtarzała *aja*.

„Trzymałam ją, nie była ranna”. Tylko tyle mogła mi powiedzieć, budząc we mnie nikłą nadzieję, że moja córka nadal żyje. Zacząłem jej szukać.

- Przecież wszędzie już pan jej szukał!

- To prawda, ale zacząłem szukać znowu w mieście i okolicy. Potem we wszystkich misjach chrześcijańskich na północy i w środkowych Indiach. Było tam tyle małych

dziewczynek, tubylek i Euroazjatek, osieroconych lub porzuconych. Żadna nie przypominała mojej córki, która mogła uchodzić za Europejkę. Wpatrywał się we mnie i nagle poczułam ucisk w żołądku. Nie chciałam, by mówił cokolwiek więcej.

Wstałam.

- Musimy już iść. Chodź, Aimée - powiedziałam.

- Ale... proszę, jeszcze nie skończyłem! - wykrzyknął. - Wiem, że to jest... proszę nie odchodzić.

- Nie - rzekłam głośno. - Musimy już wracać. Myślałam, że chodzi o Kaia. Marnuje pan tylko mój czas.

Z Aimée za plecami na wpół szłam, na wpół biegłam do wyjścia i wypadłam w gorący wieczór, gdzie czekała na nas tonga. Kiedy odjeżdżałyśmy, nie obejrzałam się za siebie.

- Pree? Co on mówi? Ja nie rozumiem. Pomoże twojemu przyjacielowi? Dlaczego jesteś zmartwiona? - zapytała Aimée, kiedy w czasie jazdy podskakiwałyśmy na ławeczce.

- Nie wiem. Nie wiem, Aimée - odparłam.

Ogarnęło mnie jakieś potężne uczucie, ale nie potrafiłam go nazwać. Podejrzewałam, co insynuuje pan Ingram. I ta jego rozpacz po utracie dziecka. Ciągle miał nadzieję, że odnajdzie córkę po tych wszystkich latach. Nie poddawał się. Na każdą młodą kobietę patrzył, zastanawiając się, czy nie jest jego zaginioną córką. Przycisnęłam dłoń do czoła. Teraz bolał mnie nie tylko brzuch, ale i głowa. Czy to możliwe... czy w jego słowach może kryć się choć źdźbło prawdy?

Nie. Postanowiłam już więcej nie słuchać szalonych opowieści pana Ingrama. Znow zaczęłam mieć wątpliwości, czy Kai postąpił słusznie, ufając mu.

Dwa dni później wróciłam do Bala Hisar. Wiedziałam, że nie pozwolą mi zobaczyć Kaia, gdyż nie był to dzień odwiedzin, ale chciałam porozmawiać z kapitanem Gimblem.



Może on mi w końcu coś powie. Nie mogłam się zmusić do spotkania z panem Ingramem. Po tym, co usłyszałam w jego domu, czułam się bardzo nieswojo. Nie podobało mi się jego zainteresowanie moją osobą ani rozpaczliwy ton jego głosu, gdy do mnie mówił, a już na pewno nie sposób, w jaki na mnie patrzył.

Kiedy dotarłam do zamkniętej bramy fortu, zatrzymał mnie strażnik.

- Zakaz wstępu, panienko - powiedział.

- Chcę porozmawiać z kapitanem Gimblem - odparłam.

- W więzieniu wybuchła cholera. W forcie ogłoszono kwarantannę - powiedział.

Cholera? A jeśli Kai jest chory? Wyglądał tak źle, paliła go gorączka. Czy miał inne objawy - wymioty- rzadkie stolce, skurcze nóg? Nie wiedziałam. Ale kiedy widziałam go drugi raz, wyglądał jeszcze gorzej. Jeśli w pierwszym tygodniu był chory na cholere, w drugim tygodniu albo zaczęłyby dochodzić do siebie, albo by umarł. Cholera postępowała szybko.

Nie miałam innego wyjścia, musiałam odejść.

To była kolejna trudna noc. Kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, już nie spałam. Myślałam o Kaiu i o panu Ingramie. Wstałam i podeszłam do ołtarzyka Aimée. Uklęłam i szukałam pociechy w modlitwie.

Jednak w przeciwieństwie do innych kobiet z misji, z których ust słowa modlitwy spływały tak swobodnie i szczerze jak niegdyś z ust Fincastle'ów, tylko wpatrywałam się w krzyż oparty o ścianę i w prymitywny obraz Jezusa z dziećmi. Złożyłam dłonie i zamknęłam oczy, próbując sobie przypomnieć dawne modlitwy. Ale nadaremnie.

„Są setki sposobów, by uklęknąć i ucałować ziemię”, zacytował pan Ingram.

Z minaretu popłynęło pierwsze wezwanie do modlitwy.

Potem z następnego i następnego. Wstałam i podeszłam do okna.

Oparłam głowę na rękach i nasłuchiwałam.

Minął kolejny dzień. Pan Ingraman się nie odezwał. Nie mogłam już dłużej gotować i sprzątać bez żadnych wieści o Kaiu. Z czystej desperacji udałam się do Bala Hisar. Wiedziałam, że kwarantanna może trwać całymi tygodniami. Ale przynajmniej ktoś udzieli mi jakiejś informacji, której będę się mogła trzymać do czasu, gdy zakaz odwiedzin zostanie odwołany.

Kiedy wysiadłam z tongi, zobaczyłam chorążego, który przybijał kartkę papieru do bramy w miejscu, gdzie kiedyś przeczytałam nazwiska powieszonych. Tym razem była to lista zmarłych.

- To ludzie, którzy umarli na cholere? - zapytałam głupio.

Skinął głową.

Nie będę patrzeć, powiedziałam sobie. Udało mi się przekonać samą siebie, że Kai nie zachorował.

Ale oczywiście spojrzałam na listę. Przebiegłam listę nazwisk. Było ich jedenaście. Jedenastym był Pavit.

Coś zaczęło mną trząść spazmatycznie, od stóp do głów. Czy to było trzęsienie ziemi? Chwyciłam się za ramiona

i mocno je ścisnęłam. Zamknęłam oczy, czekając, aż wstrząsy miną.

Nie. Pomyliłam się. Przeczytałam listę za szybko. To nie był Pavit. To ktoś inny, Patel, Pasha, Palash. Wzrok mnie oszukał tylko dlatego, że nie chciałam zobaczyć tego nazwiska.

Wstrząsy ustały. Otworzyłam oczy. Chorąży stał na swoim miejscu.

Mury fortu nie poruszyły się.

Wzięłam głęboki oddech, a potem podniosłam drżący palec i położyłam go na pierwszym nazwisku, potem na drugim. Czytałam powoli, uważnie, jakbym dopiero niedawno nabyła tej umiejętności. Kiedy dotarłam do dzie-

świętego nazwiska, zatrzymałam się, myśląc: to nie Pavit, nie Pavit.

Przeczytałam jedenaste nazwisko.

Ziemia znów zaczęła się trząść i upadłam na kolana. Podparłam się rękami, ściskając palcami twarde, wysuszone błoto. Nic nie słyszałam, w głowie mi szumiało.

Ktoś pociągnął mnie za ramię. Przetykałam ślinę raz po raz i szum w głowie ustał.

- Proszę pani? Wszystko w porządku? Podniosłam pusty wzrok.

- Proszę pani? Rozumiem, że jest pani w szoku. - Chorąży pociągnął mnie; poczułam ból w ramieniu.

Znów przełknęłam ślinę.

- Jest pan pewny... - zaczęłam głosem bardzo starej kobiety. - Może tu jest błąd? - Ścisnęłam go za rękaw. Spojrzał na moją rękę i powoli się odsunął.

- Jest pan pewny, że ci ludzie nie żyją?

- Kazano mi przybić listę. Nic więcej nie wiem.

- Muszę z kimś porozmawiać. Chcę się zobaczyć z kimś... z kimś, kto... - Z kim mogłam porozmawiać? Czy ciała zostały zidentyfikowane, czy tylko wyciągnięto zmarłych z cel?

- Wstęp do fortu jest zabroniony, proszę pani - powiedział chorąży, patrząc prosto przed siebie.

- Ale... - Rozejrzałam się. Przed bramą dostrzegłam tylko kilku żołnierzy, kilka koni, wozów i tongi. Na mnie też czekała tonga. - Gdzie są ciała? Czy gdzieś je zabrano?

- Czekają na spalenie. I wszystko, co mieli - koce i takie rzeczy - też musi zostać spalone, żeby powstrzymać zarazę.

- Ale nikomu nie powiedziano. Mnie nic nie powiedziano - wykrzyknęłam.

- Jeśli podali nazwiska rodzin, zawiadomiono je. - Nadal patrzył przed siebie, nie na mnie. - Z powodu kwarantanny nie mogą zabrać ciał. Ale mogą patrzeć z murów - powiedział, wskazując brodą miejsce, do którego prowadziła

oparta o mur drewniana drabina. - Odmówić za nich modlitwę, jeśli chcą, chrześcijańską lub pogańską, nam jest to obojętne.

- Ale... ja jestem jego rodziną. On... był moją rodziną -wykrzyknęłam głosem, który odzyskał moc.

- To musieli wysłać pani wiadomość. Kręciłam głową. Zimny pot spływał mi po plecach.

- Przykro mi, proszę pani - powiedział chorąży. Jego głos dobiegał jakby z oddali. - Wszyscy więźniowie niemający rodzin zostali już zabrani na stos i spaleni. Zaraz rano.

Zachnęłam się i chorąży nareszcie się do mnie odwrócił.

- Miał zostać powieszony? Nie odpowiedziałam.

- Bo jeśli tak, może to było bardziej miłosierne. Proszę o tym tak pomyśleć.

- Miłosierne? - szepnęłam. - Miłosierne?

Ale on już się odwrócił, dając mi do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Próbowałam wejść do czekającej tongi, lecz nogi odmawiały mi posłuszeństwa. W końcu wciągnęłam się do środka, przytrzymując się poręczy siedzenia. Gdy woźnica zapytał, dokąd ma mnie zawieźć, nie potrafiłam odpowiedzieć. Czekał, patrząc na mnie. Wreszcie podniosłam rękę.

- Ruszaj - wydusiłam.

Podczas jazdy siedziałam jak wykuta z kamienia. Musiałam powiedzieć komuś o Kaiu. Nie mogłam po prostu wrócić do misji, jakby to był zwyczajny dzień. Musiałam być z kimś, kto znał Kaia. Kiedy dotarliśmy do bramy prowadzącej do miasta, pochyliłam się i powiedziałam woźnicy, dokąd ma jechać.

Weszłam do Biura Tłumaczeń. Znow musiałam stanąć przed panem Hooperem. Przyjrzał mi się uważnie, a potem zaczął mówić powoli i wyraźnie, jakbym słabo znała język. Powiedział mi, że pan Ingram nie czuje się dobrze; dziś rano przysłał wiadomość, że nie przyjdzie do pracy.

- Zechce pani usiąść, panno Fincastle? - zapytał. - Wygląda pani...

Wyszłam, zanim skończył mówić, i ruszyłam do domu pana Ingrama. Pokonałam z trudem schody, ciężko oddychając, jakby te trzy stopnie były stromym zboczem. Podniosłam rękę i załomotałam do drzwi otwartą dłonią. Kiedy nikt nie odpowiedział, otworzyłam drzwi. Z pokoju na końcu korytarza wyszedł zaniepokojony pan Ingram.

- Pree. Co ty tu...

- On nie żyje - wykrztusiłam zduszonym głosem. - Kai nie żyje.

- Pree...

- Proszę nie nazywać mnie Pree, jakby mnie pan dobrze znał - powiedziałam.

W korytarzu było duszno. Otarłam czoło wierzchem dłoni; kiedy ją odsunęłam, spojrzałam z roztargnieniem na brudną, wilgotną smugę potu na rękawiczce. Było mi gorąco; zerwałam rękawiczki gwałtownym ruchem i rzuciłam je na podłogę. Przyłożyłam dłonie do policzków; były wilgotne i rozpalone.

Pan Ingram obejrzał się za siebie, a potem pokręcił głową.

- Proszę. Wyjdźmy na werandę. Tam jest chłodniej. Drzwi, z których wyszedł przed chwilą, zamknęły się

cicho. Jego afgański przyjaciel, pomyślałam z roztargnieniem.

Na ścianie za mną wisiał miecz z rękojeścią ozdobioną złotymi paskami; był lekko przekrzywiony. Chciałam wyciągnąć rękę i wyprostować go.

Włosy pana Ingrama były zakurzone i zmierzwione, a jego twarz pokrywał ciemny zarost. Jego usta były równie suche jak moje. Myślałam tak jasno o tych wszystkich mało istotnych drobiazgach, dostrzegając wszystko wokół mnie. Zupełnie jakby moje myśli stały gdzieś obok mnie i mogłam je oglądać.

Kiedy tylko znaleźliśmy się na ocienionej werandzie, Ingram wskazał trzciniowe krzesło.

- Proszę usiąść. Taki dziś upał... Opadłam ciężko na krzesło.

- Rozumie pan, co do pana mówię? Kai nie żyje. - Drżał mi głos, a po twarzy płynęły łzy. - Kochałam go. Kochałam Kaia. - Słowa wypowiedziane pierwszy raz na głos zaszokowały mnie. Ale dlaczego? Oczywiście kochałam Kaia. Kochałam go przez całe życie. Najpierw jako brata, potem jako przyjaciela. I wreszcie... - A pan nie zrobił nic, żeby wyciągnąć go z tego straszliwego miejsca. Mógł pan coś zrobić. On w pana wierzył, podobnie jak ja. Ufałam, że pan mu pomoże. Ale zawiodłam się.

Patrzył tylko na mnie.

- Kai nie żyje - powtórzyłam wysokim i drżącym głosem. Wyglądało na to, że nie mogę przestać tego powtarzać, jakbym chciała przekonać samą siebie o tej strasznej prawdzie. - I nic już nie można zrobić. On nie żyje. - Chciałam potrząsnąć tym człowiekiem, wyrwać go z otępienia. - Czy to w ogóle pana obchodzi? Patrzy pan na mnie tak... Co się z panem dzieje? Poruszył ustami, lecz nie spłynęły z nich żadne słowa. Czy wiedział już o śmierci Kaia, czy dowiedział się o tym dopiero ode mnie? Czy był w szoku? Jeśli tak, to objawiał się on milczeniem i dziwnym wyrazem twarzy.

- Jest pani roztrzęsiona. To zrozumiałe - powiedział w końcu.

- Roztrzęsiona? Kai nie żyje, proszę pana. Roztrzęsiona? To nawet nie jest dobry początek, by cokolwiek opisać. Ale pan nie wygląda na poruszonego tym faktem. Czy pan nie ma serca, panie Ingram? Znał pan Kaia od dziecka, a jednak stoi tu pan, jakby sam był martwy. Zimny i pozbawiony wszelkich uczuć.

- Jest pani roztrzęsiona - powtórzył. - Ale może później, będę mógł... - Zrobił krok do przodu i położył mi rękę na przedramieniu.

- Proszę mnie puścić - powiedziałam. Wyrwałam się i zbiegłam po schodach. Mężczyzna i kobieta stali na ulicy i patrzyli na mnie. Ich twarze były blade i zamazane.

Słyszałam głos pana Ingrama tuż za sobą, zbyt blisko; biegł za mną. Znów położył rękę, tym razem na moim ramieniu. Odwróciłam się i spojrzałam na niego, jakby był obcym człowiekiem. Całe moje ciało przepełniał nieznany ostry ból, jakby do mojej krwi trafiły tysiące jadowitych mrówek.

- Proszę - powiedział - wezwę dla pani tongę. Nie może pani...

Znów się wyrwałam i zaczęłam biec. Uciekałam od niego, od tamtego mężczyzny i kobiety i mijając domy, wbiegłam

w kręte uliczki starego miasta. Kiedy nie mogłam już dalej biec, bo czułam w boku ból tak silny, że musiałam wcisnąć w to miejsce stuloną dłoń, szłam. Szłam i szłam, aż w końcu dotarłam do Misji *Zenona*. Poszłam prosto do wygódki i zamknęłam drzwi, głęboko oddychając. Nie mogłam z nikim rozmawiać.

Siedziałam tam, słuchając, jak woda z miedzianej kadzi kapie na podłogę, aż w końcu rozległo się natarczywe pukanie. Stukot knykcii o drewno powoli wyrwał mnie z otępienia; słuchałam, początkowo nie wiedząc, co to za dźwięk ani skąd dobiega. Zupełnie jakbym była pogrążona w głębokim śnie lub nieprzytomna i powoli odzyskiwałam świadomość. Rozjaśniło mi się w głowie. Siedziałam na podłodze oparta plecami o drzwi. Podniosłam kolana i rozłożyłam na nich spódnice, zwieszając bezwładnie ręce. Jak długo tam siedziałam?

- Kai. Och, Kai.

Wstałam i otworzyłam drzwi. Kobieta - Hannah - wyglądała na poirytowaną. Stała z rękami opartymi na biodrach, lecz wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, gdy tylko na mnie spojrzała.

- Źle się czujesz, Pree? - zapytała.

Do dolnej wargi przyczepiła się jej cząstka jedzenia, chyba ziemniaków. Wpatrywałam się w nią. Skoncentrowałam się na tej drobinie, jakby mogła mi wyjaśnić coś bardzo ważnego.

- Jest ci niedobrze? - zapytała znowu. Przepchnęłam się obok niej i trzymając się ściany, poszłam do swojego pokoju.

Usiadłam na brzegu łóżka i utkwiałam wzrok w butach. Potem je rozwiązałam i zdjęłam. Zsunęłam też pończochy. Spojrzałam na palce. Wydawały się dziwne, obce, jakby nie były częścią mojego ciała.



Nie pamiętam nic z tamtego popołudnia ani wieczora. Nie czułam absolutnie nic - nie miałam ciała, być może nawet duszy.

Nareszcie nadszedł poranek. Nie wiem, czy spałam, czy nie; piekły mnie oczy, a serce mocno biło. Nadal miałam na sobie suknię. Zostałam za zasłoną, podczas gdy Aimée i Rohana przygotowały się na nowy dzień i wyszły.

Wreszcie do pokoju weszła Helena, odsunęła zasłonę i spojrzała na mnie. - Byłaś dziś rano chora? - zapytała. - Hannah powiedziała, że jej zdaniem wczoraj było ci niedobrze. Czy masz mi coś do powiedzenia, Pree? - Nie - odparłam chrapliwym szeptem i zamknęłam oczy. - To nie to. Usłyszałam szelest, kiedy znów zaciągnęła zasłonę, a potem szum jej sukni na podłodze, gdy wychodziła z pokoju. Przewróciłam się na bok i skuliłam wokół poduszki.

Przebrałam się w koszulę nocną i przez cały dzień zostałam w pokoju. Nie jadłam, nie spałam, tylko leżałam. Kiedy wróciły Aimée i Rohana, Aimée zapytała cicho, czy ma mi przynieść coś do jedzenia lub picia. Odmówiłam.

Następna noc nie miała końca. Nie mogłam zmrużyć oka. Chodziłam bezszelestnie po pokoju, wyglądałam przez okno, a potem wracałam do łóżka tylko po to, by rzucać się na nim przez kilka chwil i ponownie wstać. Kiedy wreszcie nastał ranek i Aimée z Rohaną znów wyszły, włożyłam prostą bawełnianą suknię. Umyłam twarz i przesunęłam palcami przez włosy. Nie mając energii, by je upiąć, zostawiłam je rozpuszczone na plecach.

Usiadłam na łóżku, myśląc o tym, co zrobię i dokąd pójdę. Jak mogłam tu zostać i żyć jak dawniej?

W otwartych drzwiach stanęła Helena.

- Pree? Przyszedł do ciebie pewien dżentelmen - powiedziała. - Pan Ingram. Zapytałam, w jakiej sprawie. Powiedział tylko, że to sprawa osobista.

Nie chciałam go widzieć. Nie chciałam słuchać usprawiedliwień, dlaczego nie był w stanie pomóc Kaiowi. Ani dalszych nużących i bolesnych historii z jego własnej smutnej przeszłości.

Pokręciłam głową.

- Proszę cię, Heleno, powiedz mu... powiedz mu, że źle się czuję. Nie mogę się z nim teraz zobaczyć.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Czy to ten człowiek, Pree? Ten, który był w więzieniu? Udało ci się mu pomóc?

- Nie, to nie on.

- To nie on - powtórzyła. - Masz więc do czynienia z innym mężczyzną? Wstałam i raz jeszcze przesunęłam palcami przez włosy.

- Heleno, wszystko ci wyjaśnię. Obiecuję. Poproś tylko tego mężczyznę, żeby sobie poszedł.

- Czy on jest dla ciebie zagrożeniem?

- Zagrożeniem? Nie. - Westchnęłam. - Dobrze. Pójdę i dowiem się, czego chce.

Schodząc po schodach, próbowałam znaleźć w sobie siłę, by stanąć przed panem Ingramem. Kiedy weszłam do pokoju dziennego, natychmiast wstał. Miał na sobie angielskie ubranie. Przyjrzał się mojej twarzy i włosom. Wiedziałam, że wyglądam żałośnie, ale niewiele mnie to obchodziło.

Helena stanęła za mną.

- Dziękuję, Heleno - powiedziałam tępo. - Możesz nas zostawić.

- Zostanę jako przyzwoitka. Spojrzałam na nią.

- To nie jest konieczne, Heleno. Naprawdę.

- Zostanę, Pree - oświadczyła zdecydowanie. Przesunęła krzesło do rogu pokoju i usiadła za panem Ingramem.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć - powiedział.

- Czego pan chce? - zapytałam znużonym głosem.

- Ja... Boli mnie, kiedy widzę pani rozpacz. Może zechce pani usiąść? Usiadłam, ale tylko dlatego, że stanie było dla mnie zbyt wielkim wysiłkiem. Byłam taka zmęczona.

- Pr... panno Fincastle - zaczął. - Mam dla pani wiadomość. Od Kaia. Na te słowa krzyknęłam i zasłoniłam usta ręką. Znów płynęły mi łzy, a ja nie zrobiłam nic, by je powstrzymać. Kai zostawił dla mnie wiadomość. Musiał się zobaczyć przed śmiercią z panem Ingramem i dał mu liścik. Nawet bliski śmierci myślał o mnie. Może teraz uda mi się jakoś to znieść. Może świadomość, że w takiej chwili myślał o mnie, pozwoli mi przewyciężyć smutek.

Pochyliłam się w jego stronę.

- Tak? Wiadomość od Kaia dla mnie? - Przez łzy prawie nie widziałam pana Ingrama.

Sięgnął do kieszeni, wyjął białą chusteczkę i podał mi ją. Przycisnęłam ją do oczu. Usłyszałam szelest papieru i odejmując chusteczkę od oczu, zobaczyłam, że pan Ingram wyjmuje grubą kartkę, złożoną i zapieczetowaną czerwonym woskiem.

Znów wytarłam oczy i wydmuchałam nos.

- Kai to napisał? Skinął głową.

- Wiadomość jest przeznaczona dla pani, i tylko dla pani. Jak pani widzi, pieczęć nie została złamana.

- Ale... jak mu się udało napisać to w więzieniu? - nadal nie dotykałam kartki.

- Panno Fincastle. - Ingram położył kartkę na stoliku obok mnie. - Nie mogłem pani wcześniej tego wyjaśnić. Nie mogłem pani powiedzieć, choć bardzo chciałem. Musi pani w to wierzyć. Naprawdę nie chciałem, żeby pani tak cierpiała. - Zawiesił głos. - Kai żyje.

Nie rozumiałam, co do mnie mówi, choć słyszałam jego słowa.

Pokręciłam głową.

- Nie umarł? - Spojrzałam na kartkę. Widniało tam tylko moje imię: „Pree”. Poznałam charakter pisma Kaia. - Nie był chory na cholere? Co czułam? Kai nie umarł? A może jestem świadkiem jakiejś straszliwej zmowy? Kim był ten Ingram, że bym musiała przez niego przez to wszystko przechodzić?

Wpatrywałam się w niego. Nie pozwalałam sobie uwierzyć. Jeszcze nie. Nawet jeśli Kai żył, nie oznaczało to wcale, że niebawem nie zawiśnie na szubienicy.

- Był chory, lecz to nie była cholera.

- Ale widziałam jego nazwisko, na liście zmarłych. Widziałam nazwisko, którego używał: Pavit.

- On nie umarł, panno Fincastle - powtórzył Ingram.

- Nadal jest w więzieniu?

- Nie.

- Został zwolniony? Udało się panu go uwolnić? Był więc niewinny?

Wiem, że był niewinny.

- Nie - powiedział, choć nie wiedziałam, na które pytanie odpowiada. - Wyjechał z Peszawaru. Ale... może znajdzie pani odpowiedź na swoje pytania w liście. Prosił, żeby go pani jak najprędzej dostarczyć, mówił, że to sprawa najwyższej wagi. Dał mi go przed wyjazdem, wczoraj wieczorem, a ja już rano przyjechałam tutaj.

Znów spojrzałam na list. Jeśli Ingram mówi prawdę i Kai nie siedzi już w więzieniu, z listu dowiem się, gdzie jest i gdzie mogę się z nim spotkać.

To jasne, że nie mógł zostać w Peszawarze.

- Czy uciekł? - zapytałam, choć wydawało się nieprawdopodobne, kiedy pomyślało się o zakutych w łańcuchy więźniach, podziemnych przejściach i strażnikach.

- Można to tak określić. Pracowałem kiedyś w biurach Bala Hisar. Znam tam ludzi oraz budynki i przejścia. Ale właściwie to kwarantanna pozwoliła mi... - urwał. - Nie ma sensu, bym wyjawiał pani pewne szczegóły. Powinna

pani tylko wiedzieć, że jest wolny. Inni również mu pomogli.

Pomyślałam o Afgańczyku, którego widziałam w domu pana Ingrama.

- Ostatnie dni spędził u mnie w domu. Pomyślałam o zamkniętych w korytarzu drzwiach.

- Był tam, kiedy przyszedłam panu powiedzieć, że nie żyje, prawda?

- Tak. Musiał odpocząć i zebrać siły na wyjazd. - Opuścił wzrok na podłogę. - Musiał pozostać w ukryciu. Bałam się, że jeśli ktoś... gdyby pani o tym wiedziała, mogłoby go to narazić na większe niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. To było jedyne wyjście.

Wstałam.

- Dziękuję.

- Panno Fincastle - pan Ingram też się podniósł - wiem, że to nieodpowiednia pora... bym kontynuował naszą rozmowę. Ale chciałbym panią przeprosić za to, co się wydarzyło u mnie w domu tamtego wieczoru... Wiem, że nie miałem prawa...

- W porządku, proszę pana - powiedziałam szybko, znów mu przerywając. Wzięłam list. - Nic się nie stało. Dziękuję. Jestem wdzięczna za wszystko, co zrobił pan dla Kaia. - Ruszyłam w stronę drzwi, ściskając list i wilgotną chusteczkę.

Ruszył za mną.

Bardzo chciałam, żeby już sobie poszedł. Chciałam otworzyć list i przeczytać wiadomość od Kaia.

- Czy pozwoli mi pani zostać jeszcze chwilę? - Obejrzał się na Helene, która siedziała bez ruchu. - A może zgodzi się pani znów ze mną zobaczyć? Chciałbym dokończyć moją historię. Nie jest pani choćby tylko ciekawa?

- Ciekawa?

- Ciekawa, co stało się z moją córką. Czułam ciepło listu.

- Przykro mi, ale nie. Wcale nie jestem ciekawa. Panie

Ingram, niech pan już pójdzie. - Nie mogłam słuchać niczego więcej. Nie mogłam.

Usłyszałam szelest sukni Heleny.

Pan Ingram skinął głową. Gdy tylko wyszedł, pobiegłam do swojego pokoju. Usiadłam na łóżku i patrząc na list, uspokoiliam się. Przycisnęłam go do twarzy i głęboko westchnęłam. Poczulaam słaby zapach wosku. Rozerwałam pieczęć i na kolana wypadł gruby plik rupii. Nie zwróciłam na nie uwagi, przebiegając wzrokiem po znajomym piśmie.

Przeczytałam list drugi raz, potem trzeci. Położyłam go obok siebie na łóżku. Siedziałam przez bardzo długą chwilę, a potem jednym szybkim, brutalnym ruchem zmięłam kartkę i cisnęłam nią przez pokój.

Wpatrywałam się w nią przez jakiś czas. Kiedy wstałam, rupie zsunęły się z mojej sukni na podłogę. Rozwinęłam kartkę, przeczytałam list ostatni raz i podarłam go na małe kawałeczki, które opadły na podłogę. Jak płatki śniegu. Jak popiół.

Nigdy więcej go nie przeczytam. Ale słowa wypaliły się w moim mózgu: *Moja droga Pree!*

*Jeśli to czytasz, na pewno spotkałaś się z panem Ingramem. Pomagał mi wiele razy. Jest chyba jedyną osobą, do której mam pełne zaufanie.*

*Choć tym razem nie udało mi się pomóc mojemu krajowi, będę nadal próbował. Ta praca od dawna jest całym moim życiem. Aby jak najlepiej wypełniać moje obowiązki, nie mogę być z nikim związany. Nikt nie może na mnie czekać ani się o mnie martwić. Potrzebuję wolności i swobody, by skupić się wyłącznie na tym, w co wierzę.*

*Nie zobaczymy się już więcej, Pree. Zniknę gdzieś w Indiach. Ty z uporem będziesz nadal szukała swojej własnej drogi, jak zawsze.*

*We wszystkich sprawach możesz polegać na Davidzie Ingramie. Ufaj jego słowom, jak ja zawsze ufałam.*

*Zawsze będę myślał o Tobie i o dzikim zapachu Twoich włosów.*

*Kai*

Leżałam bez ruchu na łóżku. Rupie zostały na podłodze. Kai zapłacił mi za to, co między nami zaszło. I to naprawdę zrobiło ze mnie osobę, którą udawałam, że nie jestem, kiedy kołysałam się pod pułkownikiem.

Pomyślałam o tym, co powiedziała Aimée, że trzeba uczyć się kochać.

Czy Kai kiedykolwiek to potrafił - posmakować i dotknąć miłości - wychowywany przez matkę, której nic nie obchodził, i ojca, który nigdy się do niego nie przyznał? Pomyślałam o sekretach, które nosił w sercu, i o bólu, który musiał czuć.

I w tej chwili wiedziałam, że w przeciwieństwie do Kaia, ja umiałam kochać. Kochałam go. Zawsze kochałam. Umiałam kochać, pomyślałam. Umiałam.

A jednak byłam taka samotna: w tym pokoju, w tym domu, w Peszawarze, w całych Indiach. I czułam się samotna od tak dawna - nawet w misji razem z Glory i jej towarzystwem po drugiej stronie podwórza, nawet w ruchliwych *karewanserajach* przy Grand Trunk Road, nawet z Aimée i Rohaną oddychającymi spokojnie we śnie po drugiej stronie zasłony. Tylko raz czułam się inaczej, przez wszystkie te lata, podczas popołudnia z Kaiem, kiedy bycie z nim odsunęło samotność.

To niesprawiedliwe, pomyślałam, że dana mi była tylko jedna chwila szczęścia. Niesprawiedliwe. Jak Kai mógł mnie tak wykorzystać?

Spojrzałam na rupie. Próbowałam zaprzeczać, obwiniać go. Ale przecież chciałam, żeby mnie posiadał, prawie go o to błagałam, więc to zrobił.

Moja samotność, potrzeba, by poczuć, że komuś na mnie zależy, sprawiła, że stałam się rozpustna. Kai nie był święty, podobnie jak ja.

Powiedział mi, że nie jest dobrym człowiekiem; to samo wiedziałam o sobie. Ale czy mógł naprawdę czuć do mnie tak niewiele,

by oświadczyć, że już nigdy się nie zobaczymy, że nie chce ani nie potrzebuje nikogo?

Powiedział coś podobnego dawno temu, kiedy wyjeżdżał z misji. Wtedy mu nie uwierzyłam. Myślałam, że mam w sobie moc, by go zmienić.

Przepełniał mnie świeży gniew, mroził i usztywniał w gorącym powietrzu, jakbym była owinięta w zimne, wilgotne prześcieradło. Teraz żałowałam, że Kai nie umarł. Lepiej byłoby trwać do końca życia w przekonaniu, że czuł do mnie to, co ja do niego. Lepiej byłoby czuć palący smutek niż tę zimną pustkę.

Przepełniona nienawiścią do samej siebie, pragnąc wyrwać się z tego zimna, wbiłam paznokcie w policzki, chcąc się zranić. Ale zaraz przypomniałaby mi się matka i jej pogryzione ręce.

Oderwałam palce od twarzy. Nie byłam taka jak ona. Nie byłam. A jednak... w tej chwili czułam, że rozumiem ją lepiej niż przez te wszystkie lata, kiedy żyłam razem z nią. Podeszłam do owalnego lustra stojącego na umywalni i spojrzałam na swoje odbicie: ściągnięta twarz z wgłębieniami w kształcie półksiężyca po paznokciach, kasztanowe włosy z jaśniejszymi pasemkami, zaczerwienione brązowe oczy ze złotymi plamkami, usta nabrzmiałe od płaczu. Kim byłam?

Nienawidziłam siebie. Poszperałam w torbie medycznej i wyjęłam ostre nożyczki. Nie wiem, co chciałam nimi zrobić. Uniosłam ciężkie pasmo włosów, a potem je puściłam. Przyłożyłam czubek nożyczek do szyi i patrzyłam, jak żyła pulsuje pod srebrnym ostrzem. Uniosłam spódnicę i rozciąłam ją. Cięłam materiał na kawałki, od czasu do czasu raniąc się w uda, kolana, golenie i łydki. Cięłam i cięłam, aż spódnica zamieniła się w zwisające z talii paski materiału. Dyszałam ciężko, na skórze nóg pojawiły się kropelki krwi.

Usiadłam ciężko na łóżku. Cięcie materiału przyniosło mi krótką, lecz zwodniczą ulgę. Powoli zaczęłam oddychać spokojniej. Spojrzałam na pociętą spódnicę, na zakrwawione



nogi i uświadomiłam sobie, że płakałam za Kaiem - płakałam, bo odszedł z mojego życia - od czasu, gdy miałam piętnaście lat. Czy nie przyszła już pora, by osuszyć łzy? Czy nie pora, by wreszcie się z nim pożegnać? Położyłam się i wyczerpana zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, spojrzałam na leżące na podłodze rupie. Wstałam i powoli zebrałam banknoty w staranny stosik. „We wszystkich sprawach możesz polegać na Davidzie Ingramie”, napisał Kai.

Pomyślałam o panu Ingramie, o jego smutnych ciemnych oczach, o uśmiechu, który rzadko pojawiał się na jego ustach. Był taki zdeterminowany i spięty, gdy na mnie patrzył. Pomógł Kaiowi, jak obiecał. Nie złamał słowa. I był osobą, której Kai ufał jak nikomu innemu. Bardziej niż mnie.

Wiedziałam, że decyzja, czy zobaczę się znów z panem Ingramem, zależy wyłącznie ode mnie.

Nagle pomyślałam o nim jako o Af-gańczyku - moim Af-gańczyku, jak mówiłam o nim, gdy byłam mała - i o tym, jak się ze mną pożegnał, kiedy ostatni raz widziałam go w misji, trzymając w ramionach Adrianę.

*Khuda hafiz*, Pree, powiedział, a w jego głosie zabrzmiało coś, czego nie potrafiłam określić, coś głębokiego i bolesnego.

*Khuda hafiz.*

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Następnego ranka zmusiłam się, by upiąć włosy i włożyłam najlepszą suknię. Nie płakałam tej nocy i spałam głębokim snem. Moja twarz znów nabrała kolorów. Napisałam krotki liścik i przesłałam go przez małego chłopca, którego znalazłam przed domem. Dałam mu annę, żeby go dostarczył, i obiecałam dwie następne, jeśli wróci do mnie z dowodem, że liścik dotarł do adresata. Potem poszłam do pokoju dziennego i czekałam. Pan Ingram przyszedł przed upływem godziny. Wprowadziła go Hannah. Miał na sobie hinduskie ubranie. Włosy nie wyschły jeszcze po kąpieli i był świeżo ogolony.

- Wygląda pani dziś lepiej, panno Fincastle - powiedział.

- Może pan mówić do mnie Pree - odparłam.

Skinął głową i zajął miejsce, które mu wskazałam. Raz jeszcze dołączyła do nas Helena, która usiadła przy ścianie. Tym razem jednak trzymała w dłoniach Biblię i wyglądało na to, że ją czyta.

- Kai w swoim liście - zaczęłam, a on skinął głową - napisał, że panu ufa. I że ja mogę na panu polegać. Postanowiłam więc wysłuchać, co ma mi pan do powiedzenia. Całą resztę.

Zwilżył wargi. Na podłodze leżało piórko; musiało tu zostać po zabawie dzieci. Ingram schylił się i podniósł je z roztargnieniem.

- Wysłucham więc pana, ale nie wiem, co jeszcze może pan powiedzieć, żebym... - Urwałam. - Proszę to wyjaśnić.

Proszę mi powiedzieć, dlaczego stale przyjeżdżał pan do misji w Lahore. Ingram milczał przez chwilę, a potem spojrzął w okno.

- Po pierwsze, Pree - zaczął - musisz wiedzieć, że nie zamierzałem ci niczego wyjawiać, dopóki nie zyskałem pewności, że nie jesteś córką państwa Fincastle i wiesz o tym. Kiedy znów wkroczyłaś w moje życie, powtarzałem sobie, że jeśli wierzysz, że oni są twoimi prawdziwymi rodzicami, nie będę cię wyprowadzał z błędu. Nie zniszczę twoich wspomnień.

Nie wiedział, jakie mam wspomnienia o rodzicach. Wiele z nich było dobrych, ale wiele bardzo niepokojących.

- To właśnie tak niezręcznie próbowałem ustalić u mnie w domu. Ale to było zbyt trudne. Nie wiedziałem, czy będę miał okazję zapytać o to Kaia; w więzieniu był bardzo chory, i obaj myśleliśmy tylko o tym, jak go stamtąd wydostać. A potem, kiedy się u mnie ukrywał i dochodził do zdrowia, zapytałem go. Zwierzyłaś mi się, że nie wiesz, kim naprawdę jesteś.

Skinęłam głową.

Pan Ingram wziął głęboki oddech.

- Do waszej misji przyjechałem w 1862 roku - powiedział.

Siedziałam, trzymając dłonie na kolanach.

- Jak już wspominałem, prowadziłem poszukiwania przez cały rok po powrocie do Indii z mojej... samotni w Afganistanie. I, jak ci mówiłem, odwiedziłem wszystkie misje w północnych i środkowych Indiach. Ale nie słyszałem nic o twojej, leżała tak daleko. Większość misji chrześcijańskich jest dobrze znana i łatwo je znaleźć. - Przez cały czas wpatrywał się w okno. - Ale wasza... wyglądało na to, jakby celowo była tak trudna do zlokalizowania. - Wydawał się zahipnotyzowany grą światła.

- Kiedy pierwszy raz przyjechałem do waszej misji, zobaczyłem Kaia. Miał jakieś dwanaście lat i naprawiał płot. Poprosiłem go o wodę dla konia i zapytałem o inne dzieci

w misji, o sieroty. Powiedział, że jest tylko Pree, córka misjonarzy. Pree? - zapytałem, bo brzmiało to bardzo podobnie do imienia, jakie ci nadaliśmy. Ale nie zastanawiałem się nad tym dłużej, bo Kai powiedział, że jesteś córką misjonarzy. Dlaczego miałem wątpić w jego słowa? Ale wtedy, jakby to było z góry zapisane, pojawiłaś się na podwórzu. Zauważyłem, że jesteś mniej więcej w tym samym wieku, w jakim byłaby nasza córka. Kai wrócił do swojej pracy. A ja pozostałem i obserwowałem cię.

Mogłam sobie wyobrazić tę scenę. Czy siedział na tym samym złocistym arabie?

Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie.

- Byłaś ubrana w żółtą sukienkę, brzeg z jednej strony był oderwany. Byłaś boso i miałaś dwa warkocze; jeden się rozplótł. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Śmiałaś się i goniłaś kurczaka. Wreszcie go złapałaś i przycisnęłaś do siebie. Trzepotał skrzydłami przy twojej buzi. Spojrzałaś na Kaia, jakbyś szukała u niego aprobaty. Nie zwracałaś na mnie uwagi. Ale kiedy się śmiałaś, w twojej twarzy było coś tak znajomego, że wiedziałem, po prostu wiedziałem. Dzikie zwierzę też pozna swoje potomstwo, nawet po latach, po zapachu. Minęły prawie cztery lata; miałaś dwa, kiedy widziałem cię ostatni raz, a teraz byłaś sześciolletnią dziewczynką. Wiedziałem, że jesteś moją córką. Nie wiedziałem, skąd się tam wzięłaś, ale byłaś; żywa i zdrowa. Kiedy cię zobaczyłem, tak nieoczekiwanie, gdy już całkiem straciłem nadzieję... -Przygryzł wargi, by powstrzymać ich drżenie.

- Ale... - szepnęłam. Czy mogłam uwierzyć w to, co mówił?

Odchrząknęłam. - Jeśli tak bardzo to pana poruszyło, dlaczego nic pan nie zrobił?

Czekał przez chwilę, żeby się opanować.

- Czy nie sądzisz, że musiałem użyć każdej drobiny siły woli, żeby nie zeskoczyć z konia, podbiec do ciebie, chwycić cię w ramiona i oświadczyć, że jesteś moim zaginionym dzieckiem? To podpowiadał mi instynkt. Ale potem...

- Co potem? - dopytywałam się.

- Nie byłaś podobna do matki ani do mnie. Masz raczej rysy babki, mojej matki. Ale deklaracja o rodzinnym podobieństwie nie wystarczy, by odzyskać dziecko. Nie miałem dowodu. I byłem... Jestem pewny, że w tamtym czasie przypominałem dzikiego człowieka z gór. Byłem dzikim człowiekiem z północy. Wyobrażasz sobie, że nagle wpadam do misji, wykrzykując, że jesteś moim dzieckiem? Czy ktokolwiek by mi uwierzył? A ciebie tylko bym przeraził.

- Ale moi rodzice, państwo Fincastle, oni by wiedzieli, że mówi pan prawdę. Nie mieli pojęcia, skąd pochodziłam.

- I sądzisz, że tak po prostu wsunęliby cię w moje ramiona, ponieważ powiedziałem, że cztery lata wcześniej moja córka, która była mniej więcej w tym samym wieku co ty i była do ciebie podobna, zniknęła z Gwalior podczas ataku sipajów? Czy myślisz, że oddaliby dziecko, które uznawali za swoje, Afgańczykowi, zjawiającemu się znikąd na ich podwórzu?

Nie odpowiedziałam. Jego słowa miały sens. Moi rodzice przenieśli się daleko na północ do położonej na pustkowiu misji właśnie z tego powodu. Tak mówiła Glory. Żeby wykluczyć możliwość, że ktoś będzie mnie szukał.

- Wiedziałem, gdzie jesteś, ale wiedziałem też, że jeśli zachowam się spontanicznie, niewłaściwie, mogą mnie powstrzymać przed kolejnym przyjazdem. A może nawet wyprowadzą się, jeśli będą się obawiać tego, co jeszcze mogę zrobić. Początkowo więc jedynym wyjściem były częste wizyty, by sprawdzać, czy nie dzieje ci się krzywda.

- I wystarczyło panu obserwować od czasu do czasu dziecko, które uważał pan za swoje, jak bawi się na podwórzu?

- Przez kilka następnych lat szczerze wierzyłem, że znajdę sposób, żeby cię odzyskać. Tylko o tym myślałem.

- Ale nic pan nie zrobił - powiedziałam ostro.

- Pree. Proszę, postaraj się zrozumieć. Przeniosłem się do Lahore i znalazłem tam pracę, żeby móc być bliżej ciebie. Bardzo często przyjeżdżałem do misji; wiele razy nawet cię

nie widziałem. Bałem się, że zwrócą na mnie uwagę państwo Fincastle, więc przyjeżdżałem zawsze w miejscowym stroju i turbanie. Ludzie postrzegają mnie inaczej, kiedy mam odkrytą głowę i europejski strój. Zawsze byłem trochę kameleonem - powiedział z lekkim uśmiechem, jakby zachęcał mnie do tego samego.

Nie poruszyłam się. Wszystko to miało sens, a jednak nadal byłam nieufna.

- Czasami zostawiałem konia daleko na drodze. Szedłem piechotą, żebym mógł minąć misję wolniej, dłużej cię widzieć. Ale wraz z upływem czasu, kiedy coraz lepiej znałem twoje życie, coś zrozumiałem. Było to bolesne, lecz niezaprzeczalne. I stało się powodem, dla którego w końcu się po ciebie nie zgłosiłem.

Osunęłam się na krzesło.

- Jaką znalazł pan wymówkę?

- To nie była wymówka. Ja... Chcę myśleć, że być może był to akt dobroci. Zacząłem rozumieć, że zabranie cię stamtąd byłoby przejawem egoizmu.

- Egoizmu?

- Początkowo powtarzałem sobie, że to jeszcze nie jest odpowiednia pora. Zastanawiałem się, jaki dowód mogę przedstawić państwu Fincastle. W czasie tych pierwszych lat czasami widywałem cię z inną małą dziewczynką, tubylką. Pewnego dnia siedziałyście na figowcu na podwórzu. Kiedy zeskoczyłyście, tamta dziewczynka pokazała na mnie - tamtego dnia siedziałem na koniu - a potem coś krzyknęła, chwytając cię za ramię. Spojrzałaś na mnie, a potem na dziewczynkę, krzyknęłaś niby przerażona, ale jednocześnie się śmiałaś. Potem obie z krzykiem pobiegłyście za dom.

Rzeczywiście, to były nasze wspólne zabawy z Lalasą. Ukrywałyśmy się przed Afgańczykami, którzy mogli nas porwać.

- I wtedy to do mnie dotarło. Świadomość, której musiałem stawić czoło. Dorastałaś w bezpiecznym domu

z matką i ojcem, wiodąc normalne życie. Zastanowiłem się nad tym, co mogę ci ofiarować: samotny mężczyzna, niema-jący pojęcia, jak wychowywać dziecko, a zwłaszcza córkę. Pociągnął piórko.

- Obserwowałem cię, Pree. Patrzyłem, jak bawisz się na podwórzu, biegasz z psem, wpadasz i wypadasz z infirmerii. Nie wiodłabyś ze mną takiego beztroskiego życia. Życia bez matki, z ojcem, który nigdy nie ofiaruje ci prawdziwego domu.

- Czy zastanawiał się pan nad tym, czego ja mogłam chcieć - zapytałam po długiej chwili. - Jeśli rzeczywiście byłam pańską córką?

Piórko było w strzępach. Nadal jednak trzymał w palcach dutkę.

- Patrzyłem, jak dorastasz. Nie było takiej chwili, żebym o tobie nie myślał. Pojawiałem się na drodze, piechotą lub konno, co dziesięć dni lub co dwa tygodnie. Kiedy byłaś starsza, widziałem, że uwielbiasz czytać; chodziłaś po podwórzu z głową pochyloną nad książką. Pewnego dnia miałaś na ramieniu gekona. - Uśmiechnął się bezwiednie. - Widziałem, jaka jesteś dobra dla starego trędowatego. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Patrzyłem, jak kucasz przy kucharzu i w skupieniu mielisz przyprawy lub kroisz warzywa. Słyszałem muzykę graną na pianinie, kiedy państwo Fincastle byli w infirmerii lub na werandzie, i wiedziałem, że to ty grasz. Kiedy byłaś jeszcze starsza, uświadomiłem sobie, że pomagasz w infirmerii. Byłem dumny z ciebie i z twoich licznych osiągnięć. Uczyłaś się tam o wiele więcej, niż ja mógłbym cię nauczyć.

Z trudem przęłykałam ślinę. Rodzice zawsze budzili we mnie poczucie niższości; rozczarowałam ich, gdyż nie zachowywałam się, jak na córkę misjonarzy przystało. Nie byłam dość cnotliwa ani uduchowiona. Byłam zbyt niecierpliwa, pozbawiona zahamowań. Przy nich nigdy nie czułam się tak jak teraz. Ten mężczyzna mówił, że jestem mądra, dobra

i zdolna. Że zasługuję na pochwały i można być ze mnie dumnym. Ucisk w gardle stawał się coraz większy.

- Kiedy ostatni raz widziałem cię w misji, z dzieckiem *ai* w nosidełku na piersiach, wydawałaś się taka... taka szczęśliwa.

Zamilkł, a ja przetykałam ślinę raz po raz, pragnąc się pozbyć bolesnej kuli.

- Byłam szczęśliwa? - zapytałam w końcu, kiedy odzyskałam głos.

Tak, pamiętałam tamten dzień z malutką Adrianą i spokój, jaki odczuwałam. Ale to trwało tylko tę krótką chwilę, gdy dziecko spało w moich ramionach, matka leżała w łóżku pogrążona w swoich niespokojnych myślach, a ojciec pochylał się nad Biblią lub nad fiołkami w infirmerii, i kiedy w misji nie było Glory. Widział tylko to, co chciał zobaczyć. Widział tylko życie z zewnątrz. Nie miał pojęcia, co działo się w środku, co czułam.

- Słyszałem, jak śpiewasz - ciągnął. - Opierałaś się o motykę z rozmarzonym wyrazem twarzy. Wiedziałem, że te moje wizyty muszą się kiedyś skończyć. Ponad dziesięć lat obserwowałem, jak żyjesz. Tamtego dnia, kiedy zobaczyłem cię z dzieckiem... uświadomiłem sobie, że nie mogę już dłużej przyjeżdżać i tylko cię obserwować. Kiedy rozmawialiśmy tamtego dnia, spojrzałem na twoją twarz i wyobraziłem sobie, jak to będzie, gdy wyjdiesz za mąż i będziesz miała dzieci.

Wiedziałem, że nigdy nie będę mógł stać się częścią twojego życia. Było za późno; zaprzepaściłem okazję, by cokolwiek wyjaśnić. Musiałem odejść - powtórzył. *Khuda hafiz, Pree*. - Dorosłaś i byłaś bezpieczna. Gdybym wkroczył w twoje życie, zniszczyłbym je i sprawił ci ból.

- Skąd ma pan taką pewność?

- Co dobrego by z tego wynikło?

- Co dobrego? - Wstałam, zaciskając dłonie w pięści. - Czy Kai o tym wiedział? Czy on wiedział o wszystkim?

- Tak.



- Wiedział przez cały czas? Przez cały czas wiedział, że pan jest moim ojcem?

Nie mogłam uwierzyć w to, czego stale dowiadywałam się o Kaiu. Ale to, co teraz usłyszałam, było najgorsze. Gdyby mi powiedział, nie zostałabym w misji z Glory. Kiedy moi rodzice umarli, mogłam wyjechać i odnaleźć pana Ingrama. A gdybym to zrobiła, wszystko ułożyłoby się inaczej. Pomyślałam o pułkowniku.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Powiedziałem mu o tym o wiele później. Nie wiedział o niczym, kiedy jeszcze mieszkał w misji.

Potała starą bliznę pod okiem. Uświadomiłam sobie, że nie widziałam jej w przeszłości, ponieważ jego skóra była spalona od słońca.

- Wierzysz mi, Pree? Czy możesz uwierzyć, że jesteś moją córką? Ze jestem twoim ojcem?

Milczałam przez chwilę.

- Nie. Nie wierzę. Nie chcę w to wierzyć. Pan nie może być moim ojcem. Nie pan.

Jego twarz pobrała i widziałam, jak bardzo zraniły go moje słowa. Nie obchodziło mnie to. Chciałam go zranić.

- Ale dlaczego?

Jeśli rzeczywiście byłam jego zaginioną córką, to kiedy mnie odnalazł, miałam sześć lat. Tylko sześć. A jednak zostawił mnie tam. Nie obchodziły mnie jego rozterki. Jeśli rzeczywiście był moim ojcem i wiedział o tym przez całe moje dzieciństwo, nie mogło mu na mnie zależeć, w przeciwnym razie zabrałby mnie z misji.

- Dlaczego, panie Ingram? Dlatego, że gdyby rzeczywiście był pan moim ojcem, mógł mnie pan ocalić.

- Ocalić? Przed czym?

- Czy naprawdę wierzy pan, że znał moje życie? Prawdziwe życie, a nie tylko jego część, gdy się bawiłam, spacerowałam po podwórzu albo pomagałam w infirmerii. Kiedy co jakiś czas obserwował mnie pan, siedząc na koniu przez kilka chwil?

Przycisnął czubek dudki do dłoni.

- Jeśli jest pan tak pewny, że jestem pańską córką - powiedziałam, pragnąc go zranić tak bardzo, jak ja czułam się zraniona - i próbuje mnie pan o tym przekonać, miałby pan jakiś dowód. Skoro twierdzi pan, że państwo Fincastle nie uwierzyliby panu, dlaczego ja miałabym teraz panu uwierzyć?

Sięgnął do kieszeni.

- Mam to. - Wyjął pocięty dagerotyp.

Byłam przerażona. Nie chciałam na niego patrzeć, ale machinalnie wyciągnęłam drżącą rękę.

Na zdjęciu był on, znacznie młodszy, choć wyglądał tak samo jak teraz.

Ubrany był w lekką koszulę i ozdobną kamizelkę. Stał z gołą głową, opierając rękę na ramieniu kobiety, która siedziała na krześle. Miała na sobie ciemny *salwar kameez*, długą koszulę i szerokie spodnie, jakie nosiło tutaj wiele muzułmanek. Gruby warkocz opadał jej prawie do pasa. Na kolanach trzymała małe dziecko z burzą kręconych włosów, ubrane w jasną sukienkę. Cała trójka wpatrywała się w obiektyw bez uśmiechu, a jednak ich twarze były spokojne.

Obraz zamglił się przed moimi oczami. Papier w kolorze sepii zdrzął; przysunęłam go bliżej. Twarz kobiety -w kształcie serca, z dużymi, jasnymi oczami i pełnymi ustami - wyglądała na naznaczoną. Na jej czole i brodzie widniały jakieś znaczki. Tatuaze?

Przyjrzałam się dziecku i oddałam mu fotografię.

- To jest pański dowód? - zapytałam. - Widzę tu pana z tubylką i dzieckiem. Dzieckiem jak każde inne. Nie ma pan nic innego? Czy mam na ciele jakieś znamię?

Chciałam, żeby to potwierdził, powiedział: „Tak, masz ciemną plamkę na ramieniu” albo „Brakuje ci drugiego palca u lewej stopy”. Chciałam udowodnić mu, że się myli. Jeśli nie miał dowodu, nie mogłam mu uwierzyć. Nie mogłam pozwolić sobie myśleć, że jego słowa są zgodne z prawdą.

Nie wiedziałam, dlaczego z nim walczę. Czyż nie chciałam wiedzieć, nie chciałam do kogoś należeć? Może to strach, że spotka mnie rozczarowanie. Że pozwolę sobie uwierzyć, a potem dowiem się, że to nieprawda. I będzie bolało jeszcze bardziej.

- Nie. Chciałbym, żebyś miała coś, co mogłoby to potwierdzić. Tego właśnie potrzebuję. Ale jesteś moją córką, Pree - powiedział. - Pari Regina Ingram, urodzoną pierwszego czerwca 1856 roku.

- Pari Regina Ingram? - powtórzyłam. - Tak się nazywałam?

Uśmiechnął się lekko.

- Twoja matka nazwała cię Pari. Dlatego kiedy dowiedziałem się, że masz na imię Pree... Pari to perskie słowo oznaczające wróżkę.

- Wiem - odparłam.

- Nazywałem cię moją małą wróżką. - Znów wziął do ręki dagerotyp. - Ja wybrałem imię Regina. Podobało mi się.

Wstałam.

- Proszę. Nie uciekaj znowu. Co mogę zrobić, żeby... Wybiegłam i wpadłam na schody. Rohana klęczała przed małym ołtarzykiem w naszym pokoju. Zerwała się, kiedy weszłam.

Widziałam, że otwiera i zamyka usta, coś do mnie mówi, ale serce biło mi w uszach tak mocno, że zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Wyciągnęłam sakwę Kaia spod łóżka i wyjęłam szkatułkę z drewna sandałowego.

Uniosłam wieczko i wysypałam zawartość na łóżko. Wzięłam do ręki kawałek kocyka. PRL To nie był początek imienia Priscilla. To były inicjały. Pari Regina Ingram. Z kawałkiem materiału w ręce siedziałam przez minutę, może dłużej, może krócej. Nie miałam pojęcia.

Kiedy odłożyłam go na łóżko, zauważyłam, że z papierowego latawca oderwał się kawałek wosku i leży na czerwonym jedwabiu, w który owinięty był kocyk. Wpatry-

wałam się w jego kształt: żółty półksiężyc na czerwonym niebie -  
muzułmański *hilal*.

Kiedy wróciłam do pokoju dziennego, wzięłam leżący na stole dagerotyp.  
Pan Ingram siedział tak, jak go zostawiłam; nie poruszył się. Helena nadal  
pochylała głowę nad Biblią.

- Na tym dagerotypie masz rok. Wysłałem go mojej matce, do Anglii.

Kiedy odwiedziłem ją w zeszłym roku, zabrałem go dla siebie -  
powiedział. - Zupełnie o nim zapomniałem. Odzyskanie go było darem od  
Boga. Nie miałem żadnej pamiątki po Daryi, ani po tobie.

Zacisnęłam powieki.

- Zniszczyłem wszystko, spaliłem wszystkie wasze rzeczy. Teraz nie  
wiem dlaczego. Podejrzewam, że była to jakaś forma zapomnienia, próba  
pozbycia się bólu. - Nie jesteś podobna do żadnego z nas. Ale  
przypominasz moją matkę. - Znów sięgnął do kieszeni i wyjął małe  
skórzane pudełeczko. - Zdjęcie jest bardzo stare, zawsze mam je przy  
sobie. Oczywiście matka była wtedy bardzo młoda, kiedy je zrobiono, a ja  
byłem dzieckiem. Była delikatna, lecz silna jak ty. I masz takie same  
oczy. Zawsze nazywałem je topazami.

Czy istniało jakieś podobieństwo? Nie wiem. Znów pomyślałam o  
kocyku.

- Czy ona miała talent do haftu? - zapytałam. Mój głos zabrzmiał obco.

- Moja matka?

- Nie. Ona. - Podniosłam dagerotyp. Skinął głową.

- Darya miała najdelikatniejsze palce. Robiła piękne *zardosi*, kunsztowne  
hafty przy użyciu złotej i srebrnej nici. Haftowała takie drobiazgi i  
sprzedawała je na bazarach.

Oddałam mu dagerotyp.

- Musi pan teraz iść.

- Tak. Przepraszam - powiedział nagle. - To musiało być dla ciebie okropne. Rozumiem, że trudno jest ci uwierzyć. Ale...

Wpatrywałam się w jego twarz. Wydawało mi się, że się trzęsę, podobnie jak wtedy, gdy przeczytałam nazwisko Pavit na liście zmarłych. Nie wiedziałam, co się dzieje z moim ciałem.

- Wiem, że wytrąciłem cię z równowagi. Nie potrafiłem przewidzieć twojej reakcji.

Patrzyłam na niego. Chciałam mu powiedzieć tyle rzeczy, lecz nie mogłam znaleźć słów.

- Po naszym ostatnim spotkaniu w misji w Lahore postanowiłem przenieść się do Peszawaru. Potrzebowałem dystansu, który by nas dzielił. A Peszawar już znałem; często się tu zatrzymywałem po drodze z Afganistanu do Indii. Znalazłem dobrą pracę. Nigdy nie miałem z tym problemu dzięki znajomości języków i obu kultur. Ale oczywiście nadal chciałem coś o tobie wiedzieć - przynajmniej, czy masz się dobrze. Zapytałem Kaia, kiedy był tu ostatni raz. Wtedy właśnie powiedział mi, że był ostatnio w misji, ale ty wyjechałaś.

To musiało być po tym, kiedy dowiedział się, co się stało z misją. Kiedy wysłuchał plotek w Lahore i kłamstw, które naopowiadała jego matka.

- Kai powiedział mi - zaczął tak cicho, że musiałam się pochylić, by go usłyszeć - że opuściłaś misję, przeniosłaś się do Bombaju i jesteś tam bardzo szczęśliwa. Kontynuujesz działalność misjonarską i zaleca się do ciebie młody człowiek. Z Pree wszystko w porządku, powiedział. Nie musi się pan o nią martwić. Najlepiej będzie, jeśli pozwoli jej pan żyć własnym życiem. Nadal pamiętam jego słowa. Ale... Wszystko w porządku? Co się dzieje?

- Skłamał - szepnęłam.

- Kai skłamał? W jakiej sprawie? - Nie czekał na odpowiedź. - Kiedy mi o tym powiedział, miałem pewność, że już nigdy cię nie zobaczę. Że straciłem cię na zawsze.

Musiałem pozwolić ci wieść życie, na jakie zasługiwałaś i jakie sama wybrałaś w Bombaju. Próbowałem się z tego cieszyć, próbowałem przekonywać samego siebie, że tak będzie najlepiej. Ale ból stale wracał. Nie taki sam jak wtedy, gdy myślałem, że nie żyjesz, ani kiedy nie mogłem cię znaleźć, ale nadal był to głęboki ból ojca, który wie, że już nigdy nie zobaczy swojego dziecka. Ale teraz jesteś tutaj, w Peszawarze. Wróciłaś do mnie i do mojego życia i w chwili, kiedy zobaczyłem cię w drzwiach mojego biura, wiedziałem, że nie mogę pozwolić ci odejść, że muszę znaleźć sposób, żeby... Pree, przepraszam. Widzę, jaka jesteś roztrzęsiona.

Oddychałam głęboko, próbując się uspokoić, zanim powiem cokolwiek.

- Kai skłamał - powtórzyłam. - Nigdy nie pojechałam do Bombaju. Przez cały ten czas byłam w misji.

Opuścił podbródek, jakby zdumiony.

- Ale dlaczego miałby to zrobić?

- Bo wstydził się tego, czym jego zdaniem się stałam. Nie chciał, żeby pan o tym wiedział. Myślał, że pana chroni, tak samo, jak pan myślał, że chroni mnie, nie przyznając się do mnie, gdy wiedział już pan, że jestem pańską córką.

Pan Ingram otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, krzyknęłam:

- Nie chciał, żeby pan się dowiedział, że pańska córka mogła zostać prostytutką.

Rzuciłam w niego to słowo i zobaczyłam, jak strużka śliny z moich ust opada na jego policzek. Usłyszałam, jak Helena głośno wciąga powietrze. Zignorował zarówno ślinę, jak i gorzkie słowo.

- Więc ty... nadal tam byłaś? Nie pojechałaś do Bombaju?

- Wie pan, jak żyłam po naszym ostatnim spotkaniu, kiedy byłam, jak pan twierdzi, szczęśliwa? Szczęśliwa! - powtórzyłam z sarkazmem. - Moi rodzice, państwo Fincastle umarli: najpierw ojciec, potem matka. Matka odebrała sobie

życie w straszliwy sposób. Nie był to dla mnie łatwy okres. Zostałam sama i sama musiałam sobie ze wszystkim radzić. Z ich śmiercią i okropieństwem, które się z tym wszystkim wiązało. Czy wiedział pan, że mój ojciec - wielebny Fincastle i Glory byli... Wiedział pan, że on był ojcem Kaia? Pan Ingram usiadł i podniósł rękę.

- Tak, ale poczekaj. Poczekaj. Mówisz za szybko. Nie rozumiem. Co... Wcale mnie to nie obchodziło.

- Zostałam z Glory, rozpustną matką Kaia - mówiłam szybko dalej, potykając się na własnych słowach, gdy próbowałam wszystko z siebie wyrzucić - a ona zamieniła misję w burdel. Burdel. - Mój głos zamienił się w krzyk.

Potrząsał głową i patrzył na mnie zaszokowany. Helena ruszyła w naszą stronę, ale podniosłam rękę i zatrzymała się.

Chciałam zranić tego człowieka, zwłaszcza teraz, kiedy znałam prawdę. Był moim ojcem.

- Musiałam się sprzedać. Tak, sprzedałam się brutalnemu, ordynarnemu mężczyźnie, by zdobyć pieniądze na ucieczkę. Doszedł pan do wniosku, że jestem szczęśliwa? Ze najlepiej jest zostawić mnie w spokoju? Skąd pan wie, co było dla mnie najlepsze? Zapytał mnie pan o to? Jak mógł mi pan to zrobić? - Podbiegłam do niego. Wstał, a ja zaczęłam bić go pięściami w pierś i ramiona. Nie zwracałam uwagi na Helenę, która błagała, żebym przestała.

- Łatwiej było pozwolić, żeby kto inny mnie wychowywał - krzyknęłam. - Niech pan tylko nie mówi, że tak było dla mnie najlepiej. Nie chciał pan brać na siebie odpowiedzialności. I proszę nie mówić o drugiej szansie. Nie chcę pana w moim życiu. Teraz już pana nie potrzebuję. Kiedyś tak było, ale teraz już nie.

Stał jak wykuty z kamienia.

- Kai był jedyną osobą, z którą chciałam dzielić życie. A teraz on odszedł. Wyjechał i wcale mu na mnie nie zależy. Odszedł - powtórzyłam. - A pan, pan jest jeszcze słabszy

niż mój prawdziwy ojciec, człowiek, który był przy mnie, gdy byłam małą, który pocieszał mnie, kiedy płakałam. Który wychował mnie jak swoje własne dziecko. Który wziął na siebie całą odpowiedzialność. On umarł, a panu pozwolono żyć. - Znów uderzyłam go w pierś, choć tym razem słabiej.

- Pree - szepnęła Helena, lecz nadal się nie zbliżała. Pan Ingram pozwolił, żebym go biła, raz po raz, aż

w końcu osunęłam się na kolana, ukryłam twarz w dłoniach i wybuchnęłam płaczem.

Za otwartymi oknami rozległo się wezwanie muezinów do popołudniowej modlitwy. Poczulałam ręce pana Ingrama na moich ramionach. Podniósł mnie z podłogi.

Spojrzałam na jego twarz, odwróciłam się i wypadłam z pokoju.

Siedziałam na łóżku, trzymając w rękach kawałek kocyka. Zapadł wieczór i zapaliłam lampę. Do pokoju weszła cicho Aimée i wyjęła z szafy koszule nocne, swoją i Rohany.

- Helena mówi, że potrzebujesz zostać sama - powiedziała. - Śpimy dziś w innym pokoju.

Kiedy wyszła, zjawiała się Helena. Usiadła obok mnie i objęła ramieniem.

- Wygląda na to, że w ciągu ostatnich paru tygodni sporo wydarzyło się w twoim życiu - powiedziała, trzymając w rękach dagerotyp - moje zdjęcie z matką i ojcem. - Byłaś bardzo poruszona, a sposób, w jaki potraktowałaś pana Ingrama, choć zrozumiały... - zawiesiła głos.

Wstydziałam się. Wstydziałam się mojego zachowania i tego, że poznała moją przeszłość: życie w burdelu i to, co zrobiłam.

- Przepraszam, Heleno. Opuszczę ten dom natychmiast. Jutro. - Nie wiedziałam, dokąd pójdę, ale miałam rupie od Kaia. Na pewien czas wystarczą na jakiś kąt.

Helena pokręciła głową.



- To jest misja, Pree. Zawsze mówimy, że jesteśmy po to, by pomagać kobietom w potrzebie. A uważam, że teraz ty potrzebujesz pomocy. Proszę, zostań tak długo, jak będziesz chciała. W każdej chwili możesz wrócić do pracy.

Oparłam się o nią, czując suchość w gardle.

- Przepraszam - powtórzyłam, szukając chusteczki. - Jesteś taka dobra. Przepraszam za wszystkie kłopoty, jakich ci przysporzyłam.

- Rozmawiałam krótko z panem Ingramem. Bardzo się o ciebie martwi. - Spojrzała na zdjęcie. - Zostawił to dla ciebie.

Wzięłam je i przyjrzałam się twarzy pana Ingrama, a potem twarzy kobiety, Daryi, która zrobiła ten piękny kocyk. Która umarła, nie mogąc znieść mojej utraty.

- Nie chcesz mieć ojca w swoim życiu? Wiem, że czujesz się przez niego zraniona, a jednak on wydaje się... -urwała.

Gładziłam miękki kawałek kocyka.

- Zranił mnie, bo nie chciał mnie chronić, kiedy mógł. Kiedy powinien. Helena wyciągnęła rękę i dotknęła kocyka.

- Niektórzy twierdzą, że nasz Ojciec w niebie nie chronił swojego Syna. Pozwalał, by Syn walczył samotnie. Pozwolił mu umrzeć.

Nie chciałam, by próbowała mnie przekonać za pomocą religijnych argumentów. Westchnęłam.

- Czy naprawdę wierzysz, że pan Ingram kierował się egoizmem? - zapytała. - Że był okrutny i bezmyślny?

Pokręciłam głową.

- Nie. Powiedział, że zrobił to, co uważał za najlepsze dla mnie.

W korytarzu rozległ się śmiech dzieci.

- To znaczy, że kierował się miłością? Nie odpowiedziałam.

- Czasami podejmujemy złą decyzję, kierując się najlepszymi intencjami

- powiedziała. - Czy nie możesz zna-

leżć w sercu przebaczenia dla swojego ojca? - zapytała w końcu. - Czyż nie jest to prawdziwa próba dla chrześcijanina? Wybaczycie tym, którzy nas zranili?

Czy można mnie było nazwać chrześcijanką? Kobieta, która dała mi życie, była muzułmanką. Nie podporządkowałam się wierze mojego przybranego ojca. Pan Ingram nie wyznawał żadnej religii. Teraz, kiedy nawet próbowałam się modlić, nie potrafiłam.

Przytuliłam kocyk do twarzy. Znów pomyślałam o kobiecie, która go dla mnie zrobiła i która mnie w nim trzymała. I pan Ingram z pewnością też kiedyś przykrywał mnie tym kocykiem i przytulał do piersi.

Helena zostawiła mnie w zapadającym zmroku z cichnącym śmiechem dzieci za ścianą.

Następnego dnia wyszłam na ulicę i zawołałam tongę.

Była niedziela; wiedziałam, że angielskie biura są zamknięte. Podałam adres woźnicy. Kiedy zatrzymałam się przed domem pana Ingrama, stał na werandzie, opierając się o barierkę ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzył na drogę przed domem. Gdy mnie zobaczył, wyprostował się i stanął na najwyższym stopniu werandy.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrzył, jak podchodzę

- Postanowiłam pana odwiedzić - powiedziałam, wchodząc na schody. - Przepraszam, że pana nie uprzedziłam.

Patrzył na mnie, a pierś unosiła mu się i opadała pod koszulą.

- *Salaam, Pree* - powiedział drżącym głosem. - Proszę, usiądź.

Usiadł obok mnie. Patrzyliśmy na drogę, kołysząc się na wyplatanych fotelach. Przez jakiś czas żadne z nas się nie odzywało.

- Zostaniesz w misji w Peszawarze? - zapytał w końcu, nadal patrząc przed siebie.

- Na razie - odparłam. - A pan?

- Ja też tu zostanę - rzekł. - Choć w Indiach jest wiele pięknych miejsc, w których można zamieszkać. Zawsze marzyłem, by osiąść nad morzem. Spojrzałam na jego profil. Przełknął ślinę.

- Mam trochę *kulfi* - powiedział. - Lubisz *kulfi*? Pomyślałam o dniu, kiedy ostatni raz jadłam ten słodki deser w *haveli* Abdura Jana. To odległe wspomnienie ścisnęło mi żołądek.

- Nie jestem pewna.

- Przyniosę. - Ruszył w stronę drzwi. - Uwielbiałaś *kulfi*, ale pozwalaliśmy ci jeść tylko łyżeczkę lub dwie; było zbyt ciężkostrawne dla małego dziecka. Kiedyś *aja* pozwoliła ci zjeść za dużo i się rozchorowałaś.

Czekałam, aż wróci, kołysząc się lekko w ciepłe popołudniowe słońca. Piękne drzewa *doda* rozkładały nad ogrodem baldachimy liści. W liściach rosnącego najbliżej werandy podskakiwała i świergotała mała gajówka. Kołysałam się wolno, obserwując ją. Usadowiła się wygodnie na gałęzi, otworzyła mały dzióbek i zaczęła swoją słodką pieśń. Liczyłam. Zaśpiewała raz, dwa, trzy raz. Cztery, pięć. Sześć i siedem. Przystała, zatrzepotała piórkami na piersi i zaśpiewała jeszcze raz.

## EPILOG

Odwracam się na dźwięk kroków, szybkich, radosnych i lekkich, jak lekkie jest powietrze pod skrzydłami małego nektarnika, który przeleciał za oknem. Drzwi otwierają się i do pokoju wpadają moje dzieci. Przyszły powiedzieć „Do widzenia, mamó, do widzenia, do widzenia, dziadzius już przyszedł”, potem następują pełne emocji pocałunki i uściski i dzieci tak samo lekko wybiegają na szeroki, zalany słońcem korytarz. Przyszedł ich dziadek, który odwiedza je bardzo często. Dziś zabierze je na brzeg morza, by zobaczyły setki figur Ganeśy wyrzucanych na brzeg po wczorajszym święcie.

Na moje nalegania ojciec przeniósł się do Bombaju, byśmy mogli być blisko siebie, i serce przepelnia mi radość, gdy widzę, jak cieszy się ze swoich wnuków. A one go uwielbiają, bez końca proszą o opowieści z jego przeszłości, o przygodach w górach i na pustyniach, o spotkaniu z ich piękną, egzotyczną babką, która recytowała wiersze i tak pięknie haftowała, o podróżach przez ocean, o angielskich miastach i o wszystkich cudownych koniach, których kiedyś dosiadał. Mój ojciec mówi, że jego przygody dobiegły końca, podróż została zakończona, a ich dopiero się zaczyna.

Troje dzieci, dziewczynka, chłopiec i dziewczynka, jasne i ciemne, ciemne i jasne, połączenie kultur, krwi i religii oraz tego wszystkiego, co wydarzyło się przed nimi. Mają w sobie cząstkę swojego ojca, mnie i poprzedzających nas pokoleń. Rosną jak szalone, a ich życie rozciąga się przed nimi jak otwarte morze. Zawsze będą wiedziały, kim są

i skąd pochodzą. Ważne, by w ich życiu nie było żadnych tajemnic, nie tak jak w moim.

Kładę się w szerokim, chłodnym łóżku i patrzę na białe zasłony tańczące w porannym wietrze. Po wizytach zawsze jestem rano zmęczona. Przez otwarte okno słyszę głos mojego męża, jego śmiech, gdy żegna się z dziećmi i teściem. Bez względu na to, jak późno wracam z wizyt, zawsze czeka na mnie z filiżanką czaju i pyta o kobiety, które leczyłam. Siedzimy w ciepłym świetle lampy i rozmawiamy o minionym dniu, o dzieciach, pogodzie, planach na następny dzień, jak zazwyczaj robią to mężowie i żony.

Dziś rano włosy mojej młodszej córki pachniały dymem. Musiała już być w ogrodzie i pomagać przy śniadaniu. Podobnie jak ja, kiedy byłam mała, i moja matka w swoim dzieciństwie. Ta mała uwielbia gotować. Kuca obok *biwar-chiego*, pomaga mu siekać przyprawy i podsyca ogień. Jak dobrze moje palce pamiętają rytm noża i zapach ognia w porannym powietrzu.

Przez długi czas nie mogłam znieść tego zapachu, lecz zaledwie przed chwilą, gdy przycisnęłam twarz do lśniących włosów córki, wdychałam go i sprawiło mi to przyjemność.

Brutalne wspomnienie ognia nareszcie straciło swoją moc. Wyblakłe i słabiotkie już nie wywołuje bólu.

Teraz jest tylko ciepło i dym. Nic więcej.

Wstaję i podchodzę do okna. Nad czubkami drzew z naszego domu widać srebrny pasek morza.

Patrzę na błyszczącą w słońcu wstęgę i zaczynam się modlić.

## PODZIĘKOWANIA

Po zakończeniu tej książki jak zwykle muszę podziękować wielu osobom. Są wśród nich te, które pomogły mi nadać kształt pierwotnym pomysłom i słowom, łagodnie i z namysłem wskazując mi kierunek, którego mogłabym nie obrać. Dziękuję Harrie Evans i Sherise Hobbs, moim wydawcom w Headline, za mądrość i przenikliwość.

Podziękowania należą się także tym, dzięki którym moje słowa trafiają do czytelników. Dziękuję Kim McArthur i wspaniałym pracownikom w McArthur and Company, nie tylko za pracę w Kanadzie, lecz również za bajeczne przyjęcia. Dziękuję Peterowi Newsomowi z Headline za to, że podróżował po świecie z moją książką.

Dziękuję pracownikom Marsh Agency: Paulowi Mar-showi, Camilli Ferrier i Caroline Hardman za wiarę we mnie i ciężką pracę w moim imieniu.

Dziękuję Sarze Heller, mojej agentce, za intuicję, kiedy cierpliwie słuchała moich szalonych pomysłów i wymyślała swoje własne, za talent do interesów, również za przyjaźń i za to, że zmuszała mnie, bym śmiała się z siebie, kiedy zaczynałam brać wszystko zbyt poważnie.

Podziękowania kieruję również pod adresem rodziny Tendon: Dziękuję Anicie za motywację i odpowiedzi na moje liczne pytania dotyczące życia w Indiach; Ravi za inspirującą i pełną wrażeń podróż do Indii oraz Richy i Priyi za ich urodę, wdzięk i wsparcie.

Jak zwykle dziękuję też rodzinie i przyjaciołom w wielu częściach świata, którzy instynktownie wiedzieli, kiedy należy mnie powstrzymać, a kiedy dać mi pełną swobodę

podczas długiego i wymagającego procesu twórczego. Jest was zbyt wielu, by wymieniać wszystkie nazwiska, ale wiecie doskonale, jak bardzo cenię sobie waszą miłość i zrozumienie.

Na koniec dziękuję mojej córce Zalie za towarzyszenie mi w podróży do Indii, za radość i niezwykle spojrzenie na świat.

## **GLOSARIUSZ**

***assalamu alaikum* - pokój z tobą - arabskie pozdrowienie**

***atma* - dusza lub własne ja**

***aja* - pokojówka lub niańka**

***bahan* - siostra**

***Basant* - święto nadejścia wiosny**

***beedi* - papieros z tytoniu owiniętego w liść tendu (diospyros melo-noxylon) i owinięty sznurkiem**

***beti* - córka**

***bhai* - brat**

***bheesti* - noszący wodę**

***bibighar* - dom kobiet**

***biwarchi* - kucharz**

***caravanserai* - przystanek dla ludzi i zwierząt, otoczony murem, lecz pozbawiony dachu**

***chattri* - pomnik/kapliczka zazwyczaj zrobiona z kamienia**

***chee-chee* - pogardliwe określenie wymowy Euroazjatów; hybryda języka angielskiego**

***chowkidar* - strażnik lub dozorca**

***chuprassi* - lokaj witający i wprowadzający gości do domu**

***churail* - zły duch płci żeńskiej**

***daal* - potrawa z gotowanej soczewicy**

***devadasi* - dziewczyna poślubiona bogowi; świątynna dziewica lub Służebnica Boga (praktyka z czasem podupadła i niektóre dziewczęta stały się prostytutkami)**

***dhobi* - służący zajmujący się praniem**

***dhoti* - długi pas materiału owinięty wokół pasa i nóg mężczyzny, zawiązany w talii Diwali - Święto Światel, symbolizujące zwycięstwo dobra nad złem**

***durzi* – krawiec**

***goli* - gra w kulki**

***hakim* - mędrzec, często znający się na medycynie**

***haveli* - prywatna rezydencja, zwykle z dziedzińcem w środku**

***japa mala* - medytacja z użyciem koralików nawleczonych na sznurek**



*katha* - opowieść lub baśń

*kedgeree* - potrawa z ryb, gotowanych jajek, ryżu i masła *khansana* - główny służący nadzorujący pracę całej służby

*khitmutgar* - główny służący podający do stołu

*khuda hafiz* - do widzenia

*kirpan* - sikhijski miecz, symbol niezależności, szacunku i władzy

*koss* - miara odległości równa mniej więcej trzem kilometrom

*kulfi* - deser z gotowanego mleka, cukru, cienkich klusek, orzechów i owoców

*kurta* - luźna koszula do kolan, noszona przez mężczyzn i kobiety

*ladoo* - okrągłe ciastko maczane w syropie z cukru

*lattoo* - gra w wirujące bączki

*mali* - ogrodnik

*masalchi* - służący zajmujący się mieleniem przypraw

*namaste* (dosł. kłaniam się tobie) - uprzejme powitanie lub pożegnanie Om Namah Shiva - mantra do medytacji

*paan* - środek na trawienie z przypraw i owoców, przeżuwany dla oczyszczenia podniebienia i odświeżenia oddechu

*panjammahs* - luźne męskie spodnie z bawełny, wiązane w talii

*preta* - byt nadprzyrodzony

*puja* - rytuał religijny będący wyrazem szacunku dla bogów i bogiń

*punkah* - płócienny wachlarz wiszący na suficie, poruszany przymocowanym sznurkiem

*pardah* - praktyka uniemożliwiająca mężczyznom oglądanie kobiet (wykorzystująca separację)

*rani* - hinduska królowa: żona radży

*rasoi* - chata kuchenna znajdująca się w pewnej odległości od głównego budynku mieszkalnego

*roti* - płaski okrągły placek z ciasta chlebowego. W różnych regionach znany też jako *nan* lub *chapatti*

*sadhu* - asceta dążący do wyzwolenia przez medytację i kontemplację Boga

*salaam* - pokój (mniej oficjalne powitanie)

*salwar* - luźne spodnie noszone przez mężczyzn i kobiety

*sati* - tradycja pogrzebowa, zgodnie z którą kobieta dobrowolnie

**plonie na stosie męża. Znana też jako *suttee***  
***sipaj* - Hindus służący w europejskiej armii**  
***shnai* - instrument strunowy szarpany**  
***siudrowie* - najniższa z kast społecznych; czasami nazywana niedo-  
tykalnymi**  
***surma* - kosmetyk do oczu; znany też jako kohl**  
***tambour* - mały bębenek**  
***tikka* - czerwony proszek nakładany ruchami kciuka w górę, stoso-  
wany przez mężczyzn i kobiety podczas praktyk religijnych**  
***zardosi* - haft złotą lub srebrną nicią**  
***zenana* - część domu przeznaczona wyłącznie dla kobiet**